ILUSTROWANY

KALENDARZ ZWIĄZKOWY

NA ROK 1956



P. N. A. ALMANAC

CENA $1.50



Kalendarz Związkowy

Na Rok 1956



WYDANY NAKŁADEM WYDAWNICTW
ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO
CHICAGO, ILLINOIS



Kalendarz Związkowy

Na Rok 1956



WYDANY NAKŁADEM WYDAWNICTW
ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO
CHICAGO, ILLINOIS

Graficzne Zakłady Pism Związkowych



GMACH WYDAWNICTW ZWIĄZKOWYCH

w którym mieszczą się biura administracji, redakcji, zakłady graficzne, gdzie na pospiesznych maszynach drukuje się ZGODA TYGODNIOWA I DZIENNIK ZWIAZKOWY, zaś na litograficznej maszynie drukują się książki i na której był drukowany kalendarz ścienny i książkowy.

DRUKI Dla kupców i przemysłowców, dla poszczególnych osób i towarzystw wykonujemy szybko, gustownie i tanio, ponieważ nowoczesne urządzenia nam na to pozwalają. Jeżeli zatem potrzebujecie jakichkolwiek druków, jak: papiery listowe, koperty, zaproszenia na wszelkie okazje, pamiętniki, programy, konstytucje, cyrkularze, pamflety, formularze, bilety i t. d., w języku angielskim lub polskim, zamawiajcie u nas z całem zaufaniem, pisząc na adres:

DRUKARNIA PISM ZWIĄZKOWYCH

1201 N. Milwaukee Ave. Chicago, (22) Illinois

ZWIĄZEK NARODOWY POLSKI

W Dniu 1go Czerwca, 1955 Roku

Liczył członków . . 339,222
Posiadał zasobów $76,316,163.53
Suma Ubezpieczenia . . . $252,417,224.00
Wypłacił do dnia 1go czerwca, 1955

Benefitu pośmiertnego	$70,319,845.62
Dywidendy Członkom	852,198.20
Na cele narodowe, zapomogowe, społeczne i oświatowe	10,714,894.72
Razem wypłacił .	$81,886,938.54

ZARZĄD Z. N. P.

B. F. GUNTHER
Cenzor

K. ROZMAREK
Prezes

JÓZEF F. FOSZCZ
Sekretarz Jeneralny

EDWARD KOZMOR
Wicecenzor

FRANCISZKA DYMEK
Wiceprezeska

A. TOMASZKIEWICZ
Kasjer

P. B. KOZŁOWSKI
Wiceprezes

DYREKCJA

HENRYK DUDEK
KATARZYNA ZIEMBA-DIENES
BRONISŁAWA HELKOWSKA
KAROLINA SPISAK
DR. M. W. MAJCHROWICZ
ADOLF PACHUCKI
BONAWENTURA MIGAŁA
JAN ULATOWSKI
FRANCISZEK ODROBINA
HENRYK SPINDOR

DR. W. A. SADLEK
Lekarz Naczelny

Na Nowy Rok

Mości gospodarzu, domowy szafarzu,
Nie bądź tak ospały, każ nam dać gorzały,
Dobrej z alembika i do niej piernika,
Hej, kolęda, kolęda!

Chleba pytlowego i masła do niego,
Każ stoły nakrywać i talerze zmywać,
Każ dać obiad hojny, boś Pan bogobojny.
Hej, kolęda, kolęda!

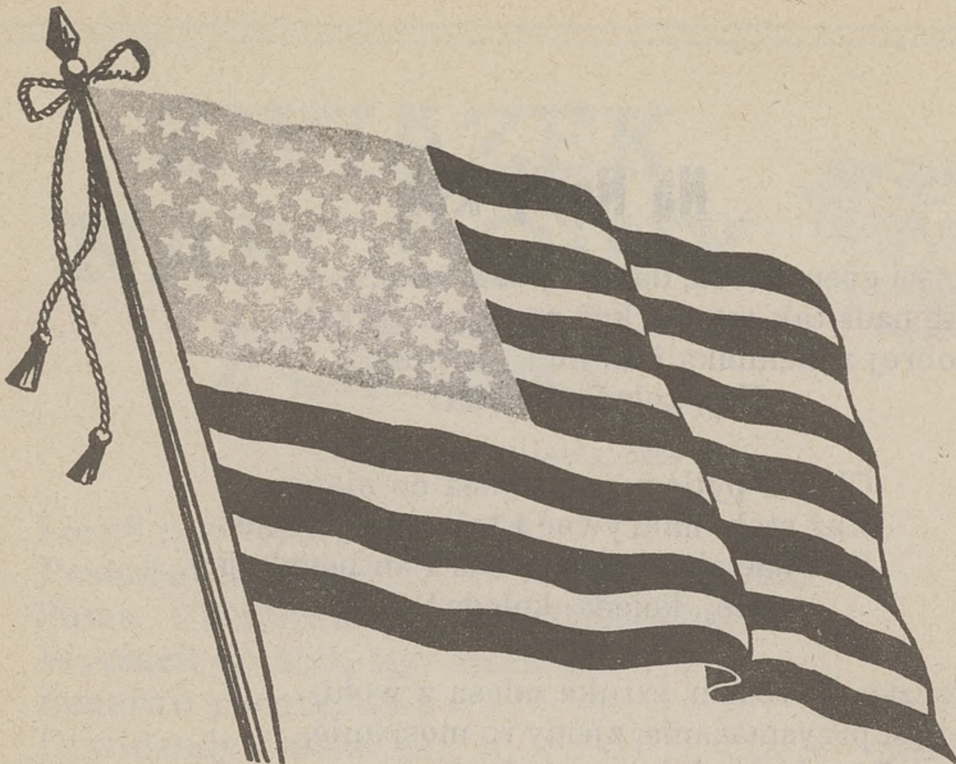
Kaczka do rosołu, sztuka mięsa z wołu,
Z gęsi przysmażanie, zjemy to mospanie,
I udzik zajęczy, i do tego więcej.
Hej, kolęda, kolęda!

Indyk do podlewy, Panie miłościwy,
I to czarne prosię, pomieści i to się,
Każ upiec pieczonki, weźmiem do kieszonki.
Hej, kolęda, kolęda!

Mości gospodarzu, domowy szafarzu,
Każ dać gąsior wina, bo w brzuchu ruina,
Nie długo się bawcie i drugi postawcie.
Hej, kolęda, kolęda!

Mości gospodarzu, domowy szafarzu,
Każ spichrze otworzyć i miechy nasporzyć,
Żyta ze trzy wory i woły z obory.
Hej, kolęda, kolęda!

THE STAR SPANGLED BANNER



Nauczcie się słów pieśni—śpiewajcie je—gdy inni śpiewają. Czasami aż przykro, gdy Polacy na zebraniach nie wtórują, gdy hymn narodowy jest śpiewany. To hymn umiłowanej przez nas Ameryki—to hymn wolności—to wyznanie naszej wiary. Każdy Polak w Ameryce powinien znać te słowa—jak zna słowa "Jeszcze Polska nie zginęła—".

Oh, say can you see, by the dawn's early light,
What so proudly we hailed at the twilight's last gleaming;
Whose broad stripes and bright stars, through the perilous fight,
O'er the ramparts we watched, were so gallatnly streaming;
And the rocket's red glare, the bombs bursting in air,
Gave proof through the night that our flag was still there.

Oh, say does the star-spangled banner yet wave
O'er the land of the free and the home of the brave?
Oh! thus be it ever when free men shall stand
Between their loved home and the war's desolation.
Blest with vict'ry and peace, may the heav'n-rescued land
Praise the Pow'r that hath made and preserved us a Nation.

Then conquer we must, when our cause it is just,
And this be our motto, "In God is our trust."

And the star-spangled banner in triumph shall wave
O'er the land of the free and the home of the brave.

Star Spangled Banner w tłomaczeniu na polskie:

Oh, patrz jak dumnie w słońca wczesnym świcie
Powiewa sztandar nasz ze snu zbudzony nocy!
W czerwieni, bieli, błysku gwiazd na baszt obronnych szczycie
Łopotem swym grał w boju więzów kres, przemocy.
Gdy w krwawym blasku rakiet, pocisków tnie ulewa
Oh, patrz jak dumnie sztandar nasz nad nami wciąż powiewa!
I powiedz mi, że wiecznie już na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

Czy widzisz, hen na brzegu, gdzie chmury szarpie szkwał
Gdzie pełen pychy wróg w złowrogiej zapadł ciszy
Czy widzisz co na wietrze, na tle wyniosłych skał
Rozwija się i zwija i jak furkoce słyszysz?
Czy widzisz jak się mienią czerwono-białe końce
Jak w gwiazdach i szafirze poranne błyszczy słońce?
To sztandar nasz gwiaździsty! Na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

Gdzież chełpliwości pełna i wraża dziś nawała
Co ogniem i co mieczem i co najeźdźczym butem
Ojczystą naszą ziemię grabieżczo tratowała?
Już krwią jej myśmy zmyli te ślady jej zatrute!
Wróg krwawi się i pada tam w pobitewnym pyle
W proch zmienia się najeźdźca i rośnie stos w mogile.
A sztandar nasz gwiaździsty na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

I domostw naszych wolnym po wieki będzie próg!
Bo bronić my od wojny i ognia i od głodu
Będziemy zawsze kraju, by nigdy nie mógł wróg
Puklerza mocy przebić i serca zgnieść narodu.
I bronić naszych praw będziemy my przed wrogiem
Po prostych krocząc ścieżkach i zawsze krocząc z Bogiem.
A sztandar nasz gwiaździsty na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!



DWIGHT DAVID EISENHOWER

Prezydent Stanów Zjednoczonych.

ZWIĄZEK POLEK W AMERYCE

UBEZPIECZENIOWA I IDEOWA
NAJWIĘKSZA W ŚWIECIE ORGANIZACJA
DLA KOBIET I DZIECI
LICZY PRZESZŁO 86,000 CZŁONKIŃ

GRUPY W KAŻDYM WIĘKSZYM OSIEDLU POLSKIM
W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Prowadzi Klasy Tańców Ludowych Polskich Dla Młodzieży
Wydaje Stypendia Do Uniwersytetów Amerykańskich

ZASOBY: PRZESZŁO $16,000,000.00
OD ZAŁOŻENIA WYPŁACONO PRZESZŁO
$9,000,000.00 POŚMIERTNEGO

GŁÓWNE BIURA:

Polish Women's Alliance of America

1309 North Ashland Avenue

Chicago 22, Illinois

JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA



Jeszcze Polska nie zginęła,
Póki my żyjemy,
Co nam obca przemoc wzięła,
Mocą odbierzemy.

Marsz, marsz, Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej do Polski,
Za twoim przewodem
Złączym się z narodem.

Jak Czarniecki do Poznania
Po szwedzkim zaborze
Dla ojczyzny ratowania
Wrócił się przez morze,
Marsz, marsz, etc.

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Będziem Polakami,
Dał nam przykład Bonaparte,
Jak zwyciężać mamy.
Marsz, marsz etc.

Niemiec, Moskal nie osiędzie,
Gdy jąwszy pałasza,
Hasłem wszystkich zgoda będzie
I ojczyzna nasza.
Marsz, marsz etc.

Mówi ojciec do swej Basi,
Cały zapłakany:
Słuchaj jeno, pono nasi
Biją w tarabany.
Marsz, marsz etc.

Na to wszystkich jedne głosy:
Dosyć tej niewoli —
Mamy racławickie kosy,
Kościuszkę Bóg pozwoli.



Sędzia B. F. Gunther
Cenzor Z. N. P.

Zarząd Związku Narodowego Polskiego

Wybrany Na Sejmie 32-gim Związku Narodowego Polskiego w Minneapolis, Minnesota

B. F. Gunther, Cenzor Z. N. P., 810 City County Bldg., Pittsburgh 19, Pa.

Edward Kozmor, Wicecenzor Z. N. P., 76 Corbin Ave., Jersey City, N. J.

Karol Rozmarek, Prezes Z. N. P., 1514 W. Division St., Chicago 22, Ill.

Franciszka Dymek, Wiceprezeska Z. N. P., 1514 W. Division St., Chicago 22, Ill.

Dr. Stefan F. Lisowski, Wiceprezes Z. N. P., 1514 W. Division St., Chicago 22, Ill.

Józef F. Foszcz, Sekretarz Generalny Z. N. P., 1514 W. Division St., Chicago 22, Ill.

Adam Tomaszkiewicz, Skarbnik Z. N. P., 1514 W. Division St., Chicago 22, Ill.

DYREKCJA Z. N. P.:

Henryk Dudek, 137 Hermit, Philadelphia 27, Pa.

Katarzyna Ziemba-Dienes, 11935 Emerald Ave., Chicago 28, Ill.

Bronisława Helkowska, 4305 N. Austin Ave., Chicago 34, Ill.

Karolina Spisak, 5610 So. Seeley St., Chicago 36, Ill.

Dr. M. W. Majchrowicz, 4645 S. Ashland Ave., Chicago, Ill.

Adolf Pachucki, 1080 Forest Rd., Schenectady 3, N. Y.

Bonawentura Migała, 1506 N. Kedzie Ave., Chicago 51, Ill.

Jan Ulatowski, 1104 N. Ashland Ave., Chicago 22, Ill.

Franciszek Odrobina, 14633 Westpoint, Wyandotte, Mich.

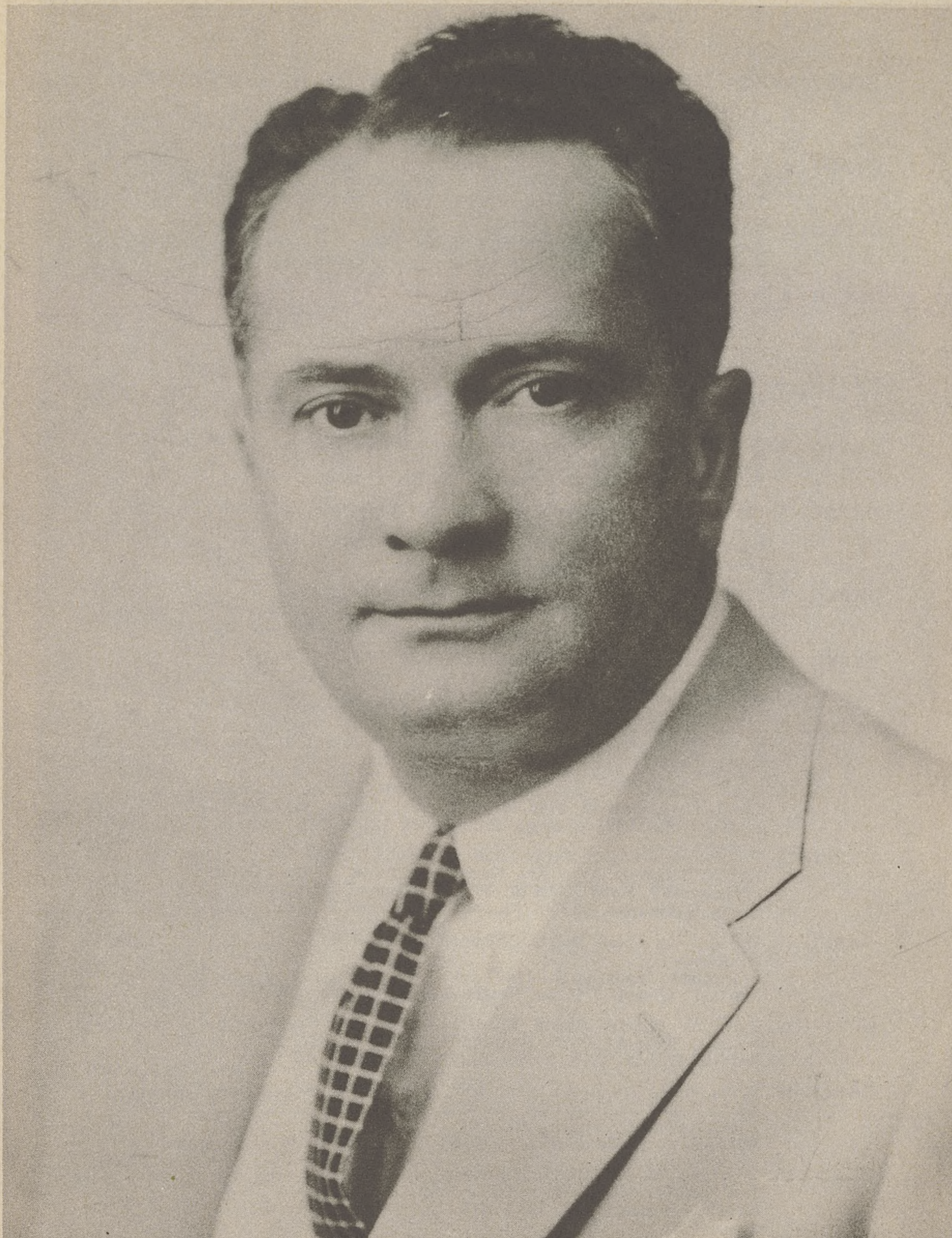
Henryk Spindor, 3800 S. Kedzie Ave., Chicago, Ill.

Dr. W. L. Sadlek, Lekarz Naczelny, 1514-20 W. Division St., Chicago 22, Ill.

Rzecznik Z. N. P., Leon Małłek, 1514-20 W. Division St., Chicago 22, Ill.

Zarządca Wydawnictw, J. Stanisław Świerczyński, 1201 N. Milwaukee Ave., Chicago 22, Illinois.

Naczelny Redaktor, Karol Piątkiewicz, 1201 N. Milwaukee Ave., Chicago 22, Illinois.



EDWARD KOZMOR
Wice-Cenzor Z. N. P.

KOMISARZE I KOMISARKI OKRĘGÓW ZWIĄZKU NAR. POLSKIEGO

OKRĘG 1. Stany Massachusetts, Rhode Island i New Hampshire —
Józef Dancewicz, 333 Union St., New Bedford, Mass. Tel. 6-9187.
Blanche F. Niemyska, 150 Willow, West Roxbury 32, Mass.

OKRĘG 2. Stan Connecticut —
Stanisław Niedźwiecki, 10 Moulthrop Street, Ansonia, Conn.
Teodora Drozd-Żegota, 2480 Corbin Ave., New Britain, Conn.

OKRĘG 3. Wschodnia Część Stanu New York —
Leopold Karol Babirecki, 339 East 18th St., New York 3, N. Y. SPring 7-2752.
Anna Tuman, 1309 Schuyler St., Utica, N. Y.

OKRĘG 4. Zachodnia Część Stanu New York —
Jan F. Nowak, 90 Rejtan St., Buffalo 6, N. Y.
Maria Tuchewicz, 956 Emerson Ave., Syracuse 9, N. Y.

OKRĘG 5. Stan New Jersey (z wyjątkiem miejscowości Camden, N. J.)—
Tadeusz Giergielewicz, 140 Carlton Ave., Jersey City, N. J.
Felicja Zochowska, 23 Ferry St., So. River, N. J.

OKRĘG 6. Stany Maryland, District of Columbia, Delaware. — Południowa Część Stanu Pennsylvania, miejscowość Camden, N. J. i Florida —
Władysław Szczygieł, 2428 E. Hazzard St., Philadelphia, Pa.
Leokadia Misiora, 6201 Carter Ave., Baltimore 14, Md.

OKRĘG 7. Północno-Wschodnia Część Stanu Pennsylvania —
Ludwik Śliwiński, 462 Main Street, Kingston, P. O., Edwardsville, Pa.
Helena Rozajewska-Dworczak, 604 Dundoff St., Dickson City, Pa.

OKRĘG 8. Zachodnia Część Stanu Pennsylvania—
Michał L. Hołodnik, 1015 Wallis Ave., Farrell, Pa.
Emilia Janowska, 295 Broadway, McKees Rocks, Pa.

OKRĘG 9. Stany Ohio, West Virginia i Virginia —
W. L. Dworakowski, 606 Akron S. L. Bldg., Akron 7, Ohio.
Irena Wallace, 536—6th St., Campbell, Ohio.

OKRĘG 10. Stan Michigan, Wyłączając Północny Półwysep tegoż Stanu —
Jakub Lewandowski, 5145 Mitchell Ave., Detroit 11, Mich.
Józefa Wolas, 9461 Charest, Hamtramck 12, Mich.

OKRĘG 11. Południowa Część Stanu Indiana, Południowa Część Stanu Illinois i Stany Missouri, Nebraska, Kansas, Arkansas, Texas i Colorado —
Franciszek P. Kawa, 5064 So. 37th St., Omaha 7, Nebr. Tel. Market 3344.
Maria Godlewska, 1307-A Missouri Ave., East St. Louis, Ill.

OKRĘG 12. Południowa Część Miasta Chicago i Południowo-Zachodnia Część Stanu Illinois —
Franciszek Jendryaszek, 10407 So. Forest Ave., Chicago 28, Ill.
Maria L. Gierut, 5746 So. Newland Ave., Chicago 38, Ill.

OKRĘG 13. Północna Strona Miasta Chicago i Północna Część Stanu Illinois —
Walenty Kożuch, 826 N. Ashland Ave., Chicago 22, Ill.
Rozalia Wójcik, 2804 Logan Blvd., Chicago 47, Ill.

OKRĘG 14. Stany Wisconsin, Iowa, Minnesota, Północny Półwysep Stanu Michigan, North Dakota i Prowincja Kanady, Manitoba —
Józef T. Tobola, Thorp, Wis.
Władysława Podkomorska, 1700 W. Lincoln Ave., Milwaukee 15, Wis.

OKRĘG 15. Północna Część Stanu Indiana —
Jan Ziemba, 3880 Jefferson St., Gary, Ind.
Konstancja Czarnecka, 328—157th St., Calumet City, Ill.

OKRĘG 16. Stany California, Oregon, Washington —
Konstanty Dombrowski, Komisarz Okr. 16, 1508 Aberdeen Ave., Aberdeen, Wash.
Bronisława Czarnecka, 14807 Sylvan St., Van Nuys, Calif.



KAROL ROZMAREK,
Prezes Z. N. P.

ZWIERZYNIEC NIEBIESKI



(ZODIAK)

Dwanaście gwiazdozbiorów znajdujących po obu stronach ekliptyki (koła), wewnątrz której poruszają się słońce, księżyc i planety.—Koło to podzielone jest na 12 równych części i starożytni nadali poniżej wyrażone nazwy różnym gwiazdozbiorom, jakie się w tych przedziałach znajdują. Początek temu zwierzyńcowi niebieskiemu daje baran.

ARIES — THE RAM — BARAN
Nazwę swoją otrzymał od pierwszego miesiąca babilońskiego, w którym palono barany na ofiarę bogom.

TAURUS — THE BULL — BYK
Nazwany tak przez starożytnych, ponieważ wyrażali oni słońce w postaci byka, któremu oddawali cześć.

GEMINI — THE TWINS — BLIŹNIĘTA
Wywodzą się z legendy o bliźniętach, których wykarmiła wilczyca, którzy potem założyli Rzym.

CANCER — THE CRAB — RAK
Słońce zaczyna swój ruch wsteczny—stąd porównanie i nazwa rak.

LEO — THE LION — LEW
Starożytni używali lwa jako symbolu gorąca, to oznacza upalny miesiąc.

VIRGO — THE VIRGIN — PANNA
Szósty ten znak Zodiaku wzięty został od czci składanej bogini wojny Ishtar—przez babilończyków.

LIBRA — THE BALANCE — WAGA
Noce i dnie równają się prawie ze sobą co do długości—symbolizowane w wadze.

SCORPIO — THE SCORPION — SKORPION
Oznacza ciemność — ponieważ dzień staje się coraz krótszy po jesiennym porównaniu dnia z nocą.

SAGITTARIUS — STRZELEC
THE CENTAUR
Babiloński bóg wojny — wyobrażony w półczłowieku pół-koniu — z łużkiem w ręku.

CAPRICORN — KOZIOROŻEC
THE GOAT
Legenda mówi, że koziorożec był piastunem młodego bożka—skońce.

AQUARIUS — WODNIK
THE WATER BEARER
Bierze swój początek z legendy o deszczach jakie padały i powodowały rozlew Nilu w Egipcie.

PISCES — THE FISHES — RYBY
Symbolizują wiarę starożytnych narodów w życie pozagrobowe.

STYCZEŃ

31 DNI — **Angielski JANUARY—Litewski—SAUSIS**
Niemiecki JANUAR—Ruski SICZEŃ
Rosyjski JANWAR — **31 DNI**

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1szy Tydzień		
1	**Niedziela**	**NOWY ROK**, Mieczysława
2	Poniedz.	**ŚWIĘTO NOWOROCZNE**
3	Wtorek	Daniel, Genowefa
4	Środa	Eugeniusz, Tytus, Aniela
5	Czwartek	Telesfor, Emilian, Edward
6	Piątek	TRZECH KRÓLI
7	Sobota	Łucjan, Julian
2gi Tydzień		
8	**Niedziela**	Seweryn, Mścisław
9	Poniedz.	Julian, Bazyli, Marcjanna
10	Wtorek	Agaton, Wilhelm
11	Środa	Feliks, Honorata
12	Czwartek	Arkadiusz, Ernest, Tacjana
13	Piątek	Weronika
14	Sobota	Hilary, Feliks
3ci Tydzień		
15	**Niedziela**	Najśw. Rodziny, Pawła
16	Poniedz.	Marceli, Włodzimierz
17	Wtorek	Antoni
18	Środa	Kat. Św. Piotra w Rzymie
19	Czwartek	Henryk, Mariusz, Marta
20	Piątek	Fabian i Sebastian
21	Sobota	Agnieszka, Jarosława
4ty Tydzień		
22	**Niedziela**	Wincenty, Anastazy
23	Poniedz.	Zaśl. N.M.P., Rajmund
24	Wtorek	Tymoteusz, Felicjan
25	Środa	Nawr. Św. Pawła
26	Czwartek	Polikarp, Paulina
27	Piątek	Jan Złotousty, Agnieszka
28	Sobota	Karol, Walery, Piotr
5ty Tydzień		
29	**Niedziela**	Franc. Salezy, Zdzisław
30	Poniedz.	Felicjan, Martyna, Hiacynta
31	Wtorek	Jan Bosko, Ludwik, Marceli

KALENDARZYK HISTORYCZNY

STYCZEŃ

1. 1807. Przybycie Dąbrowskiego do Łowicza i zaprzysiężenie pospolitego ruszenia polskiego.
3. 1795. Zawarcie Traktatu rozbiorowego między Rosją a Austrią.
4. 1797. Napoleon poleca Dąbrowskiego lombardzkiemu kongresowi stanu.
6. 1573. Zwołanie pierwszego sejmu konwokacyjnego.
7. 1429. Zjazd Jagiełły, Witolda i Zygmunta węgierskiego w Łucku.
8. 1633. Władysław IV przybywa pod Smoleńsk.
9. 1797. Podpisanie konwencji między Dąbrowskim a generalną administracją Lombardii, w sprawie legionów.
10. 1569. Otwarcie sejmu dotyczącego Unii Lubelskiej.
12. 1831. Wojska moskiewskie wkraczają do Królestwa Polskiego.
13. 1793. Prusacy wkraczają do Polski.
14. 1807. Utworzenie tymczasowego rządu w oswobodzonej Warszawie.
15. 1863. Początek "branki" w Warszawie.
16. 1832. Mikołaj I znosi konstytucję Królestwa Polskiego.
17. 1649. Koronacja Jana Kazimierza.
18. 1831. Chłopicki składa dyktaturę w ręce sejmu.
19. 1831. Zebranie sejmu ciągłego.
19. 1846. Początek rzezi w Galicji.
20. 1797. Ogłoszenie odezwy Dąbrowskiego do Polaków.
20. 1320. Koronacja Władysława Łokietka.
21. 1633. Jerzy, książę brandenburski, składa hołd Władysławowi IV.
22. 1863. Wybuch powstania.
23. 1440. Węgrzy oddają koronę królowi Władysławowi Warneńczykowi.
23. 1793. Zawarcie konwencji prusko-rosyjskiej o drugi rozbiór Polski.
25. 1588. Zwycięstwo Zamoyskiego pod Byczyną.
25. 1610. Zwycięstwo Chodkiewicza nad Moskwą pod Ułą.
25. 1831. Sejm detronizuje Mikołaja I.
26. 1507. Koronacja Zygmunta Starego.
28. 1819. Zgon Kilińskiego.
29. 1831. Sejm ustanawia Rząd Narodowy.
30. 1667. Traktat Andruszowski z Moskwą.
31. 1610. Poselstwo moskiewskie pod Smoleńskiem zaprasza Władysława IV na tron carski.
31. 1816. Otwarcie 1go Sejmu Rzeczypospolitej Krakowskiej.

Post obowiązuje: 13, 20, 27 stycznia



29 DNI — **Angielski FEBRUARY—Litewski VASARIS**
Niemiecki FEBRUAR—Rosyjski FEWRAL
Ruski LUTYJ — 28 DNI

	Dni Tygodnia	Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Środa	Ignacy, Brygida
2	Czwartek	M.B. Gromnicz., Mirosław
3	Piątek	Błażej, Wawrzyniec
4	Sobota	Andrzej, Weronika
6ty Tydzień		
5	**Niedziela**	Izydor, Albin, Agata
6	Poniedz.	Bogdan Tytus, Dorota
7	Wtorek	Romuald, Ryszard
8	Środa	Jan z Malty, Emilia
9	Czwartek	Cyryl, Apolonia
10	Piątek	Jacek, Scholastyka
11	Sobota	Ob.NMP. w Lourdes, Adolf
7my Tydzień		
12	**Niedziela**	**Ur. Lincolna i Kościuszki**
13	Poniedz.	**Święto Lincolna**, Grzegorz
14	Wtorek	Walenty, Zenon
15	Środa	POPIELEC, Faustyn
16	Czwartek	Bernard, Julianna
17	Piątek	Donat, Wincenty, Julian
18	Sobota	Symeon, Marianna
8my Tydzień		
19	**Niedziela**	Konrad, Marceli
20	Poniedz.	Leon, Zenobiusz, Eustachy
21	Wtorek	Feliks, Robert, Eleonora
22	Środa	**Ur. Washing. i Pułaskiego**
23	Czwartek	Piotr, Roman, Marta
24	Piątek	Maciej, Cezary
25	Sobota	Wiktor, Izabela, Anastazja
9ty Tydzień		
26	**Niedziela**	Aleksander, Mirosława
27	Poniedz.	Gabriel, Nestor
28	Wtorek	Teofil, Antonina
29	Środa	Roman

KALENDARZYK HISTORYCZNY

LUTY

1. 1717. Sejm "niemy" w Warszawie.
2. 1675. Koronacja Jana III w Warszawie.
2. 1421. Czesi ofiarowują tron Władysławowi Jagielle.
3. 1772. Zajęcie Zamku Wawelskiego przez konfederatów barskich.
4. 1633. Władysław IV wjeżdża do Krakowa na koronację.
4. 1633. Pogrzeb Zygmunta III.
5. 1831. Dybicz wkracza z wojskiem moskiewskim do Królestwa Polskiego.
6. 1296. Zabójstwo króla Przemysława w Rogoźnie.
7. 1633. Koronacja Władysława IVgo.
8. 1863. Bitwa pod Węgrowem.
8. 1863. Tajna konwencja Prus z Rosją, celem stłumienia powstania polskiego.
9. 1454. Ślub Kazimierza Jagiellończyka z Elżbietą austriacką.
10. 1564. Pożar Jasnej Góry.
11. 1798. Śmierć Stanisława Augusta.
12. 1386. Wjazd Jagiełły do Krakowa.
13. 1609. Chodkiewicz odbiera Szwedom Parnawę.
13. 1831. Pierwsze starcia z armią rosyjską nad Liwcem.
14. 1386. Chrzest Jagiełły w Krakowie.
15. 1574. Pogrzeb Zygmunta Augusta.
15. 1831. Zwycięstwo Dwernickiego pod Stoczkiem.
16. 1758. Urodziny Juliana Niemcewicza.
17. 1386. Jagiełło poślubia Jadwigę.
18. 1574. Wjazd Henryka Walezego do Krakowa.
19. 1472. Urodziny Mikołaja Kopernika.
21. 1846. Wybuch powstania w Krakowie.
21. 1846. Potyczka pod Narajowem.
22. 1846. Ustąpienie Austriaków z Krakowa.
23. 1807. Zajęcie Tczewa przez Dąbrowskiego.
23. 1859. Zgon Zygmunta Krasińskiego.
24. 1831. Bitwa pod Białołęką.
25. 1493. Koronacja Anny Cylejskiej, drugiej żony Jagiełły.
25. 1831. Bitwa pod Grochowem.
26. 1831. Powołanie Skrzyneckiego na wodza naczelnego.
27. 1839. Stracenie Szymona Konarskiego.
27. 1864. Ponowne ogłoszenie przez Austriaków stanu oblężenia w Krakowie i Galicji.
28. 1812. Zgon ks. Hugo Kołłątaja.
28. 1768. Zawiązanie konfederacji w Barze.

Post obowiązuje: 3, 10, 15, 17, 22, 24, 25 lutego



31 DNI **Angielski MARCH—Litewski KOVAS**
Niemiecki MAERZ—Rosyjski MART
Ruski BEREZEŃ 31 DNI

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Czwartek	Albin, Antonina
2	Piątek	Helena, Amelia
3	Sobota	Kunegunda, Teresa
10ty Tydzień		
4	**Niedziela**	Kazimierz
5	Poniedz.	Wacław, Euzebiusz
6	Wtorek	Wiktor, Róża
7	Środa	Tomasz z Akw.
8	Czwartek	Jan B., Wincenty, Emil
9	Piątek	Franciszka, Mścisława
10	Sobota	40 Męczenników, Cyprian
11ty Tydzień		
11	**Niedziela**	Konstantyn, Pelagia
12	Poniedz.	Grzegorz
13	Wtorek	Marek, Krystyna, Sabina
14	Środa	Leon, Matylda, Bożenna
15	Czwartek	Klemens, Longin
16	Piątek	Hilary, Eutrozyna
17	obota	Jan, Patryk, Zbigniew
12ty Tydzień		
18	**Niedziela**	Cyryl, Edward
19	Poniedz.	Józef, Bogdan
20	Wtorek	Aleksander, Anatol, Teodozja
21	Środa	Benedykt
22	Czwartek	Oktawian, Katarzyna
23	Piątek	Feliks, Wiktor, Pelagia
24	Sobota	Marek, Gabriel
13ty Tydzień		
25	**Niedziela**	NIEDZIELA PALMOWA
26	Poniedz.	Teodor, Emanuel, Tekla
27	Wtorek	Jan Dam. Ernest, Lidia
28	Środa	Jan Kapistr. Sykstus
29	Czwartek	WIELKI CZWARTEK
30	Piątek	WIELKI PIĄTEK, Jan K.
31	Sobota	WIELKA SOBOTA

KALENDARZYK HISTORYCZNY

MARZEC

1. 1634. Wojska moskiewskie poddają się pod Smoleńskiem Władysławowi IV.
3. 1846. Zajęcie Krakowa przez wojska trzech państw zaborczych.
4. 1386. Koronacja Władysława Jagiełły.
5. 1569. Przywileje zatwierdzające Unię Lubelską dla Podlasia.
6. 1454. Kazimierz Jagiellończyk wciela Prusy i Pomorze do Polski.
8. 1799. Kniaziewicz składa Dyrektoriatowi zdobyte sztandary.
9. 1579. Maksymilian austriacki zrzeka się praw do korony polskiej.
10. 1604. Dymitr Samozwaniec na audiencji u Zygmunta III na Wawelu.
10. 1863. Langiewicz zostaje dyktatorem.
11. 1039. Banicja Bolesława Śmiałego.
12. 1333. Śmierć Władysława Łokietka.
13. 1600. Zygmunt III. nabywa prawa do Estonii.
14. 1801. Śmierć Ignacego Krasickiego.
15. 1848 Rozruchy w Krakowie.
16. 1329. Król czeski Jan Luksemburski odstępuje bezprawnie Krzyżakom Ziemię Dobrzyńską.
17. 1832. Założenie na emigracji Towarzystwa Demokratycznego.
18. 1863. Zwycięstwo Langiewicza pod Grochowicami.
19. 1877. Śmierć Józefa Ignacego Kraszewskiego.
20. 1849. Utworzenie w Poznaniu Komitetu rewolucyjnego przez Mierosławskiego.
23. 1935. Sejm uchwalił nową Konstytucję.
24. 1794. Przysięga Kościuszki w Krakowie.
25. 1831. Wybuch powstania na Litwie, Żmudzi, Ukrainie i Podolu.
26. 1799. Legiony w walce pod Weroną i Legnano.
27. 1809. Zaszczytny udział Legionów w bitwie pod Ciadad-Rael w Hiszpanii.
28. 1657. Wjazd Rakoczego do Krakowa.
29. 1790. Zawarcie traktatu polsko-pruskiego.
30. 1831. Bitwa pod Wawrem.
31. 1831. Bitwa pod Wielkiemi Dębami.

Post obowiązuje: 2, 9, 16, 23, 30, 31 marca



30 DNI — **Angielski APRIL—Litewski BALANDIS**
Niemiecki APRIL—Rosyjski APRIEL
Ruski KWITEŃ — **30 DNI**

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
14ty Tydzień		
1	**Niedziela**	**WIELKANOC**, Hugon
2	Poniedz.	Franciszek, Leopold
3	Wtorek	Ryszard, Pankracy
4	Środa	Izydor, Benedykt, Ambroży
5	Czwartek	Wincenty, Irena
6	Piątek	Julianna
7	Sobota	Herman, Saturnin
15ty Tydzień		
8	**Niedziela**	Dionizy, January
9	Poniedz.	Hugona, Marii
10	Wtorek	Michał, Apoloniusz
11	Środa	Filip, Leon
12	Czwartek	Juliusz, Wiktor, Zenon
13	Piątek	Hermenegilda, Krystyna
14	Sobota	Justyn, Walerian
16ty Tydzień		
15	**Niedziela**	Bazyli, Anastazja
16	Poniedz.	Benedykt, Marcelian
17	Wtorek	Inocenty, Robert
18	Środa	Apoloniusz, Rudolf
19	Czwartek	Adolf, Tymon
20	Piątek	Marian, Teodor, Agnieszka
21	Sobota	Anzelm, Feliks
17ty Tydzień		
22	**Niedziela**	Soter i Kajus, Leon, Łukasz
23	Poniedz.	Wojciech, Jerzy
24	Wtorek	Fidelis, Grzegorz
25	Środa	Marek, Jarosław, Grzegorz
26	Czwartek	Marcela
27	Piątek	Teofil, Piotr, Zyta
28	Sobota	Witalis, Paweł, Witold
18ty Tydzień		
29	**Niedziela**	Piotr, Robert, Bogusław
30	Poniedz.	Marian, Katarzyna

KALENDARZYK HISTORYCZNY

KWIECIEŃ

1. 1566. Śluby Jana Kazimierza we Lwowie.
2. 1817. Kościuszko znosi pańszczyznę w Siechnowicach.
3. 1849. Zgon Juliusza Słowackiego.
4. 1794. Bitwa pod Racławicami.
4. 1814. Ostatni dekret Napoleona dla Polaków z nominacją W. Krasińskiego wodzem po ks. Józefie.
5. 1799. Bohaterska śmierć jenerała Rymkiewicza w ataku na Weronę.
6. 1364. Kazimierz W. zakłada w Krakowie Akademię.
7. 1656. Bitwa pod Warką ze Szwedami.
8. 1861. Strzały na ulicach Warszawy.
9. 1241. Bitwa pod Lignicą z Tatarami.
10. 1864. Aresztowanie Traugutta.
12. 1457. Krzyżacy wydają Malborg Polakom.
14. 1809. Wojska austriackie wkraczają do Księstwa Warszawskiego.
15. 1861. Pierwszy Sejm polski w Galicji we Lwowie.
16. 1794. Powstanie na Żmudzi.
17. 1577. Stefan Batory karze Gdańszczan.
18. 1791. Sejm czteroletni nadaje nowe prawa miastom.
18. 1884. Pogrzeb Kraszewskiego na Skałce w Krakowie.
19. 1773. Rejtan protestuje przeciw I. rozbiorowi Polski.
21. 1490. Elekcja Władysława Jagiellończyka na króla węgierskiego.
22. 1828. Ukaz cara Mikołaja I. przeciw unitom.
23. 1794. Jakób Jasiński zaczyna powstanie w Wilnie.
24. 1863. Śmierć poety Romanowskiego w bitwie pod Józefowem.
25. 1333. Koronacja Kazimierza Wielkiego.
27. 1831. Dwernicki przekracza granicę austriacką pod Chlebanówką i składa broń.
30. 1632. Śmierć Zygmunta III.

Post obowiązuje: 6, 13, 20, 27 kwietnia

MAJ

31 DNI — **Angielski MAY—Litewski GEGUŽIS**
Niemiecki MAI—Rosyjski MAJ
Ruski TRAWEŃ — **31 DNI**

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Wtorek	Filip, Jakub
2	Środa	Zygmunt, Anastazy
3	Czwartek	ROCZ. KONST. 3 MAJA
4	Piątek	Florian, Monika
5	Sobota	Pius, Izydor, Irena
19ty Tydzień		
6	**Niedziela**	Jan w Oleju
7	Poniedz.	Florian, Domicela, Ludmiła
8	Wtorek	Stanisław, Joanna
9	Środa	Grzegorz
10	Czwartek	**WNIEBOWSTĄPIENIE**
11	Piątek	Mamert, Ignacy, Adolf
12	Sobota	Pankracy, Dominik
20ty Tydzień		
13	**Niedziela**	DZIEŃ MATEK, Robert
14	Poniedz.	Bonifacy
15	Wtorek	Izydor, Zofia
16	Środa	Jan, Andrzej Bobola
17	Czwartek	Paschalis, Brunon
18	Piątek	Feliks, Bogdan
19	Sobota	Piotra, Mikołaj, Celestyn
21szy Tydzień		
20	**Niedziela**	**ZIEL. ŚWIĘTA**, Bernardyn
21	Poniedz.	Wiktor, Julia
22	Wtorek	Emil, Helena, Julia, Róża
23	Środa	Dezydery, Jan
24	Czwartek	Joanna, Estera, Zuzanna
25	Piątek	Grzegorz, Urban
26	Sobota	Filip, Augustyn
22gi Tydzień		
27	**Niedziela**	Jan
28	Poniedz.	German, August., Małgorz.
29	Wtorek	Magdalena
30	Środa	**MEMORIAL DAY**, Feliks
31	Czwartek	BOŻE CIAŁO, Aniela

KALENDARZYK HISTORYCZNY

MAJ

1. 1576. Koronacja Stefana Batorego i Anny Jagiellonki.
2. 1848. Potyczka pod Wrześnią — koniec powstania.
3. 1791. Uchwalenie Konstytucji 3. Maja.
4. 1505. Król Aleksander wydaje nowe prawa.
5. 1821. Zgon Napoleona na wyspie św. Heleny.
7. 1810. Król Saski przybywa do Krakowa.
8. 1079. Śmierć św. Stanisława biskupa.
9. 1794. Lud warszawski stawia szubienice Targowiczanom.
9. 1809. Wojsko Księstwa Warszawskiego wkracza do Lublina.
10. 1808. Konwencja bajońska między Napoleonem a królem Saskim.
12. 1935. Zgon Marszałka Piłsudskiego.
13. 1588. Pogrzeb Stefana Batorego.
13. 1813. Moskale zajmują Kraków.
14. 1792. Targowiczanie zawiązują konfederację.
15. 1811. Zwycięskie starcie lansjerów polskich z Anglikami nad rzeką Albuhera.
15. 1815. Ustanowienie W. ks. Poznańskiego z zapewnieniem przez króla pruskiego swobód polskiej narodowości.
16. 1429. Urodziny Kazimierza Jagiellończyka.
16. 1861. Zniesienie pańszczyzny według projektu Wielopolskiego.
17. 1773. Wojska zaborcze wkraczają do Warszawy.
17. 1810. Król Saski przybywa do Warszawy.
17. 1944. Zdobycie Monte Cassino.
18. 1674. Elekcja Jana Sobieskiego na króla.
18. 1802. Wysłanie Legionów na San Domingo.
18. 1809. Generał Sokolnicki i Różniecki zajmują Sandomierz.
19. 1809. Szturm na Zamość i upadek twierdzy.
20. 1648. Śmierć Władysława IV. w Mereczu.
21. 1863. Bitwa w puszczy Łabonarskiej.
22. 1609. Zygmunt III. oblega Smoleńsk.
23. 1647. Klęska Polaków pod Żółtemi Wodami.
24. 1543. Śmierć Mikołaja Kopernika.
25. 1371. Władysław Jagiellończyk królem czeskim.
26. 1831. Bitwa pod Ostrołęką.
27. 1569. Wcielenie Ziemi bracławskiej do Korony.
28. 1793. Zajęcie Gdańska przez Prusaków.
29. 1861. Śmierć Joachima Lelewela.
30. 1434. Śmierć Władysława Jagiełły w Gródku.
31. 1364. Kazimierz W. nadaje przywileje Akademii.

Post obowiązuje: 4, 11, 18, 19, 23, 25, 26



CZERWIEC

30 DNI

Angielski JUNE—Litewski BERŻELIS
Niemiecki JUNI—Rosyjski JUŃ
Ruski CZERWEŃ

30 DNI

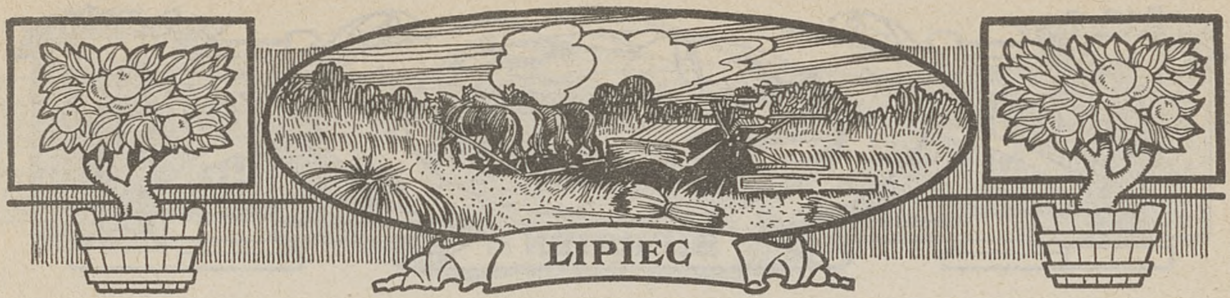
Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Piątek	Jakub, Konrad
2	Sobota	Erazm, Marcelina
23ci Tydzień		
3	**Niedziela**	Leszek, Klotylda
4	Poniedz.	Franciszek, Teodora
5	Wtorek	Bonifacy, Maria, Waleria
6	Środa	Norbert, Łucja
7	Czwartek	Robert, Wiesław
8	Piątek	Medard, Seweryn, Elżbieta
9	Sobota	Felicjan, Julian
24ty Tydzień		
10	**Niedziela**	Jan, Bogumił, Małgorzata
11	Poniedz.	Barnaba, Feliks
12	Wtorek	Jan, Onufry
13	Środa	Antoni z Padwy, Łucjan
14	Czwartek	**DZIEŃ FLAGI,** Bazyli
15	Piątek	Wit i Modest, Jolanta
16	Sobota	Benon, Justyna, Alina
25ty Tydzień		
17	**Niedziela**	DZIEŃ OJCÓW, Adolf
18	Poniedz.	Marek, Elżbieta
19	Wtorek	Gerwazy, Julianna
20	Środa	Juliusz, Florentyna
21	Czwartek	Alojzy, Janusz, Bogumiła
22	Piątek	Paulina
23	Sobota	Zenon, Wanda
26ty Tydzień		
24	**Niedziela**	Jan Chrzciciel
25	Poniedz.	Wilhelm, Łucja
26	Wtorek	Jan, Paweł
27	Środa	Władysław
28	Czwartek	Ireneusz, Leon
29	Piątek	PIOTR i PAWEŁ
30	Sobota	Ernest, Lucyna, Emilia

KALENDARZYK HISTORYCZNY

CZERWIEC

2\. 1624. Urodziny Jana Sobieskiego.
3\. 1605. Śmierć Jana Zamoyskiego.
4\. 1872. Zgon Stanisława Moniuszki.
5\. 1569. Wcielenie Kijowszczyzny do Korony.
5\. 1794. Bitwa pod Szczekocinami.
6\. 1818. Śmierć Henryka Dąbrowskiego.
7\. 1492. Śmierć Kazimierza Jagiellończyka.
8\. 1862. Nadanie autonomii Królestwu — Wielopolski naczelnikiem Rządu Cywilnego.
9\. 1815. Kongres Wiedeński uchwalił utworzenie Królestwa Polskiego.
10\. 1863. Bitwa pod Ignacowem koło Gopła.
12\. 1893. Pogrzeb Lenartowicza na Skałce.
13\. 1611. Zdobycie Smoleńska przez Zygmunta III
14\. 1807. Bitwa pod Frydlandem.
15\. 1809. Wojska polskie wkraczają do Krakowa.
17\. 1696. Śmierć Jana III. Sobieskiego w Wilanowie.
18\. 1434. Pogrzeb Władysława Jagiełły.
18\. 1574. Henryk Walezy opuszcza Polskę.
18\. i 19. 1799. Walki nad Trebbią. Zaszczytne odznaczenie się Dąbrowskiego i Chłopickiego.
19\. 1205. Leszek Biały zwycięża Romana halickiego pod Zawichwostem.
20\. 1815. Ogłoszenie Królestwa Kongresowego.
21\. 1768. Ogłoszenie Konfederacji barskiej w Krakowie.
23\. 1818. Pogrzeb Kościuszki w Krakowie.
24\. 1768. Rzeź humańska.
24\. 1812. Przejście Niemna przez Napoleona.
25\. 1447. Kazimierz Jagiellończyk wstępuje na tron.
26\. 1812. Zwołanie nadzwyczajnego Sejmu w Warszawie.
27\. 1794. Zaburzenia w Warszawie.
28\. 1812. Napoleon wjeżdża do Wilna.
29\. 1470. Władysław Jagiellończyk królem Węgier.
30\. 1651. Bitwa pod Beresteczkiem.
30\. 1657. Szwedzi ustępują z Krakowa.

Post obowiązuje: 1, 8, 15, 22, 29 czerwca



31 DNI — **Angielski JULY—Litewski LIEPOS**
Niemiecki JULI—Rosyjski JIUL
Ruski ŁYPEŃ — **31 DNI**

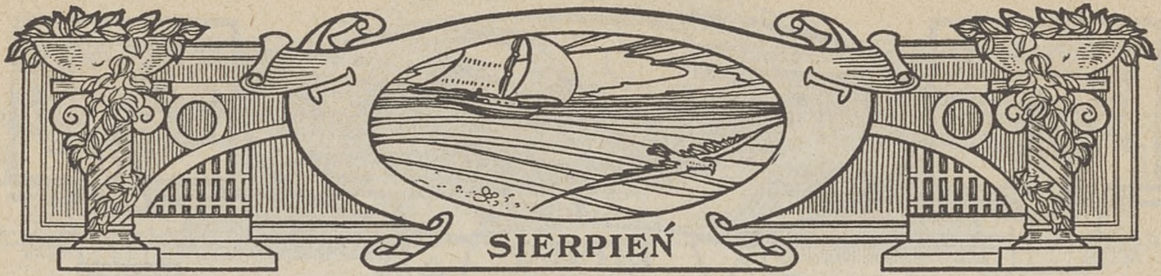
	Dni Tygodnia	Kalendarz Rzymsko-Katolicki
27my Tydzień		
1	**Niedziela**	Przen. Krwi P. J., Juliusz
2	Poniedz.	Nawiedz. N.M.P., Urban
3	Wtorek	Anatol, Leon, Alfred, Jacek
4	Środa	**DZIEŃ NIEPODLEGŁOŚCI**
5	Czwartek	Antoni, Filomena
6	Piątek	Dominik, Romuald, Łucja
7	Sobota	Cyryl i Metody
28my Tydzień		
8	**Niedziela**	Prokop, Elżbieta
9	Poniedz.	Tomasz, Weronika, Mikołaj
10	Wtorek	7 Braci Męczen., Amelia
11	Środa	Pius, Olga, Pelagia
12	Czwartek	Jan, Gwalbert
13	Piątek	Eugeniusz, Małgorzata
14	Sobota	Bonawentura, Marceli
29ty Tydzień		
15	**Niedziela**	Henryk, Wit
16	Poniedz.	N.M.P. Szkapl., Andrzej
17	Wtorek	Aleksy, Bogdan
18	Środa	Kamil, Szymon
19	Czwartek	Wincenty a Paulo
20	Piątek	Czesław, Hieron., Małgorz.
21	Sobota	Wiktor, Andrzej, Prakseda
30ty Tydzień		
22	**Niedziela**	Maria Magdalena
23	Poniedz.	Apolinary
24	Wtorek	Kunegunda, Kinga, Kryst.
25	Środa	Jakub, Krzysztof
26	Czwartek	Anna, Mierosława
27	Piątek	Pantaleon, Natalia
28	Sobota	Innocenty, Wiktor
31szy Tydzień		
29	**Niedziela**	Urban, Fel. Marta Beatr.
30	Poniedz.	Abdon, Donat, Rufin
31	Wtorek	Ignacy L., Justyn, Helena

KALENDARZYK HISTORYCZNY

LIPIEC

1. 1569. Sejm w Lublinie.
2. 1849. Rozwiązanie Legionu Mickiewicza.
3. 1655. Wkroczenie Szwedów do Polski.
4. 1890. Pogrzeb Adama Mickiewicza w Krakowie.
6. 1607. Bitwa pod Guzowem i stłumienie rokoszu Zebrzydowskiego.
7. 1572. Śmierć Zygmunta Augusta.
7. 1807. Utworzenie Księstwa Warszawskiego traktatem w Tylży.
9. 1330. Krzyżacy palą Nakło.
10. 1685. Zwycięstwo nad Tatarami pod Jazłowcem.
11. 1649. Bitwa z Kozakami pod Zborowem.
12. 1704. Pierwsza elekcja Stanisława Leszczyńskiego na króla.
13. 1666. Bitwa pod Mątwami między Janem Kazimierzem i Jerzym Lubomirskim.
15. 1410. Zwycięstwo pod Grunwaldem.
15. 1794. Wojska rosyjsko - pruskie otaczają Warszawę.
16. 1631. Konfederacja warszawska po śmierci Zygmunta III.
17. 1399. Śmierć królowej Jadwigi.
18. 1863. Bitwa pod Janowem.
19. 1525. Hołd księcia Alberta pruskiego.
20. 1570. Zygmunt August nadaje przywileje Gdańskowi.
20. 1794. Wypędzenie Moskali z Wilna.
21. 1440. Koronacja Władysława Warneńczyka na króla Węgier.
22. 1807. Nadanie konstytucji Księstwu Warszawskiemu.
23. 1683. Wyjazd Jana III. na odsiecz Wiednia.
24. 1792. Stanisław August przystępuje do Targowicy.
25. 1434. Koronacja Władysława Warneńczyka na króla polskiego.
26. 1295. Przemysław wznawia Królestwo Polskie.
27. 1697. Elekcja Augusta II. na króla.
28. 1914. Wybuch wojny światowej.
29. 1799. Kapitulacja Mantui i zniszczenie Legii drugiej.
30. 1838. Urodziny Jana Matejki.
31. 1847. Powieszenie Wiśniowieckiego i Kapuścińskiego.

Post obowiązuje: 6, 13, 20, 27 lipca



31 DNI — **Angielski AUGUST—Litewski RUGPIUTIS**
Niemiecki AUGUST—Rosyjski AWGUST
Ruski SERPEŃ — **31 DNI**

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Środa	Piotr w Okowach
2	Czwartek	N.M.P. Anielska, Gustaw
3	Piątek	Znla. Relikwii Św. Szczep.
4	Sobota	Dominik
32gi Tydzień		
5	**Niedziela**	N.M.P. Śnieżna, Stanisława
6	Poniedz.	Przemienienie Pańskie
7	Wtorek	Kajetan, Donat
8	Środa	Cyriak, Emilian, Justyn*
9	Czwartek	Roman, Jan
10	Piątek	Wawrzyniec, Bogdan
11	Sobota	Tuburcjusz, Zuzanna
33ci Tydzień		
12	**Niedziela**	Hilary, Klara
13	Poniedz.	Hipolit, Jan, Helena
14	Wtorek	Euzebiusz
15	Środa	**WNIEBOWZIĘCIE N.M.P.**
16	Czwartek	Roch, Joachim, Ambroży
17	Piątek	Jacek, Paweł, Julian
18	Sobota	Agapit, Włodzimierz, Helen
34ty Tydzień		
19	**Niedziela**	Bolesław, Ludwik
20	Poniedz.	Bernard, Samuel
21	Wtorek	Daniel, Joanna
22	Środa	Tymoteusz, Hipolit
23	Czwartek	Filip, Apolinary, Wiktor
24	Piątek	Bartłomiej, Jerzy
25	Sobota	Ludwik, Grzegorz
35ty Tydzień		
26	**Niedziela**	N.M.P. Jasnog., Konstant.
27	Poniedz.	Józef Kalasanty
28	Wtorek	Augustyn
29	Środa	Ścięcie Św. Jana, Sabina
30	Czwartek	Feliks, Róża z Limy
31	Piątek	Rajmund, Marek

KALENDARZYK HISTORYCZNY

SIERPIEŃ

1. 1944 Wybuch Powstania Warszawskiego.
1. 1520. Urodziny Zygmunta Augusta.
2. 1897. Śmierć Adama Asnyka.
3. 1831. Świetny odwrót Dembińskiego z Litwy.
4. 1310. Rzeź w Gdańsku, dzieło Krzyżaków.
5. 1772. Traktat pierwszego rozbioru Polski.
6. 1897. Złożenie zwłok Adama Asnyka na Skałce w Krakowie.
9. 1650. Śmierć kanclerza Józefa Ossolińskiego.
9. 1849. Gen. Bem, mianowany naczelnym wodzem wojsk węgierskich.
10. 1107. Bolesław Krzywousty bije Prusaków pod Nakłem.
11. 1569. Zawarcie Unii w Lublinie.
11. 1702. Wojska Karola XII, zajmują Zamek Wawelski.
12. 1794. Moskale zajmują Wilno.
13. 1773. Pogrzeb konfederatów barskich w Krakowie.
14. 1018. Wjazd Bolesława Chrobrego do Kijowa.
15. 1772. Upadek Konfederacji barskiej.
16. 1680. Jan Sobieski wjeżdża do Jass na Multanach.
17. 1812. Wojska Księstwa Warszawskiego w szturmie na Smoleńsk.
18. 1812. Zdobycie Smoleńska przez korpus polski.
18. 1849. Legion polski biorący udział w powstaniu węgierskim, przenosi się z Węgier do Serbii.
19. 1587. Elekcja Zygmunta III. Wazy.
20. 1672. Zdobycie Kamieńca przez Turków.
21. 1649. Zbaraż uwolniony od oblężenia Tatarów i Kozaków.
22. 1795. Akt zawiązania Deputacji polskiej we Francji dla starań w sprawie polskiej.
23. 1794. Ogłoszenie powstania Kościuszki w Wielkopolsce.
23. 1809. Urodziny J. Słowackiego.
24. 1656. Stefan Czarniecki bije Szwedów pod Strzemesznem.
25. 1526. Zygmunt I. wjeżdża uroczyście do Warszawy.
26. 1601. Karol Chodkiewicz uwalnia Rygę od oblężenia Szwedów.
29. 1656. Wyparcie Szwedów z Krakowa.
30. 1794. Kościuszko odpiera nowe szturmy Prusaków na Warszawę.
31. 1579. Stefan Batory zdobywa Połock.

Post obowiązuje: 3, 10, 14, 17, 24, 31 sierpnia

WRZESIEN

30 DNI — **Angielski SEPTEMBER—Litewski RUGSEJAS Niemiecki SEPTEMBER—Rosyjski SIENTIABR—Ruski WERESEŃ** — **30 DNI**

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Sobota	Idzi, Bronisława
36ty Tydzień		
2	**Niedziela**	Stefan
3	Poniedz.	**ŚWIĘTO PRACY,** Szymon
4	Wtorek	Rozalia, Róża
5	Środa	Wawrzyniec, Justyna
6	Czwartek	Zachariasz, Eugeniusz
7	Piątek	Melchior, Regina
8	Sobota	Narodzenie N. M. P.
37my Tydzień		
9	**Niedziela**	Piotr, Sergiusz
10	Poniedz.	Mikołej, Łukasz, Łucja
11	Wtorek	Prot, Jacek, Pafnucy
12	Środa	Im. N.M.P., Gwidon, Klara
13	Czwartek	Filip, Eugenia
14	Piątek	Podw Św. Krzyża, Kalikst
15	Sobota	M.B. Bolesnej, Nikodem
38my Tydzień		
16	**Niedziela**	Kornel, Cyprian, Ludmiła
17	Poniedz.	Blizny Św. Fran. Jacek
18	Wtorek	Józef, Tomasz, Irena
19	Środa	January, Gustaw, Teodor
20	Czwartek	Eustachy, Filipina
21	Piątek	Mateusz
22	Sobota	Tomasz, Maurycy
39ty Tydzień		
23	**Niedziela**	Tekla, Boguchwała
24	Poniedz.	N.M.P. od Wyk. N. Gerard
25	Wtorek	Władysław, Kleofas
26	Środa	Cyprian, Justyn
27	Czwartek	Kosma i Damian
28	Piątek	Wacław, Marek
29	Sobota	Michał Archanioł
40ty Tydzień		
30	**Niedziela**	Hieronim, Grzegorz

KALENDARZYK HISTORYCZNY

WRZESIEŃ

1. 1675. Jan III. oswobadza Trembowlę.
2. 1793. Sejm w Grodnie uchwala drugi podział Polski.
3. 1612. Zwycięstwo Karola Chodkiewicza pod Moskwą.
4. 1656 Wjazd Jana Kazimierza do Krakowa po wypędzeniu Szwedów.
5. 1794. Prusacy odstępują od oblężenia Warszawy.
6. 1580 Stefan Batory zdobywa Wielkie Łuki.
7. 1764. Ostatnia elekcja: wybór Stanisława Augusta Poniatowskiego.
8. 1883. Ugoda mocarstw rozbiorowych w Muenchengraetz przeciw Polsce.
9. 1814. Wprowadzenie zwłok ks. Józefa do Warszawy.
10. 1794. Dąbrowski z powstańcami pod Kołem nad Wartą.
11. 1683. Sobieski na Kahlenbergu.
12. 1683. Zwycięstwo Sobieskiego pod Wiedniem.
13. 1820. Car Aleksander I. zagaja Sejm w Warszawie.
14. 1484. Książę mołdawski składa hołd Kazimierzowi Jagiellończykowi.
15. 1697. Koronacja Augusta II.
16. 1668. Jan Kazimierz składa koronę.
17. 1462. Zwycięstwo wojsk Kazimierza Jagiellończyka nad Krzyżakami pod Puckiem-Żarnowcem.
18. 1454. Bitwa z Krzyżakami pod Chojnicami.
19. 1861. Zamach na hr. Berga w Warszawie.
20. 1492. Koronacja Jana Olbrachta.
21. 1699. Turcy oddają Polsce Kamieniec Podolski.
22. 1703. Konfederacja jeneralna sandomierska za Augusta II.

24. 1621. Zgon Karola Chodkiewicza.
25. 1793. Delegacja Sejmu w Grodnie podpisuje akt zgody na drugi rozbiór z Prusami.
27. 1331. Łokietek zadaje Krzyżakom klęskę pod Płowcami.
27. 1605. Zwycięstwo Chodkiewicza nad Szwedami pod Kirchholmem.
27. 1612. Śmierć ks. Piotra Skargi w Krakowie.
28. 1648. Bitwa pod Piławcami.
28. 1651. Ugoda białocerkiewska z Kozakami.
29. 1669. Koronacja Michała Korybuta Wiśniowieckiego.
30. 1657. Przymierze Polski z Danią przeciw Szwecji.

Post obowiązuje: 7, 14, 19, 21, 22, 28 września

PAŹDZIERNIK

31 DNI

Angielski OCTOBER—Litewski SPALIUS
Niemiecki OKTOBER—Rosyjski OKTIABR
Ruski ŻOWTEŃ

31 DNI

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Poniedz.	Jan z Dukli, Remigiusz
2	Wtorek	Aniołów Stróżów, Teofil
3	Środa	Teresy od Dziec. Jezus
4	Czwartek	Franciszek z Asyżu
5	Piątek	Placyd, Apolinary
6	Sobota	Brunon, Artur, Emil
41szy Tydzień		
7	**Niedziela**	N. M. P. Różańcowej, Marka
8	Poniedz.	Brygida, Pelagia
9	Wtorek	Dionizy, Ludwik, Bogdan
10	Środa	Franciszek Borg. Paula
11	Czwartek	**DZIEŃ PUŁASKIEGO**
12	Piątek	**COLUMBUS DAY,**
13	Sobota	M. B. z Fatima, Edward,
42gi Tydzień		
14	**Niedziela**	Kalikst
15	Poniedz.	Jadwiga, Teresa
16	Wtorek	Leopold, Gaweł, Florentyna
17	Środa	Wiktor, Małgorzata, Maria
18	Czwartek	Łukasz Ewangelista
19	Piątek	Piotr, Pelagia
20	Sobota	Jan Kanty, Irena
43ci Tydzień		
21	**Niedziela**	Hilarion, Urszula
22	Poniedz.	Filip, Salomea, Kordula
23	Wtorek	Seweryn, Ignacy, Roman
24	Środa	Rafał Archanioł, Marcin
25	Czwartek	Kryspin, Bonifacy
26	Piątek	Ewaryst
27	Sobota	Sabina
44ty Tydzień		
28	**Niedziela**	Szymon, Tadeusz
29	Poniedz.	Abraham, Narcyz, Euzebia
30	Wtorek	Alfons, Edmund
31	Środa	DZIEŃ WILKOŁAKÓW, Antoni, Lucylla

KALENDARZYK HISTORYCZNY

PAŹDZIERNIK

1. 1794. Dąbrowski zajmuje Bydgoszcz.

2. 1413. Unia Horodelska z Litwą.

5. 1831. Przejście armii jen. Rybińskiego do Prus.

7. 1620. Klęska pod Cecorą.

9. 1683. Zwycięstwo Sobieskiego nad Turkami pod Parkanami.

10. 1796. Memoriał Dąbrowskiego do Dyrektoriatu z projektem formacji Legionów.

11. Rocznica zgonu Gen. Kazimierza Pułaskeigo pod Savannah w r. 1779.

12. 1617. Królewicz Władysław zdobywa na Moskwie Drohobuż.

13. 1282. Wielkie zwycięstwo Leszka Czarnego nad Jadźwingami w okolicach Narwi.

15. 1817 Śmierć Tadeusza Kościuszki.

16. 1861. Moskale katują w Warszawie lud w kościołach.

17. 1863. Powstanie Rządu Narodowego z Trauguttem na czele.

19. 1818. Śmierć ks. Józefa Poniatowskiego w rzece Elsterze.

24. 1795. Przystąpienie Prus do konwencji rozbiorowej.

26. 1497. Klęska Jana Olbrachta w lasach bukowińskich.

30. 1609. Oblężenie Smoleńska przez Zygmunta III.

Post obowiązuje: 5, 12, 19, 26, 31 października



30 DNI | **Angielski NOVEMBER—Litewski LAKPRITYS**
Niemiecki NOVEMBER—Rosyjski NOJABR
Ruski PADOŁYST | **30 DNI**

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Czwartek	**WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH**
2	Piątek	DZIEŃ ZADUSZNY
3	Sobota	Hubert, Sylwia
45ty Tydzień		
4	**Niedziela**	Karol Borom.
5	Poniedz.	Zachariasz, Elżbieta
6	Wtorek	Leonard, Feliks
7	Środa	Arnest, Antoni, Salomea
8	Czwartek	Bogdan, Sewer, Ida
9	Piątek	Teodor, Orest
10	Sobota	Andrzej, Lubomir
46ty Tydzień		
11	**Niedziela**	ŚWIĘTO NIEP. POL.
12	Poniedz.	**ARMISTICE DAY**
13	Wtorek	Stanisław Kostka
14	Środa	Józafat
15	Czwartek	Leopold, Wojciech
16	Piątek	M.B. Ostrobram., Edmund
17	Sobota	Grzegorz, Salomea
47my Tydzień		
18	**Niedziela**	Katedry Św. Piotra, Roman
19	Poniedz.	Felicjan, Elżbieta
20	Wtorek	Feliks, Edmund, Anatol
21	Środa	Ofiarowanie N. M. P.
22	Czwartek	Marek, Cecylia
23	Piątek	Klemens, Felicyta
24	Sobota	Jan od Krzyża, Aleksander
48my Tydzień		
25	**Niedziela**	Katarzyna, Erazm
26	Poniedz.	Konrad, Leonard, Jan
27	Wtorek	Walerian, Jakub
28	Środa	Grzegorz, Zdzisław
29	Czwartek	**ŚWIĘTO DZIĘK.**, Błażej
30	Piątek	Andrzej, Zbysława

KALENDARZYK HISTORYCZNY

LISTOPAD

1. 1769. Bitwa pod Lanckoroną.
1. 1905. Rzeź na Placu Teatralnym w Warszawie.
2. 1814. Memorandum Metternicha do Kongresu wiedeńskiego, celem odbudowania Polski.
3. 1806. Dąbrowski i Wybicki przed Napoleonem w Berlinie w sprawie powstania Wielkopolan.
4. 1794. Rzeź Pragi.
5. 1370. Śmierć Kazimierza Wielkiego.
6. 1799. Zwycięski udział dywizji Dąbrowskiego w bitwie pod Novi.
8. 1412. Zygmunt Luksemburski oddaje Polsce ziemię Spiską w zastaw.
9. 1673. Zwycięstwo Sobieskiego pod Chocimem.
10. 1794 Korpus Dąbrowskiego składa broń pod Raszycami.
11. 1444. Bitwa pod Warną, śmierć króla Władysława.
13. 1783. Washington mianuje Kościuszkę generałem brygady.
14. 1803. Rozkaz generalny Dąbrowskiego do byłego wojska polskiego, wydany w Poznaniu.
16. 1808. Dekret Dąbrowskiego o poborze rekruta w Wielkopolsce.
17. 1796. Car Paweł wypuszcza Kościuszkę z więzienia.
18. 1655. Wojska szwedzkie oblęgają Częstochowę.
18. 1776. Kościuszko mianowany pułkownikiem wojsk amerykańskich.
19. 1794. Armia Rzeczypospolitej przestaje istnieć.
19. 1807. Deputacja Polaków przed Napoleonem w Berlinie.
21. 1893. Rzeź w Krożach.
23. 1794. Zamknięcie Sejmu grodzieńskiego.
23. 1805. Legioniści polscy pod Castel Franco.
25. 1795. Koniec panowania Stanisława Augusta.
26. 1806. Wojska Napoleona zajmują Warszawę.
26. 1855. Śmierć Adama Mickiewicza.
27. 1806. Cesarz Napoleon w Poznaniu.
27, 28. 1812. Przejście przez Berezynę.
28. 1907. Śmierć Stanisława Wyspiańskiego.
29. 1466. Krzyżacy zwracają Polsce Pomorze i część Prus.
29. 1830. Wybuch powstania w Warszawie.
29. 30. 1808. Walki i wzięcie wąwozu Somosierra przez szwoleżerów polskich.

Post obowiązuje: 2, 9, 16, 23, 30 listopada



31 DNI

Angielski DECEMBER—Litewski GRUODIS
Niemiecki DEZEMBER—Rosyjski DIEKABR
Ruski HRUDEŃ

31 DNI

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Sobota	Eligiusz, Natalia
49ty Tydzień		
2	**Niedziela**	**1-sza Adwentu,** Bibiana
3	Poniedz.	Franciszek, Ksawery
4	Wtorek	Piotr, Barbara
5	Środa	Anastazy, Saba, Krystyna
6	Czwartek	Mikołaj, Emil
7	Piątek	Ambroży
8	Sobota	**NIEP. POCZ. N. M. P.**
50ty Tydzień		
9	**Niedziela**	Piotr, Wiesław, Leokadia
10	Poniedz.	N. M. P. Loret. Julia
11	Wtorek	Damazy, Sabina
12	Środa	Aleksander, Konstanty
13	Czwartek	Władysław, Łucja, Otylia
14	Piątek	Teodor, Alfred
15	Sobota	Walerian, Wiktor, Celina
51szy Tydzień		
16	**Niedziela**	Euzebiusz, Adela
17	Poniedz.	Łazarz, Florian, Olimpia
18	Wtorek	Gracjan, Bogusław
19	Środa	Grzegorz, Urban
20	Czwartek	Teofil, Juliusz, Bogumiła
21	Piątek	Tomasz, Jan
22	Sobota	Zenon, Leon, Honorata
52gi Tydzień		
23	**Niedziela**	Wiktoria, Sławomir
24	Poniedz.	WIGILIA, Adam, Ewa
25	Wtorek	**BOŻE NARODZENIE**
26	Środa	Szczepan
27	Czwartek	Jan Ewangelista
28	Piątek	Młodziankowie, Teofil
29	Sobota	Tomasz
30	**Niedziela**	Eugenia, Sabina
31	Poniedz.	Sylwester, Melania

KALENDARZYK HISTORYCZNY

GRUDZIEŃ

1. 1830. Chłopicki obejmuje naczelną komendę armii.
2. 1413. Sejm horodelski.
3. 1830. Gen. Szembek z I pułkiem strzelców łączy się z powstaniem.
4. 1796. Pierwsze spotkanie Dąbrowskiego z Napoleonem.
5. 1830. Chłopicki zostaje dyktatorem.
6. 1387. Kraków składa hołd królowi Jagielle.
7. 1806. Wezwanie ks. Józefa do objęcia czynności naczelnego wodza.
8. 1506. Zygmunt Stary królem.
10. 1857. Śmierć generała Józefa Bema w Aleppo.
12. 1501. Koronacja Aleksandra Jagiellończyka.
13. 1587. Śmierć Stefana Batorego.
13. 1867. Zgon Artura Grottgera.
15. 1828. Tajny związek w Szkole Podchorążych.
17. 1530. Elekcja Zygmunta Augusta.
18. 1830. Sejm uznaje powstanie za narodowe.
19. 1812. Napoleon w Warszawie.
20. 1830. Sejm powierza dyktaturę Chłopickiemu.
21. 1658. Zwycięstwo Czarnieckiego nad Szwedami pod Goldyngą.
23. 1595. Zawarcie Unii w Brześciu.
24. 1798. Urodziny Adama Mickiewicza.
24. 1815. Uroczyste zaprowadzenie Konstytucji nadanej Królestwu kongresowemu.
25. 1806. Uniwersał Radzimińskiego, zwołujący pospolite ruszenie pod Łowicz.
26. 1655. Jenerał szwedzki, Mueller zwija oblężenie Jasnej Góry.
27. 1587. Koronacja Zygmunta III. w Krakowie.
28. 1800. Legia Kniaziewicza w walce pod Hohenlinden.
30. 1855. Przewiezienie zwłok Mickiewicza z Turcji do Francji.
31. 1657. Rakoczy siedmiogrodzki wkracza do Polski.

Post obowiązuje: 7, 14, 19, 21, 22, 24, 28 grudnia

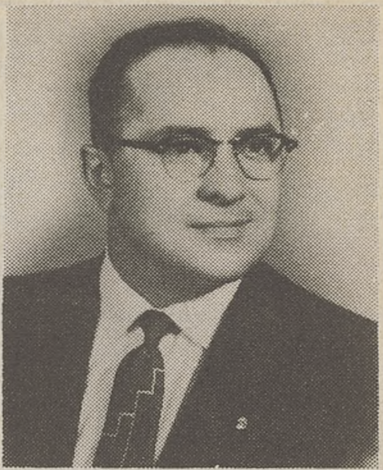
ZARZĄD CENTRALNY Z. N. P.



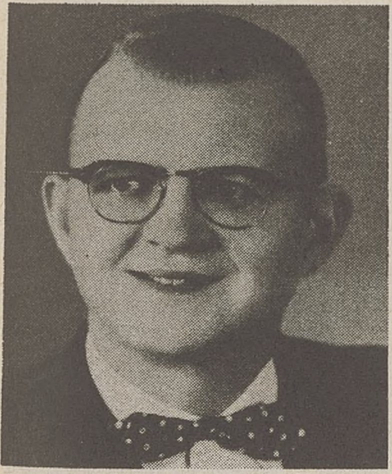
KAROL ROZMAREK
Prezes Z.N.P.



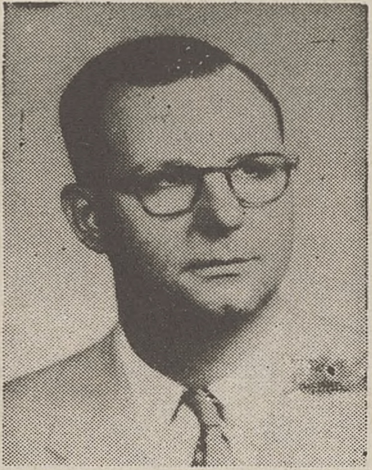
FRANCISZKA DYMEK
Wiceprezeska Z.N.P.



DR. STEFAN F. LISOWSKI
Wiceprezes Z.N.P.



JÓZEF F. FOSZCZ
Sekretarz Gen. Z.N.P.



ADAM J. TOMASZKIEWICZ
Skarbnik Z.N.P.



HENRYK DUDEK
Dyrektor Obwodu "C" Z.N.P.



K. ZIEMBA-DIENES
Dyrektorka Z.N.P.



BRON. HELKOWSKA
Dyrektorka Z.N.P.



KAROLINA SPISAK
Dyrektorka Z.N.P.

ZARZĄD CENTRALNY Z. N. P.



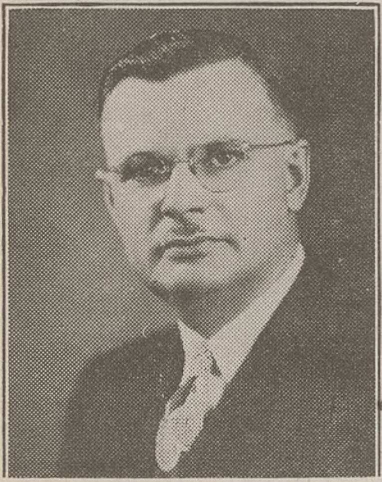
DR. M. W. MAJCHROWICZ
Dyrektor Z.N.P.



ADOLF PACHUCKI
Dyrektor Obwodu "B" Z.N.P.



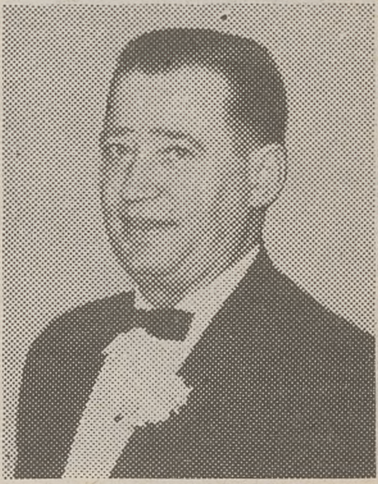
BONAWENTURA MIGAŁA
Dyrektor Z.N.P.



JAN ULATOWSKI
Dyrektor Z.N.P.



FRANCISZEK ODROBINA
Dyrektor Obwodu "D" Z.N.P.



HENRYK SPINDOR
Dyrektor Z.N.P.



DR. W. A. SADLEK
Lekarz Naczelny Z.N.P.

ALFABETYCZNY WYKAZ IMION ŚWIĘTYCH

A

Abdona Męczennika 30 Lipca
Adama 24 Grudnia
Adelajdy 10 Grudnia
Adolfa Biskupa 17 Czerwca
Adryana Męczen. 9 Września
Agapita Męczen. 18 Sierpnia
Agatona Papieża 10 Sstycznia
Agnieszki P-ny Męcz. 21 Sty.
Agaty Panny Męcz. 5 Lutego
Agrypiny 23 Czerwca
Albina Biskupa 1 Marca
Albiny Panny 16 Grudnia
Alexandra M. w Rzymie 26 Lutego
Alexandra Męcz. 3 Maja
Alexandra M. w Alex 12 Grudnia
Alexego Wyznawcy 17 Lipca
Alfonsa 2 Sierp. i 22 Paźdz.
Alfreda 3 Lipca
Alodji P. M. 21 Października
Alojzego Gonzagi 21 Czerwca
Amelii księżnej 10 Lipca
Ambrożego Biskupa 7 Grud.
Amalii Panny 2 Marca
Anastazego M. 22 Stycznia
Anastazego Papieża 27 Lutego
Anastazego Wyznaw. 29 Mar.
Anastazji Panny 27 Lutego
Anastazji Rzymian. 26 Paźdz.
Anatoli Męczenniczki 9 Lipca
Anatoliusza Biskupa 3 Lipca
Andrzeja Apostoła 30 Listop.
Andrzeja Polaka Pust. 6 Maja
Andrzeja z Krety 7 Paźdz.
Angeli Mer. P. 31 Maja
Angeli 30 Marca
Anny Matki N.M.P. 26 Lipca
Aniołów Stróżów 2 Paźdz.
Ansgarego Biskupa 4 Lutego
Antoniego Opata 17 Stycznia
Antoniego Padew. 13 Czerw.
Antonina Arcybis. 10 Maja
Antoniny 16 Grudnia
Anzelma 23 Kwietnia
Apolinarego Biskupa 23 Lipca
Apolonii Pan. Męcz. 9 Lutego
Apoloniusza Męcz. 18 Kwiet.
Arkadyusza Męcz. 12 Stycz.
Arseniusza Biskupa 19 Lipca
Artura Biskupa 6 Październ.
Atanazego Biskupa 2 Maja
Augusta Wyznawcy 3 Sierp.
Augustyna Biskupa 28 Sierp.
Aurelii Panny 25 Września
Awita Męczennika 12 Stycznia

B

Balbiny Panny 31 Marca
Barlaama 27 Listopada
Barbary Panny 4 Grudnia
Barnaby Apostoła 11 Czerw.
Bartłomieja Apost. 14 Sierp.
Bazylego Biskupa 14 Czerw.
Beaty Panny 8 Marca
Bedy Kapłana 27 Maja
Benedykta Opata 21 Marca
Benigny Panny 19 Sierpnia
Benona Biskupa 16 Czerwca
Bernarda Opata 20 Sierpnia
Barnarda Seneńskiego 30 Maja
Bibianny Panny 2 Grudnia
Błażeja Biskupa 7 Lutego
Bogumiła 10 Czerwca
Bonawentury Kard. 14 Lipca
Bonifacego Męczen. 14 Maja
Bonifacego Biskupa 5 Czerw.
Bonifacego B. Forent. 30 Maja
Bony Panny 24 Kwietnia
Bronisławy 18 Sierpnia
Brunona Wyznawcy 6 Paźdz.
Brygidy Panny 1 Lutego
Brygidy Wdowy 8 Paździer.

C

Cecylii Panny Męcz. 22 List.
Celestyna 6 Kwietnia
Celsa Męczennika 28 Lipca
Cezaryusza Biskupa 27 Sierp.
Cypriana Biskupa 16 Wrześ.
Cypriana Męcz. 26 Września
Cyrylla Biskupa 10 Marca
Cyrylla Biskupa 9 Lipca
Cyrylla Diakona 22 Marca
Cyriaka Kapłana 16 Marca
Cyriaka Męczennika 8 Sierp.
Czesława Wyznawcy 20 Lipca
Czterdziestu Męcz. 10 Marca
Czterech koronatów 8 Listop.

D

Damazego Papieża 11 Grudnia
Damiana Męcz. 27 Września
Daniela Męczennika 3 Stycz.
Daniela Proroka 21 Lipca
Dawida Króla 30 Grudnia
Dezyderiusza Biskup. 21 Maja
Domiceli Panny 7 Maja
Dominika Wyznaw. 4 Sierp.
Dominiki Panny 6 Lutego
Donata Pustelnika 17 Lutego
Doroteusza Męczen. 28 Marca
Doroty Panny 6 Lipca
Dydaka Wyzn. 12 Listopada
Dygny 11 Sierpnia
Dionizego Biskupa 8 Kwiet.
Dionizego Męczen. 9 paźdz.

E

Edmunda Biskupa 16 Listop.
Edyty Królewny 15 Grudnia
Edwarda Króla 13 Paździer.
Eleonory Panny 21 Lutego
Eliasza Proroka 20 Lipca
Eligiusza Biskupa 1 Grudnia
Elizeusza Proroka 2 Paźdz.
Elżbiety Wdowy 8 Lipca
Elżbiety Panny 5 Listopada
Elżbiety Królow. 19 Listop.
Emeryka Królew. 5 Listop.
Emiliana Biskupa 11 Wrześ.
Emilianny 5 Stycznia
Emilii 30 Czerwca
Engielberta 7 Listopada
Epifaniusza Bisk. 7 Kwietnia
Erazma Biskupa 2 Czerwca
Estery Królowej 18 Listop.
Euchariusza Bisk. 20 Lutego
Eudoxiusza M. 5 Września
Eufenii Panny 16 Września
Eufrozyny Męcz. 3 Września
Eufrozyny Panny 11 Lutego
Eugenii P. M. 24 Grudnia
Eugeniusza 18 Listopada
Eugeniusza Bisk. 30 Grudnia
Eulalii Panny 10 Grudnia
Eustachiusza Męcz. 20 Wrześ.
Euzebii P. M. 29 Października
Euzebiusza W. 14 Sierpnia
Euzebiusza Bisk. 16 Grudnia
Ewarysta Papieża 26 Paźdz.
Ewy 24 Grudnia
Ezechiasza Króla 30 Paźdz.
Ezechiela Proroka 20 Kwiet.

F

Fabiana 20 Stycznia
Faustyny Męczen. 15 Lutego
Faustyny Wdowy 19 Grudnia
Felicjana Biskupa 24 Stycznia
Felicjana Męczen. 9 Czerwca
Feliksa Kapucyna 18 Maja
Feliksa Papieża 30 Maja
Feliksa z Noli 18 Stycznia
Feliksa Męczen. 30 Sierpnia
Feliksa Walezy 20 Listopada
Ferdynanda Króla 30 Maja
Filipa Apostoła 1 Maja
Filipa Neriusza 26 Maja
Filipa Benicjusza 23 Sierpnia
Filomeny P-ny Męcz. 5 Lipca
Flawiana Męcz. 25 Lutego
Flawii Panny 5 Października
Floriana Męczennika 4 Maja
Floriana Męcz. 17 Paździer.
Florentyna Bisk. 16 Paździer.
Fortunata Męcz. 26 Lutego
Franciszka Borg. 10 Paźdz.
Franciszka Salezego 29 Kwiet.
Franciszka a Paulo 2 Kwiet.
Franciszka Seraf 4 Paździer.
Franciszka Ksaw. W. 3 Grud.
Franciszki Wdowy 9 Marca
Fryderyka Opata 5 Marca
Fulgentego Biskupa 1 Stycz.

G

Gabriela Archanioła 18 Marca
Gaudencji Panny 30 Sierpnia
Gaudentego Bisk. 12 Lutego
Gawła Opata 16 Października
Gedeona Sędziego 18 Czerw.
Genowefy Panny 3 Stycznia
Gerarda Biskupa 24 Września
Germana Biskupa 24 Wrześ.
Germana Biskupa 28 Maja
Gertrudy Panny 17 Marca
Gerwazego 19 Czerwca
Gotfreda (Bogumiła) 13 Sty.
Gotfreda Biskupa 8 Listop.
Graciana Biskupa 18 Grudnia
Grzegorza Biskupa 4 Stycznia
Grzegorza Papieża 12 Marca
Grzegorza Naziańskiego 9 Maja
Grzegorza Cudotwór. 18 List.
Gustawa 2 Sierpnia
Gwidona Wyznaw. 12 Wrześ.

H

Heleny Cesarzowej 2 Marca
Heleny Królowej 22 Maja
Heliodora 3 Lipca
Henryka Cesarza 15 Lipca
Henryka 19 Stycznia
Hermenegilda M. 13 Kwiet.
Hermogenesa 19 Kwietnia
Hiacynty Panny 30 Stycznia
Higina Papieża 11 Stycznia
Hilarego 14 Stycznia
Hieronima Dr. Kościoła 30 Września
Hipolita 13 Sierpnia
Honoraty Panny 12 Stycznia
Huberta Biskupa 3 Listopada
Hugonota 1 Kwietnia

I

Idy Panny 13 Kwietnia
Idziego Opata 1 Września
Ignacego Biskupa 1 Lutego
Ignacego Lojoli Wyznawcy 31 Lipca
Ildefonsa 23 Stycznia
Imienia Jezus 19 Stycznia
Imienia Marii 14 Września
Inocentego Papieża 28 Lipca
Ireneusza Smyrneńskiego 25 Marca
Ireneusza Męcz. 15 Grudnia
Ireny Panny 20 Października
Iwona Wyznawcy 19 Maja
Izabeli Panny 15 Marca
Izabeli Królowej 3 Września
Izajasza Proroka 6 Lipca
Izydora Biskupa 4 Kwietnia
Izydora Oracza 10 Maja

J

Jacka Wyznawcy 18 Sierpnia
Jadwigi Wdowy 16 Paździer.
Jakóba Apostoła 1 Maja
Jakóba Apostoła 25 Lipca
Jakóba Patriarchy 21 Kwiet.
Jakóba z Nizybu 15 Lipca
Jakóba Pustelnika 17 Lutego
Jana Jałmużnika 23 Stycznia
Jana Chryzostoma 27 Stycz.
Jana Franciszka 16 Czerwca
Jana z Matty Wyzn. 8 Lutego
Jana Bożego 8 Marca
Jana w Oleju 6 Maja
Jana Nepomucena 16 Maja
Jana Papieża 27 Maja
Jana Chrzciciela 24 Czerwca
Jana Męczennika 26 Czerwca
Jana Gwalberta 12 Lipca
Jana z Dukli 7 Lipca
Jana Kantego 27 Października
Jana Kapistrana W. 23 Paźdz.
Jana od Krzyża 24 Listop.
Jana Ewangelisty 27 Grud.
Januariusza Bisk. 19 Wrześ.
Jerzego Męczen. 24 Kwietnia
Joachima Ojca NMP. 1 Wrześ.
Joanny Wdowy 24 Maja
Joanny Fremiot 21 Sierpnia
Jordana Wyznawcy 13 Lutego
Jowity Męczen. 15 Lutego
Józefa Obl. N.M.P. 19 Marca
Józefa Kalasant. W. 4 Lipca
Józefa z Kopertynu 18 Wrześ.
Judy Tadeusza Ap. 28 Paźdz.
Judyty Wdowy 16 Listopada
Juliana Męczen. 27 Stycznia
Juliana Męczen. 13 Lutego
Julianny Panny 16 Lutego
Julii Panny Męcz. 22 Maja
Juliusza Papieża 12 Kwietnia
Julity P. M. 30 Lipca
Justa Biskupa 2 Września
Justyna Męczen. 17 Września
Justyniana Bisk. 5 Września
Justyny Panny Męcz. 7 Paźdz.
Juwencjusza Męcz. 1 Czerw.

K

Kaja Męczen. 22 Kwietnia
Kajetana Wyznaw. 7 Sierp.
Kalixta Papieża 14 Paźdz.
Kamilla Wyznawcy 18 Lipca
Kandyda Męcz. 9 Paździer.
Kanuta Króla 19 Stycznia
Karola W. Cesarza 28 Stycz.
Karola Boromeusza 4 Listop.
Karoliny 5 Lipca
Kassjana Męczen. 13 Sierpnia
Kasyldy 15 Kwietnia
Katarzyny Szwedzkiej 23 Mar.
Katarzyny Seneńskiej 30 Kw.
Katarzyny Panny M. 25 List.
Katedry św. Piotra w Rzymie 18 Stycznia
Kat. św. Pawła w Antiochii 22 Lutego
Kazimierza Królew. 4 Marca
Kiliana Biskupa 8 Lipca
Klary Panny 12 Sierpnia
Klety Papieża 23 Listopada
Klemensa Bisk. Męcz. 13 Lut.
Klemensa Papieża 23 Listop.
Kleofona Męczen. 25 Wrześ.
Klotyldy Królowej 6 Czerw.
Kolety Panny 6 Marca
Konstancji Panny M. 18 Lut.
Konstantyna Wyzn. 11 Marca
Konstancji 12 Kwietnia
Konrada Wyznaw. 19 Lutego
Konrada Bisk. 26 Listopada
Korduli Panny 22 Paździer.
Korneli Męczen. 31 Marca
Kozmy Męczennika 27 Wrześ.
Kryspina i Kryspianina 27 Października
Krystyny Panny 24 Lipca
Krzysztofa Męcz. 25 Lipca
Kunegundy Cesarz. 3 Marca
Kunegundy Królow. 28 Lipca
Kwiryna Męczen. 20 Marca

L

Lamberta 16 Kwietnia
Larga Męczennika 8 Sierpnia
Leandra Bisk. W. 27 Lutego
Leokadii Panny 9 Grudnia
Leona I Papieża 11 Kwietnia
Leona XI Papieża 8 Czerw.
Leonarda Wyznaw. 5 Listop.
Leonilii Panny M. 18 Stycz.
Leontyny Panny 15 Marca
Leopolda Margr. 15 Listopad.
Longina Męczen. 15 Marca
Lusjana Męczen. 7 Stycznia
Lucyny Panny 30 Czerwca
Lucyny Męcz. 17 Paździer.
Ludgardy Panny M. 16 Czerw.
Lugdera Biskupa 26 Marca
Ludomira 3 Października
Ludwika Wyznaw. 12 Lutego
Ludwika Króla Syc. 19 Sierp.
Ludwika Króla 25 Sierpnia
Ludwiki Panny 15 Kwietnia

Ł

Ładysława z Gieln. 22 Wrześ.
Łazarza Biskupa 17 Grudnia
Łucji Panny 13 Grudnia
Łukasza Ewang. 18 Paźdz.

M

Macieja Apostoła 25 Lutego
Magdaleny 25 Maja i 22 Lipca
Makarego Opata 2 Stycznia
Makryny M. 21 Lipca
Małgorzaty Kr. Węgierskiej 13 Lipca
Małgorzaty Kr. Szw. 10 Czer.
Małgorzaty P. Męcz. 20 Lipca
Mamerta Biskupa 11 Maja
Mansweta Biskupa 28 Listop.
Marcella Papieża 16 Stycznia
Marcelli Wdowy 31 Stycznia
Marcellana Papieża 18 Czerw.
Marcellina Papieża 26 Kwiet.
Marcina Biskupa 11 Listop.
Marcina Papieża 12 List.
Marcjana Męcz. 17 Kwietnia
Marcjanny P. Męcz. 9 Stycz.
Marka Ewangelisty 25 Kwiet.
Marka Męczennika 24 Marca
Marka z Rzymu M. 18 Czerw.
Marty Panny 29 Lipca
Martyny Panny 30 Stycznia
Marty Męczen. 19 Stycznia
Marii Egipcjanki 10 Kwietnia
Marii z Engii 23 Czerwca
Marii Kleofy 9 Kwietnia
Marii Magdaleny we Fl. 31 Maja
Marii Magdaleny w Jeroz. 22 Lipca
Mariusza 19 Stycznia
Mateusza Apostoła 21 Wrześ.
Matyldy Królowej 14 Marca
Maurycjusza 22 Września

Maurycego 13 Września
Maksymiliana Bisk. 12 Paźdz.
Maxymina Bisk. 3 Czerwca
Medarda Bisk. 3 Czerwca
Melanji P. M. 18 Lutego
Metodego B. W. 10 Marca
Michała Arch. 29 Września
Mikołaja z Tolent. 10 Wrześ.
Mikołaja Biskupa 6 Grudnia
Mirona Męczen. 17 Sierpnia
Młodzianków 28 Grudnia
Modesty Panny 15 Czerwca
Moniki Wdowy 4 Maja

N

Narcyza Biskupa 20 Paźdz.
Narodzenie Chrystusa 25 Grudnia
Narodzenie N.P.M. 8 Wrześ.
Natalji Panny 27 Lipca
Nawróc. św. Pawła 25 Stycz.
Nazarjusza M. 12 Czerwca i 28 Lipca
N. M. Anielskiej 2 Sierpnia
N. M. P. Bolesnej 4 Kwiet.
N. M. P. od wyzw. niew. 24 Września
N.M.P. Loretańskiej 10 Grud.
N. M. P. Łaskawej 11 Maja
N. M. P. Różańcowej 6 Paźdz.
N. M. P. Śnieżnej 5 Sierpnia
N. M. P. Szkaplerz. 16 Lipca
Nawiedzenie N. M. P. 2 Lipca
Nemezjusza Męcz. 19 Grud.
Nicefora Męczen. 29 Lutego
Nicefora Biskupa 13 Marca
Niepok. Pocz. N.M.P. 8 Grud.
Nikodema Męcz. 15 Września
Norberta Biskupa 6 Czerwca

O

Oczyszczenie N.M.P. 2 Lutego
Ofiarowanie N.M.P. 21 List.
Oktawiana Męcz. 22 Marca
Olimpji 26 Marca
Onufrego Pustel. 12 Czerw.
Opieka św. Józefa 21 Kwiet.
Opieki N. M. P. 10 Listopada
Optata Biskupa 4 Czerwca
Ottona Biskupa 2 Lipca
Ottona Męczennika 16 Stycz.
Otylji Panny Męcz. 13 Grud.

P

Pafnucego Męcz. 19 Kwiet.
Pankracego 12 Maja
Pantaleona Męcz. 27 Lipca
Paschalisa 17 Maja
Paschazego Bisk. 22 Lutego
Patrycjusza Bisk. 17 Marca
Patrycji Męcz. 13 Marca
Paulina Biskupa 22 Czerwca
Pauliny Wdowy 26 Stycznia
Pawła Biskupa 22 Marca
Pawła Męcz. 26 Czerwca
Pawła I Pustel. 15 Stycznia
Pawła Apostoła 29 Czerwca
Pelagji Panny 11 Lipca
Pelagji Pokutnicy 12 Paźdz.
Petroneli 31 Maja
Pięciu ran. św. Franciszka 17 Września
Piotra Chryzologa 4 Grudnia
Piotra Egzorcysty 2 Kwietnia
Piotra Nolaski 31 Stycznia
Piotra Męczen. 29 Kwietnia
Piotra Celestyna 19 Maja
Piotra z Werony Męczen. 20 Kwietnia
Piotra i Pawła 29 Czerwca
Piotra w Okowach 1 Sierpnia
Piotra z Alkantary 19 Paźdz.
Piusa Papieża 5 Maja
Placydy Męcz. 5 Października
Placydy P. 11 Października
Podwyższenie św. Krzyża 14 Września
Polieukta Męczen. 21 Maja
Polikarpa Bisk. Męcz. 26 Sty.
Praxedy Panny 2 Lipca
Prokopa Męczennika 4 Lipca
Prokula Męczen. 1 Czerwca
Prospera Biskupa 25 Czerwca
Prota Męczen. 11 Września
Protazego 19 Czerwca
Pryma Męczen. 9 Czerwca
Pryski Panny 18 Stycznia
Przeniesienie św. Kazimierza 27 Sierpnia
Przeniesienie św. Wojciecha 20 Października
Pulcherji Męczennicy 7 Lipca
Pulcherji Panny 10 Września

R

Rafała Archanioła 24 Paźdz.
Rajmunda 23 Stycznia
Rajmunda Kard. 31 Sierp.
Reginy Panny 7 Września
Remigjusza Bisk. 1 Paźdz.
Roberta Opata 7 Czerwca
Rocha Wyznawcy 16 Sierpnia
Romana Opata 28 Lutego
Romana Męcz. 9 Sierpnia
Romany Panny 23 Lutego
Romualda Opata 7 Lutego
Rozalji Panny 4 Września
Rozesłanie Apost. 15 Lipca
Róży Panny 26 Sierpnia
Róży Limańskiej 30 Sierpnia
Rudolfa 17 Kwietnia
Rufy Męczenniczki 28 Listop.
Rufina Wyznawcy 19 Sierp.
Rufiny Panny 31 Sierpnia
Ruperta Biskupa 27 Marca
Ryszarda Biskupa 3 Kwietnia

S

Sabby Opata 5 Grudnia
Sabina Wyznawcy 11 Lipca
Sabiny Męcz. 27 Października
Salezego Męcz. 12 Sierpnia
Salomei Panny 17 Listopada
Salwiana 17 Marca
Saturnina Męcz. 29 Listopada
Saturniny Panny i Męczen. 4 Marca
Scholastyki Panny 10 Lutego
Ścięcie św. Jana Chrzciciela 29 Sierpnia
Serapiona Wyz. Męcz. 14 List.
Serca Pana Jezusa 7 Czerw.
Sergiusza Męcz. 24 Lutego
Serwacego Biskupa 13 Maja
Serwiliana Męcz. 20 Kwietnia
Seweryna Opata 8 Stycznia
Siedmiu Braci Śpiących 10 Maja
Sebastjana 20 Stycznia
Sennena Męcz. 30 Lipca
Sotera Papieża 22 Kwietnia
Spirydona Biskupa 14 Grud.
Stanisława Biskupa 8 Maja
Stanisława Kostki 13 Listop.
Stefana Kr. Węg. 2 Września
Sulpicjusza Męcz. 20 Kwiet.
Sygfryda B. M. 25 Lutego
Sylwerjusza 20 Czerwca
Sylwestra Papieża 31 Grud.
Sylwiana Biskupa 17 Lutego
Symforjana Męcz. 22 Sierp.
Synezjusza Męcz. 12 Grudnia
Syxta Papieża 28 Marca
Szczepana 1 Męcz. 26 Grud.
Szczepana Papieża 2 Sierpnia
Szymona z Lipnicy 28 Lipca
Szymona Apostoła 28 Paźdz.
Szymona z Edesy 5 Lipca

T

Tadeusza Apostoła 28 Paźdz.
Tarsylji Panny 24 Grudnia
Tekli Panny 23 Września
Telesfora Pap. Męcz. 5 Stycz.
Teobalda Pustelnika 1 Lipca
Teodora Męcz. 9 Listopada
Teodora Zakonnika 7 Stycz.
Teodory Męczen. 1 Kwietnia
Teodory Pokutnicy 11 Wrześ.
Teodezji Panny Męcz. 29 Maja
Teodozjusza Wyzn. 11 Stycz.
Teodoryka 1 Lipca
Teofila Biskupa 27 Kwietnia
Teofila Męczen. 20 Grudnia
Teresy Panny 15 Paździer.
Tomasza z Akwinu 7 Marca
Tomasza z Wilan. 18 Wrześ.
Tomasza Apostoła 21 Grud.
Tomasza Kantuar. 29 Grud.
Trzech Króli 6 Stycznia
Tyburcjusza 14 Kwietnia
Tymoteusza B. M. 24 Stycz.
Tytusa Biskupa 4 Stycznia

U

Ubalda Biskupa 16 Maja
Urbana 25 Maja
Urszuli Panny 21 Paździer

W

Wacława Króla 28 Września
Walentego Kapł. Męcz. 14 Lut.
Walerego Bisk. 12 Grudnia
Walerego Męcz. 12 Września
Walerji Męcz. 5 Czerwca
Walerji Panny 9 Grudnia
Walerjana Męcz. 14 Marca
Wawrzyńca Męcz. 10 Sierp.
Wenantego Męcz. 18 Maja
Wenefrydy Panny 3 Listop.
Weroniki Panny 13 Stycznia
Weroniki z Julianu 17 Maja
Wiktora 1 Września
Wiktorji Panny 23 Grudnia
Wiktoryna Męcz. 6 Marca
Wiktoryna Biskupa 5 Wrześ.
Wiktora Biskupa Męcz. 2 List.
Wilhelma Arcyb. 10 Stycz.
Wilhelma Opata 6 Kwietnia
Wilhelma księcia 28 Maja
Wilibalda Biskupa 7 Lipca
Wilibrarda Biskupa 7 List.
Wincentego Biskupa 20 Marca
Wincentego Męcz. 22 Stycz.
Wincentego Fer. W. 5 Kwiet.
Wincentego a Paulo 19 Lipca
Wincentego Kadłubka 9 Paź.
Wita 15 Czerwca
Witalisa Męcz. 28 Kwietnia
Władysława Króla 27 Czerw.
Wniebowz. N. M. P. 15 Sierp.
Wojciecha Biskupa 23 Kwiet.
Wolfganga Biskupa 31 Paźdz.
Wszystkich św. 1 Listopada

Z

Zacharjasza Proroka 6 Wrześ.
Zacharjasza Papieża 5 List.
Zaślubienie N. M. P. 23 Stycz.
Zefiryna Papieża 26 Sierp.
Zenobji Panny 30 Paździer.
Zenobiusza 30 Października
Zenona Żołnierza 22 Grudnia
Znalezienie św. Krzyża 3 Maja
Zofji z 3-ma córkami 15 Maja
Zuzanny P. Męcz. 11 Sierp.
Zwiastowanie NMP. 25 Marca
Zygmunta Króla 2 Maja

KALENDARZYK ŚWIĄT LEGALNYCH W STANACH ZJEDN.

Arbor Day. — Zwykle wyznaczany przez Gubernatora.
Armistice Day (Dzień Rozbrojenia) — 11 listopada.
Christmas Day (Boże Narodzenie) — 25 grudnia.
Columbus Day — 12 października.
Decoration Day, zobacz: Memorial Day.
Defense Day (Dzień Obrony) — 12 września.
Father's Day (Dzień Ojców) Druga Niedziela Czerwca
Flag Day — 14 lipca.
Independence Day (Dzień Niepodległości) — 4 lipca.
Indian Day. — Czwarty piątek we wrześniu.
Jeffersona urodziny — 13 kwietnia.
Labor Day (Dzień Pracy) — Pierwszy poniedziałek we wrześniu.
Lincolna urodziny — 12 lutego.
Memorial Day (Dzień Wieńczenia) — 30 maja we wszystkich stanach; w Alabama, Georgia, Florida i Mississippi 26 kwietnia; w North i South Carolina 10 maja.
Mother's Day (Dzień Matek) Druga niedziela w maju.
Nowy Rok — 1 stycznia.
Thanksgiving (Dzień Dziękczynienia) — Ostatni czwartek w listopadzie.
Washingtona urodziny — 22 lutego.

NARODOWE ŚWIĘTA RÓŻNYCH KRAJÓW

Argentyna — 25 maja.
Armenja — 28 maja.
Bałtyckie Kraje — 18 listopada.
Boliwja — 6 sierpnia.
Brazylja — 7 września.
Bułgarja — 5 października.
Chiny — 10 października.
Columbia — 20 lipca.
Costa Rica — 15 września.
Czechosłowacja — 28 października.
Ecuador — 10 sierpnia.
Finlandja — 6 grudnia.
Francja — 14 lipca.
Grecja — 7 kwietnia.
Guatemala — 15 września.
Haiti — 1 stycznia.
Honduras — 15 września.
Liberja — 26 lipca.
Meksyk — 16 września.
Nikaragua — 15 wrzesnia.
Niemcy — 9 listopada.
Norwegja — 17 maja.
Panama — 28 listopada.
Paragwaj — 14 i 15 maja.
Peru — 28—30 lipca.
Polska —3 maja.
Portugalja — 1 grudnia.
Rosja Sowiecka — 7-go listopada.
Salvador — 10 września.
Uruguaj — 28 lutego.
Wenezuela — 4 lipca.

ŚWIĘTA LEGALNE W KANADZIE

Nowy Rok — 1 stycznia.
Popielec.
Wielki Piątek.
Niedziela Wielkanocna.
Empire Day — 24 maja.
Dominion Day — 1 lipca.
Labor Day — Pierwszy poniedziałek we wrześniu.
Thanksgiving (Dzień Dziękczynienia) — Zwykle proklamowany na ostatni poniedziałek w październiku.
Christmas (Boże Narodzenie) — 25 grudnia.

Odległość Pomiędzy Miastami w Stanach Zjednoczonych

Najkrótszą linją kolejową w milach. Według tabeli departamentu wojny.

Z / Do	New York	Chicago	Philadelphja	St. Louis	Boston	Baltimore	Cleveland	Buffalo	San Francisco	Pittsburgh	Cincinnati	New Orleans	Washington	Minneapolis
Albany	145	832	236	1,028	202	333	480	297	3,106	567	724	1,517	1,142	1,252
Atlanta	876	733	785	611	1,106	688	736	919	2,805	805	492	496	648	1,158
Baltimore	188	802	97	934	418	......	474	398	3,076	334	593	1,184	40	1,222
Bostonu	217	1,034	321	1,230	......	418	682	499	3,308	674	926	1,602	458	1,454
Buffalo	442	525	416	731	499	398	183	......	2,799	270	427	1,256	438	945
Chicago	912	......	821	284	1,034	802	357	525	2,274	468	298	912	790	420
Cincinnati	757	298	666	341	926	593	244	427	2,572	313	......	829	553	718
Clevelandu	584	357	493	548	682	474	......	183	2,631	135	244	1,073	437	777
Columbus, Ohio	637	314	546	428	820	511	138	321	2,588	193	116	935	471	734
Denver	1,934	1,022	1,843	916	2,056	1,850	1,379	1,537	1,371	1,490	1,257	1,347	1,810	884
Detroit	693	272	669	488	750	649	173	251	2,546	321	263	1,092	655	692
Duluth	1,391	479	1,300	728	1,513	1,281	701	1,004	2,238	947	777	1,447	1,269	162
El Paso	2,310	1,465	2,219	1,245	2,414	2,179	1,703	1,915	1,287	1,866	1,586	1,195	2,139	1,521
Galvestonu	1,792	1,144	1,691	860	2,012	1,594	1,408	1,591	2,157	1,481	1,157	410	1,554	1,340
Grand, Rap's, Mich.	821	178	815	462	878	796	332	379	2,452	462	308	1,090	764	598
Helena	2,452	1,540	2,361	1,549	2,574	2,342	1,897	2,065	1,250	2,008	1,838	2,152	2,320	1,119
Indianapolis	825	183	734	240	965	704	283	466	2,457	381	111	888	664	603
Jacksonville, Fla.	983	1,097	892	975	1,213	795	1,085	1,193	3,098	1,057	841	618	755	1,517
Kansas City	1,342	458	1,251	277	1,466	1, 211	755	967	1,981	898	618	880	1,171	573
Los Angeles	3,149	2,265	3,058	2,084	3,273	3,018	2,562	2,774	475	2,705	2,425	2,007	2,978	2,301
Louisville	871	304	780	274	1,040	703	358	541	2,468	427	114	778	663	724
Memphis	1,157	527	1,066	311	1,387	969	738	921	2,439	807	494	396	929	897
Milwaukee	997	85	906	369	1,119	887	442	610	2,359	553	383	997	875	335
Minneapolis	1,332	420	1,241	586	1,451	1.222	777	945	2,096	888	718	1,285	1,210	......
Mobile	1,231	929	1,140	647	1,461	1,043	1,029	1,212	2,623	1,098	785	141	1,003	1,233
Montreal	386	841	477	1,051	330	574	623	434	3,115	704	826	1,655	614	1,125
Newark, N. J.	9	903	82	1,056	226	179	575	405	3,177	435	748	1,363	219	1,323
New Haven	76	980	167	1,141	140	264	628	445	3,254	520	833	1,448	304	1,400
New Orleans	1,372	912	1,281	699	1,602	1,184	1,073	1,256	2,482	1,142	829	......	1,144	1,285
New Yorku	......	912	91	1,065	217	188	584	442	3,186	444	757	1,372	228	1,332
Ogden	2,496	1,494	2,315	1,414	2,528	2,296	1,851	2,019	780	1,962	1,792	1,891	2,284	1,316
Omaha	1,405	493	1,314	413	1,527	1,295	1,750	1,018	1,781	961	791	1,080	1,283	381
Philadelphia	91	821	......	974	321	97	493	416	3,095	353	666	1,281	137	1,241
Pittsburgha	444	468	353	621	674	334	135	270	2,742	......	313	1,142	302	888
Portland, Maine	332	1,149	436	1,345	115	533	797	614	3,423	789	1,041	1,717	573	1,569
Portland, Ore.	3,204	2,292	3,113	2,212	3,326	3,094	2,649	2,817	772	2,760	2,590	2,746	3,082	2,042
Providence	190	1,034	281	1,230	45	378	682	499	3,308	634	926	1,562	418	1,454
Quebec	530	1,013	621	1,343	402	718	795	612	3,287	876	1,039	1,827	786	1,438
Richmond, Va.	343	879	252	918	573	155	553	553	3,153	417	581	1,046	115	1,299
Rochester, N. Y.	373	603	361	799	430	354	251	68	2,877	338	495	1,324	394	1,023
St. Joseph, Mo.	1,392	470	1,301	327	1,474	1,261	875	1,058	1,867	948	668	941	1,221	485
St. Louis	1,065	284	974	......	1,230	934	548	731	2,194	621	341	699	894	586
St. Paul	1,322	410	1,231	576	1,444	1,212	767	935	2,086	878	708	1,275	1,200	10
San Antonio	1,943	1,204	1,852	920	2,150	1,755	1,468	1,651	1,911	1,541	1,217	571	1,715	1,320
San Francisco	3,186	2,274	3,095	2,194	3,308	3,076	2,631	2,799	......	2,742	2,572	2,482	3,064	2,096
Seattle	3,151	2,239	3,060	2,332	3,273	2,941	2,596	2,764	957	2,707	2,537	2,931	3,029	1,818
Spokane	2,812	1,900	2,721	1,932	2,934	2,702	2,257	2,425	1,205	2,368	2,198	2,535	2,690	479
Springfield, Mass.	139	935	230	1,131	99	327	583	400	3,209	583	827	1,511	367	1,355
Tampa, Fla.	1,195	1,309	1,104	1,187	1,425	1,007	1,297	1,405	3,310	1,269	1,053	828	967	1,729
Toledo	705	244	615	437	795	595	113	296	2,518	261	203	1,032	595	1,664
Washingtonu	228	790	137	894	458	40	437	438	3,064	302	553	1,144	......	1,210

CMENTARZE ŻOŁNIERZY AMERYKAŃSKICH POLEGŁYCH W WOJNIE ŚWIATOWEJ W EUROPIE

Cmentarz St. Mihiel American, No. 1213; Thiacourt, Meurthe-et-Moselle, Francja.

Cmentarz Suresnes American, No. 34; Suresnes, Paryż, Francja.

Cmentarz Meuse-Argonne American No. 1232; Romagne-sous-Montfaucon (Meuse), Francja.

Cmentarz Aisne-Marne American, No. 1764; Belleau, Aisne, Francja.

Cmentarz Oise-Aisne American, No. 608; Seringes-et-Nesles, Aisne, Francja.

Cmentarz Flanders Field American No. 1252; Waereghem, Belgja.

Cmentarz Brookwood American, No. 107-E; Brookwood, Surrey, Anglja.

Na cmentarzach tych pogrzebanych jest 30,812 poległych żołnierzy amerykańskich.

Cmentarz Somme American, No. 636; Bony, Aisne, Francja.

TABELKA PORÓWNAWCZA TERMOMETRÓW

Fahrenheit	Celsius	Reaumur	Fahrenheit	Celsius	Reaumur	Fahrenheit	Celsius	Reaumur
212	100.	80.	122	50.	40.	32	0	0
210	98.9	79.1	120	48.9	39.1	30	— 1.1	— 0.9
208	97.8	78.2	118	47.8	38.2	28	— 2.2	— 1.8
206	96.7	77.3	116	46.7	37.3	26	— 3.3	— 2.7
204	95.6	76.4	114	45.6	36.4	24	— 4.4	— 3.6
202	94.4	75.6	112	44.4	35.6	22	— 5.6	— 4.4
200	93.3	74.7	110	43.3	34.7	20	— 6.7	— 5.3
198	92.2	73.8	108	42.2	33.8	18	— 7.8	— 6.2
196	91.1	72.9	106	41.1	32.9	16	— 8.9	— 7.1
194	90.	72.	104	40.	32.	14	—10.	— 8.
192	88.9	71.1	102	38.9	31.1	12	—11.1	— 8.9
190	87.8	70.2	100	37.8	30.2	10	—12.2	— 9.8
188	86.7	69.3	98	36.7	29.3	8	—13.3	—10.7
186	85.6	68.4	96	35.6	28.4	6	—14.4	—11.6
184	84.4	67.6	94	34.4	27.6	4	—15.6	—12.4
182	83.3	66.7	92	33.3	26.7	2	—16.7	—13.3
180	82.2	65.8	90	32.2	25.8	0	—17.8	—14.2
178	81.1	64.9	88	31.1	24.9	— 2	—18.9	—15.1
176	80.	64.	86	30.	24.	— 4	—20.	—16.
174	78.9	63.1	84	28.9	23.1	— 6	—21.1	—16.9
172	77.8	62.2	82	27.8	22.2	— 8	—22.2	—17.8
170	76.7	61.3	80	26.7	21.3	—10	—23.3	—18.7
168	75.6	60.4	78	25.6	20.4	—12	—24.4	—19.6
166	74.4	59.6	76	24.4	19.6	—14	—25.6	—20.4
164	73.3	58.7	74	23.3	18.7	—16	—26.7	—21.3
162	72.2	57.8	72	22.2	17.8	—18	—27.8	—22.2
160	71.1	56.9	70	21.1	16.9	—20	—28.9	—23.1
158	70.	56.	68	20.	15.	—22	—30.	—24.
156	68.9	55.1	66	18.9	15.1	—24	—31.1	—24.9
154	67.8	54.2	64	17.8	14.2	—26	—32.2	—25.8
152	66.7	53.3	62	16.7	13.3	—28	—33.3	—26.7
150	65.6	52.4	60	15.6	12.4	—30	—34.4	—27.6
148	64.4	51.6	58	14.4	11.6	—32	—35.6	—28.4
146	63.3	50.7	56	13.3	10.7	—34	—36.7	—29.3
144	62.2	49.8	54	12.2	9.8	—36	—37.8	—30.2
142	61.1	48.9	52	11.1	8.9	—38	—38.9	—31.1
140	60.	48.	50	10.	8.	—40	—40.	—32.
138	58.9	47.1	48	8.9	7.1	—42	—41.1	—32.9
136	57.8	46.2	46	7.8	6.2	—44	—42.2	—33.8
134	56.7	45.3	44	6.7	5.3	—46	—43.3	—34.7
132	55.6	44.4	42	5.6	4.4	—48	—44.4	—35.6
130	54.4	43.6	40	4.4	3.6	—50	—45.6	—36.4
128	53.3	42.7	38	3.3	2.7	—52	—46.7	—37.3
126	52.2	41.8	36	2.2	1.8	—54	—47.8	—38.2
124	51.1	40.	34	1.1	0.9	—56	—48.9	—39.1

PORÓWNANIE TERMOMETRÓW

Są trzy rodzaje termometrów czyli ciepłomierzy różniące się skalą stopni, a mianowicie: Najczęściej używany Fahrenheita, Reaumura i Celsiusa. Punkt marznięcia i punkt wrzenia wyrażone stopniami, w trzech wyż wspomnianych termometrach wykazują następującą różnicę:

Nazwa termometru	Punkt marznięcia wody	Punkt wrzenia wody
Fahrenheit	32	212
Reaumur	0	80
Celsius	0	100

Chcąc przemienić stopnie jednego na stopnie drugiego termometru postępuje się jak następuje:

Zamieniając Fahreinheita na Reaumura odciąga się od stopni Fahrenheita liczbę 32 a pozostałość mnoży przez 4/9 n.p. Termometr Fahrenheita wskazuje 68 stopni a chcemy się dowiedzieć ile jest stopni Reaumura więc od 68 odciągamy 32 pozostaje nam 36 te mnoży przez 4/9 i otrzymamy 16.

Przemieniając stopnie Fahrenheita na stopnie Celsiusa odciągamy od nich liczbę 32 a pozostałość mnożymy przez 5/9.

Przemieniając stopnie Reaumura w Fahrenheita mnożymy je przez 9/4 i dodajemy do iloczynu liczbę 32.

Stopnie Reaumura na Celsiusa zamieniamy mnożąc je przez pięć czwartych.

Celsiusa na Fahrenheita mnożąc przez 9/5 i dodając do iloczynu 32.

Celsiusa na Reaumura mnożąc przez 4/5.

Tabelka Porównawcza Wag i Miar w Ameryce i w Polsce

Poniżej najważniejsze informacje o miarach metrycznych w Polsce oraz tabelka porównawcza miar i wag w Stanach Zjednoczonych i w Polsce.

Miary metryczne są przyjęte i używane w całej Europie już od wielu lat. Są one oparte na systemie dziesiętnym. Nas głównie obchodzą miary długości i wagi, przeto te podajemy poniżej:

Metr wynosi 39.37 cala, a zatem w przybliżeniu 39 i jedna trzecia cala. Metr ma 100 centymetrów; w jednym calu mieści się mniej więcej dwa i trzy czwarte centymetra.

Kilometr ma 1,000 metrów — 10 kilometrów stanowi sześć i pół mili amerykańskiej.

Kilogram ma w przeliczeniu na system amerykański mniej więcej 2 funty i ćwierć. Kilogram ma tysiąc gramów; niecałe trzy gramy stanowią jedną uncję. — Wiele rzeczy kupuje się w Polsce na dekagramy. Dekagram ma 10 gramów i stanowi trochę więcej jak trzy uncje.

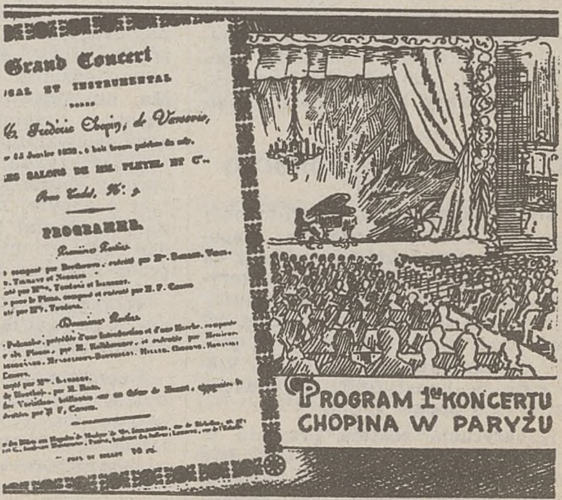
Zboże w Polsce mierzy się obecnie nie na korce, ale na metry sześcienne. Metr zboża waży 100 kilogramów. Metr zboża nazywa się centnar. Obie nazwy są używane.

Litr płynu równa się około 1 i ćwierć amerykańskiej kwarty.

Wielu rodaków ma kłopot z przeliczaniem miar i wag używanych w Polsce. Obliczenie to ułatwi nam przypuszczalnie poniższa tabliczka.

Starsi może nie wszyscy będą umieli mnożyć przez ułamki dziesiętne (decimal fractions), ale w każdym domu znajdzie się ktoś, co to potrafi. Dla przykładu, ktoś z kraju napisze, że waży 60 kilogramów, albo w skróceniu: kilo. Ile to wynosi na nasze funty? Zajrzyjmy do tabliczki, która podaje, że aby zamienić kilogramy na funty, trzeba je pomnożyć przez 2.-2046, to znaczy przez 2 i 2046 dziesięcio-tysięcznych. Mnożymy więc 60 razy 2.2046 i dostajemy liczbę 133,2760, czyli 133 funty i 2760 dziesięciotysięcznych funta, czyli okrąglej mówiąc: 133 i ćwierć funta.

Zamienić	na	pomnożyć przez
milimetry	cale	0.0393
centymetry	cale	0.3937
metry	stopy	3.2808
metry	yardy	1.0936
kilometry	mile	0.6213
metry sześcienne	yardy sześc.	1.3079
litry	kwarty płyn.	1.0567
litry	galony	0.2642
hektolitry	buszle	2.8378
kilogramy	funty	2.2046
dekagramy	uncje	0.3505
hektary	akry	2.4710
metryczne tony	tony 2,000 lbs.	1.1023
metryczne tony	tony 2,400 lbs.	0.9842
cale	milimetry	25.4000
cale	centymetry	2.5400
stopy	metry	0.3048
yardy	metry	0.9144
mile	kilometry	1.6093
yardy sześcienne	metry sześc.	0.7646
funty	kilogramy	0.4536
uncje	dekagramy	2.8305
kwarty	litry	0.9463
galony	litry	3.7853
buszle	hektolitry	0.3524
tony 2,000 lbs.	hektary	0.4047
akry	tony metr.	0.9072
tony 2,400 lbs.	tony metr.	1.0160



PROGRAM 1er KONCERTU CHOPINA W PARYŻU

STANY ZJEDNOCZONE PÓŁN. AMERYKI

GEOGRAFIA I KLIMAT

Stany Zjednoczone zajmują najpodatniejszą do zamieszkania i najżyźniejszą część lądu Ameryki Północnej. Obszarem równają się prawie całej Europie, zajmując przestrzeń 3,602,900 mil kwadratowych. Ludność, podług cenzusu z 1934 r., była 126,564,000. Na północy graniczą one z Kanadą, na wschodzie sięgają Oceanu Atlantyckiego, na południu Zatoki Meksykańskiej oraz granic Meksyku, na zachodzie zaś brzegów Oceanu Spokojnego (Pacific).

Cały kraj składa się z 48 Stanów, Dystryktu Kolumbijskiego (District of Columbia), posiadłości wyspiarskich Porto Rico, Wysp Filipińskich, oraz terytorjów Alaska i Hawaii.

Wielkie rzeki amerykańskie nadają się do żeglugi na setki mil w głąb kraju i rzeki te dostarczają również siły pociągowej do pędzenia maszyn, wytwarzania elektryczności i oświetlenia miast.

Stany Zjednoczone są krajem wielkich bogactw naturalnych. Posiadają one rozległe kopalnie węgla, żelaza, miedzi, srebra i złota. Lasy pokrywają przestrzeń 500 miljonów akrów. Uprawny obszar kraju wzrósł olbrzymio na zachodzie, skutkiem wprowadzenia nowego systemu nawadniania. Pomimo obfitości innych bogactw, rolnictwo stanowi największą część bogactwa krajowego. Na roli pracuje 35 procent ogółu ludności. Skutkiem olbrzymiego obszaru i różnic klimatycznych, produkty rolne przedstawiają olbrzymią rozmaitość, począwszy od pomarańcz i bawełny, a skończywszy na pszenicy i wełnie.

RZĄD STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Stany Zjednoczone Północnej Ameryki tworzą "Federalną Republikę," w skład której wchodzi 48 Stanów, jeden dystrykt, jedno terytorjum i wyspy. Stany są niezawisłymi, lecz złączonymi w jedną całość. Rząd kraju opiera się na prawie fundamentalnem pisanem, które zwie się konstytucją, stanowiącą najwyższe prawo kraju.

Konstytucja została przyjęta w mieście Filadelfji, w roku 1787, gdy po uwolnieniu się od panowania Anglji, delegaci trzynastu kolonij zebrali się celem opracowania formy rządu. Z tych "oryginalnych trzynastu" liczba stanów wzrosła obecnie do 48.

W Stanach Zjednoczonych są dwa rodzaje rządu: Rząd ogólnokrajowy, czyli federalny i rząd stanowy, i tym systemem naród rządzi krajem przez pośrednictwo przedstawicieli wybieralnych przez ogół obywateli.

W zakres rządu federalnego wchodzi:—stosunek z innymi krajami, wypowiadanie wojny i zawarcie pokoju, nadzór nad armją i marynarką, poczta, określenie stosunku pomiędzy stanami, utrzymanie usługi granicznej, nakładanie i zbieranie cła, bicie monety, druk banknotów, udzielanie patentów, ustanawianie miar i wag, imigracja, naturalizacja i sprawy bankructw.

Rząd stanów poszczególnych załatwia wyłącznie sprawy we własnym stanie, czyli wewnętrzne.

RZĄD FEDERALNY

Zakres władzy rządu federalnego rozdzielony jest na trzy Wydziały (Departments): Wykonawczy (Executive), Prawodawczy (Legislative) i Sądowniczy (Judicial).

Prezydent jest przedstawicielem władzy wykonawczej. Ubiegać się o ten urząd mogą wyłącznie obywatele urodzeni w tym kraju i liczący nie mniej, niż 36 lat życia. Wybory na prezydenta odbywają się co 4 lata. — Obowiązkiem jego przedewszystkiem jest wykonywanie praw uchwalonych przez Kongres. Jest on naczelnym wodzem siły zbrojnej lądowej i morskiej. Naznacza członków swego gabinetu, swych doradców, kierujących poszczególnymi departamentami rządu, którzy są tylko przed nim odpowiedzialni za swe czynności. Ma on prawo obsadzania wielu ważnych urzędów; poleca Kongresowi uchwalanie praw potrzebnych i pożytecznych; załatwia wszelkie sprawy zagraniczne i zawiera traktaty z obcymi mocarstwami. Posiada z pewnemi ograniczeniami władzę odmówienia sankcji prawom przez Kongres uchwalonym.

Wszystkie postanowienia prezydenta podlegają koniecznie zatwierdzeniu przez senat.

Departament prawodawczy ustanawia prawa. Departament ten składa się z dwóch izb: Senatu i Izby Reprezentantów. Senat wraz z Izbą Reprezentantów tworzą razem Kongres.

Departament Sądowniczy składa się z czterech poszczególnych działów. Najważniejszym jest Sąd Najwyższy (Supreme Court).

ADMINISTRACJE STANOWE

Każdy z 48-miu stanów ma sobie pozostawione prawo ustanawiania konstytucji i stanowych praw statutowych, oraz kompletny samorząd wewnętrzny. Władze wszystkich stanów są mniej więcej podobne do siebie i egzystują wszędzie na mocy swoich konstytucyj, określających je nawet bardziej szczegółowo, aniżeli to dzieje się w konstytucji związkowej. Instytucje te można podzielić na centralne instytucje stanowe i lokalne, należące do mniejszych jednostek administracyjnych, jak naprzykład gminy, powiaty lub miasta i miasteczka, albo wsie. Cała różnica jest ta, że stan jako jednostka państwowa sam stwarza swe instytucje. Instytucje zaś pomniejszych podziałów stanu, jak n. p. powiaty, lub gminy, egzystują na mocy przywilejów nadanych tym powiatom, lub gminom przez legislatury stanów lub też przez trybunały, upoważnione przez nie do tego.

Władzą prawodawczą stanu jest legislatura, składająca się z dwóch izb: — Senatu i Izby delegatów. W senacie przewodniczy zastępca gubernatora, w Izbie — mówca (Speaker).

Władzą wykonawczą stanu jest gubernator (Governor), a w razie jego ustąpienia zastępca (Lieutenant-Governor). Gubernator posiada w swoim stanie atrybucje władzy, podobne do władzy prezydenta. Gubernator i jego zastępcy są wybierani bezpośrednio przez lud.

Władzą sądowniczą są sądy stanowe.

W większości stanów zazwyczaj urzędują: sekretarz stanu, skarbnik, doradca główny, kontroler i kierownik szkolnictwa. — Czas urzędowania i płace są najrozmaitsze, stosownie do zaludnienia stanu.

ADMINISTRACJE LOKALNE

Administracja lokalna w Stanach Zjednoczonych jest ustanowiona przez każdy ze stanów niezależnie. W tych warunkach siłą rzeczy istnieją niezliczone odrębności i różnice w organizacji i w zakresie władzy czynników administracji w różnych stanach.

POWIAT (COUNTY)

Między dystryktami administracji lokalnej w Stanach Zjednoczonych najpospolitszym jest powiat. Każdy stan podzielony jest na okręgi, zwane powiatami. Przy wielkich różnicach organizacji i kompetycji

władz powiatowych, są jednak ważne rysy wspólne, które nadają administracji powiatowej cechy fundamentalnego podobieństwa w całych Stanach Zjednoczonych.

Powiat amerykański zajmuje zupełnie inne miejsce w ogólnym planie administracji publicznej, niż dystrykty lokalne w krajach europejskich. — Nazwa **"County"** wskazuje na historyczny związek z "hrabstwem" angielskiem, z którego rozwinął się powiat amerykański.

Jest około 3,000 powiatów w Stanach Zjednoczonych. Przeważna ilość większych stanów ma od 60 do 100 powiatów każdy. Najwięcej powiatów ma stan Texas, bo 243; najmniej mają Rhode Island — pięć i Delaware — trzy.

Co do obszaru i liczby ludności powiaty wykazują wielkie różnice, lecz na ogół powiaty amerykańskie są znacznie mniejsze, zarówno pod względem obszaru jak liczby ludności, od hrabstwa w Anglji, departamentów we Francji, i prowincji w Prusiech, w Belgji, Włoszech i Hiszpanji. Około dwie trzecie powiatów ma od 300 do 800 mil kwadratowych. Najczęściej spotyka się powiaty o obszarze od 400 do 600 mil kwadratowych. Przeszło połowa powiatów ma od 10,000 do 30,000 ludności, lecz w północnych stanach nadatlantyckich przeszło połowa powiatów ma ponad 50,000 ludności, podczas gdy w stanach południowych i w stanach, leżących na zachód od regjonu suchych równin, wiele powiatów ma mniej niż 10,000 ludności.

Dziewięć dziesiątych powiatów ma wybitnie rolniczy charakter, lecz znaczna liczba powiatów zawiera wielkie miasta, i najważniejszymi powiatami są te, które obejmują największe miasta — jak miasto New York (składające się z czterech powiatów). Chicago, Philadelphia, St. Louis, Boston, Baltimore, San Francisco i Denver. W niektórych z tych powiatów administracja powiatowa jest częściowo włączona w administrację miejską.

Nietylko miejscowe władze powiatowe, lecz nawet główne czynniki rządu stanowego wybierane są w każdym powiecie z osobna i poddane są małej, lub nieskutecznej kontroli rządu centralnego w stanach. Rząd Stanów Zjednoczonych niema żadnej kontroli nad urzędnikami powiatowymi, lub innymi lokalnymi urzędami z wyboru.

PODATKI I ASSESSMENTY

Powiat we wszystkich stanach z wyjątkiem dwóch trzecich stanów Nowej Anglji, jest dystryktem o wielkiem znaczeniu w administracji finansowej. Nakłada on podatki i spełnia wiele ważnych funkcji. — W większości stanów urzędnicy powiatowi działają także, jako agenci do pobierania dochodów stanowych, a często także do pobierania dochodów drobniejszych dystryktów lokalnych. W stanach południowych i zachodnich majątek bywa szacowany dla opodatkowania przez urzędników powiatowych, a w wielu innych stanach urzędnicy powiatowi mają pewną kontrolę nad lokalnymi podatkami.

Wielka liczba urzędników, wybieranych w każdym powiecie, czyni powiat ważnym dystryktem wyborczym. Powiat jest także zawsze jednostką dla obliczania głosów na urzędników większych okręgów, jak stanowych, lub posłów do Kongresu. Na znaczenie powiatu, jako okręgu wyborczego wskazuje wielkie znaczenie komitetów powiatowych partji politycznych w wielu stanach.

WŁADZE POWIATOWE

Regulaminy dla spokoju i bezpieczeństwa w powiecie są uchwalane przez **"konwencje powiatowe"**, albo przez **"komisarzy powiatowych"**, którzy mają władzę wykonawczą i zawiadują budynkami powiatowymi, mostami, więzieniami, szkołami i drogami bitemi.

Każdy powiat posiada swego sekretarza (Clerk), który prowadzi akty urodzeń, śmierci, podatków, listę głosujących i t. p.

Szeryf — jest wykonawcą wyroków sądowych.

Skarbnik — przyjmuje i wypłaca pieniądze uchwalane przez komisarzy.

Koroner — bada wypadki, nagłej lub gwałtownej śmierci, w celu określenia przyczyny i w potrzebie oddaje winnego sądom.

Oprócz tego są w powiecie: **prokurator, kontroler, komisja nadzorcza (Supervisor).**

Sądy są: okręgowe, apelacyjne, wyższe, sieroce i spadkowe.

WŁADZE MIEJSKIE

Władzą **wykonawczą** jest burmistrz (Mayor), który w wielkich miastach ma swój doradczy gabinet i zarządza policją.

Władzą **prawodawczą** są radcy miejscy (aldermani). Przewodniczącym rady miejskiej jest mayor.

Rada miejska ma prawo nadawania koncesji, zaprowadzenia ulic, mostów, wodociągów, parków i zawiaduje majątkiem miasta.

Ciałem sądowniczem miasta są różne sądy — tak zwane miejskie **(municipal)**, sądy pokoju **(Justice of the Peace courts)**. W niektórych miastach są specjalni sędziowie policyjni **(police magistrate)**. Sędziowie są albo obierani przez obywateli, lub też mianowani przez władze miejskie, jak burmistrz, lub rada miasta.

LINJA WYBRZEŻY STANÓW ZJEDNOCZONYCH W MILACH MORSKICH

Wybrzeże Atlantyku	1,773
Zatoka Meksykańska	1,607
Puerto Rico	269
Wybrzeże Pacyfiku	1,571
Alaski	4,123
Wysp Hawajskich	628
Guam	80
Midway	20
Wysp Samoa	83
Północnych jezior i rzek	3,041
Zachodnich rzek	4,344
Filipin	11,444
Razem	28,983

WYSOKOŚĆ GÓR W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Alaska	
McKinley	20,300
St. Elias	18,024
Arizona	
San Francisco Peak	12,611
Kalifornja	
Whitney	14,502
Fisherman Peak	14,448
Shasta	14,380
Corcoran	14,093
Kaweah Peak	13,752
Brewer	13,886
Lyell	13,090
Colorado	
Elbert	14,420
Blanca Peak	14,390
Harvard	14,375
Gray's Peak	14,341
Lincoln	14,297
Uncompahgre Peak	14,289
Long's Peak	14,255
Princeton	14,196
Yale	14,187
Pike's Peak	14,180
Holy Cross	14,170
Idaho	
Hyndman Peak	12,078
Montana	
Granite Peak	12,850
Wood	12,750
Cold	12,610
Villa	12,200
Hague	12,000
Snobank	12,000
New Mexico	
N. Truchas Peak	13,306
Nevada	
East Peak	13,145
Oregon	
Hood	11,225
Utah	
King's Peak	13,498
Mount Emmons	13,428
Gilbert Peak	13,422
Lovenia	13,250
Tokewanna Peak	13,200
Wilson Peak	13,095
Washington	
Rainier	14,408
Adams	12,470
Wyoming	
Gannett Peak	13,785
Grand Teton	13,691
Cloud Peak	13,165

ŚWIĘTA W STANACH ZJEDNOCZONYCH

W Stanach Zjednoczonych mamy 8 świąt, które przez prawie wszystkie stany są obchodzone.

1. **Nowy Rok.**
2. **Urodziny Washingtona**, 22 lutego, obchodzone są uroczyście przez wszystkie stany, ponieważ Washington był twórcą Stanów Zjednoczonych. Washington urodził się w roku 1732 w Bridge Creek, Va., a zmarł w roku 1799 bez potomstwa.
3. **Decoration Day**, Dzień Wieńczenia grobów, obchodzony jest uroczyście dnia 30 maja w celu wieńczenia grobów tych bohaterów, którzy polegli na polu walki podczas wojny domowej. Stany północne prowadziły wojnę przeciw stanom południowym i dlatego uroczystość ta do stanów: Florida, Louisiana, Mississippi, North Carolina i Texas nie odnosi się wcale. Wieńczenie grobów poległych bohaterów zczasem zamieniło się na dekorowanie grobów własnych krewnych, coś w rodzaju naszych "Zaduszek".
4. **Independence Day**, Dzień Niepodległości, 4-go lipca (Fourth of July) — jest największem świętem w Stanach Zjednoczonych, obchodzonem na pamiątkę wywalczenia niepodległości kraju. Akt niepodległości przedłożony został Kongresowi 4-go lipca, 1776, chociaż na podpisy wszystkich delegatów było trzeba czekać aż do dnia 2-go sierpnia, ponieważ niektórzy reprezentanci czekać musieli na instrukcje od swoich wyborców.
5. **Labor Day**, Dzień Robotników, obchodzony w pierwszy poniedziałek miesiąca września. Urzędy federalne są dnia tego pozamykane a organizacje robotnicze paradują po ulicach i odbywają swe zgromadzenia. Jest to święto robotnicze, zaprowadzone staraniem organizacji robotniczej zwanej "American Federation of Labor".
6. **Columbus Day**, Dzień Kolumba, obchodzony 12-go października na pamiątkę odkrycia Ameryki. — Dnia tego, roku 1492 odkrył Kolumb pierwszą wyspę niedaleko brzegów Ameryki, którą nazwał San Salvador. Święto Kolumba nie jest obchodzone przez wszystkie stany Ameryki.
7. **Dzień Pułaskiego** 11 listopada.
8. **Thanksgiving Day**, — Dzień Dziękczynny, jest ustanowiony do składania Bogu podzięki za błogosławieństwo i za urodzaje całoroczne. Jest to właściwie uroczystość rolnicza, proklamowana przez prezydenta i przez gubernatorów, jako święto legalne. Dzień Dziękczynny zaprowadzony został w roku 1621 w mieście Plymouth. Przypada on zawsze na ostatni czwartek w miesiącu listopadzie. — Niektórzy Amerykanie nazywają Dzień Dziękczynny żartobliwie "Turkey Day", ponieważ tego dnia stoły w każdym amerykańskim domu zastawione są pieczonymi indykami, a conajmniej kurami.
8. **Christmas Day**, Boże Narodzenie, 25-go grudnia.

SZTANDAR STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Sztandar Stanów Zjednoczonych posiada trzynaście równoległych pasów — na przemian siedm czerwonych i sześć białych, i niebieskie pole prostokątne zajmujące czwartą część sztandaru od góry, ze strony drzewca, aż do czwartego czerwonego pasa, licząc od góry. Na tem niebieskiem polu znajdują się białe gwiazdy o pięciu promieniach, umieszczone w sześciu równoległych podłużnych rzędach i w czterech rzędach pionowych. Każda gwiazda przedstawia jeden stan, obecnie więc gwiazd tych jest 48. W razie przyjęcia nowego stanu do Unii, liczbę gwiazd powiększa się zacząwszy od 4-go lipca, po przyjęciu nowego stanu.

Sztandary narodowe, z wyjątkiem sztandarów wojskowych, mają być następujących rozmiarów:

Szerokość sztandaru dowolna (1).

Długość — 1.9 szerokości sztandaru.

Szerokość niebieskiego pola — 7/13 szerokości sztandaru.

Długość niebieskiego pola—0.16 szerokości sztandaru.

Szerokość każdego pasa — 1/13 szerokości sztandaru.

Sztandar Stanów Zjednoczonych może być wystawiony na dworze tylko od wschodu słońca do zachodu słońca. Sztandar ma się podnosić w górę prędko, opuszcza się go zaś powoli. Podczas pochodu, jeżeli niesie się także jakikolwiek inny sztandar, sztandar St. Zj. ma być z prawej strony. Dotyczy to także gdy sztandary są oparte lub przymocowane do ściany. Gdy jest więcej różnych sztandarów, sztandar St. Zj. ma być w środku grupy z przodu, lub w środku na najwyższem miejscu.

Przy podnoszeniu sztandarów zawsze sztandar St. Zj. podnosi się pierwszy, a opuszcza ostatni. Przy wystawianiu sztandarów cudzoziemskich, muszą one być wszystkie jednakowej wielkości i na drzewcach jednakowej długości. Międzynarodowe prawo zabrania wywieszania podczas pokoju, sztandaru jednego państwa ponad sztandarem drugiego państwa.

Jeżeli sztandar ma być wywieszony do połowy drzewca, na znak żałoby, ma się go podciągnąć najpierw do szczytu drzewca, a później opuścić do połowy. Tak samo wieczorem przy opuszczaniu sztandaru, ma się go najpierw podnieść aż do szczytu drzewca, a potem powoli opuścić.

Przy użyciu sztandaru na trumnie, niebieskie pole ma znajdować się nad lewem ramieniem i nad głową nieboszczyka. Przed spuszczeniem trumny do grobu należy sztandar zdjąć tak by nie dotykał ziemi.

NAJWYŻSZE BUDYNKI W NEW YORKU

	Piętr	Stóp
Empire State	102	1,248
Chrysler	77	1,046
RCA Rockefeller Center	70	850
William	66	846
Bank of Manhattan	65	838
Woolworth	60	792
66 Pine Street	63	763
393 Lexington Avenue	80	755
Farmers Trust	59	746
Metropolitan Life	50	700
500 Fifth Avenue	58	697
16 William Street	55	686
Chamin	56	680
Fifth Ave. & 34th St.	55	670
Lincoln	53	638
Irving Trust	50	627
Waldorf Astoria	47	626
Sherry-Netherlands	43	620
10 East 40th Street	44	617
Singer	41	612
New York Life	34	610

Ogółem w New Yorku jest około sto budynków posiadających 30 piętr lub więcej, a około 500 budynków posiadających ponad 20 piętr.

ILOŚĆ GWIAZD W PRZESTWORZU

Wedle obliczeń astronomów, gołem okiem można zobaczyć tylko około 7,000 gwiazd. Przez teleskop od 70,000,000 do 100,000,000. Najnowsze obliczenia wskazują, że ilość gwiazd dochodzi do zawrotnej cyfry 1,600,000,000.

GŁÓWNE WULKANY NA ŚWIECIE

Wulkan i Kraj	Stóp
Sahama, Boliwia	21,000
Pomarape, Chile	20,500
Cotopasil, Ecuador	19,550
Arequipa, Peru	19,200
Demawend, Persja	18,000
Popocatepetl, Meksyk	17,843
Sangay, Ecuador	17,124
Ararat, Persja	17,000
Mauna Loa, Hawaii	13,675
Santa Maria, Guatemala	12,500
Fuego, Guatemala	12,500
Fudżijama, Japonia	12,390
Erebus, Ocean Spokojny	12,365
Semeru, Jawa	12,000
Kirunku-Cza Gunga, Afryka	11,300
Trazu, Costa Rica	11,200
Turri Alba, Costa Rica	10,900
Terror, Ocean Spokojny	10,884
Etna, Włochy	10,755
Ontake, Japonia	10,000
Fateyama, Japonia	10,000
Ruapehu, Nowa Zelandia	9,008
Haalalai, Hawaii	8,275
Coseguina, Nikaragua	5,830
Asa-San, Japonia	5,600
Mont Pelee, Martynika, Indie Zachodnie	5,200
Hekla, Islandia	5,110
Kilauea, Hawaii	4,400
Wezuwiusz, Włochy	4,300
Soufriere, St. Vincent, Indie Zachodnie	4,050
Stromboli, Włochy	3,040
Skaptal, Jokul, Islandia	2,790



Krakowiacy nie zawsze tańczą krakowiaka, czasami lubią zapalić papierosa i pogawędzić.

Pytania i Odpowiedzi Najczęściej Zadawane Przy Egzaminie Obywatelskim

A. THE FORM OF OUR GOVERNMENT
A. FORMA NASZEGO RZĄDU

1. *What is the form of our government?*
Jaką jest forma naszego rządu?
The United States is a republic.
Stany Zjednoczone są republiką.

2. *What is a republic?*
Co to jest republika?
It is a government in which the people rule through officers whom they elect.
Jest to taki rząd, w którym rządzi lud przez obieranych przez ten lud urzędników.

3. *What is the Constitution of the United States?*
Co to jest Konstytucja Stanów Zjednoczonych.
The Constitution is the supreme law of the United States.
Konstytucja jest to najwyższe prawo Stanów Zjednoczonych.

4. *What does the Constitution provide for?*
Co ustanawia Konstytucja?
The Constitution provides for the organization of our government and the rights and duties of the people.
Konstytucja ustanawia organizację naszego rządu, oraz prawa i obowiązki ludu.

5. *Can the Constitution be changed?*
Czy Konstytucja może być zmieniona?
Yes, by amending it. There are at present twenty-one amendments to the Constitution.
Tak jest, przez wprowadzenie do niej poprawek. Obecnie jest takich poprawek do Konstytucji dwadzieścia jedna.

6. *How many branches are there in our government?*
Z ilu gałęzi składa się nasz rząd?
There are three branches.
Rząd nasz składa się z trzech gałęzi.

7. *What are these three branches?*
Jakie są te trzy gałęzie rządu?
The legislative branch which makes the laws.
The executive branch which carries out the laws.
The judicial branch which enforces the laws.
Gałąź prawodawcza, ustanawiająca

prawa; gałąź wykonawcza, wprowadzająca te prawa w wykonanie, i gałąź sądownicza, zmuszającą do posłuszeństwa dla prawa.

LEGISLATIVE BRANCH
GAŁĄŹ PRAWODAWCZA

8 ***Who makes the laws of the United States?***
Kto ustanawia prawa w Stanach Zjedn.?
Congress makes the laws.
Kongres ustanawia prawa.

9. ***How many parts has Congress?***
Z ilu części składa się Kongres?
There are two parts, the Senate or the Upper House, and the House of Representatives or the Lower House.
Z dwuch części: Senatu czyli Izby Wyższej, i Izby Reprezentantów, czyli Izby Niższej.

10. ***How many members has the Senate?***
Z ilu członków składa się Senat?
There are 96 Senators. Two are elected by the voters of each state. (Find out and memorize the names of the senators from your state.)
Jest dziewięćdziesięciu sześciu Senatorów. Wyborcy każdego stanu obierają dwuch senatorów. (Dowiedźcie się, jak się nazywają senatorowie z waszego stanu, i zapamiętajcie ich nazwiska.

11. ***Who presides over the Senate?***
Kto przewodniczy w Senacie?
The Senate is presided over by the Vice-President of the United States.
Przewodniczącym Senatu jest Wice-Prezydent Stanów Zjednoczonych.

12. ***For what term is a Senator elected?***
Na jaki termin jest obierany Senator?
His term of office is six years.
Termin urzędowania Senatora wynosi sześć lat.

13. ***The House of Representatives consists of how many members?***
Z ilu członków składa się Izba Reprezentantów?
There are 435 members of the House of Representatives.
Izba Reprezentantów składa się z 435 członków.

14. ***How many Representatives are there from each state?***
Ilu jest Reprezentantów czyli kongresmanów z każdego stanu?
In according to the number of people in each state. Not more than one for every 30,000 people in the state. (Find out the name of the Congressman from your district.)
Zależy to od liczby ludności w tym stanie. Nie więcej, niż jeden na każde 30,000 ludności w tym stanie. (Dowiedźcie się nazwisko kongresmana z waszego okręgu zapamiętajcie je.)

15. ***For what term is a Representative elected?***
Na jaki termin obierany jest Reprezentant?
His term of office is two years.
Termin urzędowania kongresmana wynosi dwa lata.

16. ***Who presides over the House of Representatives?***
Kto przewodniczy w Izbie Reprezentantów?
The House of Representatives is presided over by the Speaker, who is selected by all the members of the House of Representatives.
Przewodniczącym Izby Reprezentantów jest tak zwany Speaker, obierany przez wszystkich członków Izby Reprezentantów.

17. ***How are the laws of the United States made?***
Jak są ustanawiane prawa Stanów Zjednoczonych?
The laws must be passed by a majority of both Houses of Congress with the approval of the President, or by a two-thirds vote of Congress after a veto by the President.
Prawa muszą być uchwalone przez większość obu Izb Kongresu i otrzymać aprobatę (zatwierdzenie) Prezydenta, albo też, po veto Prezydenta, to jest odmowie aprobaty uchwalonego przez Kongres prawa, większością dwuch trzecich części głosów.

18. ***What is the capitol of the United States?***
Jakie miasto jest stolicą Stanów Zjednoczonych?
Washington, D. C. (District of Columbia). This is where Congress meets, where the President stays and where the Supreme Court functions.
Washington, D. C. (District of Columbia). Tam zasiada Kongres, mieszka Prezydent i urzęduje Sąd Najwyższy.

EXECUTIVE BRANCH
GAŁĄŹ WYKONAWCZA

19. ***Who is our Chief Executive?***
Kto jest naszym naczelnym urzędnikiem wykonawczym?
The President, at present Dwight D. Eisenhower.
Prezydent. Obecnie jest nim Dwight D. Eisenhower.

20. ***Who takes office if the President dies?***
Kto obejmuje urząd Prezydenta w razie jego śmierci?
The Vice-President, who is at present Richard Nixon.
Wice-Prezydent. którym jest obecnie Richard Nixon.

21. ***Who elects the President and Vice-President?***
Kto obiera Prezydenta i Wice-Prezydenta?
They are elected by the people.
Są obierani przez lud.

22. ***Do the people vote directly for the President and Vice-President?***
Czy lud głosuje bezpośrednio na Prezydenta i Wice-Prezydenta?
No. They vote for their electors.
Nie. Lud głosuje na ich elektorów.

23. ***For what term are the President and Vice-President elected?***
Na jaki termin obierany jest Prezydent i Wice-Prezydent?
Their term of office is four years.
Termin ich urzędowania wynosi cztery lata.

24. ***Is anyone eligible to be the President or Vice-President?***
Czy każdy może być Prezydentem lub Wice-Prezydentem?
All native-born citizens who are at least 35 years of age are eligible.
Nie. Muszą oni być obywatelami z urodzenia, w wieku conajmniej 35 lat.

25. ***What are the President's duties?***
Jakie są obowiązki Prezydenta?
He sees that laws are carried out and approves them before they become laws. He also appoints certain officials and he is the Commander-in-Chief of the Army and Navy.
Dogląda on wykonywania praw oraz aprobuje je, zanim staną się prawem. Prócz tego mianuje on niektórych urzędników oraz jest Naczelnym Wodzem Armii i Floty.

26. ***How does he carry out the laws?***
W jaki sposób Prezydent wykonuje prawa?
By appointing a cabinet and judges with the consent of the Senate.
Przez mianowanie Gabinetu oraz sędziów, za zgodą Senatu.

27. ***What is the Cabinet?***
Co to jest Gabinet?
The cabinet consists of ten secretaries appointed by the President to be the heads of the Executive departments. They advise the President and administer the laws.
Członkami Gabinetu jest dziesięciu Sekretarzy Departamentów Wykonawczych, mianowani przez Prezydenta na naczelników departamentów wykonawczych. Są oni doradcami Prezydenta i administratorami praw.

JUDICIAL BRANCH
GAŁĄŹ SĄDOWA

28. ***What is the highest court in the United States?***
Jaki jest najwyższy sąd w Stanach Zjednoczonych?
It is the Supreme Court, which has nine justices, appointed by the President for life.
Jest to Sąd Najwyższy, który składa

się z dziewięciu sędziów, mianowanych przez Prezydenta dożywotnio, to jest na całe życie.

29. *What is the function of the Courts?*
Jakie są czynności sądów?
They enforce the laws and interpret them.
Przymuszanie do posłuszeństwa prawom oraz ich interpretowanie, czyli tłumaczenie znaczenia praw.

STATE GOVERNMENT
RZĄD STANOWY

30. *Who makes the laws in the 48 states?*
Kto ustanawia prawa w 48 stanach poszczególnych?
The state legislatures.
Stanowe legislatury.

31. *What does the state legislature consist of?*
Z czego się składa legislatura stanowa?
Generally an upper house called the Senate, and a lower house called the Assembly or House of Representatives.
Legislatura stanowa składa się zazwyczaj z Izby Wyższej, zwanej Senatem stanonowym, oraz z Izby Niższej, zwanej Zgromadzeniem lub Izbą Reprezentantów.

32. *Who is the chief executive of each state?*
Kto jest naczelnym urzędnikiem wykonawczym w każdym stanie?
The Governor. (Find out and memorize the name of your governor and for how long he is elected.)
Gubernator. (Dowiedzcie się, jak się nazywa gubernator waszego stanu oraz na jaki termin jest on obierany i zapamiętajcie to.)

33. *What is the highest state law?*
Co jest najwyższem prawem stanowem?
The State Constitution.
Konstytucja Stanowa.

MUNICIPAL GOVERNMENT
RZĄD MUNICYPALNY

34. *Outside of federal and state, what goverments have we?*
Prócz rządu federalnego i rządów stanowych jakie mamy jeszcze rządy?
Municipal government generally headed by a mayor. (Find out the name of your mayor and the term of his office.)
Rządy municypalne, na których czele stoi zazwyczaj major. (Dowiedzcie się, jak się nazywa wasz mayor i na jaki termin jest obierany i zapamiętajcie to.)

B. HISTORY OF THE UNITED STATES
B. HISTORIA STANÓW ZJEDN.

35. *Who discovered America?*
Kto odkrył Amerykę?
Christopher Columbus, an Italian explorer, discovered America in 1492.
Krzysztof Kolumb, żeglarz włoski, odkrył Amerykę w roku 1492.

36. *Who was George Washington?*
Kto był Jerzy Washington?
George Washington is known as the Father of Our Country. He was the first president of the United States. He was the leader of our army during the Revolutionary War, which was fought to free us from England.
Jerzy Washington znany jest, jako Ojciec Kraju Naszego. Był on pierwszym Prezydentem Stanów Zjednoczonych. On to był wodzem armii naszej podczas Wojny Rewolucyjnej, stoczonej dla uwolnienia nas od panowania Anglii.

37. *What is the Declaration of Independence?*
Co to jest Deklaracja Niepodległości?
It is a document, written by Thomas Jefferson who later became President of the United States, which declared our independence from England and laid down the principles of liberty, equality and justice for our democratic government.
Jest to dokument, napisany przez Tomasza Jeffersona, który później został Prezydentem Stanów Zjednoczonych, obwieszczający naszą niepodległość od Anglii i wykładający zasady wolności, równości i sprawiedliwości dla naszego rządu demokratycznego.

38. *When was the Declaration of Independence adopted?*
Kiedy została przyjęta Deklaracja Niepodległości?
The Declaration of Independence was adopted on July 4th, 1776 in Philadelphia. We therefore celebrate the Fourth of July as Independence Day.
Deklaracja Niepodległości została przyjęta 4 Lipca, 1776 roku w Filadelfii. Dlatego obchodzimy 4 Lipca jako Dzień Niepodległości.

39. *Who was Abraham Lincoln?*
Kto był Abraham Lincoln?
Abraham Lincoln was President during the Civil War, which was fought to preserve the United States from disruption and to free the slaves.
Abraham Lincoln był Prezydentem podczas Wojny Domowej, toczonej o zachowanie Stanów Zjednoczonych od rozbicia i o uwolnienie niewolników.

40. *Who was Woodrow Wilson?*
Kto był Woodrow Wilson?
Woodrow Wilson was President during the World War I.
Woodrow Wilson był Prezydentem podczas I-ej Wojny Światowej.

41. *The American flag has how many colors in it?*
Ile kolorów ma sztandar amerykański i jakie?
Three: Red, white and blue.
Trzy: czerwony, biały i niebieski.

42. *How many stars and stripes are there in the American flag?*
Ile gwiazd i pasów jest na sztandarze amerykańskim?
48 stars, one for each of the 48 states, and 13 stripes, one for each of the 13 original states.
48 gwiazd, po jednej dla każdego z 48 stanów, i 13 pasów po jednym dla każdego z 13 stanów pierwotnych.

43. *What are the names of the 13 original states?*
Które stany zaliczają się do 13 stanów pierwotnych?
New Hampshire, Massachusetts, Connecticut, New York, Rhode Island, Pennsylvania, New Jersey, Maryland, Delaware, Virginia, North Carolina, South Carolina and Georgia.
New Hampshire, Massachusetts, Connecticut, New York, Rhode Island, Pennsylvania, New Jersey, Maryland, Delaware, Virginia, North Carolina, South Carolina i Georgia.

C. RIGHTS AND DUTIES OF CITIZENS
C. PRAWA I OBOWIĄZKI OBYWATELI

44. *What is the most important right of a citizen?*
Jakie jest najważniejsze prawo obywatela?
The right to vote.
Prawo głosowania.

45. *What does the citizen do by voting?*
Czego dokonuje obywatel, głosując?
He participates in the government of the the United States by electing Senators and Representatives to Congress who make the laws, and by electing the President who administers the laws and appoints judges to enforce them.
Bierze on udział w rządzie Stanów Zjednoczonych przez obiór Senatorów i Reprezentantów do Kongresu, którzy ustanawiają prawa w Kongresie, i przez obiór Prezydenta, który zawiaduje administracją praw oraz mianuje sędziów dla ich przestrzegania.

46. *Can the Constitution be changed?*
Czy Konstytucja może być zmieniona?
Yes. It may be changed by the will of the people, in a lawful way, prescribed in the Constitution itself.
Tak jest. Może ona być zmieniona wolą ludu w drodze praworządnej, przepisanej w samej Konstytucji.

47. *What is the Bill of Rights?*
Co to jest Statut Praw?
The first ten amendments to the Constitution are called the Bill of Rights.
Pierwsze dziesięć poprawek do Konstytucji zwane jest Statutem Praw.

48. ***What rights are guaranteed by the Bill of Rights?***

Jakie prawa zagwarantowane są Statutem Praw?

Freedom of religion, freedom of speech, freedom of the press, trial by jury. Also, the right to peaceably assemble. Life, liberty and property can be taken only after a trial in accordance with the law.

Wolność religii, wolność słowa, wolność prasy, sąd przez Ławę przysięgłych, jakoteż prawo spokojnego zgromadzania się. Życie, wolność i własność mogą zostać odebrane tylko po osądzeniu na mocy prawa.

49. ***What do other amendments to the Constitution provide?***

Co ustanawiają inne poprawki do Konstytucji?

There shall be no slavery. That women shall have the right to vote. In other words, equal rights for all without regard to color, creed or sex.

Że nie może być niewolnictwa. Że kobiety posiadają prawo głosowania. Innemi słowy, równe prawa dla wszystkich bez różnicy koloru skóry, wyznania lub płci.

50. ***What are the duties of citizens?***

Jakie są obowiązki obywateli?

To uphold the Constitution and the laws of the United States and to defend the country against outside and inside enemies.

Podtrzymywać Konstytucję i prawa Stanów Zjednoczonych oraz bronić kraju od wrogów zewnętrznych i wewnętrznych.

Ile Ludzi Żyje Na Świecie?

Francuskie centralne biuro statystyczne opublikowało ostatnio obliczenia ludności świata według informacji od rozmaitych państw i krajów.

Liczba zaludnienia świata wynosi obecnie 2,116,000,000 głów. Czwarta część ludności przypada na kraje imperium brytyjskiego. W Chinach żyje 437 milionów ludzi, na trzecim miejscu Stany Zjednoczone, liczące 144 miliony. Ludność Francji z koloniami dochodzi do 111 milionów, ludność Japonii przedstawia się w liczbie 99 milionów według ostatniego obliczenia. Po tych państwach następują Niemcy—68 milionów, Włochy—51 milionów, oraz kolejno inne państwa europejskie.

Zaludnienie poszczególnych kontynentów przedstawia się w ten sposób, że na Azję przypada 1,162 miliony mieszkańców, na Europę 526 milionów, na Północną i Południową Amerykę 261 milionów, na Afrykę 151 milionów. Na końcu stoi Australia, licząca 11 milionów mieszkańców.

JEDNA GODZINA

W ciągu jednej godziny zachodzi w świecie mnóstwo wypadków.

Według świeższych danych statystycznych, w krótkim tym okresie czasu rodzi się na kuli ziemskiej 5,440 dzieci, a umiera 4,630 ludzi. Zawiera się 1,200 ślubów, a rozwodzi 85 małżeństw.

Przemysł przerabia 3,000 kwintali wełny i 10,000 kwintali bawełny na wyrób różnych materiałów tekstylnych. Cukrownie wyprodukują 99,600 ton cukru, z których ludzkość spożywa 98,000 ton. Górnicy wydobywają z ziemi 122,000 ton węgla, za 50 milionów złotych złota, za 150 milionów złotych srebra.

Myśliwi zabijają 350 tysięcy dzikich zwierząt, których skóry przeznacza się na damskie futra.

Z szybów naftowych wydobywa się 156,420 beczek nafty, z których trzecią część przerabia się na benzynę (gazolinę).

Fabryki samochodów wyrabiają 700 nowych wozów, a auta zabijają 17 ludzi.

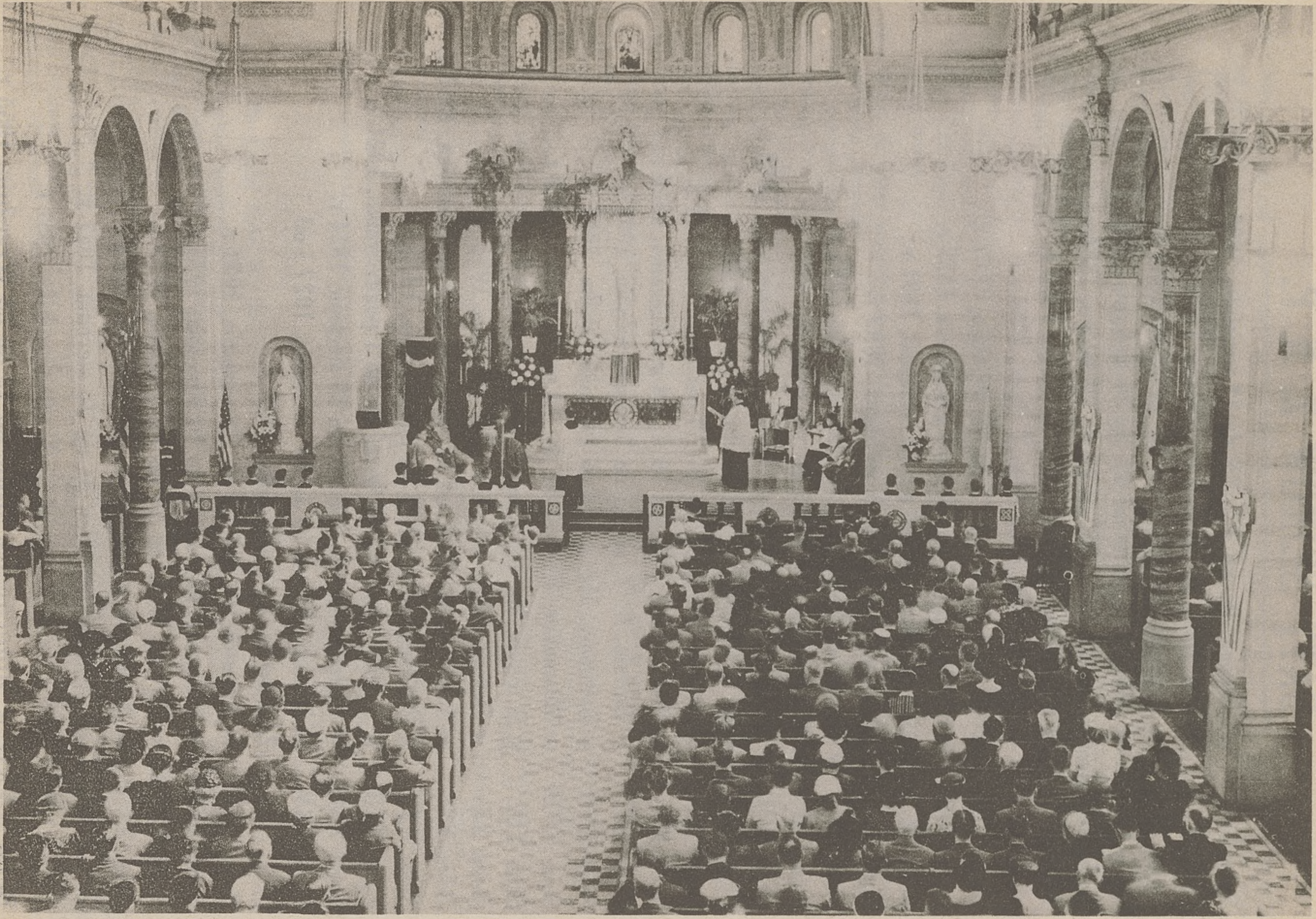
Zarobek ludzi waha się pomiędzy dwoma centami, które dostaje wyrobnik chiński, a 96 dolarami, które otrzymuje prezes trustu elektrycznego w Nowym Yorku. Urzędy pocztowo-telegraficzne odsyłają 114,000 telegramów i 1,141,000 listów i pocztówek, zaopatrzonych w znaczki, wartości ogólnej pół miliarda złotych. Fabryki celulozy wytwarzają 1,900 ton papieru, z którego 1,000 ton używa się na drukowanie książek i czasopism. Glob ziemski, na którym żyjemy, przebiega drogę długości 1,776 kilometrów, obracając się dokoła swojej osi.

Wszystko to dzieje się w przeciągu krótkiego okresu czasu, który ludzkość oznacza mianem "godziny!"



DATY SEJMÓW Z. N. P.

Sejm I w Chicago, Ill. od dnia 15 do 18 września, 1880 r.
Sejm II w New York, od 21 do 24 września, 1881 r.
Sejm III w Chicago, Ill. od 21 do 23 września, 1882 r.
Sejm IV w Milwaukee, Wis. od 21 do 24 września, 1883 r.
Sejm Nadzwyczajny w Chicago, Ill. od 21 do 23 lutego, 1884 r.
Sejm V w La Crosse, Wis. od 14 do 17 lutego, 1885 r.
Sejm VI w Bay City, Mich. od 5 do 7 lipca, 1886 r.
Sejm VII w St. Paul, Minn. od 12 do 15 września, 1887 r.
Sejm VIII w Buffalo, N. Y. od 10 do 15 września, 1889 r.
Sejm IX w Detroit, Mich. od 21 do 29 września, 1891 r.
Sejm X w Chicago, Ill. od 4 do 9 września, 1893 r.
Sejm XI w Cleveland, Ohio, od 9 do 14 września, 1895 r.
Sejm XII w Philadelphia, Pa. od 6 do 11 września, 1897 r.
Sejm XIII w Grand Rapids, Mich. od 16 do 21 października, 1899 r.
Sejm Nadzwyczajny w Chicago, Ill. od 19 do 24 marca, 1900 r.
Sejm XIV w Toledo, Ohio, od 14 do 20 października, 1901 r.
Sejm XV w Wilkes Barre, Pa. od 19 do 24 października, 1903 r.
Sejm XVI w Buffalo, N. Y. od 23 do 28 października, 1905 r.
Sejm XVII w Baltimore, Md. od 23 do 28 października, 1907 r.
Sejm XVIII w Milwaukee, Wis. od 11 do 16 października, 1909 r.
Sejm XIX w St. Louis, Mo. od 9 do 14 października, 1911 r.
Sejm XX w Detroit, Mich. od 15 do 22 września, 1913 r.
Sejm XXI w Schenectady, N. Y. od 27 września do 3 października, 1915 r.
Sejm XXII w Pittsburgh, Pa. od 16 do 21 września, 1918 r.
Sejm XXIII w Toledo, Ohio, od 26 września do 1 października, 1921 r.
Sejm XXIV w Philadelphia, Pa. od 25 do 30 sierpnia, 1924 r.
Sejm XXV w Chicago, Ill. od 19 do 20 września, 1927 i od
27 sierpnia do 1 września, 1928 r.
Sejm XXVI w Scranton, Pa. od 20 do 26 września, 1931 r.
Sejm XXVII w Baltimore, Md. od 15 do 21 września, 1935 r.
Sejm XXVIII w Detroit, Mich. od 10 do 16 września, 1939 r.
Sejm XXIX w Boston, Mass. od 19 do 25 września, 1943 r.
Sejm XXX w Cleveland, Ohio od 24 do 30 sierpnia, 1947 r.
Sejm XXXI w Buffalo, N. Y. od 23 do 29 września, 1951 r.
Sejm XXXII w Minneapolis, Minn. od 18 do 23 Września, 1955 r.



Nabożeństwo Sejmowe na otwarcie Sejmu 32go ZNP w Minneapolis, Minn.



Złożenie przysięgi przez nowoobranych urzędników na Sejmie 32im w Minneapolis, Minn.


Z.N.P.
ZWIĄZEK NARODOWY POLSKI
SEJM 32gi
JUBILEUSZ 75-LECIA
1880 — 1955



Złożenie wieńca na grobie Szajnerta przez delegację Sejmu 32go

O PRZESZŁYCH LATACH Z. N. P.

"Związek Narodowy Polski nie został zorganizowany w tym celu, aby wypłacał pośmiertne po zmarłych swych członkach".

A jeżeli chcemy wiedzieć w jakim celu został Związek zorganizowany i jak został zorganizowany, to jedynem dla nas dziś źródłem jest **"Historia Związku Narodowego Polskiego"**, która wyszła z pod wielce pracowitego pióra **ś.p. Stanisława Osady** na 25-lecie naszej organizacji. Autor tej cennej pracy zmarł na ziemi ojczystej po kilkudziesięcioletniej tułaczce, — ale praca jego żyje i żyć będzie. A jeżeli na każdem posiedzeniu Grupy, czy Gminy nie czerpiemy natchnienia do pracy związkowej z tej cennej księgi, to powinniśmy się zwrócić do jej pożółkłych kart przynajmniej w okresie sejmowym.

Historia Związku ś.p. Osady, to nie tylko Historia Związku, ale historia całego Wychodztwa Polskiego w Ameryce. Sięga on w niej do pierwszych dni naszego zbiorowego istnienia, kiedy to już w roku 1842 powstało w New Yorku "Towarzystwo Polaków w Ameryce", do którego mógł się przyłączyć "każden emigrant, Polak, bez względu na stan i wyznanie".

W dwa lata później w organizacji tej pracuje dzielnie ś. p. Henryk Kałusowski z Waszyngtonu, który pragnie zorganizować całe Wychodztwo w jedną silną organizację, która oprócz celów narodowych miała mieć "na pierwszem względzie braterstwo i wzajemną pomoc".

Organizacja ta urządziła pierwszy w Ameryce obchód polski, a mienowicie obchód 14-tej rocznicy Powstania Listopadowego, lecz potem mało się o niej słyszy, aż dopiero w roku 1863, na wieść o wybuchu Powstania Styczniowego, organizuje się gminy polskie pod kierownictwem Juljana Lipińskiego, a Kałusowski zbiera fundusze na Skarb Narodowy dla Powstańców. Emigracja polska w Ameryce ma już wówczas pierwsze pismo — "Echo z Polski", bo już ci pierwsi pionierzy nasi wiedzieli, że **prasa polska jest duszą życia polskiego na obczyźnie.**

W roku 1870 ten sam Kałusowski krząta się około zorganizowania "Związku Narodowego Polskiego" w New Yorku, który wydaje inne pismo pod nazwą "Orzeł Polski". Pismo to na początek nie miało stu abonentów. Pierwszym redaktorem był Ignacy Wędziński, późniejszy redaktor "Zgody".

Po upadku "Orła Polskiego" w New Yorku organem polskiej imigracji w Ameryce stała się "Gazeta Polska" Dyniewicza w Chicago, gdzie silniej pulsuje zbiorowe życie polskie. I już wtedy bierze się pod dyskusję drażliwą kwestię, która później stała się niejakoby zarzewiem walki wśród naszego Wychodztwa.

Na obchodzie w roku 1874 ks. Zwiardowski przemawia, że nie **lud**, jak na sztandarze Gminy wypisano, ale **cud**, przy modlitwie, Polskę zbawi". Na to odpowiedział mu Dyniewicz: "Polska nigdy o modlitwie nie przepominała i nie przepomina, ale też przytem nie potępiała i nie potępia innych wyznań". Bo właśnie chodziło tu o te inne wyznania. Światlejsi pionierzy nasi pragnęli połączyć wszystkich Polaków, bez względu na ich stan, albo wyznanie, a to nie podobało się innym.

Już w roku 1875 ks. Gieryk organizuje w Detroit "Zjednoczenie Rzymsko-Katolickie Polskie", które miało budować szkoły wyższe, założyć bank polski, klasztor żeński, seminarium nauczycielskie, biblioteki i szpital polski, ale już w dwa lata później energiczny ks. Gieryk był zmuszony organizację tę opuścić bez urzeczywistnienia tych śmiałych planów.

Podejmowano jeszcze kilka innych prób połączenia emigracji, ale dopiero konkretne plany przyszły na emigrację z listem Agatona Gillera, który wyraźnie nakreślił że w Ameryce potrzeba "organizacji, któraby dała emigrantom **wykształcenie narodowe**, utrwaliła poczucie narodowe, które na obczyźnie zwykle się potęguje, a w **miarę jak życie w organizacji oświecać ich i wzmacniać będzie, sprawi, że każdy dbać też będzie, ażeby i potomkowie jego byli wychowani w polskiej narodowości"**. Widzimy więc, że już ten list duchowego założyciela Związku nakreśla troskę o młodzież, którą w pół wieku później uwypuklił Sejm w Scranton przez założenie Harcerstwa.

List Gillera robi silne wrażenie na światlejszych emigrantach. W roku 1888 Juljusz Andrzejkiewicz z Filadelfji pisze do "Gazety Polskiej" i przypomina, że emigracji

włoskiej zawdzięczają Włochy swą niepodległość. Podobnych rzeczy dla Polski może dokonać emigracja polska w Ameryce. Do apelu Andrzejkiewicza przyłączyli się—Juljan Lipiński, Julian Sztajnert i Jan N. Popieliński i na dzień 14-go lutego, 1880, zwołali pierwsze zebranie w celu zorganizowania Związku Narodowego Polskiego. Na zebranie to przybyło piętnastu ludzi, a jedenastu z nich podpisało deklarację o zorganizowaniu Wychodztwa w jeden Związek.

Deklaracja ta była jednocześnie odezwą do całego ówczesnego Wychodztwa i odezwa ta robi wielkie wrażenie. Jedynie "Gazeta Katolicka" przeraża się jej siłą, bo obawia się, że to może być jakaś loża oparta na zasadach masońskich.

Ale praca, mimo przeszkód, idzie całą siłą. W lecie siedemnaście organizacyj oświadczyło chęć połączenia się w jeden Związek i organizacje te drogą listowną wybrały Andrzejkiewicza na swego pierwszego Cenzora, który dnia **10go sierpnia,** 1888 wydaje swoje pierwsze orędzie, **zawiadamia o zorganizowaniu Związku Narodowego Polskiego** i zwołuje Pierwszy Sejm tegoż Związku na 21go września tegoż roku.

"Dokonaliśmy tego — pisze pierwszy Cenzor — mimo stawianych nam przeszkód ze strony tych, którzy głosząc nową dla Polski naukę, której by się zaparli Skarga, Kordecki, Sołtyk, Woronicz, zmierzają w krok za moskiewskim nihilizmem do jednego celu, a tym jest **śmierć narodowości—kosmopolityzm.** Oni chcą nam wydrzeć, co obok wiary ojców najdroższego przechowaliśmy w sercach naszych, co wyssaliśmy z mlekiem matki — **Miłość Ojczyzny".**

Nie asekuracja, nie walka o lepszy byt na obcej ziemi, ale Miłość Ojczyzny była główną podstawą, na której spoczęły podwaliny naszej wielkiej organizacji — miłość ojczyzny i w miłości tej łączność z resztą naszej braci!

Potrzebę tej łączności nawet z biednym, uciemiężonym krajem, rozumieli dobrze pierwsi założyciele Związku. Już w odezwie na Sejm II czytamy takie wyznanie: "Stary Kraju! wspieraj nas radą i zachętą, nie patrz na nas obojętnie, **my potrzebujemy twoich słów pociechy,** by niemi się zagrzać wśród doli na obczyźnie;"

Sejm II powołał do życia "Zgodę" jako organ Związku Narodowego Polskiego, na wydanie którego zdeklarowano 694 dolarów. Pierwszy numer "Zgody", której Związek w głównej mierze zawdzięcza swój rozwój, wyszedł pod redakcją Odrowąża w dniu 23 listopada, 1881, a redaktor stara się w te słowa uzasadnić przyjęcie tej nazwy organu:

"Zgoda! Rozwiń to słowo, przejrzyj się w zwierciadle jego duchowej treści, a jeśli nie ujrzysz się w nim, nie wierzysz w twój naród, nie wierzysz w siebie, rzuć marną nazwę i przestań być Polakiem! Zgoda! — jest to jedno krótkie słowo, ale w niem się mieści potęga, którą się wznoszą ludy, zgodą uświęcają się cele, zgodą miażdży się wroga. Jest to broń, która umiejętnie kierowana, przezwycięża wszystkie trudności".

I "zgodą" Związek przezwyciężył wszelkie trudności. A miał tych trudności całe morze. Przez piętnaście lat walono w Związek, jak w taraban, walono ze wszystkich stron. Ale jednak, oparty na miłości ojczyzny i na zgodnej akcji rozumnych i wiernych członków, Związek przetrwał to wszystko i począł święcić triumfy.

Pierwsze te triumfy dadzą się zauważyć po Sejmie XI, który odbył się w Cleveland w roku 1895. Na Sejmie tym uchwalono wybudować Dom Związkowy, powołano do życia Wydział Oświaty, który należy uważać za najpiękniejszą i najważniejszą instytucję w Związku, a co najważniejsze — na Sejmie tym przyjęto nowe niejakoby "Credo" Związku, którego treścią i celem było:

> **"Zadrzierżgnięcie jednego węzła i stworzenie jednej duszy polskiej, przeplecionej nieograniczoną Miłością Ojczyzny i przekonanie o potrzebie łączności z Macierzą".**

Największą zatem zasługą Związku Narodowego Polskiego nie jest tylko jego wielo milionowy majątek, nie są miliony pośmiertnego, jakie dotąd wypłacono, ale to, że od samego założenia

> **budził do życia SUMIENIE POLSKIE i w świadomości narodowej stale je utrzymywał.**

Praca ta ideowa i moralna nie została bez nagrody, a nagrodą tą jest nie tylko osiągnięcie celu, do którego Wychodztwo ze Związkiem na czele dążyło, ale również rozwój materialny Związku, którego nie moglibyśmy dzisiaj widzieć, gdyby nie było tego duchowego podłoża, tego bodźca do pracy, a tem bodźcem, tem natchnieniem była **Miłość Ojczyzny i łączność duchowa z Macierzą.**

"PODAJMY SOBIE BRATNIĄ DŁOŃ"

Podajmy sobie bratnią dłoń! Takiemi słowy zakończyli swą pracę organizatorską Andrzejkiewicz, Białyński, Blachowski, Lipiński, Popieliński, Szajnert, pierwsi założyciele Związku Narodowego Polskiego, w roku 1880, w Philadelphia, Pa.

Te ściśnięte bratnie dłonie stały się i są dziś symbolem i godłem Związku Narodowego Polskiego.

Dzielni ci założyciele nie tracąc z oczu obowiązków względem nowoprzybranego kraju i narodu swego, zorganizowali Związek Narodowy Polski w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki w celach: doskonaleszego zespolenia Ludu Polskiego na wychodźtwie; zapewnienia mu należytego rozwoju pod względem moralnym, umysłowym, ekonomicznym i społecznym; uchronienie języka ojczystego, oraz kultury i obyczajów narodowych od zaniku, i skuteczniejszego działania wszelkimi godziwymi środkami na korzyść przywrócenia i utrzymania niepodległości ziem polskich w Europie.

Od tego czasu Związek stopniowo wzrasta i rozszerza swą działalność na wszystkie stany, w których zamieszkuje ludność polska. Ze wzrostem liczbowym członkostwa, wzrasta również Związek finansowo, licząc dziś przeszło 76 milionów dolarów. W okresie swego istnienia dochodząc do przeszło 338,000 członków, skupionych w Grupach, podzielonych terytorialnie na Gminy i na Okręgi. Grupy Związku mają charakter bratniej pomocy, poza ubezpieczeniem i wspólnym ideowym kierunkiem prowadzą automatyczną działalność w dowolnym zakresie kulturalno-narodowym.

Ze wzrostem Związku rozszerza się również działalność w kierunku spełnienia ogólnych celów, mianowicie: Związek zakłada czytelnie, szkółki języka polskiego, a w roku 1912 zakłada Szkołę Związkową w Cambridge Springs, Pa., dziś akredytowane Kolegium koedukacyjne — Alliance College; pomaga również zdolnej, a uboższej młodzieży do osiągnięcia wykształcenia, udzielając jej stypendiów przez swój Wydział Oświaty. Dzięki tej działalności Związku, tysiące wykształconej młodzieży związkowej zajmuje stanowiska wyższe we wszystkich dziedzinach życia społecznego i ekonomicznego kraju.

Związek w czasie swego istnienia miał różne rolę do spełnienia. Akcja jego rozwijała się zawsze po linii niesienia wzajemnej pomocy swoim członkom i służby narodowej. Idąc po lnii wskazań założycieli, Związek nigdy nie zbaczał z drogi i zawsze skutecznie pokonywał trudności i każdą przeszkodę stojącą na drodze do zrealizowania jego zamierzeń.

Przyjście pierwszej wojny światowej zastało nas już dobrze duchowo przygotowanych. Opatrzność dała nam duchowego wodza, Mistrza Paderewskiego, pod którego kierownictwem genialnego umysłu i wielkiego serca, wychodźtwo polskie w Ameryce zostało zjednoczone i zdobyło się na wysiłek wielki, moralnego, finansowego i zbrojnego czynu w pomnożeniu zdobycia Polsce niepdległści. Związek Narodowy Polski miał w tej zasłudze tym większy udział, bowiem poszedł na zew, stając na czele wszystkich innych organizacji polskich w Ameryce.

Uchwały wszystkich Sejmów były zawsze nowymi wskazaniami i zawsze potęgowały zapał do nowej pracy. Tam, gdzie chodziło o ogólne dobro organizacji i narodu, zdołano zawsze osiągnąć zgodność myśli, bo tak nakazywał obowiązek, bo taką była przewodnia myśl i idea tych, którzy kładli pierwsze podwaliny pod ten potężny już dzisiaj gmach organizacji, Związku Narodowego Polskiego, który jest dziś potęgą.

Związek, będąc organizacją bratniej pomocy, rozwijał system ubezpieczeniowy równolegle z innymi podobnymi organizacjami w Stanach Zjednoczonych. Dziś posiada najlepsze rodzaje ubezpieczenia dla pełnoletnich i małoletnich.

Jednym z głównych problemów Związku jest praca wśród młodzieży polsko-amerykańskiej. Związek, zaciągając młodzież w swe szeregi, nie chce stwarzać z tej młodzieży mniejszości polskiej w Stanach Zjednoczonych i nie chce seperować jej od reszty społeczeństwa amerykańskiego, lecz celem i zadaniem Związku jest, ażeby młodzież polsko-amerykańska stanowiła składową część społeczeństwa amerykańskiego, ażeby zdobyła wyższe wykształcenie, brała czynny udział w socjalnym, społecznym i politycznym życiu amerykańskim, i ażeby stopniowo wybijała się na jak najwyższy poziom życiowy.

Jaki udział Związek wziął w akcji ostatniej wojny? Oto: Przeszło dwadzieścia dwa tysiące Związkowców i Związkowczyń służyło w siłach zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Z tych poległo na polu chwały 856.

Związek walczy przez Kongres Polonii Amerykańskiej o wolność narodu polskiego, o prawdziwą niepodległość Polski, o jej dawne, słuszne granice na wschdzie i zachodzie. Związek bierze czynny udział w socjalnym, społecznym i politycznym życiu amerykańskim.

Ma Związek wszelkie dane, jak zasługi na polu narodowym, potężną liczbę członkostwa, odpowiednie zasoby i ulepszony system ubezpieczenia, aby większa część Polonii znalazła się w jego szeregach. Wszyscy przeto Polacy lub pochodzenia polskiego Amerykanie nie powinni szukać opieki u obcych, gdy mają własną i lepszą organizację, jaką jest Związek Narodowy Polski.

Dr. M. Dusza

HISTORIA KOLEGIUM ZWIĄZKOWEGO

Wychodźtwo Polskie w Stanach Zjednoczonych ma w swej historii wiele kart zapisanych trwałymi zgłoskami. Jego ofiarna działalność narodowa przed Pierwszą Wojną i po Wojnie Drugiej związana jest z naczelną dla każdego Polaka sprawą odzyskania Niepodległości Polski. W czasch zaś międzywojennych wychodźtwo służyło wydatną pomocą materialną przy rozbudowie ekonomicznej i społecznej Ojczyzny.

Że rezultaty tej pracy były i są nadzwyczaj korzystne należy to zawdzięczać głównie temu, że wychodźtwo Polskie prawie od samego początku zrzeszało się w związki, w myśl rozumnej zasady, że tylko wspólną pracą i wspólnym wysiłkiem można uzyskać, na wielką miarę, rezultaty. Takim celom i takim zasadom służył Związek Narodowy Polski.

Przez długi szereg lat główny strumień energii i wysiłku Z. N. P. płynął w stronę dalekiej Macierzy, a resztę sił zużywano dla zaspokojenia licznych potrzeb związanych z lokalnym życiem zbiorowym Wychodźtwa.

POTRZEBA OŚWIATY
TROSKA O MŁODE POKOLENIE

Z pośród tych najbardziej palących potrzeb życia gromadnego tu, za Oceanem, dwie zwłaszcza sprawy wysunęły się na czoło: samopomoc gospodarcza oraz krzewienie oświaty narodowej wśród społeczeństwa polonijnego, a przede wszystkim potrzeba zapewnienia młodym pokoleniom polskim gruntownego wykształcenia i wiedzy.

Myśl właśnie i troska o młode pokolenie urodzone już na ziemi Amerykańskiej skłoniły Związek Narodowy Polski do utworzenia instytucji wychowawczo-naukowej, która powinna być nietylko źródłem wiedzy lecz i kuźnicą charakterów i która miała przygotowywać przyszłych przewodników duchowych, gospodarczych i politycznych Wychodźtwa. Taka instytucja według zamierzeń i projektów najrozumniejszych jednostek miała umożliwić młodzieży poznanie, zrozumienie i umiłowanie przeszłości historycznej Polski, pięknych tradycji polskich i bogatej polskiej kultury. Nieugięcie i niezmordowanie, żadnymi nie zrażając się przeszkodami, walczyli projektodawcy o powołanie do życia takiej właśnie polonijnej Uczelni w Ameryce.

To też wkrótce praca ich zaczęła wydawać owoce. Na Sejmie Związku Narodowego Polskiego, odbytym w Wilkes-Barre, Pa., uchwalono w dniu 22go października, 1903 roku ustanowienie "Komisji Oświaty i Szkolnictwa" oraz nakreślono cele tej Komisji. Z celów tych na plan pierwszy postawiono sprawę założenia wyższego zakładu naukowego o polskim charakterze, który miał podźwignąć młodzież na wyższy szczebel społeczny w Ameryce, który miał ocalić nasze młode pokolenie dla tradycyj polskich i polskiego języka. I trzeba tu dodać z naciskiem, że tę jedyną polonijną wyższą uczelnię na obczyźnie postanowił zbudować i utrzymać z drobnych opłat i składek dobrowolnych nie kto inny, lecz prosty, ale duchem obywatelskim ożywiony i potrzebę nauki rozumiejący, bezimienny Wychodźca.

ROK 1912

Dziesięć lat ciężkiej pracy przygotowawczej upłynęło, zanim naczelny cel, "Komisji Oświaty i Szkolnictwa", nakreślony przez Sejm w Wilkes-Barre, mógł zacząć przybierać kształty realne. W roku 1912 otworzone zostały podwoje Kolegium, względnie t. zw. Akademii w Cambridge Springs, Pa., a w dniu 7-go września tego roku pierwsze zastępy młodzieży polskiej rozpoczęły regularną naukę szkolną. Formalna uroczystość otwarcia Kolegium odbyła się dnia 26-go października, 1912 roku, w obecności ówczesnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, śp. Williama Howarda Tafta.

W swym przemówieniu Taft wyraźnie podkreślił znaczenie i cel tej instytucji szkolnej: "...rozumiem — powiedział prezydent m. in. — że w dzisiejszych czasach ten instytut najlepiej reprezentuje dążenie Polaków amerykańskich do posiadania wielkiego, bogatego zakładu naukowego dla zachowania artystycznego ducha polskiego, miłości pięknej literatury i rozwoju wszelkich sztuk i nauk. Oby ta szkoła rosła w znaczenie i w siłę! Oby przechowywała ona

w Polaku amerykańskim cenne rysy charakteru jego polskich przodków! Oby umożliwiła Polakom amerykańskim wnoszenie w zbiorowe życie Amerykanina swych wysokich rycerskich i artystycznych właściwości." Znamienne również były słowa Prezydenta skierowane specjalnie do studentów: "...gdy nie będziecie dobrymi członkami swojego wielkiego narodu, który wydał Kazimierzów Wielkich, Sobieskich, Kościuszków, Pułaskich i setki innych wielkich mężów, to nie będziecie również dobrymi obywatelami tutejszego kraju, bo kto zdradza własny naród, ten zdradzić może każdego".

CAMBRIDGE SPRINGS

Tak założona polska szkoła wyższa na wychodźtwie przyciągała wzrok tego wychodźtwa i radowała serca braci związkowej, zwłaszcza, że pomieszczona została w uroczej, bogato przez naturę obdarzonej okolicy. — Miasteczko Cambridge Springs w stanie Pennsylvania, położone jest w połowie drogi między New Yorkiem a Chicago; w promieniu 100 mil znajdują się główne zrzeszenia emigracji polskiej miast Pittsburgha, Buffalo i Cleveland. Przyczajona na skraju pasma gór Allegheny, na wyżynie 1200 stóp nad powierzchnią morza, siedziba Kolegium odznacza się piękną lesistą okolicą i obfituje w liczne źródła mineralne. Powietrze czyste i zdrowe sprzyja znakomicie dobremu rozwojowi fizycznemu młodzieży.

Obszar, na którym znajduje się Kolegium, obejmuje 176 akrów ziemi, z których część jest pod zabudowaniami szkolnymi, część pokryta lasem i stawami, część użyta jest na boiska sportowe.

AKT INKORPORACJI

Otwarcie pierwszej świeckiej uczelni polsko-amerykańskiej wywołało wielki zapał wśród wychodźtwa, a echem dumy i radości odbiło się w Kraju. Pierwszy rok istnienia szkoły przyniósł pokaźną liczbę uczniów, bo aż 326 studentów ściągnęło samorzutnie do tej uczelni.

W roku 1914 Kolegium uzyskało aprobatę stanową. Akt inkorporacji szkoły dokonał się w sądzie powiatowym Crawford County, Meadville, Pa., a szkoła uzyskała oficjalną nazwę "Polish National Alliance College" dnia 16-go listopada, 1914 roku.

INSTYTUT RZEMIEŚLNICZY

Rok 1915 zaznaczył się w historii szkoły ważnym wydarzeniem, ponieważ wtedy Kolegium otworzyło t. zw. Instytut Rzemieślniczy, czyniąc w ten sposób zadość palącej potrzebie wytworzenia zastępu fachowo wykształconych rzemieślników polskich. Oddawna odczuwano bowiem brak polskich fachowców mechanicznych, którzyby wiedzą swoją i przygotowaniem umysłowym mogli zdobyć zarówno dla siebie jak i dla polskości wybitniejsze stanowiska w większych zakładach i instytucjach przemysłowych.

W tym samym 1915 roku Kolegium wypuściło w świat pierwszą gromadę własnych abiturientów. Kilkunastu młodzieńców otrzymało dyplomy szkolne.

CELE KORPORACJI SZKOLNEJ

We wrześniu 1915 roku Sejm Z. N. P. odbyty w Schenectady, zatwierdził akt inkorporacyjny i uchwalił zgodnie z nim prawa zasadnicze Korporacji Szkolnej. "Celem Korporacji Szkolnej" — głosi wspomniana uchwała — "jest dać możność zdobywania kosztem jak najniższym lepszego wykształcenia wszystkim, którzy je zdobyć pragną..." "...Wychowanie młodzieży, pieczy Szkoły Związkowej powierzonej, ma być w duchu szczerze obywatelsko-narodowym, oparte na jednoczeniu najlepszych dorobków kultury amerykańskiej z najlepszymi dorobkami kultury i myśli polskiej.

OKRES I. WOJNY ŚWIATOWEJ

Czasy I. Wojny Światowej musiały wycisnąć swe piętno nie tylko na ogólnej liczebności uczniów, ale także na strukturę wewnętrzną Uczelni. W związku z zarządzeniami przygotowawczymi władz wojskowych kraju utworzono w roku 1917, w murach Kolegium, także Szkołę Podoficerów. Zapisało się do niej w krótkim przeciągu czasu ponad 500 młodzieńców. Kolegium pośpieszyło natychmiast z wydatną pomocą nowej jednostce szkolnej, prowadząc wykłady dla przyszłych podoficerów i dzieląc się z nimi wszystkiem czym mogło. Wszak były to przecież kadry podoficerskie przyszłej Armii Polskiej.

Równocześnie jednak zaczął się ubytek młodzieży na Wydziale Ogólnym i w Instytucie Rzemieślniczym. Nieubłagana konieczność wojenna zabierała młodzież do szeregów. A tymczasem, zanim jeszcze polska gromada podoficerska zdążyła wyruszyć za Ocean, do Szkoły Związkowej przysłały Władze Wojskowe 220 żołnierzy amerykańskich na naukę do Instytutu Rzemieślniczego. Dla polskiej szkoły był to za-

szczyt nie mały.

Rok 1918 zastał w murach szkolnych już więcej żołnierzy niż studentów. Duża liczba młodzieży wyruszyła na wojnę, ponadto wielu z pośród członków grona profesorskiego znalazło się w szeregach, bądź to dobrowolnie, bądź z poboru władz wojskowych. W latach pierwszych po zakończeniu I. Wojny Światowej sytuacja się zmieniła, liczba studentów stopniowo wzrastała kosztem liczby szkoły wojskowej. W tym czasie (1920) Władze Wojskowe Amerykańskie przysłały na naukę, głównie do Instytutu Rzemieślniczego, swych weteranów wojennych w liczbie 23.

WETERANI W KOLEGIUM

że wytężona praca Kolegium Związkowego nad weteranami Armii Amerykańskiej została należycie oceniona i chlubnie zadokumentowana przez oficjalne czynniki rządowe, świadczy następujące pismo Departamentu Wojny Stanów Zjednoczonych, nadesłane Dyrekcji Szkoły Związkowej pod datą 22 listopada, 1921 roku: "This is to certify that Polish National Alliance College in a spirit of patriotism and of devotion to country, rendered efficient and loyal service in connection with the World War through the establishment and operation at that institution of a unit of THE STUDENTS ARMY TRAINING CORPS.

The Adjutant General's Office
P. C. Harris
The Adjutant General
J. W. Wainright
The Assistant Secretary of War."

DZIECI Z SYBERII

W roku 1921 został przyjęty do Szkoły Związkowej zastęp sierot polskich z Syberii, przybyłych do Stanów Zjednoczonych. Szkoła Związkowa zagarnęła te dzieci polskie pod swe skrzydła, dała im wyszkolenie i przygotowała do samodzielnej pracy. Sierot syberyjskich kształcących się w Instytucie Rzemieślniczym było 48.

Jeśli już mowa o Instytucie Rzemieślniczym, to trzeba zaznaczyć, że w międzyczasie został wprowadzony dział malarstwa w drzewie i wyrobów drzewnych oraz kurs elektryczności. — W roku zaś 1923 wprowadzono Wydział Rysownictwa Technicznego.

JUNIOR COLLEGE

Dotychczasowe Kolegium, popularnie zwane Akademią miało charakter i program szkoły średniej, czyli "High School". Po raz pierwszy dwa pierwsze lata t. zw. Junior College zapoczątkowano w roku 1924: W ten sposób dotychczasowe gimnazjum zaczęło się powoli przekształcać na uczelnię o charakterze uniwersyteckim. W tym samym roku Departament Pracy uznał oficjalnie, w myśl aktu Emigracyjnego, Kolegium jako akredytowany Zakład dla studentów emigrantów. W roku zaś 1926 polskie Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Politycznego przyznało Abiturientom Kolegium pełne przywileje, na równi z maturzystami w Polsce, do wstępowania bez żadnych egzaminów na takie uniwersytety jak Uniwersytet Jagielloński, Warszawski i inne.

BIBLIOTEKA. LABORATORIA

Wzrastająca stale liczebność studentów w Kolegium zmusiła Kierownictwo do przeprowadzenia koniecznych inwestycyj. — Przystąpiono (1927) przede wszystkim do zbudowania dwóch nowych laboratoriów: chemii i biologii. Równocześnie dzięki ofiarności Związkowców z Detroit i Hamtramck, dotychczasowa szczupła biblioteka szkolna wzbogaciła się w ciągu jednego roku, o 800 tomów, z których każdy okazał się niezbędny dla potrzeb szkolnych. Również teraz dopiero udało się zapoczątkować pracę stałego bibliotekarza.

POŻAR NISZCZY GŁÓWNY GMACH SZKOLNY

W styczniu 1931 roku wybuchł w głównym budynku szkolnym katastrofalny pożar. W ciągu kilku godzin, z potężnego niegdyś gmachu pozostały tylko dymiące zgliszcza i ruiny. Spłonęły doszczętnie urządzenia i klasy szkolne, laboratoria, biblioteka, muzeum i biura. Nauka jednak trwała z wyjątkiem jednego dnia, dnia pożaru, bez przerwy. Rozmieszczono uczniów po domach prywatnych i hotelach miejscowych, a za tymczasowe sale szkolne służyły wnętrza kościołów...

SZYBKA ODBUDOWA. — KOSCIUSZKO HALL

W głębi kampusu, na tle dymiących jeszcze ruin starego gmachu, rysowały się rusztowania nowego dormitorium, — którego budowę zapo-

cząttkowano jeszcze przed pożarem — i huczała żarliwa, nieustanna praca nad budową lepszego i bezpieczniejszego gmachu. Przede wszystkim zbudowano tymczasowe pomieszczenie na klasy, laboratoria, kuchnie, jadalnie i biura. Zakupiono najnowsze urządzenia laboratoryjne dla chemii, fizyki i biologii. Do Instytutu Rzemieślniczego dobudowano sale rysunkowe i zaopatrzono je w całkowite urządzenia techniczne. Instytut Rzemieślniczy, przekształcony stopniowo na Techniczny,, rozszerzył swój dział elektryczny przez wprowadzenie kursów radioelektryczności, nabył nowe motory i własnymi siłami wprowadził system operowania motorów prądem zmiennym.

Równocześnie posuwała się stale praca nad budową nowego, ogniotrwałego dormitorium, okazałego i pięknego gmachu, który został całkowicie wykończony w kwietniu 1931 r.

Dormitorium imienia Kościuszki obliczone na 150 studentów, zawiera obok pokoi sypialnych dla uczniów, pomieszczenia dla biblioteki, klubów studenckich, piękną salę rekreacyjną, salę bilardową oraz gabinet lekarski. Dormitorium jest gmachem trwałym i silnym. Zapewnia ono studentom wygodę i idealne warunki higieniczne.

ALLIANCE HALL. — POLE ATLETYCZNE WASHINGTON HALL

Zapoczątkowana w czerwcu 1933 roku budowa drugiego okazałego budynku, t. zw. Hali Związkowej (Alliance Hall), została dokonana w szybkim, rzeczywiście amerykańskim tempie, bo w ciągu niespełna roku gmach ten został ukończony i oddany do użytku szkolnego. — Alliance Hall mieści w sobie sale wykładowe, laboratoria, pracownie i biura administracyjne. Gmach ten wzniesiony z czerwonej cegły, w stylu kolonialnym z wysoką wieżą i zegarem, wywiera imponujące wrażenie.

Również w roku 1934, na skraju uroczego parku urządzono nowoczesne pole atletyczne, przedmiot podziwu i uznania dla Kolegium ze strony innych uczelni. Trzeba tu nadmienić, że Kolegium posiada także dużą salę gimnastyczną z łazienkami i prysznicami.

Dodajmy do tego jeszcze, że w roku 1942 została ukończona budowa trzeciego obszernego gmachu, t. zw. Washington Hall. Gmach ten mieści w sobie audytorium, salę jadalną, kuchnie i magazyny, sale biblioteczne, czytelnie, salę muzyczną oraz salę na dodatkowe klasy.

Washington Hall stylu kolonialnego z piękną fasadą z białego kamienia, przedstawia się imponująco.

Te kompletne i nowocześnie urządzone zabudowania, służące potrzebom szkolnym, zostały uzupełnione jeszcze zakupnem Hotelu Bartlett, który znajduje się w śródmieściu Cambridge Springs, siedem minut drogi do Kolegium. Hotel Bartlett służy głównie jako dormitorium dla studentek.

W ten sposób szeroko planowany kompleks budynków szkolnych, został z centów związkowców składanych przez całe lata, pomyślnie ukończony. Powstał on dla naszych synów i córek, aby ich odpowiednio przygotować do przyszłego zawodu, utrwalając w nich równocześnie polski język, polską kulturę i tradycje.

CZTEROLETNIE KOLEGIUM. AKREDYTACJA

W roku 1948 dwuletnie Junior College zostało przekształcone na pełne Kolegium o czteroletnim programie nauczania, z prawem nadawania stopni naukowych "Bachelor of Arts" i "Bachelor of Science". W ten sposób dotychczasowa szkoła średnia drogą stopniowej ewolucji uzyskała stopień wyższy, pół-uniwersytecki. Tak powstałe czteroletnie Kolegium uzyskało od władz amerykańskich pełna akredytację w roku 1952. Kolegium Związkowe posiada więc od roku 1952 te same prawa, jakie mają kolegia amerykańskie na terenie całych Stanów Zjednoczonych. Marzenia twórców tej instytucji szkolnej oraz ich kierowników i opiekunów zostały ukoronowane pełnym sukcesem.

Pełna akredytacja Kolegium, która była rezultatem posiadania wysokiego poziomu nauczania oraz wynikiem starań Rady Szkolnej i obecnego Rektora, **otworzyła w historii tej Uczelni nową erę i zarazem położyła pod jej dalszy rozwój najtrwalszy i najbardziej wartościowy fundament. Odtąd bowiem Kolegium nasze zdobyło pełną rację bytu.**

CZTEROLETNI PROGRAM KOLEGIUM

1. **"Liberal Arts"** to dział nauki dający studentom wykształcenie ogólne, na kursie czteroletnim, ze specjalnym uwzględnieniem języka angielskiego, historii i nauk społecznych.

2. W specjalnym dziale polonistyki Kolegium posiada czteroletni kurs nauczania języka pol-

skiego oraz historii, literatury i kultury polskiej. Jeśli chodzi o polonistykę, to trzeba objektywnie stwierdzić, że Kolegium posiada w tym zakresie najwyższy poziom nauczania z pośród wszystkich Wyższych Uczelni na terenie Stanów Zjednoczonych. Oprócz języka polskiego prowadzone są kursy języków, historii i kultury Krajów Słowiańskich. Daje to podstawę do uzyskania pracy w dziale zagranicznym Stanów Zjednoczonych.

3. Dla chcących studiować **prawo** Kolegium posiada program dwu, trzy i cztero-letni. Czteroletni program prawa umożliwia studentowi otrzymanie dyplomu "B. A."

4. Czteroletni kurs przygotowujący studentów do podstawowej administracji handlowej (byznesowej) daje prawo do uzyskania dyplomu "B. S.". Nauka na tym kursie jest podstawową dla kandydatów na wyższe stanowiska w handlu, przemyśle, komunikacji i instytucji finansowej.

5. Dwu, trzy i czteroletni program z głównymi studiami chemii, biologii, fizyki i matematyki umożliwia uzyskanie dyplomów "B. S". i daje podstawę do dalszych wyższych studiów w dziale medycyny, dentystyki, inżynierii i techników laboratoryjnych.

6. Dwuletni kurs z uwzględnieniem biologii daje gruntowne przygotowanie do nauki pielęgniarstwa.

7. Muzyka i śpiew. Roczny kurs historii muzyki. Lekcje indywidualne gry na fortpianie. Zespołowe i indywidualne lekcje śpiewu.

INSTYTUT TECHNICZNY

Instytut Techniczny posiada dwuletni program nauczania w zakresie t. zw. Applied Electricity, Tool and Die Making, Tool Design, oraz General Drafting.

PRZYSZŁOŚĆ KOLEGIUM

Kolegium Związkowe jest wyrazem woli życia polonii amerykańskiej. Jak ongiś w Polsce zaczęto tworzyć własną kulturę narodową od wzniesienia pierwszej Wszechnicy, podobnie grono ludzi owianych wzniosłymi ideałami postanowiło przed 43 laty ofiarować Wychodźtwu pierwszą najwyższą świecką uczelnię.

W dziejach rozwoju kultury polskiej na obcej ziemi instytucja ta przedstawia najwspanialszy panteon narodowy. Ma to Kolegium plejadę swych wychowanków, którzy wśród Polonii amerykańskiej stoją na czele najpiękniejszych poczynań i wszelkich przejawów naszego życia narodowego.

Uczelnia Związku Narodowego Polskiego przeszła okres najgorszy tak pod względem materialnym jak i stopnia nauki. Zaczynając bowiem od szkoły średniej potrafiła z biegiem lat przekształcić się na pełne, czteroletnie Kolegium, akredytowane a więc zrównane z innymi Kolegiami amerykańskimi.

Kolegium posiada dziś wszelkie dane ku temu, aby z kolei przekształcić się na pełny uniwersytet. Zrozumienie walorów najwyższego wykształcenia budzi się coraz bardziej wśród szerokich mas polonijnych. Uczelnia taka staje się dziś nam bardziej potrzebna, aniżeli była kiedykolwiek przedtem. Z kadym rokiem fakt ten stawać się będzie jaśniejszy i zrozumialszy tak dla młodzieży, jak i dla starszej naszej generacji.

Ponadto, trzeba to z całym naciskiem stwierdzić, Kolegium nasze jest twierdzą Sprawy Polskiej, jest głównym orędownikiem polskiego nauczania i polskiej kultury w wolnym świecie.

Przypatrzmy się bliżej wolności nauczania w Polsce dzisiejszej. Nie trudno jest stwierdzić, że w dziedzinie wychowania i wykształcenia młodzieży, Rosja komunistyczna stara się wszystko co "polskie" zniszczyć. Największe uniwersytety w Polsce, z czcigodnym Uniwersytetem Jagiellońskim na czele, stały się dziś ośrodkiem bezbożnej propagandy marksistowskiej. To samo odnosi się do szkół średnich i powszechnych (elementarnych), gdzie młodzież polska karmiona jest ideą komunizmu, gdzie język polski ustępuje miejsca językowi rosyjskiemu, a nauka historii daleko odbiega od prawdy. Polska straciła wolność nauczania. Fakt ten nakłada na nas wszystkich, na całą Polonię amerykańską, obowiązek popierania takiego centrum kultury polskiej i polskiego języka, jakim jest Kolegium Związkowe, gdzie kształcą się także wartościowe jednostki, którym udało się wydostać z kraju niewoli komunistycznej.

Młode pokolenie uczęszczające do Kolegium Związkowego, wyposażone w najwyższe wartości kultury polskiej i amerykańskiej, walczyć będzie mogło skutecznie o wolność Kraju swoich Ojców, a przywrócenie do życia Polski, tradycyjnej orędowniczki wolności, którym to ideałom służą od samego początku i przewodzą dziś

Stany Zjednoczone A. P. Sprawa niepodległości Polski jest sprawą zarówno Polski, jak i Stanów Zjednoczonych.

Aby nasze Kolegium mogło się w dalszym ciągu pomyślnie rozwijać i być chlubą Polonii amerykańskiej musi mieć zapewnioną stałą pomoc materialną. Znając jednak ofiarność na cele oświatowe Wychodźtwa polonijnego, rozumiejącego dokładnie cele i zadania swojej Uczelni, możemy śmiało patrzeć w przyszłość. Otrzymując bowiem stałą i zwiększoną pomoc materialną, **Kolegium nasze będzie w stanie utrzymać tradycje i poziom dawnych polskich Wyższych Uczelni, jak również najlepszych Uczelni Amerykańskich. Będzie wyrazicielem woli nas wszystkich, Amerykanów polskiego pochodzenia, a także i naszych braci cierpiących w dzisiejszej Polsce, że kultura i mowa Polska żyją i mimo niewoli żyć i rozwijać się będą na wolnej Ziemi Stanów Zjednoczonych A. P.**

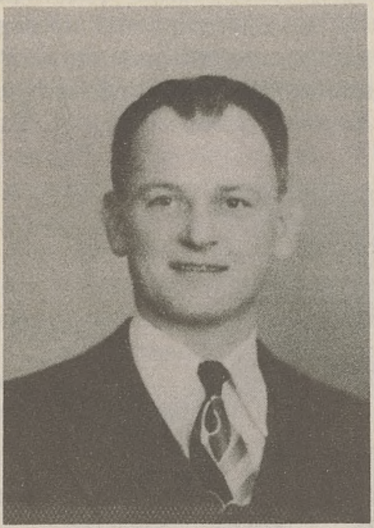


Jeden z kilku budynków szkolnych w Kolegium Związkowym w Cambridge Springs, Pa.

INFORMACJE O ZEZNANIACH PODATKOWYCH

napisał

LEON BANASZKIEWICZ



Każdy obywatel Stanów Zjednoczonych, albo osoba przebywająca na terenie Stanów, która ma $600 ($1,200 po ukończeniu 65 roku życia) lub więcej bruto rocznego dochodu, musi złożyć zeznanie podatkowe za rok kalendarzowy po 1 stycznia, a przed 15 kwietnia roku następnego. Każda osoba, której rok podatkowy pokrywa się z rokiem fiskalnym, musi złożyć zeznanie podatkowe najpóźniej przed 15 dniem czwartego miesiąca po zakończeniu roku podatkowego.

Należne saldo podatku musi być wpłacone jednocześnie ze złożeniem zeznania podatkowego.

Zeznania podatkowe muszą składać wszystkie osoby bez względu na swój stan cywilny (kawaler, panna, żonaty, zamężna, wdowa, wdowiec, rozwiedziony, rozwiedziona) i bez względu na to, czy dana osoba ukończyła już 21 rok życia, czy jeszcze nie. Jeśli dana osoba zarabia mniej niż $600 rocznie, ale i ma dochody z dywidend, procentów i t. d., które łącznie z sumą zarobioną przekraczają kwotę $600, musi ona także składać zeznanie podatkowe.

POTRĄCENIA

Czym więcej możecie zrobić potrąceń ze swego dochodu, tym mniejszy zapłacicie podatek. Od dochodu swego możecie potrącić takie wydatki, jak naprzykład: wydatki na prowadzenie przedsiębiorstwa, szkody wynikłe z uszkodzenia samochodu, opłata za rejestrację samochodu, nieubezpieczone straty wynikłe z wypadków, ofiary na cele charytatywne, niewypłacalne wierzytelności, koszta leczenia (ograniczone), podatki stanowe, od sprzedaży, od gazoliny, od własności, procenta od pożyczek i pożyczek hipotecznych (mortgages), składki do unii i t. d.

Możecie według własnego uznania albo wyszczególnić w zeznaniu podatkowym te potrącenia, albo też potrącić globalnie do 10 procent dochodu. Przy wyszczególnieniu potrąceń należy jednak pamiętać o tym, że potrącenia te nie mogą przekraczać kwoty $1,000 przy osobie samotnej, lub mężu, czy żonie, składających osobne zeznania podatkowe, a $500 na małżonka przy składaniu wspólnego zeznania podatkowego.

WYŁĄCZENIA

Od podatku jest wolna kwota $600 z dochodów na podatnika, oraz dodatkowo w tej samej wysokości na każdą osobę pozostającą na utrzymaniu podatknika. Ażeby dana osoba mogła być uznana, jako pozostająca na utrzymaniu podatnika, musi on dostarczać najmniej połowę środków na jej utrzymanie i osoba ta nie może mieć własnego dochodu większego od $600 rocznie. Wreszcie musi ona pozostawać w bliskim pokrewieństwie z podatnikiem. Za bliskie pokrewieństwo prawo uznaje: dzieci łącznie z adoptowanymi, wnukami i prawnukami; pasierb i pasierbica; zięć i synowa; rodzice i dziadkowie ;ojczym i macocha; teść i teściowa: bracia i siostry, bracia i siostry przyrodnie; szwagier i szwagierka, stryj i styjenka, wój i ciotka, oraz siostrzenica i siostrzeniec, oraz bratanica i bratanek (ale nie wówczas, gdy pokrewieństwo to nie powstało przez małżeństwo).

Żona lub mąż podatnika jest zawsze uprawniony do wyłączenia kwoty $600. Mąż może zamieścić na swoim oddzielnie składanym zeznaniu podatkowym wyłącznie $600 na żonę, jeśli niema ona dochodów i nie jest na utrzymaniu innej osoby, która uczyniła wyłączenie na nią w swoim zeznaniu podatkowym.

WYŁĄCZENIA Z POWODU WIEKU I ŚLEPOTY

Podatnik może odliczyć dodatkowe wyłączenie również wysokości $600, jeśli ukończył on, lub żona 65 lat życia. Jeśli oboje małżonkowie przekroczyli tę granicę wieku, to podatnik może wyłączyć dodakowo $1,200. Również podatnik dodatkowo może wyłączyć $600, jeśli on lub żona (mąż) są niewidomi. Wyłączenia z tytułu wieku i ślepoty przysługują tylko podatnikowi i jego małżonce (małżonkowi), a nie odnoszą się do innych osób pozostających na utrzymaniu podatnika.

ZEZNANIA MAŁŻONKÓW

Małżonkowie mogą składać zeznania podatkowe łącznie lub osobno. Przy składaniu wspólnego zeznania podatkowego mogą małżonkowie rozdzielić swoje dochody bez względu na to czy żyją we wspólnocie majątkowej, czy nie. Ta metoda da zawsze w rezultacie niższą sumę podatku. Można ją stosować także wówczas, gdy żona nie ma własnych dochodów.

WYŁĄCZENIA NA DZIECI

Podatnik może wyłączyć z dochodu $600 na każde dziecko, o ile w ciągu roku podatkowego dziecko to:

Otrzymało conajmniej połowę środków na utrzymanie od podatnika, lub jego małżonka i

nie osiągnęło 19 roku życia, lub jest studentem (jeśli dziecko ukończyło już 19 lat i nie jest studentem, to jego własne dochody nie mogą przekraczać $600) i

nie składa wspólnego zeznania podatkowego ze swoim małżonkiem i

było obywatelem, lub rezydentem Stanów Zjednoczonych, lub rezydentem Kanady, Meksyku, Republiki Panamskiej, albo zony Kanału Panamskiego.

GŁOWA RODZINY

Prawo przewiduje specjalną stawkę podatkową dla osób, które podpadają pod określenie "Głowy rodziny" (Head of Household). Aby korzystać z tej specjalnej stawki, podatnik musi być nieżonaty (niezamężna), albo prawnie separowany, oraz musi dostarczać więcej niż połowę środków na utrzymanie gospodarstwa domowego, które jest stałym miejscem zamieszkania: osoby spokrewnionej z podatnikiem, w stosunku do której podatnik jest uprawniony do wyłączenia w swoim zeznaniu podatkowym, albo b) dziecka podatnika, wnuka, pasierba ,chociażby ta osoba nie była na utrzymaniu podatnika.

Pod pojęcie głowy rodziny podpada także podatnik, który opłaca więcej niż połowę kosztów utrzymania gospodarstwa domowego, które jest stałym miejscem zamieszkania ojca, lub matki podatnika, którzy są na utrzymaniu podatnika. Podatnik nie musi mieszkać w tym gospodarstwie domowym.

Do kosztów utrzymania gospodarstwa domowego zalicza się także wydatki, jak: opłata czynszu za mieszkanie, opłata ubezpieczeń, opłata podatków, jeśli podatnik jest sam właścicielem nieruchomości, opłata rachunków za gaz, elektryczność, telefon, wodę, oraz koszta zakupów żywności.

FORMULARZE ZEZNAŃ PODATKOWYCH

Podatnik, którego dochody pochodzą przede wszystkim z zarobków i nie przekraczają $5,000 składa zeznania podatkowe na formularzu: Form 1040 A. W tym wypadku podatnik nie potrzebuje obliczać należnego od niego podatku, gdyż uczyni to dla niego biuro kolektora podatków i zawiadomi go, czy należy się od niego dopłata, czy też należy się mu zwrot nadpłaconej kwoty. Podatnik, który chce korzystać ze stawki podatkowej przewidzianej dla "głowy rodziny" nie może korzystać z tej uproszczonej Form 1040 A.

Inne osoby, których dochody nie pochodzą tylko z zarobków, lub są zakwalifikowane do wyższych dochodów, albo chcą one wyliczyć potrącenia szczegółowo, muszą składać zeznania podatkowe na formularze: Form 1040.

Wiktor Heltman

JAM JEST POLSKA...

Jam jest Polska, Ojczyzna twoja.

Wrogowie złożyli mnie do grobu, mówiąc: umarła.

I świat uwierzył im, i wielu z nas uwierzyło.

Otóż ja przychodzę na świadectwo, żem żywą jest.

A przychodzę w zakrwawionej szacie, abyście uznali, żem ta sama, której od lat stu — trzema ranami ciągle płynie krew.

Przyjdźcie więc do mnie i słuchajcie mnie.

* * *

„Opuszczony od wszystkich, nie wiesz co robić.

Zwątpienie wkradło się w duszę twą i rozgościło się w niej.

Szkalujesz proroki swe i rzucasz na nie kamieniem, a faryzeuszom wiarę dajesz.

A wiesz przecie, że przed wiekami powiedziano: „Biada narodowi, co kamienuje proroki swe!" i temu jeszcze biada, co faryzeuszom wierzy.

Tonącemu podobny, chwytasz za ostrze, które ci nieprzyjaciel podaje, sądząc, nieszczęsny, że uratujesz się. A wszakże on ci je podaje, nie dla twego, ale dla swego zbawienia; bo wiesz przecież, że ci życia wrócić nie chce.

A drugiemu pokazujesz prawa swe, na radzie królów spisane, kiedy prawem jego miecz, a prawa tego żaden z królów i cesarzy nie zaprzecza mu.

A trzeciego, co krew twoją wytacza, swoją mongolską w żyły twoje wlać pragnie, czołganiem się rozbroić chcesz.

Straciłeś poczucie tego, co dobrem a co złem dla ciebie jest".

* * *

„Życie narodów nie latami ale wiekami liczy się.

Kto je liczy na lata, klęsk nie wytrzyma.

Piętnaście wieków pastwiły się drobne trony i niemieckie dynastje nad rozszarpanym w kawały włoskim narodem; dziesięć wieków Maury pętały Hiszpanów; trzy wieki Grecy jęczeli pod jarzmem Turków; dwieście lat Tatarzy trzymali w kajdanach Moskwę całą, przez lat trzysta przekupnie europejscy wysysali żywotne soki Ameryki: — a oto dziś — niema już na tych ziemiach ani Niemców, ani Maurów, Turków i Tatarów, ani przekupniów europejskich.

A wy, co ledwo od lat kilkudziesięciu dźwigacie jarzmo najezdników, mówicie: niema Polski i nie będzie jej!

Tak nie mówili Włosi, Hiszpanie, Grecy, Moskale, Amerykanie — i dlatego są!

Patrzcie: oto dziś, pod waszemi oczyma, cztery, ludy od wieków umarłe: Greki, Serby, Włochy, Rumuni, wróciły do życia.

I wy wrócicie.

„Chciejcie tylko, jak one chciały".

* * *

„Wielką jest potęga wrogów waszych, ale wasza większa jeszcze; tylko tamtę widzicie, a ta ukrytą jest.

Patrzcie na żołnierza. Stoi sam jeden pośród was, i nie boicie się go. Ale jak stanie tysiącem, krociem, trwoga przejmuje was.

Teraz jesteście jak ów żołnierz jeden, i nikt was się nie lęka. Bądźcie tysiącem, krociem, miljonem, a zadrży wróg wasz.

Policzcie się: ilu was, ilu wrogów waszych jest?"

* * *

„Ale oni razem są, a z was każdy jeden.

Jak być razem? nauczę was"...

* * *

„A najprzód, niech staną wszyscy; nie sama szlachta jak dotąd, ale lud wszystek, ze wszystkich wsi, ze wszystkich miast i miasteczek.

Szlachta — to tysiące.

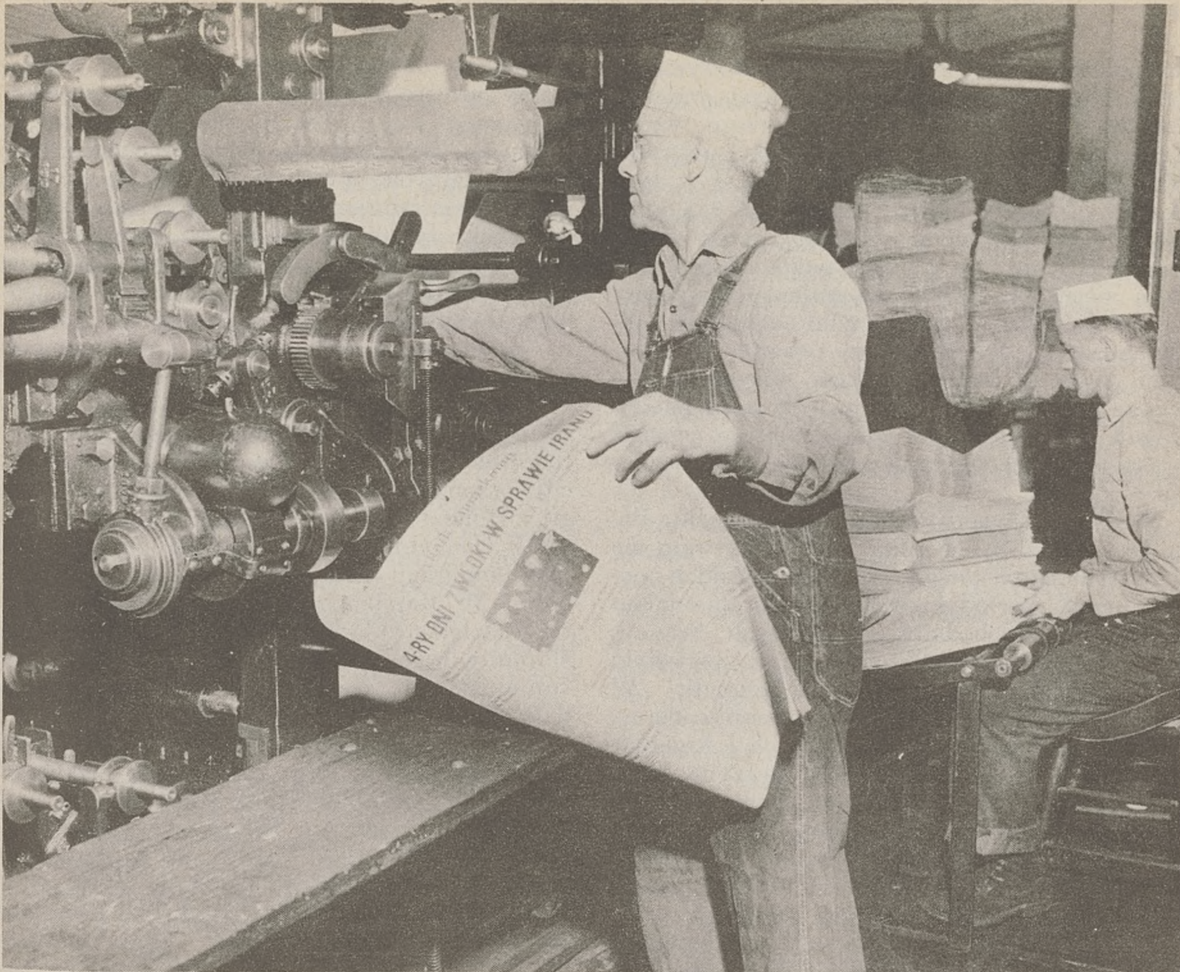
Lud — to miljony.

Tysięcy nie lęka się wróg — przed miljonami padnie..."

* * *

„Wiecie, że na ziemi waszej stal rodzi się z pieśni".

A więc niech w ustach waszych ciągle brzmi głos: „Jeszcze Polska nie zginęła" — a nie zginie".



Prasa rotacyjna, na której drukowany jest Dziennik Związkowy i Zgoda.

● ● ● ●

PRASA POLSKA ZA GRANICĄ

W dziejach emigracji polskich, politycznej i zarobkowej, prasa odegrała i nadal odgrywa rolę szczególnie doniosłą. Towarzyszy ona emigracji poprzez wszystkie szlaki jej wędrówek. Reprezentuje polską myśl polityczną, uczy bronić interesów Polski, przemawiać w jej imieniu, kształci emigranta społecznie i kulturalnie, łączy z krajem i zbliża do nowych krajów zamieszkania. Prasa polska poza granicami kraju posiada własną, sto już lat sięgającą historię dobrej służby narodowi. Omówienie jednak jej dziejów wymagałoby zbyt wiele miejsca, dlatego też zajmijmy się raczej jej stanem w okresie ostatnich lat dwudziestu, dokonywując zarazem próby powierzchownej systematyzacji.

Pisma Polonii Zagranicznej

Przed rokiem 1939 wszędzie niemal, gdzie istniały większe i ruchliwsze skupienia Polonii, wychodziły pisma polskie. Niektóre z nich miały za sobą wiele lat tradycji, początkami sięgając Wielkiej Emigracji XIX wieku; inne były młodsze, utworzone wysiłkiem emigracji zarobkowej, i służyły jej celom i zadaniom. Stan liczebny tej prasy, którą możemy określić mianem prasy polonijnej, ulegał częstym zmianom. Ulega im do dnia dzisiejszego. Wpływa na to wiele przyczyn, jak ilościowy i społeczny stan emigracji, czas jej trwania, stopień aktywności społecznej i narodowej oraz warunki polityczne, istniejące w krajach za-

mieszkania. Na ogół niemal we wszystkich krajach prasa Polonii Zagranicznej walczyć musiała stale z różnymi trudnościami, wynikającymi z przyczyn gospodarczych i politycznych. Prawdą jest, że pisma polskie w tym okresie docierały bardzo szeroko do rąk emigracyjnego czytelnika. Istniały przed wojną lata ,kiedy np. we Francji nakład prasy polskiej sięgał do 80.000 dziennie. Co siódmy zatem Polak we Francji czytał codziennie polską gazetę. Ale taki stan rezczy był wynikiem wielkiej pracy polskich dziennikarzy i wydawców, był wyrazem wyjątkowego patriotyzmu mas polskich w świecie, które poprzez prasę szukały dróg do utrzymania swej łączności z krajem.

Według statystyk Światowego Związku Polaków Zagranicą, w roku 1937 ukazywało się poza granicami Polski 175 pism polskich, codziennych i periodycznych. W Europie dzienniki polskie wychodziły w Niemczech, Francji, Litwie, Rumunii i Czechosłowacji, periodyki zaś w Łotwie, Danii, Belgii i Holandii. W krajach emigracji zamorskiej dzienniki ukazywały się w Stanach Zjednoczonych i Argentynie, periodyki zaś w Kanadzie, Brazylii, Mandżurii i Chinach. Pisma w języku polskim drukowano również na obszarze Związku Sowieckiego, reprezentowały jednak one ideologię komunistyczną i dążenia polityczne wrogie wobec niepodległego państwa polskiego.

Prasa Polonii Zagranicznej utrzymywała zawsze żywy kontakt z Polską. Był to kontakt codzienny, roboczy. Kraj był głównym dostarczycielem materiałów, informacji oraz ilustracji. Światowy Związek Polaków z Zagranicy utworzył jeszcze w latach trzydziestych wcale szeroko rozbudowane Biuro Prasowe, które z siedziby Związku przy ul. Mazowieckiej w Warszawie rozsyłało w świat materiał publicystyczny, informacyjny i fotograficzny, niezbędny do należytego funkcjonowania wydawnictw polskich w świecie, które, jak niemal zawsze i wszędzie wydawnictwa prasowe, nie cierpiały na nadmiar środków materialnych. Z prasą tą pozostawały również w ścisłym kontakcie krajowe agencje prasowe. Syndykaty i związki dziennikarzy polskich na obczyźnie współpracowały blisko ze Związkiem Dziennikarzy R.P. w kraju i z innymi organizacjami zawodowymi dziennikarzy i publicystów. W tym miejscu warto również zanotować, że Radio Polskie prowadziło specjalne audycje dla Polonii Zagranicznej z codziennym serwisem wiadomości krajowych dla prasy.

Wojna niemiecka, sowiecka i japońska okupacja zniszczyły system prasy polskiej na całym niemal kontynencie europejskim i w Azji. W innych częściach świata prasa w okresie wojny pozostała w stanie podobnym do przedwojennego.

Dzisiaj, w dziesięć lat po zakończeniu działań wojennych, prasa Polonii Zagranicznej przedstawia odmienny obraz od przedwojennego. Zniknęły pisma polskie w dawnych krajach, tak zwanych przygranicznych. Nie ma już ,,Dnia Polskiego'' w Kownie, ani ,,Dziennika Berlińskiego''. Zniknął ,,Kurier Polski'' w Czerniowcach, jak zniknęła mniejszość polska z Bukowiny, częściowo przez deportacje do Rosji, częściowo drogą repatriacji. We Francji z pism przedwojennych ostał się ,,Narodowiec'' w Lens. Nie udało się utrzymać odtworzonych po wojnie pism polskich w Belgii i Holandii. Pojawiły się natomiast w Europie zachodniej pisma inne, reprezentujące myśl emigracji politycznej i służące jej potrzebom. W Mandżurii okupacja sowiecka zmiotła niewielką kolonię polską w Charbinie i jej skromny tygodnik, a podbój Chin przez siły komunistyczne położył kres istnieniu ,,Echa Szanghajskiego'' w Szanghaju.

Niewielkim natomiast zmianom ulegał stan prasy polskiej w obu Amerykach. Zniknął wprawdzie jedyny dziennik polski w Ameryce łacińskiej ,,Codzienny Niezależny Kurier Polski'' w Buenos Aires. Utrzymał się tam zato tygodnik ,,Głos Polski'', podobnie w Brazylii, w Kurytybie utrzymał się ,,Lud''. W Kanadzie nadal istnieją trzy tygodniki: ,,Czas'' w Winnipeg, ,,Głos Polski'' i ,,Związkowiec'' w Toronto. Kanada przyciąga nową emigrację polską. Wydaje się, że byt prasy polskiej w tym kraju jest na pewien okres czasu zapewniony.

Mniej optymistyczni są wydawcy i redaktorzy pism polskich w Stanach Zjednoczonych. W ciągu ostatnich 50 lat ilość dzienników polskich w Ameryce stopniała z 29 do 8. Pozostałe nadal pełne są polskiej treści i narodowego wigoru, ale raz po raz słyszy się opinię, że prasa polsko-amerykańska stanie niebawem wobec dalszych, nowych trudności. W miarę, jak na ziemi Waszyngtona dorastają nowe pokolenia emigracji polskiej, znika pojęcie ,,Polaka z Ameryki'', a jego miejsce zajmuje ,,Amerykanin polskiego pochodzenia'', wprawdzie często mówiący po polsku, ale za swoją pierwszą ojczyznę uważający Stany Zjednoczone, z którymi związane jest jego życie kulturalne, polityczne i gospodarcze. Stąd chętniej czytuje gazety amerykańskie. Zwłaszcza polsko-amerykańska młodzież sięga raczej po pisma amerykańskie, gdzie znajduje wiadomości o interesującym ją sporcie, modzie czy życiu kulturalnym, podane w języku bardziej zrozumiałym, to znaczy angielskim. Prasa

polsko-amerykańska usiłuje bronić się przed oddalaniem się młodzieży przez wprowadzanie kolumn sportowych w języku angielskim. Skutek jest jednak tylko połowiczny. Należy liczyć się z tym, że proces kurczenia się zasięgu prasy polsko-amerykańskiej będzie nadal postępował. Niemniej przez długi jeszcze okres czasu pozostanie ona nadal głównym czynnikiem, kształtującym opinię amerykańskiej Polonii.

Pisma codzienne w Ameryce ukazują się w dwóch wielkich skupieniach Polonii. W stanach wschodnich, w Nowym Jorku wychodzi ,,Nowy Świat'', w Bostonie ,,Kurier Codzienny'' i w Buffalo ,,Dziennik dla Wszystkich''. W Cleveland, Ohio ukazują się ,,Wiadomości Codzienne''. Na zachodzie, w stanach środkowych wychodzą: w Chicago ,,Dziennik Związkowy'' i ,,Dziennik Chicagowski'', w Milwaukee ,,Kurier Codzienny'', zaś w Detroit ,,Dziennik Polski''. Obok dzienników wśród Polonii nadal są popularne wielkie tygodniki, jak ,,Zgoda'' organ Związku Narodowego Polskiego, ,,Głos Polek'' organ Związku Polek, ,,Naród Polski'' organ Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego — wszystkie wychodzące w Chicago, ,,Sokół Polski'' organ Sokolstwa w Pittsburgu, a dalej tygodniki takie, jak ,,Pittsburczanin'' w Pittsburgu, ,,Ameryka Echo'' w Toledo czy ,,Gwiazda Polarna'' w Stevens Point. Wiele innych pism zasługuje na wymienienie. Ogółem na obszarze Ameryki ukazuje się 59 dzienników i periodyków, przy 80 istniejących w roku 1941. Proces cofania się jest więc wcale znaczny.

W czasie wojny Światowy Związek Polaków z Zagranicy, działając początkowo z Francji, a następnie z Londynu, uruchomił bardzo sprawny i szeroki system współpracy z prasą Polonii Zagranicznej. Utworzona specjalnie w tym celu Polska Agencja Prasowa ,,Światpol'' wydawała kilka serwisów prasowych, poświęconych politycznym i kulturalnym sprawom polskim, polskim celom wojny itp. Istniał również bogaty serwis fotograficzny oraz specjalne biuletyny dla pism dla dzieci i młodzieży. Rozwijała się również współpraca z tzw. polskimi godzinami radiowymi, czyli audycjami radiowymi w języku polskim, jakie w liczbie około 100 istniały i istnieją w Stanach Zjednoczonych, Urugwaju, Kanadzie, a nawet przez pewien czas na Kubie.

Po klęsce wrześniowej i po upadku Francji obok prasy polonijnej pojawiła się w znacznej liczbie nowa prasa, prasa wojenna. Z niej rozwinęła się dzisiejsza prasa emigracji politycznej.

Prasa polska II-giej wojny światowej

Dla systematyzacji tej prasy można przyjąć różne jej podziały. Istniała **prasa cywilna,** na szlakach ucieczek z Polski (Rumunia i Węgry), w krajach, gdzie działał rząd polski (Francja i Wielka Brytania), względnie osiedlenia większej ilości ludności cywilnej (Persja, Palestyna, Afryka). Z drugiej strony istniała bardzo liczna i bogata **prasa wojskowa,** wydawana dla potrzeb polskich oddziałów wojskowych we Francji, Syrii, Wielkiej Brytanii, Rosji, na Środkowym Wschodzie, we Włoszech. W miarę demobilizacji pisma wojskowe albo przestawały istnieć, albo łączyły się z innymi, stwarzając **prasę emigracyjną — polityczną.** Dla naszych potrzeb przy analizie prasy II wojny światowej najlepszy, bo najmniej skomplikowany będzie podział geograficzny. Jednak nawet i w takim systemie omówienie całokształtu polskiej prasy wojennej będzie rzeczą niemożliwą. Pamiętajmy, że kiedy w roku 1950 Instytut imienia gen. Sikorskiego w Londynie zorganizował wystawę polskiej prasy wojennej, doliczono się ponad 1.000 pozycji, przy czym nie uwzględniono ani polskiej prasy podziemnej, ani obozowej prasy w Niemczech, jenieckiej i uchodźczej (deportowanych).

Największym ośrodkiem wydawniczym prasy polskiej była naturalnie **Wielka Brytania.** Nie wolno jednak zapomnieć o krótkim, ale istotnym okresie rozwoju wydawnictw polskich we **Francji** w okresie od września 1939 do czerwca 1940 roku.

Wojenna emigracja polska zastała we Francji wcale bogatą prasę dawnej emigracji zarobkowej z dwoma dziennikami ,,Narodowcem'' w Lens i ,,Wiarusem'' w Lille na czele. Obok nich pojawił się rychło ,,Głos Polski'' dziennik, reprezentujący opinię rządu polskiego w Angers oraz różne pisma polityczne, jak ,,Robotnik Polski'' — organ PPS, ,,Czarno na Białym'' — organ Stronnictwa Demokratycznego, wileńskie ,,Słowo'', oczywiście w formie tygodnika, i wiele innych. Rychło również wznowione zostały ,,Wiadomości Polskie'', będące sui generis kontynuacją przedwojennych, warszawskich ,,Wiadomości Literackich''. Prasę wojskową reprezentowała plejada pism i pisemek, spośród których wymieńmy dwa: ,,Polskę Walczącą'', wydawaną w słynnym obozie wojsk polskich w Coetquidan, i ,,Żołnierza Polskiego'', wydawanego przez społeczną reprezentację emigracji polskiej we Francji. Oba te pisma połączyły się niebawem pod jednym tytułem ,,Polska Walcząca'', która przeszła następnie z wojskiem polskim do Wielkiej Bry-

tanii, gdzie ukazywała się aż do sierpnia 1949 roku.

Wielki rozkwit wojennej prasy polskiej nastąpił w latach 1940 — 1945 w **Wielkiej Brytanii.** Sprzyjało temu i ,,zbrojne bezrobocie'' Armii Polskiej w Szkocji (od wiosny 1940 do wiosny 1944 r.) i niewątpliwie bardzo ożywiona polska działalność polityczna i intelektualna. Każdy rodzaj broni starał się mieć własne pismo. Oddziały wojska polskiego w Szkocji miały swój ,,Dziennik Żołnierza'' w Glasgow, który w roku 1944 połączył się z oficjalnym, londyńskim ,,Dziennikiem Polskim'' i pod wspólnymi tytułami ukazuje się do dnia dzisiejszego. Lotnictwo polskie również wydawało swój własny organ informacyjny. Były nim ,,Wiadomości ze Świata'', które z biegiem czasu przetworzyły się w dwutygodnik ,,Skrzydła''. Pierwsza Brygada Strzelców wydawała swoje własne codzienne ,,Nowiny''. Podkreślmy raz jeszcze, że bogactwo prasy żołnierskiej w Wielkiej Brytanii było tak znaczne, iż nie sposób jest wymienić chociażby jej części.

Prasę cywilną reprezentował przede wszystkim ,,Dziennik Polski'', istniejący do dnia dzisiejszego organ emigracji polskiej. Za nim szła plejada pism politycznych: socjalistyczny ,,Robotnik Polski'', narodowa ,,Myśl Polska'', ludowy ,,Zielony Sztandar'', piłsudczykowska ,,Wolność i Niepodległość'', organ Ruchu Niepodległość i Demokracja ,,Trybuna'' i inne. Pisma społeczno-literackie reprezentują przede wszystkim ,,Wiadomości Polskie'', wznowione w Londynie po klęsce Francji. Zamknięte przez cenzurę brytyjską za nieprzejednane stanowisko polityczne, zaczęły ponownie wychodzić po Jałcie, jako ,,Wiadomości''. Wskazać również należy na typ pism takich, jak doskonały ,,Ekonomista Polski'', organ Związku Ekonomistów Polskich, znakomicie omawiający gospodarcze problemy Polski powojennej, teoretyczno-wojskowa ,,Bellona'', ,,Myśl Lotnicza'' i inne. W Londynie również istniały dwie polskie agencje prasowe: rządowy ,,PAT'', oficjalna polska agencja, i wspomniany już ,,Światpol''. Radio Polskie we współpracy ze Światpolem wydawało serwis dla polskich audycji radiowych w świecie.

Drugim geograficznie skupieniem prasy polskiej była **Rosja i Bliski Wschód.** Brygada Karpacka w Syrii i w Palestynie wydawała własne pismo codzienne: ,,Ku Wolnej Polsce''. Nawet w Tobruku brygada ta drukowała ,,Przy Kierownicy w Tobruku'', na włoskim, zdobycznym papierze.

Oddziały wojska polskiego w Rosji wydawały najpierw liczne, bo ponad 300 zarejestrowanych pozycji — gazetki ścienne. W grudniu 1941 r. w Buzułuku ukazał się pierwszy numer istniejącego do dnia dzisiejszego w Londynie organu wojskowego ,,Orzeł Biały''. Ambasada Polska w Kujbyszewie drukowała pismo cywilne ,,Polska''. Po ewakuacji Armii Polskiej z Rosji Sowieckiej do Persji i na Bliski Wschód na poszczególnych etapach wędrówki ukazują się rozmaite pisma: ,,Polak w Iranie'' w Teheranie, ,,Kurier Polski'' w Bagdadzie, ,,Dziennik Żołnierza APW'' w Bagdadzie, Palestynie, Egipcie i we Włoszech, dokąd zawędrował z II-gim Korpusem gen. Andersa. Prasa wojskowa II-go Korpusu była oczywiście liczniejsza. Z prasy na tym obszarze wymienić również należy ,,Gazetę Polską'' w Jerozolimie i periodyk społeczno-literacki ,,W Drodze''.

Wojskowe i cywilne pisma polskie ukazywały się w czasie wojny we wszystkich krajach, gdzie znaleźli się Polacy. W Kanadzie, w okresie rekrutacji do Armii Polskiej 1941/2 r. wychodziła ,,Odsiecz'', w Szwajcarii żołnierze internowani mieli własne pismo ,,Goniec Obozowy''. Wydawane były poza tym pisma w Afryce, w Indiach, na Węgrzech i w okupowanej Francji.

W dziesięć lat po wojnie

Demobilizacje, ewakuacje i repatriacje powojenne spowodowały naturalny proces kurczenia się prasy polskiej. Trwa on do dnia dzisiejszego.

Nadal jednak prasa emigracji politycznej sięga 50-ciu pozycji. Nadal w Wielkiej Brytanii ukazują się ,,Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza'', ,,Wiadomości'' tygodnik społeczno-literacki, ,,Orzeł Biały'', katolickie ,,Życie'' i ,,Gazeta Niedzielna'', pisma polityczne ,,Robotnik Polski'', ,,Trybuna'', ,,Myśl Polska'' i wiele innych. We Francji wychodzi miesięcznik społeczno-literacki ,,Kultura''. Obok pism dawnej emigracji wspomnieć należy o ,,Syrenie'', organie nowej emigracji politycznej. Prasa w Niemczech praktycznie biorąc stopniała do dwóch wydawnictw: ,,Ostatnie Wiadomości'', ukazujących się co drugi dzień — organu Polskich Oddziałów Wartowniczych, oraz ,,Polaka'', będącego pozostałością dawnego, powojennego, żywego ośrodka wydawniczego w Quackenbrück. Nowością jest kilka wydawnictw polskich w Australii, w Afryce i niektórych krajach Ameryki Łacińskiej.

Polskie agencje prasowe mają obecnie raczej zakrój polityczny, jak np. serwis Egzeku-

tywy Zjednoczenia Narodowego w Londynie, przynoszący wiadomości dotyczące Polski z terenu międzynarodowego i polityczne wiadomości wewnętrzne.

Podobnie jednak, jak w okresie wojny, tak i obecnie prasa polska emigracji politycznej dobrze spełnia swe zadania, odgrywa rolę łącznika i informatora, spaja i wiąże emigrację w grupę, walczącą o realizację polskich i ogólnoludzkich postulatów politycznych i ideowych.

Bolesław Wierzbiański

ROLA DUSZPASTERSTWA POLSKIEGO NA EMIGRACJI

Wiele już padło zdań i wyszło sprawozdań na tak aktualny dla nas temat — wychodźstwa polskiego. Łatwiej jest jednak o krótkie zdanie, czy nawet dłuższe sprawozdanie ilościowe, niż o zdanie sobie sprawy jakościowo z istoty problemu, jakim jest dla człowieka wychodźstwo, prawdziwe misterium jego duszy. A cóż dopiero mówić o naszym uchodźstwie powojennym, które przeżyło piekielne ,,misterium iniquitatis''? I drugie małe zastrzeżenie: można by mówić i mówi się dość dużo o duszpasterstwie emigracyjnym wogóle; dla nas jednak, Polaków, sprawa pokrywa się niemal z duszpasterstwem katolickim i to polskim, według uznanego truizmu, że Polska po linii swego rozwoju jest już ,,skazana na katolicyzm'', że dzieli wszystkie jego triumfy i czasowe klęski. Na emigracji nabiera ta kwestia jeszcze więcej ostrości i barw, jako też dowodów na wzajemną zależność. Wystarczy rzucić okiem wstecz na nasz problem.

I. Idea misyjna — a taką jest w gruncie rzeczy duszpasterstwo wychodźcze — nie była w Polsce zbyt popularna. Może dlatego, że byliśmy osiadłym narodem rolniczym, że nie mieliśmy kolonii, że postawieni na ,,Okopach Św. Trójcy'' między potęgami innowierczymi, musieliśmy się uodporniać przede wszystkim sami wewnętrznie, by sprostać zagonom światoburczego Islamu na przedmurze chrześcijaństwa. Niemniej na ten właśnie wschód muzułmański kierowała nieraz nasze misje Stolica Apostolska. I od nich też, od misjonarzy dominikańskich, franciszkańskich, trynitarskich, później jezuickich, doznawali opieki duszpasterskiej nasi pierwsi rozbitkowie z nawy dawnej Rzeczypospolitej: jeńcy, janczarzy, banici, kupcy, podróżnicy, dyplomaci. Ślad owych misji zaginął oczywiście w historii, ale wystarczy przeglądnąć choćby świeżą rozprawę ks. Madaya'a o naszej misji na Krymie, żeby mieć próbkę tych pojedynkowych objawów ducha apostolskiego praojców . . . Albo wziąć naszą metropolię Mohylewską, która opasała całą Azję szlakiem ponad stu polskich parafii, począwszy od Dniepru przez południową Syberię aż po Mandżurię i Sachalin. I to mimo całej niechęci i szykan białych i czerwonych carów — mieli ci z nieszczęśliwych najnieszczęśliwsi nasi skazańcy, a potem osiedleńcy syberyjscy, jakieś przyczółki kultury katolickiej i polskiej w morzu obczyzny . . .

Bliżej nieco znamy dzieje partyzantów z Konfederacji Barskiej, powstania Kościuszki, legionów Dąbrowskiego, gdzie się trafił i niejeden kapelan — ochotnik. W pełnym blasku przeszła do historii ,,Wielka Emigracja'' po roku 1831. Dzięki Bohdanowi Jasińskiemu i Mickiewiczowi powstało wtedy polskie zgromadzenie zakonu Zmartwychwstańców, a potem i Zmartwychwstanek dla naszej i obcej diaspory. Gdzieś koło lat 1870 ruszy za chlebem masowa emigracja zarobkowa do obydwu Ameryk, a potem Zachodniej Europy, rekrutowana z nędzy wiejskiej, rozsypana bezładnie po bezkresach nowych lądów, wyzyskiwana przez agentów, opuszczona przez wszystkich, skazana na zgubę materialną i moralną. Szczęściem, że Franciszkanin O. Leopold Moczygemba stwarza sto lat temu pierwszą parafię polską w Stanach Zjednoczonych, a ks. Józef Dąbrowski, b. powstaniec z 1863 r. sprowadza w roku 1875 do osady ,,Polonia'' siostry Felicjanki z Krakowa, dźwiga szkolnictwo polskie, tworzy duchowne seminarium polskie w Orchard Lake, zabiega o dalsze polskie parafie. Rozumiał doskonale, że rozbitej dotąd masie naszego wychodźstwa trzeba koniecznie światła wiary w polskim wydaniu, by się mogła stopniowo włączyć z pożytkiem w nurt życia ogólno-kościelnego w Ameryce. Śladem USA szły zwolna i Kanada, Brazylia, Argentyna, gdzie obrabiały ugory zwłaszcza zgromadzenia zakonne: Oblatów, Salezjan, Werbistów, Mi-

sjonarzy, czy — jak w Rodezji — Jezuitów. Wyjątkowym światłem jaśnieją w historii misji katolickich nazwiska OO. Ryłły, Beyzyma, Zaleskiego, Ledóchowskiego . . .

II. I w Europie wegetowały już z dawna Misje Polskie we Francji, Anglii, ostatnio i w Belgii, Holandii, Szwajcarii, nie mówiąc już o pograniczach Polski — Niemcy, Rumunia, Litwa — gdzie odrębności polskie zahaczały o delikatne spory irredencyjne . . . , skąd jednak i nazwiska niektórych księży zapisały się chlubnie na łamach ,,Światpolu'' (żeby wspomnieć ks. Domańskiego).

Powstały na zjazdach warszawskich w r. 1929 i 1934 ,,Światowy Związek Polaków z Zagranicy'' miał podtrzymać więź kulturalną Wychodźstwa z Macierzą, a równocześnie tworzyć pomost do międzynarodowej wymiany dóbr materialnych i moralnych. Rzecz w tym, że te wartości miejscami zanikały z biegiem czasu lub wskutek rozkładowej propagandy obcej. ,,Na wychodźstwie polskie dusze giną'' — uderzył wtedy na trwogę ks. Kardynał Hlond. Świadom, że potrzebom wychodźstwa zaradzić może jedynie stała opieka, i to duszpasterstwa zakonnego, zakłada w r. 1932 w Potulicach Seminarium Zagraniczne, jako kadrę Towarzystwa Chrystusowego dla polskich uchodźców. Myśl iście przełomowa — zmierzała do tego, by duszpasterz miał przede wszystkim ducha ofiary, a nadto pomoc w równie oddanych braciach technikach i w Zgromadzeniu, na wypadek kryzysów. I już wychodziły z pod ręki ks. Posadzego pierwsze szeregi Chrystusowców, gdy w r. 1939 wybuchła nawała hitlerowska, zdusiła dzieło, osadziła żniwiarzy Pańskich na miejscu, a przed wychodźstwem otwarła znów problem o niebywałym napięciu — milionowego uchodźstwa wojennego.

III. Dzięki jedynie Opatrzności zaradzono i tym razem potrzebie. Bo oto z niedobitkami wojsk polskich wędrują do bratniej Francji i na wyspy brytyjskie kapelani wojskowi.

Z bezkresów Rosji i Wschodu udaje się również wydrzeć ostatki zesłańców i od r. 1942 pod jurysdykcją Biskupa Polowego przeprowadzić ich przez Turkiestan, Iran, Irak, Syrię, Liban, Palestynę do Afryki, Indii, czy odległej N. Zelandii i Meksyku.

A gdy w 1945 r. padają wreszcie Niemcy, obok półtoramilionowej rzeszy niedoszłych ofiar obozów pracy, jenieckich, koncentracyjnych, staje zaraz garść 650 kapłanów ocalałych w Dachau i w innych obozach, by od samego uwolnienia zacząć samodzielną pracę odrodzeńczą nad rodakami, również pod pełną jurysdykcją Ks. Biskupa J. Gawliny, zgodnie z dekretem Ojca Św. z 5.VI.1945. Stąd po pierwszej fali repatriacyjnej popłynęła odwrotna fala emigracyjna, aż w r. 1949 nad ustatkowaną już trochę dolą uchodźców mógł objąć Ks. Biskup w zastępstwie Księdza Prymasa ogólny protektorat po zgonie wielkiego Kardynała Hlonda. I znów trzeba w tym widzieć niemal palec Opatrzności, że gdy Kraj ze swoim Prymasem szedł w jarzmo czerwonej dyktatury, nie mogąc w niczym pomóc wygnańcom, wtedy dostaje wychodźstwo nasze po raz pierwszy w dziejach pełną, samoistną i prawie wystarczającą obsługę duszpasterską scentralizowaną w Rzymie, by ją ustrzec z jednej strony przed zwodnym ekskluzywizmem ghetta narodowego, z drugiej — przed mieliznami płytkiej asymilacji.

Od r. 1950 opada już jako tako fermentacja emigracyjna; sprawozdania i konferencje dekanalne księży dokonują przeglądu owczarni oraz prac dokonanych i zamierzonych; z góry przynosi ogólne plany i świeże myśli ,,Duszpasterz Polski Zagranicą'', kwartalnik o nakładzie 800 egz.; wizytacje arcypasterskie Polonii po 20 prawie państwach globu ziemskiego wytwarzają, jak nigdy przedtem, poczucie wspólnoty narodowej. Przychodzi też pora po tylu doświadczeniach dziejowych przekazać je innym narodom przez Najwyższą Radę Emigracyjną przy samej Stolicy Świętej, gdzie problemy migracji doznały pełnego zrozumienia i rozpatrzenia w wiekopomnej chyba encyklice ,,Exsul Familia'' z dn. 1 czerwca 1952 roku. Że pozytywny dorobek duszpasterstwa polskiego, począwszy od Polonii Amerykańskiej aż po bezprzykładne żniwa ogółu duchowieństwa na uchodźstwie dni naszych, musiał zaważyć na tych pomyślnych uprawnieniach, to chyba nie ulega wątpliwości. Ale też bynajmniej nie zwalnia on od dalszych wysiłków, głównie w kierunku jakości, aby nie zawieść nadziei pokładanych w duszpasterstwie narodowym.

IV. W tym celu nie zawadzi jednak, być może, lekki zwrot od linii historyczno-ewolucyjnej do płaszczyzny rzeczowej — samych poczynań duszpasterskich. I to nie tyle może w zakresie utartym tradycją, jak np. w USA, ile raczej w kraju o największej fermentacji, jakim były Niemcy pohitlerowskie. Tu się naocznie poprostu okazało, niby w skróconym eksperymencie poglądowym, jak ujemnym przemianom podlega Polak-katolik rzucony w obce jego wierze i kulturze środowisko; tu się też dowodnie wykazał błogosławiony wpływ kontaktu z duszpasterzem-rodakiem i rodzimą wspólnotą w parafii polskiej. Od problematyki zejdźmy na osoby.

Czym był polski ksiądz dla wygnańca po uwolnieniu?

Najpierw, jako kapłan, nawiązał na nowo starganą przez wroga więź łaski z Bogiem, ze sobą i z ludźmi: Msza Św., spowiedź, Komunia Św., liturgia wspólnych nabożeństw, modlitw, śpiewów, aparatu i paramentów kościelnych wykrzesała z pomiatanego do niedawna pariasa nadprzyrodzony cud życia Bożego, przybliżając doń równocześnie obraz dalekiej Ojczyzny. Jako nauczyciel musiał kaznodzieja przypomnieć i uzupełnić zapomniane lub ongiś niedoceniane prawdy wiary; musiał niektórych uporczywie bronić lub rewindykować przeciw propagandzie szatańskiej z domu niewoli i powodzi nałogów i grzechów po rozluźnieniu kajdanów; musiał iść przede wszystkim z ciepłym słowem nauki ewangelicznej do wyjałowionych duszyczek młodzieży i dzieci w szkole, na kursach, w świetlicach. I wreszcie jako pasterz duchowy owczarni musiał ją otoczyć wszechstronną opieką i służyć wszelaką pomocą, wciągając do współpracy i zarażając swym zapałem wiernych. Wyszedł z zakrystii, chodził po kolendzie, odwiedzał chorych, wizytował przedszkola, świetlice, stadiony, zabawy, mieszkania, więzienia, warsztaty prac obozowych. Był organizatorem lub motorem różnych akcji społecznych, był budowniczym kaplicy, szkoły, przedszkola; był pośrednikiem pracy, tłumaczem, obrońcą sądowym, rozjemcą i sędzią pokoju, notariuszem, prezesem związków, jałmużnikiem ,,Caritas'', rewizorem opieki społecznej, korespondentem prasowym, nieraz i konsulem czy ambasadorem sprawy polskiej, gdy innej inteligencji nie stało; był jednym słowem niby katalizatorem, wokół którego rozwijała się prawie każda akcja kulturalna, społeczna, prawdziwe zjednoczenie na punkcie rzeczowych wartości nieprzemijających. Jego okiem w głowie było zachowanie wiary, sublimacja rodziny i małżeństwa, uświęcenie młodzieży, a dalej ,,Caritas'' chrześcijańska tak dla samego wychodźstwa, jak i dalekiej Ojczyzny, z którą najwięcej bodaj — poza szkołą — on wiązał swych ziomków. On też miał w największej ewidencji liczebność tej cząstki Ojczyzny przez księgi urodzonych, zaślubionych, zmarłych, przez tysiączne protokóły i egzaminy. (Może i nie każdy i nie jednako, ale większość dawała impuls).

A wyniki, a skutki tej akcji pasterskiej kapłana i jego współpracowników? Nie spotykane kiedy indziej, w każdym razie odmienne od innych emigracji. O ile ,,Wielka Emigracja'' żyła raczej ideą, i to elitarną, na koszt Kraju lub entuzjastów zagranicznych; o ile emigracja zarobkowa XIX wieku w cichym trudzie pomagała wprawdzie Krajowi, ale nie mogła się zdobyć jeszcze na organizację, to ta powojenna, choć może i koniunkturalna trochę, z miejsca rozwinęła obrotną organizację, dźwignęła samopoczucie mas, podciągnęła młodzież, oparła się na samowystarczalności ekonomicznej, zdołała wypracować w lot pewne metody organizacyjne, w których orbitę wciąga i zasiedziałe dawniej stare ,,Polonie''. Mile by się musiał zdziwić dziś wieszcz Adam, Norwid czy Konopnicka, jak duch Ludu dojrzał pod obuchem nieszczęść do roli Narodu.

Szczegóły dokonań poczęto już zbierać i opracowywać. Wejście Ks. Arcybiskupa do Naczelnej Rady Emigracyjnej przy świętej Stolicy Apostolskiej z dniem 6 czerwca 1953 r. pozwala na wysuwanie odpowiednich dezyderatów i wniosków na szerszej płaszczyźnie. Poza naszą hierarchią — to wszystko dzieło duszpasterzy i wiernych, co stanęli na apel. I jakże chlubnie świadczy to o twórczych zdolnościach improwizacyjnych naszego Narodu, co podniósł z naciskiem sam Ojciec Św. przy nominacji Ks. Prymasa Wyszyńskiego, okrywając purpurą kardynalską jego wytrwałość w wierze, ducha odporu i gotowość na męczeństwo . . .

V. Zostaje jeszcze jedna sprawa, i kto wie, czy nie najważniejsza. Nie będziemy tu mówić o pionie, o wymaganiach kapłanów w tych czasach, albowiem czują to sami. Ale w nakazach Kodeksu Prawa Kanonicznego po wyczerpującym traktacie o osobach duchownych jest wzmianka i o bractwach świeckich. Bo i cóż by mogli najlepsi kapłani, gdyby nie znaleźli oddźwięku u wiernych? Pewnie, że dobry ksiądz przez to samo, że gdzieś j e s t, już działa, już budzi sumienie; ale chodziłoby przecie o prawdziwie Świętych Obcowanie, o wzajemną odpowiedzialność, zważywszy, że wiara nie jest tylko rzeczą księdza, lecz równie dobrze i wiernych. I gdy już mowa o roli duszpasterzowania, to czy nie trzeba jej brać i przedmiotowo — o roli serc ludzkich, którą przedziwnie zróżniczkował Chrystus w przypowieści o siewcy (Łuk. 8. 4-14). Czy czasem nie wina tej roli ciernistej, opoczystej, płytkiej, wyświechtanej przez wszystkie wpływy, że nie wydaje ona owocu, choćby siewcy przyszło i duszę dać za przyjacioły swoje? I tę rolę, rzekomo świecką, obowiązuje też prawo wydajności, zwłaszcza dziś, gdyśmy z przedmurza chrześcijaństwa wyszli na arenę świata i ściągamy na siebie oczy innych niby miasto na górze, na świeczniku ludzkości.

A więc konkretnie:

1) w dziedzinie królewskiego kapłaństwa poddawać się trzeba działaniu łask sakramen-

talnych i odzwajemniać się modlitwą za grożące zanikiem na wychodźstwie powołania kapłańskie, o które Arcypasterz zaleca się modlić tak natarczywie, by nie zbrakło tych rezerw i kadr duchowych wodzów Polonii Zagranicznej.

2) w dziedzinie nauczycielskiej i charytatywnej podobnie się modlić o żeńskie powołania zakonne, które są prawą ręką kapłana w opiece nad matką i dzieckiem, nad chorymi i ułomnymi. Nie mówiąc już o fachowych nauczycielach objazdowych i katechistach, którzy są dzisiaj marzeniem. O dary w gotówce i przysłudze nie trzeba nawet Polakom przypominać, bo mają to w tradycji i krwi, choć niezawsze zgodnie i w czasie to załatwią. Jedynie ofiarnością Ligi Katolickiej i Polonii Amerykańskiej potrafił Kościół zmóc przesilenie powojenne tak w Kraju, jak i na wychodźstwie. Gdybyż jeszcze zastosować w całej akcji społecznej zasadę ewangeliczną: nie dać się obsługiwać, ale drugim usługiwać i to z miłością braterską jedni drugich uprzedzając...

3) w dziedzinie wreszcie pasterskiej zrzeszać się w Akcji Katolickiej, Bractwach Różańcowych, Sodalicjach, Kołach Polskich, popieraniu prasy; słowem stworzyć, jak Mojżesz na pustyni, Radę Przyboczną, do jakiej apelują i Apostołowie, by sami mogli oddać się modlitwie i kaznodziejstwu, poruczając materialia diakonom.

O co chodzi? Żeby w każdej grupce Polaków wytworzyła się prawdziwa samopomoc duchowa, której dostarczą strawy duchowej odgórne ośrodki planowania i dyspozycji, rozprowadzonej przez wydawnictwa — Swiatpol, Veritas, prasę itp., a kapłan żeby błogosławił, szafował sakramenty, w czym go nikt nie zastąpi. Zjednoczenie zaś każdej dzielnicy, czy jak je kto nazwie, mogłoby słać w teren lotne ekipy wyspecjalizowanych „Voluntary Agencies" do różnych zadań na kształt assyckich akademików „Pro Civitate Dei", o ile oczywiście warunki tego wymagają i na to pozwolą. Wtedy i prestiż polskości wzrośnie, wtedy też automatycznie dźwignie się nasze samopoczucie i możliwość orędowania w sprawie polskiej, założywszy, że rozwiążemy poprawnie problem nad problemami — naszej własnej adaptacji do środowiska. Nie przez ciasną izolację w ghetto zaściankowym, gdyż to wyrabia mizantropię i ściąga tylko kpiny; ani tym bardziej wypieranie się swej kultury w płaskim serwiliźmie; ale, i wyłącznie przez wcielanie swych dóbr w kulturę środowiska i czerpanie stamtąd zdrowych elementów do własnego wzbogacenia się i pożytku Ojczyzny. Na naturalny proces asymilacji w dalszych pokoleniach trudno rzucać kamieniem, pomnąc na smutne nasze dzieje; nie kreślić zwłaszcza granicy językowej w Narodzie. Na te zasady godzi się też i zdrowsza socjologia amerykańska, choć nie przeocza naturalnych trudności akomodacji obcokrajowca. I nasza Polonia w Stanach Zjednoczonych pierwsza rozpracowała praktycznie i teoretycznie to zagadnienie. Trudno, emigracja wymaga siły bohaterskiej, siły niemal za dwóch, bo, jak się ongiś wyraził Karol V, człowiek, znający dwa języki, wart jest dwóch ludzi.

A gdy się wżywać w nowy świat, to najłatwiej i najbezpieczniej poprzez Kościół Katolicki, który przy swym najwyższym uniwersaliźmie szanuje i pielęgnuje na całym świecie zalety wszystkich kultur, by w tej harmonii zbiorowej odbić możliwie doskonale nieskończoną doskonałość Stwórcy. Obecny Papież pokoju międzynarodowego jest zarazem najgorętszym rzecznikiem mniejszości narodowych i wychodźców, czemu dał wyraz choćby we wspomnianej konstytucji emigracyjnej „Exsul Familia", a przedtem w przemowie do kardynałów w 1946 r. i w pierwszej Encyklice z 1939 r.

Polski duszpasterz katolicki był, jest i będzie pierwszym, który pomoże zachować emigrantowi własną godną postawę moralną, a co za tym idzie, wartościowe dostrojenie się do nowego, zwłaszcza katolickiego środowiska, bez uszczerbku dla sprawy polskiej i szczęścia osobistego. Wszystko możem w tym, który nas umacnia, Chrystusie.

X.Św.

● ● ● ● ●



Uliczka "Kamienne Schodki" przed zburzeniem w Warszawie

BIAŁY ORZEŁ SYMBOL WOLNOŚCI

NIEŚMIERTELNA jest zasługa Polaków w dziejach walk, toczonych w Ameryce o niepodległość i wolność. O niepodległość Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i o wolność człowieka. Ilekroć rozbrzmiał po świecie zew do walki o Dobrą Sprawę, tylekroć Polacy znajdowali się w pierwszych szeregach walczących.

Dawno przybyli Polacy na ziemię amerykańską. Już w 1608 roku są rzemieślnicy polscy w Jamestown, a w kilka zaledwie lat później kolonizują Polacy, rolnicy, ziemie obecnego stanu New York. Osadnicy polscy posuwać się zaczynają szybko ku Zachodowi i Południu, a w połowie wieku XVIII docierają do ziem zupełnie jeszcze wówczas dzikich.

Polacy podejmują prace pionierskie, zakładają szkoły, szerzą kulturę zapisują pierwsze karty historii Ameryki. Nazwiska dr. Aleksandra Curtiusa, Alberta, Jakóba i Józefa Zaborowskich, Jana Antoniego Sadowskiego, Karola Błaszkiewicza, T. Mostowskiego i wielu innych widnieją wśród tych, którzy kładli podwaliny pod budowę nowoczesnych U.S.A.

Kiedy po ziemi amerykańskiej rozszedł się jednak szczęk oręża — Polacy porzucili pługi, pióra i kowadła — i chwycili za broń.

Jak pierwszej wielkości gwiazda świeci nad Ameryką i Polską imię Tadeusza Kościuszki, generała armii amerykańskiej i Naczelnika ostatniego polskiego czynu zbrojnego, podjętego przed utratą niepodległości dla ratowania Ojczyny przed rozbiorem.

Kościuszko wybrał i umocnił pozycję wojsk amerykańskich pod Saratogą, słynną jako miejsce jednego z największych zwycięstw amerykańskich w wojnie o niepodległość. Kościuszko ufortyfikował West Point i on również powstrzymał posuwanie się wojsk nieprzyjacielskich wzdłuż rzeki Hudson, podejmując śmiałą inicjatywę założenia łańcuchów przez rzekę. Kościuszko wreszcie przeprowadził budowę umocnień polowych jednej z armii amerykańskich, a napisanie pierwszej instrukcji artyleryjskiej dla armii amerykańskiej zdobyło mu zaszczytne imię "ojca artylerji amerykańskiej."

Obok Kościuszki w historii walk wyzwoleńczych narodu amerykańskiego z czcią najwyższą wpisali Amerykanie nazwisko Kazimierza Pułaskiego, niestraszonego dowódcy partyzantki Konfederatów Barskich przeciwko moskiewskiemu najazdowi.

Benjamin Franklin skierował Kazimierza Pułaskiego — na jego prośbę — z Paryża do Ameryki, do kwatery głównej Jerzego Washingtona. Szybko zasłynął wspaniały kawalerzysta polski jako nieustraszony dowódca ataków, w których odżywała furja dawnych polskich "towarzyszów pancernych." Dzięki takim właśnie, jak burza idącym, zuchwałym atakom uratował Kazimierz Pułaski armję Washingtona od zniszczenia pod Warren Tavern i Brandywine. Prawdziwe jednak zalety wodza okazał Pułaski w 1779 roku, kiedy na czele "Legionu Pułaskiego" pomaszerował do Południowej Karoliny, gdzie wyzwolił miasto Charleston z długotrwałego i groźnego oblężenia. Na polu bitwy pod Savannah, w stanie Georgia, prowadząc atak oddziałów francuskich i amerykańskich, legł Kazimierz Pułaski śmiercią bohaterską, pozostając nieśmiertelnym w pamięci narodu amerykańskiego i polskiego.

Jak Kościuszko pozostał na wieki "ojcem artylerji amerykańskiej," tak Pułaski pozostał "ojcem amerykańskiej kawalerji." Obaj bowiem nie tylko wspaniałymi byli dowódcami, ale żołnierzami równie wielkiemi w akcji bojowej, jak w wojskowej pracy organizacyjnej.

Zarówno Kościuszko, jak i Pułaski nie byli jako żołnierze polscy odosobnieni w armji amerykańskiej. W "Legionie Pułaskiego" było wielu Polaków. Kilku z nich podzieliło chwałę dowódcy, ginąc na polu walki. Inni — przetrwali wojnę i — przeważnie — pozostali w Ameryce. Dwaj z nich, poeci na wygnaniu, K. Węgierski i Juljan Ursyn Niemcewicz, niegdyś adjutant Kościuszki, upamiętnili pismem swe amerykańskie przeżycia.

Po powstaniu polskiem 1830-31 r. tysiące bojowników o wolność poszło na dobrowolne bądź przymusowe wygnanie. Losy przywiodły wielu z nich do Ameryki. W codziennym trudzie budowali przyszłość swego "nowego domu," a wielu z nich zasłynęło na polu sztuki, piśmiennictwa, muzyki i t.p. Praca codzienna i zasługi Polaków zjednały im życzliwość władz i społeczeństwa amerykańskiego. Nietylko zresztą im bezpośrednio, ale — pośrednio, dzięki nim — sympatje amerykańskie dla jęczącej w trój-niewoli Polski przejawiać się zaczęły bardzo często i silnie.

Kiedy zaś wybiła znów ciężka dla Ameryki godzina — "Wojna Cywilna" 1861-65 roku — Polacy, jak można było przewidzieć, znaleźli się w walczących szeregach. Na 30.000 mieszkających wówczas w Ameryce Polaków aż 5,000 chwyciło za broń i wzięło najbardziej aktywny udział w walce.

Gen. W. Krzyżanowski, wygnany z zaboru pruskiego, inżynier, budowniczy kolei na Zachodzie, a potem kupiec w Washingtonie — wyrósł do godności jednego z bohaterów wojny. Wstąpił do armji jako prosty żołnierz, wkrótce doszedł do rangi kapitana, a następnie pułkownika i dowódcy 59 pułku piechoty (New York). Ubóstwiany przez żołnierzy, walczył pod Cross Key, pod Bull Run, pod Gettysburg i brał udział w ekspedycji do Tennessee. Opuścił służbę w randze generała brygady i mianowany został pierwszym gubernatorem Alaski, a następnie Panamy i wreszcie — stanu New York. W 1938 roku jego doczesne szczątki przeniesione zostały na cmentarz zasłużonych w Arlington. Trumnę bohatera nieśli na ramionach generałowie armji amerykańskiej, a prezydent Stanów Zjednoczonych uczcił jego pamięć specjalnem przemówieniem.

Gen. Krzyżanowski miał w szeregach armji amerykańskiej innego wybitnego kolegę i rodaka. Józef Karge, również z zaboru pruskiego, doszedł do rangi pułkownika. W armji konfederackiej t.zw. "Polską Brygadą z Nowego Orleanu" dowodził Polak, gen. Tochman, a w szeregach walczących — obok nazwisk znakomitych dowódców — widnieje wiele nazwisk polskich żołnierzy wyróżnionych za bohaterstwo i poświęcenie. Nietylko zresztą żołnierze: — są wśród wyróżnionych również kobiety, szczególnie pełne poświęcenia w pracy pielęgniarskiej w armji.

W ciągu dziesiątków lat po wojnie cywilnej potężnieć zaczęła kolonja polska w Ameryce. Wychodźtwo do Ameryki przybierać zaczęło w pewnych okresach zjawisko wręcz masowe. Rolnicy głównie, ale wkrótce po nich ludność robotnicza, zawsze w towarzystwie kapłanów, najbardziej zautanych i sercem oddanych doradców i pocieszycieli, wychowawców i przewodników, wędrować poczęli za ocean. Powstały wielkie ośrodki polskie na Wschodzie i w Centrum kraju, na Zachodzie i na Północy. Polacy wchodzić zaczęli głębiej i bardziej masowo w życie amerykańskie, zachowując w sercach nigdy nie wygasającą miłość dla Macierzy, dla Polski, dla "starego kraju."

A w latach wojennych 1914-18 miłość ta przepięknym wyraziła się czynem. Amerykanie pochodzenia polskiego znaleźli się nie tylko wśród tych, którzy najwięcej dali swemu "staremu

krajowi," ale i nowej swej ojczyźnie. Wśród pierwszych ochotników armji amerykańskiej Polacy stanowili dokładnie 40 procent. Na wezwanie prezydenta Stanów Zjednoczonych stawiło się 100,000 ochotników, a Amerykan polskiego pochodzenia było wśród nich 40 tysięcy! Dokumentarnie ustalono, że pierwszy żołnierz amerykański, który poległ na polu chwały we Francji był Polakiem. Nazywał się Józef J. Czajka z Milwaukee, Wisc. Łacznie w czasie wojny służyło pod sztandarami U.S.A. około 300,000 Polaków.

Kiedy zaś Wielki Chorąży Sprawy Polskiej w Ameryce, Ignacy Jan Paderewski wezwał Polaków w szeregi Wojska Polskiego, jeszcze blisko 40,000 Polaków ze Stanów i Kanady wdziało błękitne mundury armji gen. Józefa Hallera i poszło walczyć za wspólną Sprawę wolności ludów, za wspólną Sprawę "wolności naszej i waszej."

Bo taki zawsze widniał świetlany napis na sztandarach Walczących Polaków. . . . Wówczas — jak i dzisiaj!

Materjały amerykańskie z prac M. Haimana (Chicago) i prof. dr. Romana Dyboskiego (Kraków).







Reprodukowane za pozwoleniem artysty, Artura Szyka

Gen. Tadeusz Kościuszko — Gen. Kazimierz Pułaski — Gen. W. Krzyżanowski



Ulica we Wilnie

Wyrazy Hołdu Wielkiemu Wieszczowi Narodu

W STULECIE JEGO ZGONU



ADAM MICKIEWICZ

1855 **1955**

KRÓTKI ŻYCIORYS ADAMA MICKIEWICZA

W popularnym ujęciu.

Mickiewicz urodził się w wsi Zaosie pod Nowogródkiem i należał pochodzeniem do średniej szlachty. Uczył się w 6-klasowej szkole ks. Dominikanów w Nowogródku, a mając 17 lat, pojechał na nauki do uniwersytetu w Wilnie. Były to już świetne czasy tej uczelni, dzięki poprzednim staraniom kuratora Adama Czartoryskiego i rektora Jana Śniadeckiego. Mickiewicz trafił na dobrych profesorów, od których dużo korzystał; pracował gorliwie, kształcił się, a jednocześnie brał udział w życiu koleżeńskim i zaczął próbować pióra. Jako stypendysta rządowy (bo był niezamożny), musiał po skończeniu nauk uniwersyteckich objąć posadę nauczyciela w Kownie, lecz nie czuł do tego zdolności ani zamiłowania. Zato pisał z zapałem, tak że po czterech latach wyszły już dwa tomiki jego utworów.

Główną rzeczą w tych utworach jest zawsze uczucie. Mickiewicz maluje w pięknych obrazach uczucie przyjaźni, miłość do kobiety, współczucie względem niedoli niższych, patriotyzm, wzywa młodzież do pracy nad postępem społeczeństwa. Do obrazów swoich korzysta z pieśni i podań ludu polskiego i białoruskiego. W większym utworze opowiadającym, napół historycznym, p. t. "Grażyna" główną osobą jest bohaterka, która poświęca życie dla ojczyzny. W drugiem dużym opowiadaniu poetycznym ("Dziadów. Część IV") Mickiewicz maluje dzieje swojej zawiedzionej miłości, lecz z tą myślą, że człowiekowi nie wolno poddawać się rozpaczy z powodu nieszczęść osobistych, gdyż ma przed sobą pracę dla społeczeństwa.

W r. 1823 Mickiewicz został uwięziony w sprawie Filaretów, przesiedział cztery miesiące w zamknięciu, a w pół roku później otrzymał wyrok, skazujący go na wyjazd do właściwej Rosji. Przez 4½ roku mieszkał w Odessie, Moskwie i Petersburgu, będąc urzędnikiem, lecz bez rzeczywistych zajęć; poznał kraj i ludzi, obcował z wielu znakomitymi i szlachetnie myślącymi Rosjanami; a przyjrzawszy się bliżej urządzeniu państwowemu i potędze politycznej naszych wrogów odwiecznych, napisał prześliczny poemat p.t. "Konrad Wallenrod". Przedstawia w nim gorącego patriotę Litwina, który, nie widząc innego sposobu, żeby odwrócić niebezpieczeństwo podboju od ojczyzny, ucieka się do zdrady i mści się na wrogach Litwy—Krzyżakach. Opowieść ta mówi niby o dawnych czasach, lecz można się z niej domyślać, że Mickiewiczowi chodziło o stosunki rosyjsko-polskie w przyszłości, a pisał z wielkiej rozpaczy. Poemat sprawił niezmierne wrażenie, bo tak pięknie nikt jeszcze w piśmiennictwie polskiem (a może i w innych) nie wyraził potężnego uczucia miłości ku ojczyźnie.

Po napisaniu "Konrada Wallenroda" Mickiewicz w wielką trudnością dostał paszport na wyjazd zagranicę. W połowie r. 1829 opuścił Rosję i nigdy już nie oglądał ojczystego kraju. Przez Niemcy i Szwajcarię pojechał do Rzymu. Tam rozwinęło się w nim mocniej uczucie relilijne; od myśli o stosunkach politycznych w Polsce dusza jego wznosiła się jeszcze wyżej—ku wszystkiemu, co się dzieje z woli Opatrzności.

We Włoszech dowiedział się o wybuchu rewolucji Listopadowej. Po pewnem wahaniu wyruszył przez Paryż w stronę Polski, by wziąć udział w sprawie narodowej; lecz nie mógł się przedostać przez granicę i musiał się zatrzymać w Poznańskiem, a tymczasem powstanie upadło. Pojechał więc do Drezna, gdzie się zgromadziło wielu naszych rozbitków, i tam napisał nowe arcydzieło — "Dziady. Część III".

Jest to głównie wstrząsający do głębi duszy obraz cierpień, które zniosła młodzież w sprawie filareckiej w Wilnie, i tego, co przeżył Mickiewicz, rozważając los nieszczęśliwego narodu; przytem poeta wypowiada też swoje marzenia o przyszłości. Pokonamy, wierzący i miłujący braciszek zakonny, ks. Piotr przepowiada w widzeniu cudownem, że po mękach Polska, jak ukrzyżowany Chrystus, zmartwychwstanie w imię sprawiedliwości bożej i na pożytek innych narodów.

Zmuszony do wyjazdu z Drezna, Mickiewicz przeniósł się do Paryża. Tutaj pracował nad zaprowadzeniem zgody miedzy różnemi partiami emigrantów polskich, którzy w rozgoryczeniu zwalali na siebie wzajemnie winę niepowodzenia. Ogłosił więc drukiem "Księgi narodu" i "Księgi pielgrzymstwa polskiego", w których daje rodakom serdeczne rady ze stanowiska czystej moralności chrześcijańskiej, pokrzepia wiarą i nadzieją, że stosunki międzynarodowe ulegną zmianie na lepsze. Wartość "Ksiąg" ocenili także Francuzi.

Chcąc ulżyć swojej tęsknocie do kraju i wzmocnić w rodakach przywiązanie do niego, Mickiewicz zabrał się do nowej pracy i w dwa lata później wydał ostatnie większe arcydzieło — "powieść szlachecką" p.t. "Pan Tadeusz". Dał w niej przepyszne opisy przyrody ojczystej i ludzi w początkach wieku 19-go, przed i w czasie wyprawy Napoleona na Rosję, i nakreślił znów piękną postać ofiarnego patrioty—Jacka Soplicy (ks. Robaka), przejętego głęboką moralnością chrześcijańską. Książka ta trafia łatwo pod strzechę wieśniaczą.

Po wydaniu "Pana Tadeusza" Mickiewicz jakby zapomniał o poezji, bo postanowił zająć się rzeczami bardziej praktycznemi. Pisywał wtedy po polsku i po francusku dużo artykułów politycznych i społecznych o sprawach obchodzących nietylko Polskę. Dla zarobku przyjął później posadę profesora w Szwajcarii, lecz wkrótce opuścił ją z wielkim żalem swoim i Szwajcarów, bo go powoływano do Paryża. Rząd francuski otworzył tam Katedrę Literatury Słowiańskiej.

Wykłady Mickiewicza były świetne, bo znał on dobrze dwa najważniejsze narody słowiańskie: Polaków i Rosjan. Lecz zaraz w następnym roku Mickiewicz zapoznał się z Andrzejem Towiańskim, który zaczął głosić potrzebę wielkich zmian w życiu narodów. Mickiewicz miał oddawna podobne pojęcia, więc stał się gorliwym zwolennikiem Towiańskiego. Obaj byli wielbicielami Napoleona, choć widzieli w nim także wady.

Mickiewicz, zamiast wykładać dzieje Słowian, głosił z katedry naukę Towiańskiego. Nie podobało się to ówczesnemu rządowi francuskiemu, więc mu odebrano posadę. Mickiewicz zajmował się odtąd dziennikarstwem i cierpiał niedostatek, ale marzył ciągle o przewrocie w Europie i pragnął w nim brać udział.

W r. 1848, kiedy pewne prowincje włoskie powstały przeciwko jarzmu austriackiemu, pojechał do Włoch i utworzył tam mały legiom polski do walki o wolność. W r. 1855, kiedy się toczyła wielka wojna kilku państw po stronie Turcji przeciwko Rosji, powziął myśl utworzenia takiego legionu w Turcji i w tym celu, z polecenia rządu francuskiego, udał się do Konstantynopola. W końcu listopada tegoż roku zmarł tam po krótkiej chorobie. Ciało jego przewieziono do Paryża i tam spoczywał do r. 1890, kiedy to zwłoki Poety uroczyście złożono w podziemiach katedry na Wawelu.

W.g. Prof. Kazimierza Króla.

☆ ☆ ☆

TYMON TERLECKI.

Rzeczoznawca Dzieł Mickiewicza.

WALKA O MICKIEWICZA

W tym roku przypada stulecie zgonu największego poety mowy polskiej Adama Mickiewicza: umarł on 26 listopada 1855 r. w Konstantynopolu. Mogłoby się zdawać, że sto lat jest to czas dostatecznie długi na to, aby się ugruntował pogląd na człowieka nawet tak wielkiego. Tymczasem rocznicowy, setny rok od jego śmierci jest rokiem zapamiętałej walki o samo pojmowanie kim jest Mickiewicz, do kogo należy, co dla nas znaczy. W tej walce stroną atakującą jest porządek komunistyczny osadzony w Polsce przez obcą siłę. W tej walce my, wolni Polacy, nie możemy pozostać biernymi widzami.

Wiemy dobrze, nawet jeśli o tym na codzień zapominamy, że w Polsce toczy się walka wszędzie, ciągle i o wszystko. Toczy się walka z religią i rodzina, z historią dawną i bliską, taką jak konspiracja przeciw Niemcom i powstanie warszawskie. Toczy się zażartą walkę o dziecko i młodzież, o chłopów, robotników i pracowników umysłowych. Walka o szkołę i literaturę. Walka o pisarzy żywych i umarłych: żywych przymusza się do służby bezwzględnym naciskiem, umarłych przerabia się na własną, komunistyczną modłę.

W tych zabiegach Mickiewiczowi przypadło pierwsze miejsce. Najeźdźczy porządek wyróżnia go swoją gorliwością najdawniej: niemal od pierwszych tygodni zdradzieckiego zaboru części ziemi polskiej. Usiłowania komunistów, by sobie przywłaszczyć Mickiewicza zaczęły się w r. 1940 w okupowanym po raz pierwszy Lwowie, tak zwaną "kampanią mickiewiczowską", rzekomo z okazji 85tej rocznicy śmierci poety. Te starania podjęto na nowo, gdy w ślad za armią czerwoną zjawili się w Polsce jej rządcy wyznaczeni w Moskwie. W r. 1948, w 150-tą rocznicę urodzin Mickiewicza przypadło najwyższe natężenie tych usiłowań. Osiągną one swój drugi, jeszcze wyższy, szczyt w stuleciu śmierci, w "Roku mickiewiczowskim". Zacznie się on 26go listopada 1955 r. i będzie trwał aż do grudnia roku następnego.

Dlaczego komuniści tak się zawzięli na Mickiewicza? Skąd się bierze ich gorliwe zainteresowanie, co oznacza, do czego zmierza?

Można by na to z gruba tak odpowiedzieć: nie podobna owładnąć Polską, nie przywłaszczywszy sobie Mickiewicza, zakusy na treść tego imienia, to zakusy na duszę polską, z którą to imię i to co się w nim zawiera, jest nierozerwalnie związane.

Chodzi w tej walce o sprzeniewierzenie, przywłaszczenie Mickiewicza. Jeśli by się udało, jeśliby komuniści zdołali nam go wydrzeć, zawisła by nad nam groźba: Polska przestałaby być Polską, Polacy Polakami, naród polski stałby się narodem polsko-sowieckim, polskość stałaby się sowieckością, mówiącą skażonym, skacapionym językiem polskim.

Walka o Mickiewicza rozgrywa się w całym narodzie, w każdym Polaku, w każdym z nas. Także w każdym z nas, którzy weszliśmy na drogę podobną drodze Mickiewicza, jesteśmy emigrantami politycznymi, jak on.

Czy wolno nam się biernie przyglądać tej walce i czekać na jej wynik? Napewno nie. Co więc mamy, co możemy zrobić? Na pewno nie idzie tu o rzeczy przerastające nasze siły i możliwości. Rok mickiewiczowski nie powinien minąć w najmniejszym nawet środowisku bez wspomnienia Mickiewicza, bez zespolenia się wokół jego życia i poezji, jego wiary i działania. Rok mickiewiczowski powinien być czasem, w którym dzieło Mickiewicza stanie się dla nas wszystkich chlebem codziennym. Jego poezja jest wielka i prosta. Jest najwyższą sztuką i jednocześnie sztuką dostępną wszystkim, zdolną wzruszyć i pożywić wszystkich, którzy jej otworzą serce. Jest to poezja, w której najpiękniej, najmocniej wyraziła się polskość, polska odrębność odczuwania i życia. Jest to poezja, w którą wcieliła się Polska.

Przywołując pamięć człowieka i współżyjąc ze stworzoną przez niego poezją, spełnimy jego nakaz, który streszcza sens naszego istnienia:

"Ludzie zachowujący w sobie to, co stanowi istotę narodowości polskiej, zdolni są przedłużyć byt ojczyzny niezależnie od wszystkich warunków politycznych i dążyć do jej przywrócenia".

Tacy ludzie wygrają walkę o Mickiewicza.

STANISŁAW KOŚCIAŁKOWSKI

Prof Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie Przed Wojną

POMNIK MICKIEWICZA w WILNIE

(W s p o m n i e n i e)

Warszawa, Kraków, Lwów, Poznań,—słowem, wszystkie wielkie ośrodki kultury i życia narodowego w Polsce, posiadały a może i dotąd posiadają jeszcze, od dawna, bo od końca wieku XIX-go, mniej lub więcej okazałe pomniki Mickiewicza.

Jedynie Wilno było pod tym względem upośledzone. Najbliższe to bowiem sercu Mickiewicza miasto, nad Wilią, "strumieni naszych rodzicą" położone, w którym spędził on filareckie lata swej "górnej i chmurnej" młodości i z którego w d. 24 października, 1824 r., wywieziony został w głąb Rosji, rozpoczynając swoją tułaczkę wygnańczą,—w okresie po-powstaniowym, po r. 1863, poddane było, wraz z t. zw. "krajem zabranym", najsrożniejszemu— o wiele sroższemu, niż inne zabory, niż nawet Królestwo Kongresowe,—uciskowi antypolskiemu. Toteż uzyskać od rządu carskiego zezwolenia na wystawienie pomnika Mickiewiczowi Wilno żadną miarą aż do wojny roku 1914 nie mogło.

Dopiero po odzyskaniu niepodległości w r. 1918, rozpoczęto przygotowania do wystawienia wspaniałego pomnika naszemu wieszczowi narodowemu w Wilnie.

Powstał Komitet budowy pomnika Mickiewicza w Wilnie (który wydał odezwę do narodu napisaną przez znanego poetę i publicystę Czesława Jankowskiego), rozpisany został konkurs, któremu patronował znakomity artysta malarz i dziekan wydziału sztuk pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie Ferdynand Ruszczyc.

Sąd konkursowy przyznał pierwszą nagrodę za nacechowany genialną oryginalnością projekt Stanisławowi Szukalskiemu. Projekt ten jednak z przyczyn, od sądu konkursowego niezależnych, zrealizowany być nie mógł. "Jury" ponownego, tym razem "zamkniętego", konkursu wybrało do wystawienia na placu publicznym Wilna projekt Henryka Kuny, ale sprawa się przeciągnęła, i wybuch wojny r. 1939 przeszkodził jego urzeczywistnieniu . . . . I place, ulice, parki czy wzgórza wileńskie, po których snuły się niegdyś postaci Promienistych, Filaretów i Mickiewicza, były dalej pozbawione pomnika, godnie świadczącego o tej wielkiej miłości i czci, jaką naród cały do Mickiewicza żywił . . . .

Wszakże godzi się tutaj przypomnieć, że skromny pomniczek, odpowiadający nie tyle wielkości Mickiewicza, ile stłumionemu w niewoli ówczesnej życiu polskiemu, które kryć się musiało w podziemiach, w rodzinie, w kościele,—posiadło Wilno w r. 1898, w setną rocznicę urodzin Mickiewicza, i że pomniczek ten stanął w dawnym kościele akademickim wileńskim ś.p. Jana.

A oto, jak się to stało.

Pragnąc za wszelką cenę upamiętnić wielką rocznicę Mickiewiczowską, grono patriotów wileńskich utworzyło wówczas ściśle tajny komitet, do którego weszli m. inn. Jan Kazimierz Poniatowski, Zygmunt Nagrodzki, Lucjan Uziębło, Władysław Zahorski,—dziś wszyscy już nie żyjący. Poczęto potajemnie zbierać składki, gromadzić fundusze. Zamówiono w Krakowie odlane w brązie popiersie Mickiewicza (dłuta—ile mnie pamięć nie myli—rzeźbiarza Gujskiego), takie samo, jak wystawione na jednej ze ścian gmachu Collegium Novum w Krakowie. Pozostałe części składowe pomnika sporządzono częściowo w wielkiej tajemnicy na miejscu w Wilnie, częściowo zaś wykonano w Krakowie, skąd dostarczył je Polak patriota, austriacki poddany, specjalista-kamieniarz, który osobiście przybył do Wilna celem zestawienia i wmurowania całości.

Skorzystano z tego, że na prawej (od wejścia) ścianie kościoła ś-go Jana w pobliżu wielkiego ołtarza ukazała się jakby rysa, wymagająca pewnej, choć bynajmniej nie natychmiastowej i nie bardzo koniecznej, naprawy. Przekonano o jej nieodzowności ówczesnego proboszcza ś. Jana, ks. kanonika Pacynkę (którego, ze względu na rosyjską pisownię jego nazwisko popularnie nazywano w Wilnie: "Rasupko") i ofiarowano się z pomocą; dla zmniejszenia ewentualnej odpowiedzialności księdza Pacynki, nie wtajemniczano go przy tym w to, o co istotnie w tym wypadku chodziło . . . Oszalowano deskami i szczelnie odgrodzono przyległą do "uszkodzonej" ściany część kościoła.

Tutaj naprawiono wprawdzie zarysowaną ścianę, ale jednocześnie w najściślejszej tajemnicy po kryjomu w ciągu paru tygodni ustawiono wcale piękny, w znacznej części biały marmurowy, pomniczek, z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej u góry, popiersiem Mickiewicza w środku i napisem w dolnej części (na czarnym marmurze)' **Adam Mickiewicz *1798—✝1855.** Po ukończeniu prac zdjęto oszalowanie, i zdumionym oczom odwiedzających kościół, a podobno i nie domyślającego się niczego księdza proboszcza, ukazał się upragniony przez Wilnian pomnik . . .

Oczywiście, do kościoła niezwłocznie wkroczyła policja. Czuła się ona jednak skompromitowaną, dopuściwszy do wzniesienia pomnika pod swoim bokiem i nic o tym nie wiedząc, bała się odpowiedzialności (za brak czujności) przed zwierzchnikami i starała się nadawać sprawie jak najmniej rozgłosu. Ks. Pacynko tłumaczył się niewiedzą i został w trybie administracyjnym skazany na niewielką karę pieniężną za niedozór nad pracami restauracyjnymi w kościele.

Całą winą obciążono owego Krakowianina-kamieniarza, który, jako obywatel austriacki, za paszportem austriackim, zawczasu najlegalniej wrócił do Krakowa i był poza zasięgiem władz policyjnych rosyjskich.

O zburzeniu wzniesionego w kościele bez zezwolenia władzy pomnika nie mogło być mowy ze względu na skandal, jaki to by wywołało, zwłaszcza, że jednocześnie za zezwoleniem carskim został wzniesiony i uroczyście odsłonięty pomnik Mickiewicza w Warszawie. . . .

Tak tedy "sprawa rozeszła się po kościach", a pomnik, czy raczej "pomniczek", Mickiewicza w Wileńskim kościele ś-go Jana został i—stoi dotychczas.

Wspomnienie powyższe napisałem z pamięci. Może są w nim pewne nieścisłości.

Zbiory Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie posiadały spisane przez p. Poniatowskiego i ofiarowane przez niego sprawozdanie z budowy pomnika Mickiewicza u ś-go Jana w Wilnie. Czy i gdzie istnieje ono obecnie, nie jest mi wiadome. S.K.

Litania Pielgrzymstwa



Adam Mickiewicz

Kyrie eleyson, Chryste eleyson.

Boże Ojcze, któryś wywiódł lud twój z niewoli egipskiej i
wrócił do ziemi świętej,
Wróć nas do Ojczyzny naszej.

Synu Zbawicielu, któryś umęczony i ukrzyżowany zmartwychwstał i królujesz w chwale,
Zbudź z martwych Ojczyznę naszą.

Matko Boska, którą ojcowie nazwali Królową Polski i Litwy,
Zbaw Polskę i Litwę.

Święty Stanisławie, opiekunie Polski,
Módl się za nami.

Święty Kazimierzu, opiekunie Litwy,
Módl się za nami.

Święty Józefacie, opiekunie Rusi,
Módl się za nami.

Wszyscy święci opiekunowie Rzeczypospolitej naszej,
Módlcie się za nami.

Od niewoli moskiewskiej, austriackiej i pruskiej,
Wybaw nas, Panie.

Przez męczeństwo trzydziestu tysięcy rycerzy barskich
poległych za wiarę i wolność,
Wybaw nas, Panie.

Przez męczeństwo dwudziestu tysięcy obywateli Pragi,
wyrżniętych za wiarę i wolność,
Wybaw nas, Panie.

Przez męczeństwo młodzieńców Litwy, zabitych kijami,
zmarłych w kopalniach i na wygnaniu,
Wybaw nas, Panie.

Przez męczeństwo obywateli Oszmiany, wyrżniętych w
kościołach Pańskich i w domach,
Wybaw nas, Panie.

Przez męczeństwo żołnierzy, zamordowanych w Fischau przez
Prusaków,
Wybaw nas, Panie.

Przez męczeństwo żołnierzy, zaknutowanych w Kronsztadzie
przez Moskali,
Wybaw nas, Panie.

Przez krew wszystkich żołnierzy, poległych w wojnie za wiarę
i wolność,
Wybaw nas, Panie.

Przez rany, łzy i cierpienia wszystkich niewolników,
wygnańców i pielgrzymów polskich,
Wybaw nas, Panie.

O wojnę powszechną za wolność ludów
Prosimy Cię, Panie.

O broń i orły narodowe
Prosimy Cię, Panie.

O śmierć szczęśliwą na polu bitwy
Prosimy Cię, Panie.

O grób dla kości naszych w ziemi naszej
Prosimy Cię, Panie.

O niepodległość, całość i wolność Ojczyzny naszej
Prosimy Cię, Panie.

W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.
Amen.

(Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego)

KOLĘDUJMY . . .

ANIOŁ PASTERZOM MÓWIŁ

Anioł pasterzom mówił: Chrystus się wam narodził
W Betleem niebardzo podłem mieście,
Narodził się w ubóstwie,
Pan wszego stworzenia.

Chcąc się tego dowiedzieć poselstwa wesołego,
Bieżeli do Betleem skwapliwie,
Znaleźli Dziecię w żłobie,
Maryję z Józefem.

Jaki Pan chwały wielkiej uniżył się z wysokiej,
Pałacu kosztownego żadnego
Nie miał zbudowanego,
Pan wszego stworzenia.

O dziwne narodzenie, nigdy niewysłowione,
Poczęła Panna Syna w czystości,
Porodziła w całości,
Panieństwa swojego.

Już się ono spełniło, co pod figurą było
Aaronowa rożdżka zielona
Stała się nam kwitnąca
I owoc rodząca.

Słuchajcież Boga Ojca, jako Go wam zalecać:
Tenci jest Syn najmilszy, jedyny,
Wam w raju obiecany,
Tego wy słuchajcie.

Bogu bądź cześć i chwała, któraby nie ustała;
Jak Ojcu, jak i Jego Synowi
I Świętemu Duchowi,
W Trójcy jedynemu.



T. Cieślewski (syn)



Paweł Steller

LULAJŻE JEZUNIU

Lulajże Jezuniu, moja perełko,
Lulaj ulubione me pieścidełko.
Lulajże Jezuniu, lulajże lulaj,
A ty go Matulu w płaczu utulaj.

Zamknij znużone płaczem powieczki,
Utulże zemdlone łkaniem wardzeczki,
Lulajże Jezuniu i t.d.

Dam ja Jezusowi słodkich jagódek,
Pójdę z nim w Mamuli serca ogródek;
Lulajże Jezuniu i t.d.

Dam ja Jezusowi z chlebem masełka,
Włożę ja kukiełkę w jego jasełka.
Lulajże, Jezuniu i t.d.

Lulajże, piękniuchny mój aniołeczku,
Lulajże, wdzięczniuchny świata kwiateczku.
Lulajże, Jezuniu i t.d.

Lulajże, różyczko najozdobniejsza,
Lulajże, lilijko najprzyjemniejsza,
Lulajże, Jezuniu i t.d.

Dam ja ci słodkiego, Jezu, cukierka,
Rodzenków, migdałów, co mam w pudełku,
Lulajże, Jezuniu i t.d.

Lulajże, przyjemna oczom gwiazdeczko,
Lulaj, najśliczniejsze świata słoneczko.
Lulajże, Jezuniu i t.d.

Dam ja maleńkiemu piękne jabłuszko,
Matki ukochanej dam mu serduszko.
Lulajże, Jezuniu i t.d.

Cyt, cyt, cyt, zasypia małe Dzieciątko,
Oto już zasnęło niby kurczątko.
Lulajże, Jezuniu i t.d.

Cyt, cyt, cyt, wszyscy się spać zabierajcie,
Mojego Dzieciątka nie przebudzajcie.
Lulajże, Jezuniu i t.d.

POEZJA POLSKA W CHICAGO

Chicago jest uważane za stolicę Polonii Amerykańskiej. W mieście tym mieszczą się centrale największych organizacji Polonijnych, jak Związku Narodowego Polskiego, Zjednoczenia Rzymsko-Katolickiego, Związku Polek i innych. Nie tylko jednak życie organizacyjne kwitnie tu i buduję siłę Polonii Amerykańskiej, lecz również sztuka polska zakwita na Chicagoskim bruku. Odbywają się tu wystawy malarskie, gdzie prezentują swoje obrazy artyści polscy w ramach Polskiego Klubu Artystycznego, istnieje również impreza, licząca pieć lat zwana ''Żywym Dziennikiem''. Taki ''Dziennik prezentuje najnowsze utwory poetów i literatów, zamieszkałych w Chicago. Piszą oni wiersze pomimo trudnych warunków, w jakich się znaleźli na obczyźnie. Polonia ma więc swoich poetów. Wydawnictwo Kalendarza Związkowego postanowiło zaprezentować utwory poetyckie Chicagoskich literatów, aby szerokie rzesze Związkowców mogły się zapoznać z polską literaturą w Stanach Zjednoczonych. W Chicago przebywają: Zbigniew Chałko, były powstaniec Warszawski, który napisał już szereg patriotycznych i lirycznych utworów; Julian Dobrowolski, góral, który skończył uniwersytet w Krakowie, tułał się w Hiszpanii, w Chicago poezje pisze i ostatnio wydał zbiór wierszy p.t. ''Chłopski Poemat'' (1955); Marek Gordon, były żołnierz Armii Krajowej, autor kilku książek i wreszcie Jan Leszcza, uparty Ślązak, którego wiersze nie należą do łatwych, lecz ich piękno i oryginalność zjednują mu czytelników. W Chicago mieszka również Kazimierz Wiehler, na równi poeta i kompozytor, znany ze swoich utworów jeszcze w przedwojennej Polsce. Niektóre wiersze wymienionych poetów znajdziecie, Czytelnicy, na dalszych kartkach Kalendarza Związkowego i niech świadczą one, że młode pokolenie literatów w Stanach Zjednoczonych nie zapomina o rodzimej tworczości.



Marek Gordon

MOWA

BĘDĘ cię chronił ,mowo ma czysta,
słowo ojczyste,
pieśni strzelista,
litanio siewna,
litero śpiewna,
języku szorstki — tyś moja przystań.

Były zabawą zdania i słowa,
karkołomnymi rosły piętrami—
teraz najgorsze trzeba miłować
słowo — sto razy.

Umarli ludzie za sztandar zdarty,
padli u armat, u stóp ołtarza —
ja przy słowniku zaciągam warty,
rycerz komiczny z kart kalendarza.

Bronić cię będę mowo ma twarda
więcej jak armat,
w tobie amarant
w tobie się staram
w tobie ożywam
padam i pływam
mowo niezgrabna.

Jak cię Adam z pod Paryża
po ruskim zaborze
z francuskiego odpiął krzyża —
nic cię już nie zmoże.

Jak cię Miarka nie zaprzedał
za pruskie dukaty,
od tej pory masz smak chleba
i rośniesz jak kwiaty —

Ja ochronię cię źródlana,
tak strofa po strofie,
dla wyrazu ratowania
w angielskim potopie.

Marsz . . . marsz . . .
Będziesz śpiewać werblem, mowo,
będziesz rodzić się na nowo
i na ustach rosnąć
piosnką, piosnką —

Pomóż, prosta,
zgrzebna,
brzydka,
ocalić i donieść,
schroń się w moje dłonie,
jak płomyczek nikły
jak listek bezpański
A ty jeszcze mi zapłoniesz,
chociaż dzisiaj z ciebie tylko
robak świętojański.

DRZEWA

NAPISZ ten wiersz za mnie—
moja ręka słaba . . .
Może nie przepadnie
wiersz, co tak się składa.

Napisz za mnie: okno,
w które codzień patrzę,
a w oknie szeroko
smutne drzewa zawsze.

Dziewięć drzew w rynsztunku
z uschniętych gałęzi . . .
Trudna, miła, trudno,
drzewa ziemia więzi.

A ja jestem wolny
i przeminę drzewa—
powolnie, okolnie—
nie wstrzyma mnie gleba.

Napisz za mnie, miła,
że w tym oknie rano
patrzę codzień w szybę
smutkiem zamazaną.

A ty jesteś blisko,
jak można najbliżej—
i ja wiem to wszystko,
nie boję się ciszy.

Cztery ściany milczą
do twego powrotu—
ja przyjdę, ja przyjdę
przez okno, piechotą . . .

Dzisiaj ręką chorą
chcę przytulić drzewa,
sękiem, dziuplą, korą,
a ty się nie gniewaj.

Może kiedyś razem
— tak myślę czasami —
my kiedyś za oknem
będziemy drzewami.

Ty będziesz topolą,
ja będę jesionem,
powoli, powoli
schylę się w twą stronę.

A wtedy poeta,
patrząc na te drzewa,
nasz stwardniały letarg
od nowa wyśpiewa.

KĄCIK POETÓW



JULIAN DOBROWOLSKI

PIOSENKA O LWOWIE

Umarł żołnierz gdzieś w Gazali
za ojczyznę i Podole,
święty Piotr się go użalił
i powiada: dam ci życie znów.
Święty Piotrze spać tu wolę,
wróćże za to mojej matce Lwów.

Przyszedł ojciec aż z nad Drwęcy
szukać syna, który poległ
i w mogiłach śpi orlęcych —
przyszedł, by mu Drwęcę dać do snów.
Mą ojczyzną wschodnie pole,
tu zostanę, ojcze, gdzie mój Lwów.

Nic nas nigdy nie rozdzieli,
trwać będziemy jak powietrze,
on — semper fidelis
i my dzieci chrobrych jego snów.
Przyjdzie matka łzy mu zetrze,
wróci syn do matki, wróci znów.

POECI BEZ ZIEMI

Czas po bezdrożach dziejów przebiegnie, przeleci
i zanim umrze gdzieś na świata skraju
zapyta: gdzie się wasi rodzili poeci?...
A nasi poeci ojcowizn nie mają, nie mają . . .

Potracili poeci zagony, zagony,
potracili je w chrobrych i samotnych bitwach.
Jednemu ukradł step romantyzm Góry Bony,
drugiego opuściło i zdrowie i Litwa . . .

Śpiewaliśmy elegie wiślanym poddaszom,
nie było od was, wolnych śpiewaków, pomocy . . .
Umierać tylko my umiemy za wolność nie naszą
my, poeci bez ziemi, wolności prorocy.

WIOSNA

Drzewa ulicom błękit kradną za dnia,
preludia deszczów białym uciekły klawiszom,
a słońce ziemię żywicą zapładnia,
gdy przedwiośnie odchodzi za horyzont ciszą.

Wyprowadził nas kwiecień na górskie przełęcze,
gdzie w planetach zadumą astralna śpi scena . . .
Piękno twych lat dwudziestu czarowało tęcze,
mój smutek odszedł chińską bajką Andersena.

Niebo mi świat nakryło kubicznym witrażem,
oczom blok poematów urasta, urasta,
ja nad Dunajec wracam i o lipach marzę . . .

Księżyc cię woła — idziesz na Podlasie za nim?..
Przestańmy śnić już i wróćmy do miasta,
kasztanom jest różowo, czeka cię egzamin.

Barwa morza

Zmiana barwy morza w jednym miejscu lecz w różnym czasie zależy od odbicia nieba w wodzie.

Zielony kolor mielizn zależy od p łączenia niebieskiego koloru nieba i żółtego dna. Jeżeli na mieliznach kolor wody zmienia się, to może nastąpić to wskutek różnej wysokości słońca, gdy promienie padają na dno pod różnymi kątami.

Pozatym wpływa tu również różny stopień zachmurzenia, co powoduje zmianę słonecznego światła, padającego na wodę.

Znajomość terenu u ryb

Ryby znają swój wodny teren, dowodzi tego ich zachowanie się przy połowach: Każda z nich ratując się, wykorzystuje odpowiednie szczegóły terenu. Niektóre zagrzebują się w muł, inne przeciwnie, przepływają ponad siecią, inne znowuż płyną wzdłuż sieci szukając większych otworów, rzucają się na zarośnięte mielizny, kładąc się na boku, chronią się między korzeniami, w dołach etc.

Swój najbliższy teren ryba zna doskonale. Spłoszona, ryba natychmiast kryje się w znanych jej szparach, np. między kamieniami. Gdy przepływający mieliznę karp natrafi na głębsze miejsca, to w razie niebezpieczeństwa, ratuje się wracając z powrotem przebytą drogą, gdyż inna mogłaby stać się niebezpieczna.

W wypadkach tych rybie pomaga wysoce rozwinięty zmysł dotyku. Przybywająca woda wywiera na narząd bocznej linii większe ciśnienie, ubywająca mniejsze. Ryba odczuwa i odpowiednio reaguje na zmianę szybkości prądu, a prawdopodobnie i wahania temperatury, oraz stopień zawartości tlenu w wodzie.

Określanie wieku śledzia

Każda łuska rybia narasta w ciągu roku i narastanie to układa się z biegiem lat warstwami, jak słoje w pniu drzewa. Z liczby tych warstw wnioskujemy przeto o wieku ryby, gdyż rocznie przybywa jedna warstwa.

Zjawisko to występuje u każdego gatunku ryb, lecz szczególnie wyraziście u śledzi, gdyż ich łuski rosną tylko od kwietnia do września. Warstwy te dają możność określenia również wielkość śledzia w tym czy innym roku (znając oczywiście długość okazu, którego łuskę badamy). Mianowicie, jeżeli wyobrazimy sobie, że łuska została powiększona do wielkości posiadanego okazu, to długość w tym czy innym roku równa się odpowiedniej szerokości danej ilości warstw, np. po 3-ch latach równa się szerokości 3-ch warstw. Za podstawę przy tym przyjmujemy linię, dzielącą zewnętrzną część łuski od wewnętrznej, osadzonej w skórze.

Ze Staropolskiej Encyklopedji

LEGENDA O JANOSIKU

„Janickowe imię chodzi po dziedzinie, Janicek zaginion, imię nie zaginie" opiewa pieśń góralska. Czemże to sobie Janosik - Janicek (to samo co nasz Janek) zasłużył na taką sławę? W dawnych czasach Tatry dawały góralowi bardzo skąpe utrzymanie, ale równocześnie hartowały go, wyrabiały jego przedsiębiorczość, odwagę, a w razie potrzeby, dostarczały świetnego schronienia. Co niespokojniejszy góral buntował się przeciw losowi i schodził w doliny, by rabować. Zbójnicy ci byli okrutni, ale pełni fantazji. Wytępiono ich ostatecznie w pierwszej połowie XIX wieku. Pozostał po nich taniec zbójnicki wraz z licznemi legendami. Najznakomitszym legendarnym zbójnikiem był właśnie Janosik.

Miał on pochodzić z Podolińca na Spiszu. Rodzice pragnęli, by został księdzem. Marzeniom tym nie stało się zadość. Pewnego razu Janosik spotkał (jak głosi oczywiście legenda) w lesie trzy czarownice. Te obdarowały go cudowną koszulą i pasem. Kiedy się w nie ubrał, żadne kule się go nie imały. Otrzymać też miał cudowną siekierę. Gdy na nią zagwizdał, sama do niego przychodziła i sama rąbała jego wrogów. Janosik dobrał sobie 12 towarzyszy i rozpoczął żywot rozbójnika. Był jednak wielce osobliwym zbójnikiem, gdyż hojnie wspierał biednych, a znęcał się nad bogaczami. Cesarz austrjacki nasłał na Janosika cały pułk piechoty. Ale i żołnierze nie dali Janosikowi rady. Za to jego ciupaga skutecznie rąbała cesarskich żołdaków.

Janosik zginął w Liptowskiem przez pewną dziewczynę, której zdradził tajemnicę o darze czarownic. Dziewczyna opowiedziała o wszystkiem Liptakom. Ci nasypali Janosikowi grochu pod nogi, a kiedy się przewrócił, napadli go od tyłu, rozebrali z koszuli, zabrali mu pas, poczem skuli jeńca i chcieli go powiesić. Cudowną ciupagę schowała dziewczyna. Kiedy Janosik zagwizdał, ciupaga, zamknięta nie w jednej, ale w dziewięciu skrzyniach, przerąbała się przez osiem, ale dziewiątej nie przebiła.

Janosik nie dał jednak za wygraną. Odwołał się do łaski cesarskiej. Został ułaskawiony, gdyż podczas wojny wyświadczył cesarzowi wielką przysługę. Wiadomość o ułaskawieniu nadeszła za późno, już po straceniu Janosika na szubienicy. Cesarz na wieść o tem tak się rozgniewał, że nałożył na Liptaków specjalny podatek karny.

WYRWAŁ SIĘ JAK FILIP Z KONOPI

Tak mówimy o człowieku, który powiedział coś bez zastanowienia i bez sensu. Żył ongiś szlachcic Filip, właściciel wsi Konopie, który jako poseł, mówił na Sejmie od rzeczy. Przerywano mu wywody wołając „panie Filipie z Konopi, wyrwałeś się". Początkowo przypuszczano, że właśnie od owego Filipa ze wsi Konopie zrodziło się odnośne przysłowie.

Tymczasem okazało się, że ów Filip to żaden poseł, ale tylko zając. Tak bowiem nazywali wieśniacy zająca. Na co zaś potrzebne są konopie, wyjaśnił najlepiej Mickiewicz w „Panu Tadeuszu". Nieraz zając zdybany w kapuście, skacze skryć się w konopiach bezpieczniej niż w chruście, bo go dla gęstwy ziela ani chart nie zgoni, ani ogar wywietrzy dla zbyt tęgiej woni.

Stąd sens przysłowia. Mógł siedzieć spokojnie, jak zając w konopiach, a tymczasem sam nagotował sobie biedy.

WARCABY

Warcaby były jedną z najstarszych w Polsce gier towarzyskich. Grano w nie w pierwszej połowie XII. wieku. W owym okresie gra ta nazywała się „bierki". Grający białemi krążkami nazywany był „białoskórnikiem", a czarnemi „czarnoskórnikiem". Kazimierz Sprawiedliwy był zapalonym miłośnikiem warcabów. grał on jednak bardzo złośliwie. Jak notuje kronikarz Kadłubek, Kazimierz, grając raz z dworzaninem Janem, tak go rozdrażnił, iż ten ostatni wymierzył Kazimierzowi policzek. Książę wspaniałomyślnie wybaczył oponentowi ten „odruch irytacji".

Gra w warcaby przerodziła się później w Polsce w taki hazard, że król Kazimierz Wielki wprost jej zakazał, gdyż przy rozliczaniu pieniężnem dochodziło nawet do krwawych bójek. Później, mimo zakazów królewskich, powrócono do tej nęcącej rozrywki. Warcabnica polska liczyła po 10 rzędów czyli miała 100 pól na których ustawiano po 20 krążków z każdej strony.

W XVI. wieku krążki robiono z pięknie toczonego drzewa hebanowego lub bukszpanu Na warcabach widniały piękne rzeźby (różne postacie alegoryczne, wizerunki władców dawnych i współczesnych).

Popularność warcabów przetrwała do czasów Jana III Sobieskiego. Później weszły w modę inne gry, głównie szachy i domino.



Warunki pokojowe w małżeństwie



— A czy już pogodziłeś się ze swoją żoną?

— Jeszcze nie, ale znam już warunki pokojowe: nowa suknia, nowy kapelusz i podróż podczas wakacji.

W sądzie



Sędzia: — Zawód świadka?!

Świadek: — Ślusarz.

Sędzia: — Samodzielny?

Świadek: — Nie, żonaty!

Palenie wzbronione

— Palenie w przedziale jest wzbronione! — mówi konduktor do pasażera, trzymającego fajkę w ustach.

— Przecież ja nie palę...

— Ale ma pan fajkę w ustach!

— To i cóż?! Mam również laskę w ręce a nikogo nią nie biję!

„Na zdrowie"

Bartłomiej Pijacki wychyla Już szósty kufel piwa. Żona, chcąc go wydostać z karczmy, powiada:

— Pamiętaj, Bartku, że masz siedmioro dzieci.

Mąż Bartłomiej zaś na to:

— Masz rację, żonko, trzeba wypić na zdrowie tego siódmego robaczka, żeby się nam dobrze chował... Dajcież no jeszcze jeden kufel

Odzwyczaił się

W knajpie spotykają się dwaj przyjaciele:

— Co się z tobą stało, Boleś, to ty teraz pijesz wodę sodową zamiast alkoholu? Wszak byłeś zawsze tęgim pijakiem...

— Tak, byłem! — odpowiada Bolek. — Ale po wódce, kiedy powróciłem do domu, to zamiast jednej teściowej, widziałem zawsze dwie. I to mnie odzwyczaiło od picia alkoholu.

Walka z ogniem

Pewien wieśniak w Texas chce swoje mienie ubezpieczyć od ognia. Agent ubezpieczeń pyta w związku z tym:

— Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, czy w pańskiej wsi jest woda do gaszenia ognia.

Wieśniak po dłuższym namyśle odpowiada:

— Czasami jest, gdy pada deszcz.

„Twój na wieki!"



— A dlaczego pan nie przyniósł zaraz pierścionka do komisariatu, w chwili znalezienia go?!

— Myślałem, że nie potrzeba, bo przecież na pierścionku jest wyryte „Twój na wieki!".

Rekordowy zegarek

— Dostałem w upominku zegarek od mojej narzeczonej...

— Dobrze idzie?

— Rekordowo! Robi 70 minut na godzinę.

13 czy 14



— Kelner, pan się chyba pomylił. Rachunek wynosi 13, a nie 14 dolarów.

— Ja wiem, ale sądziłem, że szanowny pan jest przesądny i dlatego zmieniłem cyfrę.



Róg Piwnej i Wąskiego Dunaju przed powstaniem.

Adam Ulrich

Kapelan Bolszewików

Wspomnienie z Powstania Śląskiego

Od zachodu przyleciał ciepły wiatr i zbierało się na odwilż. Śnieg miejscami stajał i czerniało na polu coraz więcej. W Gorzkówku, gdzie kwaterowała czwarta kompanja rezerwowa, robił się ruch. Wiara pucowała buty, myła się i szorowała, a w kwaterach trzeciego plutonu, gdzie gospodarował kapral Wieczorek, stary wyjadacz, jędnoręki inwalida, wynoszono drewniane łóżka i robiono porządek gruntowny. Stare wyjadacze z pierwszego plutonu złazili się na zbiórkę.

— A cóżto mają dziś rozdawać, żeś tak rano wstał? — mądrował się głośno Klemczak.

— Podobno stary chce zrobić kurs dla kaprali — rozpowiadał najnowszą wiadomość Kondracki.

— Gadanie! — zaprzeczył chudy Winkler. — Rozchodzi się o to, że stare dziady niektóre mają dostać urlop do domu. Rolniczy urlop. Mają koniecznie do domu pojechać, bo niema komu podlać kwiatków w oknach. Ale ja tak myślę, że poprostu babom przykrzy się w domu samym na wiosnę. A ty czego się pchasz, ruda mordo! I tak urlopu nie dostaniesz! — zwrócił się do wysokiego draba w burym szynelu rosyjskim, i barankowej papasze na głowie.

— Ty nie gniewaj się, stary, bo niema czego, — perswadował wysoki drab. — Mnie pan sztabowy przykazał stawić się dzisiaj. Sprawa u mnie jest, rozumiesz?

— Gawryłow, do kancelarji! — zawołał kompanijny ordynans.

— Słuszajus! — stanął służbiście Gawryłow i ruszył ku wyjściu.

Przed kancelarją kompanji, mieszczącej się w dawnym domu rządcy, stała grupka szaraków, oczekujących swej kolejki. Trzeci pluton, po sprawdzeniu ekwipunku maszerował pod wodzą kaprala Wieczorka na ćwiczenia. Jednostajnie ubrane szeregi w nowych butach.

— Pierona! — klął Antkowiak, patrząc na rekrutów. — Nowe mantle, nowe buty, pasy i ładownice, nawet tornistry mają teraz wszyscy... A my?... Po staremu w starych lumpach i w dodatku... w swoich.

— Cóżbyś chciał? — tłumaczył kompanowi Chmielewski. — My już swoje zrobili, a z tych chłopaków dopiero ma być wojsko. Dostali nowe łachy, bo swoich nie mieli, chyba pożyczane. My co innego, dziś albo jutro do domu nas puszczą. Przecie wiecznie nie będziemy wojowali.

— Iii — ziewnął Antkowiak. — Teraz już nie tak źle. Żryć dadzą, wyspać się też można. To już nie to, co było. A bywało przecie rozmaicie... Jak se człowiek przypomni, to aż dziwno. Ktoby to pomyślał jeszcze rok temu, że Szwabów będziemy prać?!

Gawryłow przysłuchiwał się w milczeniu rozmowie kompanów i kiwał głową z uznaniem.

— Nu, wot, szczerą prawdę mówicie — odezwał się. — Ktoby to i pomyślał, że na Germańców przyjdzie bieda... Ale oto i przyszła. A po mojemu, to dlatego, że u nich, wszystko równo, zgody u generałów nie było, jak u naszych. Ot, co!

— Ty gębę trzymaj, Moskalu — zaśmiał się Chmielewski. —Tyś taki sam sukinsyn, jak i te Germańcy. I cóż? Też na urlop chcesz jechać? A może i bilet kolejowy chcesz do Moskwy? Piechotą, draniu, pójdziesz, nie bój się...

— Pan komendant obiecali urlop dać — tłumaczył Gawryłow. — Do Moskwy, bracie, nie pojadę, bo nie mam poco. Sierota ja, bez ojca i bez matki. Sam jeden, bracie, jak ten kołek w płocie. A nasz pułk?... Gdzie on teraz! Nie zostało nic, prosto rozszedł się, jak dym na szczerem polu. A urlop, bracie, mają mi dać za Gostyń. Do jednej wdowy, gdzie ja był do końca wojny, aż do rewolucji. Tęga baba — westchnął.

— Chmielewski! — zawołał ordynans.

W kancelarji pan sztabowy, nachylony nad stosem papierów, rozdawał karty urlopowe, a pisarz wypisywał bilety kolejowe i przepustki. Wreszcie zjawił się w kancelarji i Gawryłów.

— Pan komendant obiecał wam urlop — tłumaczył sztabowy. — Ja też nie mam nic przeciwko temu. Jesteście od samego początku przy kompanji i nic złego o was nie słyszałem. Ale radziłbym wam jeszcze poczekać trochę. Za tydzień dostaniemy nowe mundury i płaszcze. Dostaniecie porządne lumpy i przepisową czapkę. A tak, w tym ruskim szynelu i papasze, głupio wyglądacie... nie? Prawda, Gawryłow? Sami powiedzcie.

— Wasza prawda, panie sztabowy — potwierdził Gawryłow. — Ja i poczekać mogę. Do czekania ja przywykłszy, panie sztabowy. Od pięciu lat...

— No, więc poczekacie jeszcze tydzień.

— Rozkaz, panie sztabowy.

Następnego dnia Gawryłow stał na posterunku alarmowym od strony Dusznej Górki. Karabin trzymał pod pachą i, paląc ukradkiem papierosa, dreptał przy płocie tam i spowrotem, pogwizdując od czasu do czasu wesoło.

Gawryłow zgłosił się do powstańców, jak tylko rozeszła się wieść, że czas bić Niemców. Przyszedł w starym, zniszczonym rosyjskim szynelu, w wysokich butach, z niemieckim karabinem w garści. Przyznał się ze skruchą, że

karabin ten ukradł przed dwoma laty germańskiemu wartownikowi i schował w stodole. Ale na swoje usprawiedliwienie tłumaczył, że karabin jest w zupełnym porządku, naoliwiony i nie zardzewiały. I prosił, żeby mu pozwolono bić Germańców.

— Bo dotychczas nie miałem wiele sposobności — tłumaczył śpiewnym językiem.

Dostał się do niewoli pod Tannenbergiem w sierpniu 1914-go roku, z resztką pułku czy też brygady. Był ranny w nogę i dlatego nie mógł uciekać.

Dowiedział się, że się szykuje polskie wojsko. Owszem, może być i polskie. On chętnie i po polsku będzie się bił, byle mu dano naboje. Odpowiednich naboi, oczywiście, bo bywają różne. A on ma doskonały karabin, model 98, z bagnetem, pasem, i dodatkową muszką na bliski dystans.

Na zapytanie, dlaczego razem z innymi nie wrócił do Rosji, Gawryłow wzruszył ramionami. Nie miał nikogo w kraju, jak twierdził. Był sierotą. Tułał się po świecie w pojedynkę. Odsługiwał właśnie wojskowość, kiedy wybuchła wojna. Osiem lat zrzędu był żołnierzem — z tego pięć jeńcem wojennym.

Dano mu naboje i Gawryłow został powstańcem. Był doskonałym służbistą i robił skrupulatnie wszystko, co mu rozkazano.

Pod Sarnową, po krwawem natarciu Niemców, widziano Gawryłowa jak walił z karabina do ostatka. Wrócił dopiero na drugi dzień nad ranem do kompanji, dźwigając trzy karabiny, tuzin koców i kilka płaszczów niemieckich. Tłumaczył, że nie miał rozkazu wracać i czekał. W nocy było mu zimno, więc ściągnął płaszcze i koce z zabitych Niemców, którzy już niczego nie potrzebowali.

* * *

Komendant Kotwicz po powrocie z ćwiczeń rekrutów zajrzał do koni, obejrzał porządek w kuchni, zajrzał do magazynu, napędził szewców do roboty i, zapaliwszy papierosa, ruszył do kancelarji. W drodze natknął się na sztabowego i, jak zwykle, obaj zaczęli radzić nad sprawami kompanji.

— Największa bieda z owsem — żalił się sztabowy. — Wpakowali nam nadetatowe konie, ale furażu dają tylko według przydzielonego etatu. Elsner dotychczas dawał, ale od czasu jak pan komendant zamknął mu dziedzica we własnym dworze, Niemiec rozeźlił się i nie chce dać, cholera!

— Rozmówię się z nim — mruknął przez zęby Kotwicz. — To przecież lejtnant od czternastego dragonów. Przemówię mu do rozumu, a jak nie... himmelkreuzdonnerwetter alleluja!... znajdę i na niego radę.

— Ba — przytakiwał sztabowy. — Ale te pieruny znów na pana skargę do pułku napiszą.

— Owa! Niech spróbują! — gwizdnął przez zęby komendant.

— Już i tak te ofermy z pierwszego bataljonu opowiadają, że takiego bolszewika, jak pan komendant, jeszcze nie widzieli — tłumaczył sztabowy niepewnie. — Ja wiem, że pan komendant nic sobie z tego nie robi... ale...

— Ba — uśmiechnął się Kotwicz. — Gadaj pan odrazu, że przynajmniej dziewięćdziesiąt procent muszę odpowiadać za pańskie rodzone kombinacje. Ale mniejsza o to. Najważniejsze jest to, że szkapy muszą dostać podwójne porcje owsa, żeby jako-tako wyglądały. Pogadam z adjutantem i z płatnikiem bataljonu. Niech te dziady też trochę łbami pokręcą... psiakrew! To jest dobre, jak Boga kocham! Niech zabierają konie, kiedy żryć nie dadzą i basta! Nie żebym ja się o wszystko starał!

— Oni powiadają, że panu komendantowi nudzi się czasami — dogryzał sztabowy. — I dlatego, dla rozmaitości, robi pan innym ludziom na złość. Jak, naprzykład, przed tygodniem z tem nocnem ćwiczeniem. W Dusznej Górce myśleli, że Niemcy atakują...

Kotwicz tymczasem zauważył na drodze do Dusznej Górki jeźdźca na dużym kasztanku, z przepaską na lewem ramieniu.

— Popatrzcie-no, panie sztabowy, kogo tam djabli niosą? — zwrócił uwagę towarzysza.

— Coś mi się wydaje, że to nasz ksiądz z Dusznej Górki — stwierdził sztabowy, przypatrzywszy się chwilę. — Zrobili go kapelanem.

— Hm... — zastanawiał się Kotwicz. — Nie znam tego jegomości. Co to za jeden?

— Ano... ksiądz... — informował sztabowy.

— Pewnie, że nie rabin! Ja się pytam, co to za gatunek? Można z nim żyć? Księży, co prawda, nie bardzo lubię, ale i między nimi trafiają się czasem niezłe chłopy.

— Oho, nasz kapelan to morowy dziad — zapewniał gorąco sztabowy. — Wesoły i rozmowny.

— Hm... — znów zastanowił się komendant. — Wiecie co? Narobimy my strachu... Udaj pan, że go pan nie zna. Gawryłow niech go zaaresztuje, a potem przyprowadzi go do mnie. Kapuje pan?

— Kapuję, panie komendancie, — uśmiechnął się sztabowy. — A co pan komendant chce z nim zrobić?

— Zobaczy pan. Gawryłow! — zawołał Kotwicz na wartownika. — Chodźcie-no tu, ale biegiem!

Gawryłow ruszył świńskim galopem.

— Słuchajcie, Gawryłow — informował Kotwicz, — widzice tego jegomościa na koniu? Jak nadjedzie, zapytać o przepustkę i zatrzymać. A czy będzie miał albo nie, zatrzymać, ściągnąć z konia i przyprowadzić do kancelarji. Zrozumiano?

— Tak jest, panie komendancie. Wasze błagorodje pozwoli zapytać jeszcze: A związać nie trzeba?

— Nie— wmieszał się do rozmowy sztabowy.

— Ani wiązać nie trzeba, ani wiele hałasu też nie trzeba robić.

— Najlepiej nic nie gadać, tylko zaprowadzić i basta — dodał Kotwicz. — Tylko szybko! Jazda!

— Słuszajus, pan komendant!

Gawryłow ruszył pędem na swoje stanowisko. Kotwicz ze sztabowym wycofali się na zgóry upatrzone pozycje i czekali.

Za kilka minut jeździec na zawołanie posterunku zatrzymał konia.

— Wy kto takij? — zapytał Gawryłow. — Propustka u was jest? A hasło wy znacie?

— Ależ człowieku — tłumaczył jeździec. — Jadę z Dusznej Górki. Chciałem odwiedzić czwartą kompanję, bo dotychczas nie miałem sposobności...

— A mnie nic do tego, skąd i za czem. Prikaz jest od pana komendanta o hasło pytać. A nie znasz, bratku, hasła, sljezaj, bracie, z konia i chodź. A nie... ściągnę bez długiego rozgaworu... Sljezaj!

Kapelan próbował jeszcze tłumaczyć, ale Gawryłow, zawiesiwszy karabin na ramieniu, odebrał mu lejce i ściągnął księdza na ziemię bez ceremonji.

— To jakaś omyłka! — oponował kapelan, wycierając ze wzruszenia okulary. — To wszystko się wyjaśni, mój człowieku. Ja jestem z tej parafji, wasz kapelan. Przecież noszę opaskę... nie widzicie to?

— A mnie poczemu znać? — twierdził Gawryłow. — Małczat i nie gadać! Marsz!

I ująwszy silnie księdza pod ramię, zawiesił cugle na rękę i prowadził swą zdobycz wprost do kancelarji.

— Wot tobie i opasek — rzekł triumfalnie, wprowadzając oszołomionego kapelana do kancelarji, puściwszy uprzednio konia luzem.

— A tyś kogo przyprowadził? — spytał dyżurny kaparl, wtajemniczony w całą historję.

— Nie mogu znat, pan kapral — raportował Gawryłow. — Hasła nie znał i powiada, że opasek jest z tej samej parafiny co i ja. A ja i parafiny żadnej na oczy nie widał, jej Bohu, że nie. Za duraka chciał mnie brać. Ksjendza udawał, bradiaga! Szpion, panie kapral. Napewno gergański szpion!

— To omyłka — tłumaczył zadyszany kapelan. — Jestem kapelanem pułkowym...

— Zaraz sprawdzimy. Możecie iść, Gawryłow. Przepustkę pan ma?

Ksiądz szperał nerwowo po kieszeniach.

— Przepustki nie mam. Musiałem ją w domu zostawić — strzepnął rękami. — Ale mnie tu znają przecież wszyscy. Pan sztabowy Krawczyk mnie zna i sierżant Walczak mnie zna... przecież niedawno ślub mu dawałem.

— Hm... — kombinował chwilę kapral. — Pana sztabowego niema, wyjechał po odbiór nowych mundurów z magazynu. Szkoda, wielka szkoda, ale na razie muszę pana zaaresztować. To trudno, ale takie mamy rozkazy. Zresztą kręci się tu w okolicy różna hołota...

— Ależ na miłość boską — oburzył się niepewnie kapelan. — To przecież niemożliwe. Jakto, własnego kapelana chcecie zaaresztować? Przecież noszę odznakę!

— Odznakę każdy może sobie założyć... — zauważył sucho kapral.

— Ależ przecież na niej jest pieczęć pułkowa...

— Pieczęć łatwo można podrobić — zapewnił kapral. — No, niema się czem przejmować...

— Proszę mnie zaprowadzić do komendanta — zawołał kapelan. — Nie pozwolę na podobne traktowanie mnie! Ja nie chcę, rozumie pan?

— Tu żadne gadanie nie pomoże — odrzekł stanowczo kapral. — Trzymamy się tylko rozkazów. Pan komendant ma inne sprawy na głowie, żeby się takiemi głupstwami zajmować. Proszę ze mną! W pace jest ciepło i słomy dużo...

— Ależ, panie kapralu — próbował tłumaczyć oburzony ksiądz. — Proszę mnie zaraz zaprowadzić do pana komendanta, zanim mnie pan zamknie...

— Pan komendant jest bardzo zajęty i gniewa się, gdy mu ktoś przeszkodzi.

— Ależ ja pana bardzo proszę, panie kapralu!

— Ano, zobaczymy — zgodził się wreszcie kapral. — Hallo! Służbowy!

Do kancelarji wkroczył ordynans i trzasnął obcasami.

— Powiedzieć panu komendantowi, że złapaliśmy podejrzanego człowieka, który chciał zlustrować kwatery trzeciego plutonu. Nie zna hasła, przepustki nie ma i mówi, że jest kapelanem...

— Pan komendant właśnie tu idzie, panie kapralu — raportował ordynans, patrząc przez okno.

— To co innego — zauważył kapral. — Proszę wstać!

Otworzyły się drzwi i wszedł komendant Kotwicz. Surowem spojrzeniem ogarnął kancelarję i więźnia.

— Cóż to znowu za typ? — zapytał groźnie.

— Panie komendancie — raportował wyprostowany kapral, a podbródek latał mu przytem jakoś dziwnie — posterunek alarmowy zaaresztował tego jegomościa jako podejrzanego o szpiegostwo. Mamy wiadomości, że od niedawnego czasu kręci się po okolicy szpieg niemiecki w płaszczu i mundurze kapelana...

— Zrewidowaliście go? — zapytał Kotwicz.

— Nie, panie komendancie.

— Panie komendancie — odezwał się więzień. — To omyłka. Mnie tu wszyscy przecież znają...

— Proszę nie przerywać! — rzucił ostro komendant. — Przepustkę pan ma?

— Nie, panie komendancie... zapomniałem

w domu. Ale mam opaskę z pieczęcią pułkową...

— Pieczęć napewno podrobiona — zauważył kapral.

— Możliwe. Hm... — namyślał się chwilę Kotwicz, patrząc przenikliwie na jeńca. — Właściwie ma dosyć niepewną gębę... — Zdejm-no pan te okulary...

Kapelan zdjął okulary.

— Bez okularów wygląda jeszcze gorzej — zaopinjował Kotwicz. — Ano, zobaczymy. Zrewidować go, spisać protokuł i napisać raport. Tymczasem zaprowadzić do paki i zabrać mu szelki dla pewności, żeby się nie powiesił. Bo różnie bywa...

— Ależ na miłość boską! — zawołał przerażony więzień.

— Jazda z nim! — zakokenderował Kotwicz.

Ordynans z kapralem pociągnęli opierającego się księdza za Kotwiczem. Komendant otworzył drzwi, prowadzące do jego mieszkania. W dużym, widnym pokoju wesoło trzaskał ogień, a na stole stały dwie butelki wina i biszkopty.

— No, a teraz puśćcie księdza kapelana — uśmiechnął się Kotwicz. — Proszę bardzo, czem chata bogata, tem rada, księże kapelanie. Przepraszam, że przedtem robiliśmy trochę ceremonji, ale u nas taki zwyczaj...

Ksiądz popatrzał na Kotwicza jak na warjata i nie mógł się połapać odrazu.

— Ty bolszewiku! — wyjąkał nareszcie. — Mówili mi, żeś bolszewik — wybuchnął — a nie chciałem wierzyć. To tak szanujesz władzę kościelną, pierunie, ty bolszewiku pieruński...

— Wy tam, wynoście się stąd i ani pary z gęby! — zwrócił się Kotwicz do śmiejących się szaraków. — Proszę siadać, kochany kapelanie i nie gniewać się...

— A niech cię jaśniste pioruny! — klął kapelan, rzuciwszy się Kotwiczowi na szyję. — Gniewać się?! Na polskie wojsko? Człowieku, to ty mnie nie znasz jeszcze!

— Oho — mruknął Kotwicz — słyszałem cośniecoś już. Chyba napijemy się na to konto, albo co...

— Napije się, bolszewiku... i mów mi: wuja... — śmiał się ksiądz.

Za chwilę zjawił się sztabowy. Kapelan opowiedział mu swoją przygodę, a sztabowy przepraszał, że również należał do spisku.

— Oj, wy stare zbereźniki! — żartobliwie groził kapelan. — Musicie mieć więcej takich kawałów na sumienie... Poczekajcie, przyjdziecie do mnie do spowiedzi!

Długo jeszcze siedzieli kapelan z kamendantem, opowiadając sobie dawne i niedawne dzieje. Rozstali się nad ranem. Właśnie była niedziela.

* * *

W tydzień potem, przebrany w nowy mundur, ogolony i ostrzyżony, z papierami w ręku wyszedł uszczęśliwiony Gawryłow z kancelarji. Zapalił papierosa, podkręcił wąsa i kombinował coś na wesoło. Ale po chwili twarz zachmurzyła mu się, przystanął i zamyślił się głęboko.

— Cożeś to tak zapatrzył się jak sroka w gnat? — zapytał go ordynane. — Masz urlop to jedź, a nie patrz jak wół na malowane wrota...

— At, durny jesteś — odpalił Gwaryłow. — Ty, rekrucie zielony, mądrować chcesz? Sprawa u mnie jest, rozumiesz?

— Co za sprawa?

— Trudna sprawa — objaśniał Gawryłow — bardzo trudna.

— Z trudnemi sprawami najlepiej do komendanta — radził poczciwie ordynans.

—Ja i tak pomyślawszy — westchnął Gawryłow — ale śmiałości, bracie, nie ma. Ot co... A jak krzyknie na mnie... To co?

—Nasz stary przecie fajny chłop. Krzyknie a może i nie krzyknie — perswadował ordynans.

— To właśnie i bieda cała. A nuż krzyknie?

— Zeżreć cię nie zeżre — uśmiechnął się ordynans i odszedł, zostawiwszy Gawryłowa w zamyśleniu.

Po dwóch niespełna godzinach namysłu Gawryłow zdecydował się nagle. Wyczyściwszy jeszcze raz buty, obejrzał starannie mundur i portki, zapiął się na ostatnią dziurkę i zapukał do pokoju komendanta.

— Proszę — odezwał się głos Kotwicza.

Gawryłowa aż zatkało. Serce zabiło mu gwałtownie, ale splunął i wszedł.

— I cóż powiecie, Gawryłow? — uśmiechnął się Kotwicz. — Na urlop jedziesz, dziadu?

— Nie mogę znać. Tak jest, błagorodje. wyszeptał żołnierz. — Pan komendant, ot, proszę nie gniewać się na mnie śmiałość. Pa przyszedł... ot... rady waszej, znaczy się, za waszem pozwoleniem, poprosić. Bo ja biedny człowiek znaczy się i durny. I nie gniewać się na mnie proszę, znaczy się...

— Siadaj Gawryłow. I zapal-no papierosa — odezwał się Kotwicz.

— Ja nie śmiem. Nie usiądę, żebym tak zdrów był... — zaklinał się Gawryłow, aż Kotwicz zakomenderował:

—Siadać!

— Rozkaz... — odsapnął Gawryłow.

— A teraz gadaj! — rzucił Kotwicz.

Gawryłow opowiadał.

Były to długie dzieje. Kotwicz zamyślał się i słuchał, nie przerywając spoczątku. A potem komendant opowiadał, a Gawryłow słuchał. Opowiadał Kotwicz długie dzieje swojej tułaczki między obcymi mu ludźmi, za obce sprawy. Gawryłow wypalił dwa papierosy i wychylił dwa spore kielichy wódki. A potem mówił o sprawie swojej.

— Hm... — zastanowił się komendant. — Pomówię o tem z kapelanem.

— Ot i dobrze będzie. Pewnie, że najlepiej,

pan komendant — uśmiechnął się radośnie żołnierz.

* * *

W tydzień po Wielkanocy w kościele parafjalnym w Dusznej Górce odbył się ślub starszego szeregowca armji wielkopolskiej, Józefa Gawryłowa, kawalera, niedawno przyjętego na łono kościoła rzymsko-katolickiego, z wojenną wdową, Agnieszką Tomiakową z Lasków pod Gostyniem. Wzruszona młoda para roniła rzewne łzy, gdy po uroczystości kościelnej w ciasnem kóku znajomych i krewnych młodej, odbywała się uczta weselna.

W kancelarji czwartej kompanji stał stół nakryty białym obrusem, a pan plutonowy Skrzydlewski, po wypiciu trzech służbowych większych dla odwagi, miał krótkie przemówienie do nowożeńców.

— Zawsze ci, piorunie, mówiłem — zaczął z godnością plutonowy — zawsze ci mówiłem, że będą z ciebie ludzie. A że do tego czasu i bez tego macie dwóch kozoków, to ci się, pierunie, chwali. Bo jakby co nie było, toby nie było, ale co już jest gotowe, to gotowe i basta! Życzę ci więc, pierunie, żeby ci się dobrze powodziło i żebyś, dziadu, czasem pamiętał o starej naszej kompanji!

— O, panie plutonowy! — zaklinał się wzruszony starszy szeregowiec Gawryłow — żeby mnie cholera, jeśliby ja zapomniał...

W dużym obszernym baraku, gdzie kwaterował trzeci pluton, a skąd powyrzucano łóżka i stoły na dwór, muzyka grzmiała i czterdzieści par młociło oberka.

— A co to się u was dzieje? — pytał przejeżdżający ordynans pierwszego bataljonu.

— Czwarta rezerwowa ma dziś wesele — odpowiedział posterunek alarmowy.

— Jakto? Cała kompanja? — zdziwił się ordynans.

— A jakżebyś chciał? Chyba! — odparł posterunek. — U nas, bracie, po staremu, parafjalna kompanja i wszyscy swoi...

Kiedy już dobrze kurzyło się ze łbów, wstał komendant Kotwicz i życzył skolei szczęścia młodej parze w te słowa:

— Ma dziś czwarta kompanja podwójne święto. Żołnierska to rzecz weselić się, kiedy jest okazja i popić kiedy jest co. A do popicia jest, jak widzę, niezła porcja... daj Boże wytrzymać! Ale pierwszy raz ma kompanja sposobność do opicia dwóch okazyj naraz. Nie mówię tu o podwójnych chrzcinach, bo to się zdarza... ludzka rzecz. Nasz kapelan trochę pyskował spocządku, ale, że to fajny chłop i nasz wielkopolski ksiądz i dobry kompan, zgodził się na wszystko...

—Cóż miałem robić? — wywnętrzał się kapelan sztabowemu. — Zagroził mi, piorun, że zakwateruje się z całą kompanją takich bolszewików jak on probostwo... Coby moja gospodyni na to powiedziała?

— Nie przeszkadzaj, Romek — zwrócił się Kotwicz do kapelana. — Popsułeś mi całe gadanie i muszę znów od początku. Więc o tem nie będziemy gadali — ciągnął dalej. — Chciałbym tylko powiedzieć kilka słów o żołnierskiem, uczciwem sercu naszego Gawryłowa. Ten chłop zrozumiał, że chcąc zasłużyć na swój los i swoje szczęście w postaci morowej i fajnej baby, nietylko chwycił za karabin, aby bić Niemców, ale miał odwagę odejść od niej bez żadnego gadania i wrócić dopiero jako polski żołnierz, aby powiedzieć jej krótko i węzłowato, jak mi sam powiedział: "Wróciłem, pierony, to racja, pijany jezdem — też racja, ale cniło mi się za tobą — bo racja. I dlatego, jak chcesz, to mnie weź, a nie — to niech to jasne pierony zatrzasną! Kompanja dała mi rozkaz stawić się u ciebie i służbowo spytać: Chcesz mnie, to dobrze, a nie, to wrócę do kompanji i niech cię wszyscy djabli wezmą!" Za tę podwójną odwagę naszego Gawryłowa na obydwóch frontach, na niemieckim i na babskim odcinku, piję do dna ten kielich służbowy i życzę młodej parze tyle szczęścia, ile życzyć może całej mojej kompanji wasz przyjaciel i komendant!

— Ot, dobrali się, — mruknął kapelan. — Oba bolszewiki są, to widać! Ha, cóż robić, zostałem ich kapelanem... co tu gadać... tych kochanych moich bolszewików!

— Ano, wszystka wiara swego chowu — przytaknął poważnie sztabowy.

— Niech żyje nasz kapelan! — zawołał gromko Kotwicz, a za nim wrzasnęła cała kompanja, że aż szyby zadrżały w oknach:

— Niech żyje!

I pochwycono księdza w krzepkie ramiona. Podnieśli go do góry i wrzeszczeli, a on wyrywał się i niby złościł, ale w oczach błyszczały mu czyste łzy radości i szczęścia.

I długo jeszcze potem tego zacnego księdza zwano kapelanem bolszewików.

CO KAŻDY POWINIEN WIEDZIEĆ O ZWIĄZKU NARODOWYM POLSKIM?

KRÓTKI SZKIC HISTORYCZNY O PIERWSZYCH POCZĄTKACH I ROZWOJU NASZEJ ORGANIZACJI

W powodzi pracy codziennej i rozlicznych zajęć nad zdobyciem kawałka chleba, trudno wszystkim związkowcom i związkowczyniom zagłębiać się w tajniki i szczegóły dawnych lat i pracy od pierwszych zaczątków Związku Narodowego Polskiego. Dla tych przygotowaliśmy skrót naszej historii związkowej, aby choć najważniejsze fakty i wydarzenia utkwiły naszym braciom i siostrom w pamięci dla lepszego zrozumienia podłoża, w jakim ZNP. powstał, rozwijał się i doszedł do dzisiejszej potęgi i znaczenia.

Prace nad założeniem naszej organizacji były powolne i trudne. Łatwo nam dzisiaj odczuwać dumę z potęgi naszej organizacji, trudniej było z niczego budować ten wielki gmach, któremu na imię ZNP.

Związek Narodowy Polski powstał jako wyraz tęsknoty ludu polskiego, wygnanego z ziemi polskiej biedą albo prześladowaniami politycznymi, tęsknoty do Polski, która w umyśle emigranta amerykańskiego pozostała jako ideał nadziemski, jako wcielenie świętych jego uczuć, unoszące się wysoko ponad partiami, obozami i osobistościami. Nasi imigranci w drugiej połowie 19-go wieku po pierwszym zagospodarowaniu się na amerykańskiej ziemi, po pierwszym zapoznaniu się ze stosunkami, okolicznościami i ludźmi, po znalezieniu pracy i zabezpieczeniu sobie przyszłości, wpadali w nostalgię i odczuwali pociąg do łączenia się wzajemnego i organizowania się, aby swym braciom za oceanem pomódz i dawnej swej Ojczyźnie przychylić nieba niepodległości.

To też idea założenia Związku Narodowego Polskiego zrodziła się z ideji niepodległościowej, zrodziła się z posiewu ofiarnej polskiej krwi, przelanej w powstaniach z roku 1831 i 1863.

Bowiem ludzie, którzy rzucili myśl założenia Związku Narodowego mieli na myśli w pierwszym rzędzie przywrócenie Polsce niepodległości, a następnie silniejsze zespolenie ludu bolskiego na wychodźtwie amerykańskim, by przez to zespolenie i zwarcie szeregów do pierwszego celu tym łatwiej i szybciej dotrzeć. Pionierzy i założyciele Związku Narodowego Polskiego byli święcie przekonani i historia dzisiaj uczy, że mieli słuszność, że dążenie do zespolenia wychodźtwa nietylko da moralną siłę Polonii amerykańskiej, nietylko dopomoże Polsce, ale także będzie bodźcem i da siłę moralną oraz materialną do zdobycia godnego, wysokiego stanowiska w Stanach Zjednoczonych. I tak rzeczywiście się stało.

Założyciele i inicjatorzy ZNP. postanowili przyszłość wychodźtwa oprzeć na jedności i na sile organizacyjnej. Założyciele ZNP. byli też wybitnymi liderami i mężami z okresu powstania z roku 1863. Oni też w głębokim poczuciu szczerego patriotyzmu pisząc plan pierwszej konstytucji związkowej zakończyli swą pracę tymi pamiętnymi słowy:

"Jeżeli żyć, to dla Polski, a jeśli cierpieć i umierać, to za Polskę. Podajmy sobie bratnią dłoń."

Te uściśnięte bratnie dłonie stały się symbolem prac Związku Narodowego Polskiego.

Pierwsza Myśl

Aczkolwiek aktualnie praca nad założeniem ZNP. rozpoczęła się po powstaniu (1863) to już po powstaniu listopadowym (1831) po jego upadku wołał do nielicznie rozsianych po Stanach Zjednoczonych Polaków, Henryk Kałusowski:

"Polak prawy nigdzie swobody największej nie przyjmie w zamian za Ojczyznę. Trzeba nam zwalczać zawady, gwałtowi robić ciągły opór, przemocy urągać, nieprzyjaciołom stawić zawsze czoło! Wytrwałość jest naszym obowiązkiem, poświęcenie się dla Ojczyzny i ludzkości prawem serca polskiego. Wypełniając to święcie, przyjdziemy do jedności, wydobędziemy siłę, która wszystko pokona . . . "

Nawoływał też, aby liczyć przede wszystkim na swoje własne siły, bo:

"Przyjaźń obca wesprzeć nas tylko może: jedność samoistnymi nas uczyni i dlatego za wszystko wystarcza.

"Przyjaźni nie odrzucajmy, ceńmy ją, ale na siebie tylko liczmy!"

Agaton Giller, jeden z członków Rządu Narodowego, szukając po upadku Powstania Styczniowego nowej siły, na której możnaby oprzeć nowe dążenia i wysiłki dla odzyskania niepodległości


WASHINGTON HALL

Polski, pisał do zakładających Związek Narodowy Polski w Stanach Zjednoczonych.

"Wierni sztandarowi Ojczyzny, na którym są wypisane hasła wolności, niepodległości i całości Polski, wierni tradycji i religii ojców, z uczuciem braterstwa w sercach, chętnie popierając postęp nauk i cywilizacji — starajcie się przez Związek utrzymać w rodakach do niego należących tego wielkiego ducha miłości Ojczyzny, którym gdy Polak głęboko jest przejęty, przyświeca wtedy przykładem męstwa, cnót, rozumu i poświęcenia i staje się wzorem pracowitego, rozsądnego a moralnego żywota."

Innym razem zaś, nawołując do pociągania w szeregi związkowe wszystkich Polaków i starania się by przez oświatę zrobić z nich dobrych patriotów, tak pisał Agaton Giller:

Cel Polaka

"W wielkiej sprawie narodu, to tylko kierownictwo jest rozumne, które żadnej siły pojedyńczej lub zbiorowej nie traci z oczu, żadnej nie uznaje za mało znaczącą lub nie do użycia, a rozprószone i zbłąkane zagarnia do gromady i prowadzi właściwymi drogami do służby, które podnoszą znaczenie, potęgę, blask Ojczyzny oraz jej samodzielność.

"Ponad tę sprawę niema ważniejszej dla Polaka. Wszystkie inne czerpią swe znaczenie i ważność z tego, o ile są pomocne i pożyteczne dla tamtej."

Na wezwanie tego to głównego Ojca duchowego idei związkowej, człowieka serca, byłego członka Rządu Narodowego, który po upadku Powstania schronił się do Szwajcarii i stamtąd śledząc pilnie wszystko, co się dzieje w Ameryce, na wezwanie i pod przewodnictwem Juliusza Andrzejkowicza, zebrało się 15go lutego, 1880 r. w mieście Filadelfii kilku wyznawców idei związania razem Polaków w Ameryce w wielką organizację, opracowano odezwę, która dała początek i życie Związkowi Narodowemu Polskiemu. W odezwie tej założyciele Związku nawoływali rodaków w Ameryce do łączenia się w organizacji narodowej w tych pełnych zapału słowach.

Odezwa

"Mamy tu punkt oparcia, mamy wolność stowarzyszenia, prasy i mowy, mamy liczbę, ale brak siły. W rozsypce, w osamotnieniu jesteśmy niczem, nie zdolni poradzić samym sobie, ani pomódz krajowi. Zebrani i zorganizowani w potężny Związek, nie tylko dźwigniemy sami siebie moralnie i materialnie, ale utworzymy poważną siłę, której będziemy mogli użyć dla dobra Ojczyzny."

Na odezwę odpowiedziało przychylnie tylko 6 towarzystw, cztery z Chicago jedno z San Francisco, Calif., i jedno z Shenandoah, Pa., a w dniu 20go września tegoż roku, odbył się w Chicago pierwszy Sejm Związku, czyli Zjazd delegatów tych towarzystw i Związek Narodowy Polski nie naruszając w niczem ich samorządu, formalnie został założony. Nie zrazili się założyciele tą małą liczbą towarzystw i Sejm ten ułożył ustawy, które świadczą jak szeroko ujmował podjętą pracę. Oto jak ustawa ta określała cele Związku.

Cel

"Kłaść fundamenta pod instytucję dla materialnego i moralnego rozwoju żywiołu polskiego w Stanach Zjednoczonych, jako niezbędnie uznane, za pomocą funduszu żelaznego, jako stałej i niepodzielnej własności Związku. Do rzędu takich instytucyj należą domy polskie, szkoły i w ogóle zakłady dobroczynności.

Opieka nad wychodźtwem polskiem.

Uregulowanie polityczne wychodźtwa polskiego jako obywateli Stanów Zjednoczonych.

Obchody pamiątkowych rocznic ku czci Polski."

Pragnąc zapewnić Związkowi szybszy rozwój i pozyskać w swe szeregi jak najwięcej rodaków, wprowadzono w życie kasę wsparć pośmiertnych. W razie śmierci członka Związku, miano płacić $500.00, a w razie śmierci jego żony $300.00.

Założycielami Z. N. P. byli:

Juljusz Andrzejkowicz
Jan B. Błachowski
Juljan Lipiński
Jan Popieliński
Julian Szajnert

Pierwszym Cenzorem Z. N. P. był Juljusz Andrzejkowicz, z Filadelfii, Pa., wybrany dnia 17go lipca, 1880 roku, na posiedzeniu delegatów Towarzystw Polskich w Chicago.

Pierwszy Sejm

Pierwsze orędzie Cenzora z daty Filadelfia, 10go sierpnia, 1880 r., głosi o zawiązaniu się Związku Narodowego Polskiego, jak również zapowiada, iż o dacie pierwszego Sejmu zawiadomi delegatów listownie.

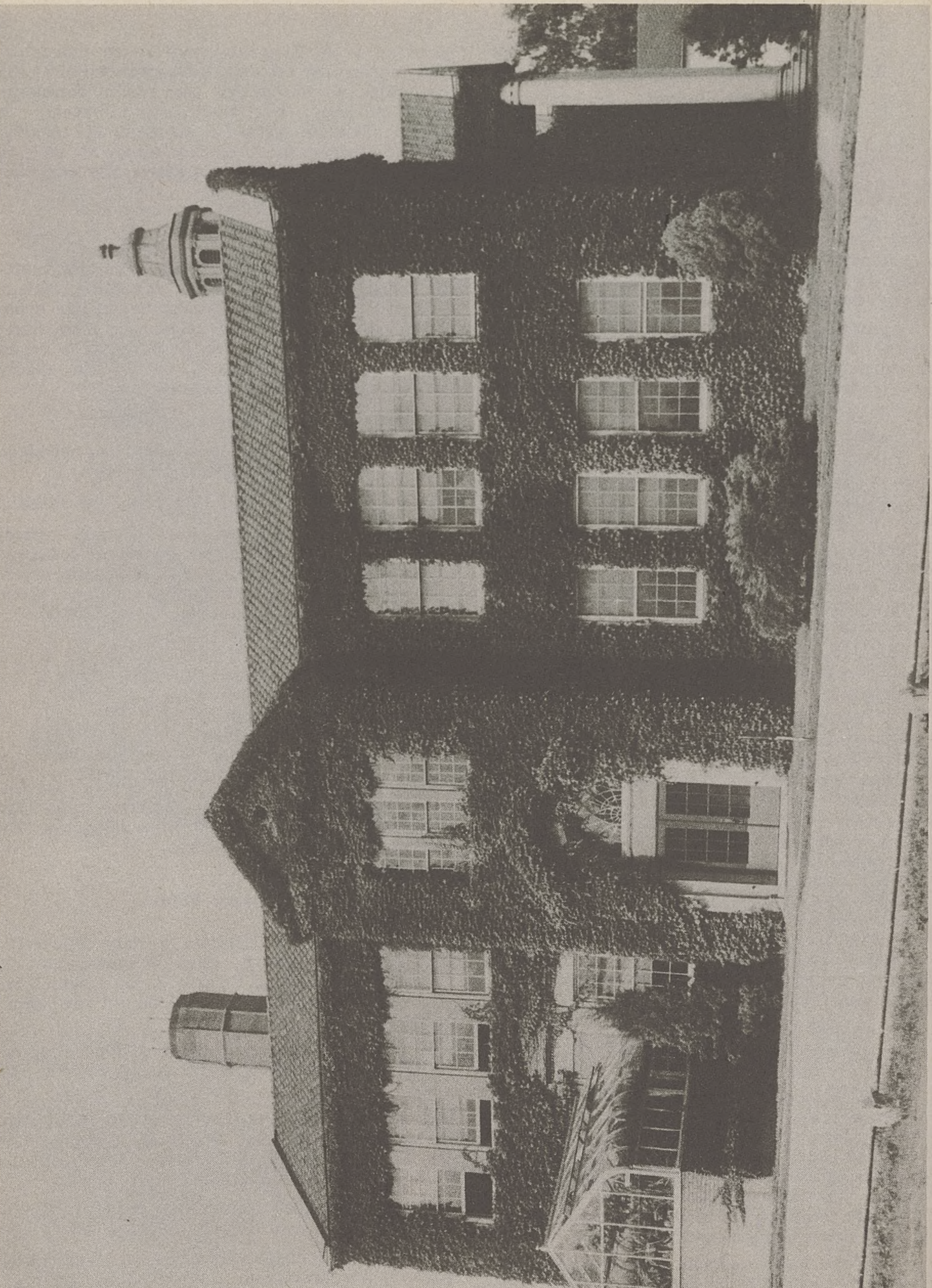
W dniu założenia Z. N. P. t. j. 10go sierpnia, 1880 r., liczba członków wyrażała się w cyfrze 189.

Pierwszy Sejm Z. N. P. odbył się w dniach od 15go do 18go września, 1880 r., w sali parafialnej (polsko-słowackiej) Św. Wacława, u zbiegu ulic De Koven i Desplaines, blisko ulic Jefferson i Clinton, w Chicago, Illinois.

Przewodniczącym Sejmu I-go był Juljusz Andrzejkowicz, a sekretarzem Józef Główczyński.

Pierwszym Prezesem Związku był Maksymilian Kucera, a sekretarzem Edward Odrowąż.

Początkowo raz w roku, później co dwa lata, obecnie co cztery lata odbywa Związek swe Sejmy.



Budynek szkolny Alliance College, ZNP, w Cambridge Springs, Pa.

No
a
dw
sią
kla
$64

I
cyj
em
już

J
z w
sta
dle
goc
ma
w

W
Ka
tość
pod
Bib
jęto
ma
nie.
wie
ksią

W
nen
i wy
uzn

Jo
dow
było
tonu
pom
Tad
z kt
zek
Zjed

Zw
Zwia
tego
Naro
twie

Wy
W o
Pols
Stan
Willi
późn
talny

Drugi Sejm

Drugi Sejm odbył się w roku 1881 w mieście Nowym Yorku i zastał w Związku 9 towarzystw, a kapitał organizacji wynosił zaledwie ($255.79) dwieście pięćdziesiąt pięć dolarów i siedemdziesiąt dziewięć centów. Mimo tego delegaci zadeklarowali imieniem towarzystw złożenie sumy $649.00 na założenie własnego organu.

Porobiono też pewne kroki w biurze emigracyjnym Stanów Zjednoczonych, otaczając opieką emigrantów Polaków, których w tym czasie był już coraz większy napływ.

Jako, że Związek Narodowy Polski powstał z woli Narodu Polskiego w Ameryce i jako przedstawiciel Narodu ma działać na korzyść niepodległości ziem polskich w Europie wszelkimi godziwymi środkami. Zarząd Centralny dnia 1go marca, 1887 r. wydał odezwę do rodaków o pomoc w utworzeniu Skarbu Narodowego.

Biblioteka

W roku 1891 ofiarował dla Związku dr. Henryk Kałusowski z Washingtonu, bibliotekę swą wartości $7,000.00, oraz zbiór ważnych dokumentów pod warunkiem, że Związek utworzy z tego Bibliotekę Publiczną i Muzeum Narodowe. Przyjęto dar z najwyższą radością i na początek utrzymania biblioteki Związek wyznaczył $500.00 rocznie. Dziś biblioteka przedstawia prawdziwie wielką wartość i obejmuje ogółem 25,428 tomów książek przeważnie polskich.

W roku 1895 Sejm polecił Zarządowi Centralnemu stworzenie osobnego Wydziału Oświaty i wyznaczenie na jego potrzeby takiej sumy, jaką uzna za potrzebną.

Jednym z największych czynów Związku Narodowego Polskiego, godnym jego idei i tradycji było zwołanie Kongresu Polskiego do Washingtonu w roku 1910, z okazji odsłonięcia dwóch pomników polskich bohaterów w stolicy kraju—Tadeusza Kościuszki i Kazimierza Pułaskiego, z których pierwszy był ufundowany przez Związek Narodowy Polski, a drugi przez rząd Stanów Zjednoczonych.

Pierwszy Kongres

Zwołując ten Kongres ówcześni kierownicy Związku Narodowego Polskiego głosili, że: "Celem tego Kongresu jest omówienie obecnego położenia Narodu Polskiego tak w Polsce, jak i na wychodźtwie, pod wszystkimi względami."

Wybrano na Kongres czas bardzo odpowiedni. W odsłonięciu pomników bohaterom narodowym Polski i Ameryki wzięły udział sfery oficjalne Stanów Zjednoczonych z ówczesnym Prezydentem Williamem Taftem na czele, który w dwa lata później brał osobisty udział w drugim monumentalnym dziele Związku Narodowego Polskiego—w otwarciu Kolegium Związkowego w Cambridge Springs, Pa.

Przed pomnikami "Bohaterów Dwóch Światów" defilowały wtenczas trzy dywizje wojska amerykańskiego. Defilowała także dywizja polska towarzystw wojskowych, oraz delegaci wszystkich organizacji polskich w Stanach Zjednoczonych ze Związkiem Narodowym Polskim i połączonym z nim wtenczas Związkiem Sokołów Polskich na czele.

Były to wspaniałe i niezwykłe uroczystości, na które zwrócił uwagę cały świat, a zwłaszcza Niemcy, Rosja i Austro-Węgry. Posypały się protesty państw zaborczych, na które jednak rząd amerykański nie zważał.

Uchwała

Dnia 14go maja, 1910 roku, na wniosek komitetu politycznego, Kongres powziął następującą wiekopomną uchwałę:

"My, Polacy, mamy prawo do bytu samodzielnego narodowego i uważamy za swój święty obowiązek dążyć do osiągnięcia niepodległości politycznej dla naszej Ojczyzny—Polski."

Działo się to w maju, 1910—cztery lata przed Wojną Światową.

W dwa lata później nastąpiło dokonanie jednego z największych pomnikowych dzieł Związku Narodowego Polskiego—założenie Wyższej Szkoły Związkowej i Instytutu Technicznego w Cambridge Springs, Pa. Nastąpiło to 26go października, 1912 roku. Otwarcia uroczystego uczelni Związkowej dokonał sam Prezydent Stanów Zjednoczonych, William Howard Taft.

Kolegium

W czasie wojny światowej Kolegium Związkowe, na podstawie specjalnej umowy z rządem Stanów Zjednoczonych, było szkołą kadetów do formowania studenckich oddziałów t. zw. "Students Army Training Corps" i wywiązało się znakomicie z przyjętych obowiązków. Instytut Techniczny zaś wydawał dla armii i dla fabryk bardzo potrzebnych wtenczas rządowi młodych techników i kwalifikowanych należycie robotników. Ówczesny sekretarz wojny, Newton D. Baker, złożył Kolegium i władzom związkowym gorące uznanie i podziękowanie.

W taki to sposób zabiega Związek Narodowy Polski o wyższy poziom oświaty wśród Polonii Amerykańskiej i to jest jedna z najpiękniejszych i najbardziej wartościowych sfer jego działalności.

Nowe Cele

W następnym roku po założeniu Szkoły Wyższej w Cambridge Springs, roku 1913, na Sejmie w Detroit, Mich., uchwalono wpisać następujący



PROFESSOR OWEN FRIEND udziela lekcji Botaniki przed Alliance Hall, 1955.

wstęp do Konstytucji Z. N. P., który jest wyznaniem jego wiary politycznej i społecznej:

"...Związek Narodowy Polski w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki założony został w celach: doskonalszego zespolenia ludu polskiego na wychodźtwie: zapewnienia mu należytego rozwoju pod względem moralnym, umysłowym, ekonomicznym i społecznym: uchronienia języka ojczystego, oraz kultury i obyczajów narodowych od zaniku i skuteczniejszego działania wszelkimi godziwymi środkami na korzyść przywrócenia niepodległości Ziem Polskich w Europie."

Było to w trzy lata po deklaracji na Kongresie w Washingtonie a rok niespełna przed wybuchem Wojny Światowej, gdy wszyscy czuli jej zbliżanie się.

Wojna Światowa

Przyjście Wojny Światowej zastało nas już duchowo przygotowanych. Opatrzność dała nam także duchowego Wodza, pod którego kierownictwem genialnego umysłu i wielkiego serca wychodztwo Polskie w Ameryce zostało zjednoczone i zdobyło się na wysiłek wielki, moralnego, finansowego i zbrojnego czynu w pomożeniu Polsce zdobycia niepodległości.

Mistrz Paderewski dokonał na wychodźtwie Polskim w Ameryce ogromnego dzieła—dzieła, które sami Polacy uważali za niemożliwe do dokonania. Było to dzieło zjednoczenia wszystkich sił polskich w Stanach Zjednoczonych.

Powaga i znaczenie Mistrza Paderewskiego w Ameryce były olbrzymie. Był on już na długie lata przed wojną nazywany ambasadorem-at-large Polski do całego świata, a szczególnie do Stanów Zjednoczonych. Takiego prestyżu jak On żaden jeszcze cudzoziemiec w Ameryce nie miał. Był i jest On kochany za jego sztukę, za jego osobowość, za jego geniusz, za jego patriotyzm, za jego wielką miłość Polski. Jego imię starczyło za miliony i w imieniu milionów przemawiał.

Ten prestyż i ta wielkość Paderewskiego i dokonanie przez niego największego dzieła w życiu wychodźtwa polskiego w Ameryce—dzieła zjednoczenia tegoż wychodźtwa—dały nam Trzynasty punkt z Czternastu Punktów Prezydenta Wilsona, który tak potężnie zaważył na losach niepodległości Polski w czasie Wojny Światowej i następnie na Konferencji Pokojowej w Paryżu. Wypowiedzenie się Prezydenta Wilsona i czyn zbrojny wychodźtwa polskiego w Ameryce, oraz 150,000 ochotników polskich w armii amerykańskiej zapewniło Polsce pomoc Ameryki we wszystkich szczegółach. W tym wielkim i nieśmiertelnym dziele, stając pod wodzą Paderewskiego, spełniliśmy naszą misję historyczną **"skuteczniejszego działania wszelkimi godziwymi środkami na korzyść przywrócenia niepodległości ziem polskich w Europie."**

Zew

Była to zasługa rzeczywista całego wychodźtwa polskiego w Ameryce, które stanęło na zew swego Wodza Duchowego, Ignacego J. Paderewskiego. Związek Narodowy Polski miał w tej zasłudze tym większy udział, że bez żadnych zastrzeżeń poszedł na ten zew, stając na czele wszystkich innych organizacji polskich w Ameryce.

Pamiętną będzie w historii Związku i całej Polonii amerykańskiej rezolucja przyjęta na Sejmie XXII Z. N. P. w Pittsburghu, dnia 20-go września, 1918 roku, w której wybrańcy Związku wyrazili pełną zgodę swej Organizacji na zasadnicze uchwały Kongresu Polskiego w Detroit, i zalecającą współpracę i współdziałanie Związku w utworzonym z organizacji polskich na wychodźtwie Wydziale Narodowym.

Sejm XXII Z. N. P. w Pittsburghu zatwierdził uchwałę Sejmu XXI wprowadzającą 5 centowy podatek miesięczny od członka na cele narodowe.

Od tego też czasu datuje się wielka ofiarność Związku i reszty zorganizowanego wychodźtwa na cele narodowe.

67 lat istnienia Związku Narodowego Polskiego ma za sobą ładną przeszłość, imponujące cyfry. Działalność ta wyrobiła Związkowi znaczenie i zaufanie u swoich i u obcych.

Dzisiaj Związek świeci przykładem dobrej gospodarki finansowej, stoi silnie na trwałych fundamentach materialnych i przeszedł przez wojnę mimo straty przeszło tysiąca swych młodych członków, zabitych w wojnie, — bez podnoszenia assessmentu i bez nakładania specjalnych opłat.

W czasie drugiej wojny światowej Z. N. P. ponownie stanął na czele prac narodowych Polonii amerykańskiej, gdy prezes Z. N. P. Karol Rozmarek rzucił myśl zorganizowania na gruncie amerykańskim centralnej organizacji celem wywierania nacisku politycznego i celem rozwinięcia silnej akcji narodowej dla uzyskania niepodległości dla Polski, znajdującej się w niewoli komunistycznej pod wpływem swego potężnego czerwonego sąsiada.

Za inicjatywą i pomocą Związku, Polonia amerykańska zorganizowała Kongres Polonii Amerykańskiej, na którego czele stanął i dotychczas dzielnie mu przewodzi prezes Z. N. P., a prezes Kongresu Polonii Karol Rozmarek, czyniąc ustawicznie wysiłki i starania, by bronić praw Polski do niepodległości. Kongres Polonii Amerykańskiej jest wcieleniem w życie szczytnych haseł i ideałów, rzuconych przed 70 laty przez założycieli Związku. Ich testament prowadzą teraz w czyn w dalszym ciągu Związek i Kongres Polonii z prezesem K. Rozmarkiem na czele!



WSPOMINANKI HISTORYCZNE

JAK KRÓLOWIE POLSCY PRZEBACZALI SWYM WROGOM?

Wołoszczyzna to jedno z księstw naddunajskich, którego ziemie znajdują się obecnie w obrębie Polski i królestwa Rumunii. Bieg dziejów sprzągł interesy Rzeczypospolitej z Wołoszczyzną, związał silnie interesy obu krajów, niejednokrotnie walczących wspólnie z najazdem hord tatarskich, krociowych wojsk sułtanatu, czy grabieżą zaborczych Krzyżaków. Były wypadki, kiedy i Wołoszczyzna butnie podnosiła głowę przeciw Państwu Polskiemu, częściej jednak uznawała suwerenność monarchów Rzeczypospolitej.

W roku bieżącym mija 502 lat od chwili, kiedy "hospodar" wołoski Eljasz, złożył na rynku lwowskim uroczysty hołd królowi polskiemu, przyrzekając zgodne współżycie z państwem polskim i wspólną obronę przed obcym najazdem.

Eljasza wołoskiego łączyła z dworem polskim pewna nić pokrewieństwa, spowinowacony był bowiem z Władysławem Jagiełłą przez małżeństwo z siostrą żony polskiego króla. Na pokrewieństwie tym opierał Jagiełło daleko sięgające nadzieje. Dążył do objęcia wspólną unią trzech państw: Litwy, Polski i Wołoszczyzny—i gdyby nie intrygi krzyżackie, niewątpliwie plan swój doprowadziłby konsekwentnie do końca.

Ambicja wygórowana księcia litewskiego i jego przymierze z Krzyżakami, sprowadza rozdźwięk pomiędzy Władysławem Jagiełłą a rodziną książęcą na Litwie. W sporach tych czynny udział biorą Krzyżacy, posiadający silne wpływy po śmierci Witołda na dworze Świdrygiełły. Wojna między Świdrygiełłą, Krzyżakami a Polską kończy się walnym zwycięstwem Polski i pokojem w Brześciu Kujawskim, na mocy którego Krzyżacy tracą prawo do zawierania sojuszów i prowadzenia wojen bez zezwolenia Polski.

We wspomnianej wojnie czynny udział brały również Wołochy, stając po stronie przeciwnika Rzeczypospolitej i w ten sposób łamiąc sojuszniczą umowę, zawartą swego czasu z Polską. W roku 1432-im zawarły Wołochy potajemnie przymierze ze Świdrygiełłą i Krzyżakami i napadły na Śniatyn i Kołomyję. Przymierze to skończyło się fiaskiem a hospodar wołoski został uwięziony przez Władysława Jagiełłę. Wkrótce jednak król przebaczył winowajcy, zwrócił mu wolność, odbierając tylko prawo do ziemi Sapieżyńskiej, z Chocimem, Chmielowem, Czeczuniem i Cecorą. Eljasz powraca do kraju, lecz ster rządów objął w międzyczasie brat Stefan. Pomiędzy braćmi rozpoczęła się wojna, która z przerwami trwała do 1433 roku. Godzi obu powaśnionych braci Władysław Warneńczyk dzieląc Wołoszczyznę na dwa odrębne tereny.

Obaj hospodarowie obowiązani byli potem do złożenia hołdu królowi polskiemu. Pierwszy uczynił to Eljasz, przybywając we wrześniu 1436 roku do Lwowa. Na bogato przybranem podium — jak opowiada dziejopis polski—zasiadł na tronie Władysław Warneńczyk, w otoczeniu dostojników państwowych. Hospodar padł przed królem polskim na kolana. Zapanowała uroczysta cisza, w którą wdarły się mocne słowa przysięgi hospodara na wierność Rzeczypospolitej. Wtedy król Władysław podniósł hospodara Wołoszczyzny i obdarzył go pocałunkiem pokoju. Król ofiarował mu na znak pokoju zamek w Haliczu z przeznaczeniem na skarbiec. W taki to sposób mądrą, pokojową, pełną powagi i dostojeństwa polityką budowali dawni władcy Polski wielkość i siłę swemu państwu.

HIGIENA PRACY

Higiena pracy, której celem jest stworzenie dobrych warunków pracy i zapobieganie nieszczęśliwym wypadkom przy pracy, zaczęła się rozwijać w poprzednim stuleciu, czyli mniej więcej jednocześnie z rozwojem wielkiego przemysłu kapitalistycznego. Najwcześniejszym bodaj wypadkiem troski o zdrowie i dobro robotników były zarządzenia polskiego króla Kazimierza Wielkiego, mówiące o warunkach pracy górników w kopalniach soli. Górnicy otrzymywali pomoc lekarską, ubranie i wyżywienie oraz specjalne zapomogi i opiekę w razie wypadku przy pracy lub choroby.

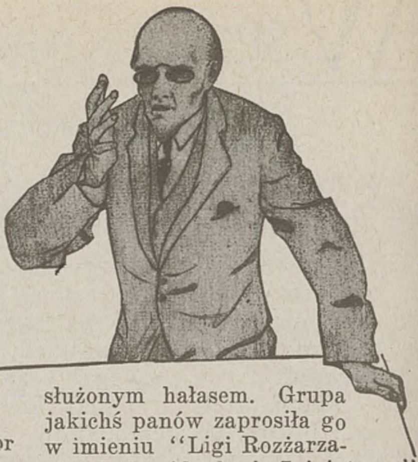
Pierwotne ludy germańskie i słowiańskie uważały kowala za czarownika. Podania głoszą, że pierwszymi kowalami byli ludzie-karły, mieszkający w górskich jaskiniach. Swej sztuki mieli się oni nauczyć od pogańskich bogów. Pierwsze młoty kowalskie zrobione były z kamienia.

W czasach, w których nie posiadano dokładnych przyrządów mierniczych, bardzo małe odcinki mierzono szerokością włosa wielbłądziego lub ziarnkiem pszenicy.

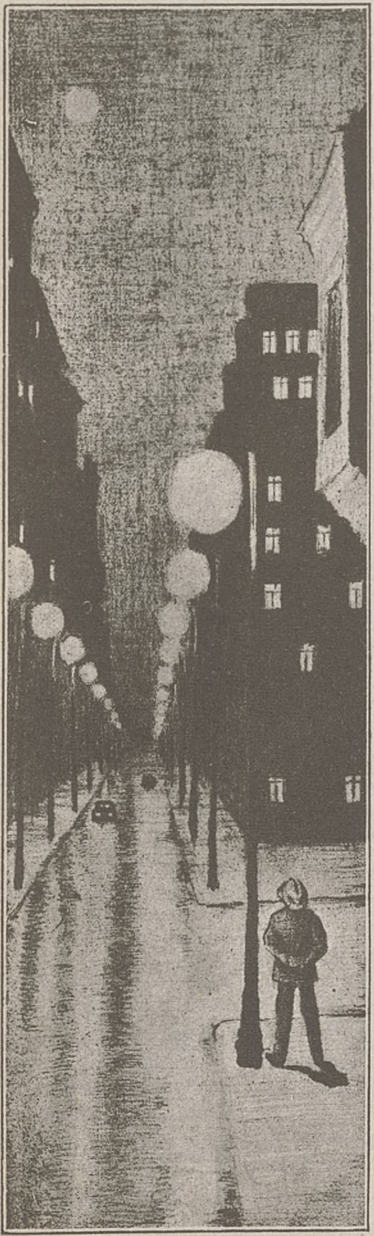
ZYGMUNT TRONIEWSKI

SERCE PROFESORA

NOWELA



— DLACZEGO — ciągnął rozpłomieniony profesor Veschke — osobnik, próbujący bezpłatnego transportu pod ławką wagonu kolei żelaznej, naraża się na niechęć ogółu i dotkliwą karę, podczas, gdy podobne mu indywiduum, które wykorzystuje w ten sam sposób aeroplan, lecący przez Atlantyk, zdobywa sobie powszechny rozgłos i zostaje fotografowane razem z uczestnikami sławnej podróży?



...skręcił w boczną uliczkę

— Dlaczego X. X., terminator piekarski z Berlina, który powtarza eksperyment na "Grafie Zeppelinie", doznaje wątpliwej przyjemności obcowania z małpą w ciągu czterech dni, co zapewne odstręczyłoby nawet samego Darwina, i podlega natychmiastowej eksmisji z Nowego Świata, nie dorzuciwszy ani szczypty sławy do swego nazwiska rodowego?

— W badaniach moich nad tem zagadnieniem, Szanowni Państwo, określiłem wszystkie czynniki, dotyczące przedmiotu, oraz doszedłem do wniosku, a raczej do całego szeregu praktycznych wniosków, a najważniejszym z nich jest, że jedynie pierwsza próba tego rodzaju budzi entuzjam tłumu, oczywiście, w danej dziedzinie komunikacji!

Profesor wypisał wniosek gotyckiemi literami na tablicy i powiódł triumfalnym wzrokiem po sali. Cisza dzwoniła. Publiczność zdawała się dźwigać na swoich mózgownicach przynajmniej połowę wagi tego tylko co ułyszanego oświadczenia.

Profesor ocenił to, ciągnął dalej:

— W rezultacie prac moich mamy możność przewidzenia, ile okazyj czeka jeszcze ludzkość w dziedzinie nielegalnych — pozwolę sobie użyć tego wyrażenia — przejazdów, uwieńczonych sławą, a przynajmniej popularnością. Innemi słowami, dla ilu zręcznych śmiałków otwarta jest karjera tego szczególnego rodzaju. Wyliczę te okazje: pierwsza wyprawa do księżyca, pierwsza wyprawa do każdej z planet...

— Do domu warjatów...! — podchwycił jakiś głos.

Lecz profesor wspaniałomyślnie nie zwrócił nań uwagi, rozwijając swą teorję z iście naukową precyzją. Wynagrodzono go zasłużonym hałasem. Grupa jakichś panów zaprosiła go w imieniu "Ligi Rozżarzania Indywidualnej Inicjatywy" na kolację do jednego z mniej znanych hoteli. Lecz profesor kategorycznie odmówił: żona jego, młoda, ale gospodarna, czekała go w domu z ulubioną grochówką, która łączy w sobie "smak, pożywność i wagę". Może byłby jeszcze poświęcił grochówkę, lecz zrobienie zawodu małżonce mogło mieć przykre następstwa.

Z myślą o niej (grochówce) skręcił w boczną ulicę, gdy niespodzianie zastąpił mu drogę jakiś osobnik. Wygląd jego zdradzał niezwykłe wzburzenie wewnętrzne:

— Profesorze! Zwichnął mi pan karjerę!

Profesor przystanął.

— Pan się chyba myli... Ja pana sobie nie przypominam...

— Swoim odczytem dzisiejszym zwichnął mi pan karjerę!

— Jakto? Pan raczy żartować! — wykrzyknął profesor, trzymając się za kieszenie od spodni, gdzie zwykł był chować pieniądze.

— Nie. Mówię serjo. Plan mego życia został dziś przekreślony! Ja — zniżył głos — projektowałem udział w pierwszej wyprawie na księżyc... Teraz wszystko przepadło! Oni będą się mieli na baczności; zastosują wszystkie środki ostrożności, bo pan zwrócił na to ich uwagę...

— Jacy oni? — zapytał profesor, wyjmując ręce z kieszeni.

— No... oni. Ci, co pierwsi pojadą na księżyc.

— Wie pan coś o nich? Któż to taki? — interesował się żywo profesor.

— Profesorze, nie odbiegajmy od tematu! — Przerwał sucho nieznajomy. — Jest mi pan winien kar-je-rę! Czy zdaje sobie pan



Żona mnie oczekuje z kolacją...

sprawę, ile warta jest karjera nielegalnego uczestnika pierwszej wyprawy na księżyc?...

— W takim razie... niech pan jedzie na Marsa... — zaproponował nieśmiało profesor.

— Kiedy i o Marsie pan mówił, profesorze! Dość tych wykrętów zresztą! Albo daje mi pan jakieś rozwiązanie, jakąś rekompensatę... albo...

Ton nieznajomego był zupełnie zdecydowany.

— Cóż ja mogę zrobić? — biedził się profesor, myśląc jednocześnie z przerażeniem o upływających minutach, które zwiększały gniew żony w postępie geometrycznym. (Słuchała przecież odczytu przez radjo i wie, że już dawno skończył.)

— Uważa pan, rozmówimy się kiedy indziej, teraz naprawdę nie mam czasu. Zupełnie serjo mówię...

— Nie, nie — nalegał nieznajomy — ja nie poprzestanę na czczej obietnicy. Zresztą rozumie pan... nie panuję nad sobą... nie ręczę... radziłbym przeto...

— Panie, — z płaczem prawie wykrzyknął profesor — kimkolwiek pan jest, ufam, że jest pan gentlemanem. Wyjaśnię panu... ŻONA mnie czeka!... Z kolacją... Jeśli miał pan kiedy do czynienia z kobietami, zrozumie pan, że nie mam chwili do stracenia. Pozostaje jedno — niech pan idzie razem ze mną.

Pomimo usilnych zabiegów profesora, by sprawę zakończyć po drodze, doszli do mieszkania bez żadnego wyniku. Lecz atmosfera pracowni profesora, gdzie zasiedli w fotelach, podziałała twórczo na światły umysł gospodarza. Po długich debatach stanęło na tem, że profesor sam zorganizuje pierwszą wyprawę na księżyc i umożliwi nieznajomemu nieoficjalny przejazd tamże.

— A może będzie lepiej — zapytał profesor — jeżeli zostanie pan urzędowym członkiem ekspedycji?

— Wyłączone — odrzekł twardo nieznajomy. — Nigdy nie zmieniam swoich postanowień.

Kuszący zapach grochówki zaczął drażnić powonienie i dał się słyszeć brzęk naczyń. Gość zrozumiał wreszcie, że należy się pożegnać. Profesor odprowadził go do drzwi (był gościnny, a zarazem ostrożny). Nieznajomy wręczył mu bilecik wizytowy z napisem: Dr. Apikrust.

* * *

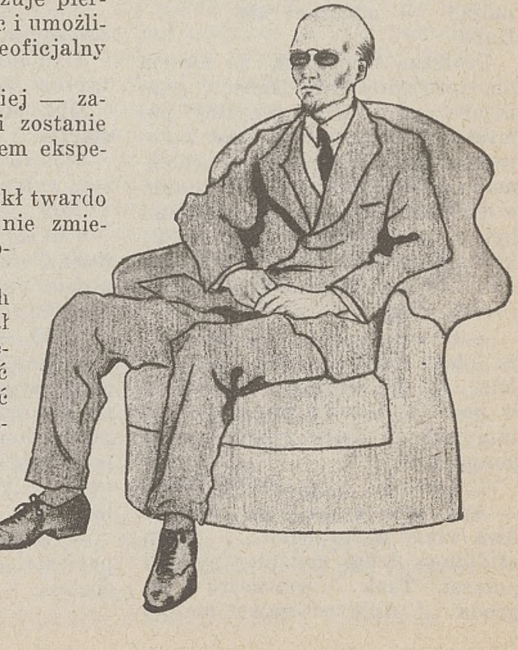
Nie był to łatwy orzech do zgryzienia, ta księżycowa ekspedycja. Pierwsza nasuwająca się wątpliwość: samolot czy sterowiec, została rozstrzygnięta na korzyść sterowca, ten bowiem rodzaj komunikacji zapewniał większy komfort. Lecz po gruntownem przestudjowaniu Vernego i innych autorytetów, profesor zwrócił uwagę na fakt, że pomiędzy księżycem a ziemią niema powietrza.

Wobec tego idea użycia sterowca upadła i stara koncepcja pocisku, wystrzelonego w przestrzeń międzyplanetarną, zastąpiła wszystkie inne.

Profesor sam sporządzał plany, Apikrust zaś, który okazał się zupełnie miłym młodzieńcem, zaczął bywać w domu Veschków prawie codziennie. Zżył się z tymi ludźmi tak dalece, że niejednokrotnie pomagał profesorowej przy kuchni, podczas gdy sam Veschke tonął w obliczeniach.

Wszystko składało się świetnie, gdy niespodziewane zdarzenie zrobiło wyłom w zdobywczym nastroju profesora. Wyszedłszy raz na ulicę, przypadkiem podniósł głowę do góry i zobaczył księżyc, świe-





Atmosfera pracowni profesora, gdzie zasiedli w fotelach...

cący blaskiem pełni. Przystanął osłupiały.

— Nie sądziłem, że to aż tak daleko — wymamrotał do siebie.

I od tej chwili znikł jego zapał. A w głowie wylęgła się myśl, by zatrąbić na odwrót. Lecz już zbyt szeroko wiedziano o czynionych przygotowaniach. Przytem ten Apikrust... Ten żył myślą o wyprawie, palił się do niej! Szczególniej w ostatnich dniach... wprost błagał o przyśpieszenie terminu...

I niewiadomo na czem skończyłoby się, gdyby nie przypadek. Przy budowie rusztowania pod działo pracowali robotnicy. Któregoś dnia po robocie jeden z nich zbliżył się do profesora i oświadczył, że niejaki Hans nie był wczoraj popołudniu na robocie, a podał się za obecnego, i że inni robią często to samo.

Profesor podszedł do Hansa z gorzkiemi wymówkami, lecz słowa robotnika zdezorjentowały go:

— Dałem mu w zęby, to mnie oczernia. Dam mu jeszcze raz, ale tak, żeby zaniemówił kanalja! — odgrażał się Hans.

Profesor stwierdził, że niczem nie może udowodnić Hansowi jego nieobecności. Lecz genjalny pomysł skojarzył natychmiast zanotowany fakt z osobistemi problemami i, ułożywszy dwa równania o dwóch niewiadomych, któremi były: 1) nieobecność Hansa i 2) kwestja delikatnego wycofania się z fatygującej wyprawy, zaczął je rozwiązywać.

— Był nieobecny... a podał się za obecnego. Dowieść niemożebne. Ja też mogę być nieobecny w pocisku, a ludzi przekonać, że tam jestem. Jakie proste i jakie genjalne!

— Świetnie! — snuł myśli dalej. — Apikrusta wyprawię... taak... dwa włazy w torpedzie... jeden oficjalny, drugi niewidoczny pod pomost. Taak... wewnątrz przegroda... Apikrust nawet nie będzie wiedział, że mnie niema... Tylko odpowiednio ułożyć instrukcję, żebyśmy się nie potrzebowali widzieć, gdy ja będę chyłkiem wychodził, a on... chyłkiem wchodził. A główne: nie mówić nic Grecie... Rozpaple...

Zacierał ręce z zadowoleniem. Koszmar się rozwiewał. Z nową energją przystąpił do dzieła, a wykończenie instalacji pozostawił sobie, oddaliwszy wszystkich.

Szczytem całego pomysłu, w mniemaniu samego profesora, było wypisanie potrójnej instrukcji:

Dla Apikrusta.

9:30 *rano — wślizgnięcie się otworem No.* 2 (*gumowe obuwie, absolutnie bez hałasu*).

Dla profesora.

9:00 *rano — publiczne wejście do torpedy otworem No.* 1.

9:10 *rano — wymknięcie się otworem No.* 2.

Dla publiczności i ludzi przy starcie.

9:00 *rano — umieszczenie profesora w torpedzie.*

9:01 — *zamknięcie otworu.*

9:01 *do* 9:59 — *profesor wypróbowuje warunki egzystencji w torpedzie. Jeżeli niema znaku to*:

10:00 *rano — włożenie do działa.*

10:05 — *wystrzał.*

W przeddzień, późnym wieczorem przyprowadził Apikrusta i kazał mu dziesięciokrotnie przerobić pod pomostem wchodzenie do torpedy i bezszelestne zamknięcie otworu. Apikrust promieniał, szalał...

— Dobry chłopak — pomyślał profesor — szkoda go. Ale sam chciał.

* * *



Profesor wymyka się na czworakach pod belkami rusztowania.

Uroczysta cisza pożegnania. Heroiczna postawa żony profesora. Profesor wsuwa się do pocisku.

Wieko zapada.

Profesor leży — zimny pot go oblewa. A jeśli... pomyłka? Jeśli, nie czekając, wsadzą torpedę do działa...

Przerażony naciska guzik. Otwór No. 2 otwiera się bezszelestnie. Profesor wymyka się na czworakach pod belkami rusztowania. Głębokie westchnienie ulgi. Z za rogu, gdzie przystanął widać tyły tłumu.

Dziesiąta!

Strzał!

O biedny, szalony Apikruście!

Boli głowa. Jakoś chce się spać... Profesor chyłkiem zdąża ku domowi. Szczęśliwym trafem zostawił klucz w kieszeni.

Żony nie zastaje. Jeszcze nie wróciła, oczywiście. Żeby tylko w zdenerwowaniu nie chciała uczynić sobie co złego...

Oczy się kleją. Zrozumiałe... Praca ostatnich dni. Takby się zwalił na łóżko w ubraniu. Lecz pomięcie świeżej pościeli zredukuje radość żony z nieoczekiwanego powrotu. Możeby w pokoiku służącej... nikogo przecież niema.

Profesor wyciąga się. Marzy. Zasypia.

Budzi go dźwięk znanego dobrze głosu, gdzieś za drzwiami:

— Kochanie! Nareszcie — sami. Pocałuj mnie, drogi!

— Cudna moja, cieszysz się?

Profesor przeciera uszy.

— Na planety! Toż to głos Apikrusta!

— Szaleję! Skończone więzienie! Djabli go wezmą na tym księżycu — to pewne!

* * *

Profesor drżącemi palcami wyjął notes z kieszeni i szybko zapisił:

"Jeszcze jeden czynnik w niepowodzeniu nielegalnych wypraw — kobieta".

Poczem serce mu pękło.

MIECZYSŁAW JAROSŁAWKI

Człowiek niepokojący



NOWELA

TEN człowiek musiał przecież zwrócić na siebie moją uwagę, pomimo to, że nie wyróżniał się niczem z pośród grona licznych gości, bo tak jak i wszyscy tu zebrani, nosił na sobie dobrze skrojony frak, miał połyskujące wyzywająco lakierki, uczesanie normalne i chusteczkę jedwabną, jak nakazywał przepis, jednem słowem reprezentował wzór żurnalowy, szablon balowy, tylko nic oryginalnego.

A jednak odrazu uderzały w nim osobliwości i to takie, które sprawiać musiały silne wrażenie, choć nie dawały się uchwycić bezpośrednio wzrokiem. To też każdy, kto mijał owego jegomościa, przez chwilę oblatywał go zaniepokojonem spojrzeniem i natychmiast odczepiał się od tej postaci, czując niemiłe łaskotanie naskórka wzdłuż kręgosłupa. Nikt go tu nie witał, nie miał znajomych, a przecież dziwny ten człowiek patrzył na wszystkich mijanych tak, jakby się do nich po przyjacielsku uśmiechał.

Kiedy po raz pierwszy ujrzałem go koło siebie, zdziwiły mnie jego wąsy: pełne, w dwóch kępkach rozłożone kłaczki szatyna, jakie noszą tylko bardzo szanujący się dyplomaci starego autoramentu z Foreign Office, a jakie zdarza się czasem widzieć jeszcze u dawnego typu dorożkarzy lub kelnerów.

Wąsy te do połowy przykrywały mu usta i sprawiały wrażenie przyprawionych, choć były to wąsy naturalne. Co do tego nie miałem wątpliwości. Nie były one też anormalne, jakkolwiek dziwnie pasowały do tego balu, zarówno jak i twarz przeźroczysta, która była miejscem ich chwilowego, zda się, przyczepu.

Zkolei uterzyły mnie oczy tego człowieka, który zdawał się deptać mi po piętach. Sprawiły one na mnie niemiłe wrażenie ślepi umierającej ośmiornicy, choć istotnie musiały to być oczy istoty nieskończenie łagodnej, oczy jakby wypłowiałe na słońcu.

Piąte czy szóste spotkanie z nim przyprawiło mnie o dreszcze zaniepokojenia. Najwidoczniej chciał przemówić, a może już i mówił niedosłyszalnym głosem, bo usta jego, blade i bezkrwiste, drgały uśmiechem. Właśnie uśmiechem ironji, a nawet sarkazmu, co mnie tak oburzyło, że odwróciłem się, wzruszyłem lekceważąco ramionami, aby strzepnąć z siebie świadomość istnienia tej dokuczliwej postaci i zwróciłem się do pięknej Lusi, narzeczonej mojej już od roku, która, podróżując po Europie w charakterze damy do towarzystwa pewnej bogatej snobki, czas ten ustaliła jako próbę wytrwałości mego uczucia. Próba się skończyła. Wczoraj właśnie moja narzeczona wróciła do Warszawy.

— Czy nie uważa pani, że tamta osóbka ma tak niedorzecznie zrośnięte brwi na przełęczy nosowej?

— Ależ... — zwróciła się do mnie panna Lusia niechętnie.

Istotnie, miała się czemu dziwić, boć i jej brwi zrastały się prawie nad noskiem, co było powodem moich zwykłych zachwytów. Najoczywiściej do powiedzenia takiego głupstwa doprowadziła mnie obecność niepokojącego człowieka poza mną. Czułem go, myślałem o nim, i dlatego, miast dać dzisiaj Lusi dowody stałego mego dla niej afektu, czyniłem spostrzeżenia, których nie ona była przedmiotem. W oburzeniu na siebie zacisnąłem pięści i, aby naprawić wrażenie, usiłowałem rzucić komplement:

— Pani wygląda dziś zachwycająco! Ta wspaniała toaleta podnosi pani wdzięki, jak nigdy przedtem.

Panna Lusia niechętnie wzruszyła ramionami.

Rzeczywiście, to co powiedziałem, nie miało najmniejszego sensu, bo przecież narzeczona moja przed rokiem była dla mnie nawet w najskromniejszej sukience wyrazem wszelkiej doskonałości, a wśród najczulszych słów nie znajdowałem nigdy miejsca na podobne komunały. A więc to nie były znów moje słowa! To nie była moja myśl! Nie moja? Zatem — jego! Ogarnęła mnie wściekłość, że z racji tej woskowej fizjonomji palnąłem nowe głupstwo.

— Chodźmy stąd! — ująłem Lusię pod ramię. — Pani musi wypocząć...

Oczy jej jeszcze większe wyraziły zdziwienie.

— Po czem? Wszak nie tańczyliśmy jeszcze. Pan wydaje mi się dziś jakiś roztargniony...

Przygryzłem wargi, oderwałem od Lusi wzrok i uleciałem w przestrzeń, aby znaleźć się jak najdalej od tego miejsca, aby nie obejrzeć się i nie zobaczyć znów szyderczej maski, nie usłyszeć poza sobą jakiegoś niedorzecznego szeptu, który wyprowadzał mnie z równowagi. Wyrzuciłbym w tej chwili wszystkich z sali balowej. A przedewszystkiem tego z irytującemi kłaczkami wąsów pod nosem, którym przecisnął dzielące mnie od niego powietrze. I cóż? Nie zdobyłem się nawet na tyle odwagi, żeby się na niego obejrzeć... wiedziałem, że patrzy na mój czubek głowy, na rdzeń pacierzowy, na moje ruchy, na ruchy Lusi... Nie!

— Służę pani! — ukłoniłem się rozpaczliwie i stanąłem naraz przed moją drogą dziewczyną, z rozstawionemi ramionami, niby wiatrak, którego skrzydła zatrzymał w bezruchu ukryty wewnątrz niego szalony młynarz.



Nogi moje wykręcały się wtył i naprzód...

— Jakto, więc pan tańczy black-bottoma? Ależ jeszcze w tamtym karnawale...

— Tak jest, panno Lusiu, tańczę — wyrzuciłem z siebie nieposkromiony wyraz wściekłości. — Tańczę wszystko, co pani chce. Nauczyłem się, by pani dowieść...

— No, no...

Istotnie, w tej chwili byłbym w stanie zatańczyć nawet taniec świętego Wita, byleby tylko oderwać się od tego magnetyzującego ruchomego słupa, czy cienia, który — czułem to, czułem — sterczy tuż poza mną.

— Czy pan jednak nie poddaje się złudzeniom?

Nie odpowiadałem słowami, bo depcząc już niemiłosiernie lakierkami małe, srebrne pantofelki Lusi, potrafiłem przekonać ją dotkliwie, jak dalece opanowałem ten nowoczesny kunszt paraliżu postępowego, zaczynającego się w nogach i wspinającego się szybko ku głowie. Nogi moje wykręcały się wtył i naprzód, usiłując naśladować ruchy kukieł z szopki, lub stąpania tabetyka.

Ciągnąłem moją ofiarę za sobą, byleby prędzej, byleby dalej od tego miejsca, gdzie był on — ten z przeźroczystą twarzą, płynący, niby kopeć ciężki ponad posadzką, obłażający, grząski, dokuczliwy i przenikający jak mgła swoją hypnotyzującą, zagadkową natarczywością. Niestety! Zaledwie raz zdążyłem w podskokach spętanego konia oblecieć salę, a jużem się przekonał, że mój prześladowca "rozstawił" się w jej czterech rogach i na każdym z nich wita mnie, uciekającego przed nim, tem spojrzeniem, które zdążyło odczepić się od źrenic nadawcy i wisi w powietrzu, niby gzyms, urywający się z czwartego piętra kamienicy.

Nie przesadzam—czułem się jak zając wzięty naraz w kocioł i to przez jednego, uwielokrotnionego człowieka.

— Ależ to istotnie tragiczne... — jęknąłem mimowoli.

— Eh, bo pan żartuje... Siądźmy lepiej... Opowie mi pan, co pan robił przez czas mojej nieobecności...

Obok była kanapa. Usiedliśmy. Ocierałem pot z czoła.

— A zatem słucham pana... Tu nam nikt nie przeszkodzi. Co panu?!

Stał tuż obok nas ten "zebrany" znów w jedność z czterech rogów sali. Oczy jego nie przestawały pytać, kłaczki pod nosem sterczeć drażniąco, nienaturalnie, lakierki świecić irytująco, a frak wisieć jak na pierwszorzędnem manekinie woskowym w oknie wystawowem modnego krawca.

— Nic... nic... Trochę zmęczyłem się... Doprawdy, nie łatwa to rzecz tańczyć black-bottoma. Szczególnie, jeżeli...

Urwałem, bo indywiduum o martwej, głupio uśmiechniętej twarzy pochylało się ku mnie, jakby naraz straciło równowagę.

— Co, jeżeli?...

— Jeżeli, jeżeli... — przewracałem słowo na języku i naraz konieczność rzeczowej odpowiedzi spaliłem nagłym wybuchem ogarniającej mnie paniki:

— Chodźmy stąd! Może się czegoś napijemy?...

Porwałem się na równe, choć nerwowo drżące nogi. Lusia wsunęła mi miękko dłoń pod ramię, jakby mnie prowadziła po ciężkiej chorobie. Czułem, że spogląda na mnie zaniepokojona. Ja zaś patrzyłem za siebie, to jest właściwie przed siebie, ale widziałem ciągle mego prześladowcę poza sobą. Naraz zderzyłem się z jakąś masą napół we fraku, napół w negliżu.

— Przepraszam! Bardzo przepraszam... — powtarzałem bezładnie, kłaniając się dostojnej osobie zapatrzonej w dekolt swej sąsiadki.

— Mógłby pan też... — usłyszałem za sobą urywek zdania. Z przerażeniem spostrzegłem jak mój gnębiciel przepłynął przez tę masę, niby dym przez watę i już uśmiechał się do mnie.

Mknąłem z Lusią na oślep, już nie oglądałem się poza siebie, by stracić tę szarpiącą mi nerwy więź z ...nierozpoznawalnem.

Stanęliśmy przy bufecie. Zdławionym głosem poprosiłem o wodę, już nie pamiętam jaką, i wypiłem duszkiem dwie szklanki.

— I... jabym się również napiła... — zauważyła Lusia głosem zlekka oburzonym.

Głos ten, czy zimny napój otrzeźwiły mnie cokolwiek.

— Ach, przepraszam! Cóż ze mnie za niedołęga...

— Pan dziś cokolwiek niewyraźny...

Rzuciłem okiem po sali jadalnej. Nie było tego... Odetchnąłem. Teraz miałem powiedzieć jej wszystko, powtórzyć, zapewnić...

— Niech mi pani wybaczy, jestem dziwnie podnie-

cony spotkaniem pani. Poza tem jestem zmęczony. W ostatnich czasach mało nawet sypiam, aby tylko...

— O, rozumiem... lampartuje się pan w Warszawie.

— Panno Lusiu, przysięgam! Pracuję, tylko pracuję... Przecież największem mojem dążeniem jest zdobycie niezależnego stanowiska, aby wreszcie...

Indywiduum znów stało tuż obok, jakby wyszło naraz z muzeum figur woskowych. Pił tę samą lemoniadę, czy kruszon lub oranżadę, czy wreszcie djabli wiedzą co, ale to samo, co ja piłem przed chwilą! Poufałym, miłym uśmiechem dawał mi do zrozumienia, że pochwala mój wybór — lemoniady czy narzeczonej... Zdawało mi się, że chce mi coś niedyskretnego szepnąć do ucha. O, Boże! Przez chwilę zdało mi się, że ma zamiar powiedzieć nam obojgu coś... tak... mojej Lusi również! On — mojej drogiej Lusi! Ale co chce powiedzieć? Wszystko! Ten potworny, przenikający fantom wie wszystko...

Fala krwi uderzyła mi do głowy i w tej chwili uczułem, że blednę, kiedym sobie uświadomił nieustępliwe machinacje tajemniczego pana we fraku około mojej osoby. Tak, niewątpliwie to było jego celem. Zna mnie, a może nawet więcej, niż zna, bo posiada w swej mocy, może powiedzieć coś takiego, o czem ona nawet myśleć nie zdolna, a co ja przed nią ukrywam. Robiło mi się coraz słabiej. Intuicyjnie zapewne nasunął mi się dotkliwy sposób samoudręczenia, upokorzenia, uprzedzenia go, zamknięcia mu sarkastycznie uśmiechniętej gęby, gęby do połowy przykrytej kłaczkami wąsów...

— Chciałbym z panią szczerze porozmawiać, może na ustroniu, gdzie niema tego dokuczliwego... tłumu ...tak bezpośrednio obok, wraz z jego potem, subtelnością duszących perfum i kulturalnym ruchem snobów i sybarytów...

Rzuciłem na bufet jakiś banknot i uprowadzałem już moją Lusię, rozbijając po drodze grupy fraków, podważając suknie i potępiając w czambuł wszystkie nogi, od tyczkowatych aż do galaretowato trzęsących, się, sklerotycznych i fortepianowych włącznie. Lusia moja miała tak zwane, dobrze ustawione nogi, jak zresztą wszystko było u niej triumfem najwyższej klasy doskonałości, dla której zdobycia pracowałem ciężko przez rok próbnej rozłąki.

— Tak — oddychałem ciężko — chciałem się przed panią wyspowiadać, zwierzyć z popełnionego grzechu...

Zacząłem, i było mi już znacznie lżej. Zapewne tylko o to chodziło. Kiedy to uczynię, będę mógł spokojnie spotkać się oko w oko z tym prześladowcą i zniszczyć go. Kończyłem moją introdukcję ekspiacyjną ze świadomością dobrego czynu:

— Tak, chcę wyspowiadać się przed panią i otrzymać rozgrzeszenie...



Naprzeciwko nas tkwił nieruchomo muzealny preparat człowieka...

— O, panie Rysiu! A co to? Kobieta?

— Tak — szepnąłem więcej w siebie, niż nazewnątrz. — To... kobieta. Nie chcę, żeby pomiędzy nami pozostała jakaś niedorzeczna tajemnica, którą mógłby ktoś wyzyskać dla plotek. Kobietę ową poznałem przypadkowo. Byłem w towarzystwie kolegów... Pojechaliśmy do nocnej restauracji... Oczywiście miałem już trochę w głowie... Niech mi pani wierzy, to nic... Nie pamiętam już nawet tej twarzy... I gdyby nie jakiś złośliwy kelner... O takiej bladej, papierowej twarzy z kłaczkami wąsów, który potem złośliwie opowiadał... Bezczelna bestja!

— O, panie Ryszardzie! — pogroziła Lusia paluszkiem. — To trzeba będzie odpokutować...

—Pani pozwoli? — skłonił się nagle przed zagadkowo uśmiechniętą Lusią jeden z chronicznych tancerzy.

Zanim zdążyłem się zorjentować, już porwał moją narzeczoną i wpadł z nią w ciżbę cwałujących charlestonistów czy black-bottomistów — djabłów o pajęczych kończynach i anielic w przepaskach na biodrach i czołach. Wirowało to wszystko na sali czy u mnie we łbie, może w powietrzu, niesamowicie pokręcone, zadyszane, zarażone paraliżującym mózg mikrobem taktu, nietaktu, zboczeń wszelkiego rodzaju i perfidnej kurtuazji. Naraz muzyka urwała się, zamilkły ostatnie, zdeptane tony i rozchybotana, płytka fala zatrzymała się w półruchu, niby zaczarowana.

Zrobiło mi się ciemno w oczach. Złapałem się ręką jakiejś poły fraka. Była to oczywiście poła fraka tego... prześladowcy z kłaczkami wąsów. Tak, to przecież musiała być jego poła!

Skoczyłem w bok, niby odrzucony wybuchem i rwałem przez stojący jeszcze na miejscu tłum, rwałem z grozą, podnoszącą mi włosy na głowie. Wpadłem na Freda, któremu przed miesiącem obiecałem pożyczyć tysiąc złotych.

— Ryk! A ty dokąd w takiem tempie?

— Chcę zamówić butelkę szampana — rzuciłem pierwszą myśl, jaka mi się nawinęła.

— Nie wątpię, że pomyślałeś i o mnie?

— Ależ naturalnie, właśnie cię szukałem. Jest twoja kuzynka, Lusia...

— Przyjechała? Kiedy?

Weszliśmy do niewielkiej salki. Przy stolikach siedziało kilku palących i popijających pilznera panów. Siedliśmy. Kelner postawił obok zamrożoną butelkę. Chwyciłem ją niemal oburącz i nalałem wina w kieliszki.

— Wydajesz mi się jakiś podniecony?

— Ależ, co znowu! — zaprotestowałem i wywróciłem swój kieliszek.

— Może cię co niemiłego spotkało? A jakże z Lusią? Ślub prędko?

Byłem zaskoczony. Nie wiedziałem przecież, jak mam wybrnąć z ostatniej opresji. Wszak sam się

przed nią zdradziłem, oczerniłem... Tak — huknąłem w myśli pięścią w stół — bo przecie ta przeźroczysta kreatura muzealna już się ku nam pochylała, żeby w najniewłaściwszej chwili przypomnieć mi się i wszcząć rozmowę o tej... damie, której nie tylko nie znam, ale nawet wątpię, czy wogóle istnieje.

— Ach, jacyż ludzie są niedelikatni! — szarpnąłem się nagle pod wpływem tej biczującej mnie niesłusznie myśli.

Kuzyn Lusi odsunął się manifestacyjnie od stołu. Obraził się.

— No, wiesz... Myślałem, że mam pewne prawa. Pozatem wiesz, jak byłem zawsze dla ciebie życzliwy... A o niedelikatność to już najmniej możesz posądzać mnie. Chociaż miałbym nawet słuszne ku temu powody...

Obiecane tysiąc złotych chlasnęło mnie z taką siłą w łeb, że zachwiałem się na krześle. Przecież ja za wszelką cenę muszę ochraniać moją kasę, bo Lusia będzie potrzebowała wiele, bardzo wiele...

— O?! Przypominasz mi ten tysiąc złotych? Wiedz zatem, że sam pożyczyłem od Henryka Olędzkiego przed kilku miesiącami pięć tysięcy i nie oddałem dotąd!

Z jakąż przyjemnością ukłułem go tym atutem, sztucznie w tej chwili stworzonym!

— Aż tak źle stoją twoje interesy!... Hm, hm... To znamienne...

Kuzyn Lusi ściągnął brwi. Zrozumiałem, że go to mocno zaniepokoiło. Porwał mnie pusty śmiech i zatoczyłem się na poręcz.

— Istotnie, mam teraz duże wydatki.

Mój przyjaciel patrzył na mnie szeroko rozwartemi oczyma.

— Przyznam ci, że nie dziwi mnie już twoje zwlekanie z ożenkiem... Biedna Lusia, gdyby o tem wiedziała... Kto wie jednak, czy ona ma jeszcze jakie złudzenia...

Grzebnął mnie pod siódme żebro. Chciałem go już udusić i naraz spostrzegłem, że nie siedzimy sami przy stoliku. Naprzeciwko nas tkwił nieruchomo w oprawie swego nieskazitelnego fraka muzealny preparat człowieka o woskowej twarzy — ta krucha figurka z kopenhaskiej porcelany! Chińczyk?! — uderzyło mnie coś nagle. Rzeczywiście, oczy jego były skośnie obsadzone, twarz lekko oliwkowa, a kości policzkowe tak wystające, że aż szpetne. Oniemiałem. Dlaczegóż nie zauważyłem tego przedtem? Ruchem powolnym i ostrożnym przysunąłem się do mego przyjaciela, ująłem go za klapę fraka i zaatakowałem go nowym atutem:

— A czy wiesz może i o tem, że nocy ubiegłej podobno pożyczyłem po pijanemu od jakiegoś kelnera o głupiej twarzy sto złotych? Rozumiesz to?

— Ryk! Jesteś pijany? Opamiętaj się! Czyżby naprawdę z tobą było tak źle?

Twarz prześladującego mnie człowieka jakby się skracała, zbliżając się ku nam przez stół. Już, już miał coś powiedzieć. Dreszcz mną wstrząsnął. Cofnąłem się odruchowo, wstałem, dłonią przetarłem czoło.

— Istotnie, jest źle... I to bardzo źle... Wybacz, może pójdziemy stąd!

— Nie —odparł sucho. — Ja tu zostaję. Zapłać za wino.

Słaniającym się krokiem odszedłem od stolika. Teraz — myślałem — tamten opowie mu już wszystko, co zechce. Zrozumiałem, żem stracił przyjaciela, a przez niego łatwo mogę stracić i narzeczoną. Szedłem przez salę bezwolnie. Nagle zatrzymałem się. Mózg zaczął protestować, ujmować rzeczy krytycznie. — Ale cóż on może mu powiedzieć?! Przecież ten obcy mi człowiek nic nie może wiedzieć o mnie. Jeżeli jednak nie wie, pocznie zmyślać, bo stanął na mojej drodze, by mnie zdyskredytować. Ten człowiek rozbije moje narzeczeństwo, ten człowiek odsunie odemnie przyjaciela, ten człowiek pozbawi mnie posady... Jakto? Przecież ja niczem nie zawiniłem wobec Lusi! Przecież mój przyjaciel nie ma powodu, aby przestał mnie szanować, bo ja mu pożyczałem zawsze, a on mnie — nigdy! A mój dyrektor? To głupie! Za mego dyrektora wykonywam wszystką pracę. Tak, to doprawdy głupie! Nie może mnie bowiem doprowadzić do tego stanu jakiś fantom, któremu właściwie tylko frak nadaje pozory człowieka.

W tem zrównoważonem przekonaniu spotkałem nagle mego dyrektora.

— O, nareszcie, pan Ryszard! Widziałem, obserwowałem, podziwiam wyszukany gust. Zaraz widać, że to panna posażna... Co za toaleta! Cóż, zapewne niedługo pan nas zechce opuścić? Nie opłaci się panu u nas ta posadka... Coś własnego?

— Właściwie nie... — byłem zaskoczony i zdumiony tem pytaniem.

— No, no, już ja przeczuwam, że lada dzień będę musiał obejrzeć się za kandydatem na pańskie miejsce...

— Ależ panie dyrektorze! Przeciwnie, to ja mam zamiar prosić pana dyrektora o przedstawienie mnie do awansu i nie wątpię, że wobec zasług, jakie położyłem na powierzonej mi placówce, pan dyrektor mi nie odmówi...

— Hm... hm... nie odmówi... — sucho przerwał dyrektor. — Nie tak to dziś łatwo, szczególnie kiedy się zna pańskie przekonania polityczne...

Poza dyrektorem stanął prześladujący mnie fantom krzywooki. Chwyciła mnie febra zdenerwowania.

— Przecież to są również przekonania pana dyrektora! — huknąłem nieomal.

— Niezupełnie, mój panie, niezupełnie. Człowiek musi iść z czasem, modernizować się. A pan jakoś nie czuje tego... Nie mówię dziś jeszcze o dymisji, ale...

Niepokojący człowiek chichotał poza plecami do-



W tem zrównoważonem przekonaniu spotkałem naraz mego dyrektora...

stojnika. Kiwał się tylko śpiczasty nos tego nędznego intryganta.

— Ach tak? — rzekłem. — Winszuję zatem panu dyrektorowi zmiany przekonań!

Figurka aż się zataczała. Czegoż on chciał? Przecie to nie ja zmieniłem przekonania. A dyrektor rzucił tylko z wysoka:

— Pan rozumie, że na stanowisku dyrektora jestem odpowiedzialny za wszystko i za wszystkich — wymachiwał rękami i omal że nie potrącił przechodzącej obok Lusi.

Pobiegłem za nią. Kierowała się ku wyjściu.

W tej chwili zjawił się mój przyjaciel. Dyrektor uśmiechnął się doń niezwykle życzliwie, a ściskając rękę na pożegnanie, dodał:

— Więc czekam pana jutro. Umówimy się. Myślę, że to da się łatwo zrobić.

Posadzka usuwała mi się z pod nóg. Dyrektor umawiał się ze swoim dawnym przeciwnikiem politycznym. Z niepokojem szukałem wzrokiem Lusi. Schodziła po schodach ku szatni. Zostawiłem dyrektora na sali z jego zmodernizowanemi przekonaniami i pobiegłem za nią. Przyjęła moją obecność dość chłodno.

Za nami krok w krok szedł mój niepokojący prześladowca, przyczyna moich wszystkich dzisiejszych niepowodzeń. — Tak, — skonstatowałem — ten człowiek po to tylko przyszedł, żeby mnie zniszczyć.

W halu automatycznie podawałem Lusi futro. Zauważyłem, jak po obsypaniu się pudru na twarzy jej wystąpiły drobne zmarszczki. Oczy miała mocno podmalowane. Usta wytare z różu, jakieś bezbarwne i zmiętoszone.

Tamten ubierał się obok. Wzrastało we mnie oburzenie. Lusia na mnie nie patrzyła, unikała mnie umyślnie. Jej kuzyn ignorował mnie, matka Lusi oglądała mnie zgóry.

Sięgnąłem do kieszeni po rewolwer, dłoń moja dotknęła stali i wysuwała się powoli. Niepokojący człowiek coraz bardziej zbliżał się ku mnie, był już tak blisko, że chcąc do niego strzelić, musiałbym cofnąć się.

— Pan naturalnie zostaje? Do widzenia panu...

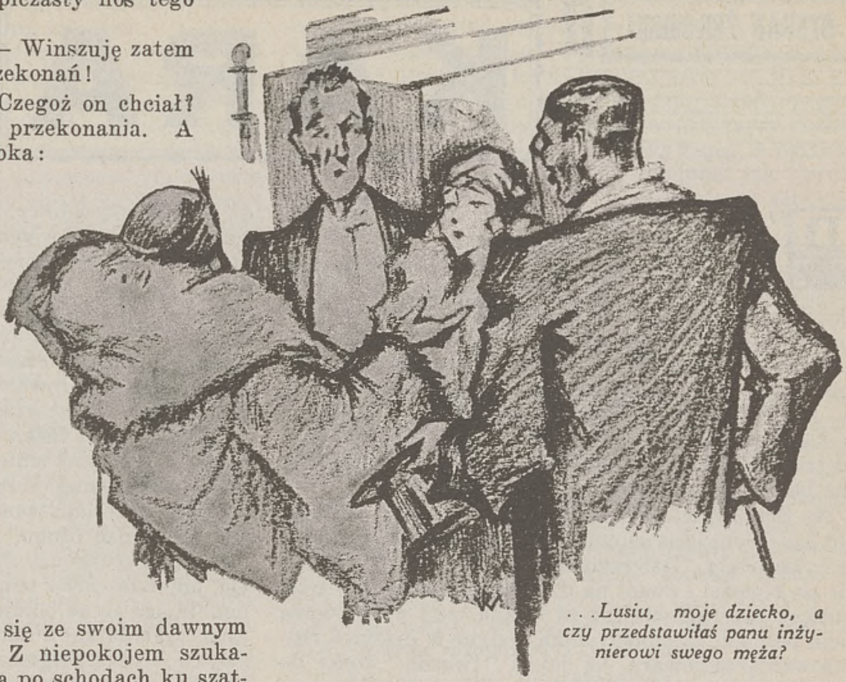
Już miałem wyciągnąć rękę z rewolwerem, gdy woskowa figurka uchyliła cylindra i wyciągnęła do mnie dłoń. Lusia patrzyła przed siebie w roztargnieniu. Ręka moja zaciskała się dokoła rękojeści rewolweru. Matka Lusi, jak kopa siana, stała nieruchomo. Kuzyn przymrużył nieznacznie oko.

— Lusiu, moje dziecko, — naraz godnie zarechotała pani matka — a czy przedstawiłaś panu inżynierowi swego męża?

Lusia zbladła i ściągnęła mocno brwi.

—Ach, tak... rzeczywiście... panowie się jeszcze nie znają!... Mój mąż, poseł z wysp Filipińskich, hrabia Ten Majo... Pan inżynier Grobicki...

— O, bardzo... Zawsze nam ktoś przeszkodził — mamrotał uprzejmie poseł Ten Majo przez złote zęby, wpychając mi natarczywie swoją dłoń.



...Lusiu, moje dziecko, a czy przedstawiłaś panu inżynierowi swego męża?

— Mąż mój jutro obejmuje urzędowanie — wyjaśniała Lusia. — Gdyby pan potrzebował czegoś w sprawach związanych z Filipinami, chętnie...

Reszty nie dosłyszałem. Zdawało mi się, żem widział jeszcze drogocenne futro mojej Lusi, kopiastą figurkę jej zacnej matki i uśmiechniętą twarz tego filipińskiego potwora. Było mi już wszystko jedno. Mogłem już pożyczyć Fredowi tysiąc złotych...

Zdaje mi się, że wypadła mi wtedy rękawiczka z ręki. Nie podniosłem jej...

Wszystko jedno. Lusię, przyjaciela, dyrektora i wymiętą balową rękawiczkę djabli wzięli jednego wieczora. Pozostał tylko w pamięci niepokojący człowiek z Filipin, Ten Majo, który mnie uratował przed katastrofą małżeństwa z Lusią. Żałowałem, że nie mogłem zawinąć go w czarną jedwabną szmatkę i schować do kieszeni kamizelki jako... fetysza.

Kto Pośród Mroków...

Ten, który pośród mroków światło krzesze,
Z pochodnią wiedzy wkracza w życia tajnie,
Jest sługą piekieł zwan przez ciemne rzesze,
I nienawiścią jest darzon zwyczajnie.

Ten, kto rozprasza zabobonów chmury
Zdobi swe czoło w ciernie, nie w laury,
Temu, kto w imię miłości dla ludu
Prostuje życia zawikłane drogi,

Uznanie, wdzięczność, będą tylko złudą,
Gdyż świat dlań zwykle niechętny i wrogi,
Bo kto wyświetla przyszłe życia losy,
Temu bezmyślny tłum gotuje stosy...

JÓZEF KISIEL

STEFAN ŻEROMSKI

KARA

NOWELA

Do rozpoczęcia starań o nowy lokal zawsze inicjatywę dawał Dzierzyniecki. Nie było wypadku, żeby w jakimkolwiek apartamencie siedział pół roku. Już po upływie miesiąca od chwili wprowadzenia się do jakiegoś "kawalerskiego mieszkania ze wspólnym korytarzem, samowarem i usługą", dostrzegał pierwszą wadę kardynalną, wkrótce potem rzucała mu się w oczy druga, trzecia, — zaczynał systematycznie roztrząsać i przekładać je Łaskawiczowi, trapić go tak umiejętnie i dopóty, aż ten stawiał odrazu kwestję "kantem", i wlókł się dla badania lokalów od bramy do bramy.

Na Smolnej rzeczy poszły zupełnie innym trybem. Od daty wynajęcia salonu u pani Mundartowej minęły trzy kwartały. Dzierzyniecki bardzo często rozpalał się do białości i pienił na dzwonek elektryczny, trzeszczący przeraźliwie tuż za ścianą, nad wezgłowiem jego pościeli, na monstrualne, jedyne w dziejach rozlutowanie samowara, na jakąś "twardą" wodę do mycia oblicza, na złe uprzątanie pokoju, na brzydotę "koczkodanika" z grzywką, nastawiającego samowar — i tak dalej, a Łaskawicz mimo wszystko ani myślał o "wekslowaniu" penatów.

Z knajpy, z wieczorku karcianego u kolegów żonatych, ze spaceru, nawet z teatru, wymykał się przed dziesiątą i szybkim lotem zdążał na Smolną. Kilkakrotnie Dzierzyniecki krok w krok szedł za nim, usiłując zbadać przyczynę — i nadaremnie. Łaskawicz biegł szybko przez podwórze, wpadał na schody i siedział w mieszkaniu bez światła. Dzierzynieckiego ciekawość poprostu zjadała. Pewnej niedzieli wyszedł od Czerskiego prawie równocześnie z Łaskawiczem, tuż za nim wstąpił do sieni i, gdy tylko drzwi mieszkania się zamknęły, otworzył kluczem zatrzask i szybko wkroczył do pokoju. Zdawało mu się, że Łaskawicz zleciał na ziemię z wysokości...

— Czegoż ty, Łasek, siedzisz w ciemności? — spytał, zapalając lampę i oglądając apartament szybkiemi spojrzeniami.

— Siedź i ty po ciemku, jeżeli ci to sprawi przyjemność...

— Może zajmujesz się wywoływaniem Johna Kinga i lewitacjami... Może bym ci przeszkadzał?

Łaskawicz zaczął od niechcenia świstać przez zęby i wygwizdał słowo dosyć niesmaczne, osobliwie, gdyby je zastosować do współlokatora. Ten jednakże nie dał za wygranę i odtąd systematycznie przebywał wieczorami w domu, szczególnie zaś pilne zajęcia miał tak około godziny dziesiątej. Łaskawicz również nie wydalał się nigdzie. Przechadzał się zwykle po saloniku z miną tygrysa, który kilka dni nie jadł, i od niechcenia pogwizdywał.

Mieszkanie pani Mundartowej, od której ci dwaj kawalerowie (Łaskawicz, z zarządu drogi Wiedeńskiej i Dzierzyniecki, urzędnik biura ubezpieczeń na życie) odnajmowali pokój — składało się z kilku izb mniejszych. Drzwi z sali wynajętej, prowadzące do mieszkania wdowy, były z jej strony zabarykadowane szafą, nie dosięgającą wszakże ich szczytu. W pokoju kawalerów mieścił się pod temi drzwiami stolik do pisania. W bliskości stolika, jako najznakomitsza ozdoba lokalu, sterczał na drewnianym słupie gipsowy biust Archimedesa, Alcybiadesa czy kogoś wogóle z tamtych czasów. Z drugiej strony stolika, pod piecem, figurowało łóżko. Między oknami tkwiła kanapka, wyszczerzająca spiralne sprężyny. Dalej była szafa i łóżko Dzierzynieckiego, równie dobrze znanego pod mniej długą nazwą Dzierzy, albo całkiem odmienną — Zgryzoty.

Usilne przesiadywanie obydwu lokatorów w domu trwało bardzo długo. Nareszcie pewnego wieczora tajemnica wyjaśniła się raptownie, kiedy panna Zofja, młodsza córka pani Mundartowej, nauczycielka, uganiająca się za lekcjami po całych dniach i wieczorach, zjawiła się o dziewiątej, wypiła herbatę i jak zwykle, nucąc półgłosem, jęła zabierać się do snu w pokoju, do którego wejście było zasłonięte szafą.

Łaskawicz wejrzał na Dzierzynieckiego wzrokiem tygrysa głodnego, zranionego i rozbestwionego, przez chwilę się wahał, a następnie, powziąwszy widocznie śmiałą decyzję, lekko wskoczył na krzesełko, a stamtąd na stolik przy drzwiach. Dzierza, siedzący na fotelu obok swego łóżka, przymrużył lewe oko i z lekkiem osłupieniem spoglądał na uczynki współlokatora. Łaskawicz przezornie a mocno nacisnął obydwie połowy drzwi, otwierających się do sypialni panny Zofji, uformował wgórze szparę dosyć szeroką i przystosował do niej swe oko...

— Czy śmiertelnikowi wolno będzie również?... — szepnął Dzierzyniecki z uczuciem.

— Jeżeli piśniesz jedno słowo przed kimkolwiek, odważysz się na dwuznacznik, no — jeżeli wogóle parę z ust o tem puścisz, to po pierwsze — nie mieszkam z tobą, — a powtóre — zatrzymuję ten lokal dla siebie.

— Ba — rzekł tetryk — nie pisnę, ale ja będę właził na stół co drugi dzień...

— Gdybym zauważył, że na serjo żywisz ten nędzny zamiar, to również nie mieszkam z tobą!

— Nędzny zamiar... — szydził Dzierzyniecki, wyciągające swe długie nogi aż na środek stancji. Po chwili przekręcił się w fotelu na bok i z miną wzgardliwą mówił:

— Nędzny zamiar! A patrz sobie, patrz... Nie jestem wcale fiksatem, ani czemś w tym guście!

Od tej chwili Łaskawicz praktykował co wieczór podglądanie z całą bezczelnością. Zczasem wygotował całkowitą metodę i zupełny systemat.

Drzwi z korytarza zamykał na klucz, kładł miękkie pantofle, spuszczał firanki i tak dalej. Obadwaj lokatorzy rzadko kiedy chodzili z wizytą do pani Mundartowej. Była to wdowa niezamożna, utrzymująca się z jakiejś emerytury i z pracy córek. Starsza była retuszerką, i jakkolwiek miała robotę w jednym

z najpierwszych zakładów fotograficznych, to przecież zarabiała daleko mniej, niż młodsza.

Włosy panna Zofja miała ciemne, a tak dziwnie lśniące, że Łaskawicz był w stanie myśleć o tym ich połysku w ciągu całych dni, a nawet w ciągu całych nocy. I on wszakże stronił od tych panien, lękając się, żeby czasem nie przyszło "wdepnąć w sakrament" z osobą, której całym posagiem były źrenice jak głębia niebios, — i modny kapelusik, czyniący z niej śliczne widziadło. Tak stały rzeczy, kiedy zaraz na początku karnawału zaprojektowano u pani Mundartowej wieczorek tańcujący.

Rozumie się, że lokatorzy zostali przed wszystkimi zaproszeni. Systematyczny Dzierzyniecki już od godziny piątej z południa majstrował około swej garderoby, wkręcał spinki w gorsy koszul twarde jak płyty marmurowe, mył benzyną rękawiczki, czyścił frak i próbował zapomocą piruetów tęgości swych lędźwi. Łaskawicz zjawił się dopiero przed dziewiątą i z hałasem rzucił się do bielizny i kostjumu balowego. Co chwila spostrzegał jakieś braki, wypadał na miasto, pędził po schodach z drugiego piętra i wracał niebawem, lekkomyślnie przeskakując całe dziesiątki stopni. O jedenastej, kiedy Dzierzyniecki był już prawie gotów, i siedząc na łóżku marudził nad swym frakiem, Łaskawicz mył się dopiero.

Gości było już dosyć. W pokoiku za drzwiami, milczącym zwykle, słychać było rozkoszny gwar koleżanek i znajomych panny Zofji, w przedpokoju dzwonek odzywał się co chwila; Łaskawicz wymył się nareszcie, włożył bieliznę, cienkie balowe obuwie, i z włosami rozstrzepanemi, niby wiązka grochowin, wlazł według swego zwyczaju na stolik i mocno przycisnął drzwi, żeby zobaczyć, jakie białogłowy już są i jak też wygląda panna Zofja...

Nagle stała się rzecz straszliwa... Drzwi, od których, dla rozszerzenia na ten wieczór pokoju, odsunięto szafę, rozwarły się z trzaskiem. Dzierzyniecki ujrzał nagle w przestworze białe nogi Łaskawicza. Nieszczęśliwy podglądacz runął z wysokości stolika do apartamentu, pełnego dziewic; sparł się wyciągniętemi rękami na posadzce, odbił, pędem doleciał aż do przeciwległej ściany i z całej mocy, jak taranem uderzył głową o kanapę...

Panny, które tam właśnie siedziały, z krzykiem rozpierzchły się na wsze strony, a kilka z nich bezradnie stanęło w otwartych drzwiach, prowadzących do kawalerskiego mieszkania. Łaskawicz zerwał się na równe nogi w przeraźliwem zgłupieniu i, oszołomiony upadkiem oraz białością swego kostjumu, rzucił się na oślep z miejsca. Zamiast wszakże skierować się do mieszkania, opuszczonego przed chwilą w tak gwałtowny sposób — wpadł we drzwi, prowadzące do salki balowej. Jak bystronogi jeleń przeleciał między osłupiałemi matkami i ciotkami, roztrącił grono mężczyzn, w misternych podskokach biegł przez pokój stołowy i, straciwszy najzupełniej wyobrażenie gdzie jest i co się z nim dzieje, rozwarł naoścież drzwi do kuchni. Tam pani Mundartowa zajęta była przygotowaniami do mięsnej wieczerzy. Miała właśnie umieścić w rondlu świeży kawał mięsa, kiedy Marysia z grzywką, obejrzawszy się na drzwi. wrzasnęła na całe gardło:

— Jezus, Marja, Józef! Pan Łaskawicz przez spodniów!

Pani Mundartowa obróciła się raptem i mięso wypadło jej z ręki na ziemię. Przed nią stał Łaskawicz z wytrzeszczonemi oczyma, w bieliźnie i z głową okropnie rozczochraną. Wylęknione kobiety schroniły się za komin i z krzykiem chwyciły, co było pod ręką do obrony, więc jedna patelnię, druga pogrzebacz. Tymczasem Łaskawicz piorunującym ruchem ściągnął z łóżka Marysi perkalową kapę, w ogromne pąsowe kwiaty, zarzucił ją na ramiona, jak arabski burnus, skoczył we drzwi i znalazł się na schodach kuchennych.

Wielkiemi susami zbiegł na dół, przebył podwórze i wdarł się na schody główne, prowadzące do przedpokoju i mieszkania. Stanąwszy u drzwi na drugiem piętrze, z całej siły przycisnął dzwonek i raptem oderwał palce, usiłując dać takim sposobem znak Dzierzynieckiemu.

Tymczasem Zgryzota siedział nieubrany na łóżku, z rękoma wspartemi o poręcz i nie bardzo roztropnie patrzał na drzwi, za któremi zginął mu Łaskawicz. Panna Zofja, usłyszawszy dzwonek i sądząc, że to przybywa gość nowy, wybiegła do przedpokoju i prędko drzwi otwarła. Z krzykiem odskoczyła w tył, zobaczywszy przed sobą ogromną figurę w kapie różnobarwnej. Łaskawicz także uciekać zaczął na wyższe piętro. Dopiero po chwili, zauważywszy, że drzwi są otwarte, wsunął głowę do przedpokoju i jął wołać głosem rozpaczliwie stłumionym:

— Dzierzyniecki! Dzierzyniecki!

Tetryk ocknął się z zadumy, ubrał szybko i wybiegł na schody.

— Dawajże mi ubranie, mumio, gapo, Zgryzoto! — wołał na niego Łaskawicz.

— Ubranie? No, to chodź do pokoju...

— Nie, nie chcę, za nic w świecie tam nie wejdę!

— Ty już zupełnie zwarjowałeś?

— Tyś zwarjował! Czy nie widzisz, że mię "pech" goni? Dawaj ubranie codzienne: surdut, palto, kalosze, okulary...

Dzierzyniecki przyniósł żądane odzienie i Łaskawicz, wstąpiwszy na schody trzeciego piętra, w kąciku mrocznym szybko się ubrał. Włożył palto, nastawił barankowy kołnierz, wcisnął czapkę na oczy i uszy, założył okulary, ubrał się w kalosze i ruszył w świat kolosalnemi krokami.

Dzierza wrócił do mieszkania, ochłonął ze strachu i począł cieszyć się w duchu z niedoli bliźniego. Wkrótce ozwała się muzyka i ktoś z korytarza zastukał do pokoju.

— Panowie gotowi? — spytała panna Zofja, gdy Zgryzota we drzwiach stanął.

— Ja tylko jestem gotów, gdyż kolega mój właśnie... zasłabł... Ból głowy...

— Ach, dziecińslwo!... Panie Łaskawicz... — zawołała głośniej — nasz pierwszy kontredans...

Dzierzyniecki upewnił ją, że tamtego niema i, wstydząc się mocno, jakby to jego samego spotkała przygoda, wszedł do sali balowej. Wkrótce rozpoczęto tańce i dla zatarcia złego początku — hulano, co się zowie. Wesołość nastrojona w pierwszej chwili tak górnie — poprostu kipiała. Mężczyzn było niewielu, to też Dzierzyniecki stańczył się na zabój.

Kiedy wrócił do siebie około godziny piątej rano, zdawało mu się, że ma piszczele do kolan upiłowane. Ledwie zdołał rozebrać się i dowlec ziemską powłokę do łóżka... Przez chwilę marzył, że tańczy, widział

piękne twarze, oczy, ramiona, szepnął do kogoś czuły wyraz i usnął, jak pień wierzbowy.

Wśród twardego snu poczęła go naraz dręczyć jakaś zmora. Nie był w stanie otworzyć oczu, unieść głowy, a czuł, że dzieje się dokoła niego jakaś scena awanturnicza. Przez sen, na pół przytomny, z zamkniętemi oczyma, wołał:

— Łaskawicz... Henryku... Łaskawicz...

Nikt mu nie odpowiadał i to go nieco bardziej rozbudziło. Usiadł na łóżku i dopiero po chwili zorjentował się, że to słychać dzwonek elektryczny.

— Henryku — jęknął Dzierza — idźno tam otwórz, bo mnie się... Ja nie mogę... Henryku!...

Znowu nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Wtedy dopiero zrozumiał, że to właśnie Łaskawicz tak dzwoni. Z furją wysunął nogi z pod kołdry, zanurzył je w pantofle i, szukając szlafroka, jęczał:

— Cóż to za nędznik, żeby przecie tak bez ustanku dzwonić!

Potykając się, tłukąc o gzemsy i kanty, o klamki i odrzwia, wyszedł na korytarz, odciągnął zasuwkę i cofnął się do przedpokoju. Zdziwiło go, że Łaskawicz nie wchodzi, a dzwonek wali swoje bez przerwy. Jeszcze raz wyszedł do sionki, uchylił drzwi na schody i zawołał:

— Łaskawicz, to ty?

— Ja — odparł głos bardzo ponury.

— Właźże już nareszcie! Czegóż u licha dzwonisz?

— To nie ja dzwonię...

— Nie ty? A któż to dzwoni?

— Mojra.

— Co za Mojra?

— No, Mojra.

— Cóż ty masz w głowie, żeby się po nocy z żydówkami włóczyć?

Łaskawicz milczał i nie wchodził. Dzierzyniecki wrócił się raz jeszcze do mieszkania, znalazł lampkę, zapałki, — i ze światłem wyszedł na schody, mocno postanowiwszy wyrzucić ową Mojrę. Za drzwiami stał Łaskawicz, oparty plecami o mur, z rękami wiszącemi bezwładnie i czapką wsuniętą na oczy. Dzwonek wciąż trzeszczał jednostajnym głosem, który wśród nocnej ciszy rozlegał się, jak gwałtowne wzywanie pomocy.

— Czegóż ty dzwonisz? — rzekł bolesnym głosem Dzierzyniecki. — Raz mi powiedz, niech się przynajmniej dowiem...

— Jesteś tak bajecznie głupi, że nawet tego nie możesz zrozumieć. Wepchnąłem guzik dzwonka i teraz to zwierzę będzie oczywiście ryczało przez całą noc!

— Pocóżeś go tak mocno przyciskał?

— Rzeczywiście, po co ja go tak mocno przyciskałem?

— No, a czemuż nie wydobywasz tego guzika?

— Dlatego nie wydobywam tego guzika, że jużem sobie napróżno ułamał trzy paznokcie.

— Cóż tu robić? Może jakim nożem...

— Pewno, że jakim nożem... — mruknął Łaskawicz. — A wątrobo siarczana! — wrzasnął nagle, chwytając się za głowę, — cóż ja dnia dzisiejszego wyprawiam w tym budynku!

Tymczasem na głos dzwonka, bijącego nieustannie, zaczęły z mieszkania pani Mundartowej wysuwać się i cofać postacie w bieli, aż wreszcie wyszła sama wdowa-matka, dopytując się o przyczynę tak wielkiego hałasu. Zainteresowano się także tym dźwiękiem na innych piętrach. W całym domu słychać było trzask drzwi otwieranych, szybkie stąpanie w pantoflach, gwar zapytań i odpowiedzi. Lokator z trzeciego piętra, jegomość wysoki i rozczochrany, zatrzymał się na schodach, przechylił za balustradę i spytał głosem uprzejmym:

— Przepraszam... Uprzejmie przepraszam!... Czy nasza cała familja, śpiąc w swem własnem mieszkaniu, nie przeszkadza państwu w całonocnych tańcach, półtora-godzinnem dzwonieniu, et cetera, et cetera...

Łaskawicz podniósł głowę, utkwił oczy w lokatorze i zaczął wołać chrapliwym głosem:

— Pańska familja... et cetera...

Dzierzyniecki chwycił go za rękę, mówiąc:

— Słuchajno, może zrobisz jeszcze jedną awanturę. Pozwól sobie! Będzie to przynajmniej okrągła całość!

Łaskawicz spojrzał na niego, kiwnął głową i wszedł do sieni, a potem do mieszkania, ciężko waląc o ziemię kaloszami.

Marysia napróżno usiłowała wydobyć guzik z metalowej obrączki widelcem, pani Mundartowa szpilką podwójną, nożem kuchennym i tak dalej. Wreszcie Dzierzyniecki rzucił się do mieszkania i przyniósł scyzoryk z długiem i cienkiem ostrzem. Końcem tego noża zręcznie podważył krążek i wydobył go na zewnątrz. Dzwonienie raptem ustało i wszyscy rozeszli się z wielkim pośpiechem.

Dzierzyniecki wrócił do mieszkania, cisnął nóż na stół, zrzucił szlafrok i padł na łóżko. Łaskawicz stał w swej czapce i futrze przy stoliku, trzymając się jego krawędzi obiema rękami. Zasypiając już, Dzierzyniecki słyszał, że tamten coś mówi. Z przymusem nadstawił ucha.

— Słuchaj, Dzierza — mówił Łaskawicz — zgasiłeś świecę i licho teraz wie, gdzie jesteś. Ty mnie palnij scyzorykiem tu, w szyję... Przetniesz tętnicę i raz się to skończy. Rozumiesz przecie, że po tem, co zaszło... Wal, nic się nie bój, tylko mocno!

Zgryzota miał zamiar wstać i odebrać mu scyzoryk, ale nie był w możności poruszenia nóg stańcowanych. Tymczasem Łaskawicz wciąż gadał:

— Klęczę przed tobą, schyliłem czerep, — więc będzie ci bardzo łatwo. W samą szyję! Wytnij z całej siły i skończona parada! Powiesz, że to ja sam się urznąłem... Jej nic nie mów... Wyrzućcie mnie na śmietnik... Nie zasłużyłem na nic lepszego. Latałem bez ubrania, dzwoniłem całą noc, spiłem się, jak ostatnie zwierzę... Niech Marysia przysypie mnie popiołem, śmieciami, sadzą...

Dzierzyniecki przeląkł się bardzo.

Nazajutrz zbudził się około dwunastej. Łaskawicz, chrapiąc straszliwie, leżał wyciągnięty na ziemi o kilka cali od swego łóżka, w futrzanym paltocie, w czapce, okularach i kaloszach. W prawej ręce trzymał ostrze noża, trzonkiem zwróconego do gipsowej figury Alcybiadesa. Widocznie ją błagał o wykonanie cięcia w szyję.

Dzierzyniecki zaczął śpiącego trząść i szarpać... Łaskawicz dźwignął głowę, i, patrząc na okolicę zbielałem okiem, mruknął:

— Dzierza, mnie się coś zdaje, że nie spałem tej nocy na łóżku. To twoja sprawka stary nudziarzu...

CHARAKTER CZŁOWIEKA

MOŻNA ODKRYĆ CHARAKTER CZŁOWIEKA WEDŁUG JEGO WYGLĄDU, SPOSOBU CHODZENIA I PISANIA.

Czy można określić na podstawie cech zewnętrznych charakter człowieka? Niekiedy wyraz twarzy lub gest pozwala nam domyśleć się, w jakim nastroju znajduje się w danej chwili człowiek, ale jakże często mylimy się, jak fałszywie oceniamy ludzi i jak często ludzie nas oszukują, przybierając maskę i pozę, nie odpowiadającą absolutnie ich wewnętrznemu stanowi.

A jednak zdolność określenia charakteru i nastroju człowieka może mieć wielkie znaczenie. I dlatego oddawna czynione są przez ludzi nauki próby znalezienia klucza, pozwalającego na odczytanie tajemniczego szyfru duszy ludzkiej. Początkowo sądzono, że można uczynić to na podstawie badania fizjognomii. Powstała cała gałąź nauki: fizjognomika. Już w starożytności wskazywano na znaczenie, jakie ma podobieństwo rysów twarzy człowieka z rysami zwierząt. Szeroki nos znamionować miał lenistwo, szeroki nos z dużemi nozdrzami: głupotę, ostry, psi nos-odwagę, gęste owłosienie na tułowiu, jak u ptaków-gadatliwość, miękkie włosy na głowie, jak u zajęcy, czy owiec-brak odwagi, szorstkie włosy, jak u lwów-pewność siebie.

Ostatnio, słynny uczony profesor Ledaux, opracował nowe teorie fizjognomiki. Dzieli on wszystkie twarze na pięć geometrycznych typów: kwadratowy, okrągły, owalny, trójkątny i trapezowy. Kwadratowy oznacza grubiaństwo, arogancję, energię, praktyczność; okrągły — impulsywność; odwagę; owalny.

Największa ilość przestępców ma zdaniem prof. Ledaux, kwadratowe i owalne twarze, przyczem recydywiści zbrodniarze zawodowi, przeważnie kwadratowe.

Charakter człowieka określić można na podstawie gestów. Gesty miękkie, powolne, oznaczają charakter słaby, gesty szerokie—znamionują charakter sangwiniczny, gesty krótkie—charakter zły, żółciowy.

Proste gesty — mówią o zdecydowaniu, energii, egzaltacji, gesty krzywe—o skrytości, wahaniu, gesty okrągłe—o ekspanzywności.

Ruchy rąk z dołu do góry oznaczają bogate życie umysłowe, ruchy z góry na dół—praktyczność, gesty z lewa na prawo—negatywny, niesympatyczny charakter, są to gesty gniewu, nienawiści, groźby, gesty z prawa na lewo, znamionują człowieka sympatycznego, dobrego.

Prof. Ledaux zwraca uwagę na chód człowieka. Niezdecydowany, kołyszący krok oznacza słaby charakter. Krok podskakujący mówi o lekkomyślności i powierzchowności, krok posuwisty mówi o skrytym i ponurym charakterze. Czyż nie jest najwymowniejszym dowodem prawdziwości tych obserwacji, że wielu lekarzy na podstawie kroków określają choroby paraliżu, sklerozy i t. d.

Oczywiście, nie można takich rzeczy uogólniać, ani też stwarzać stałej teorii. Duchowe życie człowieka jest wysoce skomplikowane. Najpoważniejszy człowiek może mieć chwile, gdy jest lekkomyślny. I dlatego najpewniejszym sposobem określenia charakteru człowieka, nad którym obecnie pracuje nauka: jest grafologia: poznawanie charakteru człowieka na podstawie pisma człowieka. Pismo jest bowiem fotografią gestu. Człowiek może starać się pisać każdorazowo inaczej, może zmieniać charakter pisma, a mimo to wszystko będzie miało zawsze te same i jednakowe cechy, widoczne oczywiście dla ludzi, zajmujących się tem zagadnieniem, nawet dla biegłych kaligrafów. Te charakterystyczne cechy występują nawet w tym wypadku, gdy człowiek pisze lewą ręką. Ogólny charakter pisma jest zwierciadlanem odbiciem ogólnego charakteru ruchów. Przypatrzmy się gestom człowieka zdrowego, silnego—jego ruchy są rytmiczne, równe, odmierzone. Taki sam jest jego charakter pisma—równy odmierzony. Z takiego charakteru pisma odczyta się siłę charakteru, nieugiętą wolę, pewność siebie.

Człowiek ambitny lub w radosnym nastroju pisze w ten sposób, że linijka liter podnosi się w górę, odwrotnie—człowiek smutny, człowiek, który nie ma zbyt wielkiego mniemania o sobie, pisze w ten, sposób, że linijka opuszcza się coraz niżej. Druga charakterystyczna cecha, jest wielkość liter. Duże litery znamionują człowieka dużej wiedzy, pewności siebie, małe litery—człowieka przeciętnego, pedanta, bardzo małe literki—mówią o skąpstwie.

W niektórych krajach w wieku X do XVI istniał zakaz używania kołowrotka. Zakaz ten, jak i wiele podobnych, miał na celu uniemożliwienie postępu w produkcji. Jedynie bowiem stare sposoby wytwarzania uważano za dobre, nowe wynalazki często przypisywano diabłu.

ROMAN WOLSKI

UMEBLOWANY POKÓJ NO. 13

NOWELA

PAŃSTWO Władysławowstwo Pawełscy i Antoniostwo Gawełscy żyli w ścisłych stosunkach przyjacielskich. Obydwa te stadła małżeńskie, zaliczające się do średniej inteligencji urzędniczej, zamieszkiwały jedno z większych miast byłego zaboru austrjackiego, który chwalił się porządkami administracyjnemi i przepisami obyczajowemi, gwoli których mieszkańcy musieli się zaliczać do rzędu ludzi nieskazitelnie moralnych. Pomysłowi oczywiście mogli zawsze sobie radzić, skutecznie obchodząc niezłomne prawa.

W takich warunkach pani Klocia Pawełska, przystojna, młoda, niebieskooka blondynka, cieszyła się miłością swego średnich lat męża i uznaniem całego ogółu, jako uczciwa i wierna małżonka. Nie pozostawała w tyle i pani Wanda Gawełska, młoda, o miłej powierzchowności szatynka, która również była wprost uwielbiana przez swego małżonka, a u całego sąsiedztwa zażywała sławy wzorowej niewiasty.

Życie obojga małżeństw toczyło się na oko dosyć spokojnie, chociaż zdarzały się i u nich czasem drobne zaburzenia natury finansowej, gdyż mężowie, jak Pawełski jak Gawełski, jako młodzi jeszcze urzędnicy, otrzymywali pensje mizerne, damskie zaś modne stroje, bez których obie połowice nie czuły się szczęśliwe, no, i pozadomowe wydatki "kieszonkowe" obydwóch panów, były przyczyną częstych kwasów i narzekań.

Pewnego razu państwo Gawełscy wybrali się do Pawełskich na herbatę. Dzień ten jednak był niefortunny, ponieważ u Pawełskich właśnie zachmurzył się firmament. Przyczyniła się do tego pani Klocia, żądając od małżonka 50 złotych na nowy kapelusz. Małżonek, biorąc pod uwagę, że już w bieżącym sezonie kupiła sobie aż trzy, i że nie posiada takich funduszów, kategorycznie odmówił jej, za co obrażona żonusia nazwała go gburem, łajdakiem, świnią, zbójem, i wielu jeszcze innemi, jaskrawszemi epitetami.

A kiedy pan Władysław tłumaczył jej, że otrzymywana przez niego pensja nie wystarcza na żadne zbytkowne wydatki, Klocia w porywie gniewu krzyknęła:

— To pocoś się ośle ze mną żenił, kiedy nie możesz dać mi szczęścia!

Na ten argument pan Władysław nie mógł nic więcej zrobić, jak pójść do cukierni na "pół czarnej".

Państwo Gawełscy, którzy wybrali się do Pawełskich w odwiedziny, również mieli ze sobą analogiczną sprzeczkę, różnica tylko była w tem, że przedmiotem sprzeczki było żądanie pani Wandy gotówki na ozdobne pantofelki, które miały jeszcze lepiej uwydatnić zgrabne nóżki miłej szatynki. Lecz niestety nieczuły na te potrzeby pan Antoni, wiedząc, że jego żona ma poddostatkiem wszelkiego obuwia, i ze względu na ciężkie swe położenie materjalne, również odmówił jej kilkudziesięciu złotych.

Wywołane zaburzenia w tych dwóch stadłach powinny były złagodzić się przy wizycie państwa Antoniostwa u państwa Władysławów.

Kiedy obie panie zeszły się i zaczęły sobie opowiadać nowości z bieżącego czasu, rozchmurzyły się ich buzie i zapanowała harmonja. Panowie też, ćmiąc papierosy, opowiadali sobie o stosunkach biurowych, to znów zaczepiali kwestje polityczne i tak mile im czas schodził.

Pan Władysław, by umilić gościom pobyt w swoim domu, nastawił swój mały gramofonik z głośnikiem, a gdy rozległy się dźwięczne melodje jakiejś lekkiej, skocznej uwertury, pani Wanda pośpieszyła do drugiego pokoju wsłuchiwać się w piękne tony, pan Antoni zaś pozostał z panią Klocią, przeglądając pisma ilustrowane.

Gdy pan Władysław ujrzał wchodzącą panią Wandę, powstał z zajmowanego krzesełka, zapraszając ją by usiadła, sam zaś, stojąc przy niej regulował aparat.

— Ach, jakież to piękne! — wykrzyknęła pani Wanda.

— Czy podoba się pani? — zapytał półgłosem.

— O tak, bardzo.

— Jak widzę, pani jest bardzo poetyczna...

— Lubię bardzo muzykę...

— Moja żona zaś nie przepada za nią...

— Może lubi co innego... Wiersze, malarstwo, teatr lub jakieś inne piękne rzeczy?

— O tak, lubi piękne stroje — odparł z uśmiechem pan Władysław.

— To znaczy, że jest bardzo nastrojowa — odrzekła z uśmiechem.

— Tak, zwłaszcza jak ma na sobie wszystko strojne i modne.

— Pan jest złośliwy. Widać, że pan nie kocha swojej żony, co? — zapytała pani Wanda, przenikliwie patrząc na pana Władysława.

— Nie wiem jak pani odpowiedzieć. I niby tak, i niby nie.

— Musi więc być jakaś przyczyna takiego niezdecydowania?

— Ot wprost nie nadajemy się do siebie. Czyż pani nie widzi, że stanowimy dwa jednakowe typy, gdyż oboje jesteśmy jaśni blondyni, co nie powinno mieć miejsca, gdyż małżeństwa dwóch odrębnych typów, naprzykład, bruneta z blondynką, mają do siebie pociąg fizjologiczny, a co zatem idzie, stosunek ich wytwarza gorącą miłość.

— Według pańskiej tezy, to i ja z mężem nie powinniśmy się kochać, gdyż oboje należymy do ciemnowłosych.

— Tak jest według dowodzeń psychologów, lecz jak w istocie jest u państwa, tego nie wiem — podchwycił pan Władysław, ujmując zgrabną rączkę pani Wandy i ściskając ją serdecznie.

— Oczywiście, czasem mamy nieporozumienia, lecz ja się nad tem nie zastanawiałam wcale.

— Ot, z nas byłaby bardzo dobra i kochająca się para — odrzekł szeptem, przyciskając do ust małą rączkę.

— Co pan robi! Jeszcze zobaczy pańska żona i z tego może być bardzo nieprzyjemna scena — zauważyła pani Wanda, wskazując palcem na drugi pokój.

— A czy nie moglibyśmy się gdzieś spotkać i spokojnie porozmawiać? — zapytał pan Władysław.

— Hm... Czyż to wypada?

— Cóż w tem złego? Ot gdzieś na zacisznem i spokojnem miejscu, porozmawiamy...

— O ile byłaby pewność, że to będzie w ścisłej tajemnicy. Wszak pan wie, że to byłoby kompromitujące... — zauważyła pani Wanda.

— Rozumiem to bardzo dobrze i może pani być zupełnie spokojna — zaręczał pan Władysław, mając na myśli pewne, znane mu pokoje umeblowane w odległej dzielnicy.

— No, to dobrze. Ale kiedy i o jakiej porze. Ja rozporządzam czasem najlepiej od godziny drugiej po południu, gdy mąż jest w biurze — zaznaczyła pani Wanda.

— Wie pani, mam doskonałą myśl. Wszak Antek w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia wyjeżdża na wieś do matki, a pani podobno się z nią gniewa?

— Tak — odparła pani Wanda.

— To czyżbyśmy nie mogli w ten dzień spotkać się i kilka godzin mile razem spędzić? — zapytał pan Władysław.

— No dobrze, ale gdzie?

— Ot, choćby w pobliżu głównego dworca. Pod zegarem, o jedenastej rano.

— Dobrze. Lecz zaklinam pana, że to ma być w najściślejszej tajemnicy.

— Może pani być zupełnie spokojna. Lecz proszę mnie nie zawieść, gdyż i ja muszę się do tego stosownie przygotować, a przedewszystkiem wyłgać się od mojej Kloci.

— A jakże pan to zrobi?

— Głupstwo. Wyrobię sobie zaproszenie do wujostwa na wieś, a Klocia ma do nich antypatję.

— Aha. Rozumiem.

* * *

Pan Antoni również nie tracił czasu, oglądając pisma z panią Klocią. Prawił jej komplementy i ściskał i całował rączki, co pani Klocia, będąc zadąsana na swego męża, przyjmowała bardzo życzliwie.

W takim nastroju przeszło jeszcze kilka dni. Nadeszły święta. Dzień był mroźny lecz piękny i pogodny, bardzo wesoły, zwłaszcza dla ludzi, którym nic nie brakowało i nie dolegało.

Pan Antoni już zgóry przygotował swą żonusię, że musi na parę godzin wpaść do matki na wieś, skąd miał wieczorem powrócić, na co też pani Wanda z pozornem niezadowoleniem zgodziła się. Od rana tedy przygotowywał się do podróży.

Pan Władysław zaś, jak zamierzał, tak i swym czasem pokierował, gdyż pani Klocia jakoś chętnie urlopu mu udzieliła, choćby na cały dzień, oznajmiając mu, że skorzysta z wolnego czasu i sama się wybierze do swej koleżanki i tam parę godzin mile i przyjemnie spędzi.

O godzinie dziewiątej rano, śpiesząc rzekomo na odchodzący pociąg, pożegnał żoneczkę i gdy się wydobył z domowych pieleszy, złapał wolną dorożkę i kazał się wieźć na drugi koniec miasta, gdzie były na ustroniu pokoje umeblowane. Zapłaciwszy dorożkarzowi wszedł do kantoru, gdzie zastał jakiegoś sługusa i zapytał:

— Czy mogę dostać czysty i spokojny pokoik?

— Na jak długo panu potrzeba?

— Hm... Na jakieś dwie lub trzy godziny.

— A czy prędko pan potrzebuje? — zapytał uśmiechnięty numerowy, z pod oka spoglądając na gościa.

— Tak za półtorej godziny...

— To dobrze, że pan teraz przyszedł, bo już tylko jeden jest pokoik i to bardzo fajny...

— Dobrze, proszę mi pokazać.

Weszli do korytarzyka i zatrzymali się przed pokojem, oznaczonym numerem 13, poczem numerowy otworzył drzwi i wskazał mały, skromnie umeblowany pokoik, w którym imponowało tylko obszerne łóżko, resztę zaś umeblowania stanowiły: umywalnia, dwa zniszczone krzesła i stary, nieduży stolik.

— Czy niema nic porządniejszego? — zapytał pan Władysław.

— Wszystko zajęte, tylko ten jeden jeszcze wolny.

— Co! I do tego jeszcze numer trzynasty! — żachnął się pan Władysław.

— Tak — odpowiedział numerowy. — Ale to najlepszy pokoik.

— Ileż ma kosztować?

— Dziesięć złotych — odpowiedział służący, spoglądając ciekawie na gościa.

— Dlaczego tak drogo? Przecież to nie jest pierwszorzędny hotel — zauważył niemile zdziwiony pan Władysław.

— Do pierwszorzędnego hotelu pana z kuzynką nie puszczą, a u nas ma pan wszelkie wygody i spokój — odpowiedział numerowy.

W godzinę potem pan Władysław, spotkawszy się w umówionem miejscu z panią Wandą, usadowił ją w zgrabne saneczki i usiadłszy przy niej, objął ją ręką, jakby bojąc się, by nie wypadła z sanek, i kazał pośpiesznie pojechać do spelunki, w której wynajął pokój. Myślał po drodze o tem, czy nie zrazi jej ta niepozorna nora, której jedyną ozdobą było szerokie i dosyć ładne łóżko, resztę zaś umeblowania stanowiły graty bardzo nikłej wartości. Pocieszał się tem, że prezent, który kupił pani Wandzie na gwiazdkę w postaci skromnego, lecz ładnego pierścioneczka z turkusem, wszelką niechęć zatuszuje.

— Czy daleko jedziemy i czy nas kto nie zobaczy? — zapytywała niespokojnie pani Wanda.

— Nie, najdroższa. Nikt nas nie zobaczy, jedziemy zaś na drugi koniec miasta — odpowiedział, przyciskając ją do siebie i całując w rączkę.

Gdy podjechali, wysadził ją z sanek, zapłacił dość hojnie dorożkarzowi i pośpiesznie wprowadził ją do pokoju, w którym napalono już w piecu.

W pokoju zdjął futro z pani Wandy i objąwszy ją za szyję, ucałował namiętnie, czego, mówiąc nawiasem, ona wcale nie broniła. Potem zadzwoniwszy na numerowego, kazał mu odkorkować butelkę wina i ułożyć na talerzach bakalje i inne łakocie, które po wynajęciu numeru zdołał zdobyć u znajomego kup-

ca. Gdy się to wszystko ukazało na stole i numerowy znikł za drzwiami, pan Władysław napełnił kieliszki, pośpiesznie wyjął pierścionek i podając go pani Wandzie, rzekł:

— A to mojej najdroższej na gwiazdkę!

— Czy naprawdę najdroższej? — spytała pani, z przyjemnością przypatrując się pierścionkowi, który przypadł jej do gustu.

— Tak. Wszak to nieraz, Wandziuchno kochana, ci mówiłem... Wszak my jesteśmy typy, które powinny się namiętnie kochać...

Odgłos niezliczonych pocałunków stanowił najwymowniejszą odpowiedź.

— Lecz pan przecie wie, że ja mam męża.

— No i cóż z tego? Za to ja posiadam żonę. A czyż to przeszkodzi nam kochać się?

— Tak, lecz obowiązki... opinja publiczna... — zauważyła pani Wanda półgłosem.

— Obowiązki względem naszych zobowiązań możemy spełniać należycie, przed światem ukrywać swe uczucia, lecz woli nie tamować — recytował pan Władysław.

— A czy pan nie kocha swej żony?

— Nie... teraz coraz większe mamy nieporozumienia.

— To tak samo jak u nas... — odrzekła.

Potem wypili po lampce wina. Jedząc łakocie, wśród coraz to namiętniejszych pocałunków, pan Władysław zauważył:

— A gdybyśmy się tak mogli z Antosiem zamienić? Tybyś, Wandziu, została przy mnie, a Antek wziąłby Klocię...

— A któż mi zagwarantuje, że byłabym z tobą szczęśliwsza, i że nie sprzykrzyłabym ci się?

— Ja mogę przysiąc, że będę cię kochał zawsze...

— Ha! ha! ha! Tere fere kuku! Jeżeli to mówisz serjo, to jesteś naiwny. My kobiety znamy się na tem i wiemy co o tem sądzić. Wreszcie, czy wy jesteście w stanie dać kobiecie to wszystko, co ona do szczęścia potrzebuje?

Biesiada przeciągała się, gdy nagle na korytarzu rozległ się gwar i hałas, a równocześnie ktoś zapukał trzy razy do drzwi i gdy Władysław zbliżył się do nich, głos jakiś szepnął:

— Proszę być ostrożnym, bo rewizja.

Władysław stanął jak piorunem rażony. W oczach mu pociemniało. Nie widział już wyjścia z tego skandalicznego położenia. Bał się o panią Wandę, lecz i swą osobę chciał zabezpieczyć od skandalu.

Pani Wanda, spostrzegłszy przerażenie jego i słysząc szmery w korytarzu, zapytała:

— Co to takiego? Kto tam był za drzwiami?

— Rewizja! — odpowiedział wystraszony.

— No i co teraz będzie? — wykrzyknęła drżącym głosem pani Wanda.

— Sam nie wiem, lecz wątpię, żaby nas miała spotkać jaka nieprzyjemność...

— Jakto, czyż pan nie wie, że policja obyczajowa na każdym kroku tropi nielegalne znajdowanie się dwóch osób obojga płci w jednym numerze?

— Ależ myśmy nic złego nie zrobili! — zawołał pan Władysław.

— Niech im pan to powie. A teraz proszę mi dać futro. Ja muszę wyjść z tej nory!

— Ale jak? Lepiej siedźmy spokojnie, a w razie czego przedstawię panią, jako moją żonę...

— Jakże pan to udowodni?! Nie, naprawdę, jak pan mógł mnie tu przyprowadzić! Naraził mnie pan na straszny skandal!

W tej chwili zaczęto stukać do drzwi pokoju. Pan Władysław zapytał:

— Kto tam?

— Policja! Proszę otworzyć!

— Co panowie sobie życzą? Przecież tu nikt się nie ukrywa...

— Proszę natychmiast otworzyć, gdyż inaczej będziemy zmuszeni drzwi wysadzić!

— Trudno — rzekł drżącym głosem pan Władysław i otworzył drzwi.

Do pokoju wszedł komisarz policji, za nim dwóch wywiadowców i policjanci.

— Poproszę państwa o dowody osobiste.

— Proszę — rzekł pan Władysław, podając swą legitymację urzędniczą.

— A pani? — spytał komisarz, zwracając się do pani Wandy.

— To moja żona — odrzekł pośpiesznie pan Władysław.

— Dobrze. Poproszę o legitymację...

— Czyż nie wystarcza moje słowo? — spytał pan Władysław.

— Niestety, nie.

— Jakież dowody powinno posiadać małżeństwo?

— Akt ślubu, albo pani powinna mieć dowód osobisty.

— Zapomniałam zabrać z domu — odezwała się pani Wanda.

— W takim razie musimy zatrzymać panią do sprawdzenia — zauważył komisarz.

— Jakto? Pan aresztuje moją żonę? — oburzył się pan Władysław.

— Nie, nie aresztuję, tylko zatrzymuję do wylegitymowania się.

— Ależ to bezprawie! Ja na to nie mogę pozwolić!

— Bardzo mi przykro, ale nie ma innej rady — zawyrokował komisarz.

— Ależ proszę pana, może pan sprawdzić moją obrączkę — zawołał pan Władysław, podając komisarzowi obrączkę, zdjętą z palca.

— Doskonale. Poproszę, żeby i pani swoją pokazała...

— W tej chwili, gdyż nie mogę jej tak łatwo zdjąć, bo jest trochę za ciasna — odpowiedziała pani Wanda, udając, że usiłuje zdjąć obrączkę z palca. — Nie, nie mogę zdjąć, trzeba chyba przepiłować...

— Ha, trudno. Jeżeli potrzeba, przepiłujemy w komisarjacie, lecz niech pani sprobuje namydlić rączkę, może zejdzie...

— Już zeszła — odrzekła pani Wanda zaczerwieniona, podając komisarzowi obrączkę.

— Ależ proszę państwa, tu daty zupełnie się nie zgadzają — odrzekł komisarz pokazując obrączki.

— Ach, to ja przypadkowo włożyłam obrączkę mojej siostry — tłumaczyła pani Wanda ze łzami w oczach.

— Muszę państwa zatrzymać do sprawdzenia — odpowiedział komisarz, z zwracając się do jednego z wywiadowców, rzekł — dziwna rzecz, identycznie taka sama sprawa, jak u tych państwa, których zatrzymaliśmy w pokoju pod numerem dziesiątym.

— Czy to czasem nie ma jakiej łączności? — zauważył wywiadowca.

— E, skądże znowu. Tamci tak samo jak ci wstąpili tu na ustronie do separatki.

— Cóż mamy robić, panie komisarzu? — zapytał wywiadowca.

— A cóż. Odprowadzić obydwie pary do komisarjatu dla spisania protokułu za krzewienie nierządu.

— Państwo pozwolą na korytarz — rzekł wywiadowca. — Tam znajdują się jedni państwo, którzy także nielegalnie zajmowali pokój, a więc razem poproszę do komisarjatu.

Gdy pani Wanda, a za nią pan Władysław, wyszli na korytarz, ujrzeli tam stojące pod oknem dwie osoby, koło drzwi zaś policjanta. Kiedy zbliżyli się do stojącej pary, z czterech piersi wyrwał się okrzyk zgrozy:

— Co to jest?! Co to takiego?

Pan Władysław przyskoczył do stojącej przy oknie jego małżonki Kloci, gdyż to ona była w towarzystwie jego serdecznego przyjaciela, pana Antoniego.

— Na Boga! Co ty tu robisz?

— Jak widzisz, przyszłam ciebie szukać.

— Jakto? W towarzystwie Antka?

— Proszę pana stać tu, koło tej pani i nie robić krzyków — odezwał się wywiadowca.

W tej chwili pan Antoni, ujrzawszy swoją żonę, podskoczył do niej ze słowami:

— Wanda! Pocoś tu przyszła?

— Przyszłam zobaczyć, co ty tu robisz — odrzekła z pasją.

— Proszę pana stać na miejscu! — odezwał się surowo wywiadowca, przytrzymując Antoniego za rękaw.

— Ależ panie! To moja rodzona żona! — krzyknął pan Antoni.

— Ta sprawa musi się wyjaśnić w komisarjacie, lecz wówczas państwo będziecie jeszcze więcej odpowiedzialni, gdyż jako małżeństwa, nie powinniście krzewić łajdactwa — rzekł wywiadowca do pana Antoniego.

Pan Władysław zaś, jako sprytny i przemyślny, zrozumiał grozę położenia i konieczną potrzebę załagodzenia sprawy na miejscu, by uniknąć skandalu, wyjąwszy więc szybko papierek z portfelu, podszedł do wywiadowcy ze słowami:

— Panie komisarzu. Wszak widzi pan, że tu niema żadnych cech przestępstwa, a poprostu dwie pary małżeńskie, pragnące zabawić się wspólnie poza domem w tak uroczyste święto.

— Ale policja zastała panów nie z ich żonami — odpowiedział wywiadowca.

— Więc cóż złego się stało? To dowodzi, że żony nasze omyłkowo weszły do tych pokojów — parlamentował pan Władysław wciskając papierek wywiadowcy.

— No, no... ale co powie na to pan komisarz? — zauważył już ugodowo wywiadowca.

— A gdzież on się podział? — zapytał pan Władysław.

— Poszedł do komisarjatu, dokąd polecił mi państwa sprowadzić.

— Dobrze, To niech pan pozwoli mi tu z kancelarji rozmówić się telefonicznie z komisarzem, a ja mu najlepiej wyjaśnię całą sprawę...

Poczem, zmierzając do kantoru hoteliku, odezwał się do swej żony i pana Antoniego:

— Musimy koniecznie tę sprawę zatuszować na miejscu, żeby nie dopuścić do skandalu, a pomiędzy sobą w innem miejscu wyjaśnimy to wszystko.

— Ładna historja! Pięknych rzeczy dowiaduję się o tobie — zauważył pan Antoni, zwracając się do swej Wandzi.

— Tak. Chciałam cię właśnie w ten sposób złapać na wiarołomstwie — zasyczała półgłosem pani Wanda.

— Ja zaś przyszłam tu, żeby państwa zdemaskować — odezwała się pani Klocia.

— Aha... I w dodatku z moim mężem do jednego pokoju — podchwyciła złośliwie pani Wanda.

— Dajcież panie spokój, do stu djabłów. Nie zaogniajcie sprawy. Wszak te porachunki możemy w innem miejscu przeprowadzić — przemówił pan Antoni, do najwyższego stopnia zirytowany.

Niebawem przyszedł z kantoru pan Władysław i odezwał się do wszystkich:

— No, przekonałem komisarza. Powiedział mi, że zaraz tu przyjdzie. — Poczem zwróciwszy się do pań, dodał: — Radzę paniom powstrzymać ujście złości na inny grunt, by uniknąć strasznego skandalu i proszę zmienić miejsca, to jest stanąć naprzeciw swych kawalerów...

Panie odruchowo przeszły jedna na miejsce drugiej, pan Władysław zaś stanął koło Kloci i zwrócił się do wywiadowcy:

— No, panie, teraz chyba jesteśmy w porządku?

— Tak. O ile państwo udowodnicie choćby obrączkami, że jesteście małżeństwami.

— O tak. Ja tylko żartem pokazywałam komisarzowi obrączkę pani Kloci, którą też żartem zamieniłam — odezwała się pani Wanda, wpatrując się w wywiadowcę.

— Doskonale. To panie już tam jakoś to komisarzowi wytłumaczą, który w rzeczywistości jest człowiekiem bardzo wyrozumiałym, a stoi tylko na straży niezłomnego prawa...

— Masz pan swój prezent, oddaj go swej żonie na gwiazdkę! — odezwała się pani Wanda, wtykając ze złością panu Władysławowi pudełeczko z pierścionkiem.

— I pan masz swój zegarek, który możesz ofiarować swojej żonie — zawtórowała pani Klocia, wręczając pudełeczko panu Antoniemu.

Niebawem nadszedł komisarz, który po zbadaniu całej sprawy, zwolnił obie pary. I tak z niedoszłym do skutku grzechem zakończyła się eskapada dwojga młodych małżeństw.

NAGODA

CZARNE OCZY

NOWELA

PANNA Ewa Dołężanka wychodziła zamąż. Czy robiła "dobrą partję"? W jej przekonaniu był pan Mieczysław Mołyński najświetniejszą partją pod słońcem; wierzyła święcie, że wszystkie jej znajome i przyjaciółki niezamężne muszą jej zazdrościć. Szkoda tylko, że nie umiała wpoić tego przekonania w swoje ciotki i opiekunki, pannę Agatę i pannę Dorotę. Obie te panie, zapytywane przez znajomych, jakie stanowisko zajmuje przyszły mąż ich siostrzenicy, chrząkały z pewnem zakłopotaniem, aż panna Dorota cichutko oznajmiała, że pan Mieczysław był... lekarzem.

Do tego objaśnienia, udzielanego z widoczną niechęcią, nie dodawano komentarzy w obecności ciotek, zato poza ich salonem nie było końca wykrzyknikom pełnym zgorszenia:

— Jakto? Dołężanka za doktora? Za jakiegoś lekarza z prowincji? Ależ to ostatnia Dołężanka! Matka jej Kończyłucka z domu! A sto tysięcy posagu! A wuj miljoner, przywiązany do niej, jak do własnej córki! I to wszystko ma się dostać doktorowi! Ależ to okropność!

Pewnego razu któraś z pań odważyła się nadmienić wobec ciotek, że słyszała w Tarnowie czy Lwowie o jakimś słynnym okuliście tego nazwiska... czy to może ten sam Mieczysław Hołyński?

Przywiędłe policzki ciotek pokryły się krwistym rumieńcem: okulista... dentysta... ach, niech Bóg broni, nie, nie...

Zresztą czem był to był, dość, że po zaślubieniu Ewy miał się stać obywatelem, gospodarzem wiejskim i członkiem rady powiatowej, a może kiedyś i marszałkiem. Tak marzyły obie ciotki, zaklinając młodego doktora, żeby zapomniał o tych nieszczęsnych studjach na klinice i kilku latach praktyki lekarskiej.

Niestety, Mieczysław okazywał dziwne upodobanie do tej "doktorszczyzny". Daremnie wmawiano w niego, że jako szlachcic z krwi i kości powinien wszystkie marzenia przykuć do pługa, czuć się "panem" i za szczyt szczęścia uważać sprzęgnięcie dobranej czwórki własnego chowu. Pan Mieczysław długi czas nie chciał ani słyszeć o tem — najwymowniejsze argumenty nie wzruszały go i kto wie, na czem byłoby się skończyło, gdyby nie przejrzyste łzy na rzęsach panny Ewy. Łzy te odrazu przeważyły szalę.

Pan Mieczysław przycisnął do ust drobne paluszki i przyrzekł uroczyście, że z pola anatomji przerzuci się na pole agronomji.

* * *

Trzy długie miesiące ostrych mrozów i śnieżnych zawiei upłynęły jak jeden dzień dla młodych małżonków. Zwykłą koleją rzeczy nastała po zimie wiosna. Pewnego ranka słońce rzuciło złote blaski do tego przybytku szczęścia, który nawet bez słonecznych promieni był istnym rajem.

Ewa zerwała się od śniadania i z dziecinną radością zaczęła tańczyć po pokoju, klaszcząc w ręce i wołając:

— Wiosna! Wiosna! Pójdziemy na spacer, dobrze? Mieciu? Pójdziemy piechotą... ja w zielonym kostjumie, a ty w jasnem palcie... na spacer, na spacer!

— I owszem, dziecko. Chodźmy, choćby zaraz. Jestem na twoje rozkazy.

— O, przepraszam, nie zaraz. Ja się muszę przecież ubrać. Czy sądzisz, że to można tak prędko ubrać się w wiosenny kostjum, którego jeszcze ani razu nie miałam na sobie?

— Może ci pomóc?

— Ślicznie dziękuję. Ja już wolę pomoc Teofili. Ty siedź spokojnie i czytaj sobie gazety, dopóki, stanąwszy przed tobą, nie powiem: patrz i uwielbiaj!

— Nie potrzebujesz mi tego mówić — znam swoje obowiązki i uwielbiam od rana do wieczora. Tembardziej, gdy zobaczę cię w wiosennym kostjumie.

Pan Mieczysław dotrzymał obietnicy: był zachwycony wiosennym kostjumem, kapeluszem i uśmiechającą się z pod szerokiego ronda twarzyczką Ewy.

Spacer udał się wybornie. Spotkali mnóstwo znajomych, nieznajomi oglądali się za niemi, mówiąc: co za śliczna para! Wstąpili do cukierni, gdzie hrabina Melanja zrobiła im miejsce przy swoim stoliku i na pożegnanie rzekła Ewie:

— Jak pani teraz ślicznie wygląda... szczęście służy!

Wracali do domu. Ewa, upojona wiosennem powietrzem, szła powoli, zwierzając się mężowi z planów wycieczek i spacerów, jakie układała sobie odbyć przed wyjazdem na wieś.

Naprzeciw nich szły dwie kobiety, prowadzące się pod rękę, ale nie tak strojne i świetne, jak pani Ewa. Starsza z tych kobiet miała twarz zwiędłą i pomarszczoną, a ramiona jej pochylone i wzrok przykuty ku ziemi nadawały jej postaci wymowny wyraz przygnębienia. Młodsza, wysoka i szczupła, ubrana bardzo skromnie, postępowała z głową wzniesioną do góry, z oczyma zwróconemi wprost przed siebie, jak gdyby ścigała wzrokiem jakiś oddalony przedmiot.

Gdy się obie te pary mijały, Ewa zauważyła, że podniesiona do góry główka i blada twarz młodej dziewczyny miały zarys dziwnie szlachetny, a ogromne czarne oczy, utkwione z natężeniem w jeden punkt, ocienione były długiemi, ciemnemi rzęsami i łukiem brwi, w którym pędzel najklasyczniejszego malarza nie znalazłby nic do poprawienia.

Mieczysław musiał zauważyć to samo, bo obejrzał się z wielkiem zajęciem za przechodzącemi kobietami.

— Kto to taki? Czy znasz je może? — spytała skwapliwie Ewa.

— Nie, skądżeby?... Widzę je po raz pierwszy.

— Ładna, nieprawda?

— Być może. Nie zauważyłem.

Pani Ewa nie była z tej odpowiedzi zbytnio zadowolona.

— Nie zauważył — pomyślała — a przecież oglądał się, jakby co najciekawszego zobaczył. Mężczyznom zawsze się zdaje, że kobiety nic nie widzą i nie uważają...

* * *

Po obiedzie tego dnia Ewa, znużona długą przechadzką, zasnęła na kanapce; dziennik, trzymany przez nią w ręku, upadł na ziemię, a głowa w malowniczy sposób oparła się na ciemnych pluszowych poduszkach. Spała długo; zbudził ją promień zachodzącego słońca, który, przekradłszy się przez firanki, złoty i ciepły położył się na jej powiekach. Zerwała się nagle. W całym domu panowała zupełna cisza.

— Gdzież Miecio — pomyślała — czyżby wyszedł i pozostawił mnie samą? Nie! Oto jest — siedzi przy swem biurku, pochylony nad książką i tak zaczytany, że nie słyszy lekkich kroków żony, zbliżającej się do niego.

Drgnął nerwowo, bo nagle książka znikła mu z ręki, a na powiekach poczuł dotknięcie miękich, ciepłych paluszków.

— Czy to ładnie pozwolić mi przespać taki śliczny dzień? Mieliśmy przecie wyjechać do ogrodu, a tymczasem ja spałam, a ty pewnie nudziłeś się sam...

— O, nie... to jest... czytałem sobie trochę...

— A jaką to książkę mój pan tak pilnie studjował? Proszę mi pokazać! Może co niestosownego?

Mieczysław lekko przytrzymał książkę, ale napół żartem, napół obrażona przeczytała głośno tytul:

— "Terapja doktora Bekera"!

Brwi jej ściągnęły się i zbiegły nad czołem z wyrazem, który chciała uczynić bardzo groźnym.

— Mieciu! To medycyna!

— Medycyna — powtórzył Mieczysław spokojnie.

— A kto mi obiecał, że się już nie dotknie tych szkaradnych lancetów, flaszeczek, książek, traktujących o tem wszystkiem?... Kto obiecał, że o tem wszystkiem zapomni, że zapomni o wszystkiem na świecie, oprócz mnie?...

— Czy uskarżasz się na opuszczenie z mej strony?

— Nie... ale coby też powiedziała ciotka Dorota, gdyby wiedziała, że ty znowu powracasz do tej wstrętnej medycyny?

— Ciotka Dorota nie potrzebuje wcale zajmować się mojemi sprawami, ma swoje koty i swoich ubogich, cóż ją więc moje zajęcia mogą obchodzić?

— Widzisz, na jakiej złej jesteś drodze! Już zaczynasz źle mówić o moich krewnych. Ciocię Dorotę obchodzi moje szczęście, a ja nie będę szczęśliwa, gdy się będziesz zajmował doktorstwem.

— Dlaczego?

Pod poważnem, pytającem spojrzeniem męża Ewa w pierwszej chwili straciła cały wątek argumentów, któremi chciała poprzeć swą sprawę.

— Bo... bo nie — odpowiedziała, szukając w myśli bardziej przekonywujących dowodów — bo... najpierw złamiesz daną mi obietnicę... bo i ciocie i wszyscy wiedzą, że to nie wypada... bo zresztą ja sama nie cierpię tej medycyny i nie chcę, żebyś się jej oddawał. Tak nam było dobrze przez te parę miesięcy! Czy ci się już nasze szczęście sprzykrzyło?

— Widzisz, Ewuniu, nie możesz przypuszczać, żeby mi się sprzykrzyło szczęście — odparł łagodnie, obejmując ją ramieniem, — ale nie samym uśmiechem żyje człowiek; trzeba mu koniecznie i pracy, i myśli poważniejszych, ażeby to szczęście miało zdrowe i trwałe podstawy.

Ewa zadumała się. Jej, prócz Miecia niczego już nie było potrzeba na świecie, ale jeżeli on naprawdę potrzebował zajęcia...

— A praca obywatelska! Czyż to nie jest najodpowiedniejsze dla ciebie? — zawołała, przypomniawszy sobie tylokrotnie powtarzamy przez ciotki frazes.

Mieczysław uśmiechnął się z przymusem.

— Być może — rzekł — ale ponieważ ja do tej odpowiedniej pracy nie jestem przysposobiony, chyba ty mi zechcesz w niej przewodniczyć...

— O tak! Jestem wychowana na wsi, wszystko ci pokażę! Będziemy codziennie oglądać gospodarstwo, jeździć w pole małym wózeczkiem... I konno się nauczysz jeździć... Wieczorami ty będziesz robił rachunki, a ja będę szyć sukienki dla chłopskich dzieci. Dla dziewcząt same różowe, a dla chłopaków z grubego, żaglowego płótna... dobrze?

— Dobrze — powtórzył Mieczysław, ale oczy jego patrzyły gdzieś w dal, a ręka, obejmująca postać żony osunęła się i opadła zwolna...

* * *

Hrabina Melanja, mimo swych pięćdziesięciu lat i "wątłej kompleksji" w razie potrzeby umiała okazać się energiczną i natarczywą, to też jako "dama dobroczynności" była nieoceniona: wszystkie składki, loterje, wenty wiodły się jej wybornie. Myśląc o bliźnich zapominała o sobie tak dalece, że w nieustannej pogoni za cudzym groszem na cele dobroczynne, nigdy jej nie przyszło na myśl... sięgnąć do własnej kieszeni.

Za to z przyjaciół i znajomych umiała robić filantropów nieraz wbrew ich woli; nie zrażała jej żadna odmowa.

I w tej chwili także udaje, że nie widzi zachmurzonego czoła Mieczysława, i tem natarczywiej zwraca się do Ewy w sprawie kwesty wielkanocnej.

Kwesta wielkanocna! Czyż może być milszy sposób praktykowania miłosierdzia? A wszystko tak dobrze obmyślane: kwestować mają oni oboje, pan Kornel i sama hrabina Melanja — kółeczko samych "swoich".

Ewa rumieni się. Wyrażenie "sami swoi", kiedy mowa o nich i hrabinie, podoba się jej widocznie.

Hrabina wybrała dla nich, jako pole działania tę część miasta, gdzie sami mieszkają. Te ulice z parterowemi domkami i nielicznemi eleganckiemi willami będą mniej uciążliwe od kamienic śródmieścia.

— Ależ w tych parterowych domkach — odzywa się Mieczysław — mieszkają po większej części ludzie ubodzy. Zamiast u nich kwestować, ich raczej wspomagać by należało...

— Tem większą wartość będzie miał grosz, przez nich uboższym jeszcze braciom oddany — odpowiedziała hrabina z świątobliwym zapałem. — Czyż my kogo zmuszamy? Czy żądamy wielkich sum? Ca-

ła instytucja dobroczynności polega właśnie na drobnych, groszowych datkach.

Rad nie rad, zgodził się Mieczysław na chodzenie po kweście z żoną, hrabiną, i dowcipnym panem Kornelem.

Oto obeszli już jedną stronę ulicy i w tej chwili wchodzą do domku, stojącego naprzeciw willi Mieczysławów. Kilkoro drzwi prowadzi do wnętrza; pan Kornel chciał do jednych drzwi zapukać, ale hrabina wysuwa się naprzód i odrazu kładzie rękę na klamce. Wie dobrze, że pukane nie doprowadzi ich do niczego.

Drzwi ustępują łatwo pod naciskiem i wszyscy wchodzą do pokoiku ciasnego, zastawionego licznemi sprzętami, których ubogi wygląd małe rokuje nadzieje kwestującym.

Pod oknem siedzi dwoje młodych ludzi: ona z głową wspartą na ręku i oczyma zapatrzonemi w niebo, wsłuchana w melodję wierszy, które jej towarzysz czyta z otwartej książki. Są tak zajęci, że po chwili dopiero obce głosy zwracają ich uwagę — a i wtedy sam tylko młody człowiek powstaje i patrzy zdumiony na eleganckich gości. Ona nie zwraca nawet w ich stronę czarnych oczu, które zdają się gonić w błękitach jakieś oddalone obrazy.

Ewa poznaje ją: jest to ta sama blada dziewczyna, którą spotkali już raz na ulicy.

— Czego państwo sobie życzą? — zapytuje w tej chwili stara kobieta, zjawiając się w otwartych drzwiach małej kuchenki.

— Kwesta wielkanocna... Zbieramy na ubogich i prosimy, żeby państwo zechcieli nas czemś obdarzyć — odpowiada hrabina Melanja.

Dlaczego te słowa, wyrzeczone uprzejmym głosem hrabiny, zabrzmiały tak fałszywie wśród ścian tej ubogiej izdebki?

Młoda dziewczyna pod oknem porusza się niespokojnie, a twarz jej matki pokrywa się bladym rumieńcem. Młody człowiek zbliża się do pana Kornela i jąkając niewyraźnie tłumaczenie, wsuwa parę sztuk drobnej monety w otwartą torebkę.

— Bóg zapłać! — mówi hrabina i kwestujące towarzystwo wynosi się z pośpiechem z tej izdebki, gdzie przecież nie dokuczono im szorstkiem przyjęciem...

Jeden tylko Mieczysław nie ruszył się z miejsca. Wzrok jego zdaje się być przykuty do czarnookiej dziewczyny, która także zwróciła twarz w jego stronę.

— Mieciu! —

Głos pani Ewy drży tłumioną niecierpliwością. To przedłużone, ociągające się spojrzenie męża oburza ją prawie, a jednak i ją samą pociąga blada twarz dziewczęcia.

Opuściwszy cichy domek, przechodzą teraz pod oknem, przy którem dziewczyna siedziała i znowu Mieczysław ogląda się, jakby chciał ujrzeć ją raz jeszcze, a Ewa zagryza usteczka prawie do krwi...

Ewa chciałaby być jaknajprędzej w domu, znaleźć się sam na sam z Mieciem i powiedzieć mu... co? Sama dobrze nie wie.

Nareszcie stoją już przed bramą swojej willi. Ewa przez grzeczność zaprasza towarzystwo na herbatę. Dzięki Bogu, odmówili. Wchodzi na schody z ciężkiem sercem, bo Miecio pierwszy raz zapomniał podać jej ramię.

Salonik ich okrągły, wysłany jak gniazdko miękkim dywanem, przypomina jej wszystkie dotychczasowe powroty ze spacerów. Mieczysław idzie wprost do fotelu i rzuca się w niego z westchnieniem:

— Och, jakżem zmęczony!

— A ja! — wybiega na usta pani Ewy. I w tej chwili, zamiast owego "coś" co miała powiedzieć mężowi, łzy rzucają się jej do oczu.

Mieczysław zrywa się z fotelu, biegnie do żony... ale cóż? Niestety budzi się w nim nietylko kochający mąż, lecz i lekarz: "zmęczenie fizyczne, przetężenie nerwów i t. d." nasuwa się na myśl szukającemu środków uspakajających. Nie odgaduje, że jedna tkliwa pieszczota okazałaby się skuteczniejsza od szklanki zimnej wody z laurowemi kroplami, którą jej podaje. Ewa odsuwa ją ze wzgardą.

* * *

Słońce coraz gorętszemi promieniami zalewało ziemię; drzewa i krzewy okryły się pączkami. Państwo Mieczysławowie jeździli na dalekie spacery, bawili się i kochali po dawnemu, a jednak...

Coś się psuło w raju małżeńskim. Szara jakaś chmura przyciemniała promienie szczęścia....

Widok różowego domku prześladował wciąż Ewę. Nie mogła wyjść, wychylić się, żeby nie zobaczyć tych okien i rysującej się za jednem z nich pięknej, bladej twarzy dziewczyny. Dziewczę to nie wydawało się chore, dlaczegóż więc jedynem jej zajęciem było pokazywanie światu smutnej a zarazem słodkiej twarzy cierpiącej Madonny?

Ewę czarne te oczy trapiły nawet po nocach. Zdawało się jej, że magnetyczna głębia ich pociąga ku sobie Mieczysława ile razy przechodzi ulicą lub wyjrzy przez okno.

Pewnego popołudnia Ewa przytuliła się do męża i rzekła:

— Mieciu, mój złoty, jedyny! Czy ty mnie kochasz jeszcze? Tak jak w pierwszych dniach naszego szczęścia?

Mieczysław uśmiechnął się.

— Czy każesz kochać się zawsze jednakowo? Nie pozwolisz coraz więcej?

Długi, gorący pocałunek.

— Czy zrobisz coś, Mieciu, o co cię ślicznie poproszę?

— Z pewnością, jeżeli to tylko odemnie zależy...

— Od ciebie samego! Każ spakować rzeczy i wyjeżdżajmy do Wołczowej!

Mieczysław zaczerwienił się i zerwał z miejsca:

— Jakto "wyjeżdżajmy"? Dlaczego? Kiedy?...

— Choćby dziś, jutro, jak będzie można najprędzej!

Objęła go ramionami. Spojrzał: w jej oczach płonęła prośba, serdeczna, gorąca prośba.

Ściągnął brwi, odwrócił twarz zmieszaną i niezadowoloną.

— Skądże taki nagły projekt? Mieliśmy zabawić tu do połowy maja. Nie widzę, dlaczego mamy zmieniać ten zamiar...

— Nie widzisz? A moje życzenie?

— Ależ takiego życzenia nie możesz poprzeć żadnemi słusznemi powodami...

— Och, i owszem! Nudzę się tu...

Mieczysław sposępniał.

— To źle — odparł tonem bardzo poważnym — źle, że ci nudno w życiu, które wybrałaś sama i które

z początku przepełniało cię szczęściem... Czy tęsknisz za czem? Czy zabrakło ci czegoś, co ukochałaś, do czego przylgnęłaś?

Mówił powoli i coraz poważniej.

Ewa była prawie przerażona jego tonem.

— Ależ Mieciu! Ja tego nie mówię; ja ciebie jednego tylko kocham i chciałabym tak bardzo, tak bardzo, żebyś mnie usłuchał!

— Nie, Ewo, tego uczynić nie mogę... nawet na twoją prośbę. Nie wyjedziemy ani o jeden dzień wcześniej.

Ramiona ich rozplotły się. Ewa nie nalegała już. Dziwny, niepojęty smutek opanował ją całą i trzymał w bolesnym uścisku.

Ciepły wiatr wiosenny muskał im rozgrzane czoła. Stali oboje w otwartem oknie i, nie myśląc o tem, patrzyli na różowy domek. W tej chwili jedna z firanek rozsunęła się i w ramach jej stanęła jak obraz piękna postać dziewczyny. Trzymała w ręku kilka przedwczesnych róż i nie wydawała się tak smutna jak zwykle; uśmiech rozchylał jej usta, nie ożywiając jednak źrenic, zawsze jednakowo poważnych i głębokich.

Mieczysław cofnął się nagle od okna i zwrócił do swego pokoju. Ewa zastąpiła mu drogę.

— Ty znasz tę dziewczynę! Powiedz mi, kto ona?

— Skądżebym ją znał? Co ci przychodzi do głowy? — odparł, próbując usunąć żonę.

— To przysięgnij mi, że jej nie znasz, że nie znałeś nigdy!

— Dziecinna jesteś, Ewuniu. Wynajdujesz sobie ciągle jakieś nieuzasadnione obawy!

Odszedł. Ewa chwilę patrzyła za nim.

— Boże, Boże! Żebym ja miała takie czarne oczy! — wybuchnęła wreszcie i z płaczem rzuciła się na kanapkę.

* * *

Wczoraj byli ostatni raz w teatrze, dziś popołudniu zaczną składać pożegnalne wizyty, a za tydzień ludność Wołczowej powita ich przy odgłosie muzyki i wystrzałów z moździerza.

Miecio wczoraj w teatrze był dziwnie nieswój i roztargniony. Nie patrzył wcale na scenę i po każdym akcie wychodził z loży, a Ewa słyszała na korytarzu krok jego niecierpliwy. Dziś rano, ledwie wypił filiżankę czystej herbaty, zaczął się wybierać do wyjścia.

— Weź mnie z sobą — zaproponowała Ewa — muszę kupić sobie podróżną torebkę.

— Nie mogę — odpowiedział prawie szorstko. Ale gdy już wziął kapelusz do ręki, przystąpił do niej i całując w czoło, patrzył jej długo, tkliwie w oczy.

— Bądź drowa — rzekł — nie czekaj mnie prędko z powrotem, bo mam dziś wiele zajęcia.

Smutno jej się zrobiło, jakgdyby w tych słowach była zapowiedź długiego rozłączenia.

—Nie możesz zostać ze mną? — szepnęła błagalnie.

— Nie mogę.

Uwolnił się z jej objęć i wybiegł z domu.

Ewa siadła przy oknie z robótką; od pewnego czasu nauczyła się zapełniać haftem te chwile, kiedy męża nie było przy niej. Gdyby chociaż powrócił prędko!

Po kilku godzinach oczekiwania ujrzała go przy końcu długiej ulicy. Nareszcie! Idzie krokiem bardzo szybkim. W ręku trzyma parę ponsowych róż... W miarę jak się zbliża, Ewa wychyla się czasem przez otwarte okno... gdyby podniósł głowę, dojrzałby ją napewno.

Ale on patrzy wciąż przed siebie i wydaje się bardzo zamyślony.

Jakto? Minął bramę ich willi? Przechodzi na drugą stronę ulicy? Ewa nie chce wierzyć własnym oczom. Mieczysław znika w sieni różowego domku naprzeciwko!

Nie, to chyba omyłka! Wyjdzie stamtąd za chwilę. Jego przecież nic tam ciągnąć nie może...

Nie wychodzi! Mija minuta, pięć, dziesięć, może cała godzina... Ewa nie wie ile mija czasu, zdać sobie sprawy nie może, ale patrzy ciągle w punkt jeden — w drzwi małego, różowego domku i w nienawistne okna, zasunięte firankami. Ewa nie wie, co się z nią dzieje, nie chce domyślać się, co się dzieje za temi firankami przez przeciąg dwóch godzin, które dla niej wiek cały trwają.

Ach, te czarne oczy!

* * *

— Ewo, Ewo! Ocalona! Ocalona... czyż nie słyszysz? Powiadam ci, że widzieć będzie jak ty, jak ja! O, co za szczęście!

W głosie Mieczysława drga szalona radość. Ramiona jego obejmują żonę uściskiem, w który chciałby przelać część uczuć, przepełniających mu serce.

Ewa patrzy na niego w zdumieniu.

— Ocalona?... Kto?... Co ty chcesz powiedzieć?

— Ona! Ta blada dziewczyna z czarnemi oczyma. Skazali ją na ślepotę, taką młodą i piękną, jedynaczkę u starej matki! Och, Ewuniu, niczyje chyba oczy nie sprowadzą na mnie tyle błogosławieństw, jak te, które udało mi się dziś otworzyć na świat boży! Uściskaj mnie, patrz, jak jestem szczęśliwy!

Ewa rozumie już prawie, ale niedowierza jeszcze.

— Ty ją leczyłeś? — pyta, a serce uderza jej, jak gdyby odpowiedź miała być wyrokiem życia lub śmierci.

— Zdjąłem jej dziś kataraktę... czekałem umyślnie, bo była jeszcze niedojrzała... ach, jak mi pilno było! Dawno już nie doświadczałem tej słodkiej radości!...

— Och, Mieciu, czemu mi nie powiedziałeś, że ją leczysz!... Ja byłam przez ten czas taka nieszczęśliwa!

— Przebacz mi, Ewuniu... bałem się, żebyś mi nie stawiała przeszkód... A widzisz: byłaby to zbrodnia... wiedziałem, że ją uleczyć potrafię!

Ewa pochyliła głowę. Prawda, nie jej teraz rzeczą robić wymówki. Czyż to nie ona sama dziecinnym oporem i pocałunkami zamknęła te usta, gotowe może wypowiedzieć jej wszystko? Czy próbowała zajrzeć kiedy w głąb duszy męża i podzielić najdroższe jego marzenia i nadzieje?... Wszak pragnęła sobą tylko, swoją ładną twarzyczką wypełnić mu serce i przesłonić świat cały.

Od ośmiu już dni czarne firanki zasłaniają okna różowego domku i w małym pokoiku ciemno, jak w grobie, ale wesoło... wesoło!

Jutro, już jutro oczy Anielki oswajać się zaczną ze światłem — doktór zapowiedział. Dziś obiecał przyjść raz jeszcze i potwierdzić radosną nowinę. Oto słychać już krok jego w sieni.

— Tędy, Ewuniu, trzymaj mnie mocno za rękę, bo się uderzysz... Oto tak, już jesteśmy przy łóżku.

— Kto to?... Panie doktorze, to pan?

— Ja i moja żona, którą obiecałem przyprowadzić. Panno Anielciu, proszę podać mi rączkę, niech się panie przywitają.

Mieczysław wkłada w rękę żony wychudłe paluszki swojej pacjentki, które obejmują ją gorącym uściskiem.

— Jaka pani dobra, że przyszła! Pan doktór nie pozwala sobie nawet dziękować. Niech Bóg da państwu tyle, tyle szczęścia, ile ja go każdem spojrzeniem wymodlić będę mogła!

— O, tak! Niech za oczy mojej córki Bóg każdy dzień życia wam pobłogosławi! — odzywa się głos starej matki, przerywany wzruszeniem.

Ewa nic nie odpowiada — drży cała i tuli się do męża. W tej chwili jej ukochany Miecio, zjawiający się jak anioł pocieszyciel w ciemnej izdebce, wydaje jej się większym i potężniejszym od wszystkich w stal zakutych bohaterów, o których marzyła, mając lat piętnaście. I to ona tego bronić mu chciała? Od takiego zawodu go odciągać? Ach, zdaje się jej, że do tej pory nie wiedziała wcale, czem jest lekarz!

Mieczysław obejmuje ją ramieniem i oboje czują, że w tej chwili dopiero zrozumieli się i zjednoczyli zupełnie.

Oczy, oswajając się powoli ze zmrokiem, zaczynają rozróżniać niektóre przedmioty. W nogach łóżka rysuje się jeszcze jedna postać: młodego mężczyzny, który z książką w ręku siadywał obok niewidomej. On jeden nie mówi nic i chowa twarz w dłoniach, bo nadmiar szczęścia, zarówno jak nadmiar boleści, w milczeniu tylko znieść można. Mieczysław go zna — wie, że czarne oczy Anielki mają mu przyświecać przez całą drogę życia, że szczęśliwem cięciem lancetu darował mu kawałek nieba, od którego dotąd dzieliła go ślepota ukochanej...

Złoty blask dzienny, po grobowej ciemności, z której wyszli, olśniewa tak Ewę, że zasłania oczy obiema rękami i nic nie widzi przed sobą, a jednak zdaje się jej, że lżej oddycha w tych promieniach słońca, jakby jej nagle zdjęto z piersi wielki, gniotący ciężar. Wsparta na ramieniu Miecia, postępuje bardzo powoli, upajając się światłem i ciepłem i głębokiem uczuciem szczęścia, które przenika ją spokojną, cichą radością.

— Teraz, Ewuniu, jestem na twoje rozkazy... Kiedy chcesz wyjechać na wieś?

Głos Mieczysława brzmi niby swobodnie, ale oczy jego patrzą tak badawczo w twarz żony, jakby przeniknąć chciały aż do głębi jej duszy.

Ewa nie unika tego spojrzenia, tylko usta jej drgają dawnym, figlarnym uśmiechem.

— Na wieś? Do Wołczowej? Dobrze, pojedziemy... za lat dwadzieścia... albo, chcesz, Mieciu?... Gdy już nie będzie tylu niewidomych i nieszczęśliwych dokoła! Wtenczas zamieszkamy w Wołczowej, a tymczasem jeździć tam będziemy tylko na wakacje.

— Och, Ewuniu, może to zbyt wielka dla ciebie ofiara? Może tam czułabyś się szczęśliwszą?

Ewa potrząsa głową i uśmiech jej staje się bardzo serdeczny i tkliwy.

— Szczęśliwa będę tam właśnie, gdzie nie będę zawadą i ciężarem dla ciebie, ale pomocą i towarzyszką pracy. Nie jestem już takiem upartem, nieznośnem dzieckiem, które ci tylko kłopot sprawiało. Od dziś będziesz miał rozsądną, dobrą żonę... To pierwsza nagroda za czarne oczy Anielki...

RAJMUND BERGEL.

ŻOŁNIERSKA DOLA

Zszedłeś pół świata, a zszedłbyś i cały,
gdyby w potrzebie taki rozkaz padł.
Za krwawym blaskiem niegasnącej chwały
wiodły twe szlaki, w dym armat, w kul grad.

Jak w strzęp spowity w swą dolę sierocą,
z boju do boju, z burzy w burzę gnan,
wielkie nadzieje spowiadałeś nocą,
kiedy śmierć życie zcaływała z ran.

Chłostany wichrem i palony skwarem
w dumie tułaczej swych żołnierskich bied
— tyś za podartym w stu bitwach sztandarem
przez całą wieczność krwawych tęsknot szedł.

Idąc — doszedłeś. Cóż, że nie w twej dłoni
spoczął triumfów krwią wydartych łup?
Został ci przecie krzyż z strzaskanej broni
i w głuchej pustce bezimienny grób.

Co rok ci wiosna-kochanka dorzuci
w twarde wezgłowie pęki polnych róż,
a ptak przelotny piosenkę zanuci
o zgasłych burzach i o czasach burz.

Tak, zamiast nagród i pustych wspominek,
za trudy, boje, krwawy żywot ten,
śmierć da ci wreszcie wieczny odpoczynek
i nieprzespany pod mogiłą sen.

A gdy czas zrówna te groby niczyje,
gdy w soki ziemi przejdzie skrzepła krew,
może pług wtedy te skiby odkryje
i w stlałe próchna padnie słońca siew.

HENRYK MANN

POJEDYNEK AMERYKAŃSKI

NOWELA

GDY wybiła godzina druga, a przyjaciele wypili wszystko, co na stół postawił Łukasz Bols, wybuchł nagle zatarg o błahostkę. Zatarg ten przybrał poważne rozmiary. Siebert wyraził się lekceważąco o pewnej damie, o której nikt nie mówił inaczej, jak tylko lekceważąco. Michelsen rzucił się na niego i cisnął o ziemię. Potem splunął na podłogę, właśnie na miejsce, gdzie znajdowała się twarz Sieberta. Wobec tego towarzystwo utrzymywało, że Siebert został obrażony i z uporem pijackim powtarzali to tak długo, aż Siebert wreszcie sam w to uwierzył. Obaj przeciwnicy miotali się i odgrażali; wkrótce wszyscy opuścili knajpę.

Na dworze, po ożywionych i długich naradach zgodzili się trzej świadkowie zajścia, że tylko pojedynek może uratować honor obu przeciwników. Siebert i Michelsen chcieli z miejsca rozegrać walkę, ale ich gwałtem rozdzielono. Wtedy Leopold Weiss oparł się o mur kamienicy i począł filozofować: Nie można żądać od żadnego kulturalnego człowieka by z zimną krwią zabijał swego wroga. W takich wypadkach zachodzi jedynie możliwość amerykańskiego pojedynku.

Doktor Libenow bronił romantyzmu starcia na białą broń. Lecz zdanie jego nie utrzymało się. Udano się do kawiarni.

Tam przystąpili wszyscy do bilardu. Leopold Weiss miał największą i czystą chusteczkę do nosa; przy pomocy Branda zrobił z niej woreczek, doktór zaś rozpostarł ramiona i przesłaniając swem ciałem to, co tamci robili, wołał wciąż w stronę obu przeciwników: "Nie patrzeć!" Potem trzej przyjaciele wezwali Sieberta i Michelsena i podając im woreczek, zażądali, by każdy z nich włożył prawą rękę i wyjął kulę bilardową. Siebert pierwszy wysunął swą rękę i ujrzał w niej czarną kulę. Michelsen trzymał w ręku białą... Doktór Libenow uroczyście obwieścił wynik losowania.

* * *

Około południa na drugi dzień siedział Siebert na swem łóżku i przemyśliwał nad dokuczliwym bólem głowy, srodze mu dolegającym. Gdy uświadomił sobie wreszcie, że wina całkowicie spada na Bolsa, który urządził pijatykę, przypomniał sobie nagle, że jest, ni mniej ni więcej, jak tylko skazany na śmierć w przeciągu trzech dni.

Przeraził się, a równocześnie niemal mruknął:

— Ach głupstwo. Tamci pewno zażartowali i nie pamiętają już o tem.

Nie był jednak całkiem pewny i niepokój go ogarniał.

— Najgłupszy z tego wszystkiego powód... O taką Melanję!... Skąd przychodzi Michelsen do tego, by się za taką ujmować? Zresztą tak pijanym nie wolno być żadnemu człowiekowi. Zawstydzę go, wypominając mu takie pijaństwo. A jeśliby mimo to chciał tak postępować, jakgdyby między nami rzeczywiście zaszło coś poważnego, trzeba będzie poprostu zerwać z nim, jako z człowiekiem nieinteligentnym. Ale na dzisiejszą premjerę przecież przyjdzie. Musi mi przecież zwrócić sześć marek, które wyłożyłem na bilet dla niego...

W pewnym niepokoju jednak opuścił Siebert mieszkanie. Uczuwał potrzebę ujrzenia Michelsena, spojrzenia mu w twarz i wybadania jego miny. W restauracji nie spotkał go, chociaż zegar nie wskazywał jeszcze pierwszej. Wczorajsi kompani opuścili już l o k a l restauracyjny; było to sprzeczne z ich codziennemi nawykami. Chociaż Siebert nie dawał po sobie nic poznać i starał się wobec spotkanych w restauracji znajomych zachowywać swobodę i równowagę umysłu, to przecież skrycie trawił go jakiś niepokój. Pomyślał:

— Gdyby ci wszyscy wiedzieli o tej całej historji, jakżeby się wobec mnie zachowywali? Jestem naprawdę w osobliwem położeniu...

Głęboko zamyślony szedł ulicą. Zdawało mu się, jakoby z jednego ze sklepów wyszedł właśnie Leopold Weiss i zoczywszy go, dziwnie szybko wszedł do drugiego sklepu. Pewne to nie było, ale wkrótce potem dojrzał, że Brand, by się z nim nie spotkać, skręcił szybko w boczną ulicę... Niepokój Sieberta wzrastał. Kilkakroć przeszedł mimo domu, w którym mieszkał Michelsen. Wreszcie wszedł. Usłyszał przez drzwi głos Michelsena. Telefonował właśnie. Służący natomiast oświadczył Siebertowi, że pana niema w domu. Siebert chciał się uśmiechnąć ironicznie, jednak na twarz jego wypełzł tylko dziwny grymas.

Wyszedłszy, uczuł lekkie odurzenie.

— Że też takie rzeczy mogą się przydarzać! — mruknął. — Że nie można polegać na policji!

Instynktownie wrócił do swego mieszkania, a gdy zamknął za sobą drzwi, zawołał głośno, chociaż w pokoju nikogo nie było:

— Czy wszyscy powarjowali? Obchodzą się z nim tak, jakby rzeczywiście musiał popełnić samobójstwo! To już poprostu idjotyzm i bezczelność!

Opanowała go złość i począł przytupywać nogami; czynił to zresztą zawsze, gdy mu się nie udawały spekulacje giełdowe.

Po tem wyładowaniu temperamentu przyszło głębokie przygnębienie. Przypomniał sobie, że Michelsen jest sierżantem rezerwy.

— To wpływa na charakter — pomyślał. — Człowiek wdaje się z takim, myśli, że ma do czynienia z człowiekiem inteligentnym i zró-

wnoważonym, a to istny dzikus. Gdyby przynajmniej nie miał tylu świadków... Mógłbym powiedzieć, że to wszystko nieprawda, lub że nie ja wyciągnąłem czarną kulę bilardową, tylko on. Nie powinien byłem zgodzić się na taką głupotę.

Przemyślał długo nad niepojętym brakiem przytomności umysłu, który spowodował jego zgodę na pojedynek amerykański.

— A teraz żądają, żebym się zabił... Gdybym tego nie zrobił, rozgłosiliby wszystko.

W imaginacji widział już, jak wszyscy przyjaciele opuszczają go, gdzie się zjawi, odwracają się odeń dawni znajomi... gdy wchodzi do salonu, szepcą ze sobą damy i szafują złośliwemi docinkami.

— A więc być musi!... Nie spodziewałem się, że kiedyś będę musiał powziąć takie postanowienie... Ale jeżeli nie chcę, by się stało inaczej... Poznaje się wciąż ludzi. Bawi ich to, że wpędzają mnie do grobu... To śmieszne... Formalnie zaczyna się robić cicho dokoła mnie...

Przystąpił do lustra i przypatrywał się sobie przez długą chwilę. Uśmiechał się sam do siebie, pełen rezygnacji.

— Wrażenie wywrze to doskonałe, zwłaszcza wobec dam. Tak poprawnie przecież nie każdy postępuje. Jutro pójdę do Lietzmanów. Ostatnio przy kotyljonie panna Wikcia pokpiwała ze mnie, gdy powiedziałem coś naiwnego. Niech dziewczyna przekona się teraz, że nie jestem naiwną, tylko tragiczną postacią.

Zastanawiał się co ma począć trzeciego dnia (wiedział, że zwyczajem jest w takich wypadkach ustanowiony trzydniowy termin).

— Może urządzić doskonałą ucztę dla samego siebie? A że w tym wypadku nie potrzebowałby się troszczyć o następstwa dla żołądka, mógłby wreszcie zjeść homara i wypić tyle szampana, ileby tylko wlazło! Sposobność jedyna!

A jednak wyrzekł się tego pomysłu. Los jego miał się spełnić w bardziej dystyngowany sposób.

— Nie, to byłoby nie ładnie. Nie będę pił alkoholu, lepiej mi do twarzy z taką bladością, jak teraz.

Wybrał odpowiedni krawat i wsiadł do dorożki, by przejechać się po mieście i pożegnać ze światem. Fabryki na krańcach miasta nie imponowały mu więcej, natomiast wzruszało go tętniące na przedmieściach życie. Pomyślał o Michelsenie i wzruszył się również.

Wieczorem, podczas premjery — obok niego miejsce Michelsena było puste. W antraktach rozmawiał głosem cichym i przytłumionym. Pytano go czy jest cierpiący.

— O, to wkrótce minie — odpowiadał łagodnie.

Potem w większem towarzystwie był w dancingu, a wreszcie, pełen podziwu dla siebie, położył się spać w łóżku, które wydało mu się wyjątkowo wygodnem i czystem.

Przez cały następny dzień walczył z nudą. Wieczorem, gdy wszedł do salonu Lietzmanów, spostrzegł, że Michelsem wzdrygnął się.

— Aha, nie sądził, że przyjdę. Nie uważał mnie za tak silnego.

Brand, Leopold Weiss i doktór Libenow podali mu rękę, lecz robili takie miny, jakby czemprędzej chcieli ręce swe z uścisku uwolnić. Siebert patrzył im w oczy łagodnie, ale przenikliwie. Natknął się przytem na wzrok Michelsena; przeciwnik jego natychmiast spuścił oczy. Kilkakrotnie zauważył Siebert, że Michelsen przysłuchuje się jego rozmowie i temu, co mówił do panny Wikci.

— Czy pomyślała już pani kiedy, że właściwie każdy człowiek jest inaczej usposobiony? I że wszyscy muszą umrzeć i to każdy w innym czasie?

— Pan jest naiwny! — zauważyła młoda panna i poczęła się śmiać.

— Biedna, mała gąsko, — pomyślał Siebert. — Michelsen nie uważa mnie za naiwnego i nie śmieje się. On wie, jak tragiczna jest moja sytuacja.

Pani Klara Fichte także nie śmiała się. Odezwała się do Sieberta:

— Pan jest interesujący i głęboki...

Siebert usiadł obok niej. Miała trzydzieści lat i nie była łatwa do zdobycia. Siebert poczuł wkrótce, że jego interesująca bladość zatraca się, że twarz go pali. Mimo to pani Fichte była wciąż bardzo miła i uprzejma.

Potem, odurzony nie winem, lecz panią Fichte, wygłosił mowę, w której użył zwrotu: "Morituri te salutant". Spojrzał na panią Fichte, która wprawdzie nie znała łaciny, ale poufale się uśmiechnęła; gdy potem spojrzał na Michelsena, stwierdził, że ten niespokojnie poruszył się na krześle i wywrócił kieliszek z winem, stojący przed nim na stole.

Trzeci dzień nastał.

— Bądź co bądź, najcięższy dzień — pomyślał Siebert wczesnym rankiem, leżąc w łóżku. — Stać się musi! Ale przedtem trzeba niejedno załatwić.

Pozostał w domu i spisał testament. Wtedy to na jaw wychodzi, kogo się naprawdę lubi. Poczuł nagle wielką życzliwość dla Michelsena.

— Biedak, wczoraj miał bardzo kiepski wieczór...

Zapisał mu tuzin najnowszych krawatów.

— Gdybym miał chorobę chroniczną i umarł dopiero po kilku miesiącach, nie mógłby ich nosić. A że już dziś wieczorem... Wszystko ma swoje dobre strony...

Po spisaniu testamentu zadał sobie pytanie:

— Czy mam jeszcze co zjeść? Poco? Ale jeśli człowiek głodny...

Uświadomił sobie, że lepiej będzie, jeżeli jeszcze nie raz zasiądzie do dobrej kolacji.

— Jako zdrowy człowiek iść do djabła? Ależ to nonsens! Nie mam zresztą talentu na bohatera. A zresztę, czy mój rewolwer strzela? Jeśli się chce popróbować tego tu, w mieście, idzie się do kozy. A jeśli rewolwer wystrzeli, jakże łatwo można się na całe życie unieszczęśliwić! Wczoraj był stary Lietzman bardzo uprzejmy, a figlarne zachowanie się Wikci jest może tylko drożeniem się... Gdy się ma takie widoki przed sobą, trzeba być głupcem... A zresztą: gdybym był to na serjo planował, musiałbym się był więcej lękać. Znam się przecież. Tamci chyba nie mogą się naprawdę spodziewać, aby... Sprawiłoby to zresztą Michelsenowi wielką przykrość. On ma z pewnością więcej strachu niż ja. To pewne! A????

Postanowił nastraszyć Michelsena jeszcze bardziej, a to w ten sposób, iż upozoruje śmierć swoją, a sam zniknie bez śladu. Z wielką radością spakował swój kufer. Gdy był tem zajęty, otrzymał bilecik od pani Fichte, że oczekuje go u siebie.

— Śpieszy się jej — pomyślał — i mnie też śpieszno.

Wsiadając do dorożki zobaczył Michelsena, krążącego w pobliżu

domu; gdy uszczęśliwiony wracał od pani Fichte, ujrzał wciąż jeszcze wydreptującego kilkadziesiąt kroków tam i z powrotem Michelsena.

— Widocznie czeka, aż usłyszy strzał — pomyślał Siebert, bądź co bądź niemile tknięty. — Że też można być tak krwiożerczym!

Kazał służącemu, by kufer wyniósł tylnemi schodami, a sam opuścił dom bocznem wyjściem. W przedziale wagonu kolejowego rozkoszował się myślą, jak świetnie udał mu się figiel.

— Na razie będą mnie wspominali jak romantycznego bohatera... Panna Wikcia rzewnie nademną zapłacze. Klara, mam wrażenie, pozostawi przy sobie, że mnie dziś wieczorem widziała żywego. Gdy wrócę, będę z wszystkich kpił i to będzie wielce efektowne, a kto mi weźmie wyjazd za złe i powie, że właściwie powinienem być trupem, temu parsknę w twarz słowami: "Koń by się śmiał!"

I z wielką satysfakcją pomyślał o strachu i niepokoju Michelsena.

* * *

Fałszywy wstyd powstrzymywał Michelsena, by zaraz pierwszego dnia oświadczyć swemu przeciwnikowi, że wolałby widzieć go żywego, niż na łożu śmierci. Nie chciał zdradzać swej uczuciowości i przejawać większej troski, niż jego ofiara. Pełen zakłopotania unikał spotkania z Siebertem i spodziewał się w duchu: "Będzie przecież miał sam dość rozumu!"

Całkiem pewne to nie było. Oczekiwanie i wątpliwości tak wzburzyły Michelsena, iż raziło go drugiego dnia, że Siebert u Litzmanów zdołał sobie wszystkich, przedewszystkiem zaś panią Klarę pozyskać. Sukces Sieberta drażnił go; z lubością myślał: "Oto jutro ten człowiek musi popełnić samobójstwo."

A jednak mnożące się oznaki, iż Siebert faktycznie zamierza pożegnać się z życiem przerażały go. Trzeciego dnia uczuł Michelsen dolegliwości żołądka, był niezdolny do zajmowania się swemi interesami, nie poszedł do sklepu i wciąż prowadził z sobą rozmowy, kończące się stale zwrotem:

— Jakiż to bezwzględny człowiek!

Gdy ofiara jego odczuwała doń coraz większą sympatję i zapisywała mu w testamencie najnowsze krawaty, Michelsen czuł coraz większą nienawiść ku Siebertowi i życzył mu, by wpadł pod samochód i w ten sposób nie mógł popełnić samobójstwa.

Przez cały dzień czuł potrzebę odwiedzenia miejsc, w których spodziewał się zastać go jeszcze przy życiu. Zastawał natomiast Branda albo Leopolda Weissa lub doktora Libenowa. Wycofywał się wtedy pośpiesznie, stwierdzając, że i oni również starają się wymigać z jego towarzystwa. Albowiem żaden z trzech świadków zajścia, którzy początkowo na równi z Michelsenem traktowali Sieberta jak trędowatego, nie znosił obecnie żadnego z towarzyszy, którzy widzieli sprawę i brali w niej udział.

Wreszcie dowiedział się Michelsen, że Siebert bawi w domu. Od tej pory ani na chwilę nie opuszczał ulicy przed domem Sieberta. Trawiła go chętka, by wezwać policję; każde bicie dzwonów, każdy dzwonek tramwajowy, każde głośniejsze stuknięcie, przerażało go. Przedstawiał sobie Sieberta leżącego pod maską, przepojoną chloroformem lub skrwawionego, zwisającego bezwładnie z kanapy. Wyobrażał sobie, że zgryzł kawałek dynamitu i leży gdzieś bez głowy, oderwanej wybuchem.

O tej porze bawił Siebert właśnie u pani Klary Fichte...

Późno w nocy odważył się wreszcie Michelsen podejść do mieszkania Sieberta i zadzwonić. Nikt nie otwierał... Michelsen stał przeszło pół godziny i co pięć minut dzwonił. Przyszedł do przekonania, że przecież Siebert nie mógł go słyszeć. Nie żył przecie...

Michelsen schodził ze schodów drżący i blady...

Wałęsał się, póki lokale nocne były otwarte. Trzy razy był u Bolsa. Pomyślał:

— Oto ten słynny popęd zbrodniarza, że wraca stale na miejsce spełnienia zbrodni.

Gdy wreszcie wrócił do domu, uczuł, że żarówka lampki elektrycznej, którą właśnie chciał zapalić, jest gorąca. Michelsen przerażony cofnął rękę. Zadrżał na całem ciele. Dokoła było ciemno. Zdawało mu się, tuż u jego stóp leży ktoś.

Siebert! W mieszkaniu jego, Michelsena, popełnił samobójstwo!

Drżącą dłoń zbliżył ponownie do żarówki: była zimna... Zaświecił: na podłodze nie było nikogo... — Bezczelny! — pomyślał. — Teraz ja przez niego zwarjuję!

Z POLSKICH WIOSEK I MIAST



Kościół Mariacki w Krakowie.



Ruiny zamku, Ziemia Olkuska.

ZUZANNA RABSKA

TAJEMNICZY PODRÓZNY

NOWELA

PANI ANIA rozgościła się w przedziale drugiej klasy z uczuciem zadowolenia, że krótką podróż odbędzie sama. Zbyteczny był cały ten pośpiech. Do odejścia pociągu pozostawało jeszcze cztery minuty. Zdjęła kapelusz i rękawiczki, umieściła walizkę i paczki w siatce nad głową, a przy sobie postawiła koszyczek z czereśniami, który jej gospodyni w ostatniej chwili wstawiła na drogę do bryczki.

Na kupienie gazet nie było już czasu. Gdy się wychyliła przez okno wagonu, utrapiony krzykacz, sprzedający gazety, oddalał się galopem w przeciwną stronę i znikł w budynku stacyjnym.

Zamknąwszy oczy przypominała sobie, co ma w mieście do załatwienia. Lista sprawunków była zazwyczaj nieskończona. Były tam polecenia męża, gospodyni, bony, ogrodnika, nawet księdza proboszcza. Każdy coś miał do kupienia, do naprawienia, do zamiany. Obarczono ją nawet paroma małemi paczkami, które jej niemały kłopot sprawiały.

— Wszystko się zrobi, niechby tylko już raz ten pociąg ruszył — niecierpliwiła się.

Wydawało jej się, że im prędzej wyruszy ze stacji, tem prędzej będzie mogła wrócić do domu. Nie lubiła tych wyjazdów, które jednak były konieczne, gdy Jur miał więcej roboty przy gospodarstwie i nie mógł ze wsi się ruszyć. Zawsze sobie wyobrażała, że gdy jej nie będzie, coś we dworze, w ogrodzie albo we wsi stać się musi i to coś złego.

Kto da w porę pożywienie indyczkom? Kto dopilnuje, by prosiaki były zapędzone wieczorem do chlewa, a śliczne rasowe kury, do kurnika? Alboż to na kogo dziś liczyć można? Ach, ta służba, ach, ta służba!...

Przymknęła oczy. Czuła wielkie zmęczenie. Gdybyż choć zostać w tym wagonie samą, móc się wyciągnąć wygodnie na ławce i myśleć swobodnie, o czem się żywnie spodoba... Na wsi nigdy niema czasu na myślenie. Myślenie jest tam rzeczą zbytku. Nawet niedziela, z wiecznemi gośćmi z sąsiedztwa, z niepokojem, czy udadzą się lody na obiad, z koniecznością ubrania się i swobodnego rozmawiania, jest niesłychanie pracowita. Kiedyż więc wreszcie ten odjazd?

Niecierpliwiła się i spoglądała co chwila przez okno na okrągły zegar stacyjny.

W chwili, gdy rozległ się sygnał do odjazdu i wagon drgnął, drzwiczki otworzyły się raptownie i do przedziału wskoczył jakiś mężczyzna. Nie miał w ręku walizki, trzymał tylko jakieś papiery zwinięte w rolkę. Był bez kapelusza. Opadł na ławkę i głośno sapał ze zmęczenia.

Pani Ania przyglądała mu się ukradkiem z podrzęs. Był to młody jeszcze, trzydziestoletni mężczyzna, starannie wygolony, z włosami siwiejącemi na skroniach. Na ustach miał ironiczny, ale bardzo miły uśmieszek. Oczy jego były zupełnie ładne, jakby z lekka mgłą rozmarzenia zasnute, ruchliwe i co chwila zmieniające swój wyraz.

Temi oczami studjował panią Anię od stóp do głów. Wydało jej się, że odrazu zauważył wszystko; połamaną podeszwę trzewika i niestarannie utrzymane paznokcie i zbyt już może tłusty podbródek, ale jednocześnie była pewna, że ją uważa za bardzo ładną kobietę, bo taką była w istocie i nie można było, nie chcąc rozmijać się z prawdą, twierdzić inaczej.

— Ach, a może to nareszcie owa "przygoda w podróży", romantyczna przygoda, o której zawsze marzyłam? — myśli pani Ania, otwierając dość niezgrabnie koszyczek z czereśniami i wybierając sobie dwie najczerwieńsze.

Podróżny, który wpadł do wagonu w takim pośpiechu, patrzy na panią Anię, patrzy na czereśnie i nie przestaje się uśmiechać. Uśmiech jego jest życzliwy, wprost przyjacielski. Tak uśmiechają się dobrzy znajomi.

Za oknami wagonu przesuwa się szachownica pól, na których dojrzewają żyta, kwitną kartofle, niebieszczą się, to znów złocą łubiny. Pogodne niebo nad niemi zapięte, polinkowane równiutko drutami telegrafu. Na tych drutach przycupnięte, patrzą na przemykający pociąg jaskółki. Telegraficzne słupy raz po razu przecinają pola, jakby równo odgradzały jeden obraz od drugiego. Pociąg mknie coraz szybciej.

— Przestraszyłem panią — odzywa się nagle podróżny. — Ach, bardzo mi przykro. Nie było miejsca obok w wagonie. Pozostawał tylko ten damski przedział. O ile pani pozwoli, zostanę tu tak długo, póki mnie konduktor nie wyrzuci.

Słowa te są niby zwyczajne, całkiem naturalne, ale nie wiedzieć dlaczego brzmią dziwnie poufale. Czemu to przypisać?

Pani Ania rumieni się i z zapałem spożywa słodkie czereśnie, rzucając pestki przez okno w zielony, słoneczny świat. Niektóre z nich, rzucone niezręcznie, dzwonią o szybę. W koszyku ubywa owocu.

— Nie odpowiada pani? Ach, jakże wymowne jest pani milczenie! Więc mam sobie iść? Dobrze, zrobię to na najbliższej stacji.

Pani Ania zdobywa się na lekki protest.

— Ależ nie! Może pan zostać. Przecież miejsca jest dosyć. Ja jadę tylko do Tczewa...

— Ach, pani jedzie do Tczewa, doprawdy?

— Tak, do Tczewa. Dlaczego to pana dziwi?

— Tam mieszka moja matka...

— I cóż z tego? — chce zapytać pani Ania. Ale powstrzymuje się od pytania. Wszystko w tym

podróżnym jest takie dziwne... Nie jego słowa, ale ton, w którym te słowa są powiedziane, spojrzenia, ruchy, a nawet milczenie jego mają jakieś głębsze znaczenie. Ot naprzykład zdenerwowanie, z jakiem rolką papieru uderza się po ręku jest także niewytłumaczone i dziwne. I gdzie on tak jedzie bez rzeczy, bez kapelusza, z nieprzytomnemi, jakby zamyślonemi o czemś dalekiem oczami?

Gdy pociąg, zwalniając biegu, pnie się pod górę, przez otwarte okno wpada do wagonu ćwierkanie świerszczy. Na łące, zieleniącej się w słońcu mienią się łaciaste plamy krów. Tuż koło plantu podskakuje wystraszona koza, którą chłopczyna prowadzi na sznurku. Krzaki głogu wynurzają się z parowów jak bukiety kwiatów, podawane niewidzialną ręką.

— Życie jest piękne — odzywa się nagle tajemniczy podróżny, zapatrzony w okno.

Pani Ania skinęła głową. Wystraszone jej oczy zdobyły się na uśmiech.

— A my tak zupełnie nie umiemy korzystać z życia, proszę pani, z pięknego życia — ciągnął dalej. — A przecież nawet smutne życie więcej jest warte od pięknego zgonu...

Pani Ania drgnęła. Czego on właściwie od niej chce? Co ją może odchodzić, co ten obcy człowiek myśli o życiu i dlaczego ją tak gwałtownie i nieoczekiwanie wciąga w krąg swych osobistych myśli i refleksyj? Czyżby tak się miało zaczynać owo "uwodzenie", uwodzenie, o którem się tyle nasłuchała i naczytała?

— ...Pędzimy gdzieś przed siebie i wszystko pachnie dokoła, wszystko się uśmiecha, wszystko zieleni. Fikamy kozły, przewracamy się na trawie, igramy nogami i robimy głupstwa, a wszyscy się z tego cieszą. Bo jesteśmy dziećmi. A po tem — na świecie robi się szaro, nudno, wszystko się powtarza, wszystkośmy już kiedyś widzieli, i znaleźli, jesteśmy nudni dla innych i dla samych siebie, zaczynają się znajomości z lekarzami, z apteką; chore, gnijące cielsko wciąż się przypomina, wciąż narzuca, wciąż dręczy. I wtedy przychodzi wyzwolenie... Tak, proszę pani, wtedy na szczęście przychodzi śmierć...

— Proszę pana... — zaczyna oburzona pani Ania, trzymając w drżących palcach gałązkę z czereśniami, które wyglądają jak koralowe, długie kolczyki. — Proszę pana...

I chce mu odrazu powiedzieć, że reszty nie jest ciekawa, że może ją zachować dla siebie. Śmierć! Kto słyszał mówić o śmierci?! Jest to temat równie nieprzyzwoity jak nagość, jak jeszcze coś gorszego. O śmierci w przyzwoitem towarzystwie się nie mówi. Nie mówi się o niej z kobietą, której się nawet nie zna. Nie jest zupełnie ciekawa refleksji nieznajomego na temat śmierci. Życie jest łatwe i nieskomplikowane, jak zadanie arytmetyczne z pierwszej klasy. Tyle się miało i tyle się wydało. Na życie pani Ania się nie skarży. Konfitury z białych wiśni się udały w tym roku, żyto obrodziło, z owiec starczy wełny na ciepłe kożuszki dla niej i dla dzieci na zimę. A więc?...

— Wiem, co pani mi powie: że panią to wszystko nic a nic nie obchodzi. Ale mimo wszystko dowie się pani kiedyś, dlaczego to powiedzieć musiałem. Musi mnie pani do końca wysłuchać... Och, czasu jest już tak mało! Czy pani chce mnie prędko wysłuchać?

Pani Ania uzbraja się w cierpliwość.

— Dziwak jakiś — myśli w duszy — ale poczciwie z oczu mu patrzy. Nie chcę być śmieszną — postanawia mężnie wysłuchać wszystkiego do końca.

"Dziwak" tymczasem podsuwa się do niej, nachyla i gwałtownym szeptem oznajmia:

— Bo widzi pani, muszę panią uprzedzić, że ja tym właśnie pociągiem jadę... po własną śmierć... Tak!

Wyrzucił to z siebie jednym tchem i odsapnął z uczuciem ulgi.

— Innemi słowy jadę palnąć sobie w łeb tym oto rewolwerem.

I dla zupełnego przekonania o prawdzie swych słów, wyciągnął z kieszeni mały browning.

Pani Ania spojrzała nieprzytomnie na towarzysza podróży, na rewolwer, a potem na koszyk z czereśniami i na walizkę w siatce nad głową, szukając z wysiłkiem związku między temi przedmiotami. Siląc się na spokój i zaciskając wargi, drżącemi rękami zaczęła zbierać manatki, wszystko wypadało jej z rąk, czereśnie rozsypały się na ławkę, kapelusz został przygnieciony ściąganą w pośpiechu z góry walizką. Stacja! Boże — jaknajprędzej jakaś stacja!... — modliła się w duchu.

Pociąg mknął, jak dla przekory, coraz szybciej, i zakołysawszy się na zwrotnicach, minął jakąś małą stacyjkę. Słychać było przez jedno mgnienie oka dzwonki telegrafu. W sadzie, otaczającym domek dróżnika, dzieci na drabinie obrywające z drzewek wiśnie, przesyłały rączkami pozdrowienia w stronę pociągu i krzyczały coś głośno, ale słów ich nie można było rozumieć. Poczem głucho pod kołami zahuczał długi żelazny most.

Nieznajomy schował do kieszeni rewolwer. Tragiczna twarz jego nabrała spokojnego wyrazu.

— Wicehrabia de Camors zaczyna list do syna temi słowy: "Mój synu, życie mnie już nudzi, zakończę je..." Ale ja nie jestem wicehrabią de Camors. Życie dla mnie, ot naprzykład takiego słonecznego, letniego dnia, jak dzisiejszy, ma niesłychanie dużo uroku. Piłbym je jak wino, do utraty tchu, do utraty przytomności! Dziś jeszcze pożądam, jak lord Paradoks, owocu ze wszystkich drzew w ogrodzie świata...

Pani Ania, słysząc o owocach przypomniała sobie nagle, że jeszcze do tej pory nie zdążyła zrobić konfitur z agrestu, które Jur tak lubi, i nieznacznie zawiązuje supełek na chusteczce, aby po powrocie do domu zaraz się tem zająć.

— Jak kto? — pyta żałośnie.

— Jak lord Paradoks.

— Ach, tak!

Nieznajomy uśmiecha się teraz trochę po łobuzersku:

— Przepraszam, że mówię nieco po literacku, ale to tak z nałogu...

— Pan jest literatem? — pyta pani Ania i czepia się tej myśli, jak ostatniej deski ratunku.

— Bynajmniej. Ale z tą chołotą dużo z konieczności przebywam. Dziwi to panią?

Nie! Panią Anię nic już nie dziwi. Postanawia być mężną do końca, choćby jej przyszło wysłuchać

rzeczy jeszcze straszniejszych, najstraszniejszych jakie być mogą.

Napewno ten człowiek skłamał i jest literatem. Literatów trzymają się zawsze dziwactwa i świat im to wybacza. Ot, ten młody student, który spędzał u nich zeszłe lato, by chłopców przygotować do poprawki, był także literatem, pisywał sprawozdania z książek do jakiegoś pisemka, którego wyszły cztery numery, a także i wiersze. Boże, czego on nie wygadywał! Gdy przyjeżdżał ksiądz na preferansa, trzeba go było zawsze pod jakimkolwiek pretekstem wysyłać z chłopcami w sąsiedztwo, bo się uwziął na zacnego proboszcza, żeby go gorszyć i wyprowadzać z równowagi. Otóż to jest zupełnie taki sam typ.

Pani Ania jest tem odkryciem nieco uspokojona. Literat to nie furjat. Zawsze lepiej mieć do czynienia z literatem, niż z warjatem skończonym. Zresztą jak tylko miną trzy stacje, będzie po strachu. Trzeba być łagodną, aby narwańca niczem nie drażnić.

— A dlaczegóż, jeśli życie się panu tak podoba, wybiera się pan na tamten świat? — pyta z miłym uśmiechem i tak swobodnie, jakby rozpytywała o jaką ciekawą podróż zagranicą.

Nieznajomy zapalił papierosa.

— Chce pani wiedzieć całą prawdę? — wyrzuca już z za obłoku dymu. — A więc dobrze. Doprowadziła mnie do tego kobieta...

Oczy jego nabierają znowu tragicznego wyrazu, robią się tak straszne, jak przed chwilą, gdy wyciągał rewolwer. Cóż za zmienna twarz! Pani Ania przypomina sobie oczy aktora, którego oglądała na filmie w strasznym dramacie "Miłość i zbrodnia". Nie mogła przez kilka dni zapomnieć o tych oczach. Prześladowały ją po nocach tak, że musiała sobie zaparzyć kwiatu lipowego na uspokojenie nerwów.

Mimo wszystko ciekawość jednak przeważa.

— Kobieta pana do tego doprowadziła? — powtarza.

— Tak, zła kobieta. Kobieta, którą kocham do szaleństwa.

Pani Ania z biciem serca czeka, co usłyszy dalej. Doznaje przytem niewytłumaczonego uczucia żalu. A więc to nie będzie owa "romantyczna przygoda", ta, na którą czeka od tak dawna, a której się wypiera przed samą sobą, ta, o której opowiadałaby bez końca mężowi, bonie, gospodyni, a nawet księdzu... Jakaś zła kobieta... A jednak mimo wszystko, zaczyna to być ciekawe, jak książka, gdy się dobrnie do ostatnich rozdziałów. W szafce, w kancelarji jest kilka takich książek, które pani Ania w zimie, gdy ma więcej czasu, odczytuje po kilka razy, zawsze od środka do końca, bo tam są one najciekawsze. Zapomina o swym zawodzie i radaby dowiedzieć się jak najprędzej czegoś więcej o tej złej kobiecie.

— Są kobiety, które się karmią krzywdą innych serc, których napojem jest krew z samego serca. Nie mają spokoju, dopóki nie przekłują serca na wylot i nie wychłepczą wszystkiej krwi. Wpadłem w pułapkę. Angiolina postąpiła ze mną haniebnie. Chociaż wiedziałem wszystko, a jeszcze leżałem u jej nóg, karmiąc serce głupią wiarą, że mnie kocha. Kopała mnie, a ja wciąż jeszcze u stóp jej się czołgałem, jak ten pies. Dopiero gdy zaczęła ze mnie szydzić, obudził się we mnie zwierz. Uderzyłem ją. Na to tylko czekał Eryk, jej nowy kochanek, ukryty za kotarą. Wypadł i ciął mnie szpicrutą przez twarz. Domyśla się siostra... pani... reszty... amerykański pojedynek... kula w łeb... no, i po całej hecy!

Wyrzucił to z siebie jednym tchem. I nagle, nim pani Ania zdołała ochłonąć i objąć rozumem stek tych wszystkich okropności, rzucił się przed nią na kolana, w wąskiem przejściu między ławkami wagonu i przytulił głowę do jej kolan, a wargi do jej rąk.

—O, siostro... o, pani, gdyby móc umrzeć, patrząc w twoje dobre, ciche oczy, co są jak zatoki dla żeglarza, słuchając twego spokojnego, jak szmer źródła głosu... umrzeć takiego dnia, jak dzisiejszy... pełnego słońca, tu, przy klasztornej furcie...

Pani Ania jest wzruszona do łez, bo łzy, prawdziwe łzy drżą w głosie nieszczęśliwego młodzieńca. Nie przychodzi jej na myśl zapytać, czemu to ją nazywa siostrą i dlaczego w zakopconym, brudnym wagonie, gdzie zaczyna być gorąco nie do zniesienia, widzi furtę klasztorną? Bezwiednym, kobiecym ruchem bierze głowę nieznajomego w obie ręce i tak trwa przez chwilę bez ruchu, pełna głębokiej litości i współczucia. Jak bardzo musiał cierpieć ten człowiek, aby być zmuszonym jej, obcej zupełnie kobiecie, której już może nigdy w życiu nie zobaczy, wyjawić swe cierpienie! To, co powiedział o samobójstwie, jest oczywiście przesadą. Ale nie jest przesadą jego miłość i jego łzy. Mężczyźni tak rzadko płaczą. Nie pamięta, aby widziała kiedy płaczącego Jura.

— Niech się pan uspokoi — prosi. — Jeszcze wszystko może się odmienić...

Ale nieznajomy zaprzecza głową z rozpaczą.

— Kochałem ją. O, siostro! Gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy, poznałem jednocześnie miłość i ból. Miłość i ból to kochające się rodzeństwo, które bez siebie żyć nie może. Gdzie miłość idzie, tam za nią ból podąża. Wybacz mi siostro... Już sobie idę. Ale jestem szczęśliwy, że w ostatniej chwili mego życia poznałem kobiecą dobroć, poznałem ciebie...

— Biedny... biedny... — powtarza pani Ania półgłosem.

W tej chwili otworzyły się drzwiczki pędzącego wagonu i wsunął się konduktor aby sprawdzić bilety. Zrobił mrukliwie jakąś uwagę o tem, że to damski przedział, uśmiechnął się na widok podnoszącego się z kolan mężczyzny i pośpiesznie zesunął się ze schodków, zatrzaskując za sobą drzwiczki.

Nieznajomy przetarł chustką czoło. Oczy jego, wciąż napół przytomne, utkwione były w przestrzeń. Wygolona starannie twarz była w tej chwili zupełnie martwa. Znowu inny wyraz, inna maska.

Pani Ania zaczęła nabierać otuchy. Tyle ludzi zdołała już w życiu pocieszyć i uspokoić, ostatnio Jura, gdy wydalony ogrodnik potłukł przez zemstę wszystkie szyby w inspektach. Może i tym razem jest to łatwiejsze, niż się wydaje. Cała w tem trudność, że nie umie nigdy ładnie, a choćby dokładnie wypowiedzieć tego, co myśli. Zawsze brak jej wyrazów, nigdy nie podchodzą na zawołanie te, które są właśnie potrzebne. Wyrazy u niej są zupełnie

jak niegrzeczne dzieci, które udają, że nie słyszą, gdy się je woła... Wieczny z niemi kłopot!

Tajemniczy podróżny zatoczył się i upadł na ławkę, bo pociąg znowu wjechał na jakąś zwrotnicę. Nagle zatrzymał się. Za drzwiczkami wagonu przebiegający ludzie z walizkami mówili coś głośno, nawoływali się. Ktoś drzwiczki otworzył i bez wiadomej przyczyny zatrzasnął je znowu. Po chwili pociąg ruszył z miejsca. Zrazu posuwał się wolno, poczem mknął znów z zawrotną szybkością, przecinając pola, drogi, rzeki...

— I znowu minie chwila... i znowu zabraknie odwagi. Weininger twierdzi, że każdy przyzwoity człowiek sam powinien zadać sobie śmierć, gdy czuje, że się staje absolutnie zły. Otóż ona, Angiolina, uczyniła mnie absolutnie złym. Targnąłbym się na wszystko, tak! Ale niech pani to nie przeraża. Pani jest święta. Nie uczynię pani żadnej krzywdy. Ale z sobą czas już skończyć.

Pani Ania usunęła się zlekka.

— Niech się pani nie boi. Nie tu, nie w tym wagonie, przez wzgląd na panią...

Zamyślił się przez chwilę i nagle, z oczami utkwionemi w jakiś daleki punkt, wyszeptał:

— Wyciągnąłem czarną gałkę i muszę umierać! Nie ma rady. Trzeba być twardym, bezwzględnym dla samego siebie. I tylko mi żal staruszki matki. Kto jej wieść zaniesie? Kto przygotuje? To prawda, że starzy ludzie nie przejmują się już śmiercią niczyją. Żegnają bliskich tak, jak się żegna przemijające pory roku. Ale ona z tem swojem sercem gołębiem, żyjąca w swym białym domku, wśród gołębi, moja siwowłosa gołąbka-mateńka! Jak ona zniesie ten cios — śmierć jedynego syna?

W głosie nieznajomego nadźwięczały znowu łzy. Pani Ania ukradkiem otarła oczy chusteczką. Nic nie było wstanie więcej jej wzruszyć, jak wspomnienie matczynej miłości. Straciła matkę w dzieciństwie, nie znając jej prawie, ale była dla niej jak święty obraz, jak coś najświętszego na świecie...

— Pani płacze? — usłyszała zdziwiony głos towarzysza podróży. — Doprawdy pani płacze?...

Nachylał się nad nią i uśmiechał w zachwyceniu. W głosie jego brzmiała radość.

— Cóż w tem dziwnego? — bąknęła pani Ania, nie pragnąc mówić o sobie i o swych drogich wspomnieniach.

— Kobiety są jednak przeraźliwie czułe — konstatuje dziwny człowiek z odcieniem ironji w głosie.

Słowa te powiedziane są w zupełnie innym tonie, niż wszystko to, co mówił poprzednio. Tym tonem jest pani Ania wprost zaskoczona.

— Pan jedzie teraz do matki? — przerywa, chcąc nawiązać wkońcu jakąś naturalną rozmowę.

— Nie, pani. Już mówiłem. Jadę po śmierć. Pies, czując swój koniec, daleko za dom się wlecze, bo nie chce bliskim sprawiać kłopotu. Tak samo i ja...

Znowu! Pani Ania podskoczyła na ławce. Ten człowiek najwyraźniej nad nią się znęca. Czyż będzie tak ciągle straszył ją swą śmiercią? Przecież to jest okropne! Nie zna go wcale, nic ją jego życie w gruncie rzeczy nie obchodzi, tem bardziej nie powinna ją obchodzić śmierć jego. A jednak, choć każdej minuty ginie przecież setki istnień ludzkich na świecie, okropne jest, gdy ktoś umiera... Brrr! Nie sposób tej myśli przemyśleć do końca!

Pani Ania przyglądać się poczęła nieznajomemu z przerażeniem. Nie widziała jego twarzy, bo stał w otwartem oknie, obrócony do niej plecami. Za jego głową przesuwał się teraz las, migały jedne za drugiemi białe pieńki brzozowe. Pociąg dyszał i pędził. Podróżny wyrzucił przez okno papierosa i odwrócił się nagłym ruchem.

— Zrobi pani to, o co poproszę? Prawda, że pani zrobi?

— Nie wiem o co panu chodzi — broniła się już zgóry.

Patrzał jej prosto w oczy. Nie mogła się oprzeć wrażeniu tych oczu, tak wymownych i zmieniających co chwilę swój wyraz. Nigdy w życiu nie widziała takich "mówiących" oczu. To nie były oczy zwyczajnego człowieka. Opowiadają o czemś bez przerwy, nawet wtedy, gdy milczą usta. Czasem był w nich nawet przyczajony krzyk, jak wtedy, gdy wymienił imię tej złej kobiety, czasem cisza, jak wtedy, gdy zachwycał się życiem. Szczególny człowiek i szczególne oczy!

— Zrobi mi pani łaskę? — odzywa się pokornie.

— Co będzie w mojej mocy... — chciała się wymawiać, ale nieposłuszne słowa zabrzmiały jak przyrzeczenie.

— Chodzi mi o to, by moja staruszka dowiedziała się o tem od pani. Bóg mnie tu, do siostry... do pani skierował. Nikt inny, tylko pani jej to tak poczciwie, po kobiecemu wytłumaczy, przełoży... Prawda, że to pani dla mnie zrobi? Będę się za siostrę modlił w ostatniej mej godzinie. Niech staruszka wie wszystko, o wszystkiem jej trzeba powiedzieć, byle ostrożnie. Niech ona jedna pozna do dna bezmiar mojego nieszczęścia, ona, co tę kobietę także kochała, bo każdy ją musiał kochać, kto ją poznał. O, siostro, piękna była Angiolina! Niebo, co pali się o zachodzie nie ma barwy od jej włosów goretszej! Jej wargi, roztapiające się pod mojemi wargami... jej słodkie wargi i chłodne zęby... Oh, niema na świecie takiej kobiety, takiego widoku na ziemi, który mógłbym z Angioliną porównać! Nie żal mi niczego w życiu, tylko żal jej piękności, która całą piękność świata w sobie zamyka! I gdy odejdę, żal mi będzie tylko tych chwil, gdy na nią patrzyłem!

— Jak on ją kocha! — pomyślała z zachwytem pani Ania. — Jak mogła ta kobieta tak go skrzywdzić i odtrącić? Czyż naprawdę istnieją na świecie tak złe kobiety? To była napewno aktorka. Tylko aktorki potrafią być takie złe. Napewno nosiła Bóg wie jak głęboko wycięte suknie i dostawała kwiaty od mężczyzn. O takich kobietach mówią mężczyźni tylko wtedy, gdy są między sobą i gdy dobrze podpili. Nieraz Jur ze swoich kawalerskich czasów wywleka wspomnienia o takich damach i opowiada o nich kawały młodemu "aplikantowi".

— No, i jak będzie? — wyrwało ją z zadumy pytanie nieznajomego. — Powie jej pani? Przyrzeka pani?

Oprzytomniała.

— Ależ ja matki pana wcale nie znam... Nie mogę... Skądże znowu... Nie będzie chciała mnie przyjąć... Zresztą nie uwierzy napewno...

—Pójdzie pani do mojej matki — powiedział z na-

ciskiem mężczyzna tonem tak stanowczym, iż pani Ania nie miała odwagi ani mu przerwać, ani się wymawiać. — Powie pani, że spotkała mnie pani w wagonie. Będzie pani zresztą wiedziała jak i co powiedzieć. Kobiety mają instynkt, który ich nigdy nie zawodzi. Moja matka mieszka w domku z czerwonej cegły w brzydkim, typowo niemieckim domku. Idąc ku miastu, będzie pani musiała tak czy owak, przejść tamtędy. A ja pojadę dalej... i wysiądę na następnej stacji... O, już widać Tczew... w chwili, gdy pani zapuka do niej, ja...

Wychylił się przez okno. Siwiejącemi na skroniach włosami zaczął targać wiatr. Pani Ania oszołomiona, napół przytomna, włożyła kapelusz i rękawiczki. Czyniła to machinalnie, modląc się, aby już było po wszystkiem i zupełnie nie wiedząc, jak sobie poradzi z tem, co ją zaskoczyło.

Dobierała słów i znowu nie mogła nic powiedzieć. Jej jasna twarz, pełna dobroci, była tak skłopotana, że młodemu człowiekowi najwidoczniej zrobiło się jej żal.

Podał jej rękę i mocno ścisnął dłoń.

— Niech mi pani wybaczy — powiedział szorstko i szczerze, znowu z całkiem odmiennym wyrazem twarzy. — Musiałem tak postąpić. Tak, a nie inaczej. Wszystko to pani niedługo zrozumie i roześmieje się z dziwaka. Widzi pani, doszedłszy do pewnych lat, korzysta się z każdej okazji. Oczywiście mam na myśli okazje godziwe. Spotkanie z panią było dla mnie właśnie taką okazją. Nic więcej powiedzieć na razie nie mogę. No, do widzenia! — dodał szybko, gdy pociąg zatrzymał się w hali dworcowej. — Niech się pani rozchmurzy!

— Do widzenia — odpowiedziała bezdźwięcznie pani Ania, nie wiedząc, co się z nią dzieje.

Pomógł jej wynieść z wagonu walizkę, koszyk, jakieś niezliczone paczki i zawiniątka. Nie sprzeciwiała się, zapominając za wszystkie przysługi podziękować.

— Może to był jaki kawał? — przemknęło jej przez myśl. — Może w tem wszystkiem niema cienia prawdy?

Wśród gwaru i rozgardjaszu dworcowego stała bezradna, licząc bez końca swe pakunki, potrącana przez biegnących i głośno się nawołujących podróżnych.

— Niech pani pamięta: czerwony dom po prawej stronie, zaraz za dworcem, w szerokiej alei! — zawołał nieznajomy, wychylając się przez okno wagonu.

Więc to wszystko było prawdą? Nie miała odwagi odejść od wagonu, zlać się z tłumem. Przez chwilę myślała o tem, by ten wagon polecić specjalnej uwadze konduktora i oglądała się za jakimkolwiek kolejarzem. Na szczęście zobaczyła, jak się do niego winduje tłusta jejmość z dwojgiem dzieci, a w ostatniej chwili wskakuje jakiś oficer. Więc nie będzie sam!

Pociąg ruszył.

— Do widzenia! — zawołał raz jeszcze nieznajomy. — Do widzenia słodka, najsłodsza... okazjo!

Pociąg wytoczył się z hali majestatycznie, poważnie. W wagonach czwartej klasy śpiewały dzieci szkolne, jadące na majówkę. Ten śpiew przeszył panią Anię nawskroś. Więc jest jeszcze wesołość na świecie?

Napół przytomna opuszczała dworzec, dźwigając pakunki, czego nigdy sama nie robiła.

W alei wysadzonej drzewami oprzytomniała.

— Nie ma sensu, nie wstąpię do tego domu. Ten warjat mógł się rozmyśleć i nie uczynić tego, czem groził, a jabym zupełnie niepotrzebnie nastraszyła zacną staruszkę...

Nagle wpadł jej w oczy brzydki, typowo niemiecki czerwony dom, małym sadem otoczony, To był ten dom. Nie, nie wejdzie... Ale te jego oczy, te oczy, gdy ją prosił...

Przypomniawszy sobie wyraz oczu nieznajomego pani Ania zatrzymała się przed furtką. Może kłamały słowa nieznajomego, ale z pewnością oczy jego kłamać nie mogły. W tych oczach była prośba, był krzyk.

Pchnęła odważnie furtkę i weszła do ogrodu.

Na progu domu stała cudacznie ubrana, tęgiej tuszy kobieta, w szlafroku podejrzanej czystości, w japońskie desenie. Twarz tej kobiety, chcącej się najwyraźniej odmładzać, biała od pudru, podobna była do maski. W żółtawo-rudej spiętrzonej fryzurze tkwił wielki czerwony grzebień z celuloidu.

— Czego pani tu chce? — zapytała niegrzecznie.

Jednocześnie biały foksterier ujadał zawzięcie na środku ścieżki.

— W tym domu mieszka podobno jakaś staruszka... z gołębiami... — zaczęła bąkać pani Ania. — Właśnie jechałam koleją z jej synem... Kazał mi tu przyjść...

— Żadna staruszka tu nie mieszka. To omyłka. To jest mój dom. Czego pani sobie życzy?

Była podrażniona i tak nieprzychylna dla pani Ani, że ta w popłochu myślała jak się wycofać z tej awantury.

— No, i jak długo będzie pani tu stać? — spytała nieprzyjemna osoba, a jej piesek szczekał coraz natrętniej.

— Przepraszam — wybąkała pani Ania, biorąc do ręki walizkę i kierując się ku wyjściu.

— Zaraz... zaraz... Z moim synem pani jechała, mówi pani? Zgadza się. Mój syn mógł właśnie dziś przejeżdżać przez Tczew, jadąc do Grudziądza na występ... Proszę, może pani pozwoli do środka... — dodała uprzejmiej.

— Na występ do Grudziądza? — myśli pani Ania zdumiona.

— Cóż to za głupi kawał z tą staruszką z gołębiami? Ach, tego łobuza zawsze się trzymają jakieś kawały — mruczy leciwa dama, krzywiąc się i pretensjonalnym ruchem owijając się w japoński szlafrok. — Powiedział naprawdę, że tu mieszka staruszka?

— Tak — mówi odważnie pani Ania.

— I co on tam jeszcze naplótł? — dopytuje się dama. — Poczciwy chłopak, ale czasem trzymają się go całkiem kiepskie dowcipy.

Pani Ania milczy.

— Może pani chwileczkę spocznie — mówi gruba dama, siadając pierwsza na ławce przed domem i wysuwając przed siebie bose nogi w sandałach. — Okropnie dziś gorąco.

— Tak, bardzo gorąco — potwierdza pani Ania.

— Jak tu zacząć — myśli pani Ania. — Po pierwszych słowach naturalnie ta śmieszna jejmość domyśli się wszystkiego. A wtedy spazmy, płacze... Jak ją będzie ratować? Na szczęście na otyłej figurze

nie widać gorsetu. Nie jest także wykluczone, że ledwie pani Ania wykrztusi z siebie parę wyrazów, tamta roześmieje się w głos. I jedno i drugie będzie bardzo nieprzyjemne. A jednak czas ucieka, dama w szlafroku japońskim, siedząca przy niej, zdaje się niecierpliwić i aby skrócić sobie czas, czyści zębem czerwonego grzebienia wyjętego z włosów, brudne paznokcie...

— Pani syn polecił pani powiedzieć, iż... doszedłszy do przekonania, że tamta kobieta go nie kocha, a nawet z niego drwi...

— Co za kobieta?

— Pani ją zna. Angiolina!

— Angiolina?!

— Tak, Angiolina. Pani syn bardzo przez nią cierpiał. Niech mi pani wierzy, że strasznie cierpiał i dlatego tylko... Przecież ja go prawie nie znam... tyle co w wagonie... A serce mi się krajało. To była zła kobieta. Ona i Eryk...

— Eryk?!

— Tak, Eryk...

— Cóż to znowu za Eryk?

— Jej kochanek!

— Eee! — mówi pretensjonalna dama i odsuwa się nieco od pani Ani, aby się jej lepiej przyjrzeć od stóp do głów. To "eee" jest pełne lekceważenia, pogardy a także i zniecierpliwienia. Ale pierwszy krok już zrobiony i pani Ania odważnie idzie dalej.

— Poprostu z niego zadrwili... To jest okropne... Pani syn ma ambicję, przytem on ją strasznie kocha. Ach, proszę pani, żeby pani wiedziała jak on ją szalenie kocha, tę Angiolinę. Dlatego właśnie musiał tak postąpić...

— Jak postąpić? Ee, brednie jakieś pani mi tu opowiada! Co mnie te jego kawalerskie historje mogą obchodzić? Każdy młody człowiek ma swoje romanse, swoje miłostki. Wiem coś o tem i mogłabym ze swego życia, kiedy nie miałam jeszcze sprzysiężonych przeciw sobie dyrektorów teatrów, coś niecoś opowiedzieć. Ale skądże znowu taka szczerość? Nigdy mi się nie zwierzał...

— Bo to właśnie nie jest żadna miłostka ani historyjka... Tu chodzi o pojedynek amerykański z Erykiem... — wyrzuciła z siebie jednym tchem pani Ania i spuściła oczy.

Przez chwilę zapanowało milczenie. Na drodze zaturkotał ciężko naładowany wóz i pies, wybiegłszy przed furtkę znów zaczął zapamiętale ujadać. Poczem cicho zadzwonił dzwonek przejeżdżającego cyklisty.

— Amerykański pojedynek... Zaraz, zaraz... Już wiem! Ha, ha, ha! To paradny kawał!

Leciwa dama zaczęła się śmiać głośno, nerwowo, aż się pokładała. Trząsł się przytem jej podbródek, czerwony grzebień we włosach i obwisłe piersi. Był to śmiech nienaturalny, taki, jakim śmieją się na scenie. Pani Ania przygotowana była do tego, że w pierwszej chwili usłyszy płacz lub śmiech, ale mimo to ten śmiech histeryczny sprawił jej niewymowną przykrość. Nie było się z czego śmiać. Jeśli z samobójstwem był kawał, miłość i rozpacz nieznajomego były prawdą. Dlaczegóż bowiem jej, przygodnej towarzyszce podróży, zaczynał o tem mówić?

— Z czego się pani śmieje? — pyta dotknięta do żywego.

— Z czego się śmieję? A amerykańskiego pojedynku mego syna! Ha, ha, ha! Przecież to była jego rola! Pisał mi o tem. Tak, jego rola, słyszy pani? Pani tego nie spostrzegła, że on przed panią urywki swej roli recytował! Teraz już sobie przypominam: Angiolina, Eryk! Ależ to z tej kiepskiej sztuki młodego autora! Zgóry go przestrzegałam, że roli nie ugryzie. Lepiejby sobie głowy nie zawracał. On, urodzony komik, chce grać rolę lirycznego amanta! No, wiecie państwo!

Zaśmiewała się, klepiąc się po tłustych udach.

— Może pani opowiadał i o siostrze Marji? Bał się najwięcej sceny przy furcie klasztornej. Publiczność powinna mieć wtedy łzy w oczach. Ale gdzie on tam zagra tę rolę! To nie dla niego.

— Ja byłam właśnie tą siostrą Marją — przerywa cicho i skromnie pani Ania i oczu nie śmie podnieść.

Znowu słyszy ten przesadny, niepohamowany śmiech. Z czoła damy spływają krople potu.

— Ach, doprawdy to zabawne, to okropnie zabawne. Pani widocznie chodzi rzadko do teatru? Nie osłuchała się pani. Bo ja to mam takie czułe ucho, że zaraz każdą blagę odkryję. To mi z moich teatralnych czasów zostało. Nigdyby mnie nie można wziąć na kawał. Oh, i zagrać jeszczebym potrafiła, choćby Marję Stuart. My wszyscy w rodzinie kochamy teatr. Mój syn ma to po mnie. Ach, kochany łobuz! Marzeniem mojem było zagrać choć raz z nim razem. Cóż, kiedy się ma naokoło samych wrogów, same intrygi, a człowiek nie umie się bronić, gdy mu nogę podstawiają...

Rozgadała się o sobie, ale pani Ania nie słuchała wynurzeń aktorki. Zdrętwiała. Dopiero ocknęła się, gdy ją tamta chwyciła za ręce.

— Więc pani nic nie spostrzegła? Mój Boże! Znaczy to, że trafił na właściwy ton. Okropnie jestem rada! Och, jakaż jestem rada! I jak strasznie pani wdzięczna!

I nagle objęła panią Anię i nim ta zdołała oprzytomnieć, zaczęła ją ściskać i całować. Powiało na panią Anię całą falą pudru, skomplikowanych perfum, kosmetyków. Tłuste wargi, brodę z ostrą szczeciną włosów poczuła na swoim policzku. Co chwila muskały ją pęki loków z fryzury kabotynki.

— Więc o to mu chodziło? — przemknęło się jej przez myśl. I usunęła się zlekka.

Nagle uczuła pewien zawód. To, co wydawało się jakąś straszną tragedją, taką, jakie spotyka się w książkach i kinach, okazało się poprostu zwykłą farsą, groteską. Niedoszły samobójca siedzi teraz w wagonie i pęka ze śmiechu. Doprawdy arcygłupia jest ta cała awantura. Nie można o niej nawet Jurowi wspominać... Skompromitowałaby się. Mąż, chłopcy, elew gospodarczy, cały dom wypominaliby jej tego aktora do końca życia...

Uczyniwszy to solenne przyrzeczenie, pani Ania wstaje z ławki, podnosi walizkę i nasuwa na palec sznurki od paczek.

— Do widzenia pani — mówi tonem nieco dotkniętym. — Muszę iść już do miasta, bo nie zdążę załatwić wszystkich sprawunków. Pociąg mój odchodzi o piątej z minutami...

Ale aktorka w przystępie szczerości chwyta ją znowu za ręce.

— Co znowu. Nie puszczę pani! Odpocznie pani u mnie, napijemy się kawy! nalega serdecznie, a biała maska z pudru zdobywa się na miły uśmiech. — A

przedewszystkiem muszę panią za tego łobuza przeprosić. Już ja mu uszu natrę. Nastraszyć takie śliczne, młode kobieciątko! Plótł pani Bóg wie co o tem, że się zabije, bo tak się ta sztuka kończy. Ach, to do tego miała mnie pani przygotować? Ha, ha, ha!

I znów zadzwonił głośny nerwowy śmiech.

— Niech już mu pani wszystko daruję, błagam panią. Dla miłości sztuki, jak się mówi w teatrze. On się tak bał tej roli, a tak się do niej palił! Pani tego nie może rozumieć... Komik, który po raz pierwszy ma zagrać rolę tragiczną! To jest eksperyment, proszę pani, to nie są żarty! Daj Boże, by mu się tak powiodło na scenie, jak przed panią! Sztuka padnie niechybnie, ale niech zobaczą! Syn Dziubińskiej i taką rolę dźwignie! Niech pękną z zawiści! Niech ich cholera!...

Pogroziła pięścią w stronę niewidzialnych wrogów, którzy czyhali na nią i na jej syna. Poczem całą swoją ogromną, tonącą w tłuszczu postacią, zagrodziła furtkę przed panią Anią.

— Nie puszczę! — wdzięczyła się z minką naiwnej, tak jak kiedyś, gdy odbierała oklaski w teatrze.

Pani Ania doznała niesmaku.

Niesposób było się wymówić, aktorka okazała się wprost natarczywą. Zakrzątnęła się koło kawy z iście młodzieńczą energją. W pokoju, do którego wprowadziła panią Anię, wisiały na ścianach spłowiałe, jedwabne wstęgi, z których napisów połowa złotych liter już poodpadała. Za te wstęgi pozatykane były fotografje pani Dziubińskiej w niezliczonych, bardzo pretensjonalnych pozach, oraz kilka fotografij koleżanek i kolegów teatralnych. Na stole, przykrytym w pośpiechu brudną, czerwoną serwetą, zjawiły się filiżanki, talerzyki, imbryczki, koszyczek z pieczywem, a także duża salaterka malin.

— Zabawna przygoda! — śmiała się w duszy pani Ania, smarując grubo chleb masłem, bo była głodna po podróży. — Chyba nie wytrzymam i o wszystkiem w domu opowiem. Niech się uśmieją!

Gdy już miała wstawać od stołu, podjadłszy do syta, spostrzegła między dwiema fotografjami matki fotografję swego tajemniczego towarzysza podróży, z okiem zmróżonem, z twarzą rozweseloną po łobuzersku.

Uśmiechnęła się do niego, jak do dobrego znajomego, darowując mu tym uśmiechem wszystkie winy.

— Ładny chłopiec, prawda? — zapytała aktorka, idąc oczami za spojrzeniem pani Ani. — Trochę podobny do mnie.

I nalała gościowi śmietanki na maliny.

— A jak on gra Fonsia, żeby pani wiedziała! Pani oczywiście była na "Weselu Fonsia"? Grał tego lata w Pucku, w Wejherowie, a nawet w Toruniu. Ale nie tylko Fonsia Dziubiński weźmie. Dać mu Juljusza Cezara, ręczę, że zagra, może nawet lepiej od Szpilewicza. Moja krew!

I wpatrzyła się z dumą w portret syna.

Gdy pani Ania już stanowczo pożegnała się i podziękowała za gościnę, komplementując co do wybornej kawy, przepysznych malin, a nawet miłego pieska, stara aktorka odprowadziła ją uprzejmie do furtki ogrodu.

— Ale z tą siwą staruszką, to był kiepski żart! — zamruczała do siebie, upierając się przy swej myśli. I nie mogła długo tej obrazy synowi zapomnieć.

REMIGJUSZ KWIATKOWSKI.

Z AFORYZMÓW WSCHODNICH

Nie gnij się jak trzcina
nie sztywnij jak dąb,
choć będzie przyczyna
nie gnij się jak trzcina...

Źle, gdy się kto zgina
lub kij łyka w głąb —
nie gnij się jak trzcina
nie sztywnij jak dąb.

* * *

Cierpliwości gorzkie liście
lecz słodkie owoce,
tem smaczniejsze oczywiście,
iż gorzkiemi były liście.

Nic, żeś naklął się siarczyście,
czekając dnie, noce —
cierpliwości gorzkie liście,
lecz słodkie owoce.

Kiedy prawi kto do rzeczy,
to krótko i szczerze,
nikt takiemu nie zaprzeczy,
kiedy prawi kto do rzeczy...

Prawdę taką miej na pieczy,
gdy cię mowność bierze —
kiedy prawi kto do rzeczy,
to krótko i szczerze.

* * *

Gdzie miłości nie masz w sercu
tam kiełkuje zbrodnia,
bujny chwast na łąk kobiercu,
gdzie miłości nie masz w sercu.

Człowiek taki przeniewiercą
zło czyniącym co dnia —
gdzie miłości nie masz w sercu,
tam kiełkuje zbrodnia.

Gdy patrzy sierota,
nie całuj swych dzieci,
nie w porę pieszczota,
gdy płacze sierota...

Ból, który nim miota
złą głownię roznieci —
gdy płacze sierota,
nie całuj swych dzieci.

* * *

Nie zginaj się jak dromader,
co ma aż dwa garby,
bo cię to oszpeci nader,
nie zginaj się jak dromader...

I choćbyś pił z cudzych wiader
na wdzięczności karby —
nie zginaj się jak dromader
co ma aż dwa garby.

NIEWOLNICY ZABOBONÓW

CIEKAWE PRZESĄDY ŚWIATA PRZESTĘPCZEGO — "PECHOWE DNI" — "ZŁY WZROK" — NAPOJE MIŁOSNE — SZCZĘŚCIE ZŁODZIEJSKIE — KREW OFIARY WOŁA . . . — CIEKAWE TALIZMANY — MISTERIA SAMOBÓJCZE.

W dzisiejszym wieku radia i aeroplanów tak samo istnieje wiele zabobonów, jak w zamierzchłych czasach. Przesądy ignorują wykształcenie i inteligencję i często kierują w sposób niewytłumaczony i fantastyczny czynami ludzkimi. Żaden człowiek nie jest wolny od zabobonów, aczkolwiek często nie chce się do tego przyznać, lub nawet nie wie o tem, a jedynie w podświadomości prowadzą swój tajemniczy żywot "pechowe dni", "zły wzrok" "zapatrzenie się" i inne tajemnicze znaki. Często spotykamy jednak i to we wszystkich sferach, ludzi naszpikowanych przesądami, którzy nie chcą wrócić, gdy wychodzą z domu, bacznie śledzą każdego kota, aby im tylko drogi nie przebiegł, nie witają się przez próg i wiele innych.

Są przesądy ogólno ludzkie, są zabobony osobiste lub rodzinne, są wreszcie zawodowe.

Niewyczerpanym źródłem zabobonu jest medycyna ludowa. We wszystkich czasach istniały i nadal istnieją napoje miłosne, przyrządzane często w sposób najbardziej fantastyczny. Mniej poetyczny jest sposób leczenia alkoholików pianą z ust zmarłych, lub epileptyków zmurszałym drzewem z trumny dziewicy, zmarłej w wiosenne zrównanie dnia z nocą. Leczenie niedźwiedzim lub wilczym sadłem jest znane z powieści, mniej znany jest fakt, że setki ludzi leczy się psim smalcem na choroby płuc.

Liczne są również przesądy w sferach przestępczych. Zabobony przestępców można podzielić na dwie grupy. Jedna grupa to ta, gdzie sam czyn przestępny dokonany jest wskutek zabobonu. Druga grupa, gdy przestępstwu towarzyszy jakiś przesąd z tej czy innej przyczyny.

Wśród wielu ludów w Europie istnieje wiara w tajemnicze właściwości krwi małych dzieci przy odszukiwaniu skarbów ukrytych.

Na Węgrzech złodzieje wierzą w świece z tłuszczu dzieci, które wskazują, czy ktoś w domu jeszcze czuwa. Serce noworodka, zjedzone jeszcze nieostygłe, udziela nadnaturalnej mocy niewidoczności i zręczności. Taksamo niewidocznym staje się człowiek podczas kradzieży, gdy używa świecy, posmarowawszy ją krwią kobiety, zmarłej przy urodzeniu bliźniąt.

W Niemczech rozpowszechniony jest zabobon, że dom, budowany na niepewnym gruncie, jest tym mocniejszy, im więcej na nim kradzionego materiału. Wróżki mają przy sobie kawałek skradzionego drzewa. Kradziona pasza służy koniowi. Skradzione z młyna pasy od worków są świetnym środkiem na zwichnięcia i ruptury.

Jeszcze bardziej rozpowszechnione są zabobony w związku z popełnieniem innego rodzaju przestępstwa. Są to przede wszystkim przesądy, dotyczące pozostawienia śladów po sobie. Prastary jest zwyczaj wśród złodziei i włamywaczy pozostawienia na miejscu kradzieży swego kału. Przestępcy pozostawiają też czasem umyślnie ślad nóg, ręki, lub części odzieży.

Na całej kuli ziemskiej rozpowszechnione jest wierzenie, że krew ofiary przyciąga zbrodniarza z powrotem na miejsce zbrodni.

Aby się uwolnić od tego magicznego wpływu krwi ofiary, zbrodniarz pozostawia coś z siebie przy zwłokach zabitego.

Do najbardziej zabobonnych ludzi należą złodzieje zawodowi, fałszerze, hochsztaplerzy. Już w wiekach średnich znane były talizmany złodziejskie, chroniące przed schwytaniem.

Przestępcy mają też inne talizmany. Tak np. palec wskazujący nieboszczyka, który przez 9 tygodni przeleżał w grobie i został w nów księżyca wykopany, pozwala na bezpieczne włamanie, bez obawy obudzenia nawet psa.

Bardzo ciekawe są zabobony, spotykane u kłusowników. W Tyrolu leją roztopiony ołów do oczodołów czaszki zmarłej położnicy, co chroni przed schwytaniem. Palec noworodka chroni przed pudłowaniem i czyni niewidocznym, Tak samo gwóźdź z trumny, lub trzy ziarenka grochu posadzonego w czaszcze samobójcy.

Ziemniak, pochodzący z Ameryki Południowej, został przywieziony do Europy w XVI wieku. By propagować spożycie ziemniaka, Maria Teresa, żona króla Francji Ludwika XIV, zdobiła swe suknie kwiatem ziemniaczanym. Rozpowszechnienie ziemniaka nastąpiło jednak dopiero po wielkich neurodzajach w XVIII wieku.



W DZIEŃ TARGOWY PRZED KOŚCIOŁEM W LUBLINIE

CO MYŚLELI GRECY O NIEŚMIERTELNOŚCI?

KULT DUSZ — PIEKŁO, CZYŚCIEC I NIEBO — BÓSTWA CHTONICZNE — UROCZYSTOŚCI ELEUZYJSKIE — KULT ORFICKI — MOGIŁY BOGÓW

Jak wyobrażali sobie starożytni Grecy życie pozagrobowe i nieśmiertelność? Pierwszym etapem poglądów tych są czasy opiewane przez Homera. Sięgają w 10-te stulecie przed Chrystusem.

Cechą zasadniczą poglądów tych w owej dobie jest wyobrażanie sobie, że dusze są bezcielesne i że przebywają w bezczynności, w stanie pozbawionym niemal wszelkiej świadomości w królestwie podziemnem, zwanym Hadesem.

Wszystko upoważnia do przypuszczenia, że w dobie przedhistorycznej Grecy podzielali wiarę innych ludów pierwotnych, że dusza może odwiedzać siedziby, gdzie przebywało ciało nieboszczyka i że może dokuczać żyjącym lub szkodzić im, jeżeli nie dostarczyli im pokarmów i ofiar.

Innemi słowy, Grecy, jak i inne ludy na tym stopniu cywilizacji, mieli kult dusz, t. j. starali się ofiarami zjednać sobie ich życzliwość i zabezpieczyć się od szkodliwych oddziaływań.

Domyślać się też można, że przejście od grzebania w ziemi nieboszczyków do palenia ich ciał odbyło się pod wpływem tej myśli, że zniszczenie ciała zrywa związek duszy z mieszkaniami żyjących. Przejście do tej formy pogrzebu zwolniło świat grecki od zabobonnego strachu przed zmarłymi i uczyniło zbytecznym kult dusz, które odtąd przecież pozbawione zostały możności szkodzenia żywym. Kult ten stopniowo też wygasł. Pogodna i słoneczna faza religii olimpijskiej w czasach homerowych jest wynikiem tego przewrotu. Ale w pismach Homera, zarówno jak w całym szeregu późniejszych wierzeń wykryć możemy ślady czci dla dusz.

Hades tłumaczony zwykle bywa jako "piekło".

Tłumaczy się to tem, że dusze głośnych "pokutników", jak Syzyf, Tantal znajdują się tam obok innych. Wszakże w tem samem miejscu znajdują się i dusze najsławniejszych bohaterów, jak Achilles i Ajax, których za grzeszników nikt nie uważał.

Nową fazą rozwoju pojęć o nieśmiertelności jest nawiązanie zbliżenia pomiędzy duszami przebywającemi w królestwie podziemnem a bogami podziemnymi, przedstawiającymi, potęgi przyrodnicze z czynnością ziemi związane: "bóstwami chtonicznemi" (chťonos— ziemia).

Jak wiadomo w najdawniejszych czasach każde państwo greckie miało swoje bóstwo opiekuńcze, lokalne. W miarę jednoczenia się tych kultów lokalnych w grecką powszechność bogów (pandemonium) tracili bogowie miejscowi swe znaczenie i przenoszeni bywali przez wyobraźnię Greków do siedzib podziemnych. Stąd pochodzą paradoksalne nazwy "mogił bogów".

Z drugiej strony liczba bóstw nadziemnych pomnaża się przez wytworzenie pojęcia bohaterów (heroi) niewłaściwie zwanych w literaturze "półbogami". Są to bowiem ludzie urodzeni jako śmiertelnicy, a podniesieni do nieśmiertelności i do godności boskiej, którym przysługiwały równe z bogami ofiary i cześć.

Uroczystości eleuzyjskie stanowią dalszy etap w rozwoju nauki o nieśmiertelności. Są to zgromadzenia członków "Eleuzis" t. j. związku bardzo w Grecji rozpowszechnionego. Specjalna cześć dla bóstw podziemnych zaręczać miała członkom tego związku lepsze nadzieje na błogie pozagrobowe życie.

Przybywający przez Trację do Grecji kult "orlicki" wprowadza nowy etap w rozwoju wiary w nieśmiertelność: "wędrówkę dusz", t. j. przechodzenie ich z ciał umarłych do nowych, t. j. wiecznego istnienia duszy— naukę wykładaną później przez Platona i innych filozofów.

PRODUKCJA MASZYNOWA

Wynalezienie maszyny parowej w roku 1765 uważane jest za początek t. zw. "rewolucji przemysłowej," która dawne rzemiosło rękodzielnicze przekształciła na nowoczesny przemysł kapitalistyczny, oparty na produkcji maszynowej, a w związku z tym uzależniony w swym rozwoju od postępów techniki. Od tego czasu nowe udoskonalenia i nowe maszyny, zastępujące pracę ludzi, pozbawiły zajęcia wielu robotników. Coraz częściej pojawia się postrach ludzi pracy, bezrobocie. Dopóki maszyna służyć będzie bogaceniu się jednostek, a nie zaspokajaniu potrzeb ogółu, całkowite usunięcie bezrobocia będzie niemożliwe.



WNĘTRZE KOŚCIOŁA ŚW. KRZYŻA W KRAKOWIE.

STANISŁAW WYSPIANSKI*

A TO POLSKA WŁAŚNIE . . .

(Z "Wesela")



Poeta :
Panna młoda, — ze snu, z nocy ?

Panna młoda :
A sen to miałam,
choć nie spałam,
ino w takiej ległam niemocy . . .

Poeta :
Od miłości panna młoda osłabła.

Panna młoda :
We złotej ogromnej karocy
napotkałam we śnie djabła ;
takie mi się głupstwo śniło,
tak się to plełło, baiło.

Poeta :
I odrazu djabeł, jak z procy,
i odrazu kareta złota ?

Panna młoda :
A tak — to na śnie, nie dziwota,
że się jakie byle co uwidzi ;
niech ino pon nie szydzi,
bo pon to po dniu zdziwuje,
jeszcze wsendy rozgaduje,
jakby aj-co, — choć nima co.

Poeta :
Są tacy, co za to płacą ;
że z jednego takiego bajania
można sobie powóz sprawić
i ustrojonego djabła
i ogromnie wiele gapiów zabawić.

Panna młoda :
Od tańcenia takiem osłabła . . .
Śniło mi się, że siadam do karety
a oczy mi się kleją, — o rety. —
Śniło mi się, że siedzę w karecie
i pytam się, bo mnie wiezą przez lasy,
przez jakiesi murowane miasta,
a gdzieś mnie biesi wieziecie ?
a oni mówią "do Polski" —
a kaz tyz ta Polska, a kaz ta ?
Pon wiedzą ?

Poeta :
Po całym świecie
możesz szukać Polski, panno młoda,
i nigdzie jej nie znajdziecie.

Panna młoda :
To może i szukać szkoda.

Poeta :
A jest jedna mała klatka, —
o, niech tak Jagusia przymknie
rękę pod pierś.

Panna młoda :
To zakładka
gorseta, zeszyta trochę przyciaśnie.

Poeta :
. . . . . A tam puka ?

Panna młoda :
I cóż za tako nauka ?
Serce — ! — ?

Poeta :
A to Polska właśnie.

---

*Ur. Kraków 1869 r. — 1907 r.
Wielki poeta ostatniej doby. Dramaturg i malarz. Genialne "Wesele," "Warszawianka," "Noc listopadowa," "Akropolis," "Legion," "Sędziowie," poematy : "Kazimierz Wielki" i "Bolesław Śmiały."



PROCESJA WE WSI ŁOWICKIEJ



PROCESJA WE WSI KURPIOWSKIEJ



TYPY LUDOWE W POLSCE — Stroje kobiet w Poznańskiem.

JAN KASPROWICZ *

Z "KSIĘGI UBOGICH"

(Wiersz napisany podczas wojny światowej).

A może z straszliwej zawiei
Co świat ten naokół niszczy
Nie same li gruzy wyrosną
Nie same li kupy zgliszczy?

Może w zapasach olbrzymów
Zło się nareszcie przełamie
I Bóg już na jego miejscu
W ludzkim zamieszka chramie?

Może to chwila przebudzeń
Gdzie wstydząc się swojej gnuśności
Zbyt długiej, uczuje człowiek
Iże stalowe ma kości?

Miast kajdanami podzwaniać
I rzewnie ołzawiać się bólem,
Być może zbawcze gdzieś wyjście
Okiem wyśledzi sokolem?

Nie! szukać — to go nie będzie,
W chytre rachunki bogaty,
Lecz piersi wytęży i ręce,
Więzienne roztrzaska kraty.

Pod pięścią jego, silniejszą
Od najtwardszego młota,
Rozprzęgną się rygle i zamki,
Zelazne rozprysną wrota.

Oby ta wielka godzina,
Co taką nadzieję nieci,
Stała się dziś już naprawdę
Przepołowieniem stuleci!

Oby wbrew wszelkim pojęciom
Dowodów przyniosła nam rada,
Ze oto z dwojakiej wieczności
Jedna się wieczność składa.

Ze po wieczności, co legła
Przy dzwonie tego zegara,
Nikt w czarnej nie chodzi sukni,
Nikt po niej się płakać nie stara.

Ze zasię nowa się wieczność
Z krwawej poczyna rzeki,
By dziękczynnego Te Deum
Słuchać po wieków wieki . . . .

Niech otwierają się rany,
Niech krew się leje dowoli,
Byleby wieczność ta wzrosła
Z tak umierzwionej roli.

Na bohaterskim niech stosie
Najlepsze konają serca,
Skoro podpali go wiara,
Ze wieczność — ta nie uśmierca.

Ze, chociaż wszystko by stlało,
To jeszcze z jakiegoś ukrycia
Zaczną się sypać iskry
Na bohaterski stos życia.

Napewne, napewne, napewne —
Niechże ta pewność mnie krzepi! —
Czas idzie, gdzie głusi usłyszą
I w którym już przejrzą ślepi.

Czas idzie nieprzewidziany,
A może przewidzian wielce
Przez dusze, co światów bezmiary
W miernej dowidzą kropelce.

---

* Ur. Szymborze (Kujawy) w 1860 r. — 1926 r.
Syn chłopski. Profesor Uniwersytetu we Lwowie. Przed śmiercią osiadł pod Zakopanem. Wiersze o tematyce ludowej. "Hymny," "Mój świat," "Księga ubogich," "Marchołt." Przekłady.



ODBUDOWANA RĘKĄ ROBOTNIKA POLSKIEGO WARSZAWA — Na prawo jeszcze rumowiska.

WARSZAWO !



J. SŁOWACKI

U nóg twych składam o żałosna wdowo
Polskiego Ludu. O matko w żałobie
Tych, co śpią w krwawym pochowani grobie
I tych, co wierzą, że wstaniesz na nowo.
O, ty gotowa twą krew Chrystusową
Wylać na twarze wątpiące i blade—
Warszawo, tę pieśń ci pod nogi kładę
I nóg twych skrwawionych sięgam głową.





TADEUSZ KOWALSKI

STO TYSIĘCY DOLARÓW

Mr. FRANK RICHMOND, prezes Californian Silver Company i właściciel 90 procent akcyj tego towarzystwa, wchodził do swego mieszkania w znakomitym humorze. Tranzakcja z Żachodnim Bankiem Sjamskim udała się nadspodziewanie dobrze. Pan Richmond spodziewał się na tej aferze zyskać około pół miljona i jego światopogląd w tej chwili był różowy odpowiednio do tej pięknej sumki.

Była godzina szósta minut 30. Zachodzące słońce letniego wieczoru kładło piękne, złote plamy na lśniących posadzkach apartamentu, mieszczącego się na trzydziestem siódem piętrze olbrzymiego gmachu. Wszystko składało się na to, by podtrzymać dobry humor pana prezesa. Nawet obrazy w grubych złoconych ramach uśmiechały się do niego.

Nie chcąc kontrastować z podobnem otoczeniem, Mr. Richmond uśmiechał się również. Zapalił wonne cygaro za ćwierć dolara i począł głęboko rozmyślać nad tem, jak należy spędzić pozostałą część dnia. Po kilku minutach namysłu wyraził swoją myśl głośno:

— Należy zaprosić Mary i odwiedzić "Casino de Paris".

Mr. Richmond udał się do swego gabinetu, by zadzwonić do Mary. Otworzył drzwi i stanął na progu wyprostowany, nieruchomy, prawdziwy posąg zdumienia i konsternacji.

Na biurku stała czarna skrzynka. W jednym z jej rogów widniał mały mosiężny walec. Z wnętrza skrzynki dochodziły dźwięki, przypominające tykanie odległego zegarka.

Mr. Richmondowi włosy nie powstały na głowie z tej prostej przyczyny, że historja o powstawaniu włosów została wymyślona przez ludzi, którzy nigdy strachu nie zaznali; natomiast czuł on wyraźnie, jak skóra na jego plecach marszczy się i jak czoło staje się przerażająco zimne i wilgotne. W głowie miał chaos i ogień. Mózg jego objęła w całkowite posiadanie myśl: "Maszyna piekielna!"

Wpatrywał się przez kilka minut jak zahypnotyzowany w czarne pudełko. Nagle odwrócił się i popędził w stronę drzwi wyjściowych. Począł się z niemi szarpać. Darł paznokcie na stalowych sztabach, ścierał skórę na dłoniach — drzwi nie ustępowały. Nagle za niemi rozległ się męski głos:

— Czy to pan, panie Richmond, usiłuje tak gwałtownie zepsuć precyzyjny mechanizm tych stalowych drzwi? Niech się pan nie trudzi. Nie otworzy ich pan.

— Goddam! Kogo tam djabli przynieśli?

— Niestety, pomoc djabelska nie jest tak skuteczna, jak to powszechnie mniemają. Przyjechałem poprostu windą. Co do drzwi — to zamknąłem je z tej strony. Czy przypomina pan sobie te skomplikowane urządzenia i przedziwne zamki, które pan tu zastosował, by się zabezpieczyć przed włamaniem? Muszę przyznać, że drzwi są rzeczywiście mocne. Stąd wniosek, że ich pan nie oworzy bez mojej pomocy.

— Czyś pan oszalał? Tu jest maszyna piękielna!

— Wiem o tem. Ja ją tam umieściłem.

— Łotrze!

— Niechże się pan uspokoi, panie Richmond. Na razie nic panu nie grozi. Maszyna wybuchnie ściśle za trzydzieści sześć minut, ma pan więc nieco czasu na wysłuchanie tego co powiem. W kasie ogniotrwałej, mieszczącej się w pańskim gabinecie, znajduje się sto tysięcy dolarów. Byłoby mi bardzo przyjemnie wejść w posiadanie tej sumki. Przed trzema godzinami odwiedziłem pańskie mieszkanie i usiłowałem otworzyć kasę. Nie udało mi się to jednak pomimo zastosowania tlenu i elektrycznego świdra. Pancerz kasy jest bardzo gruby a stal wyjątkowo odporna. Na pamiątkę swej bytności zostawiłem maszynę piekielną.

— Bandyto! Kanaljo!!

— Teraz polecam panu udać się do gabinetu, wyjąć te sto tysięcy dolarów i przynieść tu, pod drzwi. Powiem panu potem, co pan ma z niemi uczynić. Chciałbym jeszcze dodać kilka słów dla wyjaśnienia. Maszyna zawiera dwa funty dynamitu i sześć funtów nitrogliceryny. Jest to ilość całkowicie wystarczająca do zupełnego i dokładnego zdemolowania pańskiego mieszkania i zniszczenia cennych obrazów, mebli i dywanów. Zaznaczam, że za poruszeniem jej lub choćby niewłaściwem dotknięciem, maszyna wybuchnie natychmiast. W jednym rogu skrzynki znajduje się walec mosiężny, składający się z pierścieni, pokrytych literami. Gdy litery te, po odpowiednim obrocie pierścieni, ułożą się w pewien wyraz, pudełko daje się otworzyć i maszyna wtedy zostaje unieszkodliwiona. Kiedy dolary będą już w mojem posiadaniu, nie omieszkam panu powiedzieć, jak ten wyraz brzmi. Radzę panu, panie Richmond, nie otwierać okna i nie czynić alarmu, gdyż po pierwsze — nikt pana nie usłyszy z takiej wysokości, a po drugie — gdyby nawet ktoś słyszał, ja zdążę zjechać tymczasem nadół i ulotnić się, a zanim ślusarz otworzyłby te wspaniałe drzwi, szlachetna siedziba pańskiej duszy znalazłaby się w pożałowania godnym stanie. Przypuszczam, że strata stu tysięcy

dolarów nie przyczyni się do pańskiego zubożenia, zważywszy, że roczny dochód pana sięga pięciokrotnej wartości tej sumy.

Mr. Richmond był człowiekiem nawskroś praktycznym. Ochłonąwszy z przerażenia i rozważywszy dokładnie słowa nieznanego terorysty, doszedł do wniosku, iż należy wyjąć pieniądze z kasy i oddać je. Było to bezwątpienia lepsze, niż wybuch piekielnej maszyny. Ze zbolałem sercem udał się do gabinetu i po chwili wrócił z wielkiemi paczkami banknotów.

— Jest pan bardzo rozsądny, panie Richmond. Dziwi mnie tylko, że pan trzyma tak wielką sumę w domu. Wprawdzie największym bankom zdarza się bankructwo, lepiej jednak jest zawierzyć kasie bankowej, niż swojej. Zresztą mniejsza o to. A teraz uwaga! Odsunę płytkę, zasłaniającą otwór, przez który wrzucają do pańskiego mieszkania listy i gazety. Zechce pan łaskawie poprzesuwać przez ten otwór paczki banknotów. Uprzedzam tylko, by pan nie próbował strzelać przez tę szparę. Nie będę na tyle naiwny, by stać nawprost lufy pańskiego rewolweru. Niech się pan spieszy... Wybuch nastąpi za piętnaście minut.

Klnąc głośno, Mr. Richmond wysuwał paczki.

— Już! — wykrzyknął wreszcie.

— Dziękuję bardzo. Mam nadzieję, że mnie pan nie oszukał.

— Słowo! Prędzej!

— Dobrze, powiem je panu. Brzmi ono "Kanada". Może pan jednak nie trudzić się i nie otwierać pudełka. Nic panu nie grozi.

— Jakto? Co to ma znaczyć?

— W mieszkaniu pańskiem maszyny piekielnej wcale niema. Ta czarna skrzynka jest to poprostu drewniane pudełko, we wnętrzu którego znajduje się zwykły budzik kupiony za 89 centów, owinięty papierem. Nie jestem człowiekiem na tyle nieostrożnym, by operować przy pomocy maszyny piekielnej. Zaprowadziłaby mnie ona na krzesło elektryczne, gdybym został ujęty. Natomiast teror przy pomocy budzika nie pociągnie za sobą, jak sądzę, poważniejszych konsekwencyj niż pięć lat więzienia.

Zaległa cisza... Słychać było jedynie szelest zbieranych banknotów i sapanie zdenerwowanego prezesa Californian Silver Company.

Nagle ciszę przerwał głos pana Richmonda, a dźwięczała w nim taka nuta rozradowania, że nieznajomy przerwał swą pracę i począł ciekawie słuchać.

— Panie filozofie! Nie mam przyjemności znać pana, ale doszedłem do wniosku, że jest pan genjuszem... Chętnie panu daruję te sto tysięcy dolarów i nie będę zawiadamiał policji o kradzieży, o ile spełni pan moją prośbę...

Tajemniczy gentleman uśmiechnął się.

— Przyrzekam panu uczynić co tylko będzie w mojej mocy.

— Chodzi o to, że największym moim konkurentem jest Mr. John Willing, generalny dyrektor towarzystwa Argentum, Indiana. Pan ten od trzech lat usilnie stara się o to, by mnie zrujnować. Nie udaje mu się to wprawdzie, ale gdyby nie on, moje dochody byłyby trzy razy większe niż obecnie. Dowiedziałem się w zeszłym tygodniu, iż Mr. Willing otrzyma jutro transport gotówki, wynoszący sto dwadzieścia tysięcy dolarów. Pan Willing ma również zwyczaj trzymania pieniędzy w swej własnej kasie ogniotrwałej. Mieszka sam, tak jak i ja. Otóż byłbym panu bardzo wdzięczny, gdyby pan zechciał udać się do niego i powtórzyć ten znakomity kawał, który pan zastosował w stosunku do mnie. To wszystko.

Za drzwiami rozległ się wesoły śmiech.

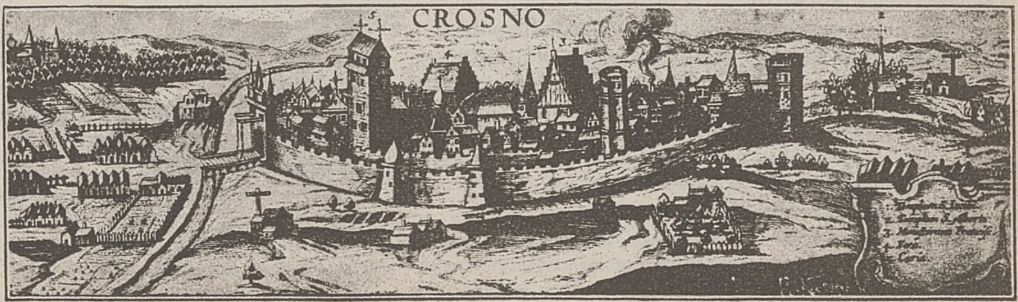
— Mr. Richmond, spełniłbym jak najchętniej pańską prośbę, lecz jest to rzecz całkowicie niemożliwa.

— Dlaczego?

— Gdyż ten dowcip z maszyną piekielną zademonstrowałem już wczoraj panu Willingowi. Pan jest źle poinformowany, panie Richmond. Dyrektor Argentum, Indiana, otrzymał transport pieniędzy już wczoraj rano. W ten sposób wieczorem tegoż dnia stałem się właścicielem stu dwudziestu tysięcy dolarów. Mr. Willing przebolał tę stratę i obiecał mi bezkarność, gdybym zechciał w ten sam sposób pozbawić pana stu tysięcy. Jestem mu bardzo wdzięczny za tę radę... Mój czas jest ograniczony, Mr. Richmond. Zmuszony jestem pożegnać pana. Nie omieszkam przysłać panu najbliższego ślusarza, by panu otworzył d r z w i. Good-by! Szczerze żal mi pana...

Mr. Frank Richmond milczał.

Widok Krosna w XV wieku.



Janusz Meissner

REKORD

NOWELA

SAMOLOT jest dobry — powiedział Diering z przekonaniem. — Samolot jest dobry i powinien wyjść na 14,000 metrów. Naturalnie tak, jak jest teraz, tylko bardzo dobry pilot osiągnąć może na nim tę wysokość. Dopiero mając wykres barografu przy próbie, będę mógł porobić konieczne zmiany, usuwając wszelkie trudności. Wtedy lot na 14,000 przestanie być rekordem. Ale ten pilot zrobił 10,000 w ciągu półtorej godziny! Nigdy nie poleci wyżej: on nie umie — zakończył zniechęcony.

Wanda starała się go pocieszyć.

— Może następna próba da lepsze wyniki. Nie można zniechęcać się pierwszem niepowodzeniem. Wreszcie można wziąć innego pilota.

Diering potrząsnął głową.

— Nie widzę nikogo, kto mógłby tego dokonać. Chyba... — spojrzał przelotnie na żonę i nagle zamilkł.

Pani Wanda zarumieniła się lekko.

— Wiem, o kim myślisz — powiedziała po chwili z lekkiem drżeniem w głosie. — Chcesz żebym do niego napisała?

— Byłażbyś aż tak dobra dla mnie? — podchwycił rozpromieniony.

— Widzisz: Ja myślę, że to sam los tak chce. Przecież w żadnej innej formie nie można mu pomóc. Odrzuca najlepsze propozycje, schodząc na dno nędzy. A teraz... myślę, że jednak zrobi to dla mnie. I mimo woli znów zabłyśnie. Może go to uratuje... może...

— Tylko czy dziś organizm Zygmunta wytrzyma taki wysiłek? — zaniepokoił się nagle. — Czy on temu podoła?

— Raczej: czy zechce — powiedziała wolno, ze smutkiem.

* * *

Przysiecki siedział w kącie brudnej, trzeciorzędnej restauracji, przy opróżnionej do połowy butelce i dumał nad swoim dziwacznym losem. Był pijany, ale zdawał sobie sprawę ze swego stanu i mógł jeszcze myśleć. Zato nie odczuwał już zaduchu, panującego w knajpie i przestał dbać o otoczenie. Wgłębiał się w przeszłość, wracał raz jeszcze myślą do minionego życia, plątał się we wspomnieniach, marzył, rozdrażniając zadawnione rany, i aż do bólu zaciskał zęby, aby — poprostu nie rozpłakać się na głos. Od czasu do czasu drżącą ręką dolewał sobie wódki i pił.

Skrzypiący zegar nad bufetem wykrztusił północ.

Zwykle o tej porze Przysiecki zapadał w pijacki sen, oparłszy głowę na stoliku. O pół do pierwszej budził go kelner. Przysiecki, zataczając się, szedł do domu i rzucał się w ubraniu na wiecznie rozgrzebane łóżko, aby wstać po południu i znów pić, lub błąkać się w poszukiwaniu kilku złotych na wódkę.

Ale tego dnia... tego dnia...

Przed dwoma laty się to zaczęło. W trzy miesiące po ślubie z Wandą. Ona kochała go jeszcze wtedy bezgranicznie, wierząc weń i ufając mu, jak w pierwszych dniach miłości. On zaczynał odczuwać przesyt, a może tylko chwilowy nawrót do poprzednich miłostek.

Już wtedy znany... To były początki sławy...

Potem...

Kochał ją przecież. Zawsze marzył, aby ją olśnić, aby czemś wspaniałem wynagrodzić jej wszystkie zdrady, których się dopuszczał.

Nie wiedział, że trzeba było tak mało: tylko trochę wierności i trochę więcej uwagi dla niej.

Po każdej zdradzie wracał skruszony i przysięgał sobie, że nigdy więcej, a nieraz już nazajutrz znów znikał na całą noc, by pić w towarzystwie dawnych kolegów, przyjaciół i przyjaciółek, albo żeby gdzieś, z którąś z nich...

Wanda marzyła o jego sławie. Nietylko marzyła: była mu żoną, kochanką, opiekunką, przyjacielem. Ale nie zauważał tego. Mówiła za niego, udzielała wywiadów oblegającym go reporterem, fabrykowała jego autografy, a przedewszystkiem rozbudzała jego ambicję, systematycznie starając się go przekonać, że może i powinien zajść daleko.

Przysiecki sam stanowczo miał zbyt skromne o sobie mniemanie, a może zbyt mało energji na to, aby z dobrego pilota fabrycznego przedzierzgnąć się w międzynarodowego asa, któremu płacą nieprawdopodobne sumy za każdy lot na nowej maszynie.

Wysiłki i marzenia pani Wandy spełniły się prędko. Wkrótce po pierwszym rekordzie, który jej mąż ustanowił, osiągając na Devoitine D. 36, zawrotną naówczas wysokość 11,800 metrów w ciągu pół godziny, przyszła wspaniała propozycja od Forda.

Wanda zapakowała walizy Przysieckiego i odwiozła go na dworzec z takiem uczuciem, jakby rozstać się mieli nazawsze. Obiecał ją wezwać do Detroit, jak tylko się urządzi, za tydzień, dwa najwyżej.

Minęły cztery długie miesiące milczenia. Wszystkie gazety pisały o triumfach polskiego pilota w Ameryce. Wszyscy "życzliwi" znosili pani Wandzie wiadomości o hulankach i szaleństwach męża. Tylko on nie odezwał się ani słowem, nie odpowiedział na żaden z rozpaczliwych listów, dopóki nie przyszło przez jej adwokata przysłane żądanie rozwodu.

Wtedy nagle ocknął się z narkozy szaleństw i przez blask powodzenia dojrzał łzy kochanej niegdyś kobiety, która teraz oto umierała z tęsknoty za nim.

Kochał ją przecież...

Mógł jej jeszcze wynagrodzić wszystkie krzywdy, mógł być z nią bardzo, bardzo szczęśliwy. Zatargało mu się serce nagłą falą tęsknoty. Zerwał kontrakt i pojechał: W Europie proponowano mu bajeczne warunki.

W Warszawie dawne ich mieszkanie zajmowali już inni lokatorzy. Nikt nie wiedział, gdzie przebywa pani Wanda Przysiecka.

Prosto z hotelu pobiegł do adwokata, choć był już późny wieczór. Adwokata nie zastał w domu, ale, wracając, spotkał towarzysza kawalerskich zabaw, który zaciągnął go do klubu a stamtąd na całonocną włóczęgę po wesołych lokalach Warszawy.

Przysiecki pił dużo, ale to, czego się dowiedział z przypadkowych zdań i przelotnych rozmów, wytrzeźwiło go całkowicie.

Była chwila, że chciał sobie w łeb palnąć. Odebrano mu rewolwer, więc pił dalej aż do zupełnego znieczulenia.

Dopiero nazajutrz koło południa opuścił podmiejską restaurację i kazał zawieźć się do nich... do niej, czy do niego właściwie? Musieli chyba mieszkać razem...

Wszedł na piętro, bełkocząc niezrozumiale, stanął przy drzwiach i zadzwonił.

Wanda sama mu otworzyła. Kiedy wtoczył się za próg, omal nie zemdlała z przestrachu i bólu. Z głupkowatym uśmiechem usiadł w jej buduarze na fotelu. Wyglądał strasznie, w poplamionym smokingu, z brudnym i zmiętym kołnierzykiem i z rozwiązanym krawatem. Oczy miał jakby szklane, mętne i przekrwione, zmierzwione włosy i trzęsące się, wilgotne ręce.

Wanda siedziała cicho, siedząc naprzeciw niego, z twarzą w dłoniach.

Zapanowało długie, męczące milczenie.

Nagle Przysiecki wstał i zaczął się śmiać. Bełkotał coś bez związku, klął, śmiał się znowu, groził i wreszcie, wpadając w szał pijacki, krzyczał, że nie ma żony, że ta... ta... która tu siedzi, może sobie wyjść za kogo jej się podoba. Że on, Przysiecki, gwiżdże na wszystko i udziela im swego błogosławieństwa.

Uspokoiwszy się nieco po tym wybuchu, przepraszał ją ze skruchą, wysłuchał jej projektów, przychylnie potakując i sam mówił o swoich zamiarzach na przyszłość.

Zapanował nastrój, który możnaby nazwać niemal pogodnym, gdyby nie denerwujące nuty szaleństwa w głosie Przysieckiego, kiedy w porywie wielomówności znienacka przechodził od spokojnie przyjacielskiego tonu do gorzkiej ironji i sarkazmu.

W jakiejś chwili, przerywając w pół zdania, ordynarnie zaklął, splunął i wybiegł na ulicę, pozostawiając Wandę oniemiałą przygnębioną.

A przecież nawet wówczas, gdyby zechciał...

Wybaczyłaby mu wszystko. Porzuciłaby najbardziej bezinteresownego człowieka, który zaopiekował się nią w ciężkich chwilach, składając u jej stóp wielką, prawdziwą miłość, majątek i nazwisko. Poszłaby za nim wszędzie i kochałaby go jak dawniej, bez zastrzeżeń.

Sam był sobie winien.

Może jednak lepiej, że tak się stało? Życie z nim dla Wandy byłoby jednem pasmem udręki i niepewności. Był nieobliczalny: dla chwilowego kaprysu mógł stracić majątek, wplątać się w awanturę, wywracającą jego karjerę i powodzenie, mógł porzucić żonę, jak już raz to był uczynił.

Od roku pani Wanda została żoną inżyniera Dieringa. Przy jego boku życie stało się jasne i proste: Diering otoczył ją zbytkiem i najtkliwszem uczuciem, na jakie może się zdobyć mężczyzna, mający, prócz szczęścia ukochanej żony, jedynie swoją pracę zawodową jako drugi cel w życiu.

Diering był naczelnym konstruktorem fabryki samolotów. Przysiecki znał go i kiedyś cenił, a nawet darzył prawdziwą przyjaźnią.

Musiało to być dobrze dobrane małżeństwo.

Od tego czasu minął rok, a dzień ten — był właśnie pierwszą rocznicą ich ślubu.

W ciągu tego roku Przysiecki stoczył się na dno nędzy. Odrzucił kolejno doskonałe oferty krajowych i zagranicznych fabryk, które przelicytowywały się wzajemnie, aby posiąść najlepszego pilota reklamowego w Europie. Spalił listy Forda, który wzywał go do powrotu. Postanowił zmarnować się, aby ona miała go na sumieniu. I dopiął swego: wieści o upadku pierwszego męża, dochodzące rzadko uszu pani Wandy, ciężyły jej nieznośnie, zatruwając najpiękniejsze chwile bezradnym smutkiem.

Wiedział o tem. Tęsknota żarła go coraz więcej i z coraz większym uporem brnął w bagno. Potem już nie mógł się dźwignąć, gdyby nawet zechciał. Opuścili go wszyscy: był sam jeden i pił samotnie.

Ale tego dnia — to przecież była rocznica.

Gorzka, ciężka łza wymknęła się z pod obrzmiałej powieki i spadła do kieliszka. Wypił ją wraz z wódką.

Niewiadomo dlaczego, zdawało mu się, że w tym właśnie dniu musi stać się coś niezwykłego. Że coś się zmieni, coś przerwie monotonję dni pijaństwa i bezmierniej tęsknoty.

Nic jednak nadzwyczajnego nie zaszło. O drugiej w restauracji pogaszono światła i zaczęto zamykać okiennice. Trzeba było pójść.

Wlókł się ciężkim, niepewnym krokiem do swojej nory w suterynie, gdzie mieszkał, a raczej sypiał od kilku miesięcy. Policjanci, stojący na skrzyżowaniach ulic, nie zwracali nań uwagi. Znali go dobrze; był spokojny i zazwyczaj nie robił awantur.

Zeszedł po ciemnych schodach nadół i długo otwierał drzwi, nie mogąc dać sobie rady z kluczem. Wreszcie zamek ustąpił. Przysiecki przekroczył próg i zaświecił zapałkę. Zamierzał zapalić małą naftową lampkę z okopconem szkłem, gdy nagle spostrzegł na podłodze kopertę.

— List?

Schylił się z trudem, podniósł go i spojrzał na adres. Zapałka dopaliła się i zgasła, parząc trzymające ją palce. Ciemność skoczyła od podłogi po ścianach izby aż na sufit i skryła pismo przed zmęczonemi oczyma. Ale krótki błysk światła wystarczył Przysieckiemu do rozpoznania dobrze znanego charakteru pisma.

To był list od niej!

Długą chwilę stał w ciemności, zdrętwiały z wrażenia, szukając wyjścia z plątaniny krótkich, bezładnych myśli. Był jak sparaliżowany. Ręce latały mu z niecierpliwości, a jednocześnie mózg mroczył się i bezwład miękki chwytem opanowywał kolana.

Wreszcie przemógł się. Po omacku znalazł stół i, opadłszy na łóżko, namacał lampę. Wolno i strożnie zapalił ją. Potem, ciężko dysząc, otworzył kopertę i zaczął czytać.

* * *

Diering denerwował się. Wielkiemi krokami przemierzał swój gabinet, biegnąc do drzwi na każdy głos dzwonka.

Minęła jednak dwunasta, a Zygmunt nie zjawił się.

— Nie przyjdzie chyba — westchnął zniechęcony. — A może pójść do niego? Nie, to by się na nic nie zdało. Co za człowiek, Boże!

— Może jeszcze przyjdzie — powiedziała pani Wanda bez przekonania, patrząc w okno.

Była zmęczona i wyczerpana nerwowo. Bardzo źle spała tej nocy i miała głębokie cienie pod ślicznemi oczami koloru morskiej wody. I ona czekała; w większem może jeszcze naprężeniu i z większym niepokojem.

Ktoś zadzwonił. Przyniesiono list.

Czytali go razem: on szybko, z rozjaśnioną twarzą, ona powoli, szukając słów, które mogły być dla niej przeznaczone. Nie było takich słów.

Kartka zawierała lakoniczną wiadomość: "Będę

czekał o czwartej na lotnisku. Zgadzam się. Przysiecki".

—Więcej nic? — zapytała pani Wanda smutno.

— Nie. Ale wiesz... — zamyślił się na chwilę — pojedziemy razem, dobrze?

Była niezdecydowana. Zygmunt widocznie nie chciał jej widzieć. Czyż nie przyszedłby w przeciwnym razie sam? Ten list zdawał się dość wyraźnie mówić o tem. Spełniał jej prośbę, ale nic pozatem.

— Chyba zostanę w domu — powiedziała.

Diering zauważył, że miała łzy w oczach.

* * *

Do samego obiadu pani Wanda powtarzała sobie, że nie pojedzie. Ale kiedy po czarnej kawie Diering miał wstać, aby ją pożegnać, nagle zmieniła postanowienie. Szybko przebrała się w skromny sportowy kostjum. Pomyślała o jakichś kwiatach. Tak, koniecznie były jej potrzebne herbaciane róże.

— Kupimy po drodze —zawołał wesoło Diering. — Cały pęk!

Siedli do auta. W kwiaciarni Wanda wybierała długo i starannie najbledsze, pół rozkwitłe pąki, na długich, giętkich łodygach. Potem pojechali na lotnisko.

Diering wysiadł, a ona została wewnątrz zamkniętej limuzyny, z twarzą przyciśniętą do szyby, patrząc przez szparę między framugą okna i opuszczoną storą.

Obok wyciągniętego przed hangar płatowca stał Zygmunt w kombinezonie, z odkrytą głową. Postarzał się bardzo: twarz miał wychudłą, o ziemistej cerze, głęboko zapadłe oczy i usta bez uśmiechu.

Diering uścisnął mu dłoń i mówił coś wesoło, poczem objaśniał szczegóły armatury samolotu. Pilot milczał. Skinął tylko głową. Powiedział zdaje się: "dobrze" i na tem koniec.

Jeden z inżynierów przyniósł trzy barografy, które przytwierdzono wewnątrz kadłuba i na baldachimie pod górnym płatem. Przysiecki siadł za sterem i włożył maskę tlenową, która szczelnie zakryła jego twarz.

Wszyscy odeszli na bok. Ni stąd, ni zowąd warknął silnik i słońce zalśniło blaskiem na rozłożonym wachlarzu śmigła. Płatowcem wstrząsnął lekki dreszcz, zawibrowały linki nośne i poruszyły się stery. Głowa pilota w upiornej masce wyjrzała z gondoli za burtę na lewo, na prawo. Uniosła się jego dłoń w futrzanej rękawicy.

— Start!

Szyba samochodu zadrżała od ryku silnika.

Czyżby Zygmunt spojrzał w tę stronę? Może...

Ale już maszyna dźwignęła się na pełnym gazie. Poszła. Z pod jej stateczników wypadł tuman kurzu i skręcił się konwulsyjnie w długi ogon za hangarami.

Pani Wandzie mocno zabiło serce.

* * *

Kiedy wskazówka altymetra doszła do 10,000 metrów, Przysiecki po raz piąty zawrócił o 180 stopni.

Powoli, z minuty na minutę słabło napięcie nerwów i schodził nań spokój nieograniczonej niczem przestrzeni powietrza. W oderwaniu od ziemi blakły troski, przycichały namiętności, jakby opadając wdół ciężkim osadem. Tu było coraz czyściej i ciszej. Niezrównana przejrzystość powietrza, widoczna dopiero na tej wysokości, skąd ziemia wygląda jak szeroko rozlane bagnisko, pokryte skłębionym tumanem mętnych oparów, pozwalała gubić się wzrokowi w największej dali, jaką człowiek objąć może. Ta rozległa samotność zdawała się roztapiać w sobie wszystek ból życia, sprowadzając zawiłe jego problematy do rozmiarów drobnych, nic nie znaczących spraw, pozostałych daleko i nie związanych bezpośrednio z chwilą obecną.

Jeszcze przed kilkunastu godzinami list Wandy wstrząsnął Przysieckim, jak prąd o wysokiem napięciu. Jeszcze na lotnisku szarpały mu duszę wątpliwości i wahania. Jeszcze przy starcie myślał wyłącznie o niej i przerzucał się od żalu, że wyrzekł się spotkania z nią, do manjackiej nadziei, że zajdzie coś takiego, co mu ją zwróci wraz z utraconem szczęściem.

Teraz wszystkie te myśli rozwiały się i rozproszyły. Zmalały, odeszły, przestały go niemal zajmować. Pozostał przestwór i — rekord! Możliwie najkrótszy czas do osiągnięcia 14,000 metrów. Wczucie się w maszynę i każde drgnięcie silnika, w każdą wibrację linek, w każdy najmniejszy trawers płatowca i każdą zmianę jego szybkości. Pozostało jedno pragnienie, na któremześrodkował się całkowity wysiłek woli: Iść wgórę. Nieprzerwanie wznosić się, zyskiwać wysokość, wydzierać każdy metr pionu w walce z prawem ciężkości. Zwyciężać!

Najwyższą emanacją czucia całe ciało pilota złączone zostało z płatowcem. Nie był to już pilot, kierujący martwą materją, ale raczej żywy zespół energji mechanicznej i nerwów w walce o osiągnięcie jasno wytkniętego celu. Maszyna zdawała się żyć i czuć jak człowiek. Człowiek zmechanizował swoje ruchy i nerwy, jak maszyna. Stanowili nierozdzielną całość.

Każdy ruch sterów, każde drgnięcie lotek Zygmunt odczuwał tak, jak odczuwa się ruch własnego ramienia. Stery zdawały się być tylko przedłużeniami jego kończyn, zdawały się posiadać dalszy ciąg włókien nerwowych i mięśniowych, po których bezpośrednio biegną rozkazy woli od mózgu.

Poczynając od 13,000 metrów maszyna, a z nią i pilot, zaczęli napotykać coraz większe trudności. Skrzydłom nie starczało oporu: grzęzły w rzadkiem powietrzu, zmiatanem przez śmigło w płytki prąd. Pęd miękł, rozwiewał się, topniał. Brnęli przez odrzucaną śmigłem niewidzialną falę, miast wznosić się na jej grzbiet. Przy najdrobniejszej stracie szybkości zapadli w głąb.

Trzeba było wyzyskać zwodnicze podmuchy górnych ciągów wiatru, aby wedrzeć się wyżej. I tu Przysiecki okazał się mistrzem. Jego wysubtelnione do ostatnich granic czucie, pozwalało na krótkie, jednoczesne z powstającym podmuchem wspięcia maszyny wzwyż. Po powierzchni zaledwie wyczuwalnych zgęszczeń atmosfery prześlizgiwał się lekko i ostrożnie, jak albatros, szybujący wśród powietrznych próżni. Zaś wraz z konającym podmuchem przechodził niepostrzeżenie do poziomu, nie dając maszynie opaść ani na cal.

To była trudna gra. Zmienne prądy powiewów urywały się nagle przed czyhającą na sposobność próżnią, skręcały w niskie wiry, zapadały wdół pod nieruchomą ciszę.

Umiał je wyzyskać lub ominąć. Umiał odgadnąć ich charakter i to, co kryły za sobą. Szedł wgórę.

Ze wzrokiem utkwionym w tarczę altymetra, zaciąwszy zęby, leciał prosto przed siebie, coraz wyżej i wyżej.

Wreszcie wskazówka wysokościomierza dotarła do cyfry 14, cofnęła się na chwilę o jakąś część milimetra, gdy niedający się opanować poślizg zagłębił maszynę w ziejącą z boku próżnię, wróciła znów do upragnionego punktu i stanęła, drgając lekko od wibracji motoru.

Rekord został osiągnięty.

Dopiero wtedy Przysiecki spojrzał wdół.

Ziemi nie było widać. Trzy cienkie warstwy obłoków, pływających w nalanej światłem słonecznej bani nieba, sunęły wolniutko pod samolotem. Niżej jeszcze leżała mętna ciemna plama, spowita mglistym nalotem, bły-

skająca tu i ówdzie odbiciem słońca. Tam była ta niewidoczna ziemia. Rzadkie błyski zaś tworzyła woda, rozlana po niej w rzeki, jeziora i stawy. Horyzont ginął w mleku chmur i mgieł, przesyconych słonecznym pyłem. Ponad linją najwyższych obłoków nie było już nic. Tylko wyblakły błękit, rozpalony na południo-zachodzie białem, oślepiającem słońcem.

— Trzeba schodzić — pomyślał pilot.

Odczuł jakgdyby żal, że musi rozstać się z niebem, aby wrócić na ziemię. Trzeba oto zagłębić się tam, między warstwy puszystych strzępków pary, przejść granicę ciemniejszej, brudno-niebieskiej linji na dwóch tysiącach, pogrążyć się w mętach osadu powietrza, opaść na samo dno jego, dokąd promienie światła przenikają pozbawione już właściwej sobie białości, żółte lub czerwone. Trzeba wrócić głęboko pod lotny kożuch pyłu i dymu.

Trzeba znów stać się tylko człowiekiem, przeżywającym codzienną powszedniość losu.

Oto zamiera potężny rytm pracy silnika. Strzałka altymetra, jakby tylko czekała na to, odskakuje wstecz, opada wdół, cofa się, zdążając ku zeru. Zaczynają tęsknie śpiewać linki...

Wraz z ich płaczliwym gwizdem wracają niespokojne myśli. O Wandzie i o tem — co dalej?

Przysieckiemu nagle wydaje się niemożliwe, aby ten rekord, postawiony przez niego na płatowcu Dieringa, nie miał pociągnąć za sobą jakiejś zasadniczej zmiany w stosunku jego, Zygmunta, do Wandy.

Czy cała ta historja z płatowcem nie była tylko sposobnością dla niej nawiązania zpowrotem nici niewygasłego uczucia? Czyż Wanda chciała — długo nie śmiał dokończyć tej myśli — czyżby chciała może... wrócić?...

Przypuszczenie to porwało mu wprost z serca falę gorącej krwi. Aż się zatoczył, oczadziały ułudą wracającego szczęścia. I wraz z nim zatoczyła się maszyna.

Wyrównał stery i ujął wodze myśli. Ale samolot posłuszniejszy był jego dłoniom, niż myśl nakazom woli.

— A jeśliby tak stać się miało? Jeśli istotnie możliwe byłoby rozpoczęcie nowego życia z nią razem?

Wiedział, był niemal pewien, że zdołałby posiąść ją znowu. Miał szanse zwycięstwa. Mógł liczyć na dawne wezły uczucia, stargane wprawdzie, ale istniejące, gotowe zacieśnić się znowu. Czuł, że tak jest. Wystarczyłoby może, gdyby poszedł do niej i powiedział:

— Wróć do mnie...

Wróciłaby.

— I co dalej? — spytał zimny głos sumienia czy też rozumu.

— Dalej? Bylibyśmy szczęśliwi.

— A potem?

— Jak to "potem"? No tak, potem...

Burząc nowe warunki jej życia, trzeba było mieć pewność, że szczęście będzie trwać.

Myślał o tem tak, jakby istotnie posiadał jakieś dane, że Wanda z Dieringem nie jest szczęśliwa. A kiedy zdał sobie sprawę z bezpodstawności tych myśli, ogarnął go beznadziejny smutek. Zapadał w szarość swej egzystencji, schodził do poziomu rzeczywistości i przeczuwał już nieznośną jednostajność tego, co miało wlec się dalej, aż do końca życia z nim razem — nieuleczalnej choroby duszy.

— Czy warto? — pomyślał.

Gdyby się coś miało zacząć między nim i Wandą, to nie stanie sił, aby powziąć ostateczną decyzję. A jeśli się nic nie zacznie — to poco żyć? Na co czekać?

Dziwny chłód wkradł mu się do serca.

— Widocznie wypaliło się docna — powiedział sobie.

I nagle zrozumał, że już jej nie kocha. Stracił ostatni cel w życiu, ostatni jego sens.

— Rekordy? Miał ich dosyć. Czuł się bardzo, bardzo zmęczony. Jak ta wskazówka wysokościomierza, która nieustannie spadała po największym wysiłku.

— Jeszcze tysiąc metrów — stwierdził.

Popatrzył wdół. Pod nim leżało lotnisko.

Wolno podciągnął planujący samolot wgórę i skrzyżował stery...

Maszyna przewaliła się przez plecy i poszła w korkociąg, jakby wessał ją gwałtowny, krótkopromienny lej niewidzialnego wiru...

BENEDYKT HERTZ.

SĘDZIA

Buldog Nero, zawadjaka, co awantur wiecznie szuka,
Przechodząc raz ulicą spotkał wyżła, Kruka.
Zawrócił więc czemprędzej, podbiega, przystaje,
Potem, jak nakazują przyjęte zwyczaje,
Obwąchał go i czeka: z miejsca ruszyć nie chce.
A strach wyżła po piętach coraz mocniej łechce;
Wreszcie, drżąc biedaczysko, jakby mruknął z cicha...
Na to buldog:
— Ha, warczysz?... warczysz... tam do licha,
Nie takie ja już w życiu poksramiałem trutnie!
To mówiąc, jak nie skoczy, jak wyżła nie utnie!...
Powalił go na ziemię, rwie, kąsa, aż jucha
Czerwoną strugą płynie z rozdartego ucha.
Skłębiły się...
Wtem sędzia-człek nadchodzi z boku.
Długi harap ma w ręku, a gniew straszny w oku.
Spojrzał na kły buldoga.
Będzie wam nauka...
Rzekł, do góry bat podniósł i tnie nim... tnie... Kruka...
— A pójdziesz!
Pies zaskomlał, szarpnął się i w nogi.
— Dam ja ci tu w przyszłości zaczepiać buldogi!

J. A. Kuprin

ZAWIKŁANA HISTORJA

z archiwum lekarza-psychjatry

NIKOMU, zdaje się, nie wypadło tak oryginalne spędzenie świąt Bożego Narodzenia, jak jednemu z moich pacjentów — rzekł Butyński, dość wzięty lekarz — psychjatra. — Nie będę zresztą opowiadać tego tragicznego wydarzenia. Sądzę, że będzie lepiej, jak przeczytamy tę historję, spisaną przez jej bohatera.

Mówiąc to, wyciągnął środkową szufladkę biurka, w której leżały w porządku poukładane paczki zapisanego papieru. Każda paczka była opatrzona liczbą porządkową i nazwiskiem.

— Wszystko to stanowi literaturę moich nieszczęśliwych chorych — mówił dalej Butyński, przetrząsając zawartość szufladki. — Całą tę kolekcję zebrałem w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Przeczytamy ją innym razem w całości. Znajdzie się tu wiele śmiesznego wzruszającego i pouczającego nawet... A tymczasem, czy nie zechciałby pan przeczytać tego zesztu?

Wziąłem z rąk doktora niewielki pakiecik, zapisany dużem, równem, bardzo ścisłem lecz nerwowem pismem. Oto co przeczytałem:

"Do Pana Doktora Butyńskiego,

Konsultanta przy oddziele psychjatrycznym szpitala

Prośba

znajdującego się w wyżej wspomnianym oddziele Iwana Jerimowicza Pczełowodowa.

Czcigodny Panie!

Przebywając już od dwóch lat w domu obłąłanych, próbowałem niejednokrotnie wyświetlić to pożałowania godne nieporozumienie, które mnie, całkiem zdrowego człowieka, tu przywiodło. Zwracałem się z tem ustnie i pisemnie do naczelnego lekarza, do całego personelu lekarskiego szpitala i w tej liczbie, jeśli Pan sobie przypomina, i do Pańskiej pomocy. Obecnie raz jeszcze ośmielam się zwrócić do Pana z prośbą o baczniejszą uwagę na poniższe słowa. Czynię to dlatego, że Pańska sympatyczna powierzchowność, jak również Pańskie ludzkie traktowanie chorych, pozwalają mi przypuszczać, że jest Pan szlachetnym człowiekiem, który jeszcze niezupełnie ugrzązł w rutynie zawodowej.

Proszę Pana usilnie, aby Pan zechciał doczytać ten list do końca. Niechaj Pana nie odstręcza fakt, że Pan od czasu do czasu natknię się na błędy gramatyczne lub wadliwy szyk zdań. Jest, przyzna Pan, zadaniem nader trudnem, żyjąc w ciągu dwóch lat w domu warjatów i słysząc wyłącznie przekleństwa dozorców i bełkot chorych, zachować umiejętność jasnego wypowiadania swych myśli na piśmie. Skończyłem wyższy zakład naukowy, ale doprawdy powątpiewam obecnie niekiedy, czy należycie stosuję najprostsze zasady składni.

Proszę Pana o zwrócenie szczególnej uwagi na me słowa, gdyż wszyscy psychicznie chorzy są jak wiadomo, skłonni do poczytywania siebie za niesłusznie osadzonych w szpitalu, za ofiary machinacji wrogów i t. p. Wiem, że lubią tego dowodzić doktorom, dozorcom, odwiedzającym gościom i towarzyszom niedoli. Jest mi wobec tego zupełnie zrozumiałe niedowierzanie, z jakiem odnoszą się lekarze do licznych oświadczeń, próśb i utyskiwań.

Co do mnie zaś, proszę jedynie o faktyczne stwierdzenie tego, co będę miał zaszczyt poniżej opowiedzieć.

Zdarzyło się to 24-go grudnia 19... roku. Służyłem w owym czasie w charakterze starszego technika w odlewarni "Spadkobiercy Karola Wudta i S-ki", lecz w połowie grudnia pokłóciłem się w ostry sposób z dyrektorem, spowodu brutalnego systemu kar, jaki nałożył na robotników. Rozgorączkowałem się nań, nagadałem mu szereg obelżywych, szorstkich słów i, nie czekając aż mi wymówią posadę, sam ją porzuciłem.

Nie mając nic więcej do czynienia w fabryce, wyjechałem wkońcu świąt do miasta N. aby spędzić Nowy Rok i ferje w kole bliskich krewnych.

Pociąg był przepełniony. W przedziale, gdzie się zdołałem ulokować, siedziało na każdej ławce po trzech ludzi. Sąsiadem moim z lewej strony okazał się jakiś młodzieniec, student akademji sztuk pięknych, naprzeciw zaś umieścił się pewien kupiec, który wysiadał na każdej większej stacji i pił w bufecie koniak. Kupiec ten wspomniał mimochodem między innemi, że posiada w N. własny sklep rzeźnicki na ulicy Niskiej. Wymienił również swoje nazwisko — nie mogę sobie przypomnieć dokładnie, ale... coś w rodzaju Serdiuk... Średniak... Serdolik... słowem, była to kombinacja liter S. R. D. i K. Zatrzymuję się tak nad temi szczegółami, gdyż gdyby Pan go odszukał, potwierdziłby całkowicie moje opwiadanie. Jest średniego wzrostu, tęgi, o różowej, pucołowatej twarzy, blondyn, wąsy małe, starannie podkręcone do góry, brodę goli.

Nie mogliśmy spać i, aby sobie skrócić nieco czas, gawędziliśmy i pili potrosze. Ala około północy zmorzyła nas wszystkich drzemka, w perspektywie zaś była jeszcze cała bezsenna noc. Stojąc w kurytarzu, napoły żartem, napoły poważnie, jęliśmy przemyśliwać nad sposobami takiego urządzenia się, aby móc spać chociażby trzy do czterech godzin. Nagle zawołał akademik:

— Panowie, znalazłem sposób doskonały. Nie wiem tylko, czy się panowie zgodzicie. Niech jeden z nas podejmie się zagrać rolę warjata. Wówczas drugi pozostanie przy nim, trzeci zaś uda się do nadkonduktora i zakomunikuje mu, że tak i tak: wieziemy naszego krewnego, chorego umysłowo, który dotychczas zachowywał się spokojnie, teraz zaś jął znienacka okazywać objawy szaleństwa i wobec tego, ze względu na bezpieczeństwo pasażerów, nie byłoby od rzeczy odosobnić go zawczasu.

Stwierdziliśmy zgodnie, że plan akademika jest nieskomplikowany i skuteczny. Żaden z nas jednak nie kwapił się zbytnio do odegrania roli obłąkanego. Wówczas kupiec, aby położyć kres naszym wahaniom, zaproponował:

— Pociągnijmy losy, panowie!

Byłem starszy od dwóch pozostałych i powinienem był zaoponować, jak nakazywał rozsądek, mimo to jednak wziąłem udział w tem idjotycznem losowaniu i... oczywiście wyciągnąłem węzełek z zaciśniętej ręki rzeźnika.

Komedja z nadkonduktorem była zagrana po mistrzowsku. Oddano nam natychmiast osobny przedział.

Niekiedy, w czasie dłuższych postojów na stacjach,

słyszeliśmy obok naszych drzwi rozmowy tej treści: Jakiś głos rozkazywał gniewnie:

— No, dobrze, a ten przedział?... Niech-no pan łaskawie otworzy!

Na ten rozkaz słychać było głos konduktora, odpowiadający półgłosem z odcieniem trwogi:

— Państwo wybaczą.. w tym wagonie będzie państwu niewygodnie... tu wiozą chorego... obłąkańca... jest niespokojny... niebezpiecznie...

Rozmowa urywała się natychmiast i słychać było oddalające się kroki. Plan nasz okazał się skuteczny: uśmiawszy się więc dowoli, zasnęliśmy niebawem. Co do mnie, spałem niespokojnie, jakgdybym przeczuwał nadciągające niebezpieczeństwo. Dusiły mnie jakieś straszne zmory i pamiętam, że budziłem się nad ranem kilka razy, krzycząc.

Ostatecznie obudziłem się o godzinie dziesiątej. Towarzyszy moich już nie było (zamierzali wysiąść na jakiejś stacji, gdzie pociąg zatrzymywał się o świcie). Na przeciwległej ławce siedział natomiast ogromny, rudy drab w uniformie kolejarza i z uwagą wpatrywał się we mnie. Doprowadziłem ubranie do porządku, zapiąłem się, wyjąłem ręcznik z walizy i zamierzałem pójść do ubieralni. Ale ledwie dotknąłem klamki, gdy olbrzym zerwał się z miejsca, chwycił mnie oburącz i powalił na sofę. Rozwścieczony tą bezczelną napaścią, usiłowałem się wyrwać, uderzyć go w twarz, ale nie mogłem się poruszyć. Ręce draba ściskały mnie niby stalowe kleszcze.

— Czego pan chce ode mnie? — krzyknąłem, dławiąc się pod ciężarem jego ciała. — Proszę mnie puścić! Wynoś się pan stąd do djabła!

W pierwszej chwili zaświtało mi w głowie, że mam do czynienia z obłąkanym. Grubjanin rozochocony walką, dusił mnie coraz silniej i powtarzał ze złowieszczem sapaniem:

— Poczekaj, kochanku, jak cię posadzą na łańcuchu, dowiesz się dopiero, czego chcą od ciebie. Dowiesz się wtedy, braciszku, dowiesz.

Zacząłem się domyślać strasznej prawdy i postanowiłem nie ruszać się przez chwilę, aby dać mu czas uspokoić się. Odezwałem się wreszcie:

— Dobrze, nie ruszę się z miejsca. Puść mnie pan! — I pomyślałem: — Oczywiście, z tym bałwanem nie dogadam się. Będę cierpliwy i cała ta historja wyjaśni się bezwątpienia.

Olbrzym nie uwierzył mi z początku, lecz, widząc, że leżę spokojnie, jął potrochu wyprostowywać palce i wkońcu wypuścił mnie całkiem ze swych okrutnych szponów. Usiadł na ławce naprzeciw mnie. Oczy jego nie przestawały mnie śledzić z wytężoną uwagą kota, strzegącego myszy. Zadałem mu kilka pytań, ale nie otrzymałem na nie ani słowa odpowiedzi.

Gdy pociąg zatrzymał się na najbliższej stacji, usłyszałem czyjś głos w korytarzu:

— Czy tu znajduje się chory?

Inny głos odpowiedział:

— Tak jest, panie naczelniku!

Następnie zgrzytnął zamek i do przedziału zajrzała głowa w czerwonej czapce.

Podskoczyłem ku tej głowie z rozpaczliwym okrzykiem:

— Panie naczelniku, na miłość boską!...

Ale w tejże chwili głowa cofnęła się przezornie, zamek zgrzytnął, ja zaś leżałem na ławce, trzepocąc się pod gniotącem mnie ciałem kolejarza.

Dojechaliśmy wreszcie do N. Po upływie dziesięciu minut dopiero przyszło po mnie... trzech tragarzy. Dwóch z nich chwyciło mnie mocno za ręce, trzeci zaś z moim poprzednim dręczycielem uczepił się kołnierza mego palta.

W ten sposób wywleczono mnie z wagonu. Pierwszym człowiekiem, którego ujrzałem na peronie był pułkownik żandarmerji o wspaniałych wąsach i spokojnem wejrzeniu błękitnych oczu. Zawołałem, zwracając się doń:

— Panie pułkowniku! Błagam pana, niech mnie pan wysłucha!

Uczynił znak moim tragarzom, aby się zatrzymali, zbliżył się do mnie i zapytał łagodnym, niemal uprzejmym głosem:

— Czem mogę panu służyć?

Widoczne było, że stara się zachować zimną krew, ale jego trwożne spojrzenie i niespokojna zmarszczka wokoło ust świadczyły, że ma się wciąż na baczności. Zrozumiałem, że cały mój ratunek jest w spokoju i, o ile zdołałem, zwięźle, bez pośpiechu, ż pewnością siebie opowiedziałem oficerowi wszystko, co ze mną zaszło.

Uwierzył mi, czy nie? Chwilami twarz jego wyrażała żywe, niekłamane współczucie, chwilami zaś jakgdyby wątpił. Potrząsał tylko głową z owym, dobrze mi znanym wyrazem, z jakim słucha się gaworzenia dzieci lub bełkotu ludzi niespełna rozumu.

Gdym skończył, odpowiedział, unikając mego wzroju, lecz łagodnie i uprzejmie:

— Widzi pan... ja, oczywiście, nie wątpię... ale, naprawdę, otrzymaliśmy takie telegramy... Pozatem ...pańscy towarzysze... Jestem całkowicie przekonany, że pan jest zdrów, ale ... wie pan — cóż będzie dla pana znaczyć rozmowa z doktorem w ciągu jakichś dziesięciu minut... Nie ulega wątpliwości, że lekarz przekona się natychmiast, iż pańskie władze umysłowe znajdują się w porządku i puści pana... Wszak sam pan przyzna, że ja przecież nie jestem kompetentny w tej materji...

Był jednak na tyle uprzejmy, że dał mi jako towarzysza jednego tylko tragarza, wziąwszy odemnie słowo honoru, że nie będę po drodze w żadnym razie wyrażał oburzenia i nie będę usiłował zbiec.

Przyjechaliśmy do szpitala akurat w czasie wizytacji. Nie czekałem zbyt długo. Do poczekalni wszedł wkrótce lekarz naczelny w asyście kilku ordynatorów, nadzorcy oddziału psychjatrycznego, dozorców i grupy studentów w liczbie około dwudziestu. Zbliżył się do mnie odrazu i wlepił we mnie uporczywy, badawczy wzrok. Odwróciłem głowę. Przeczucie mówiło mi, że ten człowiek odrazu mnie znienawidził.

— Proszę się nie obawiać — odezwał się lekarz, nie opuszczając ze mnie dokuczliwego wzroku. — Niema tu bynajmniej pańskich wrogów. Nikt nie będzie pana dręczył. Wrogowie zostali tam... w obcem mieście... Nie ośmielą się teraz pana tknąć. Widzi pan naokół siebie dobrych, szlachetnych ludzi; wielu zna pana dobrze i ma dla pana dużo życzliwości. Czy mnie naprzykład pan teraz nie poznaje?

Wziął mnie zgóry za warjata. Chciałem zaprostetować, ale powstrzymałem się w porę, rozumiałem bowiem doskonale, że mój niewczesny poryw, każde szorstkie odezwanie się, będzie mi poczytane za niewątpliwy objaw obłędu. Wobec tego pytanie doktora zbyłem milczeniem.

Pytał mnie następnie jak się nazywam, ile mam lat, czem się zajmuję, kim są moi rodzice i t. d. Na wszystkie te pytania odpowiadałem krótko i dobitnie.

— A dawno się pan czuje niedobrze? — zwrócił się do mnie znienacka.

Odpowiedziałem, że wcale nie czuję się niedobrze i że naogół cieszę się dobrem zdrowiem.

— No tak, naturalnie Nie mówię o jakiejś poważnej chorobie, ale... niech pan powie, czy pan oddawna cierpi na bóle głowy, bezsenność? Nie doznaje pan halucynacyj? Zawrotów głowy? Nie odczuwa pan czasami mimowolnych skurczów mięśni?

— Przeciwnie, panie doktorze, śpię bardzo dobrze i nie wiem prawie co to ból głowy. Ubiegłej nocy spałem wyjątkowo niespokojnie.

— O tem wiemy już — odparł spokojnie doktór. — A teraz czy nie mógłby mi pan szczegółowo opowiedzieć, co pan robił od chwili, gdy pańscy towarzysze pozostali na stacji Krzyworzecze, nie zdążywszy wsiąść do pociągu. Co naprzykład skłoniło pana do bójki z młodszym konduktorem. Albo dlaczego rzucił się pan na naczelnika stacji, gdy ten wszedł do pańskiego przedziału?

Wyłożyłem wówczas doktorowi wszystko szczegółowo, co poprzednio opowiedziałem był już oficerowi żandarmerji. Ale opowiadanie moje nie było już tak powiązane z sobą, tak jasne, jak przedtem. Zacinałem się wskutek bezceremonjalnego przyglądania mi się otaczającej gromady. Pozatem dokuczliwość doktora, pragnącego koniecznie uczynić ze mnie warjata, detonowała mnie.

W połowie mej opowieści lekarz naczelny zwrócił się do studentów:

— Zwróćcie, panowie, uwagę, jak to niekiedy życie samo bywa bardziej nieprawdopodobne od wytworu najbujniejszej fantazji. Gdyby jakiemuś literatowi przyszedł do głowy podobny temat, publiczność nigdyby nie uwierzyła w możliwość czegoś podobnego. Nazywam to wynalazczością...

Całkiem wyraźnie wyczułem ironję, dźwięczącą w jego głosie. Zarumieniłem się upokorzony i zamilkłem.

— Proszę, niech pan opowiada dalej, słucham pana — zakończył lekarz z udaną łagodnością.

Nie zdążyłem jeszcze dojść do mego przebudzenia, gdy oszołomił mnie pytaniem:

— A niech pan powie, jaki obecnie mamy miesiąc?

— Grudzień — odpowiedziałem nie odrazu, zdziwiony nieco tem pytaniem.

— A poprzedni jaki był?

— Listopad.

— A przed listopadem?

Muszę się przyznać, że wyliczanie miesięcy w kierunku odwrotnym przychodzi mi z pewną trudnością i, aby oznaczyć jaki jest miesiąc, muszę rozpocząć w myśli od początku. Dlatego zawahałem się chwilę.

— No tak... porządek miesięcy zna pan nieszczególnie — zauważył lekarz, poczem mimochodem zwracając się nietyle do mnie, ile do studentów: — Pewne zagmatwanie w rachubie czasu... to nic... To bywa ... No tak, proszę pana, dalej... Słucham.

Postąpiłem nieroztropnie, po stokroć nieroztropnie i wyrządziłem sobie samemu krzywdę, ale jezuickie sposoby doktora doprowadziły mnie poprostu do wściekłości. Krzyknąłem z całej piersi:

— Bałwan! Konował! Sam pan jesteś warjatem!

Powtarzam: okrzyk ten był nieostrożny i głupi, lecz nie oddaję tu setnej części tego złośliwego znęcania się nade mną, którego pełne były pytania lekarza.

Uczynił ledwo dostrzegalny znak oczyma. W jednej chwili rzucili się na mnie ze wszystkich stron dozorcy. Nieprzytomny z wściekłości uderzyłem któregoś w twarz. Powalono mnie i związano.

— Zjawisko to nosi po łacinie nazwę "raptus"... niespodziewany, gniewny wybuch! — usłyszałem z poza siebie spokojny głos lekarza naczelnego w chwili, gdy mnie dozorcy wynosili z poczekalni.

Błagam Pana, Panie Doktorze, o sprawdzenie opisanych powyżej faktów i jeśli się to okaże prawdą, to stąd wynika jeden jedyny wniosek, że stałem się ofiarą omyłki lekarskiej. Wobec tego proszę Pana, błagam, aby mnie Pan uwolnił stąd jak najrychlej. Życie tu jest nie do zniesienia. Dozorcy, przekupieni przez nadzorcę (który, jak Panu wiadomo, jest pruskim szpiegiem), dosypują codziennie do jedzenia chorym ogromne ilości strychniny i kwasu pruskiego. Trzy dni temu oprawcy ci doprowadzili swe okrucieństwo do tego stopnia, że torturowali mnie rozpalonem żelazem, przykładając je do piersi i brzucha.

To samo dotyczy szczurów. Zwierzęta te są według wszelkiej oczywistości obdarzone...

— Co to takiego, doktorze? Mistyfikacja? Majaczenia szaleńca? — zapytałem, zwracając rękopis Butyńskiemu. — Czy stwierdzono fakty, które opisuje ten człowiek?

Na twarzy Butyńskiego zaigrał gorzki uśmiech.

— Niestety! Zaszła tu istotnie tak zwana omyłka lekarska — odparł, chowając kartki do szuflady. — Odszukałem owego kupca — nazwisko jego brzmi: Swirydenko — potwierdził mi całkowicie wszystko, opisane w tym liście. Dodał jeszcze kilka szczegółów: — wysiadłszy na stacji wraz ze studentem, wypili tyle herbaty z rumem, że postanowili kontynuować żart i posłali za pociągniem telegram tej treści: "Nie zdążyliśmy wsiąść do pociągu, zostaliśmy w Krzyworzeczu, prosimy zaopiekować się chorym". Oczywiście, idjotyczny żart. A wie pan, kto dobił ostatecznie tego nieszczęśliwca? Dyrektor zakładów "Spadkobiercy Karola Wudta i S-ki". Gdy go indagowano, czy nie zauważył jakichś dziwactw u Pczełowodowa, oświadczył poprostu, że od dawien dawna poczytywał technika Pczełowodowa za warjata, w ostatnich zaś czasach zgoła za furjata. Przypuszczam, że uczynił to, powodowany zemstą.

— Ależ dlaczego w takim razie trzyma się tego nieszczęśliwca w zakładzie, jeżeli wszystko się wyjaśniło? — zawołałem. — Niech go pan uwolni, doktorze, niech się pan stara, niech pan o to zabiega!

Doktór Butyński wzruszył ramionami.

— Czy nie zwrócił pan uwagi na koniec listu? — rzekł. — Sławetna metoda lecznicza naszego zakładu zrobiła swoje. Człowiek ten już od roku uznany jest za nieuleczalnego. Zrazu był opanowany manją prześladowczą, następnie zaś wpadł w idjotyzm, i ostatecznie zdrów początkowo człowiek, w zupełności zwarjował.

FER-ALI-ACHMUDOW

OSZUKANE GWIAZDY

Opowieść Wschodnia

(Tłumaczył z Tureckiego Wer-cz)

W POCZĄTKACH panowania szachów z domu Safitydów stolicą Persji był Kazwin. Po rozmaitych wydarzeniach Memed-szach Safityd oddał władztwo synowi swojemu Abbasowi I. Sześć lat panował szach Abbas i rozpoczynał się już rok siódmy jego panowania, kiedy właśnie zdarzyło się to, co tutaj opisujemy.

Był początek wiosny, trzeci dzień po Nowym Roku. O godzinie trzeciej popołudniu szach Abbas siedział w pałacu swoim z piękną odaliską Selmą i sycił się biesiadą, kiedy do pokoju wszedł główny eunuch, Chodża-Mubarek, i wśród należnych pokłonów zameldował, że główny astrolog murza Sadr-el-Din prosi szacha, nadzieję świata, o posłuchanie w niezmiernie ważnej sprawie.

Szach gestem rozkazał Selmie, żeby odeszła do haremu, eunuchowi zaś rozkazał:

— Przywołaj murzę Sadr-el-Dina.

Główny astrolog wszedł, wygłosił modlitwy i błogosławieństwa, stanął przed szachem ze złożonemi rękami i czekał. Szach zapytał:

— Co się stało, murzo?

Główny astrolog oznajmił:

— Niech żyje szach, nadzieja świata! Wiadomem mi się stało z ruchu gwiazd, że przed upływem dni piętnastu od roku nowego dwie gwiazdy zbliżą się do siebie: Mars i Skorpion. A ze zbliżenia tych nieszczęsnych gwiazd wielkie wyniknie dla króla Persji nieszczęście, o czem, jako wierny i oddany sługa Najwyższego domu, melduję szachowi, nadziei świata...

Szach był wówczas bardzo młody — minął zaledwie dwudziesty drugi rok życia. Wiadomo, jak drogie i przyjemne jest życie w tym wieku, zwłaszcza gdy się posiada królewski tron. Więc słowa głównego astrologa zasmuciły nad wyraz młodego szacha. Zbladł i bliski był omdlenia. Po dłuższej chwili podniósł głos i rzekł:

— Możesz odejść, murzo.

Główny astrolog skłonił się i wyszedł.

Przez całe pół godziny rozmyślał gorzko szach nad swoją dolą, a potem zawołał Chodżę-Mubareka.

— Natychmiast poślij gońca, niech się stawią do mnie: wielki wezyr Muechsin, głównodowodzący Zaman chan, minister skarbu Jachja i główny mułła Achmed-Samad.

Chodża wyszedł i w parę chwil stawili się przed szachem wezwani dostojnicy. Oddali należny hołd i czekali rozkazu. Szach rzekł:

— Zwołałem was na radę w pewnej sprawie i rozkazuję wam: uważnie baczcie! Posiedzenie będzie nadzwyczajne, przeto dozwolone wam jest usiąść.

Tak też uczynili.

Szach powtórzył doniesienie głównego astrologa i krótko spytał:

— Jak odwrócicie od mnie nieszczęście?

Po dłuższem milczeniu z namysłem zaczął mówić wielki wezyr murza Muechsin:

— Jasne jak słońce jest oddanie pokornego sługi twego Domowi Najwyższemu. Szach, nadzieja świata, pamięta, że za panowania wielkiego szacha-ojca, skarb państwa był nieznośnie pusty, albowiem głupi ludzie sprawowali wezyrat przede mną. A ja zarządziłem, że każdy w państwie urzędnik winien skarbowi państwa złożyć wysoką sumę w podarunku, każdy dostojnik, którego dom odwiedzinami swemi uszczęśliwisz, winien złożyć ci w darze drogie tkaniny i kosztowne klejnoty, i znów wysoką sumę pieniędzy. I tak oto że stało się, że dziś, w siódmym roku twego, nadziejo świata, panowania, skarb państwa pełny jest od góry do samego dołu. Zaś jak pusto było przedtem, tego żaden język nie wypowie. Takich rzeczy dokonał najpokorniejszy twój sługa... ale wykombinować coś przeciw gwiazdom... Allach! tego... nic potrafię...

Strach szach rósł. Zaczął mówić minister skarbu murza Jachja:

— Pokorny twój sługa jest krewnym i tkliwym przyjacielem weryza. Jemu to zawdzięczam moje dostojeństwa, więc też ze wszystkiem kroczę śladami jego mądrych stóp. Rozkazałeś, panie, przy wstąpieniu na tron wypłacić żołd wojsku i pobory urzędnikom, a mnie z tej przyczyny ogarnął smutek i żal. Podpis mój był pod twoim podpisem, nadziejo świata, i ukaz twój wiernie rozesłałem gubernatorom. Alem wcześniej jeszcze rozesłał im poufne polecenie, by nie śmieli nikomu wypłacać pensji ni żołdu, są bowiem czasy ładu i spokoju, drożyzny jakby niema, a każdy sam powinien baczyć, by nie cierpiał nędzy. I tak oto zwiększyłem dochody skarbu wielokrotnie. W takich sprawach mam bystry rozum, ale zniweczyć wpływy gwiazd... Ałłach!... na to środków brak w rozumie moim...

Przyszła kolej na przemówienie głównego mułły:

— Ałłach Wszechmogący modlitwami wielkich i czystych swoich świętych oby uchował drogocenne zdrowie nadziei świata od klęsk nieba i ziemi! Nic nie wyrazi wierności mojej i oddania twojemu sławnemu domowi. Bez przerwy modlę się za pomyślność twoją i urok i rozkwit potęgi twojej. Za wielkiego ojca twojego — kiedy mi nadanem zostało dostojeństwo głównego mułły, mieszkańcy Persji byli conajmniej w połowie odszczepieńcami-sunnitami. I oto kazaniami wymownemi i wszelkiego rodzaju pogróżkami sprowadziłem wszystkich na drogę cnoty i hołdowania dwunastu wielkim imamom. Teraz — dzięki Przedwiecznemu — znajdziesz w Persji nie więcej, niż pięciu-sześciu sunnickich heretyków.

Chciałem zabrać się też do Żydów i Ormian, ich również nawrócić na wiarę szyitską, ale mi mądrzy

ludzie odradzali. Mówili, że w każdem państwie jest trochę Ormjan i Żydów, więc trzeba, żeby trochę ich było i u nas.

Gdy jednak życie nadziei świata jest w niebezpieczeństwie z przyczyny ruchu gwiazd, serce moje smaży się w żalu, jak rybka na patelni. Mój maleńki rozum sądzi, że ten przeklęty astrolog zna rdzeń rzeczy, ale to jawny zdrajca. Powiedział, jak się będą ruszały gwiazdy, ale ukrył, jak złemu zapobiec! Podał ci, nadziejo świata, truciznę i nie dał odtrutki. Nawet wielki prorok raczył powiedzieć, że astrologowie — to oszuści. Słowa moje skierowane są przeciwko nim, a nie przeciwko ich nauce, bowiem przepowiednie ich często się sprawdzają. Ale oni sami — to łgarze i łotry.

Główny mułła miał dawne porachunki z głównym astrologiem i korzystał z okazji, żeby staremu wrogowi dopiec najboleśniej.

Szach czuł się mdło już od godziny, tedy słowa mułły padły na dobry grunt. Gorący gniew wstąpił w szacha. Władca groźnym głosem zawołał Chodżę Mubareka i rozkazał:

— Jeszcze niech za chwilę postawią tu głównego astrologa!

Chodża Mubarek aż przysiadł — i nie upłynął kwadrans, jak wszedł Sadr-el-Din.

— Gadzie! Nastraszyłeś mnie przepowiednią gwiazd, ale środek przeciw nieszczęściu zataiłeś! Kata!

Wpadł straszny kat z kindżałem za pasem i stryczkiem w ręku. Dusza głównego astrologa zadygotała, jak słaby listek. A szach krzyknął:

— Utnij głowę temu psu! Zaraz!

Głównodowodzący Zaman-Chan, aczkolwiek wojskowy, był człowiekiem miękkiego serca. Zlitował się nad głównym astrologiem, wstał i zameldował szachowi:

— Obym ofiarą padł za ciebie! Kto nam powie o środku przeciw gwiazdom, jeżeli zetniemy głowę temu psu? Na białe włosy mojej brody pokornie proszę: zapytaj go wpierw, co czynić, by zapobiec nieszczęściu. Jeżeli nie da trafnej odpowiedzi — natychmiast mu zdejmiemy głowę.

Szach dał znak — kat odsunął się od astrologa i wyszedł.

— Gadzie, — rzekł szach — mów, jak odwrócić nieszczęście!

Główny astrolog nie wiedział tego, a ze strachu nic już wogóle nie wiedział. Ale przeto powiedział:

— Obym ofiarą padł za ciebie! Można zapobiec nieszczęściu. Potrzeba mi na to godzinę czasu, abym mógł pójść i zajrzeć do tablic, ułożonych przez Uługbeka. Poczem wrócę i powiem.

W tablicach astronomicznych Uług-beka nie było wcale mowy o zapobieganiu złym wróżbom gwiazd. Główny astrolog chciał tylko mieć możność zasięgnięcia rady mewlany (mewlana — wysoki dostojnik kościelny) Dżemal-ed-Dina, którego uważał za bieglejszego od siebie w nauce o gwiazdach.

Szach pozwolił mu odejść, ale w tej samej chwili wszedł Chodża-Mubarek z oznajmieniem, że Dżemal-ed-Din prosi o posłuchanie. Zaczem sam mewlana wszedł z należnemi pokłonami do pokoju, na znak szacha siadł i rzekł:

— Niech żyje nadzieja świata! Pokorny twój sługa z przyczyny starości opuścił pałac szacha — nadziei świata i wybrał sobie siedzenie w kącie. Ale piętnastego dnia po nowym roku zbliżą się do siebie gwiazdy Skorpjon i Mars, oraz święta osoba szacha. Wyniknie z tego wielkie nieszczęście, zapragnąłem tedy szczęścia ujrzenia szacha, bym mógł przed obliczem jego ukazać środki przeciw niebezpieczeństwu, nieznane może młodym astrologom.

Szach uradował się niezmiernie i rzekł:

— Naradzaliśmy się właśnie nad tą sprawą. O gwiazdach już wiemy, mów o środkach.

Mewlana oświadczył:

— Niechaj szach, nadzieja świata, na te piętnaście dni po nowym roku wyrzeknie się władzy i odda tron jakiemukolwiek przestępcy, który zasłużył na karę śmierci. W ten sposób działanie gwiazd spadnie na głowę tego zbrodniarza, on to bowiem będzie w tym czasie królem perskim. Kiedy nieszczęście przyjdzie i zbrodniarz, który będzie władał tronem, zginie, wówczas szach, nadzieja świata, wyjdzie z ukrycia, znów zawładnie koroną i będzie panował w zdrowiu i wszelkiej pomyślności. Lud niechaj nie wie, że nowy szach jest zbrodniarzem i niech uważa go za prawdziwego króla.

Główny astrolog był uratowany. Z oblicza szacha znikł strach. Bladość ustąpiła, zakwitł rumieniec. Spytał radośnie głównego mułłę:

— Czy masz na widoku tak wielkiego zbrodniarza, żeby zasługiwał na śmierć i oddanie mu berła, korony i tronu?

Główny mułła odpowiedział:

— Nadziei świata, szachowi, Stwórco, daj życie szczęśliwe! W Kazwinie zjawił się łotr wyjątkowy, nikt bardziej niż on, nie zasługuje na śmierć. Nazywa się Jussup. Niewiadomo skąd się wziął, ale odkąd zamieszkał w Kazwinie, całe pospólstwo i rozmaita hołota zbiera się do niego po naukę, głosi on bowiem wędrówkę dusz, o czem nigdy przedtem nie słyszano. Nicpoń ten kpi sobie z przechodniów bez różnicy ich dostojeństwa, gdyż jest usposobienia kąśliwego i szyderczego i wina pije niewypowiedzianą moc. Pokornie sądzę, że szach, nadzieja świata, temu oto rzezimieszkowi oddać winien koronę i tron, iżby od gwiazd odebrał należytą karę i na zawsze poleciał do piekieł.

Wszyscy obecni na posiedzeniu zgodnie przyjęli ten wniosek i wielkim głosem potwierdzili:

— Tak, siodlarz Jussup zasługuje na karę śmierci i wszystkie plagi niebieskie!

Szach rozweselił się znacznie i rzekł:

— Zgadzam się na śmierć jego. Jutro rano załatwimy to wszystko.

Następnego dnia z rozkazu szacha przybyli do pałacu wielmoże, szlachta, dygnitarze, uczeni prawnicy, duchowieństwo i wszystkich stopni urzędnicy, od wójta ze wsi aż do wezyra. Wszyscy nieruchomo i w całkowitem milczeniu stali na swoich miejscach, czekając wyjścia szacha.

I oto zjawił się szach w koronie na głowie i z berłem w ręku; miał na sobie naramienniki, wysadzane drogiemi kamieniami, cudny pas i miecz. Wszedł po stopniach i zasiadł na tronie, który stał pod baldachimem na łokieć od ziemi. Zwracając się do obecnych, szach rzekł:

— Oto już siódmy rok, jak za zgodą Najwyższego

panuję nad wami. Każdemu z was wedle możności okazałem względy moje i łaskę. Obecni! Z powodu pewnych trudności, o których nie mam wcale zamiaru opowiadać wam, zrzekam się panowania, a koronę i tron oddam komu innemu. Człowieka tego wskażą wam: główny mułła, głównodowodzący Zeman-chan, wezyr, minister skarbu, mewlana Dżemal-el-Din i główny astrolog. Trzeba, żebyście wszyscy uroczyście, wspaniałym pochodem udali się do niego. Sprowadźcie go tutaj, posadźcie na tron, uznajcie za króla samowolnego, jest bowiem następcą moim z mego rozkazu.

Po skończonem przemówieniu szach zdjął koronę i położył na tron, zdjął przewspaniałe swoje szaty, pas i miecz i włożył starą zniszczoną odzież. Potem jeszcze raz zwrócił się do ludu i rzekł:

— Teraz jestem żebrakiem z ludu, Abbasem, synem Memeda. Nie szukajcie mnie, bo nie znajdziecie. Ałłach błogosław!

Zszedł z tronu, wyszedł z pałacu i znikł.

* * *

Warsztat siodlarza Jussupa mieścił się we wschodniej części placu koło meczetu szacha. Była godzina druga po południu. Siodlarz Jussup wygłosił modlitwę południową, siadł i zaczął szyć uzdę, którą klient obstalował na ten właśnie dzień. Dwaj przyjaciele siedzieli obok niego i słuchali jego mowy. Siodlarz Jussup skarżył się na drożyznę którą spowodowała posucha i brak wody w okolicach Kazwina. Siodlarz Jussup mówił:

— Podziwiam ten nasz rząd. Jest tysiąc sposobów sprowadzenia wody do Kazwina. Ale rząd jest głupi i lekkomyślny. Nie myśli o swoich poddanych ani o wygodach w stolicy.

W tej chwili na przeciwległej stronie placu wzbił się wielki obłok kurzu. Siodlarz Jussup, nie wypuszczając z rąk igły, podniósł głowę i ujrzał procesję, która szła w stronę jego warsztatu. Dwunastu szybkobiegaczów w ubiorach z barwnego jedwabiu i w czworokątnych czapach szło na przedzie, za nimi dwunastu chorążych z różnobarwnemi chorągwiami; potem oddział służby dworskiej — jeden z nich miał na głowie tacę, ferraszowie (gońcy) z kijami w rękach. Za nimi główny koniuszy prowadził turkmeńskiego konia z siodłem, wysadzanem drogiemi kamieniami; koń miał złotą uzdę, opaski z wielkich pereł i diamentowy kutas na szyi. Poczem w uroczystym przepychu i całej okazałości jechali: główny mułła, głównodowodzący Leman-chan, wezyr, minister skarbu, mewlana Dżemal-ed-Din, główny astrolog, szanowni prawnicy, duchowieństwo, tudzież inni znani, znakomici i godni mężowie. Pochód zbliżył się do warsztatu siodlarza Jussupa i zatrzymał się. Główny mułła zwrócił się do niego mówiąc:

—Mistrzu Jussupie, los chce, ażebyś w dniu dzisiejszym został naszym królem. Na perskim tronie niema już szacha Abbasa. Okaż nam swoją łaskawość, racz uszczęśliwić nas. Chodź z nami do królewskiego pałacu i uroczyście wstąp na tron.

Oszołomiony siodlarz Jussup nie wiedział co to ma znaczyć. Dygnitarze całego państwa stali przed nim. Główny mułła, który w całej Persji uchodził za solidnego człowieka, tak do niego przemówił... Wszystko to było tak bardzo nieprawdopodobne, że siodlarz Jussup oczom własnym nie wierzył. Wreszcie zdobył się na odpowiedź:

— Przepraszam, panie główny mułło, uważałem Waszą Dostojność za jednego z solidniejszych ludzi w Persji i nie wiem czy Wasza Dostopność zwarjował czy żartuje sobie ze mnie. Jestem zwykłym majstrem siodlarskim i nie mam nic wspólnego z koroną i tronem. Jak Boga kocham, nie rozumiem, dlaczego Wasza Dostojność tak sobie ze mną postępuje. Jestem zupełnie zbity z pantałyku.

Wtedy przemówił głównodowodzący, Leman-Chan.

— Majstrze Jussupie, ty jesteś teraz nadzieją świata, a my wszyscy jesteśmy twoimi niewolnikami i psami na twoim progu. Nie przystoi ci prosić nas uprzejmie, winieneś rozkazywać nam, jak król. Nie zwarjowaliśmy i nie żartujemy. Dyspozycje Boga Wszechmogącego są bezapelacyjne. Cała Persja uznała dziś swoją władzę.

I, zwracając się do czterech sługusów, rozkazał:

— Przynieście szaty królewskie i przyobleczcie nadzieję świata.

Posługacze weszli do warsztatu z tacą, na której leżały szaty królewskie. Postawili ją na podłodze i zaczęli rozbierać siodlarza Jussupa. Zdjęli z niego zniszczoną odzież i ubrali w szaty królewskie. Siodlarz Jussup nie bronił się. Stał pokornie i pozwalał im robić wszystko co chcieli. Potem główny koniuszy podał mu konia z ową piękną uzdą. Siodlarza Jussupa posadzili na konia i pochód w tym samym porządku ruszył spowrotem do pałacu. Chwilę rozlegały się krzyki gońców:

— Na bok! Na bok! Na bok!

Wszyscy mieszkańcy Kazwina, mężczyźni i kobiet, starzy i młodzi, wylegli na dachy, zapełnili okna, wszyscy byli zdumieni, nikt z nich bowiem o niczem nie wiedział.

U bram królewskiego pałacu ferraszowie pomogli Jussupowi zejść z konia. Główny mułła i głównodowodzący Zeman-chan ujęli go pod ramiona i z szacunkiem wprowadzili do sali tronowej. Tam posadzili go na tron królewski i wszyscy dygnitarze, uczeni, prorocy, duchowieństwo, arystokracja, szlachta i urzędnicy, kołem otoczyli tron i pokornie złożyli ręce. Główny mułła odprawił modły i włożył koronę na głowę Jussupa siodlarza. Potem znów odprawił modły i zwrócił się do obecnych:

— Powitajcie króla!

Pod niebiosa wzniosły się okrzyki powitalne, wesołe dźwięki fletów i rakiety. Na ten znak artylerja forteczna za miastem dała sto i dziesięć wystrzałów na wiwat. Aczkolwiek po znakomitych poetach Saadim i Chafizie upadła poezja w Persji, to jednak znalazło się jeszcze kilku poetów, obdarzonych talentem. Zaimprowizowali oni wspaniałe kantaty z okazji wstąpienia na tron szacha Jussupa, w których opisywali całą uroczystość.

Po skończonej uroczystości główny mułła ogłosił narodowi:

— Rozejść się!

Wszyscy wyszli z pałacu. Pozostał tylko szach Jussup na tronie a przed nim eunuch Chodża-Mubarek z innymi eunuchami, kilku sługusów z naczelnikiem swoim Azym-bekiem, a za drzwiami ferraszowie.

Szach zamyślił się. Po pewnym czasie spytał Chodżę-Mubareka:

— Co tu robicie?

Chodża-Mubarek odpowiedział:

— Pokorni my i oddani eunuchowie twojego haremu; jam jest ich naczelnikiem, a oni, rozumie się, moimi podwładnymi.

Szach zwrócił się do Azym-beka:

— A wy?

— Nędzni słudzy twoi. Jam jest ich naczelnikiem, a oni, rozumie się, moimi podwładnymi.

Szach Jossup rozkazał:

— Idźcie wszyscy precz, a ty, Chodżo-Mubareku, zostań.

Po ich wyjściu szach kazał Chodży podejść bliżej.

— Z twarzy twojej widzę, że jesteś dobrym człowiekiem. Powiedz, dlaczego to się wszystko stało. Bywałeś ciągle w pokojach szacha, niemożliwe, żebyś nie wiedział...

Zupełnie przypadkowo Chodża-Mubarek był człowiek uczciwym i sprawiedliwym. Pomyślał:

— Niewolno ukrywać prawdy przed królem — i opowiedział wszystko, od początku do końca, szachowi Jussupowi. Szach Jussup zapytał:

— Gdzie jest szach Abbas?

Chodża-Muberak odpowiedział:

— Przebrał się za żebraka i znikł. Gdzie teraz przebywa, nie wiadomo.

Szach Jussup był rozsądnym człowiekiem. Nie czuł strachu przed gwiazdami, ale to nagłe wywyższenie napełniało go obawą. Z drugiej strony nie widział powodu do abdykacji i zabrał się odrazu do sprawowania rządów. Przedewszystkiem kazał stawić się Asad-bekowi, naczelnikowi ferraszów i rozkazał mu:

— Weźmiesz dwustu ferraszów i natychmiast uwięzisz głównego mułłę Achmeda Samadas, głównodowodzącego Zaman-Chana, wielkiego wezyra Muchsina, ministra murzę Jachję, głównego astrologa murzę Sadr-ed-Dina i mewlanę Dzemal-ed-Dina. Zapakuj ich do lochu w fortecy. Idź — a kiedy spełnisz rozkaz, wróć z doniesieniem.

Asad-bek pokłonił się do ziemi i wyszedł. Szach Jussup przywołał naczelnika służby domowej, Azymbeka, i rozkazał:

— Pokażcie mi harem, potem wszystkie pokoje i moją sypialnię.

Zaczem jęli mu pokazywać pokoje.

Pierwszy pokój zasłany był kobiercami, ściany i sufit pokryte były wizerunkami cudownych kwiatów, traw i ptaków. Drugi pokój również zasłany był kobiercami, zaś na ścianach wymalowane były podobizny nieboszczyków szachów z domu Safitydów i znamienitych królewiczów. W trzecim pokoju ściany pokryte były portretami z innych dynastyj perskich. W czwartym pokoju wymalowani byli na ścianach starożytni perscy bohaterowie i demony; demony walczyły z sobą, miały rogi i ogony. Na ścianach piątego pokoju wymalowane były wojny, które prowadził szach Izmael-Safi.

Z rozkazu szacha sprowadzono natychmiast wielkiego szatnego. Otworzył pokój i szafy w pokoju. Szachowi pokazano rzadkie i piękne ubrania i klejnoty, drogie szale kaszmirskie, tkaniny z czystego jedwabiu, kolczyki, pierścienie z drogich kamieni, naszyjniki z doborowego koralu. Szach Jussup miał trzy córki: czternasto- dwunasto- i ośmioletnią, oraz dwóch synów: sześcio- i czteroletniego. Wybrał dużo ubrań i klejnotów i rozkazał Chodży-Mubarekowi:

— Zanieś to wszystko mojej żonie. Mieszka na Drugiej Kazwińskiej w starym domu. Powiedz, żeby o mnie była spokojna i żeby jutro przysłała tu dzieci, to dam jeszcze.

Chodża-Mubarek wziął dwóch ferraszów, którzy ponieśli rzeczy i poszedł.

Słońce już zaszło. Naczelnik służby poprosił szacha do pierwszego pokoju. Zapalono czerwone świece i nakryto do stołu. Szach dopełnił obrządku mycia, zmówił modlitwę przed jedzeniem i siadł do stołu. Podano dużo rozmaitych potraw. Po kolacji przyniesiono dzban i miednicę — szach wymył ręce.

Poczem udał się do sypialni. Rozkazał jeszcze:

— Naczelnik straży niech rozstawi warty jak zawsze.

Nakrył się kołdrą i zasnął.

Następnego dnia szach Jussup raczył zejść do sali audjencjonalnej i kazał przywołać mułłę Ramazana, Kurban-beka, murzę Dzemla i murzę Zeki, dla których poczuł przychylność, przyjaźń i zaufanie. Urząd głównego mułły powierzył mulle Ramazanowi, głównodowodzącym zamianował Kurban-beka, któremu nadał tytuł chana, wezyrat powierzył murzy Dzemilowi, a ministerstwo finansów przydzielił murzy Zeki. Urząd głównego astrologa zniósł, jako szkodliwy dla państwa. Nowamianowanym szach rozkazał, ażeby do wszystkich prowincyj, wszystkim gubernatorom rozesłali rozporządzenia i ukazy, wedle których wzbronione zostaje odtąd skazywać prawowiernych na śmierć bez powodu, bez powodu obcinać prawowiernym uszy tudzież wyłupywać oczy.

Potem szach rozkazał z królewskich śpichrzów wydać bezpłatnie ludowi dużo rozmaitego jadła i napoju. Rozkazał odgrodzić studnie na ulicach, żeby przechodnie odtąd nie wpadali do studni. Zwołał naradę z ludzi biegłych i świadomych rzeczy i rozkazał im zaopatrzyć Kazwin w wodę.

Potem wprowadził zmiany w sądownictwie. Rozkazał zniżyć podatki gruntowe, zabrać się do budowy dróg, mostów i karawanserajów, zmniejszyć liczbę prawików, żeby ich nie było zbyt dużo, wydać zapomogi wdowom i paralitykom i natychmiast wypłacić zaległe pensje urzędnikom i żołd żołnierzom.

Tydzień upłynął od dnia wstąpienia na tron szacha Jussupa. Codziennie lud widział coraz to inne dowody jego mądrości i sprawiedliwości. Przyszły dla Persji dni szczęścia i pomyślności.

Ale rodzaj ludzki nigdy nie jest zadowolony.

Mieszkańcy Kazwina nie widzieli teraz, żeby dzień w dzień wieszano ludzi na stokach fortecy i szubienicach w śródmieściu, ani jak kat wydłubywał ludziom oczy. To ich niepokoiło. Z początku mówili:

— Zdaje się, że nasz nowy król jest bardzo dobrym i łagodnym człowiekiem.

Potem zaczęli rozprawiać o jego dobroci i łagodności. Zdecydowali, że wypływa ona z głupoty i słabości charakteru. Poza tem odnaleźli w szachu tysiące innych wad. Słowem, życie pod panowaniem dobrego i łagodnego króla wydało im się ciężkie i nieznośne.

Wydaleni z posad urzędnicy skorzystali z tego nastroju ludu. Przyszło im na myśl, że powstanie

miałoby swoje dobre strony i po tygodniu w Kazwinie wybuchły pierwsze rozruchy.

Pierwszym spikowcem był dymisjonowany główny koniuszy.

Spotkał na ulicy byłego skarbnika, podszedł do niego i zaczął rozpytywać:

— Czy to ty, murzo Chalibie? O jakżeś się zmienił... A co mówi lud o naszym nowym szachu?

Murza Chalib odpowiedział:

— Lud odwrócił się już od nowego szacha. Pocichu nazywa go durniem i łotrem.

— Murzo Chalibie, lud jest mądrzejszy od nas, jak Boga kocham! Lud ma rację. Postąpiliśmy jak osły. Posadziliśmy siodlarza na tron, a on pozbawił nas stanowisk.

Skarbnik zawołał:

— Posadziliśmy go na tron, bo tak nakazał szach Abbas. Nie było rady.

— To prawda. Wtedy jeszcze panował nad nami szach Abbas i winniśmy byli ulegać jego rozkazom. Ale teraz niema już szacha Abbasa. Nic nam nie przeszkadza zrzucić z tronu tego bluźniercę, który, jak mówią ludzie, wierzy w wędrówkę dusz.

— Zabijemy go i posadzimy na tron królewicza z domu Safitydów.

Skarbnik skinął głową.

— Pięknie mówisz i zgadzam się z tobą. Ale czego my we dwóch możemy dokonać? Chodźmy do naczelnika artylerji, zapytamy go, co o tej myśli. Przecież i on dostał dymisję.

Poszli do domu naczelnika artylerji.

Ten wysłuchał ich uważnie i rzekł:

— Ale się nie uda bez zgody naczelnika kawalerji Bakyr-chana. Wielki to mój przyjaciel Bakyr-chan. Pozwólcie mi przeciągnąć go na naszą stronę. Jeżeli zgodzi się Bakyr-chan to zgodzi się i Farada-chan, naczelnik piechoty. Farada-chan jest jego bratem stryjecznym i szwagrem i słucha go we wszystkiem. A wy opuśćcie już mój dom i idźcie prosto odemnie do byłego kazwińskiego generał-gubernatora. Przeciągnijcie go na naszą stronę, a on niech pomówi z byłym naczelnikiem miasta i z naczelnikami dzielnic. Niech się dowie, co o tem myślą.

Spiskowcy rozeszli się.

Sprawa była szybko załatwiona i zdecydowana. Spiskowcy postanowili w środę rano otoczyć i zająć pałac, zrzucić z tronu szacha Jussupa i zabić go. A potem wybrać nowego szacha z domu Safitydów.

W oznaczonym dniu rano, jeszcze zanim zostały otwarte bramy pałacu, piesi i konni w pełnem uzbrojeniu otoczyli pałac szacha. Szach Jussup rozkazał wobec tego bram nie otwierać, bowiem tego rodzaju wystąpień spodziewał się od pierwszej chwili wstąpienia na tron.

Zwolennicy szacha Jussupa natychmiast dowiedzieli się o wszystkiem i zaczęli tłumnie, z bronią w ręku, gromadzić się w pobliżu pałacu. Z początku próbował układów z buntownikami, ale bezskutecznie. Wobec czego rozpoczęła się strzelanina. Potem obie strony przeszły do walki na szable i kindżały. Krew płynęła jak woda. Z obu razem padło koło sześciu tysięcy ludzi. W końcu zwolennicy szacha Jussupa zaczęli słabnąć, gdyż lud, który wyszedł z miasta i z dużą ciekawością przyglądał się walce, przyłączył się w końcu do buntowników, ci bowiem stali bliżej. Wobec takiej przewagi zwolennicy szacha Jussupa zostali zwyciężeni i każdy z nich myślał już tylko o zbawieniu duszy przez ocalenie ciała.

Buntownicy wyłamywali bramy pałacu i wpadli do wnętrza i zaczęli szukać szacha Jussupa. Nie znaleźli go. Szach Jussup przepadł. Jedni mówią, że był wśród swoich w walce i zagrzewał ich swoją obecnością, i w walce został zabity. Inni, że niepostrzeżenie wyszedł z tłumu i zbiegł. Słowem — ani wśród poległych nie znaleziono jego trupa, ani też później nigdzie go nie widziano.

Buntownicy rozgromili pałac szacha, a stamtąd poszli na rynek i obrabowali wszystkie sklepy i karawan-seraje. Potem przeszli do dzielnicy żydowskiej i ormiańskiej. Tutaj wszystkich do cna rozgromili, wiele zaś osób zabili.

Po zachodzie słońca każdy wrócił do domu na wypoczynke.

Bunt ucichł.

Następnego dnia przywódcy spisku udali się do fortecy i uwolnili głównodowodzącego Zeman-chana, wezyra murzę Muchsina, Dżemal-ed-Dina i głównego astrologa.

Opowiedzieli o przebiegu wydarzeń wczorajszych i zapytali:

— Którego królewicza z domu Safitydów uważacie za godnego korony i tronu?

Mewlana Dżemal-ed-Din rzekł:

— Boże zachowaj! Jaki dziś dzień?

Główny koniuszy odparł:

— Szesnasty dzień po nowym roku.

Mewlana uradował się i rzekł:

— Nie płaczcie! Bunt był wczoraj, a więc nieszczęście już się stało. Z królewiczów Safidytów żaden nie nadaje się do panowania. Wszyscy są głupi i ślepi. Jednych oślepił szach Izmael II, innych sam szach Abbas. Wszyscy oni są do niczego. Królem naszym znów będzie szach Abbas.

Główny koniuszy rzekł:

— Byliśmy z jego panowania zadowoleni, działo się nam pod nim wyśmienicie. Zupełnie zbytecznie abdykował i uciekał. Nie wiemy nawet, gdzie przebywa:

Mewlana powiedział wesoło:

— Końskie łby nie wiedzą, ale my wiemy i sprowadzimy go.

Zaczem wszyscy wstali, poszli do domu, w którym ukrywał się szach Abbas i przywiedli go do pałacu królewskiego.

Szach Abbas znów wstąpił na tron i życie w Persji poszło dawnym trybem, jakgdyby nigdy nie było wydarzenia z Jussupem.

* * *

Szach Abbas panował jeszcze czterdzieści lat. Poddanymi swoimi rządził, jak ojciec. Starszego swego syna kazał zabić, dwu młodszym synom kazał wykłuć oczy. Z tej przyczyny tron po nim objął dopiero wnuk.

M. S. Coffman

ŁAZIK

Opowiadanie

MAC, wspólnik mojego męża, lubuje się w płataniu mi figlów i kawałów. Nazywa to "wyświadczaniem przysług", a gdy sposobność się nadarza, oczywiście odwzajemniam się mu tą samą monetą.

Pewnego razu wywołał mnie do frontowych drzwi domu i pokazał mi psa.

— Oto biedny szczeniak, kundel, którego znalazłem na drodze — rzekł, przybierając najpatetyczniejszy głos. — Nie miałem serca zostawić go na drodze, by go samochody przejechały. Niech pani okaże litość i dobre serce, i nakarmi biedną psinę.

Oddał mi zwierzę i ruszył ku miasteczku.

Małe to stworzenie było najbrzydszym szczeniakiem, jakiego kiedykolwiek widziałam.

Kundel spoglądał na mnie rzewnym jakimś wzrokiem; oczy jego zdawały się błagać o litość i współczucie. To też zadecydowało o jego losie. Postanowiłam go nakarmić i doprowadzić do dobrego stanu, zanim postanowię co z nim ostatecznie zrobić.

Dałam mu imię "Łazik" i po niedługim czasie bardzo przywiązałam się do niego. Był przemiłym, aczkolwiek gruntownym szkodnikiem i przysparzał mi wiele godzin pracy nad naprawianiem naszego ogrodzenia, aby utrzymać go przy domu. Nieraz naprawdę pragnęłam aby uciekł na dobre, ale nieodmiennie, gdy znikał na dzień lub dwa, szukałam go i trapiłam się srodze, póki nie powrócił. Trzy razy próbowałam oddać go z domu, lecz "Łazik" zawsze trafiał spowrotem do nas i muszę wyznać, że czułam się dziwnie uradowaną z każdorazowego jego powrotu.

Z jakiegoś powodu Łazik nienawidził Toma Browna, który mieszkał w naszem bliskiem sąsiedztwie. Tom nie był złym człowiekiem w normalnym stanie, lecz lubił zbyt głęboko zaglądać do kieliszka i nieraz żona jego groziła, że opuści go i pójdzie sobie, bowiem, gdy był pijany, zachowywał się jak szaleniec.

Wskutek dziwnych obyczajów Łazika, wiodących często do nieprzyjemnych zatargów, postanowiłam przybić na wrotach napis "Strzeż się psa". Nazajutrz Mac swoim zwykłym, dokuczliwym sposobem powiedział:

— Pani staje się naprawdę artystką-malarką. Wspaniale namalowany napis! A czy wie pani, że nie znalazłem tego psiaka na drodze, jak powiedziałem, lecz kupiłem go.

— Na litość boską, a to na co?

— No, poprostu, aby pani wyświadczyć przysługę — zaśmiał się.

— No, to już bezczelność!— zawołałam oburzona. — Poczekaj pan, odpłacę jeszcze panu!

Pewnego wieczora, gdy Steve, mój mąż, wrócił na wieczerzę do domu, opowiedział mi, że syszał iż pani Brown ostatecznie spełniła groźbę i opuściła nieszczęsnego Toma.

—Tom jest teraz w mieście — ciągnął Steve — i wygląda zrozpaczony. Założę się, że upije się dziś na wieczór.

— Czy nie byłoby lepiej i bezpieczniej odwołać radjowe zebranie Mac'a? — podsunęłam.

— Gdyby Mac był w domu, mógłby to uczynić — odrzekł Steve — ale teraz, gdy żoną jego wyjechała do siostry na dwa dni, nie wróci tak prędko.

Powinnam wyjaśnić, że Mac mieszkał po lewej stronie od nas, a Tom Brown po prawej. Co drugi piątek Amatorski Klub Radjowy zbierał się w domu innego człowieka. Kolej Mac'a przypadała właśnie na ten piątek. Żałował trochę, że zebranie miało się odbyć u niego właśnie w czasie nieobecności żony.

Spodziewano się, że gospodarz przygotuje ciastka lub tort, oraz kakao i kawę, to też Mac musiał się krzątać, aby postarać się na czas o smakołyki. Nie śmiał prosić mnie o pomoc po kawale ze szczeniakiem. Wszelako, gdy goście przybyli, zrobiło mi się go żal i pomagałam mu podawać przekąski i napoje.

Do godziny jedenastej wszyscy rozeszli się, prócz mnie i męża; pozostaliśmy jeszcze, gawędząc leniwie. Włączyłam odbiornik i taneczna muzyka napełniła pokój.

Nagle usłyszałam trzaśnięcie drzwi frontowych i odgłos kroków w hallu. Na progu zjawili się dwaj młodzi ludzie o bladych twarzach, których poznałam jako wspólników, prowadzących bar w miasteczku. Za nimi z rewolwerem w ręku postępował Tom Brown.

Tom był spity jak bela, a oczy jego gorzały wściekłością. Uświadomiłam sobie natychmiast, że w obecnym stanie nie dbałby o to, kogo by zabił, ani czy sam zostałby zabity.

Steve i Mac musieli także odczuć niebezpieczeństwo, gdyż obaj pobledli. Wszyscy

byliśmy w tem samem położeniu, jak dwaj przerażeni młodzieńcy, zdani w zupełności na łaskę pijanego Toma.

Brown zatrzymał się na progu, wymachując dwoma rewolwerami w najniebezpieczniejszy sposób.

— Wszystko w porządku, Mac! — powiedział. — Chcę, żebyć mi zreperował samochód. Chciałem zabrać tych młokosów na ostatnią przejażdżkę, ale djabelna maszyna nie chce puścić się w ruch.

Mac powstał pomału, lecz w tej samej chwili muzyka zwróciła uwagę Browna. Spoglądał głupkowato przez chwilę na odbiornik, poczem rozkazał Mac'owi siąść spowrotem. Następnie lufą rewolweru zmusił jednego z młodych ludzi, aby zatańczył. Po krótkiej chwili jednak znudził mu się ten występ i oświadczył, że teraz kolej na Mac'a. Mac nigdy w życiu nie zatańczył ani kroku, lecz powaga sytuacji nie pozwalała mu odmówić i rozpoczął hasać wkoło. Był to dosyć komiczny widok, lecz w danych okolicznościach nikt nie miał ochoty do śmiechu.

— Teraz ty, Steve! — rozkazał Brown, wywijając rewolwerami, i mąż mój jął tańczyć. Gdy wyskakiwał, jeden z młodych ludzi zdołał mi szepnąć:

— Tom ostrzeliwał miasteczko i wszyscy się pochowali— szeptał. — Rozgniewał się na nas, ponieważ chcieliśmy zabrać mu broń. Groził, że zabierze nas samochodem i w drodze pozabija. Na szczęście ktoś popsuł maszynę...

— A gdzież był policjant?— szepnęłam.

— Wyjechał z miasteczka.

— Toż ten szaleniec gotów zabić kogo!

— Wiem o tem, ale cóż mamy zrobić?

Nagle Brown skierował rewolwer na mnie i zawołał:

— A teraz pani pokaże nam jak się tańcy!

Kolana moje zadygotały, że zaledwie mogłam utrzymać się na nogach, lecz niemniej wystąpiłam na środek pokoju. W tej samej chwili radjo poczęło zgrzytać: gwizdy, szmery i gruby głos zagłuszyły muzykę. Uświadomiłam sobie, co się stało. Radjooperator, który mieszkał tuż w pobliżu, przełożył transmisję i uciął sobie z kimś pogawędkę. Był to aparat o krótkich falach, bardzo kiepski i czynności operatora kompletnie zagłuszyły muzykę taneczną.

Tom Brown natychmiast jął strasznie przeklinać radjo; w pijanym stanie uważał przerwę za osobistą zniewagę. Klątwy jego oczywiście nie polepszyły sprawy i aparat dalej syczał, gwizdał i wył wszystkiemi głosami. W szale Brown strzelił do aparatu i zniszczył go zupełnie, rozbijając przytem szybę w oknie.

Mac wyglądał na bardzo rozgniewanego, lecz w owej chwili nie można było nic począć. Po kanonadzie nastąpiło głuche milczenie: obawialiśmy się poruszyć, aby szalony pijak do nas nie począł strzelać.

— Pani myśli, że wykręci się od tańca? — warknął nagle Brown, spoglądając na mnie gniewnie. — Nic z tego! Przejdziemy do was i tam skończymy zabawę!

Po tych słowach nowa myśl ukształtowała się w pijanym mózgu.

— A potem wezmę waszą maszynę i zabiorę całą paczkę na przejażdżkę. Chodźcie żywo, marsz!

Nic nam nie pozostawało jak usłuchać rozkazów pijaka. Mężczyźni ociągali się ztyłu, czekając na sposobność, aby wpaść znienacka na niego i odebrać rewolwery, ale Tom nie dał im sposobności i uważał na to, by mieć nas zawsze przed lufami broni. Gdy znaleźliśmy się na dworze, światło księżyca było tak jasne, że Brown mógł widzieć każdy nasz ruch.

Wiedziałam, że mój aparat radjowy ulegnie takiemu samemu losowi, albowiem Tom rozstrzela go niechybnie.

Nadto, jeżeli nie zdołamy obezwładnić Browna, samochód nasz napewno ulegnie rozbiciu, przyczem i my cało nie wyjdziemy. Może uda się nam obezwładnić go w chwili wchodzenia do domu, gdzie ciemno zupełnie... Lecz myśl o tej możliwości trwożyła mnie srodze, gdyż wiedziałam, że gdy tylko kto go dotknie, napewno rozpocznie strzelaninę.

Gdy dotarliśmy do wrót, kazał nam stanąć, a sam uroczyście zestrzelił napis ostrzegawczy przed psem, klnąc przytem okropnie. Odgłos strzałów spłoszył moja dwa psy owczarskie, które zwiały, gdyż szalenie obawiały się broni palnej, lecz wystrzały sprowadziły Łazika z jakiejś dziury, w której się wylegiwał. Przypuszczał widocznie, że ktoś się wybiera na polowanie.

Wszelako na widok ludzi pies stanął i schronił się przezornie za krzakami. Przypuszczam, że postanowił zaczekać i przekonać się jakie mamy zamiary. Modliłam się w duchu, aby Tom go nie spostrzegł, gdyż nienawidził Łazika tyle właśnie ile pies nienawidził Toma.

Na ostry rozkaz Browna przeszliśmy przez wrota. Pijak kroczył za nami z wycelowanemi rewolwerami.

Raptem dało się słyszeć ostre szczekanie i warczenie i Tom wrzasnął z bólu. Poczem —trach... trach! — puścił broń w ruch.

Obejrzawszy się ujrzałam, że Łazik chwycił zębami Toma za nogę. Brown wyskakiwał, strzelając dziko i wrzeszcząc na całe bardło.

Steve i Mac rzucili się znienacka na niego, tamci dwaj przybiegli z pomocą i w parę sekund czwórka ich obezwładniła szaleńca i wydarła mu broń.

Przekonałam się, że Łazik nie doznał szwanku. Stracił tylko sam czubek ogona który został zestrzelony. Zbytecznie dodawać, że Łazik został bohaterem dnia. Uratował bowiem nietylko sytuację, ale prawdopodobnie życie jednego lub więcej z nas.

JULJUSZ WIRSKI

PŁOT

NOWELA

PRZECHODZĄC na ulicę Klasztorną mijał stary, chwiejny płot z poprzecznych desek, wygięty i poplamiony zieloną pastą wilgoci. Nawet kamienny bruk, idący tu półkolem, przerastał gęsto trawą. Rzadkie tu były kroki przechodniów. Poza walącą się ruderą był sad zapuszczony, pozbawiony prawie drzew, zato gęsto zarosły zielskiem i soczystą trawą. Płynęła wilgoć, pachnąca zdrową zielenią. Wszystko razem — zwykły zakątek prowincjonalnego miasta. Życie przysiadło tu w kucki i wegetując cicho udawało mnicha, odgrodzonego od świata.

Na Klasztornej pokój z firaneczkami i spadkowem łożem z jesionu. Poza tem blaszana umywalka oraz dwa i pół metra podłogi. Melancholijnie skrzypiał stolik, nakryty białą serwetą i chwiało się wiedeńskie krzesełko. Na ścianach pociągniętych różową farbą niepokoiły się szesnastolatki z gołąbkami i bez, a nawet jedna z narzeczonym w myśliwskim stroju z osiemnastego wieku. Na to wszystko patrzała z nad łóżka Matka Boska Ostrobramska, oświetlona lampką oliwną.

Było to miłe i nietrudne po skłopotanym pośpiechu stolicy. Trochę raził nudą i senną pustką, trochę czarowało zamierzchłem wspomnieniem dzieciństwa. Nawet odwiecznie te same zioła i kwiaty w poszczerbionych wazonach z grubego szkła wzruszały. Przypominały łąki z okresu, kiedy biegało się po nich boso.

Ten moment wybrania prowincjonalnego miasta na miejsce krótkiego odpoczynku był w życiu Jana wyjałowiony z pragnień, a nawet myśli. Tu czy gdzieindziej — było mu wszystko jedno. Nie pociągali go ludzie, ani przyroda, ani samo miasto. Raczej bezmyślny korowód dziewic z gołąbkami z drzeworytów odpowiadał próżni mózgu, a nawet serca. Inaczej mówiąc — przerwa. W życiu ludzi nadmiernie czynnych są to zjawiska równie konieczne jak oddychanie i pokarm. Przerost myśli wymaga czasami bezmyślności, przerost uczucia — chwilowej oschłości serca.

Ale senny rytm małego miasta, a zwłaszcza jednostajność jesiennych wieczorów uspasabiają psychikę największego odludka w ten sposób, że już po dwu tygodniach z ciekawością patrzy się w twarze prowincjonalnych nieznajomych, a po trzech zaczynają ci nieznajomi pociągać ku sobie z siłą nieprzepartą. Pierwotność i względna jednopłaszczyznowość tych ludzi wytwarza złudzenie, że zbliżywszy się do nich odetchniemy przeszłością.

Dlaczego przeszłość, znana z książek i opowiadań, ma dla nas posmak poezji — niewiadomo. Czas odbarwia przecież nietylko plamy, ale i barwy. Jan, w duchowem lenistwie odpoczywania, pozwalał fantazji rozpętać się aż do przesłonięcia rzeczywistości. Nie wymieniając tu z nikim ani myśli ani poglądów, pozwalał jednak swej nieuzasadnionej tęsknocie za prostotą wierzyć, że tu właśnie odnajdzie człowieka niekłamanego. Narazie jednak nie czynił realnych kroków dla osiągnięcia celu. Patrzał na mijających go ludzi własnemi oczami — próżniaczej wyobraźni i banalnego sentymentu.

Tymczasem dni i wieczory, noce i świty mijały. Pełznie czas równie senny, jak rytm ulic, jak bezład walącego się płotu, jak dorywcza zieleń owego kamieniami brukowanego półkola. I coraz dalej przesuwa się termin powrotu. Czasami tylko krótki, lakoniczny list. Poczem brunatny listonosz przynosi przekaz na skromną sumę. Znika zachodzony zwiastun złego, dobrego i nijakiego, a zostaje ten sam ślimaczy chód czasu, po mokrych flizach wąskiego chodnika.

Wreszcie Jan zrozumiał, że coś w nim przerwało się "w połowie taktu". Cały rozmach stołeczny, ogromna masa najnowszych zainteresowań, pytań, kwestyj — wszystko zwaliło się gdzieś w dół, jak niepotrzebny a dokuczliwy bagaż. Nawet gazety zaledwie przeglądał. Odsłoniła się zmęczonym oczom nowa prawda, banalne słowo o życiu bez głębokiego nutru, które jednak może być dobre. Reszta, cała dotychczasowa krzątanina po szerokich magistralach postępu, cały pośpiech i wysiłek, aby nie pozwolić na wydarcie sobie rekordu pierwszeństwa, wszystko, czem żyje człowiek wielkiego miasta i świata, przestało go nagle interesować wraz z tą dziwaczną pasją do zagadnień społecznych.

Przełom, który nastąpił, był aż nadto głęboki, aby go uważać za chwilowy odruch zmęczonych nerwów. "Czyżby odnalezienie samego siebie?" myślał i dziwił się, dlaczego nie czuje lęku przed stanem, który piętnował i mieszał z błotem tam, w mieście.

Ale lęku nie czuł, tylko wielki spokój, a nawet coś, jakby tępe, mieszczuchowskie zadowolenie. "W każdym z nas drzemie wegetujące bydlę" stwierdził pewnego wieczora, kładąc się spać o wczesnej godzinie.

Ten wstęp do "nowego życia" byłby mocno zadługi, a nawet nudny, gdyby nie był konieczny. Jan sam rozumiał, że owa psychiczna przerwa, owo przepołowienie się na dwie odrębne egzystencje uniemożliwiło mu poznanie prowincjonalnego dramatu. I obojętnem jest, czy dramat powoduje człowiek głupi, zły, rozumny czy święty. Dramat jest cierpieniem, którego korzeń wrasta w duszę człowieka.

Można posunąć się dalej i odważyć się na twierdzenie, że tylko Bóg mógłby oszczędzic bólu człowiekowi. Ale to już jest sprawa teologji, która jest nauką, chociaż bez wiedzy o przedmiocie badanym.

Więc z konieczności mijały dni i zlatywały jak motyle-żałobniki kawałki kalendarza. W leniwem zamyśleniu nie dostrzegł, że czas położył zaśliniony palec na pewnej środzie października oraz imieniu, które nosił pan domu. Dopiero wieczorna krzątanina przypomniała mu dawno zapowiadaną uroczystość i własną obietnicę, że "owszem' bardzo chętnie"... Wyrwany z odrętwienia szybko udał się na miasto po imieninowy drobiazg. Jeszcze prędzej powrócił, mijając, nie bez życzliwości, stary płot na rogu. Gorączkowo, nawet z pewną tremą ubierał się w smoking, ciekaw tych ludzi i pewien, że przy nieodstępnym kieliszku w ciągu kilku godzin odkryje to, czego nie dojrzał przez tygodnie zewnętrznej obserwacji.

Więc imieniny. Pan domu w staromodnym surducie witał gości na progu. Pani domu, osoba czterdziestoletnia, kierowała dopożyczoną od sąsiadów służbą. Dwóch chłopców, w źle skrojonych, ciemnych marynarkach niezręcznie snuło się po pokojach, usiłując wyręczać ojca. Ich głupkowate uśmiechy i sztywne ruchy nie raziły Jana ale życzliwie śmieszyły. Poza tem córka domu, niebrzydka blondynka, poufale serdeczna z paniami. Panna Zofja była w Warszawie na kursach pedagogicznych, przywiozła stamtąd, ku chwale rodziny, doskonałe świadectwo i ku zmartwieniu miejscowej młodzieży, postępowe poglądy, utrudniające jej zamążpójście. Mówiono w największej tajemnicy i tylko najlepszym przyjaciołom, że panieństwo panny Zofji złożone zostało na ołtarzu tegoż postępu w Warszawie, przyczem wolną miłość celebrował pewien medyk, stale przyjeżdżający do miasta. Jan stwierdził, że była to zemstwa odpalonych konkurentów, względnie mściwa domyślność. Panienka bowiem była pełna prostoty i duchowej czystości. Medyk był nieoficjalnym narzeczonym w tajemnicy przed rodzicami, którym nie odpowiadał początkujący lekarz bez praktyki. Jej oczy, usta, ręce, a nawet głos, miały głęboką nutę prawości, melodję prostego piękna duszy, która nie zaznała brudu. Jan stwierdził ponadto, że panna nie marzy o Warszawie, ale pragnie po ślubie osiąść z mężem w miasteczku i pracować dla swoich. Nie było to wielką ofiarą, ale świadczyło o pewnej głębi serca.

Schodzili się powoli bliscy i dalsi znajomi, jednakowo serdecznie witani. Towarzystwo mieszane. Poza kilku urzędnikami był również nieodstępny sędzia z żoną i komendant straży — stary kawaler, i właściciel cukierni z rynku, który przysłał imieninowy tort. Korowód gości zamykał podkomisarz policji, bardzo szarmancki, bardzo wygalonowany i mocno liberalizujący, jako Warszawiak.

Jan stwierdził przy stole, że towarzystwo jest miłe.

Panie zwłaszcza miały dużo godności i taktu w rozmowach. Gorzej było z urodą — poza panną Zofją nie było ani jednej ciekawszej twarzy. Przyjęcie jak zwykle: gorąca kolacja i trunki. Kordjalnie wznoszono toasty, nie szczędząc słuchaczom improwizowanych rymów. Atmosfera "podgrzewała się", ale nic nie wskazywało na obnażenie prawdy o prowincjonalnym człowieku. Tyle tylko, że przez wzgląd na Jana, panowie przez kwadrans mówili o polityce, panie o literaturze. Banalne, wyczytane w pismach stołecznych sądy nie raziły w tem otoczeniu, owszem, interesowały i radowały. Nawet dziwiły. Panowie okazywali dużo sympatji dla warszawskich "herezyj" .To, co wydawało się pospolite i oklepane w stolicy, tu było świeże i pociągające, może dlatego, że nieoczekiwane.

Więc mijały godziny. Spokój nieodmiennie towarzyszący Janowi od chwili przyjazdu, nabrał akcentów stałych. Nie zakłóciła go nawet dziwaczna para, która zjawiła się pod koniec kolacji z naręczem kwiatów i cukrów, głośno przepraszając za spóźnienie.

Był to miejscowy starosta z żoną. Wysoki, doskonale zbudowany i odżywiony pan, bardzo męski, a tem samem "kobiecy". Ona drobna, szczupła, prawie dziewczynka... Wiosna życia i lato. Biła łuna dobranego szczęścia od tych dwojga. Tak się przynajmniej zdawało.

Kolacja się przedłużyła. Pomimo gorące protesty nowoprzybyłych, wrócił na stół zając i kotlety wieprzowe z kapustą. Napełniły się nalewkami karafki. Rozmowa podniosła się o ton wyżej i o dwa tony bardziej szarmancki stał się miejscowy podkomisarz. Starosta rozdawał uśmiechy, komplementy i toasty. Urzeczywistnił się sen Jana o prostocie ludzkiego współżycia. Ale po kolacji pierwszy alarm natężonej uwagi. Starosta przy pannie pawiem chodzi i bażantem. Panna grzecznie, ale z zakłopotaniem. Coś, jakby wstyd w oczach, coś jakby prośba o przebaczenie w kierunku ślicznej starościny, coś, jakby ironicznie współczujące spojrzenia publiczności.

Jan nastawił się jak wyżeł. Usiadł w rogu pokoju w klubowym fotelu i paląc papierosy prowadził lekką rozmowę z sędzią. Jednocześnie obserwował. Sędzia zauważył i grzecznie wyjaśnił:

— Ciekawa para. On pierwszorzędny działacz, ogromnie pożyteczny. Przytem nienasycony. Temperament panie, zadziwiający... Teraz zakłada sieci na Zosię ale nie uda mu się... uprzedził go medyk.

Janowi zrobiło się przykro i lekko zmarszczył brwi. Sędzia niezwłocznie zmienił ton:

— Ona za to prawdziwie święta. Wzór naszych mężatek. Podobno szalenie go kocha i wszystko przebacza. Niech pan z nią porozmawia. Na wszystkie argumenty wasze nowomodne odpowie: sakrament! Nie dlatego, żeby powtarzała cudze przekonania, ale z głębokiej serdeczności.

— A on ją często poniewiera?

— Zaraz poniewiera... Chłop, jak pan widzi, przez Stwórcę niepokrzywdzony, a przytem nabożny do kobiet. Tu w okolicy niewiele jest, któreby nie przeszły przez jego ręce.

— Aha — Jan patrzył w oczy uprzejmego informatora i gryzł ustnik papierosa. — Ale potem, jak zamąż wyjdą, to sakrament murowany.

— A tak...

— Ślicznie!

— Pan ironizuje, a ja panu powiem, że pan tych kobiet nie zna. Zwłaszcza pani Reny, żony starosty. Ona gotowa panu oświadczyć, że bardzo boleje nad postępkami męża, ale to ją nie upoważnia do pójścia w jego ślady. Chce pan z nią mówić?

— Narazie nie. Zmęczony jestem. Zadużo piłem — dziękował uprzejmie.

Ale właśnie rozpromieniony solenizant nastawił patefon. Zakołysała się melodja pół smutna, pół-cyniczna. Tango. Majaczył w obłokach dymu szkarłat młodych warg. Sędzia poufale wziął Jana pod ramię i prowadził ku kanapie. Tam panie, pozornie niedbałe i zajęte rozmową. W rzadkich spojrzeniach na boki wyraźna przecież chęć tańca.

— Przyprowadzam pani warszawskiego dansera — skonił się sędzia starościnie i po kilku zdawkowych komplementach oddalił się ku żonie jednego z podwładnych.

Jan spokojnie wzrokiem opłynął maleńką postać pani Reny. Grzecznie podał ramię. Idąc płynnym krokiem tańca stwierdził z zażenowaniem: cudna! Wypite trunki, długa samotność, a przedewszystkiem ciekawość odmiennego typu kobiecego uderzyły do głowy. Tańczył w pachnącej mgle. Jednocześnie prawe ramię i dłoń wyczuwały świeżą, giętką i gibką, jak łodyga kwiatu linję ciała. Bezbronne przechylenia, pełne miękkiego poddania ruchy, zamglone oczy i jak błękit niezgłębione. Nie mówił nic. Tańczył z napół przymkniętemi oczyma, pozwalając sobie śnić na jawie, żee zaraz pachnący obłok jej ciała podniesie do ust. W pewnej chwili drapieżnie-słodki obłęd jej kobiecości uderzył weń, jak ostrze śmierci. Zamknął oczy i zaciął do krwi wargi.

— Pan się źle czuje?

Ocucił go złocisty promień słów. Spojrzał na nią z góry, jakby z żalem, że przerwała cud złudzenia. Zamieć płowych włosów pachniała wprost w rozszerzone nozdrza. Nie odpowiedział nic.

— Dziękuję panu...

Patefon skończył obracać płytę i pani Rena powróciła na kanapę. Jan skłonił się tylko w milczeniu. Wzrokiem szukał fotelu.

— Zajęty, psiakrew — zaklął.

Niepostrzeżenie udał się do swego pokoju, upadł twarzą, wciągał nozdrzami wspomnienie zapachu. Rozkosz podświadoma, dzika, nieomal mordercza targnęła ciałem.

II

Ocknął się późno z szalonym bólem głowy. Patrzały, jak zawsze ze ścian szesnastolatki i równo płonęła lampka oliwna pod obrazem. Przez okno wpadło żółte słońce, jesień i widać było czerwieniejące liście drzew.

Leżał bez ruchu. Analiza wczorajszego wieczora była krótka: niewyładowana energja, samotność, małomiasteczkowa nuda i wódka. A przecież spazm rozkoszy przenikał ciało raz za razem i uporczywie wyświetlała pamięć słodką twarz cudzej kobiety...

Koło południa zastukał pan domu. Skarżył się przeciągle, że Jan zniknął nagle, na początku zabawy. Kazał przynieść syfon, cytryny i cukier. Aprobując ten niezawodny środek na pijaństwo, Jan bez drżenia słuchał: ma lat dwadzieścia osiem, syna i uwielbienie dla Ibsena. Poza tem lubi kwiaty, dzieci i poezje. W niedzielę (a był to właśnie czwartek) są zaproszeni do starostwa. "Pan z nami" — kończył bezapelacyjnie, zapalając papierosa.

Jan udał gwałtowne pragnienie, żeby pokryć nadmierną radość. Jednocześnie w duszy — pauza. Pozna ją bliżej, oceni i stłumi to, czego nie śmiał nazwać pożądaniem, a nie chciał — uczuciem. Zresztą za dwa tygodnie wyjedzie.

Przeprosił grzecznie pana domu, ubrał się i wyszedł na miasto. Droga szła koło płotu. Pochylony w stronę sadu odgradzał kamienną szarość ulicznego życia od soczystej zieleni. Jan długo chodził wąskiemi ulicami w głębokiej zadumie.

Z tej zadumy, drobnemi cyframi słów i pojęć wybiegł bilans: piętnaście tysięcy mieszkańców, w tem trzy czwarte półanalfabetów: ksiądz, sędzia, aptekarz i oficer — arystokracja miejscowa: również grupa urzędników, obywateli i kupców. Trochę nauczycielstwa, jeden księgarz. Razem zakonserwowana gmina miejska o jednolitych nawykach. A ona — jedna i sama. Przytem żona dostojnika. Z tych rozważań wynikło krótkie mruknięcie: — jej cnota, to konieczność. Pozycja towarzyska! Ochłonął.

Nie czekał już od niedzielnej wizyty żadnych objawień o zagnanej duszy ludzkiej. Miasto prowincjonalne odsłoniło przed nim okrucieństwo swego nawykowego przymusu. Ale podczas wizyty — niespodzianka. Zbliżyła się do niego z całą swobodą damy i rozpoczęła rozmowę. O imieninowej zabawie, ani słowa. Nie było

również pytań, wyjaśnień, sondowania "opinji". Oświadczyła poprostu:

— Pan jest czarujący.

Mimowoli uśmiechnęły się surowe usta mężczyzny.

— Zabrała mi pani pierwszeństwo komplementu.

— Zostawmy te głupstwa. Nie o komplement chodzi, lecz o to, że pan z wielkiego miasta, a taki romantyk.

— ?...

— No tak. Patrzę przecież na tego swojego samca (pogardliwy ruch głowy w stronę starosty). Widzę ich wszystkich od lat dziesięciu. Bo i to się panu przyda: mam lat dwadzieścia osiem... i nauczyłam się poznawać mężczyzn. Pan nie ma nic z tego typu, który reprezentują mi tu wszyscy. Jest pan jak pątnik, który opuścił Sodomę, aby odnaleźć Gomorę.

— Ciekawe ujęcie — spojrzał jej poraz pierwszy w oczy z otwartą szczerością — obawiam się jednak, że pani mnie przecenia.

Oblał go rumieniec wstydu na przypomnienie ataku pożądania, którego doznał zaraz po pierwszem poznaniu. W przystępie szczerości chciał jej o tem w najoględniejszych słowach powiedzieć, ucałować i odejść. Przeczyste przecież były oczy kobiety-dziecka i nie można było im kłamać.

— Proszę się nie bawić w frazeszy — przerwała.—Ten rumieniec... mój Boże!... nie widziałam rumieniącego się mężczyzny od czasu, jak żyję w tem mieście, to znaczy od urodzenia. A nie jest pan chłopcem. To ładna rzecz rumieniec — w pańskim wieku, a jeszcze ładniejsza, że pan nie rozróżnia odruchu serca od odruchu zmysłów.

Zacięła wargi zmieszana i szukająca gorączkowo słowa.

— Chce pani powiedzieć, że mieszam uczucie głębokie, które budzi pragnienie, z samem pragnieniem bez uczucia i że się za to potępiam — pospieszył z pomocą, zdumiony jej niezwykłą intuicją.

Od kilku chwil pragnął znowu tej kobiety aż do skowytu ust i serca. A jednocześnie czuł, że jednem słowem rzuciłaby go sobie do stóp na zawsze. Przetarł czoło ruchem bezradnym i wyrażającym zdumienie. Obok przeszedł starosta, rzucił znudzone spojrzenie żonie i nieobowiązujący frazes gościowi. Jan mówił gorączkowo:

— Bo przecież to zadziwiające. Widzi mnie pani drugi raz. Jestem już bezbronny. Istotnie czegoś czekałem od tego miasta. Ale nie była to kobieta. Raczej zwykły, prosty, prawdziwy człowiek. A teraz jednak mam wrażenie, że pani jest uprawomocnieniem tej sennej zjawy, jaką jest to miasto. Pani je urzeczywistnia. W Warszawie rozeszłyby się te myśli i tę pani czystość rozmieniłaby pani na drobne. Tu ocalał skarb jednolity — prawda o czystej duszy. Może nawet...

— Proszę — zachęciła wytwornym i dobrym uśmiechem.

— Może nawet prawda o ofierze...

— Ach, więc tak pan to pojął. No, nic dziwnego. Wy tam zaraz robicie z rzeczy zwykłych tragedje... A to przecież najzwyklejsza higiena duszy.

— Sędzia miał rację — pomyślał Jan. Nagle cofnął się od niej o pół kroku i patrzał z ciekawą natarczywością. Nie kłamała. Dla niej czystość w życiu była higieną duszy. Chciał nieśmiało i oględnie zaznaczyć, że higiena duszy nie ma nic wspólnego z bagnem we własnym domu. Druzgocząca siła tego argumentu nie nadawała się jednak w danej chwili. To, co o niej wiedział, było prawdą z drugiej ręki, oną sama nie upoważniła go do dyskusji.

— Będziemy przyjaciółmi — powiedziała, zgaszona nagle, jakby wyczuła jego myśl. — Bardzo mi potrzeba kogoś prawego. Niech pan moje oświadczenie traktuje, jak pełnomocnictwo — dodała, podając drobną, wypieszczoną rękę.

Odeszła płynnie ku grupie znajomych pań, odsyłając mu jeszcze życzliwe skinienie głowy.

Panowie w dalszych pokojach zasiadali do kart. W karty nie grał. Zakręcił się wśród gości, zamienił kilka zdań i złapawszy w przejściu gospodarza, pożegnał, prosząc o ucałowanie rąk pani.

Był zbyt dojrzały aby nie pojąć, że atmosfera spokoju, monotonji i pewnego wyczerpania to niedostateczne atuty do zainteresowania się młodą kobietą. Ona sama, niezależnie od swojej delikatnej urody, była wystarczającą przyczyną. Szybko zdecydował: — jeżeli jest taką, jaką widzę — będzie moją. Wiedział, że posiada warunki, aby się podobać, teraz jednak odczuwał lęk na myśl, że to zamało, aby rozkochać w sobie kobietę, która brzemię stadowego przesądu dobrowolnie wzięła na drobne, a przecież silne ramiona.

III.

Długie marsze po krętych uliczkach miasta. Lipy, kasztany i akacje, wychylające się z poza zmurszałych płotów. Lekka czerwień liści. Biel płytkich ścieków i wegetatywny wyraz twarzy mieszkańców. Spadziste dachy zielone lub czerwone, niekiedy czarne. W tem wszystkiem zmienne niebo. Chmury, obłoki, błękit i znowu chmury. Niekiedy cynowa, szara ciężkość.

Z całego tego świata, ze wszystkich jego zakamarków i powierzchni płynęła, wsączała się tęsknota. Była jak tysiące cieniutkich nitek, wysnuwanych ze świata zewnętrznego i nawijanych na purpurowe wrzeciono serca. Delikatnie, nieustannie, uparcie podnosiła się do gardła — spazm duszy.

Podczas jednej z wędrówek spotkał panią Renę. W złocistej gazie słońca szła prosta, lek-

ka, pachnąca. Ukłon. Sama zatrzymała go promiennym głosem:

— Proszę mnie odprowadzić, jeśli łaska.

— Ależ najchętniej.

Uważnie słuchał obojętnych słów o sprawach nieokreślonych. Sycił go jej głos, jak samo słońce. Zrzadka dawał odpowiedź na jakieś bezpośrednie pytanie. Wreszcie bez żadnego wstępu:

— Pani Reno, jaka pani jest?

Zdziwiła się nieco, ale nie zmieszała, jakby potrosze przygotowana na podobne pytanie. Zaczęła mówić cicho:

— Córka lekarza. Wykształcenie średnie. Całe życie tu w miasteczku. Zwykłe dzieciństwo córki zamożnych mieszczan. Przyjaciółki, lektura, ogródek, spacery. Łagodne nauki matki, surowe prawdy ojca-liberała. Książki, dużo książek...

— Ibsen?

— Tak, Ibsen! — ucieszyła się szczerze. — Ale niech pan słucha: dużo książek Ibsen, Rolland, Wells.... Wszystko polskie, oczywista także w międzyczasie bale, majówki, kuligi. Podobno byłam ładna. Zjawił się starosta — bardzo piękny, i niezmiernie szarmancki... Ogromnie subtelny! Ktoś tam ostrzegał, że starosta erotoman. Ów ktoś kochał się w niej — nie uwierzono. Bardzo prędko ślub i w pół roku po ślubie pierwsza zdrada, opłakana obfitemi łzami... Kilka miesięcy chorowałam... Później weszło to w rozkład życia — te... zdrady... No, i przyzwyczaiła się, uciszyła...

Zduszonym głosem powtórzył pytanie:

— Ale jaka pani jest?

Zamyśliła się nie na żarty.

— Stawia mnie pan w trudnem położeniu. Musiałabym na nowo rozdzierać, analizować... Dziś — sama nie wiem.

— Nie wie pani?

— Proszę mi wierzyć. Staram się być dobra dla ludzi. Czego chcę dla siebie — nie wiem. Czasami pragnę ludzi dobrych i mądrych koło siebie. Żeby poprostu byli, żebym mogła mówić do nich.

— I to wszystko?

— Czy wolno mi więcej? — w tonie pytania zabrzmiała skarga okpionego przez życie dziecka.

— Ależ wolno, ależ tak! — wybuchnął, gotów jej wyznać wszystko.

Delikatnie przemilczała wybuch, pragnąc uniemożliwić wyznanie, które przeczuwała. Szli w zakłopotaniu obok siebie szeroką aleją parku. Minąwszy pary stanęli przed domem starosty.

— Przejdę się jeszcze z panem. Zdenerwowana jestem.

Tą samą drogą wracali w porozumieniu i rozdarciu. Kiedy minęli śródmieście, Jan skręcił w kierunku ulicy klasztornej. Niewielkie półkole zarosłych trawą i pleśnią kamieni. Szczerbaty chodnik po jednej stronie, przegniły wygięty płot po drugiej. Za płotem świeży, pachnący zielskiem i trawą sad. Wziął ją nieomal za rękę. Przystanęli.

— Widzi pani — mówił przerywanym głosem — co za smutek nieużytecznej rzeczy. Wilgotny ciężar przesądu. Zmurszały ciężar fałszu. Ten płot... tu nad pleśnią wilgotnych kamieni, odgradza od soczystej zieleni sadu. Ten płot... Nikt go nie ruszy, nikt nie pchnie, nikt nie powali! Utarło się, ustało, że już tak, że już na zawsze. Kiedyś zapewne sam runie, siłą własnego bezwładu.

Milczała uparcie, jak pokojowe zwierzątko, które zwierzyło niebezpieczeństwo.

Powtórzył głośno, teraz już w formie pytania:

— Nikt go nie ruszy? Nikt nie pchnie? Nikt nie powali?...

Odwróciła głowę i dwie łzy stoczyły się po ślicznej twarzy.

— Pani Reno, na miłosierdzie Boże, niechże mi pani odpowie!

Odpowiedziała pytaniem:

— Bardzo pan kocha?

— Tak.

— Więc jeżeli to prawda, jeżeli to jest możliwe, jeżeli przeczucie nie zawiodło mnie i pan jest naprawdę "rycerz z tamtej strony", jeśli ta obłąkana tęsknota, która mnie do pana popycha, jest prawdą serca—niech pan wyjedzie...

— I zapomni... — dodał z goryczą.

— Niech pan wyjedzie i pamięta. Pan słusznie powiedział, że ten płot to zgniły ciężar przesądu. Ale nietylko przesąd stoi przed nami. Proszę nie pytać, proszę zrozumieć. Ja... także kocham pana. Pokochałam odrazu, śmiało. Ale proszę pomyśleć: mam męża, który ode mnie odchodzi do każdej kobiety, choćby chwilowo pożądanej. Pytał pan jaka jestem. Nie mogłam odpowiedzieć, bo to drzemało za progiem świadomości. Pan to wydobył na jaw. Więc jestem przepełniona lękiem i wstrętem do pewnych spraw... Niech pan sam stara się zrozumieć! Dlatego chcę być tylko kochaną, dlatego chcę pamiętać, rozważać, ale nie przeżywać!

Stał, zaskoczony namiętną potęgą głosu i tragizmem odsłoniętej prawdy. Paznokciem zdzierał pleśń z przegniłych desek. Szukał kontr-argumentu. Była chwila, że za najlepszy uważał upaść jej do nóg i ucałować końce trzewików. Czuł, że nie oparłaby się takiemu wybuchowi rozpaczy i miłości, ale obawiał się, że mogłaby potem pożałować swej słabości. Ona zaś podniosła na niego zalaną łzami twarz.

— Pan myśli, że mi nie żal? Tak żal, że powiedzenie "serce pęka" to zamało. Pana mi żal i — siebie. Ale cóż poradzę? Pan chce, żebym została jego żoną, pan jeszcze wierzy w małżeństwo. Bo to pan chyba chciał powiedzieć,

mówiąc o powaleniu zmurszałego płotu przesądów, prawda?

— Tak.

— A ja nie wierzę w małżeństwo. Wierzę w miłość, ale nie w małżeństwo. Mówiono mi, że małżeństwo — to sakrament. Nieprawda! Sakrament to — miłość, to ludzkie, kochające serce! Tylko, widzi pan, ja się tu chowałam, tu rosłam duszą, tu dojrzewałam sercem i rozumem. I nie mam sił, rozumie pan? sił, żeby pójść z panem i tylko kochać. Musiałabym się chyba drugi raz urodzić i nie tu, nie tu!... Ten płot, ach, ten płot. To nietylko religja, kanony, sakramenty! To także gadzinowe śliny ludzi, to także wola i złe prawo społeczne. Czemże byłaby religja nie poparta przez "moralność" społeczną? Czem? Podpórką bez oparcia.

— Reno, przecież to psychoza! — schylił się do jej rąk i wgryzł się w nie pocałunkami. Suche łkania rwały mu piersi.

— Tak, to choroba, idjosynkrazja. Czuję nieprzeparty wstręt do tego, co nazywa się małżeństwem. Dlatego postanowiłam trwać w tem swojem bagnie. A wolna miłość? W wężowych sykach ludzi, w płomieniach nienawiści, szyderstwa, pogardy? Na to mnie nie stać. Na to trzeba być już nietylko kochającą kobietą, ale żołnierzem. A ja tylko kocham...

Umilkła wyczerpana. Prawą ręką, drobną i delikatną gładziła jego obie ręce, splecione bezradnie i modlitewnie. Jan pojął, że przegrał szczęście, to jedyne szczęście w życiu, które raz się tylko staje. Odwrócił oczy i cicho się pożegnał. Kiedy znikła za zakrętem uliczki, podniósł głowę i długo patrzał w złocistą smugę kochania.

RAJMUND BERGEL.

PIECHOTA

(Przyjaciołom "Czwartakom").

Nie w pysze galowych mundurów,
rabatów, lampasów i sznurów
do słodkich zaprawia się szarż;
lecz płowa, jak ściernisk szarota,
przez puszcze, przez piachy, przez błota
bojowy prowadzi swój marsz
Piechota!

W okopy, pod ziemię zaparta,
zbiedzona, zbłocona, odarta,
jej dolę z łat poznasz i dziur...
Drapieżna, jak krwawa tęsknota,
co spotka na drodze — łomota,
co wydrze — to trzyma jak mur
Piechota!

Dla innych oklaski, wiwaty
i spojrzeń dziewczęcych bławaty —
zwycięzcom, któż byłby nie rad?
A w polu, gdzie w drutów pazury
salw biją armatnich wichury,
tam w piersi swe biorą kul grad
Piechury.

Gdzie bój się przewala szalony,
pryskają pod ogniem szwadrony
i grzęzną armaty wśród błot —
tam, wtedy szlak znacząc z purpury,
przez ognie — i dymy — i chmury
w zwycięski rzucają się lot
Piechury!

Tak w trudach i żmudach żywota
z dnia na dzień się w szturmach szamota
i w ciągły ze śmiercią gna tan,
aż kiedyś z bojowisk pokota
legenda się krwawa wymota
i błyśnie w wawrzynach swych ran
Piechota!



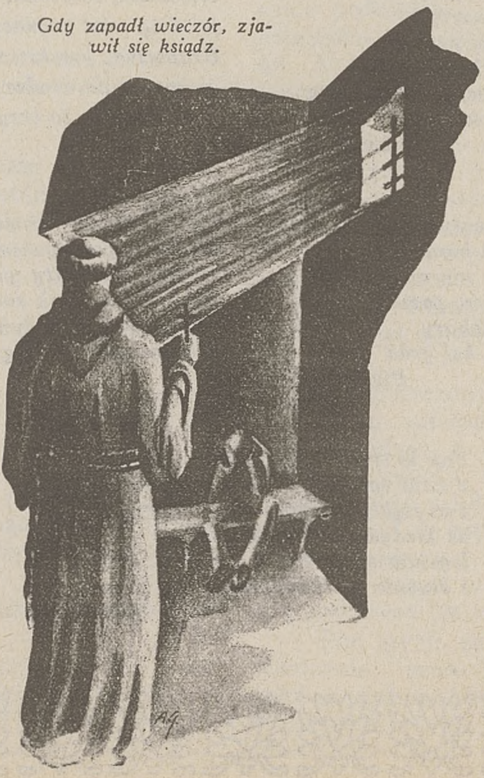
S. Szarlitt

Nowela

WYROK wiedeńskiego sądu przysięgłych, skazujący Jarosława Sedlaczka za zamordowanie swej kochanki na śmierć przez powieszenie, stał się prawomocny. Cesarz bowiem wniesionej przez adwokata prośby o ułaskawienie nie uwzględnił.

Kiedy dyrektor więzienia zjawił się w celi skazańca, by mu oznajmić, iż nazajutrz będzie oddany w ręce kata, zaznaczył, iż wedle ustawy przysługuje mu prawo do tak zwanej "ostatniej uczty", której "dania" może sobie sam wybrać.

Wiadomość o straceniu Sedlaczek przyjął z nadzwyczajnym spokojem. Na zapytanie zaś dyrektora co do "uczty" oświadczył z uśmiechem, że prosi o — smażoną rybę, flaszkę węgierskiego wina i kilka długich cygar "ze słomką", tak zwanych "Virginia". Przyrzekłszy, że prośbie jego stanie się zadość, dyrektor wyszedł z celi.



Gdy zapadł wieczór, zjawił się ksiądz.

Gdy zapadł wieczór, zjawił się ksiądz. Sedlaczek przyjął go z pokorą, a po spowiedzi rozłożył się na tapczanie, wyczekując "uczty". Nie myślał w tej chwili wcale o swej, tak bliskiej śmierci, lecz w duchu rozkoszował się zamówionemi przez siebie specjałami. Szczególnie cieszył się ze smażonej ryby, bo była to najulubieńsza jego potrawa, na którą przez całe życie rzadko tylko mógł sobie pozwolić. Próbował w tej chwili przywieść sobie na pamięć, kiedy ją spożywał po raz ostatni. Okazało się, że było to jeszcze gdy służył w wojsku. Zaprzyjaźniony z nim kucharz kasyna oficerskiego kazał mu raz w wigilję Bożego Narodzenia przyjść, by pomagał myć talerze i jako wynagrodzenie dał mu wspaniale smażoną rybę. Jeszcze teraz pamiętał dobrze jej cudowny smak i na myśl, że niebawem będzie się mógł podobnie rozkoszować, uczuł prawdziwą radość.

To samo uczucie budziło się w nim, gdy myślał o cygarach. Specyficzna woń dymu stawała mu tak żywo w wyobraźni, że miał chwilami złudzenie, iż ją naprawdę już czuje. Im dłużej zaś oddawał się tym błogim halucynacjom, tem dziwniejszą wydawała mu się cała jego sytuacja.

Oto musiał popełnić morderstwo i być skazanym na szubienicę, ażeby bodaj raz móc sobie tak użyć, jak tysiące ludzi używa przez całe swoje życie!

Dlaczego ten świat był tak cudacznie urządzony, że jedni mieli wszystkiego wbród, a drugim zawsze źle się wiodło? Jak daleko sięgała pamięć Sedlaczka nie mógł odnaleźć bodaj jednego roku, w którym by mu się życie naprawdę uśmiechnęło. Od dzieciństwa musiał borykać się ze skrajną nędzą. Jeszcze najlepiej działo mu się przez trzy lata służby wojskowej. Brał ciągle po gębie, ale miał zawsze co jeść i palić, miał czystą bieliznę i całe buty. To też kiedy opuścił koszary czuł się jakby wygnany z raju. W miljonowej stolicy wydawał się sobie przez długi czas jak błędna owca. Dzięki rodakom udało mu

się nareszcie znaleźć pracę przy budowie domu. Od pierwszego dnia zakochał się w pięknej jak jagódka i zawsze wesołej Marjance, która razem z nim podawała cegły...

Och, Marjanka! Kochał ją z całej duszy, była mu naprawdę wszystkiem na świecie. Przy niej ciężkie życie wydawało mu się znośniejsze, i jej wesołość udzielała się i jemu. Klepali, bo klepali biedę, zwłaszcza zimą, gdy pracy zabrakło. Ale razem jakoś mniej ją odczuwali. Aż tu nagle wszystko się zmieniło, bo spodobał jej się ten Wiskoczil, tęgi dryblas, który pracował w masarni. Oczywiście, że był to w porównaniu z nim prawdziwy magnat, zwłaszcza w niedzielę, gdy wdziewał na głowę... cylinder.



...był to w porównaniu z nim prawdziwy magnat, zwłaszcza w niedzielę, gdy wdziewał na głowę cylinder...

Ujrzał go Sedlaczek po raz pierwszy pewnej niedzieli popołudniu w tancbudzie "Swobody", w Praterze, gdzie za opłatą dwudziestu halerzy wstępu można było sobie pohulać. Marjanka wpadła temu drabowi zaraz w oko i poprosił ją do tańca. Nie odstępował jej już później przez całe popołudnie. Ona też zaznajomiła ich obu, a Wiskoczil zaprosił wieczorem ją i jego na gulasz i piwo. Tak to rozpoczęła się tragedja, która tu w tej celi znalazła swój finał.

Marjanka od owej niedzieli w Praterze znikała coraz częściej na całe wieczory, mając zawsze jakąś wymówkę. Kiedy robił jej wyrzuty, ona śmiejąc się serdecznie, tak jak tylko ona śmiać się umiała, zapewniała go, iż nie ma powodu do zazdrości. Dopiero gdy pewnego dnia koledzy jego przy budowie poczęli drwić zeń otwarcie, iż nie widzi, co się dzieje z jego Marjanką i Wiskoczilem, krew w nim zakipiała.

W obecności wszystkich zapytał Marjankę, czy to prawda, co o niej mówią. I wtedy to stało się nieszczęście. Ona bowiem rzuciła mu urągliwie w twarz iż woli, oczywiście, Wiskoczila, niż takiego jak on... dziada... Uczuł w tej chwili w sercu straszliwy ból i nie wiedząc sam, co czyni, podniósł cegłę i uderzył nią z całej siły Marjankę w głowę. Dziewczyna upadła jakby piorunem rażona na ziemię i okazało się, że nie żyje...

Na widok tego, co się stało, odchodził poprostu od zmysłów, bo mimo wszystko nie przestał jej kochać. A i teraz w celi myślał o niej z tą samą czułością, co dawniej i powtarzał sobie, że słusznie należy mu się śmierć za jej krew. Na dnie duszy radował się, iż wkrótce będzie już na zawsze przy niej, gdy Wiskoczil zostanie jeszcze na tym świecie...

Z tych rozmyślań wyrwało go otworzenie drzwi celi, do której weszli dozorcy. Przynieśli oni mały, nakryty obrusem w czerwone paski stolik, na którym stały dwa mosiężne lichtarze ze świecami oraz półmisek ze smażoną rybą i flaszka wina. Zapach ryby połechał już zdala mile podniebienie Sedlaczka, który zerwawszy się z tapczana, powitał dozorców, prosząc by zechcieli mu towarzyszyć przy tej jego ostatniej uczcie.

Jeden z nich, sięgnąwszy do kieszeni, wyciągnął z niej cztery długie cygara "ze słomką" i wręczył je z uśmiechem Sedlaczkowi. Po chwili siedzieli już we trójkę w ten sposób, że Sedlaczek zajął miejsce na jedynym w celi stołku, zaś oni na swej ławeczce, którą przynieśli sobie z korytarza.

Skazaniec poczęstował ich najpierw cygarami, odłożywszy dla siebie dwa, zaznaczając ze smutnym uśmiechem, iż to "drugie" jest na jutro rano przed "paradą". Z prawdziwą rozkoszą Sedlaczek zabrał się do spożycia ryby. Nalawszy sobie szklankę wina, zaprosił dozorców, by się również napili. Rozmawiali przytem z sobą jak dawni przyjaciele.

— Szkoda cię, Sedlaczek — odezwał się w pewnym momencie jeden z dozorców — boś poczciwy chłop!

Drugi zaś dodał:

— I pomyśleć, że to wszystko przez jakąś głupią dziewkę!

— Moja kochana Marjanka nie była głupia! — zaprotestował żywo Sedlaczek. — Niema dużo takich dziewcząt na tym świecie...

— Jakto — zawołał ze zdziwieniem jeden z dozorców — to ty bronisz jeszcze tej, przez którą dostałeś się na szubienicę?

— Ona niewinna — odparł z przekonaniem Sedlaczek, — to wszystko jest dziełem tego draba Wiskoczila, który mi ją omamił...

Wyrzekłszy te słowa nagle zakrztusił się.

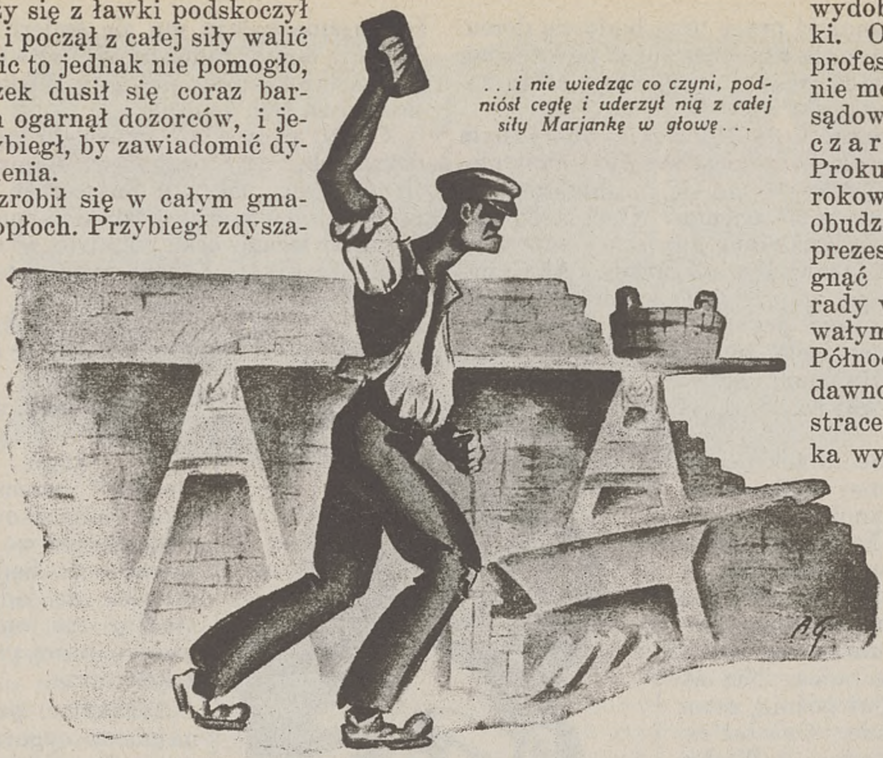
— Co ci jest? — zawołali obaj dozorcy.

Ale Sedlaczek nie mógł już dać odpowiedzi, tylko czerwieniąc się coraz bardziej na twarzy, wskazywał palcem na gardło.

— Ha! Połknął zapewne ość! — krzyknął przerażony jeden z dozorców.

I zerwawszy się z ławki podskoczył do Sedlaczka i począł z całej siły walić go w kark. Nic to jednak nie pomogło, gdyż Sedlaczek dusił się coraz bardziej. Strach ogarnął dozorców, i jeden z nich wybiegł, by zawiadomić dyrektora więzienia.

Po chwili zrobił się w całym gmachu wielki popłoch. Przybiegł zdyszany dyrektor z lekarzem więziennym i siostrą miłosierdzia. Twarz Sedlaczka tymczasem stawała się już sina. Rozłożono go na tapczanie, a lekarz starał się wydobyć ość z jego gardła. Zabiegi okazały się jednak daremne i zrozpaczony lekarz zawołał do dyrektora, iż trzeba koniecznie wezwać natychmiast chirurga, gdyż on sam rady sobie dać nie może.



...i nie wiedząc co czyni, podniósł cegłę i uderzył nią z całej siły Marjankę w głowę...

Dygocąc jak w febrze dyrektor oświadczył, iż musi najpierw zawiadomić o wypadku prokuratora i sędziego i zapytać, co właściwie ma począć ze skazańcem. Sedlaczek zaś rzucał się na tapczanie jak opętany i z gardła jego wydobywały się rozpaczliwe jęki.

Po pewnym czasie w celi zjawiła się już pełna komisja sądowa, wprowadzona przez dyrektora więzienia, który z trudem tylko mógł utrzymać się na nogach.

— Ładna historja! — mruknął prokurator, otyły jegomość o czerwonej jak piwonja twarzy, świadczącej, iż bynajmniej nie należał do abstynentów. — Musimy go za wszelką cenę ratować, bo inaczej sprawiedliwości nie stanie się zadość!... Panu zaś — zwrócił się do napół żywego dyrektora — wytoczę dochodzenie dyscyplinarne! Jakże mógł pan zgodzić się na podanie skazańcowi ryby? Czy nie zastanowił się pan, że to niebezpieczna potrawa?

— Życzenie skazańca — wykrztusił z trudem dyrektor — musi w myśl ustawy być spełnione...

— Tak, tak — odparł z groźną miną prokurator — ale ustawa winna być rozumnie interpretowana!

Nadszedł tymczasem telefonicznie wezwany profesor chirurgji i wyjąwszy swoje instrumenty, począł jeden po drugim zatapiać w gardło biednego Sedlaczka, z którego już coraz słabsze wydobywały się jęki. Ości jednak i profesor wydobyć nie mógł. Komisję sądową ogarnęła czarna rozpacz. Prokurator zawyrokował, iż należy obudzić samego prezesa, by zasięgnąć jego światłej rady w tym niebywałym wypadku. Północ bowiem już dawno minęła, a stracenie Sedlaczka wyznaczone było na godzinę czwartą z rana.

— Panie profesorze! — zaklinał prokurator uczonego — użyj pan całej swej wiedzy i ratuj nas w tej potwornej sytuacji! Czy nie zdaje pan sobie sprawy o co tu chodzi? Skazaniec musi być oddany w ręce... kata! Tego wymaga procedura karna, paragraf 197, litera b, punkt trzeci! On nie może nam teraz umrzeć!...

— Wątpię — odrzekł spokojnie profesor — czy agonja, która u delikwenta już się rozpoczęła, zechce uwzględnić zacytowany przez pana prokuratora paragraf...

W tej chwili wszedł do celi zaspany prezes sądu w płaszczu z nastawionym do góry kołnierzem, z pod którego widać było nocną koszulę.

Wszyscy wyprostowali się jak struny i z zapartym oddechem wyczekiwali jego przemówienia.

— Zarządzam — odezwał się piskliwym głosem prezes — natychmiastowe wykonanie egzekucji. Należy wezwać kata! Prawu musi za wszelką cenę stać się zadość!...

— Będzie to jednak niemożliwe, panie prezesie — odezwał się pochylony nad Sedlaczkiem profesor — delikwent bowiem w tej właśnie chwili... wyzionął ducha!...

Biedny Sedlaczek! Całe życie był lojalnym obywatelem państwa i nigdy mu na myśl nie przyszło przyczyniać kłopotu władzom. Że zabił Marjankę, to stało się to zupełnie bez jego woli; był to raczej przypadek, niemal taki sam przypadek, jaki sprawił, że Sedlaczek narobił tyle kłopotu władzom swoją śmiercia. Bo biurokratyczne sądownictwo austrjackie długo nie mogło przeboleć porażki.

Włodzimierz Perzyński

NIKT NAS NIE CZEKA

NOWELA

PRZEZ chwilę mocował się z ramą okienną. Opuścił ją. W twarz uderzyło kilka kropel dżdżu.

— Hallo, panie konduktorze, dlaczego stoimy?

Mały człowieczek z podniesionym kołnierzem płaszcza obrócił się na pięcie i wyseplenił komicznie, ruszając szerokiemi nozdrzami:

— Tor podmyło, tseba naprawić.

— Jak to długo potrwa?

— A bo ja wiem? Kilka godzin...

—Ładna historja — mruknął do siebie, siadając na łóżku w przedziale.

Za oknem sepjowemi warstwami układał się mrok. Nawprost, w groteskowym domku małej stacyjki zaczerwieniło się okno.

— Pewno telegrafista — pomyślał i, wstając z łóżka, przeciągnął się. Narzucił płaszcz na ramiona, na głowę wcisnął czapkę.

W kurytarzu ukłonił się usłużnie brunatny mundur przewodnika sleepingowego.

— Pan redaktor wychodzi?

— Chcę zobaczyć, co się dzieje na stacji.

— A może lepiej ja mam co przynieść? Pada deszcz — zatroszczył się.

— Nie szkodzi. Dziękuję.

Pod nogami zachlupotało błoto.

Kilka szusów. Szarpnął drzwi, aż brzękły żałośnie. W nozdrza wwiercił się dym, woń machorki, skór źle wyprawionych, zapoconych nóg i czegoś bliżej nieokreślonego.

Było sino i mroczno, a połyskiwały tylko dwa srebrzyste krany do piwa i takież okucia gablotki. Była nieśmiertelna stacyjna palma, kanapki skurczone od starości i od starości zwiędłe bombonierki, które cierpliwie czekały na jakieś imieniny czy pijaństwo. Nieokreślonej barwy włóczkowy kaftanik na przerażającym biuście bufetowej o świńskich rzęsach.

Jakieś postacie, usadzone pod ścianami, pod plakatami o najlepszem piwie, najznakomitszej czekoladzie i najpewniejszej lokacie kapitałów. I ktoś, kogo zasłaniał wielki kołnierz futrzany, a kto siedział przy środkowym stole, tyłem do wejścia i bufetu.

Mężczyzna otrząsnął się jak pies.

— Pan dobrodziej? — zapiała falsetem właścicielka biustu.

— Herbatę, tylko mocną.

Wcisnął ręce w kieszenie marynarki i usiadł przy stole, wygodnie wyciągając nogi. Z trudem zauważył, że ktoś okryty futrem z wielkim kołnierzem jest kobietą. Twarzy nie widział. Miała zakrytą dłońmi. Ładnemi, mocnemi dłońmi.

Zapalił papierosa.

Biust postawił przed nim szklankę herbaty. Wsypał cukier i mieszał wolno, systematycznie.

Nagle tam dłonie opadły. W ramie złotych włosów i futrzanego kołnierza zajaśniała ładna kobieca twarz. Zgrabny nos, mocno zarysowane usta, oczy, które spojrzały na swe vis-a-vis uważnie i — roześmiały się.

— Dan?!

— Hallo, Jen! — zerwał się z krzesła i przez stół wyciągnął do kobiety dłoń. Stali tak przez długą chwilę, wpatrzeni w siebie uważnemi, acz roześmianemi oczami, jakby wsłuchując się w echo tych dwu, niespodziewanych okrzyków.

Usiadła.

On stał jeszcze chwilę, z dłońmi opartemi o stół, wpatrzony w nią.

— Po dawnemu jesteś piękna, Jen.

— A ty po dawnemu głupstwa pleciesz. Lepiej powiedz, co tu robisz?

Miała miły, ciepły głos. Tak powinni ludzie mówić w pogodne, lipcowe wieczory, gdy wkoło odpoczywa cisza, a tylko w jakimś ukrytym stawie żaby kumkają do gwiazd.

— Wracam z Dalekiego Wschodu.

— Ooo... A coś tam robił?

— Cóż ja mogłem robić, Jen. Przecież nie biłem się, lecz pisałem...

— Prawda, na śmierć zapomniałam o twojem pisaniu. A tyle razy czytałam w gazetach twe feljetony, korespondencje, artykuły. No, i jak tam było?

— Nudno. Na wszystkich wojnach, we wszystkich wojskach świata są jednakowe, bandyckie typy. Mniej więcej jednakowe karabiny i armaty, proporczyki Czerwonego Krzyża i aparaty Hughes'a...

Spojrzała nań uważnie.

— Spleen?

— Nie, poprostu zniechęcenie. Czy ty rozumiesz ten straszliwy paradoks: ja piszę o tem, jak wzajemnie masakrują się ludzie, jak od jednego posunięcia dłoni na kolbie maszynowego karabina podają setki trupów, telegrafista przyjmuje tę depeszę i myśli o żonie, która może w tej chwili rodzi dzieciaka; mój redakcyjny kolega, oddalony o tysiące kilometrów, szykuje materjał na łeb na szyję, bo ma akurat randkę z jakąś aktoreczką, zecer wystukuje to wszystko napoły śpiąc, a napoły marząc o innem mieszkaniu, bo w tem zacieka, a rano, przy

śniadaniu, jakiś typ użera się z żoną o oberwany guzik przy kamizelce i jednocześnie czyta, że wojska japońskie przypuściły nowy atak, że jest 600 poległych i dwa razy tyle rannych, że zburzono ogniem artyleryjskim cztery wioski. Zrównano z ziemią to, co może cztery pokolenia mozolnie budowały, et... — bębnił palcami w stół — nie warto o tem mówić. Ale skądże tyś się tu wzięła?

Uśmiechnęła się.

— Nigdybyś nie przypuszczał, co?

— Oczywiście, w takiej podłej dziurze, na tej odrapanej stacyjce kresowej ty, Jen...

— Jadę do Rosji — powiedziała wolno.

— A ty tam poco?

— Pracować...

— Nie rozumiem.

— Dan, dzieciaku, powiem ci tak, jak ty mnie: przecież nie na posadę stenotypistki ani kasjerki. Ostatnio byłam w Budapeszcie. W tym dancingu, gdzie występowałam, była jedna dziewczyna, co wróciła z Rosji. Mówiła mi, że jest mnóstwo bogatych cudzoziemców, którzy wszystko oddadzą za ładną, elegancką kobietę...

— Tak... masz szanse, Jen.

— Ironizujesz?

— Skądżeby. Tylko czy naprawdę nie można jakoś inaczej?...

Roześmiała się głośno.

— Może radziłbyś mi, żebym wyszła zamąż, co? Mój złoty, dobre chwile nie powtarzają się nigdy. Pamiętasz? Wtedy byłam zupełnie inna, no, ale wtedy miałam bodajże siedemnaście lat. Ty niewiele więcej. To było w Paryżu, zaraz po zawarciu pokoju. Na bulwarach kwitły kasztany, a między niemi świeciły się białe kule lamp elektrycznych. Pamiętasz?

— Tak, Jen.

— Pomyśl, tyle lat. Ja wtedy dopiero zaczynałam, a tyś czytał mi każdy swój artykulik, każdą notatkę, którą w gazecie ci wydrukowali. Byliśmy bardzo młodzi, Dan. A pamiętasz ten mały, wąski pokoik mansardowy? Na kominku stała gipsowa figurynka, rybak z rozpostartą siecią. Zawsze wmawiałeś we mnie, że to wstrętne i że wyrzucisz to za okno, a ja prosiłam, żebyś tego nie robił. Straszne były z nas dzieci. Tyle lat...

Wyjęła w jego papierośnicy papierosa.

— Potem, pamiętasz, spotkaliśmy się w Ostendzie. Tyś był już znanym dziennikarzem, a u mnie właściwie nic się nie zmieniło. Byłam tylko droższa, no i bardziej doświadczona. Przeszłam przecież w międzyczasie dwie "miłości" i jedną kradzież wszystkiej mojej biżuterji i futer. Kiedyś zajechał przed hotel, wychodziłam właśnie. Pomagałeś wysiąść z auta jakiejś młodej, ładnej kobiecie. Wiesz, to głupio, ale uczułam jakiś dziwny, krótki ból koło serca. To trwało bardzo krótko. Drugi raz zobaczyliśmy się wtedy na dancingu. Byłam z jakimś Egipcjaninem, który stale przyglądał się twojej pani. Tyś na mnie wcale nie patrzył. Tańczyłeś z tamtą. Ładnie tańczyłeś, Dan. Ani na chwilę nie odrywałam wzroku od twej szczupłej, zgrabnej sylwetki. Czy wiesz, Dan, że potem pojechałam do tego Egipcjanina i — upiłam się, jak kłoda... Nic nie czułam i nie wiedziałam.

Biust zapalił lampę naftową nad stołem. Na peronie zahuczał jakiś pociąg. Z poczekalni jakby wymiotło. Skwierczał płomyk pod samowarem.

Znów pili gorącą herbatę.

— A potem, widzisz, to było już różnie. To tu, to tam. Wszyscy mężczyźni są przeraźliwie jednakowi. Zarabiałam gorzej, lepiej. Miałam pierwszorzędnych przyjaciół i trafiałam na kanalje. Byli tacy, co chcieli się żenić, innym wystarczała — pożyczka. Różnie było, Dan, ale wierz mi, że coraz smutniej.

— Więc nie można było jakoś inaczej ułożyć sobie życia?

— A czyś ty je sobie dobrze ułożył?

W szyby plaskała od czasu do czasu ciężka kropla dżdżu. Biust za bufetem coś nucił fałszywie pod nosem.

— To niema nic dorzeczy — powiedział prawie zły.

— Owszem, Dan, ma bardzo wiele. Nie potrzebujesz gniewać się na mnie, bo przecież jesteśmy starymi przyjaciółmi i nawet kiedyś... Zresztą, ja wiem, że tak jak jest, nie jest dobrze ani mnie, ani tobie. To się tak zdaje, Dan, ale przecież my właściwie jesteśmy jak te włóczęgi. Nie mamy nic i nikogo. Przed kilku miesiącami byłam w Cannes. Poznałam młodego chłopaka. Ładny, twój rodak, ma tu majątek. Kiedym zdecydowała się jechać do Rosji, pomyślałam sobie, że po drodze, wstąpię do niego, a nuż... Tyle kobiet zupełnie niespodziewanie odnajduje swoje szczęście i swój dom, dlaczego właśnie jabym nie miała... Zresztą, wtedy już chciał mnie zabrać, potem pisał tyle razy, zapraszał. Majątek jest tu, niedaleko tego miasteczka. Wysiadłam z pociągu i posłałam człowieka z listem. Człowiek lubi się łudzić. Dostałam bardzo uprzejmą odpowiedź. Od miesiąca jest żonaty... Pech, co?

— Istotnie — potwierdził zmatowiałym głosem.

— I teraz czekam na następny pociąg. Pojadę dalej. Może kiedyś, znów tak jak teraz, dzięki przypadkowi, spotkamy się. Pogadamy sobie. Hallo, Dan, ale dopiero teraz widzę, żeś trochę posiwiał. Matka żyje?

— Oo... cztery lata temu umarła.

— Możeś się ożenił? — spytała nagle sztucznie ożywionym głosem.

— Nie, Jen, nie ożeniłem się.

— A gdzie mieszkasz?

— W hotelach, w pociągach, różnie bywa. Moja praca wymaga bezustannego przenoszenia się z miejsca na miejsce. Zresztą, nawet gdybym miał dom, ktoby na mnie w nim czekał? To jest,

Jen, piesko przykre życie i trzeba bardzo silnych nerwów, aby wytrwać, chociaż też niewiadomo dlaczego i poco...

— Mało jest piękna w życiu?

— Nie potrafię go odszukać, Jen. Może to źle, a może i lepiej...

— Teraz ja ciebie zapytam, czy nie możesz jakoś inaczej zorganizować sobie życia? Tak, żebyś nie potrzebował przerzucać się z miejsca na miejsce. Żebyś osiadł w jednem mieście, założył dom, ewentualnie rodzinę...

— No i co?

— Jakto co? Byłbyś szczęśliwy...

— Sądzisz, że to tak łatwo?

Wstał z krzesła i począł chodzić po szerokiej izbie tam i zpowrotem. Gonił go cień, komicznie wydłużony, chybotliwy.

— Nie, Jen, to nie dla mnie. Chyba, że... że...

— Że co? — pochwyciła spokojnie, patrząc mu prosto w oczy.

— Że... ty...

Znów było cicho.

Było aż boląco cicho.

— Jaaa?...

Usiadł.

— Tak, Jen.

Cisza.

Zakryła twarz dłońmi.

— Czy przypominasz sobie nasze lata paryskie. Nasze życie?

— Oczywiście.

— Zupełnie dokładnie?

— Najdokładniej.

— I nie masz mi nic do zarzucenia?

Spojrzał zdumiony.

— Nie. Rozstaliśmy się przecież dlatego, że miałaś wyjść zamąż.

— Tak ci powiedziałam, ale Dan... ja ciebie oszukiwałam. Pamiętasz tego malarza, który mieszkał obok naszej mansardy?

— Pamiętam.

— Tyś wychodził do redakcji, a ja...

Głośniej zaskwierczał ogienek pod samowarem.

— A ty co? — powtórzył jej słowa.

— Ja... biegłam do niego. Okłamywałam cię, a tyś wierzył. Bezgranicznie, we wszystko co ci powiedziałam. Był taki jeden wieczór na jesieni, padał deszcz, nie mogłeś nigdzie wyjść, bo miałeś podarte podeszwy. Powiedziałam ci wtedy, że koleżanka moja ciężko zachorowała i muszę pójść do niej na noc. Udałam, że schodzę ze schodów, a potem, cicho, na palcach wróciłam do tego malarza... Pewno zapytasz dlaczego to zrobiłam? Licho wie, poprostu — kaprys, tak mi się podobało. A już potem, pamiętasz w Deauville, zrobiłeś mi straszliwą scenę, że tańczyłam z takim przystojnym szatynem, Brazylijczykiem. Wytłumaczyłam ci wtedy, że był on w stosunku do mnie nadzwyczaj taktowny. Zachowywał się zupełnie poprawnie. Kłamałam, Dan. Gdy nas tylko oddzielał od ciebie tłum tańczących, całował mnie w same usta... miał takie świetne, gorące wargi...

Słuchał spokojnie. Brodę podparł zaciśniętą dłonią i patrzał nieruchomo w czarne szyby.

— Gniewasz się na mnie? Czy za to, że jestem w stosunku do ciebie uczciwa? A może zły jesteś, że nie powiedziałam ci tego wówczas? Było mi z tobą tak dobrze... a robiłam te wszystkie głupstwa, bo to już leży w mojej naturze. I nic mnie chyba nie potrafi zmienić, Dan.

Nie odzywał się ani słowem.

Brzęknęły drzwi. Stanął na progu konduktor z latarką w dłoni.

— Do Warszawy, odchodzi — wyseplenił, rozglądając się łakomie po szklanych gablotkach.

Mężczyzna podniósł się. Starannie, pedantycznie zapinał guziki płaszcza. Odwróconą dłonią potarł kilka razy czoło, nacisnął czapkę. Podszedł do kobiety.

Wstała.

Była prawie tak duża, jak on. Smukła i pyszna. Podali sobie ręce. Powiedział równym, opanowanym głosem:

— Powodzenia, Jen. Wiem, że wszystko to, coś przed chwilą powiedziała, jest wyssane z palca, ale — rozumiem cię.

Prawie wybiegł, bo z za okien dolatywało już syczenie ruszającej lokomotywy.

Stanęła przy oknie.

Po mokrym żwirze peronu ślizgały się żółtawe płaty oświetlonych szyb wagonowych. Z ostatniego wozu łysnęło czerwone światełko.

JESIEŃ

Na stokach gór, gdzie spoczął las brzozowy
i milczy... milczy... widać mu nie dano,
ażeby skargą jęknął rozpłakaną
nad wieńcem liści, więdnących u głowy.

Może się wsłuchał w cichy szept potoku,
co blaski słońca wieczornego chłonie,
i tak zapomniał o grożącym skonie
i o tej burzy, co przyśpiesza kroku.

Zerwał się wicher — i z chmury niewielkiej
spadł deszcz rzęsisty, i las się z marzenia
zbudzi i głośno nad sobą zabiada.

Na mchy i paproć płyną łez kropelki,
a z niemi razem liść po liściu spada,
i... w tłum szkieletów cały las się zmienia.

JAN KASPROWICZ

G. Boutet OBRAZ NOWELA

OKOŁO północy pan Delaporte przerwał grę w brydża, rozpoczętą przy akompanjamencie przytłumionych dźwięków jazzbandu i opuścił mały salonik, zarezerwowany dla graczy. W sąsiednich salonach i w wielkiej galerji wspaniałych apartamentów państwa Delaporte, gospodarzy dzisiejszego balu, tańczyły liczne pary. Namiętne i gorące tony wschodniej muzyki dziergały między tańczącymi niewidzialne nici upojeń i pożądań.

Pan Delaporte, zachowując ostrożność, by nie potrącać tańczących par, przemknął się wzdłuż ściany do bufetu. Oczywiście wychyliłby chętnie kielich szampana przed kolacją, lecz zależało mu jedynie na pretekscie opuszczenia swych partnerów. Właściwym celem jego ucieczki była chęć sprawdzenia, co robi obecna na balu jego żona, pani Delaporte. Trzeba było silnej podniety, by zmusić gospodarza do przerwania ulubionej gry, w której był mistrzem.

Wśród rozbawionego tłumu zobaczył wreszcie żonę swoją, Adrjannę, kończącą właśnie tańczyć tango w ramionach młodego człowieka. Niemile dotknięty pan Delaporte stwierdził, że jego przeczucia się sprawdziły — żona jego wciąż jeszcze tańczyła z tym samym mężczyzną, z panem Garbay... Był to młody malarz i wytworny światowiec, którego spotykał ostatnio zawsze, ilekroć towarzyszył swej żonie. Spotkał go i tym razem ku swemu mocnemu niezadowoleniu, nie uszło bowiem jego uwagi, że pomiędzy malarzem a Adrjanną powstała serdeczna zażyłość.

Nawpół ukryty za portjerą, obserwował ich zdaleka. Wodził zachwyconem i zazdrosnem równocześnie okiem za Adrjanną.

Dzięki sportom i higjenie zachowała smukłość dwudziestoletniej dziewczyny. Delikatna jej twarzyczka wydawała się zupełnie gładką pod warstwą zręcznie rozłożonej szminki, wielkie, błękitne oczy dziecka i wijące się jedwabiste złote loki, dopełniały reszty.

Delaporte ujrzał swoje własne odbicie w lustrze. O, on nie wydawał się już młodym, nie! Wielkie interesy, które prowadził i związane z niemi kłopoty wycisnęły na nim swoje piętno. Niedostateczna powściągliwość i zamiłowanie do dobrej i obfitej kuchni, pewne lenistwo fizyczne, które ograniczało jego sport do spacerów samochodem i obecności na wyścigach, sprawiły, że ten piękny niegdyś mężczyzna stał się człowiekiem pełnym, ociężałym, o twarzy pokrytej siecią czerwonych żyłek, o włosach rzadkich i siwych. Żadne pasy ani wszelkie kosmetyczne zabiegi nie wróciłyby mu świeżości i młodego wyglądu. Żal mu było tego zwłaszcza, gdy porównywał siebie z Adrjanną. Zdawał się być jej ojcem, choć był wszystkiego o dwanaście lat starszy od niej. Adrjanna przesadzała, doprawdy! Dlaczegóż nie umiała poskromić swej ruchliwości, swego zamiłowania do uciech światowych? Pocóż ta niezmordowana kokieterja, potrzeba hołdów i gorące pragnienie pochlebstw? Pragnęła być młodą i piękną, roztaczała wkoło swój urok, flirtowała ze wszystkimi, których czarował jej wdzięk, jej zręczne a prowokujące sposoby kobiety pięknej i doświadczonej, która chce oczarować i usidlić przedmiot swych zalotów.

Lata całe pan Delaporte z pobłażliwością asystował tym igraszkom. Adrjanna kokietowała, olśniewała, ale czyż to nie było naturalne? Wszak była tak piękna... Lecz był jej pewien, był przekonany, że jej flirty nie posuną się nigdy zbyt daleko, że pozostaną w granicach nic nieznaczącej błahej zabawy, wspomnienie której zatrze się tak szybko, jak lekkie upojenie po szampanie.

Teraz zaś po raz pierwszy był o nią zazdrosny. Zachowanie się Adrjanny wobec malarza nie było takie, jak dotychczas wobec jej poprzednich wielbicieli. Delaporte nie mógłby określić, na czem polegała ta różnica, lecz czuł, że różnica istnieje i był tem mocno zaniepokojony.

Poprzednio Adrjanna nie była nigdy absorbowana jednym flirtem lecz przyjmowała z jednakową kokieterją hołdy wszystkich tych, których uważała za godnych uwagi. Żadnego specjalnie nie wyróżniała ani nie zachęcała. Korzystała z usług jednych, by utrzymać drugich. Było to nieomylnym znakiem dla pana Delaporte, że panowie ci nie byli groźnymi dla niego. Teraz zaś Adrjanna zachowywała się wobec wszystkich z rezerwą, z wyjątkiem jedynie tego malarza, Garbay'a. Z nim tylko jednym tańczyła, przemawiała do niego z taką czułością, a krótki jej, stłumiony śmiech tylko przy nim nabierał tonów drażniących. Tylko w jego obecności wyglądała na rozmarzoną.

Niespokojny, zirytowany pan Delaporte rozmyślał ,jak interwenjować bez wywołania skandalu i nie wydać się śmiesznym w swej zazdrości, po tylu latach małżeństwa. Jak przywołać Adrjannę do

rzeczywistości? Jak przedstawić jej istotny stan rzeczy? Jak uniknąć, by ten flirt nie stał się czemś więcej jak tylko flirtem? Jak obronić siebie samego przed zdradą i jak ją obronić przed banalną, niecną i chwilową przygodą miłosną z młokosem, którego mogłaby być matką?

Szukał napróżno.

Kończono tango. Pan Delaporte opuścił swoją kryjówkę i pośpieszył ku Adrjannie i panu Garbay, którzy właśnie rozłączali się po tańcu.

— A... otóż i mój mąż — rzekła Adrjanna do swego towarzysza, który, nachylony ku niej coś szeptał.

Obaj panowie uścisnęli sobie dłonie. Pan Garbay z ugrzecznioną gorliwością, Delaporte z ukrytą odrazą.

Zamieniono kilka banalnych zdań na temat balu i brydża, poczem Adrjanna zwróciła się do męża:

— A propos, chciałam ci powiedzieć, że zaprosiłam pana Garbay do nas na obiad czwartkowy, ostatni w tym sezonie. Nasz przyjaciel Hipolit Muller ma być również i jestem przekonana, że będzie zachwycony z poznania pana Garbay, którego obrazy bardzo ceni.

Delaporte ledwie opanował ruch niechęci.

— Znakomicie, jestem zachwycony — rzekł z kiepsko udaną serdecznością.

— Hipolit Muller to wielki znawca sztuki i zbieracz obrazów — powiedział Garbay.

— Tak — dorzuciła Adrjanna z lekkim uśmiechem. — Zbiera zarówno klasyków jak i młodych malarzy.

— Ale pan sam, panie Delaporte — rzekł Garbay, zwracając się swobodnie do niego, posiada, jak słyszałem obrazy bardzo ciekawe...

Pana domu opanował lekki dreszcz. Nagła myśl przemknęła mu przez głowę. Znalazł radę, której szukał... Tak, to będzie doskonałe...

— O, nie jestem pewny, czy będą się podobać tak młodemu jak pan malarzowi — rzekł bardzo uprzejmie. — To nie są współczesne dzieła sztuki... Mam także w swoim salonie kilka obrazów Beauchamp'a... Trzeba panu wiedzieć, że Beauchamp to mój towarzysz lat dziecinnych i że pozostał do śmierci jednym z moich serdecznych przyjaciół.

— O tak, Beauchamp był znakomitym artystą — odpowiedział grzecznie Garbay. W rzeczywistości uważał Beauchamp'a za nędznego pacykarza. Lecz cóż znaczyły jego przekonania artystyczne wobec miłości, którą w nim wzbudziła cudna Adrjanna, wobec żądzy zdobycia jej, wobec chęci pójścia na jej przyjęcie?

— A więc pozostawiam was tańcom. Ja sam napiję się przy bufecie szampana i wrócę do mego brydża — rzekł dobrodusznie Delaporte, oddalając się.

— Adrjanno, jakaś ty cudna, jak bardzo chciałbym, byś mnie pani tak kochała, jak ja panią kocham... — rzekł gorąco Garbay.

— Nie wolno panu mnie nazywać po imieniu ani tak do mnie przemawiać... już to raz panu powiedziałam — rzekła, patrząc na niego wzrokiem omdlewającym, pieszczotliwym i tak czułym, iż pojął, że niebawem będzie do niego należała.

Państwo Delaporte zamieszkiwali wspaniały pałac w Auteil, otoczony ogrodem. W wielkim salonie na parterze wisiały między innemi obrazami trzy płótna malarza Beauchamp: tancerka hiszpańska, wnętrze lasu o bardzo zielonych, starannie malowanych liściach drzew, ze słonecznemi plamami na skrzącej się lustrzanej tafli wód i malowniczą leśniczówką, spowitą bluszczem na polance, i portret pana Delaporte naturalnej wielkości, w wieku lat trzydziestu, we wciętym żakiecie, którego klapy tworzyły obramowanie dla wielkiego krawata, spiętego podkową, wysadzaną rubinami. Czarne jego wąsy jeżyły się jak szczotka. W ręku trzymał rękawiczki, a obok niego na stoliku leżał cylinder. Widok tego portretu napełniał pana Delaporte melancholją, gdy porównywał siebie z owego czasu z obecnym swym wyglądem. Był jednak z niego dumny.

W czwartek, w dniu proszonego obiadu, pani Delaporte wyjechała popołudniu, jak to było jej zwyczajem, na przechadzkę i z wizytami. Małżonek nie wychodził. Gdy samochód, unoszący jego żonę oddalił się, Delaporte zadzwonił na swego lokaja, wiernego starego Juljana, który pełnił u niego służbę od lat dwudziestu. W towarzystwie służącego wszedł na pierwsze piętro do schowanka. W głębi tego ciemnego pomieszczenia, za ukrywającą go zasłoną wisiał dość duży obraz. Przy pomocy Juljana zdjął go i przeniósł na parter do swego gabinetu.

Umeblowanie pokoju pana domu, jakkolwiek wspaniałe, utrzymane było w tonie surowym. Na ścianie, nad biurkiem wisiał obraz przedstawiający bitwę morską. Pan Delaporte zdjął go i powiesił na jego miejscu obraz przyniesiony właśnie z pierwszego piętra. Poprzedni obraz rzucono w kąt pokoju za wysoki parawan. Pan Delaporte zalecił Juljanowi milczenie, na które mógł bezwzględnie liczyć.

O godzinie siódmej udała się pani Delaporte do swego pokoju, by się przebrać, przedtem jednak skierowała się do gabinetu męża, by go zapytać, czy jest gotów do przyjęcia pierwszych gości.

Pan Delaporte był gotów. W smokingu siedział za biurkiem i czytał wieczorne gazety. Lecz tem, co przedewszystkiem ujrzała Adrjanna, przestępując próg pokoju, był obraz, zawieszony na miejscu "Bitwy morskiej".

Wzdrygnęła się. Obraz przedstawiał młodą kobietę w wieku lat dwudziestu, bardzo piękną, elegancką, ściśniętą gorsetem, karykaturalnie wydłużającym jej stan, z szyją u-

więzioną w wysokim kołnierzyku i z bufiastemi rękawami. Twarz jej bez szminki okalała korona ciemnych w ł o s ó w, wzniesionych nad czołem nakształt wałka, na czubku zaś głowy piętrzył się skręcony warkocz.

Wszystkie szczegóły portretu wyraźnie wskazywały okres jego powstania w równej mierze, jak ilustracje datują romans, czyniąc go dokumentem epoki; epoki dostatecznie oddalonej, by moda ówczesna wydawała się prawie śmieszną, prawie karykaturalną młodym oczom, nawykłym do mody współczesnej. Był to portret pani Delaporte, malowany przez Beauchamp'a w tym okresie, w którym malował portret jej męża, w niedługim czasie po ich ślubie.

— Co to jest? Co to ma znaczyć? — wybełkotała Adrjanna w osłupieniu.

— O co chodzi? — spytał pan Delaporte.

— Ten... ten portret... Tyś go kazał przynieść?... Co to ma znaczyć? Wszak wiesz dobrze...

— Wiem dobrze, że to jest doskonałe dzieło znakomitego malarza. Jeden z najlepszych portretów Beauchamp'a. Uprzedziłaś się co do tego portretu. To śmieczne...

— Ten obraz jest śmieszny i mnie ośmiesza...

—Gdzież znowu. Przeciwnie, jesteś na nim czarująca. Widzę cię taką, jaką byłaś niegdyś. Wyrzekałem się dość długo przyjemności zachowania blisko siebie tego pięknego dzieła...

— Oświadczam ci, że nie chcę, by to piękne dzieło tutaj zostało. Dość mnie trudu kosztowało, byś się zgodził zabrać stąd ten bohomaz.

— Nie mogłem zezwolić na zabranie obrazu, dopóki żył Beauchamp. Dotknęłoby go to boleśnie i prawdę rzekłszy nie miałem racji, godząc się przed dziesięciu laty na usunięcie stąd portretu twojego. Naprawiam to teraz, zwracając właściwe miejsce obrazowi, który, powtarzam, jest zachwycający...

— A ja powtarzam, że ta karykatura zostać tu nie powinna i nie może.

— Moja droga, już późno... jeżeli nie pójdziesz się przebrać, goście będą czekać — skierował rozmowę na inne tory pan Delaporte.

Nastąpiła chwila milczenia. Adrjanna patrzyła na swego męża, który na nowo zabrał się do czytania gazet i zrozumiała, że wola jego by obraz pozostał na miejscu, jest niezachwiana. Zrozumiała też w jakim celu kazał przynieść ten portret i na nowo go powiesić. Chciał jej przypomnieć jej lata (jakgdyby ona mogła je zapomnieć!), chciał tem niemem a wyraźnem świadectwem ujawnić jej wiek panu Garbay, który miał być ich gościem i któremu bez szczególnego podkreślenia pokaże ten obraz między innemi, obraz określający wiek kobiety, ukazujący czas, w którym była młodą, ujawniający walkę, jaką stacza z wiekiem i to, co zawdzięcza sztuce swej kokieterji...

Wahała się chwilę. Co robić?... Nagle powzięła postanowienie. Podniosła głowę z prowokującą dumą.

— Dobrze więc, niechaj zostanie! — rzekła. — Masz zasadniczo słuszność. Ten obraz jest rzeczywiście ciekawy... Jestem piękna na nim... O, oczywiście, wolę siebie teraz, lecz właśnie to zabawne widzieć różnicę... Zaiste; ówczesne mody nie upiększały!...

Przyjęła walkę. Była pewna zwycięstwa, pewna swego obecnego czaru, zdecydowana wystawić się na próbę, doświadczyć, czy urok jej zdoła wznieść ją ponad wszystko, czy pozory młodości o d n i o s ą triumf nad samą młodością, której już nie posiadała. Uśmiechnęła się wyzywająco i opuściła gabinet męża.

Pan Delaporte po wyjściu żony pozostał chwilę osłupiały, wahający się. Pytał sam siebie, czy myśl pokazania portretu była w samej rzeczy tak dobrą, jak mu się z początku wydawała. Myślał o przypuszczalnych następstwach. Bo czyż Adrjanna nie była rzeczywiście piękniejsza, niż dawniej? A jeżeli czar jej zatriumfuje? Co wtedy? Czy to nie pchnie Adrjanny do zdrady, chociażby przez zemstę, do zdrady, którejby może nie popełniła bez tego wyzwania? A gdy się poczuje upokorzoną, wzgardzoną, czy mu to kiedy przebaczy?...

Myślał o długich latach, które przeżyli razem z Adrjanną. Myślał, jak ciężką i męczącą jest walka, którą ona stacza z czasem, by pozostać ponętną...

Owładnęło nim uczucie pobłażania, pobłażania nie pozbawionego egoizmu, gdyż on sam był już na progu starości. A gdyby Adrjanna go porzuciła?...

W pół godziny później, gdy pan Garbay z wyrazem zachwytu podziwiał w wielkim salonie obrazy Beauchamp'a, uznając w duchu, że to tylko mdłe pacykarstwo, Adrjanna zwróciła się do niego tonem najnaturalniejszym w świecie, rzucając przytem wyzywające spojrzenie swemu mężowi:

— Mąż mój ma w swoim gabinecie inny jeszcze obraz, który także chciałby panu pokazać...

Pan Delaporte szeroko otworzył drzwi gabinetu. Nawprost, na ścianie ponad biurkiem wisiał na dawnem swem miejscu obraz: "Bitwa morska".

MARJA KONOPNICKA

URBANOWA

OBRAZEK

KTOBY to pomyślał, że nazwisko, które potem tak szeroko zasłynąć miało w dziedzinie poezji, usłyszę po raz pierwszy z kuchni, z ust starej, sześć razy na tydzień pijanej kucharki.

A przecież tak było, i to z okazji stłuczonego garnka.

Wogóle garnki tłukły się u nas, jakby na komendę. Z rana bowiem Urbanowej "czegoś się ręce trzęsły", w południe "wszystko jej z rąk leciało", wieczorem zaś "cała nie mogła". Jeśli zaś przypadkiem "mogła", to zwykle wtedy "musiała duchem skoczyć naprzeciwko", poczem w kuchni bywało prawdziwe pobojowisko.

Zresztą, jeśli mówię, że garnki się tłukły, to dlatego tylko, że mnie Urbanowa nie słyszy. Nie słyszy ona już oddawna, od bardzo dawna, nikogo... W obecności jej bowiem nie odważyłabym się była nigdy powiedzieć, że się garnek stłukł. Na to były specjalne określenia, których liczba mnożyła się codzień, w miarę wzrastającej potrzeby. Garnek mógł się "oberżnąć", "wyślizgnąć", "okroić", "wyszczerbić", 'utrącić", "pęknąć" lub zgoła "klapnąć". Przy takiem bogactwie wyrażeń, malujących każdy pojedyńczy przypadek, już nie wiem, coby za garnek był, żeby się koniecznie upierał przy tem, jako został "stłuczony".

A ponieważ żaden "stłuczony" nie był, przeto Urbanowa nigdy ich nie wyrzucała, ale takich inwalidów, rzędami ustawionych, miała w kuchni całe police i utrzymywała cały ten lazaret w największym porządku.

Każdy niedobitek miał nietylko swoje miejsce, ale także i swoją historję.

Kiedy trzeba było obiad gotować, Urbanowa zdejmowała pierwszy z nich, wzdychając i kiwając głową.

— Jeszczebyś ty pożył, nieboraku, żeby nie fajerka... Garnek był, jak rzepa... Taki dzwon miał, że to ha!

Stawiała go i zdejmowała inny.

— Garncowy garnek... żebym tak zdrowa była! Jaka to polewa! On jeszcze dziś więcej wart, niż drugi cały...

Stawiała go i wzdychała mocniej jeszcze, poczem sięgała po trzeci.

— Na kanonickim rynku go kupiłam... Dziś sześć tygodni... Nie, łżę! Dziś pięć tygodni i trzy dni... Złoty i groszy sześć dałam za niego. Żebym tak jutra doczekała, jak sprawiedliwie mówię... Żeby się nie był utrącił, toby do roku wytrzymał... Garnek, jak szkło...

Zkolei brała czwarty. Ten zawsze ją zastanawiał najmocniej. Opukiwała go, przeglądała pod światło i kręciła głową.

— I niech tu kto mądry będzie, którędy on ciecze?... A ciecze, choroba!...

I tak szło dalej i dalej, póki ten, w którym już naprawdę rosół wstawiać miała, z trzęsących się rąk jej nie rymnął na ziemię.

Wtedy nastawał sądny dzień w kuchni.

— Masz, babo, redutę! — wołała Urbanowa, uderzając w suche, pomarszczone ręce. — Znowu skorupa! A bodajżeś z a l ś n u ł!... Nienastarczone rzeczy z temi skorupami... No, i rób co chcesz! Taki nowy garnek!... A bodajżeś zmarniał!... Półsiodma czeskiego dałam... Tygodnia niema! A żeby cię choroba z takiem gospodarstwem! Ale to tak, kiedy żelaznych garnków w domu niema, tylko same skorupy!... Jakem była u państwa Asnyk, to tam nijakich skorupianych garnków nie było. Same żelazne, jeden w drugi, jak wybrane... Żebym tak jutra doczekała, jak łżę... Same żelazne!... Żebym tak mego Jaśka szczęśliwie wychowała!...

Po tym pierwszym wybuchu do wieczora już było wkółko jedno i to samo.

U państwa Asnyk było tak a tak, u państwa Asnyk nigdy tego nie bywało, u państwa Asnyk tego nauczona, u państwa Asnyk do tego nie nawykła... słowem gotowy prejudykat na każdą porę dnia i nocy i na wszystkie życia kuchennego wypadki.

Przyszło do tego, że bardzo wiele rzeczy dla świętego spokoju robiło się u nas tak, jak "u państwa Asnyk".

Jedne żeleźniaki szły jakoś oporem, gdyż ojciec mój był na tym punkcie twardym konserwatystą i utrzymywał, że dobry rosół tylko z glinianego garnka być może.

Stąd powstawały różne zaburzenia, którym nie umiałam zapobiec, lubo byłam bardzo poważną, dziesięcioletnią osobą, trudniącą się naczelnym zarządem naszego sierocego domu, pomiędzy odrabianiem lekcyj do księdza Kubusiewicza, a strojeniem lalek.

Tu wyznać muszę z całą pokorą, że skutkiem zupełnego w owe czasy braku poetyckich przeczuć, nazwisko "państwa Asnyk", rodziców poety, obrzydło mi tak, żem go poprostu znieść nie mogła i uciekałam w ostatni kąt, ile razy Urbanowa rozpoczynała swoją odyseję o żelaznych garnkach.

A było tego coraz więcej i coraz częściej. Z początku raz, dwa razy na tydzień, potem co-

dzień, potem jeszcze wieczorkiem, potem od rana do nocy. Jedyny wyjątek stanowiły soboty.

W soboty i ręce mniej się Urbanowej trzęsły i nie tak jej wszystko z nich leciało. I takiego trajkotania o "państwu Asnyk" nie było.

Od południa zato grzała Urbanowa wodę, czasem ług nawet, dobywała resztki z całotygodniowych obiadów, szykowała nici i łatki, prosiła mnie o mydło i nawleczenie igły, a wszystko to, popłakując i wycierając noc w gruby kuchenny fartuch, a wyglądając coraz na schody. Nad wieczorem przychodził Jasiek. Wysoki był, czarniawy, ospowaty i terminował u szewca Pospieszyńskiego. Lat miał może ze szesnaście. Przychodził zwykle brudny, odarty, z miną d z i w n i e wygłodzoną. Urbanowa przyjmowała go szturchańcem w bok lub kark, gdzie się dało, wpychała do kuchni i zaczynała płakać. Chłopak całował ją w rękę, siadał na kuferku i patrzał osowiały to na matkę, to na przykryte rynki w kominie.

Dotąd pamiętam i te chmurne a chciwe w stronę komina spojrzenia, i te jego długie, cienkie nogi w trepach, zwieszające się z wysokiego kufra...

Lubiłam bardzo Jaśka. Raz, że nigdy przy nim nie było mowy o "państwu Asnyk", a także i dlatego, że mi obiecał uszyć trzewiczki dla najstarszej z moich lalek — Anusi. Cuda, jakie o trzewiczkach owych opowiadał, były niewyczerpanym przedmiotem naszych rozmów, w czasie których zapominałam zupełnie o swojej powadze gospodyni domu, ale wlazłszy na stołek, klękałam na nim i, zapatrzona w Jaśka, wycierałam łokcie po kuchennym stole.

Zachwytów wszakże moich nie uwzględniała Urbanowa bynajmniej i wypraszała mnie zwykle za drzwi.

Ale ja i tak widziałam przez dziurkę od klucza, że matka najpierw ściąga z Jaśka spencerek i kamizelczynę, że nalewa potem na miednicę wody, bierze mydło, nagina chłopaka nad stołek, przyczem daje mu w kark raz albo dwa razy, że ściąga mu z rękawów koszulę i szoruje głowę, szyję, twarz, uszy i ręce, czyniąc zaś to wszystko, co chwila nos uciera i płacze.

Nigdy nie mogłam zrozumieć dlaczego. Czy że koszula była czarna taka, jak sadze, czy że na grzbiecie chłopaka było tyle sińców, czy że mu żebra omal nie wyłaziły przez skórę...

Wymywszy Jaśka, dobywała Urbanowa czystą koszulę, z którą chłopak szedł za komin, a gdy wylazł z tej kryjówki już obleczony, czesała go, szturkając w kark, jeśli niedość głowę przychylał, przyczem znów zaczynała płakać i nos wycierać co chwila. Po tej dopiero operacji dobywała z pieca rynki i garnuszki, a kiedy Jasiek jadł, łatała jego ubranie, popłakując i wzdychając ciężko. Celem mojego czatowania przez dziurkę od klucza było właśnie jaknajrychlejsze wypatrzenie tej szczęśliwej chwili. Wpadałam wtedy do kuchni, a Jasiek zaczynał mi na nowo opowiadać, po raz setny może, jakie to będą owe Anusine trzewiczki.

Miałam je dostać na Gwiazdkę, ale nie dostałam, bo Jasiek był srodze czemś zaturbowany.

Tymczasem przyszła wigilja Trzech Króli...

Wieczór był mroźny, pogodny, szopka chodziła po mieście; nie taka tam stajenka malowana, z wołem, osłem i "Małgorzatką, tańcującą z huzarami", ale prawdziwy teatr, z żywych, mówiących osób, między któremi była śmierć, anioł i djabeł.

Kiedy pokojówka wpadła na schody z krzykiem, że już idą, serce we mnie zatrzęsło się tak, żem głosu wydać nie mogła.

Był to pierwszy teatr, jaki widziałam w mem życiu.

Trzeba było wszakże czekać długą jeszcze chwilę, zanim przedstawienie odbyło się nadole u gospodarza. Myślałam, że się to nigdy nie skończy. Rozległy się nareszcie na schodach ciężkie kroki i brzęki łańcucha, a do stołowego pokoju w e s z l i aktorzy, poprzedzeni przez straszliwie czarnego, z wywieszonym aż na piersi czerwonym, sukiennym językiem, djabła, który się skłonił i rzekł piekielnym basem:

— Niech będzie pochwalony!

Chwyciłam pokojówkę za kaftan. Dusza we mnie zamierała...

Za djabłem wbiegł lekkim krokiem minister króla Heroda. Ten miał na sobie obcisłe do kolan pantalony, niebieską zarzuconą na ramię pelerynę z jakiejś rozprutej spódnicy i beret, z pięknem białem piórem z angielskiej bibułki.

Dworak skłonił się uprzejmie, wziął krzesło z pod ściany, postawił na środku pokoju, poczem, schyliwszy głowę, drzwi przed monarchą otworzył.

Król Herod wszedł chmurny "w zamysłach", ze spuszczoną głową; miał długi, czerwony, widocznie z poszwy jakiejś zaimprowizowany płaszcz, berło w ręku i złotą koronę. Twarz jego wydała mi się jakby znajoma jakaś...

Tuż za nim wsunęła się nieludzko biała śmierć, odziana prześcieradłem, z pod którego wyglądały buty z cholewami, i z kosą w ręku stanęła za królewskim tronem.

Nie widział jej wszakże, zbrodniczym myślom oddany Herod, a rozparłszy się w swojej trochę jeszcze zapierzonej purpurze, rozpoczął sztukę krwawym djalogiem.

Zaledwie jednak wymówił pierwsze jego słowa, kiedy ode drzwi dało się słyszeć głośne klaśnięcie w dłonie i krzyk przenikliwy:

— Jasiek! Mój Jasiek! Mój król! Mój królewicz złoty!

I, zanim Herod mógł się opamiętać, już Urbanowa rzuciła się przed nim na ziemię i w uniesieniu najwyższej radości

ręce jego i kraj szaty z płaczem całować zaczęła.

Zrazu monarcha, nie chcąc wychodzić z swej roli, próbował monologować dalej, nagle przecież głos mu się załamał, usta zadrgały, a po zbladłej twarzy łzy, niby iskry srebrne, migały jedna za drugą...

Zrobiło się zamieszanie. Minister głośno sarkał, że król się "na nic" zgapił.

Śmierć radziła raz jeszcze wszystko rozpocząć na nowo, tło zaś tej jedynej w swoim rodzaju sytuacji tworzył piskliwy, perliczy głos anioła, który od początku przedstawienia w równych odstępach wyśpiewywał z za pieca: Gloria! Gloria in excelsis Deo!

I znowu:

— Gloria! Gloria in excelsis Deo!

Co do djabła, ten ani na chwilę nie stracił rezonu, ale stanąwszy przed królem Herodem, uderzył w podłogę wielkim czarnym drągiem, i brzęknąwszy łańcuchem, zaryczał:

— Zaklinam cię, przeklinam cię przez ten kij dębowy!...

Na widzach zrobiło to piorunujący efekt, a monarsze przywróciło straconą równowagę umysłu. Ponieważ zaś Józka, pokojówka, i młodsza z drugiego piętra odciągnęły tymczasem Urbanową na stronę, przedstawienie odbyło się szczęśliwie, aż do tej stanowczej chwili, kiedy król, ścięty kosą śmierci, opuszcza na ramię ukoronowaną głowę, a djabeł nadziewa go na widły, mówiąc:

"Królu Herodzie! Za twe zbytki.

Pójdź do piekła, boś ty brzydki!"

Od owej szopki to i owo zmieniło się u nas.

Garnki wprawdzie po dawnemu się tłukły, ale o "państwu Asnyk" nie było tak często mowy. Zato czas zaczął się liczyć w naszej kuchni od całkiem nowej ery.

— O la Boga! — mówiła teraz Urbanowa — a toć ja ten garnek kupiłam w tydzień potem, jak Jasiek był królem! A on już ciecze, choroba!

Albo też:

— Ale gdzie zaś, panienko! Przecie my ten sążeń drzewa zaczęli akurat trzy dni przed tem, nim Jasiek był królem!

A mówiła to z taką powagą, z takiem przekonaniem, jakby królestwo Jaśka było spełnionym faktem politycznym i dało się w ściśle oznaczonych granicach na karcie geograficznej wykazać. Zaczęła też w tym czasie przebąkiwać, że musi Jaśka od Pośpieszyńskiego odebrać, bo "co mu ta po siewstwie".

Jeszcze i w tem zaszła zmiana, że Urbanowa nie myła teraz króla Heroda sama, ale, szturchnąwszy go na powitania, nalewała wodę, dawała mu mydło do ręki i kazała samemu sobie "kosierować", jak mówiła, uszy, twarz, szyję i głowę, tylko stojąc nad nim, pilnowała, żeby zrobił to "dokumentnie". Czesania przecież nie wyrzekła się jeszcze.

Mniej się jej także ręce jakoś trzęsły. Do dawniej już uprzywilejowanej pod tym względem soboty, przybyła teraz i niedziela jeszcze.

W niedzielę popołudniu, uprzątnąwszy kuchnię, otwierała Urbanowa swój wysoki kufer, i wydobywszy z niego monarszą Jaśka purpurę, tudzież koronę z pozłotka, kładła je na swojem łóżku i przypatrywała im się długo z uśmiechem na z w i ę d ł y c h ustach, kiwając głową i ocierając oczy świeżo wypranym fartuchem.

Jeśli chłopak przybiegł do matki, prosiła go:

— Mój Jasiek! Mój złocisty! Zawdziejno na siebie ten ornat i koronę!... Niech ja się ciebie napatrzę! Niech ja się naciesze!

Jasiek się wzdragał, ale zwykle kończyło się na tem, że "zawdziewał" co matka chciała, a stara uderzała z klaskiem w dłonie, wołając:

— Istny król! Na króla się rodził! Żebym tak zdrowa była, jak na króla! Przypatrzcie się, moi ludzie... Istny król!...

Był to wszakże ciągle jeszcze ten sam czarniawy, chudy, ospowaty drągal, tylko że purpura coraz krótszą na niego się stawała.

Czasem też recytował swoją rolę. Słuchałam go z zachwytem, a Urbanowa zalewała się łzami. Żaden, najgenjalniejszy nawet tragik nie miał tak wzruszonych słuchaczy.

W trzy lata coś potem — podlotkiem już byłam — przyniósł ktoś wiadomość, że Urbanowa dogorywa w bliskiej suterynie. Jak stałam, tak zbiegłam po schodach. Oddawna już wprawdzie stara pijaczka nie służyła u nas, ale zawsze ją bardzo lubiłam.

Kiedym weszka, nie widziałam nic zrazu w tej wilgotnej, dusznej izbie, bo pod pułapem błąkały się dymy ze spalonego świeżo przez kumoszki "ziela". Wpośrodku stała kupka kobiet, gwarząc półgłosem o różnych r o d z a j a c h śmierci. Wgłębi na wysoko zasłanem kraciastą pierzyną łóżku, leżała stara Urbanowa...

Twarz jej zaszła już cieniem śmierci; nikły odech ledwo piersi jej poruszał, oczy tylko z wyrazem błogości i zachwytu wzniesione były do góry...

Lewa jej ręka przytrzymywała zapaloną gromnicę, prawa leżała na ramieniu Jaśka, który, wstrząsany głuchem łkaniem, z twarzą ukrytą w matczynej pierzynie, klęczał przy łóżku w królewskiej purpurze i złotej koronie na głowie...

Z pod purpury ukazywały się oddawna widać nie łatane przez matkę, stare, spłowiałe spodnie i trepy na bosych, wychudzonych nogach.

JERZY KOSSOWSKI

Opowiadanie z życia chłopców

WROGOWIE

JULEK był niesłychanym zabijaką i ojciec miał z nim kłopotów coniemiara. Chłopak chodził stale obszarpany, podarty, pobity przez kolegów i nic tu nie pomagały ani kary ani napomnienia. Po każdej awanturze przyrzekał święcie i ojcu i sobie, że już nigdy nie wda się w żadną wojnę, że będzie unikał bijatyk z "wrogami", że będzie "jak na sznurku" wracał do domu, ale cóż — los był mocniejszy niż jego dobre chęci, solenne przyrzeczenia i przysięgi.

Zawsze jakoś stało się tak, że "wróg" pierwszy go napadł, a on musiał się bronić, bo "honor" nie pozwalał mu uciec. I następstwa tego wszystkiego były straszne! Mimo, że przeważnie odnosił zwycięstwa, to jednak nie zawsze udało mu się uniknąć tego, by nie dostać uderzenia w nos czy pod oko, by nie narazić guzików na oderwanie, czy klapy kieszeni na oddarcie.

— Wrogowie nie dają mi spokoju! — zwykł usprawiedliwiać się przed ojcem i starszą siostrą Kryśką.

— Jedyna rada na to, zawrzeć rozejm — zwykł mawiać ojciec.

Aż nagle przyszło na Julka opamiętanie. Przyszło tak nagle, że koledzy poznać go nie mogli. Julek scichł, spoważniał i przestał brać udział we wszystkich wojnach. Ilekroć zjawił się na horyzoncie "wróg", gotów do walki, Julek podnosił wgórę rękę zwróconą ku przeciwnikowi otwartą dłonią, na znak, że prosi o rozejm. Chłopcy mieli swój kodeks i szanowali swoje prawo zwyczajowe. Dłoń podniesiona była jakby białą chorągwią parlamentarjusza, którego napadać się nie godzi. Zbliżali się wtedy niedawni wrogowie, wdawali się w układy i zawierali rozejm. Formuła początkowych rozmów była utarta:

— Proszę o rozejm — mówił chłopak, trzymając cały czas rękę wgórze.

— Bo się mnie boisz — odpowiadał chełpliwie zaczepiający.

— Nieprawda! — padało zaprzeczenie.

— A co? Chory jesteś?

— Ranny — bywała odpowiedź.

Ale z Julkiem było inaczej. Zawierając rozejm z wrogami, odpowiadał:

— Ślubowałem.

— Co?

— Że nie będę się z nikim bić, póki matka nie wyzdrowieje.

Wszelkie ślubowania chłopcy szanować zwykli, a usłyszawszy na jaką intencję Julek ślubował, zostawiali go w spokoju.

A matka Julka była naprawdę chora poważnie. Gasło w niej młode życie zwolna, lecz niepowstrzymanie. Od roku prawie nie wstawała z łóżka, tak, że dzieci aż przyzwyczaiły się do tego, że w mieszkaniu trzeba chodzić na palcach, że mówić trzeba szeptem, a już broń Boże, nie wolno śpiewać i dokazywać.

Pewnego dnia przyszło kilku lekarzy i odbyli konsyljum. Co tam mówili, Julek nie wiedział. Badali długo Julkową mamusię, a potem naradzali się w jadalni.

Kryśka wzięła Julka do kuchni i tam postanowili oboje ślubować na intencję wyzdrowienia matki. Co Kryśka ślubowała, tego Julek nie wiedział. Nie powiedziała mu. On ślubował nie bić się z chłopakami.

I od tego dnia wracał do domu bez sińców i podrapań, bez dziur w mundurku, a nawet lepiej się uczył. Ojciec zauważył różnicę w zachowaniu Julka i często gładził go po płowej czuprynie i uśmiechał się do swego chłopca.

Julek tajał pod ojcowskiem spojrzeniem i był dumny z siebie, jakby conajmniej całą klasę zwyciężył.

Raz jednak stało się nieszczęście: Julek wracał do domu i spotkał Kmiecika! A Kmiecik był jego "prawdziwym wrogiem".

Spotkanie było nagłe i tem mniej spodziewane, że Antek Kmiecik, wyrzucony przed pół rokiem ze szkoły, był teraz chłopcem u szewca. Obydwaj wrogowie nie widzieli się już bardzo dawno, ale mieli z sobą stare porachunki. Natknęli się na siebie za rogiem Julkowego domu i prawie zderzyli piersią w pierś. Odskoczyli od siebie jak oparzeni i natychmiast stanęli w obronnej postawie.

Julek pochylił głowę jak młody byczek, mający uderzyć przeciwnika wykluwającemi się dopiero rogami, ale zwolna opamiętał się: podniósł lewą rękę i zwrócił otwartą dłonią w stronę wroga.

Na pucołowatej twarzy Kmiecika wykwitł zjadliwy uśmieszek. Przymrużył oczy i spytał:

— Boisz się?

— Nie — odparł Julek.

— A co, możeś chory?

— Nie — odparł Julek

— Tylko co?

—Ślubowałem.

— Co?

— Że się nie będę bić.

— Bo się boisz!

— Nieprawda! Sprałbym cię na kwaśne jabłko, gdyby nie to, że matka chora.

— Cóż to ma do rzeczy?

— Ma. Ślubowałem.

— Kłamiesz. Tchórz jesteś!

Julkowi krew napłynęła do twarzy.

— Zapowiadam ci, że cię spiorę, jak mój ślub ustanie!

— A ja nie będę czekał! — krzyknął Kmiecik i skoczył jak kot.

Julek zasłonił się ugiętemi rękami i cios sparował, ale nie oddał. Nie chciał bić, żeby ślubu nie złamać.

A Kmiecik odskoczył i znów cios wymierzył. Tym razem jednak Julek już nie zasłaniał się: stanął prosto, oparł się o mur i opuścił ręce.

— Ślubowałem! — krzyknął, marszcząc brwi.

Ale Kmiecik nie uszanował kodeksu rycerzy drugiej klasy i uderzył pięścią w odsłonięte Julka piersi.

Julek stęknął, ale ręki na wroga nie podniósł.

Wtedy Kmiecik wpadł w szał. Czując bezwład przeciwnika, bił gdzie popadło. Gdy jednak dotknął Julkowej twarzy, chłopak nie wytrzymał: skoczył jak żbik i począł tłuc wroga tak, że niespodziewający się już nawet obrony, a tem mniej ataku Antek cofnął się niezgrabnie i zwalił na chodnik. W gorączce walki Julek chciał się rzucić na leżącego, ale w tej chwili stała się z nim dziwna rzecz: uczuł, że jakaś niespodziewana siła ujęła go mocno za kark i podniosła wgórę. Skorzystał z tego Kmiecik, zerwał się na nogi i pognał ulicą wdół.

Kiedy Julek uczuł pod nogami ziemię i chwyt na karku zelżał, odwrócił zwolna głowę i ujrzał nad sobą surową twarz ojca.

— Piękne ślubowanie — usłyszał spokojnym głosem wypowiedziane słowa.

Julek zmartwiał. Uczuł się nagle tak słaby, że omal nie zesunął się na chodnik. Nogi miał jak z gumy, a głos zasechł mu w gardle. Chciał przynajmniej wyszeptać, że wróg go napadł, że on żądał rozejmu... ale nie był w możności. Patrzył nieprzytomnemi oczyma na ojca, który tylko westchnął głęboko, a potem odwrócił się i poszedł ku miastu.

Kiedy Julek wrócił do domu, zastał tam wielką ciszę: Kryśla siedziała z Marysią w jadalni i płakała cichutko, tuląc głowę w ramionach starej kucharki.

— Mamusi jest gorzej — szepnęła Marysia, przykładając palec do ust. — Tatuś poszedł znów po lekarza.

Julek opuścił głowę. Rozpacz uderzyła go w serce: mamusi gorzej, bo ja złamałem ślub! — przeszyła mózg boleśnie ostra myśl. Aż się zachwiał pod jej ciężarem. Zwolna, krok za krokiem poszedł ku swemu łóżku i usiadł na niem ciężko.

Kryśka podniosła głowę i spojrzała nań przez łzy. Patrzyła długo, uważnie i zauważyła, że ma potarganą czuprynę, tęgiego sińca pod okiem i naddarty kołnierzyk. Otarła łzy, bo nie wierzyła oczom.

— Biłeś się? — spytała szeptem pełnym niepojętego zdziwienia. — Biłeś się dziś?

A Julek nie mógł długo zdobyć się na odpowiedź, aż wreszcie wyjąkał:

— Ja nie chciałem... ale mnie Kmiecik napadł... i złamałem ślub... Boże! Jaki ja jestem nieszczęśliwy! — zalał się łzami.

Kryśka zrozumiała. Wstała ze swego stołka i podeszła do brata:

— Nie płacz tak głośno, bo mamusię zbudzisz — pogłaskała go po głowie jak dojrzała kobieta.

To podziałało o tyle, że chłopak wtulił głowę pod poduszkę, by stłumić zbyt głośny szloch.

Po jakiejś półgodzinie wrócił ojciec. Julek nie spostrzegł jego wejścia, bo wtuliwszy głowę pod poduszkę ledwie słyszał swój własny stłumiony płacz. Nie wiedział też, co Kryśka mówiła ojcu o Kmieciku. Ale ojciec nie bardzo słuchał. Zrzucił szybko palto i wszedł do pokoju matki, by ją przygotować na przyjście lekarza.

Wtedy Kryśka nachyliła się nad Julkiem i namówiła go, by poszedł do kuchni. Tam usiadła z nim razem na niskiej ławce i pocieszała jak mogła. Głaskała go po rozgrzanej twarzy, zapłakanych, opuchniętych oczach i zwichrzonej czuprynie, i tłumaczyła, że jeśli Kmiecik napadł go pierwszy, a może i niespodziewanie, to on, Julek, nie złamał ślubu.

— Kiedy ja... nie mogłem wytrzymać... — mówił chłopak, z trudnością opanowując wstrząsający nim szloch —... i... i... oddałem mu. Żeby... żeby mnie nie był uderzył w twarz... byłbym wytrzymał... a tak, to nie mogłem... i przez to... przez to mamusi gorzej.

* * *

W kilka dni potem odbył się pogrzeb matki Julka. Późnem popołudniem dzieci wróciły z ojcem do smutnego domu i siedziały cichutko. Żadne z nich nie wiedziało jakiem słowem pocieszać ojca.

Minęło parę dni i Julek poszedł do szkoły. Wszyscy chłopcy patrzyli nań z szacunkiem, jaki budzą zawsze w otoczeniu czyjeś niezwykłe przeżycia. Tego dnia nauczyciele nie pytali Julka z żadnego przedmiotu, co jeszcze więcej podniosło chłopca w oczach kolegów. Po nauce Julek wracał cichy i poważny do domu, czując dokładnie, że stanowi między chłopcami postać niecodzienną. Szedł przodem, a za nim kilku, mieszkających w najbliższem sąsiedztwie kolegów.

Nagle z jakiejś szerokiej bramy wybiegł chłopak z przewieszoną przez ramię parą butów.

— Kmiecik! — poznał go Julek.

Na pucołowatej twarzy Kmiecika zagasł łobuzerski śmiech, z jakim wypadł na ulicę. Stanął jak wryty. Przez sekundę zawahał się, czy nie uciec spowrotem do bramy, ale się zawstydził. Zbyt wielu było świadków, na których opinji mu zależało. Przybrał więc obronną postawę i czekał. Zmrużył oczy i zacisnął zęby, gotując się do walki.

A Julek zbladł jak trup. Obejrzał się za siebie i podał jednemu z kolegów książki. Chłopcy wiedzieli co to znaczy, wiedzieli, że Kmiecik, to Julka wróg.

Uliczka była pusta, więc otoczyli przeciwników i czekali.

Kmiecik podał jednemu z nich buty, by mieć także wolne ręce.

Julek zbliżył się do Kmiecika na krok, milczał chwilę, a potem wskazał na swoje lewe ramię, opasane czarną krepą.

— Widzisz?

Kmiecik patrzał i powoli opuszczał głowę.

— Widzisz? — powtórzył Julek. — Kiedyś mnie napadł, mówiłem ci, żem ślubował, bo moja matka była chora. Nie chciałem się bić. Nie zasłaniałem się nawet, kiedyś mnie tłukł, więc mogłeś uwierzyć. Nie zasłaniałem się, a tyś mnie bił, nie oddawałem ci, dopiero kiedyś mnie uderzył wtwarz... Nie wytrzymałem. I przez ciebie złamałem ślub... i... moja matka umarła. I teraz za to... — podniósł rękę do uderzenia.

Kmiecik stał nieporuszony, z oczyma wbitemi w ziemię. Ale Julek nie uderzył. Opuścił tylko zwolna zaciśniętą pięść, a potem odwrócił się do kolegów:

— Chłopcy, zróbcie sąd: on mnie zmusił do złamania ślubu. Czy ja mam się z nim bić?

Uczniaki spojrzeli po sobie, zmierzyli oczami Kmiecika i Julka, a potem wzruszyli ramionami:

— Nie.

Odwrócili się i odeszli. Jeden z nich rzucił Kmiecikowi pod nogi buty, które mu dał do potrzymania.

Kmiecik został sam, pochylony nad leżącemi w błocie butami. Podniósł je po chwili, otarł rękawem i ruszył zwolna w swoją drogę.

I od tego dnia poczęła się Kmiecikowa niedola. Do którego w chłopców w miasteczku się zwrócił, nie otrzymywał odpowiedzi. Komukolwiek proponował zabawę czy walkę, każdy pokazywał mu plecy. I to nietylko chłopcy ze szkoły, ale także jego koledzy z warsztatów.

Chłopak doniedawna zawadjacki, rozhukany, stawał się zwolna ponury. Nawet jego czerwone, pełne policzki zdawały się jakoś zmniejszać i żółknąć. Kmiecik nie znał słowa "bojkot", ale jego skutki odczuwał na własnej skórze. Początkowo nic sobie nie robił ze swego osamotnienia, ale po pewnym czasie począł rozumieć, co to znaczy wydalenie z ram społeczności. Pojął, że człowiek sam żyć nie może.

Nadeszło lato. Kmiecik włóczył się po robocie nad brzegami Dunajca i patrzył z ponurą zazdrością na kąpiących się chłopców. Gdzie jednak przystanął, przy jakiej grupce się zatrzymał, wszystkie nagusy odwracały się od niego i to bez przezwisk, bez drwin, tylko z pogardliwem skrzywieniem ust.

W jednej z tych grup poznał Julka. Chłopcy skakali z wysokiego brzegu i nurkowali, chcąc zdobyć rekord w najdłuższem przebywaniu pod wodą.

Antek Kmiecik patrzył na nich i nagle opuściła go wszelka zaciętość i złość, a natomiast chwycił go dziecięcy płacz. Zaniósł się tak głośno, że wszyscy chłopcy zwrócili ku niemu głowy. A on, niebaczny, że może znowu ujrzy przed sobą tylko nagie plecy, a może nawet pięściami, czy kijami go od siebie odpędzą, skoczył ku nim i wielkim krzykiem począł wołać:

— Bijcie się ze mną! Chłopcy! Bijcie się ze mną! — Stanął między ociekającymi wodą chłopakami, podniósł ręce do góry i błagał: — Bijcie się ze mną!

Tyle było rozpaczy w jego głosie, tyle bólu, że Julek się wzruszył. Spojrzał po swych towarzyszach i zapytał:

— Mogę się z nim bić, chłopcy? Jemu smutno... Zróbcie sąd.

Uczniaki spojrzeli po sobie, jak wówczas, kiedy odmówili Kmiecikowi prawa walki, zmierzyli oczyma Julka i zapłakanego Kmiecika, a potem wzruszyli ramionami.

— Bij się.

Julek stanął w obronnej postawie i czekał; Kmiecik uczynił to samo, nie przestając szlochać ani na chwilę.

Julek posunął się o krok. To samo uczynił Kmiecik, ale zamiast uderzyć na przeciwnika, zasłonił oczy rękami, usiadł na piasku i płakał.

A wtedy usiadł przy nim Julek i szeptał:

— Nie płacz, Kmiecik, nie płacz... Znowu będziemy "wrogami".

OSTATNIA BUTELKA DUBONNET

Tadeusz Meissner

NOWELA

— Zacznijmy od naszego kapitana: panie Marku, niech pan pije.

— Bardzo żałuję, ale muszę pani odmówić. Ostatnia butelka Dubonnet, w której brałem udział, że tak powiem, została wysuszona akurat trzy lata temu i wówczas przyrzekłem, że będzie ona ostatnią w mem życiu.

— Tak?... Nie lubi pan tego aperitif'u? Niestety w kabuzie naszego jachtu nic innego niema narazie. Kiepska ze mnie gospodyni, ale skądże mogłam wiedzieć, że pan nie lubi Dubonnet, gdy tymczasem...

— Myli się pani, panno Wando; bardzo lubię Dubonnet, ale nie pijam go. Widzi pani, to długa historja... Tak się złożyło... przyrzekłem...

— A czy "ta", której pan przyrzekł, była bardzo piękna?

— Wyjątkowo to nie była "ta", a "ten". Ale to długa historja...

Rozmowa powyższa toczyła się na niewielkim, lecz zgrabnym jachcie żaglowym, którego załogę stanowiło młode, mieszane towarzystwo. Przy sterze jachtu siedział ładny, opalony chłopak, trzymając prawą ręką rumbel, lewą szot grotżagla.

Do niego zwróciło się teraz całe towarzystwo:

— Opowiedz nam, Marek, tę historję. To napewno jakaś ciekawa przygoda.

—No, dalej, kapitanie, nie daj się prosić!

— Wybieraj: albo przygoda, albo szklanka Dubonnet!

— A więc dobrze — odrzekł sternik, ulegając wkońcu ogólnym prośbom. — Zaraz zacznę, popuśćcie tylko nieco szotkliwra: żagiel wyciągnięty jak deska, a idziemy półwiatrem przecież. O, tak, allright!

Wysunąwszy się z za wejściowego molo portu helskiego, jacht pochylił się nieco na lewą burtę i raźno począł pruć lekko sfalowaną powierzchnię zatoki.

— Było to wówczas — zaczął Marek — gdy byłem jeszcze w francuskiej Compagnie de Chargeurs Reunis. Nawigację pod francuską banderą rozpocząłem od parowca "Forbin", na linji Hamburg - Brazylja - La Plata. Po roku na moją prośbę zostałem przeniesiony na "Fort de Souville", który wówczas robił zachodnie wybrzeże podzwrotnikowej Afryki. Przy przeniesieniu tem awansowałem nieco, gdyż zostałem zaokrętowany jako "dwunasty porucznik", pomimo, że brałem w dalszym ciągu pensję eleve'a. Wiecie o tem dobrze, że oficerem na statku francuskim może być tylko obywatel francuski, podobnie zresztą, jak na statku polskim — obywatel polski. Dlatego to właśnie zamiast 1,200, brałem po dawnemu swoje 233 franki i 33 centimy, pomimo funkcji porucznikowskiej.

Już pierwsza moja podróż na "Fort de Souville" obfitowała w wielką ilość przygód, ale tym razem nie o nich chcę opowiedzieć.

Po powrocie z tej podróży do Havru, pojechałem na dwudniowy urlop do Paryża, gdzie przypadkiem spotkałem mego brata z rodziną. Nie widziałem ich prawie od trzech lat, ale szybki odjazd mego statku do Hamburga nie pozwolił mi być z niemi dłużej niż dwa dni.

Po mym powrocie z Hamburga spotkaliśmy się znów w Havrze. Urlop mego brata Stefana dobiegał końca. Za tydzień miał być w Warszawie, skąd wkrótce po powrocie wyruszał do Bukaresztu w charakterze instruktora pilota w rumuńskiej wojskowej szkole pilotów. Żona Stefana, Hanka, musiała zostać około czterech miesięcy na kuracji na Rivierze francuskiej, skorzystała więc z zaproszenia swej serdecznej przyjaciółki z czasów pensjonarskich, pani Didier i udała się do Villefrance, pod Niceą. Pozostawało do rozstrzygnięcia pytanie, z kim pojedzie Wojtek, pięcioletni synek Stefanów: ani ojciec, ani matka nie chcieli rozstać się z jedynakiem.

"Gdzie się dwóch kłóci, tam trzeci korzysta" — mówi przysłowie. Zaproponowałem, aby Wojtek odbył ze mną podróż na "Fort de Souville". Początkowo Hanka nie chciała nawet o tem słyszeć, lecz gdy do próśb Wojtka, który był zapalonym marynarzem, dołączył się wkońcu i Stefan — uległa.

Okoliczności składały się jak najpomyślniej, bo "Fort de Souville" po powrocie z południa zawijał, nie jak zwykle do Bordeaux i Havru, a wprost do Marsylji skąd do Villefranche nie jest wcale daleko.

Komendant mojego statku zgodził się z łatwością na zabranie Wojtka. Poczciwy ojciec Martineau lubił dzieci, choć podobno sam ich nigdy w życiu nie miał.

Piętnastego maja wyszliśmy z Havru. Marszruta nasza prowadziła przez Teneryfę, Gwineję francuską, Wybrzeże Kości słoniowej, Wybrzeże złote, Kamerun, Gabou i Kongo francuskie, do portu Matadi w Kongo belgijskiem i zpowrotem.

Z drobnemi przygodami przybyliśmy do Matadi 10-go lipca. Pamiętam tę datę doskonale, gdyż był to dzień urodzin komendanta, uroczyście obchodzony na pokładzie "Fort de Souville".

Wojtek był zachwycony podróżą; znosił ją doskonale i ani razu nie chorował, choć w zatoce Biskajskiej mieliśmy dość silny sztorm.

W Matadi zatrzymaliśmy się dość krótko. Ładunku do oddania było niewiele, do wzięcia jeszcze mniej. Czekał nas mahoń i heban w rzekach i portach Gabou. Przez port belgijski jednak eksportuje się z Kongo francuskiego to wszystko, czego nieda się wysłać przez Point Noire, który jest raczej projektem portu, a nie portem. Point Noire zresztą narazie przeważnie importuje. Jest to port, który rozpoczęto budować parę lat temu w bardzo trudnych warunkach, tak, że praca posuwa się bardzo powoli naprzód. W dodatku Point Noire nie posiada narazie żadnego niemal połączenia komunikacyjnego ze swym "hinterlandem".

— A czy w tym porcie, w tym Point Noire, wszystko jest bardzo czarne? — przerwała panna Wanda.

— No, niezupełnie wszystko. Są tam naprzykład białogłowy zarówno białe jak czarne. Wrócę jeszcze do tego, ale narazie muszę cofnąć się do Matadi. Otóż tym razem jedynym naszym ładunkiem, wziętym w porcie belgijskim, był potężny lew, przeznaczony dla cyrku czy też ogrodu zoologicznego w Lyonie. Z przyjęciem na statek dzikiej bestji mieliśmy dużo kłopotu, tembardziej, że klatka, w której uwięziono to wspaniałe zwierzę, była budowana przemysłem murzyńskim. Między jej grubemi prętami z drzewa szczupły człowiek mógł się z łatwością przecisnąć.

W jaki sposób zdołano dostawić lwa z Pangala, w której okolicy został złapany, do Brazaville — nie mam pojęcia. Dalszą drogę odbył na pokładzie małego parowca rzecznego "Fadji", skąd przyjęliśmy go na "Fort de Souville". Klatkę umieszczono na przednim pokładzie, między pierwszym a drugim lukiem i uwiązano ją mocno, aby nie przesunęła się lub nie wypadła za burtę.

Mój Wojtek bynajmniej nie bał się potężnego ryku lwa: przeciwnie, szalenie go to bawiło. Bił z radości rączkami po kolanach, a potem, przyłożywszy dłonie do buzi naśladował groźny pomruk zwierzęcia. Nasz nowy pasażer stał się niewyczerpanem źródłem uciech, atrakcji i radości.

— Marek, podaruj mi tego lwa: on taki ładny — prosił Wojtek.

— Nie mogę, Wojtusiu, mamusia by się gniewała.

— Ależ nie, nie! Ja byłem z tatusiem i mamusią w takim ogrodzie w Poznaniu gdzie jest dużo zwierząt. Tam był taki sam lew i mamusi też się bardzo podobał. Tak, Marek, — upewniał mnie.

— No, dobrze. A cóż ty będziesz robił z tym lwem?

— O, będziemy się razem z nim i z Normą bawili, jak wrócimy do Warszawy.

— A nie boisz się go? Przecież on pożarłby i ciebie, i mamusię, i tatusia, i mnie i Normę razem.

— Co ty mówisz, Marek! Pożarł? E, nie, jak jabym go karmił, to on by mnie nie pożarł. Chodź, pójdziemy do niego popatrzeć zbliska.

Podeszliśmy pod koniec szpardeku, ale Wojtkowi to nie wystarczyło. Chciał koniecznie zejść dalej i podejść do samej klatki. Było to nazajutrz po wyjściu z rzeki Kongo w morze. "Fort de Souville" zbliżał się do Point Noire.

Zeszliśmy po trapie i stanęliśmy na luku obok komendanta Martineau, który manipulował coś przy swym aparacie fotograficznym.

— A, tiens, voila "Voytuche" — rzekł wesoło, spostrzegłszy nasze przybycie — comment ca va, mon petit?

Wojtek zasalutował po wojskowemu i wyrecytował bez zająknienia:

— Bonjour, commandant, ca va bien, merci!

Na tem narazie streszczała się cała jego znajomość francuszczyzny.

"Toutou Fonche", jak nazywaliśmy zwykle ogólnie lubianego komendanta, położył aparat na pokładzie i uścisnął drobną dłoń chłopca.

— Tu n'as pas peur? — zapytał.

Wojtek podniósł na mnie pytający wzrok.

— Pan komendant pyta, czy nie boisz się tego lwa — przetłumaczyłem.

— Ja? Ja nie boję się nietylko tego lwa, ale i komendanta!

Mówiąc to, jakby dla poparcia swych słów, postąpił parę kroków w kierunku klatki, chwyciłem go jednak za rękę i odciągnąłem wtył.

— Jeżeli będziesz robił podobne głupstwa, to zamknę cię w kabinie i nie wypuszczę, aż po podróży, rozumiesz? I żebyś mi nigdy nie schodził na dolny pokład — powiedziałem.

W tej samej chwili koło klatki przechodził jeden z marynarzy i rzucił w lwa odłamkiem żużla. Jednym susem zwierzę rzuciło się na sztachety i potężnem uderzeniem łapy zdarło skórę z ręki napastnika, od ramienia aż do dłoni. Marynarz zachwiał się i upadł na pokład jęcząc i brocząc krwią. Komendant i ja podbiegliśmy i odciągnęliśmy go nabok. Poszedłem do naszego ambulansu po bandaże...

— No, a cóż na to twój Wojtek? — zapytał jeden ze słuchaczy, gdy Marek przerwał na chwilę, zapalając papierosa.

— Wojtek? — Wyprawiłem go na mostek nawigacyjny do porucznika Fauchera, ale chłopak nie chciał się ruszyć z miejsca. Nawet nie zbladł na widok rannego marynarza. Gdy wieczorem zapytałem, czy ciągle jeszcze chce, aby mu podarować lwa, odpowiedział, że tak.

— A widziałeś, co lew zrobił z marynarzem? — pytam.

— Widziałem — powiada — ale on cisnął we lwa kamieniem: był dla niego niedobry.

Naiwność i wiara w dobroć zwierząt były u tego chłopca rozbrajające. Nie mogłem gniewać

się na niego, choć jeszcze tego samego wieczora, pomimo mego zakazu zeszedł ze spardeku popatrzeć na lwa. Musiałem ponowić moją groźbę, że zamknę go w kabinie aż do końca podróży.

W Point Noire zatrzymaliśmy się tylko dwie godziny. Zabrawszy pocztę i trzech pasażerów, a raczej trzy pasażerki, podnieśliśmy kotwicę, biorąc kurs na Port Gentil. "Fort de Souville" był właściwie towarowcem, posiadał jednak cztery kabiny pasażerskie pierwszej klasy. Za swych młodych lat, to znaczy jakieś dwadzieścia lat temu "Fort de Souville" był pośpiesznym parowcem pasażerskim na linji Marsylja-Port Said - Djibouti - Colombo - Singapore - Saigon - Tutaine - Haiphong. Z dawnej świetności pozostały mu cztery kabiny pasażerskie, ładna sylwetka kadłuba i nienajgorsza szybkość, jak na towarowiec Chargeurów — dziesięć do dwunastu węzłów.

Nasze nowozaokrętowane pasażerki znałem dobrze z pierwszej mojej podróży na "Fort de Souville". Były to panie Le Hen, żona przedstawiciela Chargeurów w Point Noire, z dwiema córkami, siedemnastoletnią Marie i nieco od niej starszą Helene. Le Hen'owie opuszczali Pointe Noire, gdyż pan Le Hen został naczelnym dyrektorem linji na cały Senegal. Sam, po przekazaniu interesów swemu następucy, miał udać się do St. Louis i po zaaklimatyzowaniu się na nowym terenie sprowadzić rodzinę, którą obecnie wysyłał do Paryża.

Oczywiście Wojtek podbił natychmiast serca obydwu panien Le Hen. Wkrótce też paplał po francusku znacznie lepiej niż ja, kiedym przybył z Polski do Francji. Z niego profesor Cieśliński miałby pociechę większą niż ze mnie, gdy byłem w szkole średniej.

Teraz Wojtek nie odwiedział mnie nigdy sam na mostku, lecz zawsze ze swemi przyjaciółkami. Dokazywali, śmieli się, żartowali, przeszkadzali mi w obserwacjach i całowali się ciągle...

— Tego ostatniego napewno zazdrościł pan swemu bratankowi najwięcej — wtrąciła panna Wanda.

— Ma pani rację: zaczynałem zazdrościć temu smykowi, bo "toutou Fonche" też lubił towarzystwo całej trójki, a w jego obecności Wojtek miał oczywistą przewagę nade mną.

Podróż nasza mijała wesoło i szybko. Nie spostrzegliśmy prawie, jak ładownie "Fort de Seuville" zapełniły się ciężkim hebanem, mahoniem, billingą, acajonem i innemi gatunkami egzotycznych drzew, pomimo że praca przy ładunku na wodach Gabou zajmowała nam, oficerom, dwanaście do piętnastu godzin na dobę. Nie spostrzegliśmy prawie zniknięcia pięćdziesięciu kroomanów w Tabou, którzy opuściwszy pokład naszego parowca, znów wrócili do swych murzyńskich wiosek, by w magazynach aż do następnej podróży wydawać swe franki, zarobione ciężką pracą na "Fort de Souville".

Po uzupełnieniu zapasu bunkru i słodkiej wody w Dakarze, opuściliśmy port, kierując się wzdłuż wybrzeży Senegalu, Rio de Ore i Marokko ku Gibraltarowi. Upał panował nieznośny, to też Fam Yong i Ngham Hu-du, nasi annamscy "boy'e" uwijali się ciągle z dzbankami zimnej wody, służącej do "aperitif a l'eau". Kambuz nasz świecił już prawie pustkami. Wprawdzie win było jeszcze sporo, ale ostatnie dwie butelki "Pernot" zabrał komendant, ja dla Wojtka dostałem dwie "Grenadine", dla siebie już nic. Ostatnią deską ratunku był nasz "secund" bo zapasy porucznika Foncher też były na wyczerpaniu i baterja jego butelek ze wspomnieniem po wermucie groziła zamilknięciem. Panie Le Hen miały jeszcze kilka butelek Dubonnet i odgrażały się, że przed Marsylją musimy wszystko wysuszyć, ale przecież my, właściwi gospodarze na "Fort de Souville" nie mogliśmy korzystać z uprzejmości naszych pasażerek bez rewanżu.

Piątego dnia po wyjeździe z Dakaru skończył się Vermouth pierwszego porucznika. Ha, trudno. Zostaliśmy skazani na zwykłe "brutale" z lodem. A byliśmy akurat między wyspami Kanaryjskiemi a tą częścią Afryki, gdzie Sahara najbardziej zbliża się do oceanu. Od rana powietrze było przesłonięte rodzajem gęstej, brunatnej mgły. Był to drobniutki pył, przywiany południowo-wschodnim wiatrem z Sahary. Pył ten wkrótce pokrył cały statek i z dziwną złośliwością począł atakować nasze oczy, gardła, uszy, płuca... Na wachcie na mostku trudno było wytrzymać. Gdzieindziej też nie było wiele lepiej, nie potrzebował jednak człowiek wybałuszać zasypanych piaskiem oczu na ledwo dostrzegalny widnokrąg. Na szczęście koło dziesiątej wieczór skończyła się ta przyjemność. O północy, oddawszy wacht porucznikowi Foncher, zeszedłem do mesy, w nadziei, że znajdę tam trochę zimnego wina, aby przepłukać chropowate od piasku gardło. Niestety, zawiodłem się. Po bezowocnych poszukiwaniach miałem już skierować się do swej kabiny, aby zobaczyć, czy Wojtek śpi spokojnie, gdy usłyszałem za sobą głos panny Le Hen:

— Panie Marku, właśnie Fam Yong przyniósł nam świeżego lodu, może napije się pan ze mną szklaneczkę Dubonnet?

— W pani towarzystwie i z pani rączek o każdej porze dnia i nocy — odpowiedziałem.

— Ładnie, ładnie, panie Marku — przerwała opowiadanie panna Wanda — od pany Le Hen przyjął Dubonnet i jeszcze powiedział jej pan komplement, a ode mnie pan nie chce. Ale teraz nawet czystej wody panu nie dam, choćby pan umierał z pragnienia. Ciekawa jestem strasznie, komu dał pan to przyrzeczenie i jeśli nie jednej z panien Le Hen...

— Zaraz się cała rzecz wyjaśni, proszę jeszcze o parę chwil cierpliwości... Oczywiście, wyraziłem Helene swe zdziwienie, że jeszcze

nie śpi mimo późnej pory.

— Próbowałam, ale nie mogę zasnąć, tak jest gorąco i duszno.

Wyszliśmy na pokład, gdzie w pobliżu nadbudówek, mieszczących kabiny pasażerskie, stał niski inkrustowany kością słoniową stolik, a obok niego dwa wygodne leżaki.

— Na wodzie, czy samo wino? — spytała Helene.

— Samo, jeśli mogę prosić.

— No, na zdrowie niewzruszonej przyjaźni polsko-francuskiej! — rzekła wesło, trącając moją szklaneczkę...

— Jasiek, daj zapałki!... Przed północą nie dowleczemy się do Gdyni... Ucicha! Że też nie może parę godzin podmuchać... Na czem to ja skończyłem?

— Na flircie z panną Le Hen przy butelce Dubonnet — przypomniała Wanda.

— A tak, dziękuję pani. Popijamy tedy zimny aperitif i gadamy. Mniejsza o to jak mówiliśmy i o czem mówiliśmy...

—Ależ to najciekawsze właśnie, panie Marku — przerwała znowu Wanda.

— Może, ale tego już dobrze nie pamiętam... Niech pani sobie przypomni jakąkolwiek naszą rozmowę wieczorem w Gdyni lub na pokładzie "Warszawy", to było właśnie coś w tym stylu.

— Panie Marku, jest pan...

— Jestem?

— Wszystko jedno, niech pan opowiada dalej.

— Dobrze. Siedzimy razem, gadamy, popijamy... Na mostku wydzwoniono trzy i pół razy, gdy ukazało się dno w osuszonej butelce Dubonneta i gdy zaczęliśmy życzyć sobie dobrej nocy. O ósmej rano czekała mnie wachta; na sen zostało zaledwie trzy godziny. Pocichutku, aby nie budzić Wojtka, poszedłem do mej kabiny. Zaczynało już szarzeć. I spostrzegłem, że łóżko chłopca było puste.

— Do licha, gdzie ten chłopak wałęsa się o tej porze? — przemknęło mi przez myśl.

Ze złem przeczuciem wyszedłem na pokład, gdzie zastałam jeszcze Helenę. Wiedziona widocznie kobiecą intuicją, wyczytała z mej twarzy coś złego, bo spytała z niepokojem:

— Co, czy stało się co złego z Wojtusiem?

— Niema go w kajucie — odrzekłem napozór spokojnie.

W tej chwili dopadł nas Samba N'Diay, jeden z naszych senegalskich palaczy. Gębę miał wykrzywioną ze strachu, oczy krwią nabiegłe i dyszał ciężko. Złapałem go za krótką kędzierzawą czuprynę i potrząsnąłem z całej siły.

— Samba, mów co z Wojtkiem!

— Lieutenant, lieutenant — zaczął bełkotać — mały pan być w klatce z lwem.

Przerażenia mojego nie potrzebuję wam chyba opisywać.

Jedynak Hanki, powierzony mej opiece, w klatce dzikiej bestji! W tej chwili stanął w mej wyobraźni obraz: złota główka Wojtusia w potwornej paszczy lwa... A potem straszna rozpacz matki, której oddaję ostatnie pamiątki — dziecinne ubranko i jakąś zabawkę...

Trwało to ułamek sekundy. Z całej siły odepchnąłem palacza, jednym susem znalazłem się na mostku, gdzie pod rubką nawigacyjną mieściła się kajuta komendanta. Kopnięciem nogi wywaliłem przymknięte na haczyk drzwi, wpadłem do środka i zerwałem karabin wiszący nad łóżkiem "starego".

Hałas obudził komendanta, ale nie było czasu tłumaczyć się przed nim. Jednym skokiem znalazłem się znów na spardeku.

— Marek, uspokój się — powtarzałem sobie, repetując karabin. Z za nadbudówki dopadłem do barjery na krańcu spardeku.

— Stójże, warjacie! — krzyknął mi ktoś nad uchem, chwytając jednocześnie za ramię. — Chcesz zgubić Wojtka?

Był to Foncher, który z mostku nawigacyjnego spostrzegł z Sambą N'Diayem, co się stało.

Dopiero teraz i ja spojrzałem na klatkę groźnego pasażera.

Lew leżał spokojnie na środku swego więzienia. Pomiędzy jego przedniemi łapami, tuż pod wspaniałą królewską głową dostrzegłem spokojnie śpiącego Wojtka. Całą siłą woli opanowując drżenie ręki, podniosłem karabin do oka i jak mogłem najspokojniej począłem mierzyć w drzemiące ślepia lwa.

— Stój, młody człowieku! — usłyszałem w tej chwili tuż nad mem uchem głos komendanta Martineau. — Strzelam lepiej od pana, w dodatku pan jest zdenerwowany. Niech mi pan odda karabin...

Martineau miał rację. Spełniłem rozkaz natychmiast. W tej chwili Wojtek obudził się i piąstkami począł przecierać oczy.

— Boże, co on robi! — Tarmosi lwa za grzywę i głaszcze dolną szczękę olbrzymiej paszczy dzikiej bestji.

Dech zamarł nam w piersiach. Nawet Martineau zbladł jak płótno, ale mierzy spokojnie i nie strzela...

Wiecie o tem, że nie jestem tchórzem i że nie przejmuję się byle czem. Widziałem śmierć i to śmierć straszną wielu ludzi — nawet najbliższych moich przyjaciół. Przeszedłem wojnę, niewolę bolszewicką, pruskie więzienie, rozbicie okrętu podczas silnego sztormu, gdy z czterystu ludzi załogi i pasażerów uratowało się nas zaledwie siedem osób. Widziałem rozpacz matek, którym w drodze na emigrację umierali mężowie i najstarsze dzieci, a zostawało dwoje niewowląt. Pamiętam błysk noża, wbitego w ścianę, tuż koło gardła mojej narzeczonej, rzutem łotrowskiej ręki na pokładzie "Karavellas", i wierzcie mi, że w żadnym z tych wypadków bicie mego serca ani nie opóźniło ani nie przyśpieszyło swej pracy. A teraz...

Zdawało mi się, że na chwilę serce bić mi

przestało. Pociemniało mi w oczach, zawirowało w głowie, krwawe strzępy ciała Wojtka, śmiertelnie blada twarz Hanki i samolot we wściekłym korkociągu walący się z moim bratem wdół — wszystko zmieszało się razem...

Trwało to może sekundę, może dwie, lecz mnie się zdawało, że godziny mijają.

A lew, jakby mu te dziecinne pieszczoty sprawiały naprawdę przyjemność, mruży leniwie wielkie ślepia i mruczy...

W pewnej chwili chciałem skoczyć do klatki, myśląc, że bestja rzuci się na mnie, a wówczas Wojtek zdąży się wyratować. Ale Martineau, który widocznie odgadł mój zamiar, nie pozwolił mi drgnąć z miejsca.

To było najgorszych parę sekund w mojem życiu. Nie móc nic a nic zrobić i patrzeć, jak za chwilę potężna paszcza zgruchocze cienkie kostki chłopca...

Staliśmy, bojąc się swobodniej odetchnąć, a Wojtek, jakby rzeczywiście bawił się z Normą, wstał, przytulił się do potężnej głowy groźnego zwierza i począł czule pieścić wspaniałą jego grzywę.

Potem, spostrzegłszy nas nagle, niemal skamieniałych, uśmiechnął się do nas i potrząsnął ku nam drobną dłonią.

— Dzień dobry, Marek! Bon jour, commandant, ca va bien? Patrzcie, jaki on grzeczny — krzyknął, przykładając rączkę do buzi a drugą wskazując na lwa. A potem, poklepawszy go jak wiernego konia, podszedł do ściany klatki. Myślałem, że to ostatnia chwila Wojtka, że cierpliwe dotychczas zwierzę rzuci się na malca i zmiażdży go jednemu uderzeniem łapy.

Spostrzegłem, jak Martineau ściągnął brwi i mocniej przycisnął karabin do ramienia, ale lew ani drgnął. A Wojtek tymczasem przecisnął się bez trudu pomiędzy prętami klatki i z rozkosznem szczebiotaniem, jakby nic nadzwyczajnego nie zaszło, przybiegł przywitać się z nami. Stanął na baczność przed kapitanem, zasalutował i mrużąc filuternie jedno oko, powtórzył:

— Ca va bien, commandant!

Toutou Fonche chwycił Wojtka w ramiona i zaczął ściskać jak własnego syna, wyrwanego z objęć śmierci. Po twarzy starego wilka morskiego spłynęły dwie duże łzy.

— Wojtek, jak mogłeś zrobić coś podobnego? Przecież zabroniłem ci schodzić ze szpardeku, a ty niedość że poszedłeś, ale jeszcze wszedłeś do klatki lwa — począłem robić wymówki Wojtusiowi, gdy się uspokoiłem i nacieszyłem jego odzyskaniem.

— Nie gniewaj się, Marek, ale widzisz, nie przyszedłeś wczoraj przed wachtą powiedzieć mi dobranoc. Ja bardzo długo czekałem na ciebie. Potem usnąłem, a potem znów się obudziłem i tak strasznie pić mi się chciało... I znowu czekałem na ciebie, a ty nie przychodziłeś. Wtedy poszedłem na pokład i zobaczyłem, że siedzisz z mademoiselle Helene i całujesz ją. A mnie nie pocałowałeś na dobranoc ani razu... A przed wami stały na stoliku takie dobre rzeczy do picia. Więc poszedłem do Marie, chciałem, żeby powiedziała mi dobranoc, ale Marie już spała, więc na złość tobie poszedłem do lwa, bo on jest lepszy od was wszystkich... Widzisz, że miałem rację, że on jest dobry! Podarujesz mi go teraz, Marek? No, podaruj!...

I zaczął mnie tak prosić, że nie mogłem się na niego gniewać, tembardziej, że sam czułem się winnym.

— Słuchaj, Wojtasku, nie mogę podarować ci tego lwa, bo on nie do mnie należy, a pozatem nie zawsze jest on taki dobry. Mogę ci tylko przyrzec bardzo niewiele i przyrzekam, że nigdy już nie zapomnę powiedzieć ci dobranoc i że te "dobre rzeczy do picia" to była ostatnia butelka Dubonnet, w której osuszeniu brałem udział.

* * *

W niespełna tydzień potem w słoneczny poranek "Fort de Souville' cumował się w Marsylji w basenie Chargeurów. Na molo czekała nas Hanka, zawiadomiona przeze mnie radjodepeszą o dokładnej dacie naszego przybycia. Gdy spuszczono trap, Wojtek pędem pobiegł na spotkanie matki, która nawet nie przypuszczała, jak straszne niebezpieczeństwo groziło przed tygodniem jej jedynakowi.

Po pierwszych powitaniach i czułościach zaczęło się oprowadzanie. Naturalnie Wojtek był przewodnikiem.

— O, patrz, Hanka! — to jest mój największy przyjaciel — rzekł, ciągnąc matkę w stronę klatki z lwem. — Ale on musi teraz pojechać do Lyonu. A teraz chodź prędko, prędko... — pobiegł przodem do naszej kajuty. — O, to jest największy wróg Marka — rzekł triumfująco, pokazując pustą butelkę po Dubonnet.

Nie wiedziałem nawet kiedy i jak ją znalazł i schował.

— A teraz zwalnia mnie pani, panno Wando z tej szklanki Dubonnet?

B. Żarski

Dwanaście Godzin Wolności

Opowiadanie

Z GĘSTYCH ciernistych zarośli wysunął się, jak wąż pełzając po kamienistym gruncie, człowiek w szarem, więziennem ubraniu. Oparł się na łokciach i spojrzał na swe ręce. Podrapane cierniami, poprzecinane ostremi kamykami krwawiły palce i czerwonemi kropelkami znaczyły ślad zbiega.

Podniósł i spojrzał dokoła siebie, nie wysuwając się z krzaków.

Rozległa równina rozciągała się przed nim. W dali widać była kilka wysokich kominów fabrycznych i smugi uchodzącego z nich dymu, który układał się w długie, wysoko nad miastem wiszące pasma.

Człowiek w więziennem ubraniu podniósł się zwolna, wyprostował zbolałe kości i przeszedł do końca zarośli. Krzaki były karłowate, sięgające mu zaledwie do pasa, więc gdy stanął wyprostowany, mógł widzieć całą przestrzeń, jaka go dzieliła od szarzejących w blasku wschodzącego słońca murów więzienia. Na równinie pozbawionej zupełnie drzew widać była zdaleka szeroko rozsypaną gromadkę ludzi, którzy to zatrzymywali się, to znów szybko posuwali naprzód. Z odległości wyglądali jak czarne ruchome punkty i tylko pobłyski luf karabinowych zdradzały, że byli to staraźnicy wysłani z zakładu karnego w pogoni za zbiegłym więźniem.

Patrzał dłuższą chwilę i zobaczył z zadowoleniem, że zgrupowali się i skierowali w kierunku przeciwnym od kępy krzaków z której dopiero wyszedł. Spoza wąskich warg zabłysły w uśmiechu żółte zęby zbiega. Ludzie, którzy polowali na inego, poszli za fałszywym śladem.

Przed godziną uciekł spoza granitowych murów więzienia. Zmylił czujność straży i wydostał się na swobodę. W przeciągu tej godziny przebył z niesłychanym wysiłkiem trzy mile. Nie spodziewał się, żeby jego ucieczkę tak szybko spostrzeżono, myślał że kilka godzin upłynie, zanim dozorcy zauważą jego nieobecność, a przez ten czas on będzie już daleko. Całe szczęście, że stracili jego ślad, gdyż w przeciwnym razie musiałby wpaść im w ręce i powrócić tam, skąd z narażeniem życia uciekł.

Teraz wszystkie druty telegrafów i telefonów niosą po całej okolicy wieść o jego ucieczce. Policjanci i szeryfowie notują sobie jego rysopis i będą oczy sobie wypatrywać, by go przychwycić i odstawić spowrotem do więziennej celi... Tak... ale on musi, musi dostać się do domu choć na chwilę. A potem niech się dzieje co chce...

Przed tygodniem ani myślał jeszcze o ucieczce z więzienia. Zbliżał się koniec jego kary. Był zaufanym więźniem i miał więcej swobody ruchów niż inni jego towarzysze. Przez cały czas zachowywał się wzorowo i corocznie kara jego skracała się o trzy miesiące. I byłby spokojnie dotrwał do końca, gdyby nie wiadomość, jaką przed kilku dniami otrzymał spoza murów. Wiadomość tę przyniósł świeży przybysz ze świata, a tajemnicza, szeptem przesyłana poczta więźniów doniosła mu złą nowinę. Postanowił uciekać. Trzy dni przygotowywał się do ucieczki, która mu się udała. Był wolny...

Spojrzał na niebo. Wargi kryminalisty poruszyły się bezgłośnie.

— Na godzinę jedną, na pół godziny... na kilka chwil tylko, daj mi Boże zobaczyć ją... A potem sam powrócę... Sam powrócę i poddam się karze, jaka mnie spotka... Ale zobaczyć ją muszę!

W trawie u jego stóp rozległ się jakiś szelest. Zadrżał z przerażenia i pełnemi trwogi oczyma rozejrzał się dokoła. Ale nic. To tylko jakieś małe zwierzątko zaszeleściło zeschłemi liśćmi i skryło się spowrotem w swej norze.

Zbiegły więzień począł iść naprzód. Obliczał w myśli, ile mil musi zrobić, żeby znaleźć się tam, dokąd dostać się postanowił. Trzydzieści pięć mil! W biały, jasny dzień, w więziennem ubraniu, bez grosza w kieszeni, poszukiwany przez dozorców, policjantów, szeryfów... A jednak w duszy żywił niewzruszoną wiarę, że wszystkie trudności przezwycięży i dostanie się na miejsce dziś jeszcze.

Szedł ostrożnie ale szybko. Po piętnastu minutach stanął przy drodze, przecinającej rozległą płaszczyznę. Znał tę drogę. Wielokrotnie nią jeździł jeszcze wtedy, kiedy był wolnym człowiekiem i nie wszedł na krętą ścieżkę przestępstwa.

Nagle posłyszał z oddali warkot jadącego motocykla. Spojrzał ku miastu i na białej wstędze gościńca ujrzał jadącą za zakrętem maszynę. Siedział na niej człowiek jakiś nie w mundurze, zatem żaden z tych, co przeszukiwali okolicę za zbiegiem. Człowiek w więziennem ubraniu zamyślił się na krótką chwilę i błyskawicznie ułożył plan działania.

Przeskoczył rów przydrożny i położył się na samym środku gościńca z rozłożonemi rękami, udając zabitego czy omdlałego. Motocykl zbliżał się z każdą chwilą. Po kilku sekundach na widok leżącego na drodze człowieka, nagle zwolnił. Zbieg dosłyszał zgrzyt hamulca i szorowanie opon po żwirze. Wstrzymał oddech i czekał.

Motocyklista zeskoczył z maszyny i podbiegł do leżącego zbiega. Pochylił się nad nim i ciekawie spogądał na więzienny ubiór.

—Hm... — mówił do siebie — uciekinier z więzienia, widocznie padł ze zmęczenia na drodze...

Przykląkł i począł poruszać pozornie bezwładnem ramieniem leżącego.

Nagle poczuł, że silna ręka pochwyciła go za gardło i tak ścisnęła, że stracił przytomność.

— Udało się! — wymamrotał zbieg, zwalniając żelazny uścisk. Motocyklista zwalił się nieprzytomny na drogę.

Zbieg rozejrzał się we wszystkie strony. Nikogo nie było widać. Droga była zupełnie pusta.

Spiesznie odciągnął zemdlonego motocyklistę z drogi i sprowadził na bok motocykl. Następnie rozebrał zemdlonego do naga. Śpieszył się, bo przecież lada chwilę mógł kto nadjechać, a wówczas wszystko by przepadło. Zdjął więzienne ubranie i bieliznę i starannie ubrał się w rzeczy zdjęte z motocyklisty. Nasadził na głowę czapkę i okulary i spojrzał z triumfem na nagiego który dawał już słabe oznaki życia.

— Możesz ubrać się w moje ubranie — rzekł napół głośno. — Pożyczam twojego, bo muszę, ale nie mam najmniejszego zamiaru zatrzymywać te łachy. Pożyczam także i maszynę. Jutro prawdopodobnie, nawet na pewno, odbierzesz wszystko spowrotem, a tymczasem do widzenia!

Wytrącił nogą podstawkę spod koła, puścił maszynę w ruch i pojechał drogą prosto ku miastu.

Czuł się bezpieczny na jakiś czas. O ile nie zajdzie nic nadzwyczajnego, zdąży na czas do tego domu, w którym urodził się i wychował i w którym przeżył lata uczciwego życia.

Zemdlony motocyklista przyjdzie wkrótce do przytomności, ale zawsze potrwa kilka godzin, zanim doniesie policji o wypadku, jaki go spotkał. A przez ten czas on będzie już siedział w domu...

Po raz pierwszy od lat całych poczuł się wesołym, prawie szczęśliwym. Z ciekawością próbował rozmaitych, nieznanych mu przyrządów motocykla. Jeździć umiał już dawniej, ale w owych czasach prostsze były maszyny. A teraz... Jazda wspaniała i wygodna! Zanim rozpoznał nowe urządzenia maszyny, jechał wolniutko, ale rychło zaznajomił się dokładnie z maszyną i mógł pośpieszyć.

Gdy dojechał do miasteczka, zobaczył na krzyżówce policjanta, kierującego ruchem ulicznym. Zatrzymał się. Serce mocno mu biło, gdy policjant zbliżył się do motocykla i badawczem okiem mierzył maszynę i jego samego. Pozna mnie, czy nie pozna? Boć przecież wie już napewno o ucieczce z więzienia... Telefony nie próżnują. A może jakim cudem wie już o obrabowaniu motocyklisty? Nie, to chyba niepodobieństwo... wszak to odbyło się zaledwie kilkanaście minut temu...

Ale policjant zachował się nad podziw grzecznie i przyjaźnie. Zapytał, czy nie widział gdzie po drodze człowieka w więziennem ubraniu a na odpowiedź zbiega, że nikogo nie spotkał, począł szeroko i długo rozpowiadać o sposobie ucieczki, opisywał więźnia i zapewniał, że jeżeli jeszcze nie wpadł w ręce policji, to z wszelką pewnością schwycą go w najbliższym czasie.

Wreszcie policjant powiedział wszystko i, przeprosiwszy motocyklistę, że zatrzymał go tak długo, ale że wymagało tego prawo i obowiązek jego, jako stroża bezpieczeństwa, pożegnał go grzecznym ukłonem.

— Udało mi się — rzekł do siebie zbieg, gdy znalazł się już poza miastem. — Teraz już jestem najpewniejszy, że nic mnie nie wstrzyma...

Jechał szybko i wkrótce dotarł do pagórka, z którego widać było ukryty wśród drzew niewielki, stary domek. Przystanął i ocierając pot z czoła uśmiechnął się smutno. Oczy zaszły mu wilgocią i naraz ogarnęło go zwątpienie. A jeżeli przyjechał zapóźno? Jeżeli wszystko, co zrobił, było na nic?...

Myśl ta przejęła go dreszczem niepokoju.

Zsiadł z motocykla i poprowadził maszynę ku domowi. Po kilku minutach postawił ją przy sztachetach podwórka i zbliżył się do frontowych drzwi. Już miał zapukać, gdy przyszło mu na myśl, że ani on, ani rodzeństwo nigdy nie używali tych drzwi. Prowadziły one do pokoju, w którym tylko raz na tydzień, w niedzielę wieczorem gromadziła się cała rodzina przy czytaniu gazet i słuchaniu gramofonu. Pozatem przez cały tydzień pokój ten nie był odwiedzany. Odszedł i okrążył dom. Nogą popchnął drzwi od kuchni i znów sobie przypomniał, jak matka zawsze go strofowała za ten sposób wchodzenia do domu.

W kuchni była jedna tylko kobieta, pochylona w tej chwili nad blachą pieca.

—Hallo! — zawołał. — Widzę, że przyszedłem na śniadanie, siostrzyczko!

Kobieta drgnęła, zwróciła się ku niemu i mimowolnym ruchem chwyciła się za głowę. Twarz jej nagle pobladła jak kreda.

— Robert! To ty! — zawołała pełnym przerażenia głosem.

Mruknął coś niewyraźnie i spojrzał jej w oczy, jakby czekając co dalej powie.

Milczała.

— Matka? — spytał prawie szeptem.

— Umiera... Robert, matka nie wyżyje do wieczora... Ale, bracie mój, tyś przecie nie uciekł z... stamtąd...

— Czy matka wie wszystko o mnie? — pytał chrapliwym, przyciszonym głosem.

— Nie, Robercie... Przynajmniej nie ode mnie. A że od czterech lat ociemniała, ja jej czytywałem swoje listy. To znaczy pewne część listów... w których opisywałeś wspaniałości dalekiej Północy...

Słowa jej zamieniły się w cichy szloch, gdy

patrzała na jego wykrzywioną cierpieniem twarz.

—Dzięku Bogu — rzekł, ściskając jej rękę. — Czy myślisz, że będę mógł zobaczyć matkę? Porozmawiać z nią...

Wskazała ręką drzwi sypialni. Wargi jej zadrżały i z jękiem ukryła twarz w dłoniach.

Zbieg z więzienia postąpił ku drzwiom, pokazanym przez siostrę i już miał je otworzyć, gdy wstrzymał się i spojrzał na siostrę.

— Powiadasz, siostro — rzekł — że od ciebie nie dowiedziała się?

— Ani słowa — odpowiedziała przez łzy. — Ale inni mówili jej o tobie... Nie mogłam przeszkodzić temu, boć przecie wszyscy wiedzą co uczyniłeś... Ale matka nikomu nie wierzy. Te twoje listy to sprawiły...

Podniósł pięść do góry i zatrząsł nią w powietrzu, jakby komuś niewidzialnemu.

— Podli! Po stokroć podli! — szeptał przez zaciśnięte zęby. — I cóż im przyszło z tego, że życie zatruwali matce... Ale ona nie uwierzyła, prawda? Nie uwierzyła, że syn jej...

Szybko chwycił za klamkę i lekko drzwi sypialni uchylił. Stanął na progu. Leżąca na łóżku stara kobieta zwróciła ku niemu bladą, wymizerowaną twarz. Oczy jej, martwe, pozbawione wyrazu spoglądały, nie widząc.

— Matko! — szepnął drżącym głosem. — Matko!...

— Robert! Robert! — rozległ się słaby głos kobiety. — O, wiedziałam, czułam, że przyjdziesz, dziecko moje! Wiedziałam, że będziesz przy mnie, zanim Bóg każe mi odejść na zawsze...

Zbieg z więzienia klęczał już przy ubogiem łóżku i przyciskał chudą jej rękę do swych spieczonych bólem warg.

—Tak, matko...przyszedłem do ciebie...Daleko byłem, bardzo daleko, ale na wieść o twej chorobie wróciłem i jestem... matko...

Staruszka gładziła drżącą ręką głowę syna. Potem jak przez sen poczęła mówić:

— A tu źli ludzie niestworzone rzeczy mówili o tobie, synu. Mówili, że byłeś skazany na długie lata więzienia, a gdy im przeczyłam i powoływałam się na twoje listy, śmieli się ze mnie. Ale ja rozumiem, dziecko moje, dlaczego ludzie tak mówili. To przez zazdrość, bo wiedzieli, że powrócisz z majątkiem, a ich dzieci nie miały tyle odwagi by iść w świat i dorabiać się...

— Tak, matko. Wróciłem z kieszeniami pełnemi pieniędzy. Nie mylisz się, mówiąc że przez zazdrość mnie oczerniali. Ale teraz zostanę już na zawsze z tobą, matko i z siostrą... Na zawsze... na zawsze...

Głos mu się załamał. Zacisnął dłonie na czole i patrzał w niewidome oczy matki.

— Ja nigdy nie wątpiłam o tem, że wrócisz synu — mówiła coraz słabszym głosem umierająca kobieta. — A teraz, teraz dziecko moje, mogę umrzeć spokojnie. Czuję że Bóg woła mnie... a ty, synu, pokaż się wszystkim... ubierz się ładnie, żeby widzieli... że... jesteś bogaty...

Przez cały dzień siedział syn przy łożu konającej matki i mówił jej o sobie, o swych przygodach w dalekim świecie. A ona od czasu do czasu gładziła jego głowę i przeciągała palcami po twarzy. Widział, że zbliża się koniec i jedną tylko miał obawę — żeby ci, którzy poszukiwali go, nie zakłócili ostatnich chwil niewidomej.

Przeszło południe. Upływała godzina za godziną. Dokoła małego domku wśród drzew cicho było i spokojnie. A wewnątrz żegnała matka, odchodząca w zaświaty, syna, który przybył z dalekich stron, aby ją pocieszyć i zadać kłam oszczercom...

Przed wieczorem w sypialni nie było już słychać głosu syna. Oddech matki stawał się coraz słabszy, aż o zachodzie słońca biedna, niewidoma staruszka zgasła w ramionach płaczącego syna.

Zaledwie zdołał ułożyć zmarłą na łóżku; gdy przed domem rozległ się tupot kilku ludzi. Gniewne i groźne głosy domagały się natychmiastowego otworzenia.

Zbieg uśmiechnął się dziwnie. Twarz jego była teraz wypogodzona. Podszedł do drzwi, otworzył je i rzekł równym, spokojnym głosem:

— Jestem. Nie mam zamiaru uciekać ani opierać się!

I wyciągnął ręce przed siebie.

— Nałóżcie kajdanki... Idę z wami.

Na twarzach strażników, którzy weszli już do domu, odbiło się zdziwienie. Ustąpił gniew w chwili, gdy odnalazłszy zbiega mieli go w rękach. Poczęli wypytywać go, ale bez zwykłej bezwzględności. Wysłuchali sprawozdania o napadzie na motocyklistę i podziwiali jego spryt i odwagę. W końcu starszy strażnik spytał, patrząc mu w oczy:

— Ale dlaczegoż uciekłeś? Przecież za dziesięć dni i tak byłbyś uwolniony, a wówczas...

— A teraz — dodał drugi, dozorca — nietylko stracisz te wszystkie miesiące, jakie byłyby ci darowane za dobre sprawowanie, ale ponadto będziesz skazany na dodatkową karę za napad i rabunek...

— Tak — odpowiedział więzień. — Ale byłem dwanaście godzin na wolności. A godziny te gotów jestem zapłacić latami więzienia.

Wskazał na drzwi sypialni.

— Tam leży moja matka... Umarła w moich ramionach, ciesząc się, że syn jej wrócił z dalekich stron, gdzie pracował nad zdobyciem majątku dla siebie i dla niej... Umarła z uśmiechem szczęścia na ustach...

W pokoju zapanowała cisza. Surowi, zahartowani na ludzką niedolę i cierpienie strażnicy więzienia w milczeniu odkryli głowy.

Oddali cześć majestatowi śmierci, i w sercach ich wezbrał podziw dla syna, który poświęcił lata wolności, aby osłodzić matce ostatnie jej chwile.

PARAFIA ŚW. WOJCIECHA

Jedna z Najstarszych Parafii Polskich w Chicago



KSIĄDZ KANONIK KAZIMIERZ GRONKOWSKI, Proboszcz

Oraz Księża Wikarzy:

Ks. Ryszard Jung — Ks. Zygmunt Andryaszkiewicz — Ks. Jan Kalata

LOOMIS
Savings & Loan Ass'n

1359 West 51st Street

Telefon YArds 7-6700 **Chicago 9, Illinois**



FEDERAL SAVINGS AND LOAN INSURANCE CORPORATION — SAFETY OF YOUR SAVINGS INSURED UP TO $10,000.

FEDERAL HOME LOAN BANK SYSTEM — MEMBER

Oszczędzajcie w Spółce LOOMIS
Która Wypłaca Wysokie Dywidendy

3% **ZASOBY $7,000,000.00** **3%**

Wasze Konta Są Zabezpieczone Do Sumy $10,000.00

DAJEMY POŻYCZKI NA DOMY
NA BARDZO DOGODNYCH WARUNKACH

ZARZĄD I DYREKCJA:

ANDRZEJ WASYLIK, Prezes
TEODOR CISZEWSKI, Wiceprezes
FELIKS FRANKOWSKI, Kasjer
KAZIMIERZ MATECKI, Sekretarz
STEFAN RÓŻAŃSKI, Asst. Sekretarza
JÓZEF KWIATKOWSKI, Dyrektor
TADEUSZ MATECKI, Dyrektor
STASIA OPAS, Dept. Ubezpieczeniowy

WSZYSTKIM ZWIĄZKOWCOM
I ZWIĄZKOWCZYNIOM, oraz CAŁEJ POLONII
SKŁADAM SERDECZNE ŻYCZENIA
JAKNAJLEPSZEGO POWODZENIA
NA ROK 1956

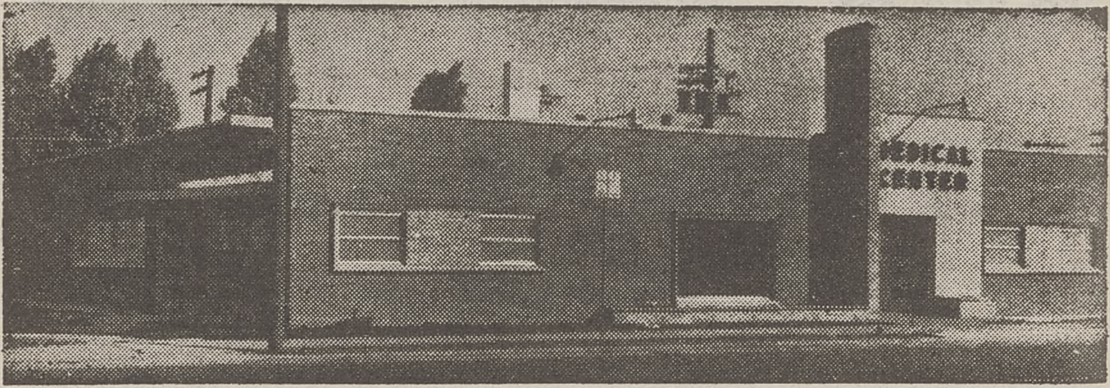
Jednocześnie mam zaszczyt złożyć najserdeczniejsze podziękowanie Wszystkim Posłom i Posełkom, oraz wszystkim, którzy się przyczynili do ponownego mojego wyboru na Lekarza Naczelnego Z.N.P.

Dr. W. A. SADLEK

LEKARZ NACZELNY Z. N. P.



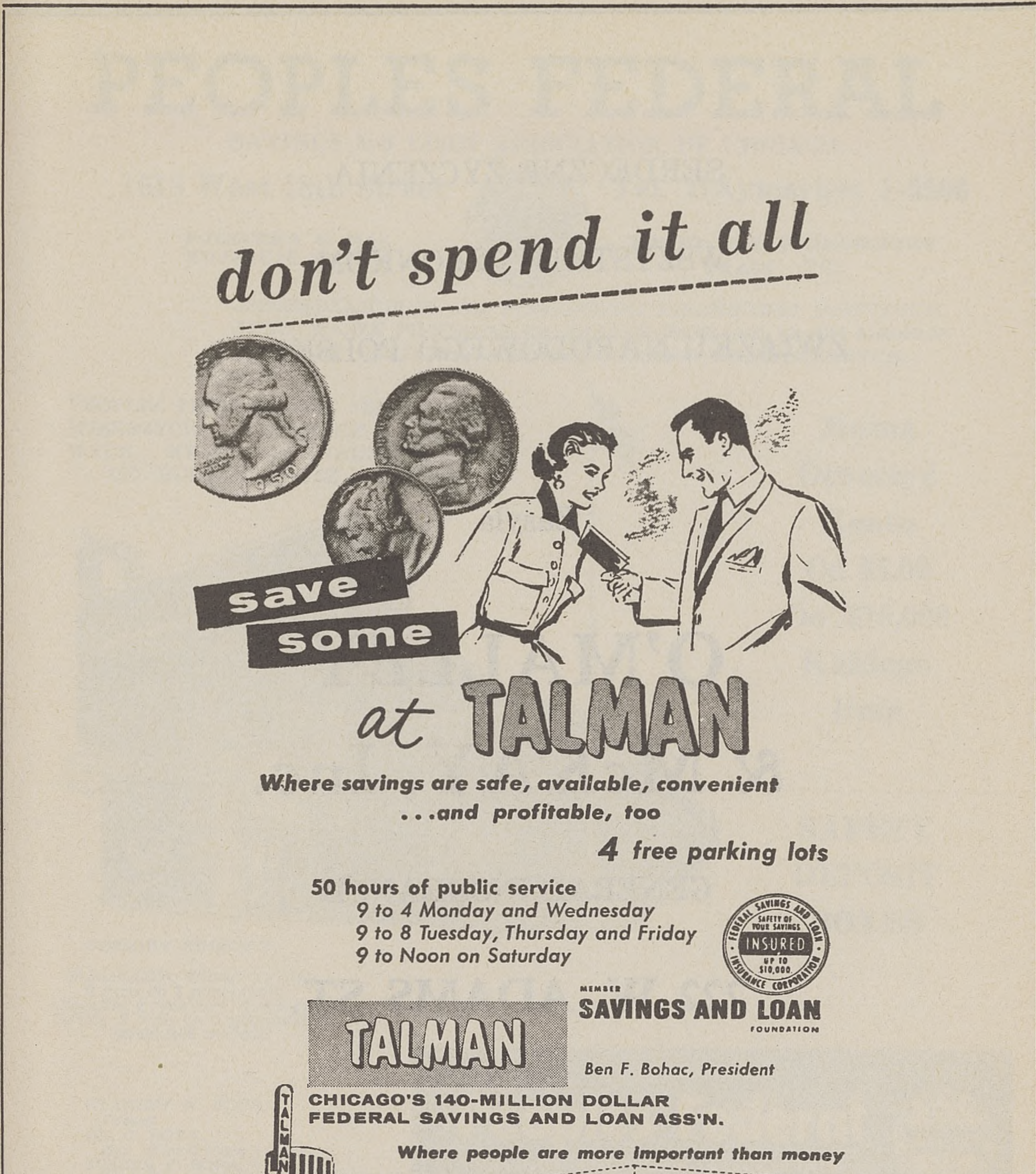
DR. W. A. SADLEK
Naczelny Lekarz Z. N. P.



Budynek Centrum Medycznego Dr. W. A. Sadleka, 4460 Archer Ave., Chicago, Ill.

Lekarz Naczelny ZNP., Dr. Wawrzyniec A. Sadlek nie szczędząc wydatków wielkim nakładem pracy i pieniędzy zbudował wspaniały Ośrodek Medyczny w specjalnie przestronnym budynku pnr. 4460 W. Archer Ave. Piękny i nowoczesny ten budynek nie tylko pod względem architektury przedstawia się okazale i jest pomysłowo zbudowany na pomieszczenie Ośrodka Medycznego, lecz również jest wyposażony doskonale w najnowsze laboratoria i potrzebne aparaty.

W klinice Dr. Sadleka obecnie ordynuje 10 lekarzy specjalistów i klinika ta jest otwarta przez całą dobę w specjalnych nagłych wypadkach, oraz można z niej w każdej chwili wezwać lekarza do domu w nagłej konieczności. W tym ośrodku ordynuje specjalista chorób płucnych, trzech specjalistów w chorobach oczu, nosa i gardła, specjalista chorób dziecięcych, a właściciel Dr. Sadlek osobiście prowadzi dział chirurgiczny, w którym pracuje kilku chirurgów. Wzorowa ta klinika posiada wszelkie najnowocześniejsze aparaty roentgenowskie, aparaty do badania krwi i moczu, oraz aparaty do fizjoterapii i inne najnowocześniejsze maszyny i przyrządy lekarskie oraz własną aptekę.


don't spend it all
save
some
at TALMAN
Where savings are safe, available, convenient
...and profitable, too
4 free parking lots
50 hours of public service
9 to 4 Monday and Wednesday
9 to 8 Tuesday, Thursday and Friday
9 to Noon on Saturday
FEDERAL SAVINGS AND LOAN INSURANCE CORPORATION
SAFETY OF YOUR SAVINGS
INSURED
UP TO $10,000
MEMBER
SAVINGS AND LOAN
FOUNDATION
TALMAN
Ben F. Bohac, President
CHICAGO'S 140-MILLION DOLLAR
FEDERAL SAVINGS AND LOAN ASS'N.
Where people are more important than money
TALMAN
1955
5501 South Kedzie Avenue Chicago 29, Illinois HEmlock 4-3322

PEOPLES FEDERAL

SAVINGS and LOAN ASSOCIATION OF CHICAGO

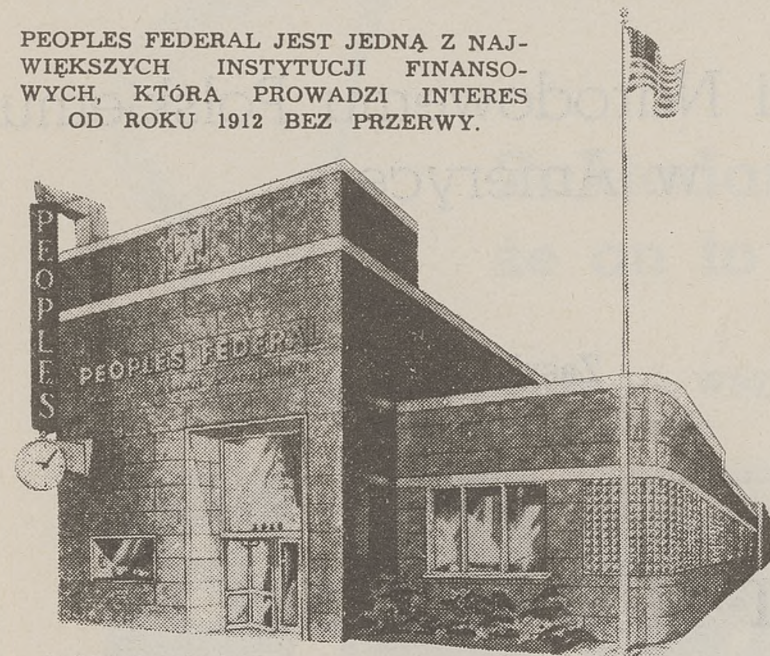
1618 West 18th Street — **Tel. HAymarket 1-5500**

POŻYCZKA U NAS KOSZTUJE TANIEJ

KONTO OSZCZĘDNOŚCIOWE PŁACI 3%

OSZCZĘDZAJCIE W TEJ POPULARNEJ FINANSOWEJ INSTYTUCJI, GDZIE WASZE PIENIĄDZE SĄ ZAASEKUROWANE AŻ DO $10,000.00 PRZEZ RZĄDOWĄ AGENCJĘ STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

PEOPLES FEDERAL JEST JEDNĄ Z NAJWIĘKSZYCH INSTYTUCJI FINANSOWYCH, KTÓRA PROWADZI INTERES OD ROKU 1912 BEZ PRZERWY.



Można Otworzyć Konto Od $5.00 Do $10,000 Każdego Dnia

SAFETY DEPOSIT BOXES

GODZINY BIUROWE:

Poniedziałki, Wtorki i Piątki
9 rano do 3 popołudniu.
Czwartki 9 rano do 8 wieczorem.
Soboty 9 rano do 1 popołudniu.
Zamknięte w środy.

STANLEY W. ROPA,
Prezes
AL. C. ROPA,,
Egz. Wice-Prezes i Sekr.
JOSEPH F. ROPA,
Wice-Prezes i Kasjer
MICHAEL WLEZIEN,
Dyrektor
HENRY CZEKAJSKI,
Dyrektor
WALTER A. ROPA,
Dyrektor
STANLEY LESNIAK,
Dyrektor
CHESTER J. DANKOWSKI i
WALTER ROJEK, Adwokaci.

Peoples Federal
SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION

1618 W. 18th Street

Przy Ashland Avenue

Chicago 8, Illinois

Chartered and Supervised by the

UNITED STATES GOVERNMENT

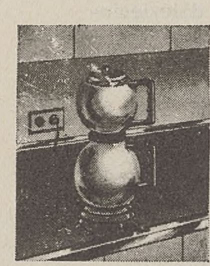
Pracuje za centa?



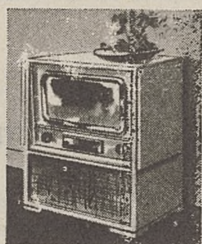
Zakładam się, że on to zrobi

Commonwealth Edison's

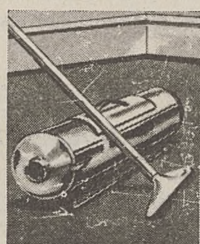
MAŁY BILL Ciągle Wykonuje WSZYSTKO To Za Centy Dziennie



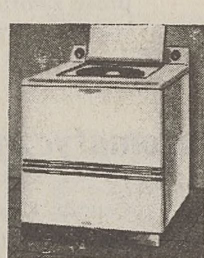
32 filiżanki kawy automatycznie gotowane zużywają elektryczności za centa.



Możecie mieć 2 godzinną rozrywkę na telewizji, zużywając elektryczności za 2½ centa.



Za centa lub dwa tygodniowo elektryczny odkurzacz oczyści cały dom.



Pranie tygodniowe 3c, wykonane automatycznie na elektrycznej maszynie do prania.

Jak Commonwealth Edison Zmniejsza Wasz Rachunek Za Elektryczność

(Gdy wszystko inne idzie w górę)

Obecnie wasza rodzina używa elektryczności o wiele więcej niż kiedykolwiek przedtem. Równocześnie otrzymujecie jej dwukrotnie więcej za swe pieniądze, niż 25 lat temu.

Jak może Commonwealth Edison utrzymywać rachunek za elektryczność na tak niskim poziomie? Główną przyczyną tego jest inwestycja w ostatnich 25 latach około biliona dolarów w nowoczesnych fabrykach i wyposażeniu elektrycznego przedsiębiorstwa. To pomogło zwiększyć produkcję elektryczną robotników więcej niż podwójnie.

W rzeczywistości, na skutek tych i innych oszczędności, elektryczność, której dzisiaj używanie kosztuje was mniej za kilowat-godziny niż 25 lat temu.

COMMONWEALTH EDISON COMPANY

WSZELKIEGO RODZAJU MARYNATY PRODUKOWANE NA SPOSÓB STARO-KRAJSKI I TUTEJSZY, PRZEZ NAJWIĘKSZĄ POLSKĄ FABRYKĘ MARYNAT W CHICAGO

OGÓRKI
KAPUSTA
OLIWKI
KORNISZONY
CATSUP



MUSZTARDA
OGÓRKOWY
"RELISH"
OCET

PASIER
PICKLES & KRAUT

ZARZĄD:

JAN GAWEŁ	Prezes
LEON MILLER	Sekretarz
LEON WIŚNIEWSKI	Kasjer
LUDWIK KIEŁBASA	Dyrektor
FR. KOWALCZYK	Dyrektor
JAN ZJAWIŃSKI	Dyrektor
LUDWIK BALUŚ	Dyrektor

Pasier Products Co., Inc.

1670-90 Elston Avenue **Telefon: HUmboldt 6-8060**



JAN GAWEŁ, Prezes

NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA

DALSZEGO ROZWOJU ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO, DOBRA POLONII AMERYKAŃSKIEJ W ROKU 1956—SKŁADAJĄ

OFFICERS:

JULIUS C. BRENZA
President

STEVEN S. TYRAKOWSKI
Vice-President

JOSEPH A. WIEWIORA
Cashier

ANTON J. VALONIS
Asst. Cashier

BERNICE ZAUR
Asst. Cashier

DIRECTORS:

JULIUS C. BRENZA
DR. SYLVESTER A. BRENZA
STEVEN S. TYRAKOWSKI
JOSEPH S. ZIENTAK

FEDERAL DEPOSIT INSURANCE CORPORATION
$10,000 MAXIMUM INSURANCE FOR EACH DEPOSITOR
MEMBER

METROPOLITAN STATE BANK

2201 WEST CERMAK ROAD

CHICAGO, ILL.

The Bank of Tried and Proven Safety



Od wielu lat słynie ze swej chętnej i grzecznej obsługi dla szerokich mas publiczności polska instytucja finansowa

Public Savings & Loan Association

OF CHICAGO

1610 W. 63rd Street

CHICAGO, ILLINOIS

WAlbrook 5-8121

WILLIAM ROPA, Sekr. i Zarządca

Tysiące zadowolonych klientów obsługujemy rocznie.

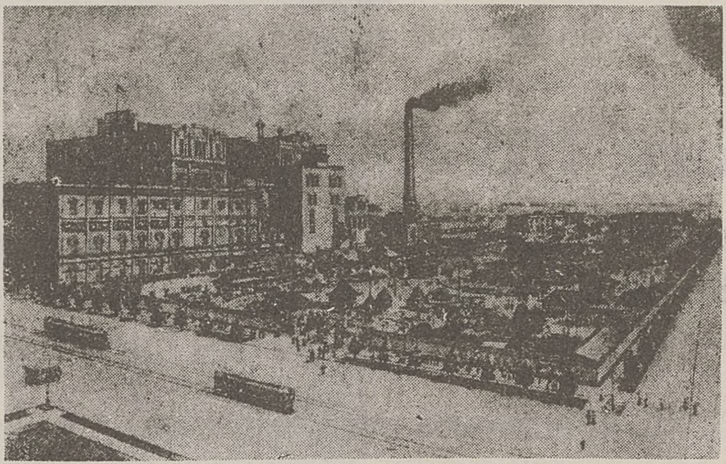
Bądźcie i Wy zadowoleni i dla swej lepszej przyszłości oszczędzajcie, pożyczając na zakupno własnego budynku.

JUŻ OD WIELU LAT SŁYNIE Z DOSKONAŁEJ DOBROCI I SMAKU

PIWO Z BROWARU PILZEŃSKIEGO

TAK DOBRZE ZNANE

Yusay Pilsen Beer



Yusay Pilsen Beer

BĄDŹCIE I WY SMAKOSZAMI TEGO DOSKONAŁEGO PIWA Z

PILSEN BREWING CO.

3043 WEST 26-TH STREET

Wytwórcy "YUSAY" Pilzeńskiego Piwa—Najlepszego w Chicago

OGRÓD PILSEN PARK NA PIKNIKI DO WYNAJĘCIA

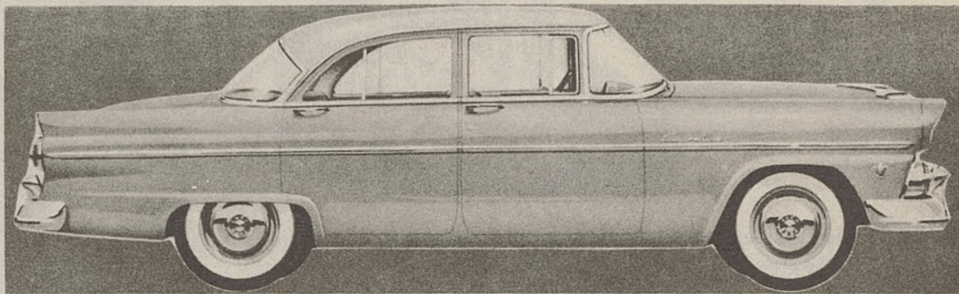
Roz Założenia 1903 **Telefon: BIshop 7-5000**

Przyjdźcie i zobaczcie Automobile Pasażerskie i Troki Forda, Model 1954 albo 1955 z najnowszemi ulepszeniami — Sprzedajemy także używane Automobile i Troki

PO BARDZO ZNIŻONYCH CENACH

BEZPŁATNY KURS JAZDY SAMOCHODEM DLA POCZĄTKUJĄCYCH

MÓWIMY PO POLSKU



KAWELL-WALKER MOTORS, Inc.

SALES & SERVICE

AUTOMOBILE FORD I TROKI

1834 WEST CHICAGO AVENUE

Otwarte wieczorami do godziny 9:00

Obsługujemy, naprawiamy i malujemy w naszym nowoczesnym zakładzie wszelkiego rodzaju automobile i troki, jakiegokolwiek roku i jakiegokolwiek typu ku pełnej satysfakcji każdego.

Telefon EVerglade 4-3535

Acorn Roofing Supply Co.

2655 W. 48th St.
Chicago 32, Illinois

Washtenaw & 48th St.
Tel. YArds 7-5851

H. E. LENZ, Prezes

HURTOWNI DYSTRYBUTORZY

ASPHALT PRODUCTS

WŁAŚCICIELE DOMÓW! — Wasz Dom jest waszą chlubą. Nie zaniedbujcie go.

Obsługujemy wielu odpowiedzialnych kontraktorów, którzy pomogą Wam w rozwiązaniu Waszych problemów w pokryciu dachów, siding i izolacji.

NAJWIĘKSZA POLSKA PIEKARNIA



Stanisław Grzegorczyk

W CHICAGO, ILLINOIS

ZDROWE I SMACZNE
PO STAROKRAJSKU PIECZONE

CHLEBY — CIASTA I TORTY

Znane są doskonałości po całym Chicago i Okolicy. Zapewniamy szybką obsługę na Wesela—Przyjęcia—Zabawy.

Na Każdym Polskim Stole Powinien Być P. W. Polski Chleb.

P. W. BAKING CO.

2500 W. Chicago Avenue
Telefon: HUmboldt 6-7766
Chicago 22, Illinois



Bolesław Mianowski

Continental Savings and Loan Ass'n.

OSZCZĘDZAJCIE WIĘCEJ $ $ $

ZAROBICIE WIĘCEJ $ $ $

OTWÓRZCIE SOBIE KONTO DZISIAJ—DYWIDENDY WYPŁACANE CO 6 MIESIĘCY

V. D. GAPSEWICZ, Prezes — **V. P. PIERZYŃSKI, Sekr.**

4559 S. PAULINA STREET — **CHICAGO 9, ILLINOIS**

YArds 7-0145

PRZYJMUJEMY WSZELKIE PRACE

w każdej części miasta i okolicy

LUCZAK BROTHERS

PLAIN AND ORNAMENTAL PLASTERING CONTRACTORS

4052-54 ELSTON AVENUE

Telefon IRving 8-3570-71 — **Chicago, Illinois**

Streptomycyna-Rimifon, Penicylina, Insulina, Witaminy i Leki . . .



Pakujemy i wysyłamy do Europy Rimifon, który jest jednym z najnowszych i najskuteczniejszych środków na GRUŹLICĘ, jest bardzo pożądany w Polsce.

TYSIĄCE ZADOWOLONYCH KLIENTÓW OD 1920 ROKU

UNIVERSAL MEDICINE CO.

JAN KUKLIŃSKI
DYPLOMOWANY APTEKARZ

1901 W. DICKENS AVE.

Tel. BRunswick 8-4360 — **Chicago, Ill.**



FINE ART STUDIO

1452 W. Chicago Avenue

POLSKI ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY

Specjalnością Naszą Są Fotografie Ślubne, Pojedyńcze i Grupowe

Zdjęcia Dzieci do Komunii Świętej i Podczas Graduacji, Ukończenia Szkoły. Każde nasze Zdjęcie Jest Piękne i Czarujące

Po umówienie telefon.:—HAymarket 1-0610

Już od wielu lat obsługuje ku najpełniejszemu zadowoleniu Polonię w Cicero, Ill.

SKŁAD ŻELAZTWA I PRZYBORÓW DOMOWYCH

W. T. CHOJNACKI & SON

PAINTS — HARDWARE
ELECTRIC APPLIANCE

2900-02 So. 48th Court

Cicero 50, Ill.

Telefon OLympic 2-3205

Wszelkiej Pomyślności dla Członków Związku Narodowego Polskiego i Zarządu z Okazji Diamentowego Jubileuszu

---

WIEBOLDT'S

Wasz Sąsiad Zaprasza Was!

Kompletny metropolitalny dobór towarów dla was, blisko waszego domu, u Wieboldt's. Łatwe kupowanie w sklepach, gdzie znajdziecie wszystkie zapotrzebowania swej rodziny czy to w odzieży, czy w przyborach domowych, urządzeniu mieszkania lub żywności.

Spotkacie się z przyjazną, grzeczną obsługą u Wieboldt's, bezpłatne miejsce do parkowania—dogodny plan kredytowy, dla was odpowiedni.

Idźcie codziennie do sklepu Wieboldt's, znajdującego się blisko waszego mieszkania.

MILWAUKEE AVE. blisko Ashland

ASHLAND AVE. blisko Madison

LINCOLN AVE. blisko Belmont

63rd STREET blisko Halsted

EVANSTON Church and Oak

OAK PARK Lake i Harlem

WIEBOLDT'S

KOMPLETNA OBSŁUGA BANKOWA

- KONTA OSZCZĘDNOŚCIOWE
- KONTA CZEKOWE
- POŻYCZKI AUTOMOBILOWE
- POŻYCZKI REALNOŚCIOWE
- POŻYCZKI BYZNESOWE
- BIURO ZAGRANICZNE

URZĘDNICY:

FRANK BOBRYTZKE
Przewodniczący

H. S. FRENCH
Prezes

C. N. PALECZNY
Kasjer

FRANK A. BRANDT
Wiceprezes

VICTOR JANKOWSKI
Asystent Kasjera

MATT A. SAWYER
Wiceprezes

JOS. B. DUBIEL
Asystent Kasjera

JOSEPH M. BARON
Asystent Wiceprezesa

EDWARD WOJNOWSKI
Asystent Kasjera

PAUL MITCHELL
Audytor

Parking Lot na Division Ulicy Obok Banku

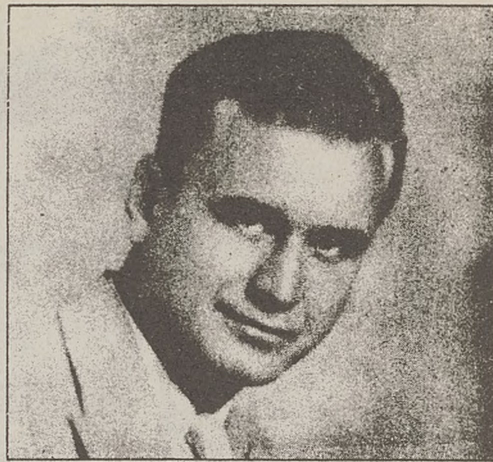
Otwarte Co Piątek Wieczorem
4:30 to 8 P. M.
Zamknięte Cały Dzień w Soboty

THE MANUFACTURERS NATIONAL BANK

OF CHICAGO

1200 N. Ashland Ave.

BRunswick 8-4040



JAN KOWALSKI

Zawsze zachowuje staropolski zwyczaj· względem swych gości, mówiąc:

"CZEM CHATA BOGATA, TEM GOŚCIOM RADA"
Wstąpcie do

RITE LIQUORS

1649 W. DIVISION ST. CHICAGO, ILL.

Na Składzie Mamy Wszelkiego Rodzaju Tutejsze oraz Importowane: WÓDKI, LIKIERY, WINA i PIWA. Ceny Bardzo Przystępne Dla Wszystkich.



B. W. LESNIAK

Biuro w śródmieściu:
188 WEST RANDOLPH STREET
Telefon CEntral 6-6152

Brighton Park:
4268 ARCHER AVENUE
Telefony LAfayette 3-5784-5785
Chicago 32, Illinois

Załatwiamy:
SPRAWY REALNOŚCIOWE, HIPOTEKI
INWESTYCJE, ASEKURACJA
NOTARIUSZKA PUBLICZNA



JOSEPH F. ROPA

Recorder of Deeds Cook County

Candidate for Reelection 1956

☆

21st WARD REGULAR DEMOCRATIC ORGANIZATION

JOSEPH F. ROPA
Ward Committeeman

HON. CHARLES S. BONK
Alderman

HON. FRANK J. KOCAREK
State Senator

HON. JOSEPH G. KOHOUT
State Representative

HON. MITCHELL "MATT" ROPA
State Representative

HON. ELEANOR SCHROEDER
State Central Committeewoman

HON. HENRY W. SAKAWICH
Referee Municipal Court

1854 S. Ashland Ave., Chicago 8, Illinois **CAnal 6-5700**

JOHN C. MARCIN

KLERK MIASTA CHICAGO

oraz

Demokratyczny Komityman 35-tej Wardy

Jan C. Marcin urodzony i wychowany na Jackowie, Weteran drugiej wojny światowej, graduant De Paul Uniwersytetu, znany powszechnie ze swego czynnego udziału w życiu Polonii jest typowym przykładem młodego pokolenia, które swą pracą i rzetelnością wybija się w tutejszym życiu politycznym.

Na stanowisku komitymana wardy wyróżnia się swą znajomością jej potrzeb. Dobro mieszkańców jest jego głównym celem i zadaniem. Jego stałe zabiegi o polepszenie ulic, oczyszczenie parków i zaułków, dążenie do zapewnienia jak największych wygód i bezpieczeństwa mieszkańcom i ochrony ich własności, a przede wszystkim walka z gemblerką — są widoczne i przynoszą rezultaty.

Jest on chlubą 35-tej wardy. Szczyci się ze swojego polskiego pochodzenia. Doskonale włada językiem polskim. Mieszkańcy 35-tej wardy widzą w nim swego przyszłego lidera.

W roku 1955 na wiosnę został on wybrany na bardzo zaszczytne i odpowiedzialne stanowisko Klerka Miasta Chicago olbrzymią większością głosów. Jest pewnym, że przyniesie on chlubę dla imienia polskiego. Szczęść mu, Boże, we wszelkich poczynaniach!



JAN C. MARCIN
Klerk Miasta Chicago i
Komityman 35-tej Wardy



SIGMUND J. STEFANOWICZ

SĘDZIA SĄDU MUNICYPALNEGO W CHICAGO



FRANCIS X. CONNEL

KLERK SĄDU OKRĘGOWEGO

oraz Komityman 37 Wardy z Partii Republikańskiej

Znany jest on również jako jeden z tych, którzy nie słowem, ale czynem popierają sprawy naszej Polonii.

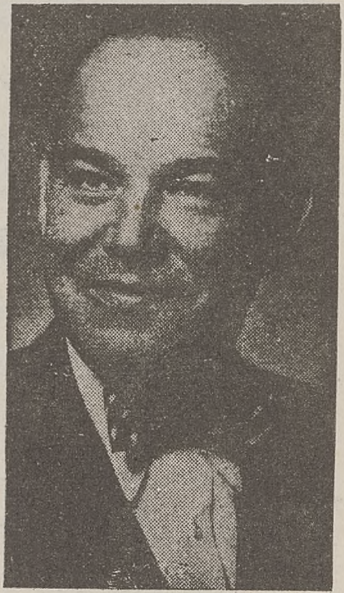


P. J. CULLERTON

ALDERMAN 38-EJ WARDY

Oraz Komityman Demokratyczny Tejże Wardy oraz Przewodniczący Komitetu Finansowego w Radzie Miejskiej Miasta Chicago.

Wszystkim Moim Współobywatelom
Szczególnie Obywatelom Polskiego Pochodzenia
życzę
Niech wszystko to, do czego dążycie i staracie się stanie się dla Was rzeczywistością i osiągniętym celem.



TAD. J. ZAREMBA

SKARBNIK-SUPERWIZOR MIASTA CICERO, ILLINOIS
oraz
DEMOKRATYCZNY KOMITYMAN TOWNSHIP OF CICERO

Zawsze oddany dla dobra Sprawy Polskiej i zawsze popiera wszystko co polskie.

SERDECZNE ŻYCZENIA 1956



STANLEY J. NOWAKOWSKI

CZŁONEK GRUPY 328 Z. N. P.

Alderman 11-ej Wardy

Chicago, Ill.

KAZIMIERZ GRIGLIK

TRUSTYS
DYSTRYKTU SANITARNEGO
MIASTA CHICAGO
Były Dyrektor Kongresu Polonii Amer.



Dzięki swej popularności podczas wyborów wybił się pod względem ilości otrzymanych głosów na jedno z pierwszych miejsc, i został wybrany na zaszczytne stanowisko Trustysów w Dystrykcie Sanitarnym miasta Chicago.

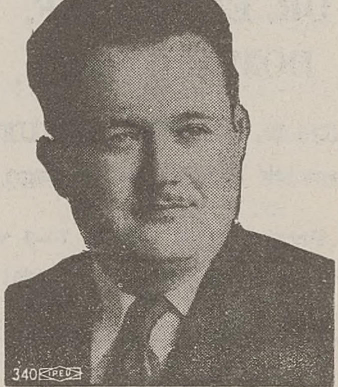
Polonia widzi w nim jednego z obrońców Spraw Ludu Naszego.



Józef P. Rostenkowski

Demokratyczny Komityman 32-giej Wardy

Jeden z najpopularniejszych naszych rodaków. Sprawy naszej Polonii zawsze szczerze i życzliwie popiera z całego serca zawsze i wszędzie. Dlatego godny jest on naszego poparcia całej Polonii we wszelkich jego zamiarach.



SERDECZNE ŻYCZENIA POWODZENIA W ROKU 1956 WSZYSTKIM BRACIOM I SIOSTROM ZWIĄZKOWYM ORAZ CAŁEJ POLONII

SKŁADA

Alojzy A. Mazewski

B. Dyrektor
Związku Narodowego Polskiego



Dr. B. J. TATAROWICZ

Naczelny Lekarz Macierzy Polskiej

On zawsze popiera wszystko co polskie i co jest z polskością związane.



SERDECZNE ŻYCZENIA
ZWIĄZKOWI NAR. POLSKIEMU
I POLONII
składają

Paulina Rytel, M. D.

Godziny od 2-ej do 4-ej popołudniu
2424 NORTH KEDZIE BOULEVARD

Aleksander Rytel, M. D.

WICKER PARK MEDICAL CENTER
1530 N. DAMEN AVE. CHICAGO, ILLINOIS

DR. EDWARD F. DOMBROWSKI

1530 N. DAMEN AVENUE
BRunswick 8-2770 — Chicago, Ill.

Godziny Przyjęć: 2—4 popoł.; 7—9 wieczór,
Oprócz Środy, Niedzieli i Świąt

DR. WALTER J. ŚWIATEK

OPTOMETRYSTA

2201 WEST CERMAK ROAD

Długoletnie doświadczenie. Pierwszorzędne przyrządy do badania wzroku i gruntowna wiedza. Grzeczna staropolska obsługa i fachowe dopasowanie okularów.

METROPOLITAN STATE BANK BLDG.

Telefon VIrginia 7-6592

Tysiące zadowolonych pacjentów wychodzi
z Biura Optometrycznego
pnr. 1212 No. Ashland Ave.
które prowadzi

Dr. Kazimiera J. Sajewska

Zasyłam także powodzenia z okazji Diamentowego Jubileuszu dla Z.N.P.

Telefon HUmboldt 6-3227



Dr. T. Giese
Dr. H. Fisher
Dr. L. Mandernack
Dr. J. Kuzera

Telefon Harvey 4383
15309 CENTER AVE.
HARVEY, ILL.
Przyjmują tylko za poprzednim umówieniem

Dr. P. J. Kmieck

2616 West 14th Street
Cleveland. Ohio

Godziny: 4 do 8-ej wieczorem

DR. J. E. ZAREMBA

1922 West Division Street
Telefon HUmboldt 6-1757 Chicago 22, Ill.

Godziny biurowe: 10-12, 2-4 i 6-8 wieczorem
W Niedziele za umówieniem tylko

Dr. Henry C. Lewandowski

PHYSICIAN AND SURGEON

2800 W. 59-ta ULICA Tel. WAlbrook 5-0550

DR. CLIFFORD A. GRAND

522 WEST SECOND STREET
Ashland, Wisconsin

Poniedziałki, środy i Czwartki od 1:30 do 5-tej pop.
Iron River, Wisc.—godziny od 9 rano do 12 w połud.
Wtorki i piątki każdego tygodnia.



Jan Nowak, D. C

JAN NOWAK
D. C.

CHIROPRAKTOR
1200 No. Ashland Ave.
w Budynku Bankowym
Pokój No. 502
Tel. BRunswick 8-0321
CHICAGO, ILLINOIS

Godziny Biurowe: od 1-4ej i 6-8ej wiecż.
Jedyny Polski Chiropraktor z 30-letnim doświadczeniem na północno-zachodniej stronie miasta

---

DR. S. V. MARKIEWICZ

LEKARZ i CHIRURG

5159 W. Fullerton Ave.
NAtional 2-1188 Chicago, Ill.

Godziny: od 1-ej do 3-ej i od 7-ej do 9-ej
Oprócz środy i soboty

COMPLIMENTS

Dr. B. Pierzyński

M. D.

3229 South Morgan Street

Telefon VIrginia 7-1188

Godziny: 3 do 9-ej wieczorem.

Dr. P. J.
ORZYNSKI

LEKARZ I CHIRURG

Długoletni Związkowiec

1033 West Chicago Avenue
Telefon HAymarket 1-6041
(Blisko Milwaukee Avenue i Ogden Avenue)

GODZINY PRZYJĘĆ:

Od 2-ej do 4-ej popołudniu i od 7-ej do 9-ej wieczorem, oprócz Środy, Soboty, Niedziel i Świąt.

COMPLIMENTS OF

DR. S. M. KOZIOŁ

PHYSICIAN-SURGEON

1084 MILWAUKEE AVENUE

BRunswick 8-0280

Mon., Wed., Fri. 11-1 and 3-7. Tues., Thurs. 3-7

WILLIAM PYKA, M. D.

55-01 6th STREET, MASPETH, L. I., N. Y.
HAvemeyer 9-3900
320 SECOND AVE., Bet 18th and 19th Sts.
GRamercy 7-8544 NEW YORK CITY

Dziękując za dotychczasowe poparcie i polecamy się łaskawej pamięci. Pragniemy Was zapewnić, iż uczynimy wszystko, by Wam dać jeszcze lepszą obsługę i większe zadowolenie.



MARIA WASY

Właścicielka
Wytwornego i Naprawdę Pięknego Składu
Odzieży Damskiej, Dziecięcej i Niemowlęcej

POLA'S SHOP, Inc.

3850 BROADWAY ULICA GARY, IND.
W DZIELNICY GLEN PARK

Jesteśmy Wdzięczni Naszym Polskim Odbiorcom Naszych Doskonałych Produktów-Marynatów

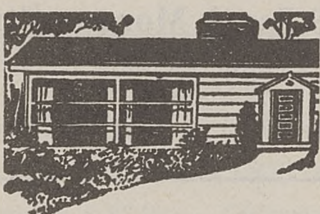
WE WSZELKICH POCZYNANIACH SZCZĘŚĆ WAM BOŻE!

ARLINGTON PRODUCTS CO.

NAJLEPSZE PICKLES
I KISZONA KAPUSTA

3109 N. WASHTENAW AVE.

Tel.: COrnelia 7-1060—COrnelia 7-1061



J. B. Pallasch and Sons

Biuro Realnościowe

Hipoteki, Asekuracja oraz Sprawy Prawne
Firma istnieje przeszło 65 lat

1146 NOBLE STREET

Telefon ARmitage 6-1517

Chicago, Ill.

Polski Sklep Spożywczy

S. i M. Derwińscy

1461 N. WOOD ST.

CHICAGO 22, ILL.

Telefon EV. 4-2543

Poleca swoim nabywcom wszelkie towary: — spożywcze, kosmetyczno - apteczne, — piśmienne; wyroby tytoniowe, oraz dla wygody kupujących znaczki pocztowe, jak też znaczki dla pp. Filatelistów.

Numer 1461 North Wood ulica.

Sklep Derwińskiego w Chicago
wszystkich zachwyca.

Polecamy się łaskawej pamięci,
S i M. Derwińscy



PO NAJLEPSZEJ JAKOŚCI

i ogłąszaną w całym kraju

ODZIEŻ MĘSKĄ

Przyjdźcie do Składu FUKA — gdy jesteście na Town of Lake.

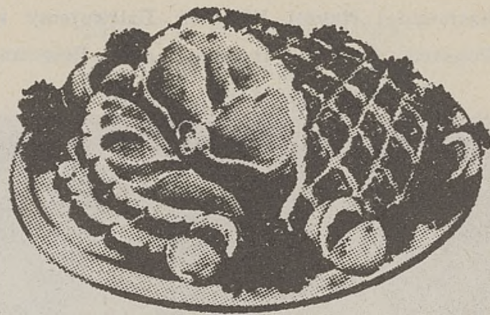
Jedyny będący własnością Polaka skład galanterii męskiej na "Town of Lake," prowadzący interesy z ludnością polską w Chicago i przedmieściach.

FUKA MENS WEAR

4729 S. ASHLAND AVENUE

NEIGHBORHOOD BORN OWNED MANAGED

STETSON HATS • MALLORY HATS



NASZE ZASADY:

• CZYSTOŚĆ • NAJLEPSZA JAKOŚĆ
• NISKIE CENY • UPRZEJMOŚĆ

Najlepsze Mięso Wszelkiego Rodzaju
Zawsze świeże po Przystępnych Cenach
Zawsze Można Dostać
— u —

JERRY RUDA MEAT MARKET

JERRY RUDA, właśc.
2735 West Cermak Road
Chicago, Ill.
Obsługa Grzeczna i Sumienna
Telefon B'shop 7-5848

DLA WASZEGO ZDROWIA ŻĄDAJCIE **KRAML**

MAŚLANKĘ I SERY

Także Mleko i Inne Mleczne Produkty,

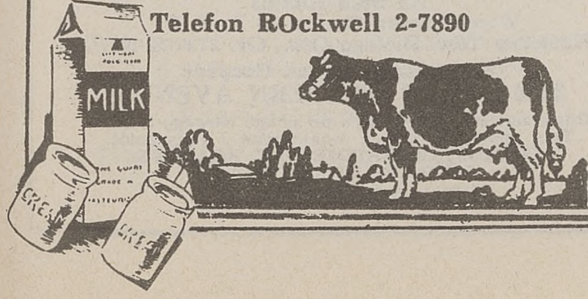
Które Możecie Dostać w Groserniach Lub Delicatessen Składach

Wszystkie gosposie zachwycają się naszą maślanką i serem. Nasza maślanka jest robiona jedynie nam znanym sposobem i dlatego właśnie jest tak wyśmienita w smaku. KRAML DAIRY jest czesko-polską mleczarnią, która jest w interesie od 43 lat. KRAML mleko, maślanka i sery są polecane przez każdą gosposię, która je używa.

KRAML DAIRY

4371 OGDEN AVE. CHICAGO, ILL.

Telefon ROckwell 2-7890



Dwa Świetne Lekarstwa



Na Każdy Dzień i Na Każdy Wiek

TRINER'S BITTER WINE

z Witaminą B-1

Jeden z najlepszych w Ameryce niezawodnych, łagodnych środków przeczyszczających na żołądek, odznaczony złotymi medalemi na siedmiu Międzynarodowych Wystawach.

Joseph Triner Corporation

JOSEPH TRINER, Prezes
4053 WEST FILLMORE STREET
CHICAGO 24, ILLINOIS

Szanownej Naszej Klienteli Dziękujemy za Poparcie Naszego Interesu, oraz Polecamy Sie Nadal Łaskawej Ich Pamięci



W. SZYJEWSKI i SYNOWIE

WŁAŚCICIELE EUROPEJSKIEGO

SKŁADU WĘDLIN

1941 W. DIVISION STREET

Tel. ARmitage 6-2911

Chicago, Illinois



F. B. RESTAURANT

PIERWSZORZĘDNA
POLSKA RESTAURACJA I CUKIERNIA

CIASTA I CIASTKA ZAWSZE ŚWIEŻE DO NABYCIA W KAŻDYM CZASIE

FRANCISZEK BARANOWSKI, właśc.

1219 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.

Telefon EVerglade 4-9509



Wesela, Srebrne Wesela, Urodziny, "Shower Party" Bankiety,

GRUP, TOWARZYSTW I ORGANIZACJI

w Przepięknej Mniejszej Sali

BLUE ROOM

SALI PUŁASKIEGO

1709 So. Ashland Ave.

Jest to jedna z najpiękniejszych i najbardziej nowoczesnych Sal na Polonii dopiero co wykończona. Zapewniamy Was, że tu urządzone dla Waszych gości przyjęcie, pozostawi na zawsze niezatarte wspomnienia.

W dużej Sali zawsze są tańce w każdą sobotę i niedzielę.

W sprawie rezerwacji prosimy telefonować

HAymarket 1-9620

i zapytać się o panią Antoninę Błazończyk, właścicielkę



KAROLINA BUDZ

Wiceprezeska Kongresu Polonii
Na Stan Illinois
Wiceprezeska Gminy 39 Z. N. P.
Kasjerka Tow. Białego Orła, Gr. 2727 Z. N. P.

Prowadząca Piękną Gospodę

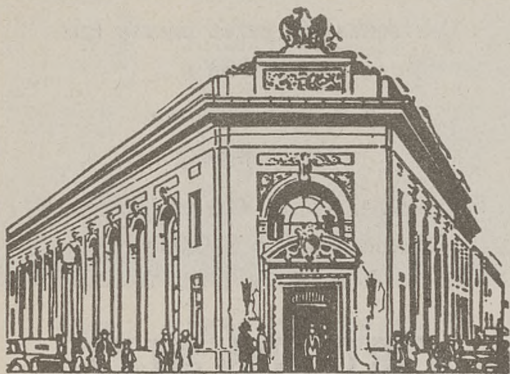
5200 SOUTH WESTERN AVENUE

**Gdzie zaprasza wszystkich do swego Nowego Lokalu Tam spotkacie swych Znajomych i Przyjaciół.
DOSKONAŁE NAPOJE TAK KRAJOWE JAKO TEŻ IMPORTOWANE**

Tel. GRovehill 6-2046

SPÓŁKA
POŻYCZKOWO-OSZCZĘDNOŚCIOWA

ZASOBY $55,000,000 | REZERWY $4,300,000



Standard Federal Savings & Loan Ass'n.

4192 ARCHER AVENUE

Tel. VIrginia 7-1141 **Chicago, Ill.**

JUSTINE MACKIEWICZ, Prezes

Serdeczne Życzenia

1956 ROKU

składa

Samuel Sachnoff

---

8 DOGODNYCH MIEJSC

• GŁÓWNA SIEDZIBA
504 Broadway, Gary, Ind.

- **Centralna Filia**
  1710 Broadway
  Gary, Indiana
- **Griffith Filia**
  102 N. Broad St.
  Griffith, Indiana
- **Tolleston Filia**
  1104 Roosevelt St.
  Gary, Indiana
- **Autobank**
  529 Washington
  Gary, Indiana
- **Dyer Branch**
  141 Joliet St.
  Dyer, Indiana
- **Glen Park Filia**
  3680 Broadway
  Gary, Indiana
- **Hobart Filia**
  66 Main St.
  Hobart, Indiana
- **Miller Filia**
  647 Lake
  Gary, Indiana

BANK Z PRZYJACIELSKĄ USŁUGĄ

GARY NATIONAL BANK

Washington Street Branch Auto Bank
529 Washington, Gary, Ind.

Członek Federal Deposit Insurance Corporation
Członek Systemu Federalnej Rezerwy

MIESZKAJCIE w YMCA



1621 W. Division St.

w Samym Centrum Polonii
Wszelkie Nowoczesne Urządzenia jak:
Pływalnie, Prysznice, Parówki, Masaże,
Sale Gminastyczne, Rekreacyjne, oraz
Duża Kafeteria ze Smacznymi Polskimi
Potrawami

Pytajcie się o Nasze Wygodne Pokoje po bardzo przystępnych cenach

**Division Street Department,
Young Men's Christian Association
of Chicago**

**Division and Ashland Avenues
Chicago, Ill.**

HENRY G. HARTMANN
Chairman of the Board of Directors

WALTER S. BELL, Executive Secretary

Wypełniamy Recepty Sumiennie Również Na Wysyłkę Do Polski

POLSKA APTEKA

WIECZOREK DRUG CO.

W. W. WIECZOREK, Ph. G.

1174 Milwaukee Ave., blisko Division

Sprzedajemy Zioła z Gór—Harcu
Środek na Przeczyszczenie. Cena $1.00
Z przesyłką, $1.15

Tel. HUmboldt 6-2671 **Chicago, Ill.**

WYSYŁAMY LEKARSTWA DO POLSKI

KAZIMIERZ CABAŃSKI

APTEKA—PHARMACY

1147 N. Ashland Ave. **SPaulding 2-2460**

RECEPTY Z POLSKI WYPEŁNIAMY

Wszelkie inne lekarstwa i zastrzyki
Po cenach najniższych. Proszę pisać po ceny.

POLSKA APTEKA

KAZIMIERZ KAWECKI

Właściciel

Wypełniamy Recepty Szybko i Sumiennie
i na Wysyłkę do Polski

1912 N. Damen Ave. **Tel. EVrglade 4-9834**

POLSKA APTEKA

Superczyński Pharmacy

3156 South May St. **Tel. VIrginia 7-9600**

V. H. Superczyński, właściciel

HARRY ADAMS

Właściciel Pierwszorzędnej Apteki

gdzie z całą dokładnością wypełniamy
wszelkie Recepty Lekarskie, a także i z Polski

2252 N. Western Ave. **Tel. HUmboldt 6-9455**

PARNELL PHARMACY

525 W. 123rd STREET **PUllman 5-6371**

PAN NIEZGODZKI, Właściciel

Wypełniamy europejskie recepty

POLSKA APTEKA

J. GAPIŃSKI PHARMACY

Wypełniamy Recepty na Wysyłkę do Polski

814 No. Ashland Avenue

Telefon HAymarket 1-9413

POLSKA APTEKA

MADURA PHARMACY

6001 W. Diversey Ave. **BErkshire 7-5929**

Wypełniamy Recepty na Wysyłkę do Polski

Chicago, Ill.

POLSKA APTEKA

Walter A. Kramarczyk

3101 Milwaukee Ave. **Tel. JUniper 8-9785**

Wypełniamy Recepty na Wysyłkę do Polski

POLSKA APTEKA

Jefferson Pk. Pharmacy

Dr. Frank Brykowski

4827 Milwaukee Avenue

Telefon KIldare 5-6794

POLSKA APTEKA

DUDEK PHARMACY

Wojciech Jerzy Dudek, właściciel

1801 WEST 35-ta ULICA. Tel. VIrginia 7-9611

Wypełniamy Recepty Wszystkich Doktorów

Szybko dla Wysyłki do Polski

POLSKA APTEKA

Wypełniamy Recepty do Polski
Szybko i Sumiennie

KSIAZEK'S APTEKA

2600 WEST 47th STREET

Tel. LAfayette 3-1118



— HUMOR, ŚMIECH, SATYRA —

W SZKOLE

— No, Jasiu — zapytuje nauczyciel — powiedz mi co to jest kamgarn?

Milczenie.

— Z czegóż jest zrobiona twoja marynarka?

— Ze starych spodni dziadka — odpowiada Jaś.

KSIĄŻKOWOŚĆ

Książkowy w banku do prezesa:

— Panie prezesie, gdzie mam zaksięgować te 5,000 dolarów, z któremi uciekł nasz kasjer?

Prezes po głębokim namyśle:

— Pod rubrykę: ''Wydatki bieżące''.

JEDNOMYŚLNOŚĆ

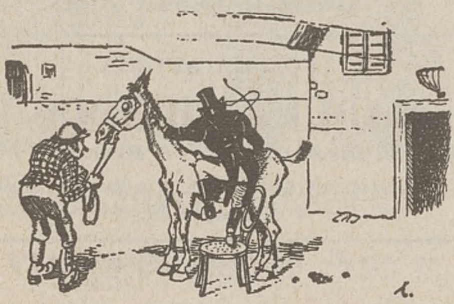
— Dlaczego Konferencja Gospodarcza w Londynie nie dała żadnych wyników?

— Spowodu jednomyślności.

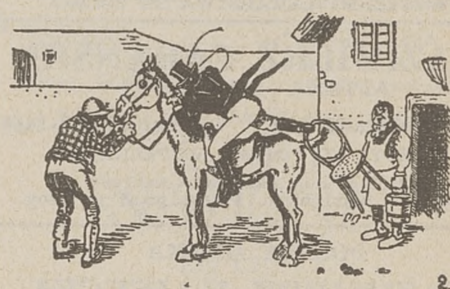
— Jakto?

— No, bo wszyscy jednomyślnie chcieli dobrze dla siebie, a źle dla innych.

KSIĄŻĘ KOCIO WYBIERA SIĘ NA PRZEJAŻDŻKĘ, CZYLI NIE NALEŻY TRACIĆ ORJENTACJI



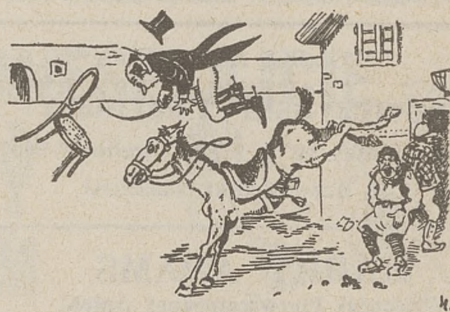
Czy książę pan nie zaczeka na księżniczkę?



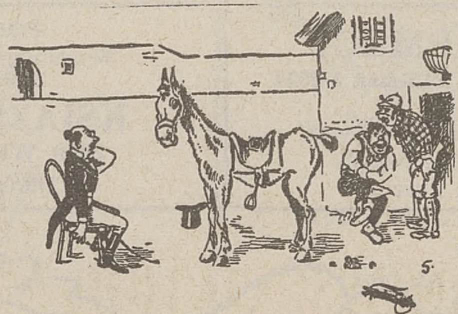
Nie, pojadę sam.



A nie dawajcie księżniczce karego, mógłby zrzucić...



Hooo... Co? Prrrrr!!!



Ostatecznie zaczekam, weselej jechać we dwoje.



ŻYCZENIA KTÓRE MOŻNA DZIECI UCZYĆ

Długo Mama mnie uczyła
Jak mam Babci powinszować,
Lecz ja umiem Babciu miła,
Tylko rączki Twe całować.

Serduszko me małe,
Miejsca w niem nie wiele,
Więc go nie podzielę,
Tylko Tatce oddam całe.

Żyj nam, Dziadziu drogi,
W zdrowiu długie lata,
Niech w każdy dzień życia
Bóg Ci radość wpata.

Trzy życzenia Tatce powiem:
Niech Cię Pan Bóg darzy zdrowiem
Niech Ci szczęście zawsze sprzyja,
Troska stale Cię omija.

Na Twe, Tato, imieniny
Serdeczne Ci składam życzenia,
I proszę Boga, byś z mej przyczyny
Nigdy nie doznał zmartwienia.

— HUMOR, ŚMIECH, SATYRA —

ROZTARGNIONY.

— Kiedyż wesele, panno Maniu?

— Sama nie wiem. Mój narzeczony o wszystkiem myśli, tylko jakoś o ślubie nic nie wspomina.

PAN I SŁUGA.

— Cóż ty, Janie, wycierasz talerze ręcznikiem?

— E, to nic proszę pana. Ten ręcznik jest już tak brudny, że nie używam go już do obcierania rąk i twarzy...

DZIWNE ŻĄDANIE.

— Cicho, bębnie! — woła matka w złości, tłukąc jedynaka.

— Także wymaganie — przerywa jej ojciec. — Jakże chcesz, żeby bęben był cicho, gdy w niego biją?

CHOROBA SKÓRNA.

— Proszę pana, czy pan jest specjalistą od chorób skórnych?

— Tak moje dziecko. Cóż ci dolega?

— A to proszę pana, ojciec tak mi dał w skórę, że strasznie mnie boli przy siedzeniu.

I TAK BYWA.

— Kochanie, kupiłem dwa bilety do teatru. Pójdziemy, prawda?

— Doskonale. Zaraz idę ubierać się.

— Bardzo dobrze. Może choć raz nie spóźnimy się na przedstawienie. Widzisz, duszko te bilety są na jutro...

NIEDOMYŚLNY MĄŻ.

Żona: — Niepokoją mnie dziwne sny. Już drugi raz śniło mi się, że kupiłeś mi tę jedwabną suknię, którą w zeszłym tygodniu widzieliśmy na wystawie.

Mąż: — Uspokój się, duszko, jak tylko wyjdę do miasta, kupię ci sennik, może znajdziesz wytłumaczenie tego dziwnego snu.

DZIWNA MASZYNA DO PISANIA.

Pan Nowobogacki do przyjaciela: — W zeszłym tygodniu kupiłem maszynę do pisania, ale nie mogłem z niej korzystać i odesłałem z powrotem.

— Dlaczego?

— Bo widzisz, pisała całkiem nieortograficznie. Tyle było błędów w liście napisanym przezemnie na tej maszynie, ile zwykle bywa w moich ręcznych listach.

LOGIKA DZIECIĘCA.

Tatuś przekonywa Jasia o konieczności i pożytku nauki.

— Ucz się, Jasiu — powiada — bo czego się nauczysz, tego ci ani ogień, ani woda nie zabierze...

— Ale, tatusiu — oświadcza Jaś — czego się nie nauczę, tego mi także ani ogień, ani woda nie zabierze...

ZASTĘPSTWO.

— Dziś miałem po raz pierwszy sposobność zastępowania mego przełożonego szefa sekcji.

— Ależ to niezwykły dowód zaufania. A w czem go zastępowałeś?

— W bridżu, bo musiał na krótki czas wyjść z kawiarni.

Z DOMOWYCH DYSKURSÓW.

Ojciec (do córki, która późno wróciła do domu): I znowu włóczyłaś się pewnie z tym pankiem. I ty się łudzisz, że się z tobą ożeni? Wy, dziewczęta, to ciągle śnicie o jakimś szczęśliwym trafie, a wkońcu zmuszone jesteście wyjść za pierwszego lepszego durnia.

Matka: Tak, tak, Stefciu. Ojciec ma zupełną rację. Mnie spotkał również taki przypadek.

PLAMY.

Pytał się dziad młodej damy,
Dlaczego słońce ma plamy?
Dama rzecz jegomości:
— Ano, pewnie ze starości.

MIŁOŚĆ BLIŹNIEGO.

'Kochaj bliźniego' — to wspaniałe zdanie
Przed laty każdy miał podobno w cenie.
Dziś się świat również zgadza na kochanie,
Ale maleńkie robi zastrzeżenie...
Odmienną postać przybrała zasada
W dzisiejszej czasów pozytywnych dobie:
'Kochałbym bliźnich, każdy dziś powiada,
'Lecz chciałbym wiedzieć, co na tem zarobię.

I TO PRAWDA.

Żona: — Tak, tak, dawniej obiecywałeś mi, że życie nasze będzie rajem, a dziś nie chcesz mi kupić głupiego kapelusza, w którym mi tak do twarzy!

Mąż: — A nacóż ci duszko, kapelusz w raju?

PUSTELNIK.

— Czy znasz Golińskiego?

— Tego pustelnika? Któżby go nie znał.

— Dlaczego nazywasz go pustelnikiem?

— Dlatego, że u niego zawsze pustki w kieszeni.

DOBRY POMYSŁ.

— Dlaczego pani przyjmuje do siebie zawsze takie tłuste służące?

— A bo ja sama jestem chuda.

— A więc?

— Więc, gdy wyjeżdżam z domu na wieś, służące nie mogą się ubierać w moje suknie.

NAGROBEK.

Pewien pan, po śmierci swego służącego, postawił mu nagrobek z napisem:

"Tu leży mój wierny parobek Marcin".

Ktoś złośliwy dopisał:

"Gdyś plac szpecił tym nagrobkiem,
On już nie był twym parobkiem,
Więc go w nos pocałuj. Amen".

1872-1956

Przeszło
80 Lat Dobrej Pracy
Ma Za Sobą

PRACOWNIA

ODZNAK I CHORĄGWI W. SŁOMIŃSKIEJ

WOJCIECH J. DANISCH, Właściciel

1145 NORTH CLEAVER STREET

CHICAGO 22, ILLINOIS

Wyrabiamy i Dostarczamy Rzetelnie

ODZNAKI, CHORĄGWIE, SZTANDARY, FLAGI, PIECZĘCIE METALOWE I GUMOWE, GUZICZKI KAUCZUKOWE I METALOWE Z EMALIĄ, ORAZ INNE PRZYBORY DLA TOWARZYSTW

Tysiące Towarzystw Zadowolonych

POPIERAJCIE RODAKA!

SYRENA

RESTAURACJA

WRZESIŃSCY, Właściciele

CZŁONKOWIE GRUPY 768 Z. N. P.

Najpiękniejsza Polska Restauracja
Na Town Of Lake

OCHŁADZANE POWIETRZEM
SALE NA WESELA, ZABAWY
ORAZ WSZELKIE OKAZJE

1825 WEST 47-MA ULICA

Tel. VIrginia 7-2024 i VIrginia 7-9660

Chicago, Illinois

ROBERT J. GRAHAM

Senator Stanowy 25 Dystryktu
Stanu Illinois



DLA DOBRA I SPRAW LUDU, DLA JEGO ROZWOJU I POLEPSZENIA BYTU MATERIALNEGO, ORAZ ZABEZPIECZENIA DEMOKRACJI, ZAWSZE WALCZY I CO JEST JEGO GŁÓWNYM CELEM DZIAŁANIA, JAKO SENATORA 25-GO DYSTRYKTU STANU ILLINOIS.

DLATEGO GODNY JEST ON I NASZEGO POPORCIA ZA JEGO CZYNY I DZIAŁALNOŚĆ



THADDEUS V. ADESKO

SĘDZIA
SĄDU WYŻSZEGO
POW. COOK, ILL.

Przewodniczący Sejmu
30-go i 31-go Z. N. P.

Pozdrowienia Dla Braci Związkowej z Okazji Diamentowego Jubileuszu — zasyła

Dr. Aleksander J. Jabłonowski

2922 East 79th Street REgent 4-0666

COMPLIMENTS OF
A FRIEND
C. L. CO.
CHICAGO, ILLINOIS

Serdeczne Życzenia 1956

składają

JOHN O'TOOLE

Demokratyczny Komityman

15-ej Wardy

— i —

FRANK MICEK

Alderman 15-ej Wardy

Serdeczne Życzenia 1956



ANTHONY A. OLIS

President Sanitary District

---

73 LAT PRZYJACIELSKIEJ USŁUGI

OTWÓRZCIE SOBIE DZISIAJ ZAASEKU-ROWANE KONTO OSZCZĘDNOŚCIOWE

Również Możecie Otworzyć Konto Oszczędnościowe Drogą Pocztową

ZASOBY PRZESZŁO 24 MILIONÓW

SECOND FEDERAL SAVINGS
AND LOAN ASSOCIATION

26th STREET i PULASKI ROAD

CHICAGO, ILLINOIS

JOHN A. SIEROCIŃSKI, Prezes — E. JOHN SIEROCIŃSKI, Wiceprezes

HUMOR ŚMIECH—SATYRA

ZŁOŚLIWOŚĆ.

— Czy można obejrzeć starożytności pałacu? — pyta podróżnik dozorcę pałacu.

— Niestety, nie można — brzmi odpowiedź — bo pani hrabina wyjechała z córkami i wróci dopiero za kilka tygodni.

ZNAKOMITA RADA.

Maciek miał pierwszy raz jechać do miasta z mlekiem. Bierze go tedy ojciec na stronę i poucza:

— Najpierw nalejesz do blaszanki wody, a potem dopiero mleka...

— Dlaczegóż najpierw wody? — pyta synalek.

— A bo widzisz, jak by cię przyłapali i zaprowadzili do sądu, możesz śmiało przysięgać, że nie dolewałeś wody do mleka.

PODSŁUCHANE.

Narzeczona mówi z oburzeniem:

— Ty cieszysz się, że mój ojciec stracił majątek! To ohydne!

— Gdzież tam — odpowiada narzeczony. — Żal mi bardzo twego ojca, a cieszę się tylko z tego, że jeszcze się z tobą nie ożeniłem...

MIAŁ RACJĘ.

— Czego beczysz, smarkaczu?!

—Bo babcia ciągle siedzi!

— To co z tego? Dlaczegoż nie ma siedzieć?

— Siedzi na mojem ciastku z kremem!

W WINIARNI.

Właściciel winiarni mówi do zarządzającego:

— Zdaje mi się, że pański pomocnik pije często nasze wino.

— Z czego pan to wnosi?

— Zbyt często zapada na zdrowiu...

POSŁUSZNE DZIECKO.

Pewien przechodzień zauważył małą dziewczynkę, stojącą dłuższy czas na brzegu chodnika. Zwraca się do niej z zapytaniem:

— Na co tu czekasz, moje dziecko?

— Mamusia powiedziała, że mogę przejść na drugą stronę ulicy dopiero wtedy, aż tramwaj przejedzie, a tu jak na złość żaden nie jedzie!

W HOTELU.

Numerowy budzi gościa o siódmej rano.

— Pan kazał się obudzić o piątej? — pyta.

— Tak, tak. Mam spieszyć do pociągu...

— No, to niech pan śpi spokojnie. Teraz siódma i pociąg dawno odszedł.

ŚRODEK NA PLUSKWY.

— Panie aptekarzu — powiada wieśniak do małomiasteczkowego farmaceuty. — Ta woda na pluskwy wcale nie pomaga...

— Dziwna rzecz — odpowiada aptekarz. — Wszyscy chwalą ten środek...

— Ja tam chwalić nie będę — przerywa kmiotek. — Wypiłem całą flaszkę a pluskwy jak gryzły, tak gryzą.

PRAWDZIWY PECH.

— Wyobraź sobie mój pech! Wczoraj wieczorem podczas sprzeczki ze mną teściowa wyskoczyła oknem na ulicę, na bruk!

— Bój się Boga, co ty mówisz! No i co, i co?

— A no, nic. Właśnie wczoraj przeprowadziłem się z czwartego piętra na parter.

NIESPODZIANKA.

Do apteki wszedł chłopczyk i zażądał ziółek za pięć groszy. Aptekarz rzadko sprzedawał ten gatunek ziółek i dlatego trzymał je wysoko na półce. Przystawił drabinkę, wyjął paczkę i zszedł na dół. Chłopiec zapłacił i wyszedł. Po chwili wchodzi drugi chłopiec i żąda takich samych ziółek. Aptekarz wędruje po raz drugi aż pod sam sufit.

Zaledwie zszedł nadół, do apteki wszedł jeszcze jeden chłopak i poprosił znów o paczkę tych samych ziółek za pięć groszy. Już wchodził na drabinę, gdy drzwi apteki otworzyły się i czwarty chłopak stanął przy ladzie.

— Czy i ty może chcesz ziółek za pięć groszy? — spytał aptekarz.

— Nie, proszę pana.

Aptekarz wszedł po drabince do góry, zniósł trzecią paczkę ziółek, drabinę odniósł do przyległego pokoju i pyta stojącego chłopca:

— Czegoż sobie życzysz, kawalerze?

— Proszę o małą paczkę takich ziółek, jak brał ten chłopiec przedemną...

Aptekarz pozieleniał.

— Pytałem przecie, czy i ty chcesz tych ziółek! Powiedziałeś, że nie!

— Tak, proszę pana, — brzmiała grzeczna odpowiedź. — Pan pytał, czy chcę ziółek za pięć groszy, a Mamusia kazała mi przynieść tylko za trzy...

RYBY.

— Proszę mi powiedzieć, panie profesorze, dlaczego ryby nie mają głosu?

— Gdyby miały głos, wtenczas przy mówieniu woda nalałaby im się do pyska.

WSZYSTKO co wchodzi w zakres MUZYKI możecie nabyć i wybrać w

WIELKIM SKŁADZIE MUZYCZNYM

Słuchajcie

BALKAN MUSICAL CARAVAN

każdej niedzieli o 12:30 na stacji WTAQ

1300 Kilocykli



BALKAN MUSIC CO.

1425 WEST 18-ta ULICA
CHICAGO, ILL.

WSZELKIEGO RODZAJU INSTRUMENTY MUZYCZNE, POLSKIE REKORDY, DOSKONAŁE RADIA I APARATY TELEWIZJI

Telefon SEeley 3-4057

PAŃSTWO S. DYBA

WŁAŚCICIELE

●

AMERICAN SPRING & WIRE SPECIALTY CO.

●

816 N. SPAULDING AVE.

Telefon VAn Buren 6-0800

CHICAGO, ILL

Na polu architektury — budownictwa w Stanach Zjednoczonych jedną z najpoważniejszych firm jest "SILL CONSTRUCTION CO.", która jest pod zarządem W. D. Cylkowskiego. Kryształowego charakteru zawsze chętny współpracować dla dobra Polonii. Bądźmy dumni z takiego syna wychodźtwa.

SILL CONSTRUCTION COMPANY

332 So. Michigan

Tel. HArrison 7-6515

Chicago, Ill.

Electrical FIXTURES

GRAJER ELECTRIC

Construction Co., Inc.

KONTRAKTORZY ELEKTRYCZNI I INŻYNIERZY

Dostarczają Siły—Światła—Przybory

George A. Grajer, wł. 2248 W. WALTON UL.

Telefon: HUmboldt 6-3807

NAJLEPSZĄ SODĘ I LEKKIE NAPOJE
Wyrabia i Sprzedaje



POLONIA BOTTLING CO.

1912 WEST HUBBARD STREET
TEL. SEELEY 3-5933 CHICAGO, ILL.

Serdeczne Życzenia
Całej Polonii

składa

Daniel D. Rostenkowski

Reprezentant
29-go Dystryktu
Stanu Illinois



SOKOL & COMPANY

IMPORTERS AND EXPORTERS
FOOD SPECIALTIES

241 East Illinois Street

Chicago, Illinois

A. W. WANEK & CO.

NAJSTARSZA POLSKA
AGENCJA ASEKURACYJNA
W ŚRÓDMIEŚCIU

SPECJALNOŚĆ
Asekuracja od Ognia i Odszkodowania

175 W. JACKSON BLVD. CHICAGO, ILL.
Pokój 758 Telefon: WAbash 2-3410

Który jest członkiem Kongresu Polonii Amerykańskiej od założenia.
GENOWEFA WANEK, Zarządczyni

COMPLIMENTS OF

DUDEK & BOCK

SPRING MFG. CO.

4014 WEST GRAND AVENUE

DICKENS 2-1020

MALIN BROS. Engineering Co.

GENERAL MACHINISTS

4103 W. Fullerton Ave. Chicago 39, Ill.

JOS. F. MALIN, Zarządca

PHONE ALBANY 2-1474



LEADER LAUNDRY and Dry Cleaning

1633 W. 43rd Street

Najbardziej Znana Pralnia w Chicago, Która Zatrudnia Najwięcej Polskich Pracowników.

Po Szybką Obsługę Telefonujcie **YA 7-4800**

WALTER J. LaBUY

Sędzia

Sądu Federalnego

Chicago, Illinois

HUMOR

UCZCIWY ZNALAZCA.

— Dlaczego nie oddałeś pan zaraz znalezionego portfelu?

— Nie zdążyłem. Było już zapóźno.

— Więc nazajutrz?

— Nazajutrz także było zapóźno. Portfel był już pusty.

NA LEKCJI ZOOLOGJI.

— Jesiotr znosi około miljon jaj... — powiada profesor nauk przyrodniczych.

— A czy przy każdem gdacze? — zapytał jeden z uczniów.

WYBREDNE DZIECIĘ.

Matka, która po raz trzeci wyszła zamąż, mówi do swej małej córeczki: No, jak ci się nowy tatuś podoba?

— E, wyjdź zamąż jeszcze raz, mamo...

BOHATER Z KONIECZNOŚCI.

Mały Kazio jest przedmiotem owacji rozentuzjazmowanego tłumu. Gdy bowiem na ślizgawce nagle lód się zarwał pod jego kolegą, wówczas Kazio bohatersko wyciągnął go z pod lodu.

— Powiedz mi, mój dzielny chłopcze, skąd małeś tyle odwagi, aby ratować twego przyjaciela z objęć śmierci?

— Przecież musiałem go ratować, bo właśnie miał moje łyżwy na nogach.

UCZCIWOŚĆ.

Pewien finansista daje rady synowi:

— Bacz, synu, przedewszystkiem na uczciwość... Bierz przykład ode mnie... Przedwczoraj pewien akcjonarjusz przyszedł do mnie i wpłacił mi przez pomyłkę, zamiast 4000 dolarów 5000... no i cóż!... Natychmiast odesłałem 500 dolarów memu wspólnikowi.

POMIĘDZY SZTUBAKAMI.

— Jak dorosnę, to zostanę lekarzem. Aha!

— A ja zostanę proboszczem i pochowam wszystkich twoich pacjentów.

OBDZIERANIE ZE SKÓRY.

Pewien małżonek widział we śnie różne dzikie zwierzęta jak kuny, sobole i lisy, pozbawione skór. Zwierzęta te mówiły do niego:

— Widzisz, obdarto nas ze skóry, aby twoja małżonka miała ciągle nowe futra.

— Oj, i mnie ze skóry obdzierają, — odparł budząc się ze snu.

NIEPOTRZEBNY DODATEK.

— No, jakże się czujesz w roli małżonka? Dostałeś podobno mnóstwo pieniędzy?

— Tak sobie. Wyobraź sobie, że zapisano mi na dobro posag, ale równocześnie obciążono moje konto żoną.

DBAŁA OPIEKUNKA.

Pan domu wraca z podróży i pyta służącej:

— Kasiu, czy dobrze opiekowałaś się zwierzętami domowemi?

— O, tak proszę pana. Raz tylko zapomniałam dać kotce jeść.

— Ale jej to nie zaszkodziło?

— Nie! Zjadła kanarka i obydwie papugi.

OSTROŻNY.

— Jakąż mi pan dasz porękę, jeśli pożyczę panu sto dolarów?

— Słowo uczciwego człowieka. To powinno panu wystarczyć.

— Dobrze. Przyprowadź pan go jutro do mnie.

WIE COBY ZROBIŁ.

Profesor: — Ten pacjent cierpi na skrót żyły w lewej nodze i dlatego kuleje. Cóżbyś pan zrobił w tym wypadku?

Uczeń: — Kulałbym także, panie profesorze.

JAKIE PYTANIE, TAKA ODPOWIEDŹ.

Pani. — Powiedz mi, dlaczego odeszłaś z ostatniej służby?

Służąca. — Niech pani znowu nie będzie taka bardzo ciekawa. Czy ja się pani pytam, czemu ostatnia sługa nie mogła u pani wytrzymać, hę?

KWIATEK Z MOWY PROKURATORA.

— Panowie sędziowie, spójrzcie na twarz oskarżonego: jest to lustro, w którem każdy z was dojrzy twarz podłego bandyty...

W MUZEUM.

Ojciec: — Ta postać to jest Minerwa.

Syn: — Czy to jej mąż ten za nią?

Ojciec: — Nie. Ona nie była zamężną. Była to bogini "mądrości".

OJ, TE KOBIETY!

Mała Janinka wyczytała w gazecie, że pewna kobieta urodziła dziewczynkę o dwóch głowach.

— Ta dziewczynka ma doprawdy szczęście — westchnęła. — Jak dorośnie będzie mogła nosić dwa kapelusze.

WRÓŻBITA.

— Czy to prawda, że ty umiesz wróżyć z kawy?

— Tak.

— No, cóż wyczytasz z tej filiżanki?

— Że ty nie umiesz kawy ugotować.

NA DZIKIM ZACHODZIE.

— Dziś wezmę ze sobą na polowanie naszego małego.

— A to poco

— Jako przynetę na lwy.

PRZY KIELISZKU.

— Dlaczego kum zamyka oczy, gdy pije gorzałkę?

— Bom przysiągł swej babie, że nigdy do kieliszka nie zajrzę, no .... i słowa dotrzymuję.

I TO PRAWDA.

— Tak mnie strzyka w lewej nodze, że ledwo mogę chodzić.

— Hm... To objaw wieku, przypuszczam!

— Głupstwo! Wszakże prawa noga ma tyleż lat co lewa, a nie boli wcale.



W POLSKIM DOMU

POLSKIE TRUNKI

**Możecie Otrzymać
w Znanym Polskim Składzie
w Wielkim Wyborze
Po Przystępnych Cenach**

KAZIMIERZ LENARD

właściciel

1172 MILWAUKEE AVENUE

Tel.: ARmitage 6-4246

BONDED, BLEND WÓDKI,
IMPORTOWANE KONIAKI, WINA



Polska Restauracja

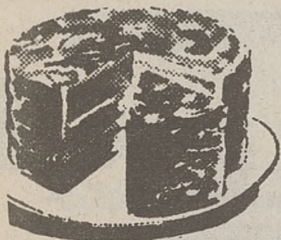
F. & J.

Telefon EVerglade 4-9777

Sandwich Shop

SMACZNE i ZDROWE PRZEKĄSKI i DANIA
Likiery i Wódki

1182 MILWAUKEE AVENUE



**Specjalnością naszą
torty i ciasta
na wszelkie okazje
familijne.**

EUGENIUSZ
KLECZEWSKI
Właściciel

KLECZEWSKI'S BAKERY

ONLY QUALITY BAKERY PRODUCTS

**4784 MILWAUKEE AVENUE
Telefon PEnsacola 6-3887**

Dla Sportu i dla Zdrowia
Dla Zdobycia Przyjaciół

PILSEN RECREATION



Kręgielnia o 12-tu Allach

AIR-CONDITIONED
REFRESHMENTS

1509 West 18th St. Tel. SEeley 3-9720
CHICAGO, ILLINOIS

PIERWSZORZĘDNA PIEKARNIA

**W której znajdziecie najlepsze ciasta, babki,
torty, żytni i biały chleb.**

Przyjmujemy zamówienia na wesela i inne zabawy

SNOW'S PASTRY SHOP

**1367 MILWAUKEE AVENUE
CHICAGO, ILL.**

Telefon HUmboldt 6-8951



POLSKA PRALNIA

Alba Laundry

DRY CLEANING

738-40 No. Elizabeth

Telefon MOnroe 6-5071-2

Najnowsza Pralnia — Najnowsze Maszyny
Fachowi Pracownicy
Bielizna Bielutka Jak Śnieg. Grzeczna Obsługa

Właśc. Józef Kozdroń i Franciszek Kołodziej

Już od lat obsługuję
Zawsze świeżym i smacznym Pieczywem
zawierającym najważniejsze składniki
odżywcze — chleb, bułki i inne ciasta,
słynne w Chicago i okolicy
wypiekane przez

ROSEN'S BAKERY

2549 W. Division Street

Tel. HUmboldt 6-1433

Od lat obsługuje Polonię ku pełnemu zadowoleniu

NIEDERMAN FURNITURE AND CARPET COMPANY

**1425 Milwaukee Avenue
Telefon: HUmboldt 6-7851-52
Chicago, Ill.**

Najlepsze Meble Dla Całego Waszego Mieszkania.

Słuchajcie co niedzieli naszego programu radiowego
Niny Czuwarowej ze stacji WGES od 2:30 do 3 popoł.

AMERICAN GLASS CO.

1030-42 North North Branch Street

Chicago, Ill.

FLASHTRIC-NEON
SIGNS
AND
MAINTENANCE

3910 N. Western Ave.

IR. 8-3141

3 POLSKIE SKŁADY

FRANK NOWICKI

Najlepszego Gatunku
Łinoleum - Pokrycia - Dywany

1520 W. Chicago Avenue
2101 Milwaukee Avenue
4284 Archer Avenue

Tel. DIckens 2-6662 Chicago, Illinois

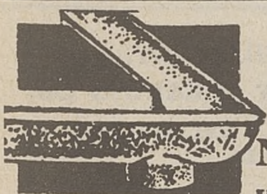
AUGUSTA & PAULINA SERVICE STATION

1700 W. Augusta Blvd., róg Paulina Ulicy
Telefon HUmboldt 6-9768

Produkty Standard Oil Co. Najlepsza gazolina, olej i smary. Obsługa szybka i grzeczna.

Dziękujemy za dotychczasowe poparcie i polecamy się nadal łaskawej pamięci.

JOSEPH KILLIAN, Właściciel



Naprawiamy
Kładziemy
NOWE DACHY
KAŻDEGO RODZAJU

Wykonujemy Wszelkie Roboty Blacharskie
Zakładamy Również Insulation w Domach

FOLLMER ROOFING CO.

943 N. DAMEN AVE. BRunswick 8-4495
Chicago, Illinois

NEW CITY AUTO COMMERCIAL WORKS

BOLESŁAW POMORSKI & SON
Manufacturers of
Custom Built Truck Bodies — Stakes
Panels — Vans — Trailers — Painting
Repairing — Lettering — Pictorial
5307-09 S. ASHLAND AVE.
CHICAGO 9

Phones HEmlock 4-7300-01

REPERUJEMY i KŁADZIEMY
NOWE DACHY

Wykonujemy wszelkie roboty blacharskie

STANISŁAW C. LEŚNIAK

właściciel

Firmy Pokrywania Dachów
1802-1806 West 18th Street
Chicago, Illinois
Telefon CAnal 6-0569

Robota Pierwszorzędna i Gwarantowana
Obliczenia Darmo Ceny Niskie

Adams Auto Construction Co.

Inc.
Adam Waskowski i Synowie, Współwłaśc.

4116 BELMONT AVENUE
30 Lat w Inteersie
Kompletna reperacja automobilów, montowanie.
Specjalne maszyny do balansowania kół.
Prostowanie i malowanie fendrów.
Doświadczenie 2-ch generacji.
W Ddziedzinie Mechaniki Wszelkich Automobilów
TELEFON KILDARE 5-8453

COMPLIMENTS OF

C. D. L. B.

J. KRAWCZYK

DRY GOODS & NOTIONS STORE
ODZIEŻ DAMSKA, MĘSKA i DZIECIĘCA.
ROBÓTKI, NICI, DROBIAZGI itd.

1455 WEST CHICAGO AVE.

ALEX F. BORUCKI

REALNOŚCIOWIEC **UBEZPIECZENIE**

Zarządca Działu Realnościowego

3213 MILWAUKEE AVENUE

SPring 7-3434

HUmboldt 6-1232 P. MARHOEFER, właśc.

CHICAGO BAKERY

Specjalizujemy się
W CIASTACH MAŚLANYCH I Z BITĄ ŚMIETANĄ
Na Wszelkie Okazje

1577 Milwaukee Ave. Chicago 22, Illinois

AGENCJA DZIENNIKA ZWIĄZKOWEGO



ARTYKUŁY RELIGIJNE
PRZYBORY SZKOLNE

F. DOLATOWSKI

8354 BURLEY AVENUE
Telefon SO. Chicago 8-0251

OD WIELU LAT OBSŁUGUJE POLONIĘ

The Lawndale National Bank of Chicago

3337-45 West 26th Street BIshop 7-6800

Już od lat słynie jako hurtowny dostawca Doskonałego Mięsa

Thomas A. Starczewski

WHOLESALE MEATS and PROVISIONS
DOSKONAŁEJ JAKOŚCI MIĘSA

704-08 W. 119th Street Tel. PUllman 5-7539
Chicago, Illinois WAterfall 8-2060

WSZELKIE PRZYRZĄDY ELEKTRYCZNE
MOŻECIE OTRZYMAĆ U

C. P. Sievert Electric Co.

1349 NO. BAUWANS ST. CHICAGO, ILL.
Tel. ARmitage 6-8300

OD ROKU 1904

ROMAN KOSINSKI

Brylanty, Zegarki, Biżuteria

1030 MILWAUKEE AVE.
Telefon: ARmitage 6-3038

COMPLIMENTS OF

Chicago Rawhide Mfg. Co.

1301 N. ELSTON AVE.
CHICAGO, ILL.

CLEMENT & COMPANY

REAL ESTATE - INSURANCE - TAX SERVICE

C. P. Gosiewski — W. A. Budzyn

3708 W. Diviersey Avenue Chicago, Ill.
ALbany 2-2371

JOS. A. WOJCIECHOWSKI

FUNERAL PARLOR

2129 W. WEBSTER AVE. CHICAGO 47, ILL.

Tel. ARmitage 6-4630—ARmitage 6-4831

POZDROWIENIA ZASYŁA

GENERAL WINDOW CLEANING CO.

176 N. WACKER DRIVE Tel. STate 2-6615
Chicago, Ill.

SPRZEDAŻ, KUPNO I ZAMIANA
BUDYNKÓW, INTERESÓW, ITP.

WICKER PARK REALTY

1108 NORTH DAMEN AVENUE
Bolesław Krzywda, właściciel
Chicago, Illinois

WSZELKA GARDEROBA DAMSKA
MODNE FUTRA — PRZECHOWYWANIE
I PRZERÓBKA FUTER I T. P.

STEFAN WENC

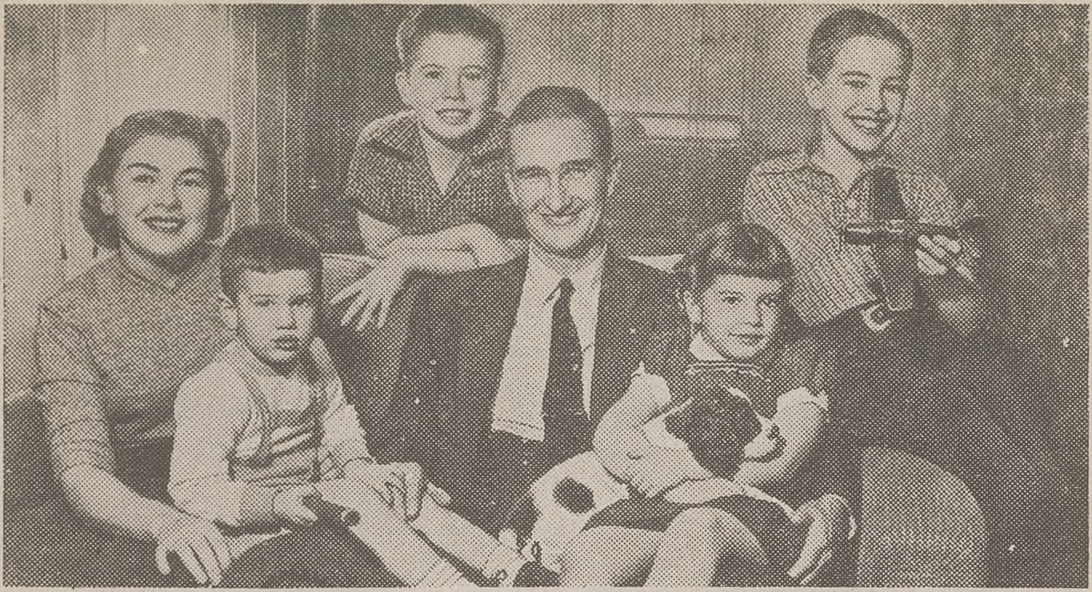
1501 W. Chicago Ave. Tel. MOnroe 6-6122

JASINSKI de BELINA PHOTO STUDIO

Naszą Specjalnością
Portrety - Fotografie Ślubne
i Dziecięce - Zebrania - Grupy

3018 W. CERMAK ROAD
Tel. BIshop 7-6996





Zapoznajcie się z rodziną Krawczyk! Wszyscy Krawczykowie włączając Waltera, 10 lat; Johna 9, Wandę 6 i Józefa 2½, teraz składają swe oszczędności—bezpieczenie, dogodnie i zyskownie w **Prospect Federal Savings and Loan Association of Chicago.**

Czy wiecie co Savings and Loan Association może uczynić dla WASZEJ rodziny?

PYTANIA I ODPOWIEDZI NIŻEJ PODANE OBJAŚNIĄ WAS JAK PROSPECT FEDERAL SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION OF CHICAGO OBSŁUGUJE OBECNIE WASZYCH PRZYJACIÓŁ I SĄSIADÓW, ORAZ JAK MOŻE OBSŁUŻYĆ WAS I WASZĄ RODZINĘ.

P.—Jak zaczynacie oszczędzać?

O.—Możecie zacząć już od $10.00. Konta dla dzieci otwiera się od $1.00.

P.—Wiele pieniędzy zarabia się na kontach oszczędnościowych?

O.—Otrzymujecie **znakomite** zyski (bieżąca rata wynosi 3½%). Dzieje się to dlatego, że Spółka inwestuje najwięcej ze swych funduszów w pewnych, stale wypłacanych mortgages na domy.

P.—Jaka jest gwarancja bezpieczeństwa waszych oszczędności?

O.—Są one chronione dobrym zarządem i znacznymi rezerwami. I są ubezpieczone do $10,000 przez Federalną Korporację Ubezpieczeniową oszczędności i pożyczek—agencję rządu Stanów Zjednoczonych.

P.—Jakiego rodzaju pożyczki są udzielane?

O.—Tylko pożyczki na posiadłości—z położeniem nacisku na mortgages na kupno domów, budowę lub przeróbki.

P.—Jak znacznymi są obsługi pożyczek w **Prospect Federal Savings and Loan Association?**

O.—Pomogliśmy ponad 3,000 rodzinom w kupieniu i nabyciu domów, wielu sfinansowało swój 2-gi i 3-ci dom u nas i przysłało swych przyjaciół i krewnych do nas.

P.—Kiedy jest najlepszy czas poznać **Prospect Federal Savings and Loan Association?**.

O.—Właśnie teraz! Przyjdźcie dzisiaj i zobaczcie jakie to dobre miejsce do interesu.

PROSPECT FEDERAL SAVINGS

AND LOAN ASSOCIATION OF CHICAGO

1715 W. 47th Street **LAfayette 3-3145**

MIROSŁAW LUKAS,
Sekretarz - Skarbnik

Członek Savings and Loan Foundation, Inc.



JOHN WM. CHAPMAN
Lieutenant Governor

GREETINGS FROM

Governor William G. Stratton

and Republican Team
of State Officials



CHAS. F. CARPENTIER
Secretary of State



WILLIAM G. STRATTON
Governor



VERNON L. NICKELL
Superintendent
of Public Instruction



ORVILLE E. HODGE
Auditor



LATHAM CASTLE
Attorney General

WARREN E. WRIGHT
Treasurer





EARLE B. SEARCY
Clerk of the
Supreme Court

(Deceased)
Mrs. Searcy serving
unexpired term.

SUPREME
SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION



PIOTR P. KEZON
SEKR.-KASJER-ZARZĄDCA
DYREKTOR

SKŁADA
SERDECZNE ŻYCZENIA
WSZYSTKIM ZWIĄZKOWCOM
I ZWIĄZKOWCZYNIOM, oraz CAŁEJ POLONII
JAKNAJLEPSZEGO POWODZENIA
NA ROK 1956

Dywidendy Są Płatne 1-go Stycznia i 1-go Lipca
KAŻDE KONTO ZABEZPIECZONE
PRZEZ ASEKURACJĘ FEDERALNĄ
DO SUMY $10,000

Oszczędzajcie w Największej Polskiej Spółce w Town of Lake

BIEŻĄCA RATA
DYWIDENDY
3½%
ROCZNIE



SUPREME
SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION

1751-1755 West 47th Street   Chicago, Ill.   YArds 7-3895

PIOTR P. KEZON
Zarządca Sekretarza i Skarbnik
IGNACY SCIGALSKI
Prezes
PIOTR RADOCHONSKI
Wiceprezes
ANNA M. GLISTA
Asyst. Sekretarza
IRENA KONECKA
Asyst. Kasjerka
PAWEŁ KUBALICA
Dyrektor
JAN KRZYSKOWSKI
Dyrektor
FRANCISZEK PORADZISZ
Dyrektor
STANISŁAW JOSEK
Dyrektor
STEFAN DOMINSKI
Dyrektor
EDWARD KNYCH
Dyrektor
WINC. F. JANKIEWICZ, Jr.
Rachmistrz

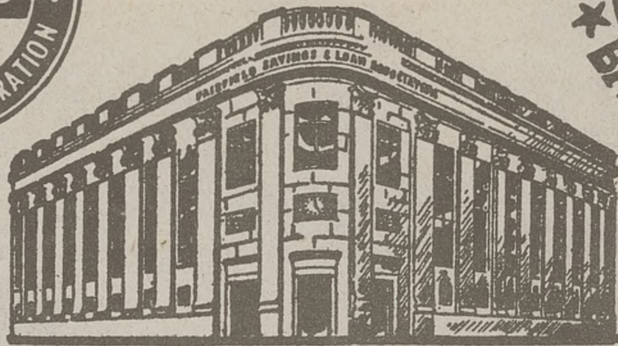
JAN E. GIERUT
Asystent Rachmistrza
CZESŁAW T. NIEDZIAŁEK
Kasjer
FELICJA KIEBLES
Stenografistka
LEOKADIA B. KALISKI
Stenografistka-Klerk
CZESŁAWA MESEVICH
Kasjerka
JANINA TAMOSAITIS
Kasjerka
HELENA TOMASZKIEWICZ
Klerk
MAŁGORZATA DUGGAN
Klerk
ROZALJA PAJĄK
Klerk
TERESA OMASTIAK
Klerk
ŁUCJA VIATOR
Klerk
GERALDINE RONKOSKE
Klerk

FEDERAL SAVINGS AND LOAN INSURANCE CORPORATION
SAFETY OF YOUR SAVINGS
INSURED
UP TO $10,000.

ZASOBY PRZESZŁO $16,500,000.00

FEDERAL SAVINGS AND LOAN INSURANCE CORPORATION
SAFETY OF YOUR SAVINGS
INSURED
UP TO $10,000.

FEDERAL HOME LOAN BANK SYSTEM
MEMBER



OSZCZĘDZAJCIE BEZPIECZNIE W FAIRFIELD

Wasze Oszczędności Są Zaasekurowane do Sumy $10,000
Przez Agencję Federalną

—JESTEŚMY ZAWSZE GOTOWI DO USŁUG—

- **UDZIELAMY POŻYCZKI REALNOŚCIOWE NA PIERWSZE MORGECZE, ZA NISKIM OPROCENTOWANIEM.**
- **SKRZYNKI BEZPIECZEŃSTWA DO WYNAJĘCIA**
- **WYMIANA CZEKÓW I INNE USŁUGI.**

FAIRFIELD SAVINGS & LOAN ASSOCIATION

MILWAUKEE-NORTH I DAMEN AVENUES
Chicago, Illinois

EVerglade 4-3600

Zasoby Przeszło **$43,000,000.00**

ZAŁOŻONA W ROKU 1901

NAJWIĘKSZA POLSKA RESTAURACJA



JOHN C. KLUCZYNSKI
Kongresman 5-go Dystryktu
Stanu Illinois

SYRENA

JOHN C. KLUCZYŃSKI
Właściciel

CATERERS

ZAJMUJEMY SIĘ

BANKIETAMI, PRZYJĘCIAMI, WESELAMI, etc.
W EUROPEJSKIM i AMERYKAŃSKIM STYLU
SALE DO WYNAJĘCIA NA WSZELKIE OKAZJE
ZAMÓWIENIA WYKONUJEMY
WE WSZYSTKICH CZĘŚCIACH MIASTA

CZŁONEK GRUPY 183 Z. N. P.

Syrena RESTAURANT

4270 ARCHER AVENUE
CHICAGO
TEL. VIRGINIA 7-9564-9565